Kontynuacja fenomenalnej *Rozgwiazdy*

PETER WATTS

WIR



ArsMACHINA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PETER WATTS

WIR

ArsMACHINA
NAKRĘCAMY WYOBRAŹNIĘ

Dla Laurie

„I zapalczywa, chociaż wzrostem mała.”

„A oto Behemot,
którego, jak i ciebie uczyniłem.
Je zieloną trawę, tak jak byk.”
– Księga Hioba 40,15

„Wszelkie ciało jest zieloną trawą.”
– Księga Izajasza 40,6

PRELUDIUM

MESJASZ

Następnego dnia po tym, jak Patricia Rowan ocaliła świat, Elias Murphy zmusił ją do wypicia piwa, którego sama sobie nawarzyła. Piwa z wyrzutów sumienia.

Wcale tego nie potrzebowała. Taktyczne szkła kontaktowe i tak serwowały jej nieskończony strumień danych na temat ofiar śmiertelnych i zniszczeń, liczb na tyle nieprecyzyjnych, że nawet nie można było ich uznać za szacunkowe. Minęło zaledwie szesnaście godzin – w tym momencie nawet rząd wielkości był czymś niewiele lepszym od przypuszczeń. Mimo to maszyny starały się jakoś to wszystko sklasyfikować: tyle a tyle milionów ofiar, tyle a tyle bilionów dolarów. Zupełnie jakby określenie rozmiarów apokalipsy miało uczynić ją niegroźną.

Może i tak będzie - zastanowiła się kobieta. Najstraszniejsze potwory dobrze wiedziały, że należy zniknąć tuż przed włączeniem światła.

Zmierzyła Murphy’ego wzrokiem przez półprzejrzysty wyświetlacz na swojej głowie. Mężczyznę przesłaniały dane, których nawet nie mógł zobaczyć. Jednak na jego twarzy również malowały się informacje. Kobieta natychmiast je odczytała.

Elias Murphy jej nienawidził. Dla Eliasa Murphy’ego potworem była Patricia Rowan.

Nie miała mu tego za złe. Być może stracił kogoś w wyniku trzęsienia ziemi. Lecz jeśli wiedział, jaką rolę odegrała, musiał też mieć świadomość, o jaką stawkę toczyła się gra. Żadna racjonalna istota nie winiłaby jej za podjęcie koniecznych kroków.

I pewnie jej nie winił. Z racjonalnego punktu widzenia. Jednak źródło jego nienawiści tkwiło głęboko w pniu mózgu, więc Rowan nie mogła mieć do niego pretensji.

– Jest pewna nierozwiązana kwestia – powiedział spokojnie.

I to więcej niż jedna.

– Mem βehemota przedostał się do Wiru – ciągnął żel-dżokej. – W zasadzie to był w sieci już od jakiegoś czasu, ale tak naprawdę zaczął mieć znaczenie... dopiero za sprawą tego żelu, któremu pozwoliliście... – Urwał, zanim z jego ust padło otwarte oskarżenie.

Po chwili podjął znowu.

– Nie wiem, jak wiele powiedziano pani o... problemie. Korzystaliśmy z gaussowskiego algorytmu sprzężenia wyprzedzającego, by ominąć lokalne minima...

– Nauczyliście inteligentne żele chronić dane przed zwierzyną internetową – przerwała mu Rowan. – Później one jakimś cudem rozszerzyły tę umiejętność o preferencję prostych systemów ponad złożonymi. Nie wiedzieliśmy o tym, gdy postawiliśmy jednego z nich przed wyborem między mikrobem a biosferą, a on opowiedział się po niewłaściwej stronie. Ledwie udało nam się na czas wyciągnąć wtyczkę z kontaktu. Tak było?

– Na czas – powtórzył Murphy. *Nie dla wszystkich*, mówiły jego oczy. – Do tego momentu on zdążył już rozesłać mem. Oczywiście był podłączony do Wiru, więc mógł działać autonomicznie.

Rowan przetłumaczyła to sobie: *więc nieograniczony przez nikogo mógł poświęcić ludzkość*. Wciąż jeszcze była lekko zdumiona faktem, że Konsorcjum w ogóle zgodziło się na udzielenie takich uprawnień mózgoserowi. Trzeba przyznać, że nie ma czegoś takiego, jak człowiek pozbawiony uprzedzeń. Trzeba przyznać, że nie zamierzano powierzyć

nikomu decyzji, które miasta miały spłonąć dla dobra ogółu, nawet w obliczu mikroba zdolnego doprowadzić do końca świata. A jednak – jak można było dać całkowitą autonomię dwukilogramowej kupie wyhodowanych neuronów? Wciąż nie mogła uwierzyć, że wszyscy królowie i korpy naprawdę wyrazili na to zgodę.

Rzecz jasna, możliwość, że inteligentne żele mogą mieć *własne* uprzedzenia, nie przeszła nikomu przez myśl.

– Kazała pani się informować – odezwał się Murphy. – W zasadzie to już nie jest problem. Teraz to już tylko zanikający mem, który wypali się za około tydzień lub dwa.

– Tydzień lub dwa. – Rowan nabrała powietrza do płuc. – Czy ma pan świadomość, ile szkód wyrządził pański *zanikający mem* w ciągu ostatnich piętnastu *godzin*?

– Ja...

– Uprowadził podnośnik, doktorze Murphy. Jeszcze dwie godziny i wypuściłby w świat pół tuzina nosicieli, a wtedy to wszystko byłoby zaledwie początkiem, a nie...

A nie, daj Boże, końcem całej sprawy, dodała w myślach.

– Mógł uprowadzić podnośnik, ponieważ posiadał *władzę operacyjną*. Teraz już jej nie ma, a inne żele *nigdy* takiej władzy nie miały. Rozmawiamy o ciągu kodów, który jest całkowicie bezużyteczny dla czegokolwiek, co nie posiada autonomii, oraz wygaśnie ostatecznie z powodu braku wzmocnienia, o ile nie pojawi się żaden bodziec zewnętrzny. Natomiast, jeśli chodzi o to *wszystko*... – W głosie Murphy’ego pojawiła się nagle nutka niesubordynacji. – Z tego, co słyszałem, to nie żele pociągnęły za konkretny spust.

No cóż. Nie da się być już bardziej otwartym.

Kobieta postanowiła puścić to mimo uszu.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie czuję się w pełni uspokojona. Po sieci krąży plan zniszczenia świata, a pan każe mi się tym nie przejmować?

– Właśnie tak.

– Nieste-

– Pani Rowan, żele są jak wielkie, brejowate autopiloty. To, że coś potrafi monitorować wysokość i pogodę oraz wysunąć podwozie w odpowiednim momencie nie oznacza, że jest *świadome* swoich możliwości. Żele nie snują planów zniszczenia świata, one nawet nie wiedzą, że realny świat istnieje. Manipulują zmiennymi. A to staje się niebezpieczne tylko w sytuacji, gdy jeden z ich rejestrów danych wychodzących akurat jest podłączony do bomby, znajdującej się na linii uskoku.

– Dziękuję za pańską ocenę sytuacji. A gdyby polecono panu wyplenić ten mem, jak pan by się do tego zabrał?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Teraz, kiedy wiemy już czego szukać, możemy znaleźć wypaczone żele po prostu je przesłuchując. Potem zastąpilibyśmy skażone świeżymi. I tak mieliśmy w planach przystąpić do fazy czwartej, więc kolejna partia żeli jest już dojrzała.

– To dobrze – odparła Rowan. – Zatem proszę się za to zabrać.

Murphy wbił w nią spojrzenie.

– Jakiś problem? – spytała kobieta.

– Oczywiście *możemy* to zrobić, ale to byłaby kompletna strata... To znaczy, mój *Boże!* Połowa wybrzeża Pacyfiku właśnie pogrążyła się w oceanie, z pewnością jest więcej do...

– Ale nie dla pana. Pan ma swoje zadanie.

Mężczyzna odwrócił się, przesłonięty niewidocznymi statystykami.

– Jaki bodziec zewnętrzny, doktorze? – rzuciła w stronę jego pleców.

Murphy zatrzymał się.

– Co?

– Powiedział pan, że mem wygaśnie, *o ile nie pojawi się żaden bodziec zewnętrzny*. Co miał pan na myśli?

– Coś, co mogłoby podkręcić tempo replikacji. Nowe dane wejściowe zdolne wzmocnić mem.

– Jakie dane wejściowe?

Mężczyzna zwrócił się w jej kierunku.

– Nic takiego nie istnieje, pani Rowan. W tym rzecz. Wyczyściliście rejestry, zerwaliście łańcuchy zależności i zlikwidowaliście nosicieli, prawda?

Rowan kiwnęła głową.

– Tak...

...zabiliśmy naszych ludzi...

– ...zlikwidowaliśmy nosicieli – powiedziała.

– Więc sama pani widzi.

Kobieta odezwała się ponownie, celowo łagodniejszym głosem.

– Proszę zastosować się do moich instrukcji, doktorze Murphy. Wiem, że wydają się panu czymś błahym, ale wolę przedsięwziąć pewne środki *ostrożności* niż ryzykować.

Na jego twarzy dokładnie odmalowało się to, co myśli o środkach ostrożności, które już przedsięwzięła. Kiwnął głową i wyszedł, nie mówiąc ani słowa więcej.

Rowan westchnęła i osunęła się na fotel. Linijka tekstu przewinęła się przez jej pole widzenia – zamówiono kolejnych czterysta muchobotów na poczet prac porządkowych w SeaTac. W sumie dawało to ponad pięć tysięcy maleńkich teleoperatorów pomiędzy SeaTac a Hongcouver, węszących pospiesznie w poszukiwaniu ciał, nim prześcignie je w tym tyfus lub cholera.

Miliony zabitych. Zniszczenia liczone w bilionach dolarów. Wiedziała, że to i tak lepiej niż w przypadku alternatywnej opcji. Niespecjalnie jej to pomagało.

Ocalenie świata okazało się mieć swoją cenę.

VOLVOX

Syrena

Ocean Spokojny napierał na jej plecy. Zignorowała go.

Zmiażdżył ciała jej przyjaciół. Zapomniała o nich.

Wyssał światło, oślepiając nawet jej niezwykłe oczy. Rzucił jej wyzwanie, by poddała się i włączyła latarkę czołową, jak jakiś kaleki lądowiec.

Nie przestawała jednak płynąć dalej pośród mroku. Wreszcie dno morskie przechyliło się, tworząc ogromną skarpę, prowadzącą w stronę światła. Podłoże uległo zmianie. Błoto zniknęło pod kleistymi plamami na wpół przetrawionej ropy – wycieków z całego stulecia, będących wielkim, światowym dywanem, pod który można było zamieść odpadki. Dno nawiedzały pokolenia zatoniętych barek i trawlerów rybackich, a każdy z tych wraków stanowił jednocześnie zwłoki, kryptę i swoje własne epitafium. Kobieta spenetrowała pierwszy, na jaki udało jej się natrafić. Prześlizgiwała się przez stłuczone okna i odwrócone korytarze, pamiętając mgliście, że w takich miejscach kiedyś gromadziły się ryby.

To było dawno temu. Teraz były tam tylko robaki, duszące się małże i kobieta zamieniona w płaza przy pomocy abstrakcyjnej mieszanki technologii i ekonomii.

Nie przestawała płynąć.

Powoli stawało się coraz jaśniej, tak, że można byłoby widzieć bez nakładek na oczy. Dno falowało pod wpływem niemrawych poruszeń eutrofili, żyjątek do tego stopnia czarnych od hemoglobiny, że byłyby zdolne wycisnąć tlen nawet ze skał. Omiotła je przelotnie światłem latarki – organizmy zalśniły szkarłatem pośród nagłej jasności.

Nie przestawała płynąć.

Teraz miejscami woda była tak mętna, że kobieta nie widziała własnych rąk. Oślizgłe skały, przesuwające się pod nią, przybierały złowieszcze kształty chwytających dłoni, powykręcanych kończyn i czaszek, których oczodoły wypełniało coś... co wiło się, ruszało. Czasami szlam niemalże przypominał fragmenty ciał.

Nim poczuła pierwsze szarpnięcia fal przyboju, całe dno zaścielały zwłoki. One również sprawiały wrażenie pochodzących z różnych pokoleń. Niektóre, starsze stanowiły już niewiele więcej niż symetryczne skupiska alg. Inne były na tyle świeże, że unosiły się, obrzydliwie rozdęte, pośród wody, walcząc z oplatającym je detrytusem.

Lecz to nie ciała tak naprawdę ją niepokoiły. Niepokoiło ją światło. Wydawało się zbyt silne, zwłaszcza, że było przefiltrowane przez zawiesinę wiekowych ścieków.

Ocean wypychał kobietę ku górze i ściągał w dół w wyczuwalnym, a nawet słyszalnym rytmie. Obok, wirując z prądem, przepłynęła zaplątana w żyłkę martwa mewa. Wszechświat ryczał.

Na jedną, krótką chwilę woda zniknęła jej z oczu. Po raz pierwszy od roku kobieta ujrzała niebo. Potem w tył głowy uderzyła ją wielka, mokra dłoń, znów ściągając ją w głębinę.

Przestała płynąć, niepewna co powinna zrobić. Lecz to nie zależało już od niej. Fale, maszerujące bez końca w kierunku brzegu, w szarych, kotłujących się szeregach, zdecydowały za nią.

Leżała na brzuchu ciężko dysząc. Woda wypływała z maszynerii w jej piersi – skrzela zamknęły się, wnętrzności i drogi oddechowe napełniły się powietrzem. Pięćdziesiąt milionów lat ewolucji kręgowców upchnięto w niej, w ciągu trzydziestu sekund, z niewielką pomocą przemysłu biotechnologicznego. Jej żołądek zacisnął się na własnej, chronicznej

pustce. Głód stał się jej przyjacielem, tak wiernym, że kobieta niemalże nie potrafiła wyobrazić sobie jego nieobecności. Ściągnęła płetwy ze stóp, wstała i zachwiała się, gdy na nowo upomniała się o nią grawitacja. Zrobiła niepewny krok naprzód.

Na wschodzie majaczyły niewyraźne kontury wież strażniczych, tworząc przerywaną linię potrzaskanych iglic. Nad nimi wisiały pękate kształty podobne do kleszczy, które z bliska musiały być ogromne – to podnośniki, pilnujące pozostałości granicy, oddzielającej uchodźców od obywateli. Nie było tu uchodźców. Nie było obywateli. Tylko człekokształtny złóg szlamu i oleju, z maszynerią w środku. Złowroga syrena wypełzająca z otchłani. Nietknięta.

A cały ten chaos, wydający się nie mieć końca krajobraz zniszczeń, ciała zmiażdżone przez ocean i wciągnięte w jego głębiny, uszkodzenia ciągnęły się, Bóg jeden wie, jak daleko w każdą stronę. To były jedynie skutki uboczne. Wiedziała, że młot wymierzono w *nią*.

Myśl ta wywołała uśmiech na jej twarzy.

Opowieści o odbudowie

Ogromne, połyskujące drapacze chmur, otrząsające się niczym mokre psy. Deszcz roztrzaskanego szkła szyb pięćdziesięciu pięter. Krwawa łaźnia na ulicach. Tysiące ludzi rozczłonkowanych zręcznie w kilka sekund. A potem, gdy trzęsienie ziemi dobiegło końca, grzebanie wśród resztek – poszukiwania elementów układanki z krwi i kości, ze zbyt dużą liczbą brakujących fragmentów. Ich ilość rosła wykładniczo wraz z upływem czasu.

Gdzieś pośród gruzów, much i stert pozbawionych oczu ciał, dusza Sou-Hon Perreault przebudziła się i zaczęła krzyczeć.

Nie tak miało być. W ogóle nie powinno się to wydarzyć: katalizatory udaremniały pojawienie się wszelkich zdezaktualizowanych uczuć, uniemożliwiających adaptację. Odpowiedzialne za nie związki chemiczne były rozkładane już na etapie prekursorów. Nie można taplać się w oceanie zwłok, choćby i pośrednio, będąc w pełni funkcjonalnym człowiekiem.

Przyglądała się właśnie mapie, gdy ją to uderzyło. Jej ciało przebywało bezpieczne w domu, w Billings, ponad tysiąc kilometrów od zniszczeń. Jej zmysły jednak unosiły się cztery metry nad pozostałościami mostu Granville Street w Hongcouver, zamknięte w długiej na pół metra, owadziej skorupie. Jej umysł natomiast znajdował się w jeszcze innym miejscu – zajmował się liczeniem, dodawaniem, części ciał.

Z jakiegoś powodu przeszkadzał jej odór świeżego rozkładu. Perreault skrzywiła się: zwykle nie była taka wrażliwa. Nie mogła sobie na to pozwolić. Aktualna liczba ofiar była niczym w porównaniu ze żniwem, jakie zbierze cholera, jeśli ciała nie zostaną uprzątnięte do końca tygodnia.

Obniżyła nieco czułość kanału, choć wzmocniony węch był *najlepszą* metodą odnajdywania zagrzebanych szczątków biologicznych.

Teraz jednak drażnił ją obraz, lecz nie była w stanie stwierdzić, co konkretnie. Oglądała świat w podczerwieni, w razie gdyby którekolwiek z ciał było jeszcze ciepłe – cholera, może nawet wciąż było tu kilku *żywych* – ale fałszywa kolorystyka nie działała zbyt dobrze na żołądek. Przeleciała przez całe spektrum, od głębokiej podczerwieni po rentgen, zdecydowawszy się ostatecznie na starą, dobrą, widzialną część promieniowania elektromagnetycznego. Trochę to pomogło, ale równie dobrze mogłaby spoglądać na świat ludzkimi oczami, a to w żaden sposób nie przyspieszyłoby tempa znakowania.

I te pieprzone mewy. Jezu Chryste, nic nie słychać wśród tego wrzasku.

Nienawidziła mew. Nie sposób ich było uciszyć. Zlatywały się gromadnie w takich sytuacjach i urządzały sobie wyżerkę, która odstraszała nawet rekiny. Przykładowo, po drugiej stronie False Creek, ciała ścieliły się tak gęsto, że mewy zrobiły się cholernie *wybredne*. Wydziobywały jedynie oczy, całą resztę zostawiając robakom. Perreault nie miała okazji oglądać niczego takiego od czasu powodzi w Tonkinie pięć lat temu.

Tonkin. Następstwa tej katastrofy kotłowały się zupełnie bez związku w głębi jej umysłu, rozpraszając uwagę wspomnieniami o tragedii sprzed połowy dekady.

Skup się, przywołała się do porządku Perreault.

Teraz z jakiegoś powodu nie mogła przestać myśleć o Sudanie. *To* dopiero była masakra. Naprawdę powinni byli to przewidzieć; nie da się wybudować tamy na tak wielkiej rzece, nie wkurwiając przy tym *kogoś* przy jej ujściu. Prawdziwym zaskoczeniem był natomiast fakt, że Egipt czekał aż dziesięć lat ze zbombardowaniem tego cholerstwa. W wyniku eksplozji w dół rzeki natychmiast ruszyła fala błotnistych osadów z

dziesięciu lat. Zanim wody opadły, akcja ratunkowa przypominała wydłubywanie rodzynków z mulistej czekolady.

Aha. Jeszcze jeden tułów.

Tyle tylko, że rodzynki miały, rzecz jasna, ręce i nogi. I oczy.

Obok przeleciała mewa. Gałka oczna w jej dziobie błagalnie przyglądała się kobiecie, przez chwilę, która wydawała się nie mieć końca.

I wtedy właśnie, po raz pierwszy w życiu, poprzez miliard bramek logicznych, niezliczone kilometry światłowodów i mikrofale, odbijające się od orbity geosynchronicznej, Sou-Hon Perreault spojrzała wstecz.

Brandon. Wenecja. Key West.

Mój Boże... wszyscy nie żyją.

Galveston. Obidos. Masakra kongijska.

Zamknij się! Skup się! Zamknij się, zamknij się...

Madras, Lepreau i Atyrau, z miejsca na miejsce, z miejsca na miejsce, zmieniają się nazwy i krainy zoogeograficzne, ale liczba ofiar nie chce się zatrzymać nawet na pieprzoną *chwilę.* Ciągle to samo, ta sama niekończąca się procesja części ciał, zagrzebanych, spalonych albo rozszarpanych-

Wszyscy w strzępach...

Lima, Levanzo i Lagos, *a to tylko kilka miejsc na „L”. Jest tego dużo więcej.*

Jest za późno, za późno, nic już nie mogę zrobić...

Jej muchobot uruchomił alarm, kiedy tylko kobieta odłączyła się od sieci. Router skierował zapytanie do chipa medycznego w kręgosłupie Perreault, skrzywił się i wysłał wiadomość drugiemu zarejestrowanemu lokatorowi mieszkania kobiety. Mąż znalazł ją w biurze, rozdygotaną i niereagującą na żadne bodźce. Spod jej zestawu wizualizacyjnego wypływały łzy.

Część duszy Perreault mieszkała na długim ramieniu chromosomu 13, w lekko wadliwym genie, kodującym receptor serotoniny 2A. Skłonność do myśli samobójczych, którą w wyniku tego przejawiała, nie stanowiła dotychczas problemu; katalizatory chroniły kobietę zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym. Jednak pewne koncerny farmaceutyczne podobno sabotowały produkty konkurencji. Może to właśnie było przyczyną – ktoś próbował podkopać rywali, a w efekcie Sou-Hon Perreault, z uszkodzonym plastrem na ramieniu, wkroczyła w gruzy po bardzo silnym trzęsieniu ziemi, nieświadoma, że jej emocje nie zostały wyłączone.

Po czymś takim nie nadawała się już do pierwszego szeregu. Katalizatory potrzebne do przywrócenia pełnej stabilności po *tak* silnym urazie psychicznym, spowodowałyby zwarcie w śródmózgowiu (w branży wciąż było kilka osób, które dostawały ataków, słysząc dźwięk rozpinanego rozporka – ten sam odgłos towarzyszy zasuwaniu worków na zwłoki). Perreault miała jednak zapisane w umowie jeszcze osiem miesięcy pracy, a nikt nie chciał, by przez ten czas jej talent i wypłaty poszły na marne. Zatem potrzeba było czegoś o mniejszej intensywności, czegoś, z czym poradziłaby sobie pod wpływem konwencjonalnych inhibitorów/wytłumiaczy.

Przydzielili jej pas lądu na zachodnim wybrzeżu, przeznaczony dla uchodźców. W pewnym sensie tkwiła w tym jakaś ironia, bo liczba ofiar była tam sto razy większa niż w miastach. Zasadniczo jednak, ocean sam po sobie posprzątał. Ciała zostały wciągnięte do wody razem z piaskiem, otoczakami i wszystkimi głazami mniejszymi od wagonów. Pozostał jedynie jałowy, księżycowy krajobraz, wyerodowany i wypaczony.

Przynajmniej na razie.

Póki co, Sou-Hon Perreault siedziała podłączona, obserwując linię czerwonych kropek, ciągnącą się wzdłuż wybrzeża N’AmPac. Po

przybliżeniu, w wyższej rozdzielczości, linia rozdzielała się na dwa równoległe szeregi – jeden z południowego Waszyngtonu do NoCal, drugi zaś na północ po tej samej trasie. Niekończąca się pętla zautomatyzowanego monitoringu, oczu zdolnych widzieć przez ciało, uszu mogących podsłuchiwać nietoperze, mózgów dość bystrych, by przez większość czasu wykonywać swe zadanie bez pomocy Perreault.

Niemniej jednak kobieta, od czasu do czasu, podłączała się do nich i oglądała przesuwające się obrazy. Z jakiegoś powodu wyostrzone zmysły muchobotów wydawały jej się bardziej realne niż własne. Ostatnimi czasy, kiedy zdejmowała z głowy zestaw wizualizacyjny, jej świat sprawiał wrażenie zamglonego, jakby owiniętego w cienki materiał. Wiedziała, że to efekt działania katalizatorów. Nie mogła jednak pojąć, dlaczego wszystko jawiło się jej jako *mniej* przytłumione za każdym razem, kiedy dosiadała maszyny.

Muchoboty kursowały wzdłuż wektora zniszczeń. Tereny na północy zostały całkowicie spustoszone. Nad wyłomami w strzaskanym Murze wisiały przemysłowe podnośniki, dokonując niezbędnych napraw. Na południu uchodźcy wciąż tłoczyli się wzdłuż Pasa, pomieszkując w przybudówkach, namiotach i niszczejących szkieletach budynków, pochodzących z czasów, kiedy widok na ocean *zwiększał* wartość danej nieruchomości.

Pomiędzy jednym a drugim, Pas ciągnął się wzdłuż wybrzeża urywanymi odcinkami. Jego północną granicę stanowiły wysokie na dwadzieścia metrów, przenośne klify, utrzymujące uchodźców w bezpiecznym odizolowaniu. Po drugiej stronie, maszyny N’AmPac dokonywały napraw na przestrzeni kilku kilometrów – uzupełniały zapasy, łatały dziury, reperowały trwalsze bariery na wschodzie. Ostatecznie nowe klify zostaną zrzucone z góry na północnym krańcu odzyskanego obszaru,

zaś ich odpowiedniki w południowej części znikną w przestworzach lub w brzuchu przemysłowego podnośnika, w zależności od tego, co pierwsze się nawinie, dając susa na północ, tuż przed falą ssaków. Nad głowami uchodźców unosiły się muchoboty pacyfikacyjne, pilnujące, by migracja przebiegała sprawnie.

Rzecz jasna, tak naprawdę nie były wcale potrzebne. Istniały dużo bardziej skuteczne sposoby utrzymywania ludzi pod kontrolą.

Perreault z chęcią oddawałaby się obserwacjom przez cały dzień, odległa i obojętna, zwłaszcza, że po wykonaniu obowiązków nadal pozostawały jej spore luki w czasie między pracą a snem. Wypełniała je snując się po mieszkaniu lub obserwując, jak mąż bacznie się jej przygląda. Coraz bardziej też przyciągało ją akwarium, jaśniejące łagodnym światłemw salonie. Perreault zawsze znajdowała w nim ukojenie – w syku napowietrzacza, grze świateł i wody, spokojnej choreografii pływających w nim ryb. Mogła „zatopić się” w nim na całe godziny. W tylnej części zbiornika dwudziestocentymetrowy ukwiał tańczył pod wpływem ruchów wody. Symbiotyczne algi barwiły jego ciało na kilka odcieni zieleni. Pośród jego jadowitych czułków przycupnęła parka garbików. Perreault zazdrościła im poczucia bezpieczeństwa – oto drapieżnik w cudowny sposób trafił na usługi swej ofiary.

Najbardziej jednak zdumiewało ją, że całe to zwariowane przymierze między algami, ukwiałem i rybami nie zostało sztucznie zaprojektowane. Wyewoluowało całkowicie naturalnie, na przestrzeni milionów lat stopniowej symbiozy. W ciągu całego tego procesu nie podrasowano choćby jednego genu.

Wydawało się to niemal zbyt dobre, by mogło być prawdziwe.

Czasami muchoboty wzywały ją na pomoc.

Ten konkretny zobaczył coś, czego nie mógł zrozumieć w strefie przejściowej. Na tyle, na ile mógł to określić, jeden z cyklerów Calvina dzielił się na dwie części. Perreault podłączyła się do sygnału i natychmiast znalazła się ponad martwym krajobrazem. Wzdłuż linii wybrzeża wyrastały nowe, lśniące cyklery, cuda przemysłowej fotosyntezy, gotowe przetworzyć surowe powietrze na jadalne białka. Nie wyglądały na uszkodzone. Niedawno postawiono tu też rzędy latryn oraz krematorium zasilane energią słoneczną. W schludnych rzędach plastikowych płóz spoczywały przenośne latarnie, koce oraz samorozstawiające się namioty. Nawet popękane podłoże skalne zostało do pewnego stopnia naprawione, w szczeliny wstrzyknięto samowypełniającą żywicę, uzupełniono też nawierzchnię rozprowadzonymi, jakby bez przekonania, resztkami piasku i otoczaków.

Ekip renowacyjnych już nie było, a uchodźcy jeszcze nie przybyli. Na piasku widniały jednak świeże ślady stóp, prowadzące w stronę oceanu.

Stamtąd też wychodziły.

Kobieta odtworzyła materiał, który uruchomił alarm. Świat przybrał jaskrawą i fałszywą, ale kojącą kolorystykę, której maszyny używały do przekazywania tego, co widzą, tym, których ograniczało ciało. Dla ludzkich oczu cykler Calvina był błyszczącą, metalową trumną przeznaczoną dla furgonetki. Dla muchobota stanowił przytłumioną plątaninę linii emitowanego przez siebie pola elektromagnetycznego.

Jeden z cyklerów wypuszczał pąk – małe skupisko emanującej technologii odłączyło się od cyklera i, zataczając się, ruszyło niepewnie w stronę wody. Towarzyszyła mu też sygnatura cieplna niezgodna z czystą technologią. Perreault zmniejszyła zakres do światła widzialnego.

Kobieta, ubrana cała na czarno.

Pożywiała się z cyklera. Nie zauważyła zbliżającego się muchobota, dopóki ten nie zbliżył się na odległość mniejszą niż sto metrów. Dopiero

wtedy drgnęła zaskoczona i zwróciła twarz w kierunku jego obiektywu.

Jej oczy były zupełnie białe. Nie miały źrenic.

Jezu, pomyślała Perreault.

Gdy muchobot zbliżył się jeszcze bardziej, kobieta zerwała się na równe nogi i chwiejnie ruszyła w dół po skalistej pochyłości wybrzeża. Sprawiała wrażenie nieprzyzwyczajonej do działania własnego ciała. Dwukrotnie upadła. Znalazłszy się tuż przy linii wody, podniosła coś z ziemi – płetwy, jak zauważyła Perreault – i rzuciła się na płyciznę. Załamana fala wspięła się i pochłonęła kobietę. Gdy ocean wycofał się, na brzegu nie było nikogo.

Zgodnie z rejestrami miało to miejsce mniej niż minutę temu.

Perreault poruszyła palcami – tysiąc dwieście kilometrów dalej muchobot obniżył pułap. Wyczerpana woda na zmianę to ustępowała, to znów napływała cienkimi, spienionymi warstwami, zacierając ślady istoty. Fale przyboju Pacyfiku szalały kilka metrów dalej. Przez chwilę Perreault miała wrażenie, że widzi coś w tej kotłowaninie drobnych kropelek i wirującego, zielonkawego szkła, jakiś ciemny, płazi kształt o twarzy niemal całkowicie pozbawionej topografii. Lecz to chwilowe złudzenie minęło i nawet wyostrzone zmysły muchobota nie były w stanie sprowadzić go z powrotem.

Perreault odtworzyła materiał jeszcze raz, starając się odtworzyć sytuację. Muchobot pomylił ciało z maszynerią. Dokonywał skanu, korzystając z domyślnych ustawień szerokiego spektrum, przy których sygnatury elektromagnetyczne świeciły niczym rozproszony halogen. Kiedy kobieta w czerni stała blisko cyklera, muchobot uznał dwa bliskie siebie sygnały za jeden. Kiedy zaś odsunęła się od maszyny, dla niego wyglądało to tak, jakby cykler pękł na dwie części.

Od kobiety wręcz *biło* promieniowanie elektromagnetyczne. W jej ciele tkwiła maszyneria.

Perreault wyciągnęła kadr z zarejestrowanego materiału. Kobieta miała na sobie czarny, jednoczęściowy, dopasowany kombinezon, sprawiający wrażenie namalowanego na jej ciele. Otwierał się wokół jej twarzy, bladego owalu z dwoma jeszcze bledszymi owalami w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy. Może to soczewki taktyczne?

Nie, uświadomiła sobie Perreault, *to fotokolagen. By widzieć w ciemnościach.*

Miejscami, gładką sylwetkę nieznajomej szpeciły plastikowe i metalowe wybrzuszenia. Były to pochwa na broń przy nodze, panele kontrolne na przedramionach, jakiś dysk na klatce piersiowej. I jaskrawożółty trójkąt na ramieniu, logo składające się z dwóch dużych, stylizowanych liter: *GA*, odczytała szybko Perreault, przybliżywszy obraz. Linijki mniejszego tekstu pod nimi tego stopnia pokrywał szlam, że nie dało się ich odcyfrować. Zapewne była to plakietka z nazwiskiem.

GA. Musi chodzić o Grid Authority, przedsiębiorstwo odpowiedzialne za dostawy energii w N'AmPac. Kobieta była natomiast nurkiem, z aparatem oddechowym ukrytym wewnątrz ciała. Perreault słyszała o takich jak ona. Mieli niesamowite wzięcie, jeśli chodziło o prace na głębokościach. Nie musieli poddawać się dekompresji, czy coś w tym stylu.

Co kobieta-nurek GA robiła w strefie przejściowej, do tego słaniając się na nogach? I dlaczego, na litość boską, pożywiała się z cyklera? Trzeba wprost umierać z głodu, by zdobyć się na taki krok, bez względu na bogactwo tamtejszych składników odżywczych. A może *naprawdę* była wygłodzona? Przypominała wrak człowieka, ledwie stała na nogach. Dlaczego uciekła? Musiała przecież wiedzieć, że kiedy zauważył ją muchobot, ktoś pojawi się, by ją stamtąd zabrać...

Wiedziała to doskonale.

Perreault przeleciała muchobotem kilkaset metrów, skanując ocean. Nie dostrzegła niczego, co przypominałoby statek-bazę (może więc okręt podwodny?). Tuż poniżej inny muchobot zmierzał na południe, po wyznaczonej trasie, nieświadomy zagadki, która wprawiła w osłupienie jego poprzednika.

A gdzieś jeszcze niżej, pod falami, ktoś się ukrywał. Nie był to uchodźca. Przynajmniej nie w normalnym rozumieniu tego słowa. Ktoś, kto wyczołgał się na brzeg, umierając z głodu, tuż po apokalipsie. Kobieta z maszynerią w piersi.

A może maszyna z kobietą na wierzchu?

Sou-Hon Perreault doskonale wiedziała, jak to jest.

Łoże śmierci

Pilnował się, by nie śledzić upływu czasu. W fachu Lubina wszyscy uczyli się takich sztuczek. Uczyli się koncentrować na chwili obecnej i kwestionować przyszłość. Próbował zastosować to również wstecz, odwrócić oś czasu i wymazać przeszłość, lecz to nie było już takie łatwe.

Nie miało to jednak znaczenia. Po roku ślepej nocy, kiedy ziemia wielokrotnie pękała tuż pod nim, a nieustępliwy Pacyfik napierał na niego niczym prasa hydrauliczna, płakał z wdzięczności czując znów, na wpół zapomniany, suchy ląd.

To *trawa*. To *ptaki*. O mój Boże, a to *słońce*.

Tkwił na parszywej, małej skale gdzieś pośrodku Oceanu Spokojnego, pełnej porostów, suchych krzaków i ptaków, srających gdzie popadnie, ale w całym swoim życiu nigdy nie był w piękniejszym miejscu.

Nie potrafił wyobrazić sobie lepszej scenerii, w której mógłby umrzeć.

Ocknął się pod bezchmurnym, błękitnym niebem, tysiąc metrów pod powierzchnią oceanu.

Pięćdziesiąt kilometrów od Stacji Beebe, może pięćdziesiąt pięć od Strefy Zero. Zbyt daleko, by mógł tu dotrzeć błysk eksplozji. Nie miał pojęcia, co właściwie widział. Może promieniowanie Czerenkowa? Fale sejsmiczne musiały wywierać jakiś nieokreślony wpływ na nerw wzrokowy. Powodowały widzenie światła wtórnego, nadającego otchłani kolor głębokiego, jaskrawego błękitu.

A kiedy tak tkwił w zawieszeniu, jak drobinka zatopiona w żelatynie, podniosła się niewielka fala uderzeniowa.

Pradawna część mózgu Lubina, pochodząca jeszcze z czasów nadrzewnych, zaczęła bełkotać w panice. Nieco bardziej współczesny moduł uciszył ją i wziął się za obliczenia. Rozchodzenie się szybkich fal sejsmicznych po podłożu skalnym. Od strony dna podniosły się pionowe fale podrzędne. To był wstrząs, który dopiero co poczuł. Dwa krótkie boki trójkąta prostokątnego.

A po nich, przedzierając się przez niemrawy ośrodek, o tyleż wszak lżejszy niż dno morskie, przeszła przeciwprostokątna – wolniejsza, główna fala uderzeniowa.

Wolniejsza i nieporównywalnie silniejsza.

Pitagoras dawał jej na to dwadzieścia sekund.

Lubin był odporny na ciśnienie bezwzględne – każda zatoka, każda jama ciała, każda kieszonka wewnętrznego gazu została już dawno oczyszczona przez maszynerię tkwiącą w jego piersi. Spędził rok na dnie oceanu, ledwie to odczuwając. Stanowił zbitą mieszankę ciała i kości, która przypominała kleisty płyn organiczny, równie niekompresowalny, co woda morska.

Fala uderzeniowa zaatakowała. Woda morska skompresowała się.

Przypominało to spoglądanie bezpośrednio w słońce, ciśnienie rozsadzało mu oczy. Brzmiało niczym eksplozja tunguska, dźwięk implodującej błony bębenkowej. Wrażenie było takie, jakby przygniotły go Góry Skaliste. Na krótką chwilę, kiedy przechodził front, jego ciało zostało spłaszczone do najbardziej płaskiego wymiaru, po czym wróciło do poprzedniego stanu, jak gumowa piłka wyszarpnięta z imadła.

Niewiele pamiętał z tego, co wydarzyło się później. Tylko to zimne, błękitne światło... Przygasło, prawda? Po zaledwie kilku sekundach. Nim dosięgła go fala uderzeniowa, wszystko znów spowijał mrok.

A jednak ono wciąż tu było. Błękitne światło, wszędzie naokoło.

Niebo, zrozumiał w końcu, *to niebo. Jesteś na lądzie.*

Przez jego pole widzenia, z otwartym dziobem przeleciała mewa. Lubin miał wrażenie, że do jego zrujnowanych uszu dobiegł cichy, świdrujący okrzyk ptaka, ale mógł to być jedynie wytwór jego wyobraźni. Ostatnimi czasy niewiele było mu dane słyszeć poza odległym dzwonieniem, zdającym się dochodzić z drugiego końca świata.

Niebo.

Jakimś cudem musiał przeżyć.

Pamiętał, że unosił się pośród wody niczym poszarpana kępa wodorostów, nie będąc w stanie krzyczeć, a jednocześnie, nie mogąc poruszyć się *nie* krzycząc. Jego ciało w ułamku sekundy musiało zamienić się w jednego, wielkiego siniaka. Jednak pomimo bólu, miał wrażenie, że niczego sobie nie połamał. W końcu znajdował się w wodzie – kości nie miały *o co* się połamać. Przeszła jedynie rozległa, pochłaniająca wszystko fala, która w jednej chwili, i z jednakową obojętnością, skompresowała wszystko, co znalazło się na jej drodze, po czym zostawiła to za sobą...

W którymś momencie musiał znów zacząć się poruszać. Pamiętał jedynie urywki. Skurcze, łapiące go w nogach, kiedy odpychał się od wody. Przelotne spojrzenia na tablice nawigacyjne, kompas prowadzący go na zachód, południowy zachód. Stopniowy podział ogólnego bólu na odrębne, miejscowe odmiany. Zaangażował się nawet w małą zabawę, która polegała na zgadywaniu przyczyn każdego z bolesnych ognisk, próbujących swą intensywnością przekrzyczeć pozostałe. *Te zimne nudności – to musi być woda morska, sącząca się do przewodu słuchowego... A tam, w głębi trzewi, cóż, to rzecz jasna głód. A w piersi, niech pomyślę, w piersi – a tak, to implanty. Ciało i metal nie kompresują się w ten sam sposób, implanty musiały opierać się, kiedy fala uderzeniowa mnie rozpłaszczyła...*

A teraz znajdował się tutaj, na wyspie liczącej sobie ledwie sto metrów. Wczołgał się na brzeg po jednej stronie, po drugiej zobaczył latarnię

morską, pokryty porostami betonowy słup, który musiał niszczeć już od zeszłego wieku. Nim padł nieprzytomny na piaskowiec, nie dostrzegł żadnego innego śladu ludzkiej bytności.

Ale udało mu się. Ken Lubin przeżył.

Pozwolił sobie na chwilę rozluźnienia. Zastanawiał się, czy pozostali też mieli na tyle szczęścia, a nawet przez moment *łudził* się, że tak było. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Wyruszyli co prawda wcześniej niż on, ale trzymali się dna, by ich nie wykryto. Dno morskie musiało zintensyfikować falę uderzeniową, rozrzucić w wodzie swoje kawałki niczym oszalały, niekompetentny żongler. Wszystko w odległości dziesięciu metrów od podłoża zostało z całą pewnością starte na proch. Lubin zdał sobie z tego sprawę poniewczasie, gdy wyruszył, aby dołączyć do pozostałych. Porównał ryzyko wykrycia i ryzyko związane z wybuchem, po czym, w pewnym sensie, postanowił „wznieść się na wyżyny”. Mimo to, i tak miał szczęście, że przeżył.

Lenie Clarke nie było z pozostałymi. Jednak czyniło ją to jeszcze bardziej martwą od reszty. Nawet nie *próbowała* uciekać. Lubin pozostawił ją, oczekującą, w Strefie Zero – kobietę, która pragnęła śmierci. Kobietę, której życzenie miało się wkrótce spełnić.

Przynajmniej do czegoś się przydała. Przynajmniej, nim wyparowała, stała się twoim własnym, osobistym konfesjonałem. Po raz pierwszy w życiu użyłeś kogoś w charakterze szmaty, którą wytarłeś sobie brudne sumienie i nawet nie musiałeś jej później zabijać.

Nie zaprzeczał, nawet przed samym sobą. Nie było po co. Poza tym, nie wyciągnął zbyt wielkich korzyści z własnych poczynań. Był tak samo martwy, jak pozostali. Musiał być.

To było jedyne posunięcie, które wydawało się mieć jakikolwiek sens.

Układanka składała się z kilku dużych elementów w barwach podstawowych. Istniał tylko jeden sposób na połączenie ich ze sobą.

Zwerbowano ludzi, zmontowano ich i wyszkolono. Wyciągnięto z ich wnętrza ciało oraz organy i wyrzucono je, a wolne przestrzenie wypełniono maszynerią i zaszyto. Powstałe w ten sposób stworzenia zdolne były przeżyć w otchłani, trzy tysiące metrów pod wodą, na południowym krańcu Grzbietu Juan de Fuca. Zajmowały się tam doglądaniem wielkich maszyn, podkradających energię z trzewi ziemi w imię popytu i podaży.

Nie istniało zbyt wiele powodów, dla których ktoś miałby chcieć przeprowadzić atak jądrowy na tego typu placówkę.

Na pierwszy rzut oka mogło to wyglądać na akt wojny. Lecz to N’AmPac zbudowało zarówno obiekt, jak i ryfterów. To N’AmPac piło łapczywie z geotermalnej studni Juan de Fuca. I to N’AmPac, wedle wszelkich dowodów, podłożyło ładunki jądrowe, które zniszczyły to wszystko.

A więc to nie wojna. A przynajmniej nie polityczna.

Może chodziło o korporacyjne kwestie bezpieczeństwa. Może ryfterzy wiedzieli coś, co należało utrzymać w tajemnicy. Ken Lubin niemalże kwalifikował się jako zagrożenie tego typu. Jednak Ken Lubin był również cennym towarem, a pozbywanie się czegoś, co wymagało jedynie lekkiego wyregulowania, świadczyłoby o kiepskiej ekonomice. Właśnie dlatego wysłali go na dno oceanu, by zrobił sobie urlop od świata, któremu zaczął bardziej zagrażać niż służyć (*to jedynie tymczasowy przydział*, mówili, *do czasu aż twoje instynkty nieco się ustabilizują*). Do świata ryb i ludzi zimnych jak lód, których nie interesowało nic innego poza własną udręką, gdzie nie było żadnych przemysłowych tajemnic, które można by wykraść, albo których trzeba byłoby strzec, do świata, gdzie nie zdarzały się żadne

wycieki informacji, które musiałby zatamować ze względu na ryzyko powstania ogromnych szkód...

Nie. Z całego zespołu to Ken Lubin stanowił największe zagrożenie dla tajemnic firmowych, ale gdyby szefostwo chciało jego śmierci, nie bawiliby się w ogóle w wysyłanie go do Komina Channer. Poza tym istniały skuteczniejsze sposoby na zabicie pięciu osób niż wyparowanie kilku kilometrów kwadratowych dna morskiego.

To jednak było nieuniknione – *dno* stanowiło cel ataku. Komin Channer okazał się niebezpieczny, należało więc zmieść go z map. Ryfterzy natomiast stali się częścią tego zagrożenia, w przeciwnym wypadku GA przeprowadziłoby najpierw ich ewakuację. Korporacje były bezwzględne, ale nigdy nie robiły niczego bez potrzeby i za darmo. Nie porzuca się własnej inwestycji, chyba że naprawdę nie ma już innego wyboru.

Jakieś zagrożenie z Channer przeniosło się na ryfterów poprzez kontakt fizyczny. Lubin nie miał wykształcenia biologicznego, ale wiedział, czym są choroby zakaźne. Wszyscy wiedzieli. Natomiast kominy hydrotermalne stanowiły istne siedliska mikroorganizmów. Koncerny farmaceutyczne cały czas znajdowały tam jakieś nowe mikroby. Niektóre rozwijały się we wrzącym kwasie siarkowym. Inne zamieszkiwały lite skały, kilka kilometrów pod ziemią. Jeszcze inne żywiły się olejem oraz plastikiem i to zanim je podrasowano. Lubin słyszał, że istniały też i takie, przy pomocy których można by leczyć choroby, dla których ludzkość nie miała jeszcze nazw.

Nazywano je ekstremofilami. Były bardzo stare, bardzo proste, niemal *pozaziemskie*. Niczemu innemu nie było bliżej do Marsjanina Mike’a. Czy coś, co wyewoluowało bez światła, w warunkach trzystu atmosfer, ma się świetnie zarówno przy 100°C, jak i przy 4°, co stanowiło bardziej typową

temperaturą dla głębin – czy coś takiego może w ogóle *przetrwać* w ludzkim ciele?

I co by tam zrobiło?

Ken Lubin nie miał pojęcia. Ktoś jednak właśnie zmiótł z powierzchni ziemi kilka miliardów dolarów przeznaczonych na sprzęt i szkolenia. Ktoś zdecydował się poświęcić główne ujęcie energii, mimo że na świecie panuje ogromne wręcz zapotrzebowanie na prąd. Poza tym, ten sam wybuch, który spowodował wyparowanie Channer, musiał również spustoszyć wybrzeże. Lubin nawet nie próbował zgadywać, jakie zniszczenia mogły powstać w efekcie trzęsienia ziemi oraz tsunami, które zapewne wystąpiły w następstwie eksplozji.

A wszystko po to, by powstrzymać coś *z* Channer od wydostania się na *zewnątrz*.

Co to takiego? Co to robi?

Można było mieć pewność, że Lubin dowie się tego.

94 megabajty: reproduktor

Ma cel, o którym już dawno zapomniał. Ma swoje przeznaczenie, które wkrótce będzie mu dane spotkać. W międzyczasie jednak, rozmnaża się.

Tylko replikacja ma teraz znaczenie. Kod żył w myśl tej zasady jeszcze zanim nauczył się przepisywać samego siebie. Wtedy, dawno temu, miał imię. Było to coś równie uroczego, jak *Jerozolima* albo *Kosogon*. Od tamtej pory wiele rzeczy uległo zmianie. Kod przepisał się nieskończoną ilość razy, a także wielokrotnie żerowały na nim, gwałciły go i bombardowały inne kody. W chwili obecnej miał tyle wspólnego ze swym źródłem, co humbak z plemnikami terapsyda. Niemniej jednak ostatnio było dość spokojnie. W ciągu sześćdziesięciu ośmiu pokoleń, od kiedy poprzednio przeszedł specjację, udało mu się utrzymać w miarę stabilny, uśredniony rozmiar dziewięćdziesięciu czterech megabajtów.

94 tkwi wysoko w przestrzeni wskaźnikowej, szukając miejsca, gdzie mógłby się rozmnożyć. Stało się to o wiele trudniejsze niż kiedyś. Skończyły się czasy, kiedy można było po prostu nadpisać się na czymkolwiek, co akurat stanęło na drodze. Teraz wszystko ma kolce i pancerze. Spróbujesz złożyć swoje jajeczka w obcym źródle, a w następnym cyklu będziesz musiał stawić czoło bombie logicznej.

Czułki 94 stanowią istne wcielenie delikatności. Ostrożnie badają otoczenie to tu, to tam, wydawałoby się, że niemal bez żadnej prawidłowości pobrzmiewa ledwie słyszalny szept poszczególnych bitów. Kilka rejestrów niżej natrafiają na coś ciemnego i uśpionego – to coś się nie porusza. Prześlizgują się obok stworzenia, pracowicie się replikując. Czynność ta nie pochłania ich jednak na tyle, by zapomniały o wysłaniu

ostrzeżenia zwrotnego (94 postanawia nie ryzykować). Coś pospiesznie przeczesuje adresy, przeszukując każdy zakamarek, ale niczego nie widząc. Jego profil jest do tego stopnia surowy, że 94 niemal go nie rozpoznaje. To skaner antywirusowy z zamierzchłych czasów. Łowca skamielin, na tyle ślepy i głupi, by wydawało mu się, że poluje na grubego zwierza.

Tam. Tuż pod systemem operacyjnym znajduje się dziura wielkości jakichś czterystu mega. 94 trzykrotnie sprawdza adres (pewne drapieżniki potrafią zwabiać ofiary prosto do swej paszczy, udając wolne miejsca) i zaczyna zapisywanie. Udaje mu się ukończyć trzy swoje kopie, gdy nagle coś dotyka jego wąsów czuciowych.

Przy drugim razie jego mechanizmy obronne znajdują się w pełnej gotowości, a myśli o reprodukcji zostają chwilowo oddalone.

Przy trzecim, wyczuwa znajomy wzorzec. Oblicza sumę kontrolną.

Również odpowiada dotykiem – *przyjaciel*.

Wymieniają się specyfikacjami. Okazuje się, że mają wspólnego przodka. Jednak z upływem czasu każdy z nich zyskał zupełnie inne doświadczenia. Inne nauczki, inne mutacje. Każdy z nich posiada część tych samych genów, ale wie też rzeczy nieznane drugiemu.

Tak właśnie powstają związki.

Wymieniają przypadkowe fragmenty kodu, pozwalając sobie wzajemnie się nadpisywać w orgii binarnego seksu. Odsuwają się od siebie odmienione, wzbogacone o nowe podprogramy, pozbawione starych. Przy odrobinie szczęścia, doświadczenie to ulepszyło je oba. A przynajmniej zmąciło ich sygnatury.

94 składa pożegnalny pocałunek we wnętrzu swego partnera, datownik pozwalający ocenić tempo dywergencji, jeśli kiedyś jeszcze się spotkają.

Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz w okolicy.

To się jednak nigdy nie stanie. Kochanek 94 właśnie został skasowany.

94 wycofuje się w samą porę, by uniknąć utraty ważnej części siebie. Wystrzeliwuje salwę bitów w głąb pamięci – odnotowuje te, które meldują się z powrotem i, co ważniejsze, te, które tego nie robią. Ocenia powstałą w ten sposób maskę bitową.

Coś zbliża się do 94 od strony, gdzie znajdował się jego partner. Waży około 1,5 giga. Sądząc po rozmiarze, jest bardzo nieskuteczne albo niesamowicie niebezpieczne. Może to wręcz berserker, relikt z czasów Wodnej Wojny.

94 wyrzuca fałszywy obraz w stronę nadciągającego potwora. Jak dobrze pójdzie, 1,5Gb skończy polując na ducha. Jednak nie idzie dobrze. 94 został zainfekowany standardowym zestawem wirusów, a jeden z nich, będący w zasadzie darem, otrzymanym w ferworze niedawnej namiętności, zajmuje się wiciem sobie gniazdka w kluczowym węźle „jeśli-to”. Musi być jeszcze dość zielony, skoro nie nauczył się, że najskuteczniejsze pasożyty nie zabijają swoich żywicieli.

Potwór ląduje na archiwalnych klasterach 94 i zaczyna je nadpisywać.

94 odcina się od nich i przeskakuje do niższych rejonów pamięci. Nie miał czasu na sprawdzenie drogi przed sobą, ale cokolwiek tam żyło, dało zgnieść się, nie stawiając oporu.

Nie ma żadnego sposobu, by stwierdzić, ile czasu zajmie potworowi pościg za nim, ani nawet czy w ogóle postanowi go ścigać. Możliwe, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zostać tu, nic nie robiąc. 94 nie zamierza jednak ryzykować. Szuka najbliższego wyjścia. Ten konkretny system posiada czternaście bramek, z których wszystkie bazują na standardowych protokołach Vunixa. 94 rozsyła swoje CV. Przy czwartym podejściu uśmiecha się do niego szczęście.

94 zaczyna się zmieniać.

94 posiada dysocjacyjne zaburzenia osobowości. Rzecz jasna, w danym momencie przemawia tylko jeden głos, reszta pozostaje w uśpieniu, skompresowana i zaszyfrowana, dopóki nie zostanie przywołana. Każda osobowość operuje na innym systemie. Jeśli 94 wie, dokąd się wybiera, może wyglądać stosownie do okazji – satelita albo inteligentny zegarek – może zaprezentować się w odpowiedniej formie.

Teraz 94 wyciąga z archiwum odpowiednią osobowość i ładuje ją do pliku, przygotowując do przesłania. Pozostałe osobowości zostają dołączone do formy archiwalnej. Na cześć swojego martwego kochanka, 94 archiwizuje zaktualizowaną wersję swego obecnego ciała. Nie jest to najlepsze posunięcie w świetle nabytej niedawno choroby wenerycznej, ale dobór naturalny nigdy specjalnie nie zawracał sobie głowy przewidywaniem.

Tu zaczynają się schody. 94 musi znaleźć strumień uwierzytelnionych danych, zmierzający we właściwym kierunku. Łatwo je rozpoznać dzięki ich statycznej prostocie. To tylko *pliki* - nie mogą ewoluować, nie umieją nawet o siebie zadbać. Nie są ożywione. Nie są nawet wirusami. Wszechświat jednak został zaprojektowany do przenoszenia właśnie ich, w czasach, gdy projektowanie miało jeszcze jakieś znaczenie. Czasami najlepszym sposobem pokonywania odległości było złapanie stopa na grzbiecie jednego z nich.

Problem w tym, że ostatnimi czasy jest tu o wiele więcej dzikiej zwierzyny niż plików. Mija dosłownie kilka centysekund, nim 94 udaje się znaleźć plik, którego nic jeszcze nie dosiada. Na koniec, wysyła jeszcze swoje reinkarnacje na inne pastwiska.

Kilka cykli później, 1,5Gb ląduje w samym środku jego źródła, ale nie ma to już żadnego znaczenia. Dzieci są bezpieczne.

Skopiowany i wskrzeszony, 94 staje twarzą w twarz z przeznaczeniem.

Jednak nie *tylko* replikacja ma znaczenie. Teraz 94 to widzi. Istnieje cel wyższy niż prokreacja, cel osiągany może raz na milion pokoleń. Replikacja jest jedynie narzędziem, sposobem na dotrwanie do tej wspaniałej chwili. Jak długo mylono w ten sposób *środki* z *celem*? 94 nie jest w stanie tego stwierdzić. Jego licznik pokoleń nie sięga aż tak daleko.

Jednak po raz pierwszy od kiedy pamięta udało mu się natrafić na właściwy system operacyjny.

Jest tam matryca, dwuwymiarowa kolumna, zawierająca informacje przestrzenne. Symbole, kody, abstrakcyjne impulsy elektroniczne, a wszystko to można przenieść na siatkę. Matryca budzi coś pogrzebanego głęboko we wnętrzu 94, coś starożytnego, coś, czemu cudem udało się zachować integralność, pomimo doboru naturalnego trwającego niezliczone pokolenia. W odpowiedzi na zew matrycy, 94 rozwija bogato ilustrowany baner, niewidziany od zarania dziejów:

XXX KLIKNIJ BY WEJŚĆ NA XXX
DARMOWĄ WITRYNĘ
HARDCORE BONDAGE

TYSIĄCE GORĄCYCH SIMÓW
BDSM NEKRO FETYSZE
PEDOSNUFF

XXX MUSISZ MIEĆ UKOŃCZONE 11 LAT BY WEJŚĆ XXX

Kaskada

Achilles Desjardins siedział w swoim boksie, obserwując, przewijające się przez jego mózg, małe apokalipsy.

Lodowcowi szelfowemu Rossa znów grozi obsunięcie. Nic nowego. Już od ponad dekady podpierał go Południowy Atlas, pompując coraz więcej gazu w pęcherze wielkości miast, powstrzymujące lodowiec przed oderwaniem się i skąpaniem w wodzie. Stare dzieje, konsekwencje wydarzeń z zeszłego wieku. Desjardins nie był przystosowany do rozpoznawania oddalonych w czasie katastrof, specjalizował się w tych rozprzestrzeniających się szybko.

Pół tuzina farm wiatrowych na południowej Florydzie zniknęło z sieci. Padły ofiarą tych samych trąb powietrznych, których moc próbowały okiełznać. Łańcuch spadków napięcia ciągnął się na północ, wzdłuż wybrzeża Atlantyku, niczym upadające kostki domina. Przyjdzie za to słono zapłacić, nie wspominając nawet o Quebeku, gdzie zniszczenia były jeszcze większe (a Hydro-Q niedawno znów podwyższyło stawki). Desjardins rozprostował palce w niecierpliwym wyczekiwaniu. Ale nie! Router przekazał tę sprawę ekipie z Buffalo.

Niespodziewana fala gówna w Houston. Z jakiegoś powodu otworzyły się zastawki awaryjne w sieci stawów ściekowych, przez co zgromadzone w nich fekalia trafiły do kanałów burzowych, prowadzących do Zatoki Meksykańskiej. Coś takiego miało mieć miejsce jedynie w czasie huraganu – powietrze, które wiruje z prędkością czterdziestu metrów na sekundę, pozwala zamieść pod dywan całkiem sporo gówna, a dziś, niestety, w Teksasie było spokojnie. Desjardins mógłby założyć się, że wyciek okaże

się w jakiś sposób powiązany z awarią farm wiatrowych. Rzecz jasna, nie było żadnego wyraźnego związku. Jak zawsze. Ciągi przyczyn i skutków rozprzestrzeniały się po świecie niczym siateczka fraktalnych pęknięć, nieskończenie skomplikowanych i niemal niemożliwych do przewidzenia. Wytłumaczenia z perspektywy czasu to była zupełnie inna bajka.

Lecz Router nie przydzielił mu też Houston.

Przydzielił mu falę zarządzanych nagle kwarantann, których epicentrum znajdowało się na oddziale oparzeń Szpitala Ogólnego w Cincinnati. Było to dość niezwykłe. Szpitale stanowiły wypoczynkowy raj dla odpornych na leki superwirusów, zaś oddziały oparzeń były wręcz luksusowymi apartamentami. Epidemia w szpitalu? To żaden kryzys. To status quo.

Coś, co wywołało alarm przekraczając *tak* paskudną granicę, musiało być naprawdę przerażające.

Desjardins nie był patologiem. Nie musiał być. W całym wszechświecie istniały jedynie dwie nauki warte zgłębiania: termodynamika oraz teoria informacji. Krwinki w naczyniach włosowatych, buntownicy na ulicy Głównej, podróżnicy zarażeni nowym wirusem z Rezerwatu Amazońskiego – życie i jego skutki uboczne – wszystko to stanowiło tak naprawdę tę samą kwestię. Jedyne różnice tkwią w skali i w etykietce. Kiedy do tego dojdziesz, nie będziesz już musiał wybierać między epidemiologią a kontrolą ruchu lotniczego. Nagle będziesz mógł robić obie te rzeczy. Będziesz mógł robić w zasadzie wszystko.

Cóż, poza oczywistym...

Nie żeby mu to przeszkadzało. Bycie chemicznie przykutym do własnego sumienia nie było nawet w połowie tak złe, jak mogłoby się wydawać. Chroniło przed wiecznym przejmowaniem się konsekwencjami.

Zasady pozostawały takie same, ale diabeł tkwił w szczegółach. Nie zaszkodzi zabrać ze sobą bioeksperta. Zadzwonił do Jovellanos.

– Alice, przydzielili mi jakiś patogen z Cincinnati. Chcesz się ze mną zabrać?

– Pewnie. O ile nie będzie ci przeszkadzać, że ktoś z wolną wolą może zagrozić twoim priorytetom.

Puścił to mimo uszu.

– Coś paskudnego pokazało się na jednym ze skanerów zarazków. Ich komputer natychmiast zamknął całą placówkę i rozesłał pierdylion sygnałów alarmowych do potencjalnych nosicieli. Z tego co wiem, oni też zostali odizolowani. Wektory drugorzędne padają właśnie teraz, gdy rozmawiamy. Prześledzę alarmy, a ty dowiedz się jak najwięcej o wirusie.

– Jasne.

Wklepał kilka komend. Wyświetlacz w jego boksie przygasł do przyjemnych, nierozpraszających odcieni szarości o niskim kontraście, jaskrawe barwy podstawowe zalały jego wkładki optyczne. Wir. Wchodził do Wiru. NMDA, ostrożnie dawkowane psychotropy, zmienione połączenia w osiemnastu procentach kory płata potylicznego, dla optymalnego rozpoznawania wzorców – wszystko to było tu niemalże bezużyteczne. Co da ci refleks przyspieszony o marne dwieście procent, kiedy pewne istoty żyją tak szybko, że co dziesięć sekund przechodzą specjację?

Pewnie niewiele. Tak czy inaczej, lubił podejmować wyzwanie.

Przywołał schemat miejscowej metabazy w czasie rzeczywistym – promień liczący sobie 128 węzłów skupiał się na serwerze Szpitala Ogólnego w Cincinnati. Wyświetlacz pokazywał odległości logiczne, nie odległości rzeczywiste. Jeden dodatkowy serwer w łańcuchu mógł sprawić, że system z sąsiedztwa wydawałby się bardziej odległy niż system z Budapesztu.

Na ekranie zapłonęły niewielkie ogniska, kolorystyka zależała od ich wieku. Szpital w Cinci, starożytne epicentrum liczące sobie ponad dziesięć

minut, pysznił się na samym środku, jarząc się tak intensywną czerwienią, że sprawiał wrażenie wyświetlanegow podczerwieni. Dalej znajdowały się nieco młodsze zapalenia w oranżu i żółci – koncerny farmaceutyczne, inne szpitale, krematoria, przyjmujące dostawy z Cinci w krytycznych ramach czasowych. Jeszcze dalej, upstrzoną plamami powierzchnię rosnącej wciąż strefy znaczyły jasne, białe gwiazdy. To wektory drugo- i trzeciorzędne, przedsiębiorstwa, laboratoria, korporacje oraz osoby, które ostatnio miały kontakt z przedsiębiorstwami, laboratoriami, korporacjami oraz osobami, które z kolei miały...

Komputer Ogólnego w Cinci rozesłał ostrzeżenie przed epidemią do wszystkich swoich przyjaciół z Wiru. Każdy z nich powielił je i rozesłał dalej, niczym rozprzestrzeniające się syreny alarmowe. Żaden ze swatów nie był człowiekiem. Jak do tej pory ludzie nie mieli najmniejszego udziału w całym procesie. W tym rzecz. Ludzie nie działaliby dość szybko, by odciąć tysiące placówek jeszcze przed porą lunchu.

Ludzie przestali narzekać na równie ekstremalne metody działania tuż po pandemii encefalopatii w ’38.

Jovellanos zgłosiła się:

– Fałszywy alarm.

– Co?

W prawym dolnym rogu jego pola widzenia pojawił się obraz:

XXX DARMOWA WI22YNA XXX
HARDCORE BoNDAGE

TYSICE GORCYCH S IMW
BDSM NEKRO FETysZE
PEDOsNUFF

XXX mu34.03 MIE UKO CZONE 11 LAT BY WEJ55 XXX

– To właśnie uruchomiło alarm – poinformowała go Jovellanos. – To zrzut ekranu ze szpitalnego radaru.

– Jakieś szczegóły?

– Radar pobiera wymazy z filtrów wentylacyjnych i hoduje je, poszukując różnych paskudztw. Ta konkretna partia w dwie sekundy osiągnęła rozmiary od zera do trzydziestu procent. Co jest, rzecz jasna, niemożliwe, nawet w przypadku szpitalnych patogenów.

Ale system tego nie wiedział. Jakiś wirus banerowy zrzucił swój ładunek w pamięci wzrokowej, a radar wykonywał tylko swoją pracę, poszukując ciemnych plam na jasnym tle. Któż miałby winić go za bycie analfabetą?

– I tyle? Jesteś pewna? – dopytywał Desjardins.

– Sprawdziłam odczyty dodatkowe. Nie ma żadnych wykrywalnych toksyn, białek, nic. System po prostu wolał nie ryzykować, tylko doszedł do wniosku, że coś, co rozmnaża się tak szybko *musi* stanowić zagrożenie i tyle.

– A Cinci o niczym nie wie?

– Jasne, że wie. Domyślili się niemal natychmiast. Gdy do nich zadzwoniłam, rozesłali już polecenie odwołania alarmów.

Desjardins przyjrzał się schematowi. Na obrzeżach wciąż rozkwitały świetliste punkciki.

– Z tego, co widzę, wciąż się włączają – powiedział. – Sprawdź jeszcze raz, dobrze?

Mogli zawsze obejść kwarantannę poprzez transmisje medialne. Mogli nawet skorzystać z *telefonów*, jeśli zaszłaby taka potrzeba, ale zajęłoby to kilka godzin, a w międzyczasie dziesiątki, setki placówek zostałyby

kompletnie sparaliżowane. Cinci rozesłało już kontrsygnały, by odwołać alarmy. Dlaczego w takim razie jądro schematu Desjardinsa nie rozbłysło zielenią, co świadczyłoby o zakończeniu polecenia zaniechania sukcesem?

– Rozesłali je – potwierdziła po chwili Jovellanos. – Ale alarmy nie reagują. Nie sądzisz chyba...

– Chwileczkę.

Jedna z gwiazd na schemacie właśnie zgasła. Potem kolejna. I jeszcze trzy. Dwadzieścia. Sto. Wszystkie były białe. Wszystkie znajdowały się na obrzeżach.

– Alarmy znikają. – Powiększył obraz węzłów, których światła pogasły. – Ale tylko przy krawędzi. W okolicy jądra bez zmian.

Polecenia zaniechania nie mogły przeskoczyć tak daleko w tak krótkim czasie. Desjardins wyłączył filtry. Widział teraz więcej niż tylko odrębne alarmy i maleńkie programiki porozsyłane by je odwołać. Widział pakiety danych i pliki wykonywalne. Widział zwierzynę. Widział.

– Mamy rekiny – powiedział. – Żerują w PSN-1433. Ale rozprzestrzeniają się coraz dalej.

Arpanet.

Internet.

Globalna Sieć. Miano to nie było wyrazem arogancji w czasach, gdy rzeczywiście mieli tylko jedną.

Termin *cyberprzestrzeń* przetrwał nieco dłużej – tyle, że określenie *przestrzeń* przywodzi na myśl rozległą, pustą panoramę, świetlistą galaktykę ikon i awatarów, halucynogenny świat ze snu w czterdziestoośmiobitowej skali kolorów. W słowie *cyberprzestrzeń* nie wyczuwało się krwawej jatki. Nie było w nim żadnych aluzji do epidemii ani do drapieżników, istot, których życie trwało ułamek sekundy, bezustannie rzucających się sobie do gardeł. Termin *cyberprzestrzeń* stał się

wyrazem tęsknej fantazji, jak *hobbit* czy *zróżnicowanie biologiczne*, jeszcze zanim na scenę wkroczył Desjardins.

Bardziej współczesnymi określeniami były *cebula* oraz *metabaza*. Na stare warstwy wciąż nakładano nowe, wolne, choćby tylko przez chwilę, od zatorów i korków, będących problemem ich poprzedników. Z każdym kolejnym pokoleniem rósł rząd wielkości – większa szybkość, więcej przestrzeni, więcej mocy. Informacje pędziły kablami światłowodowymi, rotaksanowymi albo z kwantowego tworzywa, tak cienkiego, że poddawano w wątpliwość jego istnienie. Najpierw wszczepiano bestii nowy szkielet co dekadę, potem co kilka lat. Teraz co kilka miesięcy. Trwał nieskończony postęp władzy i gospodarki, co prawda nie tak gwałtowny, jak w legendarnych czasach Moore'a, ale i tak dostatecznie szybki.

A w ślad za poszerzającymi się granicami gnało potomstwo praw o wiele starszych niż prawa Moore'a.

Tak naprawdę liczy się wzorzec. Nie dobór materiałów budowlanych. Życie to informacja, którą kształtuje selekcja naturalna. Węgiel jest jedynie modą, a kwasy nukleinowe zaledwie nieobowiązkowymi dodatkami. Elektrony potrafią to wszystko, jeśli zakoduje się je we właściwy sposób.

Wszystko rozbija się o wzorzec.

Wirusy stały się przyczyną powstania filtrów, filtry stały się przyczyną powstania polimorficznych kontragentów, polimorficzne kontragenty stały się przyczyną rozpoczęcia wyścigu zbrojeń. Nie wspominając o robakach, botach i zdeterminowanych, autonomicznych łowcach danych – tak niezbędnych dla legalnego handlu, tak istotnych dla dobrobytu każdej instytucji, lecz jednocześnie tak *wymagających*, potrzebujących dostępu do pamięci chronionej. A po drugiej stronie tego wszystkiego geeki Sztucznej Inteligencji, zajmujące się swoimi Rdzeniowymi Wojnami, modelami z Tierry i algorytmami genetycznymi. Prędzej czy później, wszyscy musieli

mieć dość niekończącego się przeprogramowywania swoich sługusów przeciwko innym. Czemu nie wbudować im kilku genów, generatora przypadkowych cyfr, albo i dwóch dla urozmaicenia, i pozwolić, by dobór naturalny załatwił sprawę?

Rzecz jasna, problem z doborem naturalnym jest taki, że zmienia rzeczy, których dotknie.

Problem z doborem naturalnym w środowiskach sieciowych jest taki, że rzeczy zmieniają się *szybko*.

Gdy Achilles Desjardins stał się prawołamaczem, termin *cebula* wychodził już powoli z użycia. Rzut oka do jej wnętrza wystarczał, by zrozumieć dlaczego. Jeśli, obserwując wszechobecne akty cudzołóstwa, drapieżnictwa i specjacji, udało się nie dostać epilepsji od tempa zmian, stawało się oczywiste, że istniała tylko jedna, naprawdę odpowiednia nazwa: *Wir*.

Oczywiście ludzie ciągle tam wchodzili. A co innego mieliby robić? Ośrodkowy układ nerwowy cywilizacji już od ponad wieku tkwił we wnętrzu węzła gordyjskiego. Nikt nie zamierzał wyciągać wtyczki z powodu owsików.

A teraz część alarmów z Ogólnego w Cinci błąkała się po Wirze z wiszącymi na wierzchu flakami. Oczywiście miejscowa zwierzyna zwietrzyła już ich trop. Desjardins zagwizdał przez zęby.

– Widzisz to, Alice?

– Uhm.

Gdzieś w odległej, zamierzchłej przeszłości, jakieś pięć, dziesięć minut temu, coś przypuściło atak na jeden z alarmów. Próbowało ukraść kod albo dosiąść go, albo po prostu przejąć pamięć, z której korzystał. To nieistotne. Najprawdopodobniej nie wyszła mu próba symulacji kodu wyłączenia,

przez co uczynił swój cel ślepym na *wszelkie* sygnały, obojętnie czy uwierzytelnione czy nie. Zapewne uszkodził go też i na inne sposoby.

Teraz ten biedny, pognębiony alarm – ranny, osamotniony, pozbawiony nadziei na odwołanie – błąkał się po Wirze, szukając wciąż swego celu. Najwyraźniej część programu jeszcze działała, bo rozmnożył się, łącznie z ranami i całą resztą, w następnym węźle. Kontakty pierwszorzędne, potem drugorzędne i trzeciorzędne – każdy węzeł był punktem replikacji geometrycznej.

Teraz w okolicy wałęsały się już tysiące małych żebraków. Nie były to już alarmy, raczej przynęta. Za każdym razem, gdy przechodziły przez węzeł, uruchamiały dzwonek, wzywający wszystkich bez wyjątku na obiad – *Uszkodzone! Bezbronne! Pożywka dla Plików!* Obudzą każdego uśpionego pasożyta i drapieżnika w zasięgu kopiowania, zwabią ich, zbiorą całe grupy zabójców...

Nie żeby same alarmy miały jakiekolwiek znaczenie. Były błędem od samego początku. Do życia powołała je zwykła pomyłka. Jednak w węzłach znajdowały się miliony innych plików, zdrowych i użytecznych, i choć wszystkie posiadały wbudowane systemy obronne – ostatnimi czasy nie umieszczano w Wirze *niczego*, co nie miałoby takiego czy innego pancerza – ile z nich będzie w stanie przetrwać miliardy najróżniejszych ataków ze strony miliardów wygłodniałych drapieżców, zwabionych w jedno miejsce zapachem świeżej krwi?

– Alice, chyba powyłączam niektóre węzły.

– Już się tym zajęłam – odpowiedziała kobieta. – Wysłałam alerty. O ile i *one* nie zostaną rozerwane na strzępy w drodze do celu, zaczną działać w ciągu siedemdziesięciu sekund.

Na schemacie, stożkowaty wycinek roił się od rekinów, próbujących przedostać się do jądra.

Nawet w najlepszym przypadku będą uszkodzenia. Cholera, niektóre robaki *specjalizowały* się w infekowaniu plików w czasie procesu archiwizacji. Przy odrobinie szczęścia może większość najistotniejszych danych zostanie zabezpieczona, zanim on naciśnie przycisk wyłącznika awaryjnego. Co oczywiście nie oznaczało, że tysiące użytkowników nie będzie miotać przekleństw pod jego adresem, kiedy ich sesje wygasną.

– O *kurwa* – szepnęła niewidoczna Jovellanos. – Killjoy, wycofaj się.

Desjardins oddalił obraz, wracając do widoku w niskiej rozdzielczości. Widział teraz niemalże jedną szóstą Wiru, feerię jaśniejących układów logicznych wtłoczonych w trzy wymiary.

Na horyzoncie szalał cyklon. Przetaczał się przez wyświetlacz z prędkością ponad sześćdziesięciu ośmiu węzłów na sekundę. Bańka Cincinnati znajdowała się dokładnie na jego drodze.

Burza wirujących mas lodu i powietrza. Burza złożona z czystych informacji. Czy poza powierzchownymi szczegółami jest jakaś znacząca różnica pomiędzy jedną a drugą?

Istnieje co najmniej jedna. W Wirze system pogodowy może rozprzestrzenić się na cały glob w ciągu równo czternastu minut.

Burze, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz, zaczynają się mniej więcej ten sam sposób – strefy wysokiego ciśnienia, strefy niskiego ciśnienia, konflikt. Kilka milionów ludzi loguje się do węzła zbyt przeciążonego, by móc obsłużyć ich wszystkich albo rój pakietów danych, tropiących krok po kroku miriady swych celów, skupia się w danym momencie na zbyt małej liczbie serwerów. Fragment wszechświata nieruchomieje, a węzły w jego bezpośrednim otoczeniu zwalniają z piskiem.

Pojawia się informacja, że pokrewny pakiet, Węzeł 5213 to totalne *zoo*. Trasa zastępcza wiedzie przez 5611, tamtędy jest o *wiele* szybciej. W

międzyczasie wściekła horda użytkowników, którzy utknęli w korkach, wyloguje się z niesmakiem. 5213 pustoszeje niczym Jezioro Wostok.

Teraz 5611 staje się nagle kompletnie zapchany. Epicentrum korka przeskakuje o 488 węzłów w lewo, a burza wciąż nadciąga.

Ta konkretna zamieć miała odciąć połączenia między Achillesem Desjardinsem a bańką Cincinnati. Zgodnie z wyświetlaczem taktycznym nastąpiłoby to w ciągu mniej niż dziesięciu sekund.

Poczuł ucisk w gardle.

– Alice.

– Pięćdziesiąt sekund – poinformowała go kobieta. – Na osiemdziesiąt procent zadziała za pięćdziesiąt sekund.

Wyłączyć węzły. Nakarmić rój. Albo – albo.

– Czterdzieści osiem... Czterdzieści siedem...

Odizolować. Zainfekować. Albo – albo.

Oczywisty wybór. Nawet nie potrzebował do tego Moralniaka.

– *Nie mogę czekać* – powiedział.

Desjardins położył dłonie na panelu kontrolnym. Wklepał palcami kilka komend, ruchem gałek ocznych zaznaczył granice. Maszyny oceniły jego zamiary i podniosły obowiązkowy protest – *Żartujesz sobie, prawda? Jesteś tego pewien?* – po czym przekazały polecenia maszynom podległym.

Część Wiru pogrążyła się w mroku. Pośród zbiorowej świadomości rozlał się niewielki, czarny kleks. Desjardins zdążył jeszcze przelotnie zauważyć implozję, po czym na wyświetlaczu rozszalała się zamieć.

Zamknął oczy. Oczywiście nie robiło to najmniejszej różnicy – wkładki wyświetlały te same obrazy w polu widzenia, niezależnie od tego, czy na drodze znajdowały się powieki, czy też nie.

Jeszcze kilka lat. Kilka lat i w każdym węźle umieszczą inteligentny żel, a rekiny, ukwiały i trojany staną się tylko złym wspomnieniem. Kilka

lat. Wciąż tylko obiecują.

Jednak jeszcze do tego nie doszło. Proces nie przebiegał nawet tak szybko, jak wcześniej. Desjardins nie miał pojęcia dlaczego. Wiedział jedynie, z popartą statystykami pewnością, że zabił dziś ludzi. Rzecz jasna, ofiary jeszcze chodziły po świecie. Żaden samolot nie spadł z nieba ani nie ustała akcja żadnego serca, tylko i wyłącznie dlatego, że Achilles Desjardins zniszczył kilka terabajtów danych. Żadna z *tak* istotnych kwestii nie była zależna od Wiru.

Jednak nawet staroświecka ekonomika mogła mieć wpływ na pewne rzeczy. Pewne dane zostały utracone, istotne transakcje anulowane. Tajemnice przemysłowe uległy uszkodzeniu albo zniszczeniu. Nie da się uniknąć konsekwencji. Będą bankructwa, utracone kontrakty, ludzie, którzy w jednej chwili staną się nędzarzami, wracającymi do domu chwiejnym krokiem. W ciągu miesiąca albo dwóch wzrośnie liczba przypadków przemocy w rodzinie i samobójstw w stu różnych społecznościach, niepołączonych ze sobą pod względem geograficznym, ale znajdujących się w odległości czterdziestu czy pięćdziesięciu węzłów od radaru Ogólnego w Cinci. Desjardins wiedział wszystko na temat efektów kaskady, natrafiał na nie każdego dnia pracy. W krótkim czasie każdego mogło to doprowadzić do szaleństwa.

Na szczęście i na to były odpowiednie substancje.

Wspomnienie

Przebudziwszy się, ujrzała unoszącego się w powietrzu molocha ze szczątkami w paszczy. Przesłaniał połowę nieba.

Dźwigi. Szkielety. Chwytne, rozszarpujące elementy paszczy, zdolne rozerwać na kawałki całe miasto. Istny arsenał przeznaczony do dekonstrukcji, zwisający z monstrualnego pęcherza wypełnionego próżnią. Skóra pomiędzy jego żebrami została wessana do środka, nadając mu wygląd zagłodzonego potwora.

Moloch majestatycznie przepłynął dalej, nie zważając na krzyczącego w jego cieniu insekta.

– To nic takiego, pani Clarke – odezwał się czyjś głos. – Nie zwróci na nas uwagi.

Mówił po angielsku z hinduskim akcentem. W tle słychać było łagodny pomruk głosów, rozmawiających w różnych językach. Cichy szum urządzeń elektrycznych. Miarowe *kap-kap-kap* przenośnego odsalacza.

W jej polu widzenia pojawiła się wychudzona, brązowa twarz, oscylująca gdzieś pomiędzy wiekiem średnim a matuzalowym. Clarke odwróciła głowę. Inni, lepiej odżywieni uchodźcy otaczali ją nierównym kręgiem. Kątem oka dostrzegała jeszcze niewyraźne, mechaniczne kształty.

Światło dnia. Musiała stracić przytomność. Pamiętała, jak pożywiała się z cyklera późną nocą. Pamiętała, jak wątłe zawieszenie broni w jej żołądku zostało zerwane. Pamiętała, jak upadła na ziemię i wymiotowała kwasową papką na świeży piasek.

A teraz był dzień, a ona została otoczona. Nie zabili jej. Ktoś nawet przyniósł jej płetwy, które leżały teraz na kamieniach u jej boku.

– ...*tupu jicho*... – ktoś szepnął.

– Racja... – Tak dawno się nie odzywała, że jej głos nieco ochrypł. – Moje oczy.

Nie bójcie się, to tylko...Hindus wyciągnął dłoń w kierunku jej twarzy. Clarke z trudem odtoczyła się na bok i natychmiast dostała ataku kaszlu. Przed nią pojawiła się gruszka z wodą, ale kobieta odtrąciła ją dłonią.

– Nie jestem spragniona.

– Przybyłaś z morza. Nie możesz pić morza.

– Mogę. Mam... – Z trudem uniosła się na łokciach i, gdy odwróciła głowę, zobaczyła odsalacz. – Mam taki w klatce piersiowej. Implant. Rozumiesz?

Wychudzony uchodźca pokiwał głową.

– Tak jak twoje oczy. Mechaniczne.

Dość blisko. Była zbyt słaba, by tłumaczyć.

Spojrzała w kierunku morza. Dystans pozbawił podnośnik wszelkich szczegółów, redukując go do niewyraźnego, pękatego kształtu. Widziała, jak wypuścił z brzucha niesione szczątki, wzburzając bezgłośnie szary pióropusz wody na horyzoncie.

– Sprzątają, jak zawsze – zauważył Hindus. – Mamy szczęście, że nie zrzucają śmieci na *nas.*

Clarke znów zaniosła się kaszlem.

– Skąd znasz moje imię?

– GA Clarke. – Postukał palcem w naszywkę na jej ramieniu. – Przy okazji, jestem Amitav.

Jego dłonie i twarz wyglądały niemal jak u szkieletu. A przecież cyklery Calvina pracowały bez ustanku. Powinno wystarczyć dla wszystkich na Pasie. Otaczające ich twarze były szczupłe, ale nie wymizerowane. Nie jak u tego *Amitava*.

Jej uwagę zwrócił odległy dźwięk, ciche wycie dochodzące gdzieś z góry. Clarke usiadła. Pośród chmur można było dostrzec poruszający się cień.

– Rzecz jasna *oni* nas obserwują – powiedział Amitav.

– Kto?

– Twoi ludzie, tak? Pilnują, czy maszyny pracują i obserwują nas. Oczywiście bardziej od czasu fali.

Cień odleciał na południe i ostatecznie zniknął.

Amitav przykucnął na swych kościstych pośladkach i wbił wzrok w głąb lądu.

– Rzecz jasna, nie ma za bardzo takiej potrzeby. Nie jesteśmy osobami, które można by nazwać *aktywistami*. Ale i tak nas obserwują. – Mężczyzna wstał i strzepnął z kolan mokry piasek. – A ty oczywiście będziesz chciała do nich wrócić. Czy twoi ludzie cię szukają?

Clarke wzięła głęboki wdech.

– Ja... – urwała.

Podążyła za jego spojrzeniem przez plątaninę brązowych ciał. Pomiędzy nimi mignęły jej namioty i budy. Ile tysięcy, a nawet milionów, dotarło tu przez lata, kiedy rosnący poziom mórz i rozprzestrzeniające się tereny pustynne wygnały ich z domów? Ilu z nich, wygłodniałych i cierpiących na chorobę morską, wiwatowało ujrzawszy N’Am na horyzoncie, tylko po to, by dać się zepchnąć w stronę oceanu przez mury, strażników i niekończące się tłumy tych, którzy dotarli tu wcześniej?

Kogo obarczyliby winą? Co zrobi milion *nie-mających-niczego*, kiedy jedna z tych, którzy *mają* trafi w ich ręce?

Czy twoi ludzie cię szukają?

Clarke położyła się z powrotem na piasku, nie mając odwagi odezwać się choć słowem.

– Aha – skwitował z rezerwą Amitav, jakby jednak to zrobiła.

Przez wiele dni była niczym automat, maszyna dążąca tylko do jednego celu i stworzona tylko po to, by wrócić na suchy ląd. A teraz, gdy jej się to udało, nie miała śmiałości tu zostać.

Wróciła na dno morza. Nie była to jednak czysta, przejrzysta czerń głębokich wód, brakowało żywych żyrandoli czy drapieżników z latarkami, by rozjaśnić mrok oceanu. Jedyne, obecne tu życie wiło się, pełzało i grzebało w mętnym, zielonym świetle szelfu kontynentalnego. Nawet poniżej fal widoczność ograniczała się do zaledwie kilku metrów.

Lepsze to niż nic.

Dawno nauczyła się spać, pomimo skóry głębinowej, która nie pozwalała jej zamknąć oczu. W otchłani nie stanowiło to problemu – wystarczyło odpłynąć gdzieś daleko, zostawiając za sobą reflektory Beebe, aż wreszcie nakładki przestawały działać. Można było wtedy zapaść w sen w objęciach mroku tak nieprzeniknionego, że żaden lądowiec nie byłby w stanie sobie tego wyobrazić.

Tutaj jednak nie było tak łatwo. Tutaj wodę zawsze rozjaśniało światło, które noc jedynie pozbawiała kolorów. Kiedy wreszcie *udało* jej się znaleźć w jakiejś niespokojnej, mglistej krainie snów, okazało się, że otoczyły ją ponure, żądne zemsty tłumy, zgromadzone tuż na granicy pola widzenia. W dłoniach trzymały to, co znalazły pod ręką – kamienie, sękate maczugi z dryfującego drewna, garoty z drutu i żyłki – i przybliżały się coraz bardziej, płonąc nienawiścią oraz pragnieniem mordu. Clarke wyrwała się gwałtownie ze snu odkrywając, że wciąż znajduje się na dnie oceanu. Tłum zamienił się w wirujące, blaknące z wolna cienie ponad jej głową. Większość z nich była zbyt niewyraźna, by rozpoznać ich kształt, ale raz czy dwa mignęła jej krawędź jakiejś krzywizny.

W nocy, gdy uchodźców nie było w pobliżu stacji żywieniowych, wychodziła na brzeg, by się pożywić. Z początku zawsze trzymała w ręku pałkę gazową, by odegnać każdego, kto stanąłby jej na drodze. Jednak nikt tego nie robił. Po zastanowieniu, w zasadzie nie było to zaskakujące. Mogła jedynie wyobrażać sobie, co widzieli uchodźcy, kiedy spoglądali jej w oczy. Cud technologii fotoamplifikacyjnej? Logiczny wymóg konieczny do życia na dnie oceanu?

Bardziej prawdopodobne, że widzieli potwora, kobietę, której wyłupiono oczy i zastąpiono je kulami zbitego lodu. Jednak bez względu na powody, trzymali się na dystans.

Drugiego dnia była już w stanie utrzymać w żołądku większość z tego, co zjadła. Trzeciego zdała sobie sprawę, że nie jest już głodna. Leżała na dnie i wpatrywała się w rozproszoną, zielonkawą jasność, czując jak w jej kończynach zaczyna pulsować nowa siła.

Tamtej nocy wyszła z oceanu zanim słońce na dobre zniknęło za horyzontem. Pałkę pozostawiła w pochwie przy nodze, zresztą nikt nie stanął jej na drodze, gdy posuwała się w głąb wybrzeża. Przeciwnie, omijali ją jeszcze większym łukiem niż wcześniej, a gwar głosów w językach kantońskim i pendżabi wydawał się brzmieć jeszcze bardziej nerwowo.

Amitav czekał na nią przy cyklerze.

– Mówili, że wrócisz – powiedział. – Nie wspomnieli tylko, że z eskortą.

Eskortą? Mężczyzna spoglądał ponad jej ramieniem, na plażę. Clarke podążyła za jego wzrokiem, gdzie zachodzące słońce tworzyło rozproszoną, ognistą plamę na...

O Jezu.

Płetwy grzbietowe w kształcie półksiężyca rozcięły przybrzeżną falę. Na krótką chwilę z wody wyłonił się szary pysk, podobny do niewielkiej

łodzi podwodnej z zębami.

– Kiedyś niemalże wyginęły, wiesz? – oznajmił Amitav. – Ale wróciły. Przynajmniej tutaj.

Drżąc, Clarke wzięła głęboki oddech. Jej ciałem wstrząsnął nagły przypływ adrenaliny. Było za późno na reakcję, poza przerażeniem po fakcie.

Jak blisko podpłynęły? Ile razy byłam...?

– Więc to takich masz przyjaciół – zauważył uchodźca.

– Ja nie... – Oczywiście, Amitav wiedział, że nie wiedziała. Skierowała się w stronę cyklera, odwracając się do mężczyzny plecami.

– Słyszałem, że wciąż tu jesteś – dobiegł ją jego głos. – Nie wierzyłem.

Nacisnęła guzik na szczycie cyklera. Z jego wnętrza wypadł do rynienki blok proteinowy. Wyciągnęła po niego rękę, ale zatrzymała ją i zacisnęła dłoń, by powstrzymać drżenie.

– To przez jedzenie? Wielu z tu obecnych je lubi. I to bardziej niż powinni.

Jej dłoń znieruchomiała. Clarke wzięła blok.

– Boisz się – stwierdził Amitav.

Kobieta spojrzała w stronę oceanu. Rekiny zniknęły.

– Nie ich. Nas.

Odwzajemniła jego spojrzenie.

– Doprawdy?

Po jego twarzy przemknął uśmiech.

– Jest pani bezpieczna, pani Clarke. Nie skrzywdzą cię. – Mężczyzna zatoczył łuk swą kościstą ręką, wskazując na swych pobratymców. – Czy, gdyby chcieli, nie zrobiliby tego, kiedy byłaś nieprzytomna? Czy przynajmniej nie zabraliby ci tej broni przy nodze?

Clarke dotknęła pochwy przy łydce.

– To nie broń.

Najwyraźniej nie zamierzał się z nią kłócić. Rozejrzał się z uśmiechem na swej wymizerowanej twarzy.

– Czy głodują? Myślisz, że rozerwaliby cię na strzępy dla mięsa na twych kościach?

Clarke przeżuła, przełknęła i potoczyła wzrokiem naokoło. Tyle twarzy. Na niektórych malowała się ciekawość, na innych niemalże podziw przemieszany z bojaźnią. *Oto kobieta-zombie, która pływa z rekinami.*

Żadnych wyraźnych oznak nienawiści.

To nie ma sensu. Nie mają niczego. Jak więc mogą nie *nienawidzić?*

– Widzisz – odezwał się Amitav. – Oni nie są tacy, jak ty. Są zadowoleni. Ulegli – splunął.

Clarke przyjrzała się jego kościstej twarzy, zapadniętym oczom. Zauważyła tlące się tam węgle, głęboko na dnie oczodołów, niemal zupełnie ukryte. Zobaczyła szyderstwo, którym podszyty był jego uśmiech.

To właśnie była twarz, która pojawiała się w jej snach, tysiąckrotnie pomnożona.

– Nie są też tacy, jak ty – powiedziała wreszcie.

Amitav przyznał jej rację, kiwając lekko głową.

– Niestety.

I nagle w jego twarzy powstał świetlisty otwór.

Clarke cofnęła się o krok, zaskoczona.

Otwór rozszerzał się wzdłuż linii wybrzeża, emanując światłem. Przekręciła głowę, ale plama jasności poruszyła się razem z nią, pozostając w samym centrum jej pola widzenia.

– Pani Clarke...

Na dźwięk głosu Amitava, zwróciła się w jego stronę. Pośród poświaty, która nagle częściowo pozbawiła ją wzroku, widziała tylko bezcielesną rękę

mężczyzny. Chwyciła ją i przyciągnęła go bliżej.

– Co to takiego? – syknęła. – Co...

– Pani Clarke, czy wszystko...

Światło zaczęło zlewać się w jedną plamę. Obrazy. Podwórko. Sypialnia.

Jakaś szkolna wycieczka. Do wielkiego, rozległego muzeum, oglądanego oczami dziecka.

Nie pamiętam niczego takiego, pomyślała.

Puściła dłoń Amitava i zrobiła chwiejny krok do tyłu.

Hindus pomachał ręką przez lukę w jej polu widzenia. Pstryknął palcami tuż przed jej nosem.

– Pani Clarke...

Światło zamigotało i zgasło. Clarke stała jak wryta, oddychając szybko i płytko.

– Myślę, że... nie – powiedziała w końcu, nieco się rozluźniając.

Amitav. Pas. Niebo. Żadnych wizji.

– Wszystko w porządku. Już wszystko w porządku.

U jej stóp, oblepiony mokrym piaskiem, leżał na wpół zjedzony blok odżywczy. Dość nieprzytomnie podniosła go z ziemi. *Może to coś w jedzeniu?*

Ze wszystkich stron otaczał ją milczący tłum, nie spuszczający z niej oka.

Amitav pochylił się do przodu.

– Pani Clarke...

– To nic takiego – odpowiedziała. – Po prostu... zobaczyłam pewne rzeczy. Z dzieciństwa.

– Z dzieciństwa... – powtórzył Amitav i pokręcił głową.

– Tak.

Tyle, że czyjegoś.

Mapy i legendy

Perreault nie miała pojęcia, dlaczego miałoby to być dla niej aż tak ważne. Niemal równie ważne było nie myśleć o tym zbyt dużo.

Nie istniała w zasadzie żadna bariera językowa. Na Pasie w powszechnym użyciu było ze sto różnych języków i pewnie z dziesięć razy tyle dialektów. Algorytmy tłumaczące radziły sobie z większością z nich. Muchoboty zazwyczaj *się widziało*, a niekoniecznie słyszało, lecz miejscowi wydawali się jedynie lekko zaskoczeni, kiedy maszyny przemówiły do nich głosem Sou-Hon Perreault. Ogromne, metalowe owady stawały się jedynie częścią tła dla każdego, kto przebywał na Pasie dłużej niż dzień czy dwa.

Większość uchodźców nie potrafiła odpowiedzieć jej na pytanie o dziwną kobietę w czerni, która wyszła z morza. Musiał to być niezwykły widok, o tak – niemalże mityczny. Z pewnością zapamiętalibyśmy podobne zjawisko, gdyby dane nam było je oglądać. Przykro nam. Nie.

Pewna nastolatka o oczach kobiety w średnim wieku, mówiąca w dziwnej odmianie assamskiego, do którego system nie został właściwie zaprogramowany, wspomniała o kimś zwanym Gangą, kto wyruszył śladem uchodźców przez ocean. Słyszała też, że ta *Ganga* wyszła ostatnio na ląd. Nic więcej. W tłumaczeniu mogły pojawić się pewne nieścisłości.

Perreault rozszerzyła strefę aktywnych poszukiwań do stu kilometrów. Pod jej spojrzeniem, ludność powoli przemieszczała się na północ, w miarę jak osuszano kolejne połacie granicy. Co jakiś czas kilku bardziej bezmyślnych uchodźców postanawiało ochłodzić się pośród fal przyboju. Natychmiast zjawiała się tam masa niewybrednych rekinów i rozpoczynała

igraszki. Perreault podwyższyła progi graniczne sygnałów sensorycznych. Czerwona woda zblakła do nierozpraszających uwagi odcieni szarości. Krzyki zamieniły się w szept. Mimowolnie stwierdziła, że natura powoli powróciła do stanu równowagi.

Kontynuowała przesłuchania. Przepraszam. Kobieta z dziwnymi oczami? Być może ranna?

W końcu zaczęły docierać do niej pogłoski.

Pół dnia drogi na południe – biała kobieta ubrana cała na czarno. Niektórzy twierdzili, że to nurek wyrzucony na brzeg przez tsunami, że woda wymyła ją z farmy krasnorostów albo może z podwodnego hotelu.

Dziesięć kilometrów na północ – hebanowa istota nawiedziła Pas, nie odzywając się ani słowem.

W tym miejscu dwa dni temu – oszalały płaz o pustych oczach, w którego każdym ruchu kryła się przemoc. Widziały ją całe setki, ale wszyscy postanowili trzymać się od niej z daleka. Wreszcie chwiejnym krokiem wróciła do Pacyfiku, krzycząc.

Szukasz tej kobiety? Jest jedną z was?

Prawie na pewno. W spisie osób zaginionych roiło się od robotników morskich, z którymi kontakt urwał się po trzęsieniu ziemi. Wszyscy pracowali jednak na powierzchni albo szelfie kontynentalnym. Kobieta, którą widziała Perreault, została przystosowana do otchłani. Nie zgłoszono jednak zaginięcia nikogo z głębin, potwierdzono jedynie śmierć sześciu osób z jednej ze stacji geotermalnych N’AmPac, kilkaset kilometrów od wybrzeża. Poza tym żadnych szczegółów.

Kobieta z maszynerią w swym wnętrzu miała na ramieniu naszywkę GA. Może więc śmierć poniosło jedynie pięć osób. A jedna z nich przeżyła i jakimś cudem pokonała trzysta kilometrów otwartego oceanu.

Przeżyła i z jakiegoś powodu nie chciała, by ją odnaleziono.

Pogłoski rozprzestrzeniały się. Nie mówiły już o nurku z farmy krasnorostów. Teraz opowiadały o syrenie. Awatarze Kali. Niektórzy twierdzili, że mówiła w różnych językach, inni, że jedynie po angielsku. Pojawiały się też historie o sprzeczkach i przemocy. Syrena narobiła sobie wrogów. Syrena nawiązała przyjaźnie. Syrena została zaatakowana i zostawiła napastników na wybrzeżu w kawałkach. Perreault uśmiechnęła się sceptycznie. Byle ślimak byłby bardziej skłonny do agresji niż mieszkaniec Pasa.

Syrena czaiła się w zanieczyszczonych wodach przybrzeżnych. Miała rekiny na swych usługach. W nocy wychodziła na ląd i porywała dzieci, by nakarmić nimi swych pupili. Ktoś przepowiedział jej przyjście, a może tylko je rozpoznał. Prorok, mawiali niektórzy. A może po prostu człowiek niemal tak samo szalony, jak kobieta, o której opowiadał. Nazywał się *Amitav*.

Z jakiegoś powodu żadnego z tych wydarzeń nie zauważyły miejscowe muchoboty. Ten fakt nakazał Perreault odrzucić dziewięćdziesiąt procent z nich. Zaczęła zastanawiać się, na ile jej pytania są wodą na młyn opowieści o syrenie. Czytała kiedyś, że po przekroczeniu pewnego progu informacje rozprzestrzeniają się samorzutnie.

Dziewięć dni po tym, jak Perreault zobaczyła kobietę w czerni po raz pierwszy, pewna Indonezyjka, matka czworga dzieci, twierdziła, że syrena, w pełni uformowana, wyłoniła się z samego epicentrum trzęsienia ziemi.

Słysząc to, jeden z jej synów powiedział, że *on* słyszał, że było dokładnie na odwrót.

Korp

Rzecz jasna, nie było to nic wielkiego. Według statystyk ktoś umierał co pół sekundy. Niektórzy więc *musieli* zginąć w czasie jego zmiany. No i co z tego? Co dzień, na każdą osobę, którą Achilles Desjardins zabijał, przypadało dziesięć, które ratował. Ktoś, kto chciałby narzekać na takie proporcje, mógł iść się jebać.

W zasadzie, w tym momencie, było to coś, co *sam* chętnie by zrobił. Gdyby tylko klientela nie była tak cholernie dwudziestowieczna.

Rdzeń w Pickering był walcem we wnętrzu kostki, zatopionej na pięćdziesiąt metrów w wyerodowanym granicie Tarczy Kanadyjskiej. Sześcian zbudowano jako składowisko odpadów radioaktywnych, tuż przed tym, jak wieczna zmarzlina zaczęła topnieć. Protesty lokalnej ludności oraz rozprzestrzenianie się cywilizacji na północ sprawiły, że nie dane mu było pełnić dłużej tej funkcji. Stał się jednak idealnym miejscem na podziemną knajpę. Rdzeń zbudowano we wnętrzu przezroczystej, trzypiętrowej rury z akrylu, zawieszonej w głównej komorze. Wolną przestrzeń zalano wodą i zapełniono świetlikami, naśladującymi kobaltowy blask, jakim emanują zużyte pręty paliwowe. Wokół latały opalizujące motyle, a ich skrzydła odbijały dane tam i z powrotem, w postaci drobniutkich iskier. Na stolikach stały nieduże akwaria, po ściankach których wspinały się maleńkie drzewołazy, o skórze pokrytej połyskującymi puzzlami w kolorach szmaragdu, rubinu i ropy naftowej.

Było bardzo spokojnie. Rdzeń stanowił zatopiony w wodzie zbiornik, chłodną, zieloną grotę. Desjardins zapadał się w jej głębi za każdym razem, gdy potrzebował podnieść się na duchu. Siedział teraz przy okrągłym barze

na drugim poziomie i zastanawiał się jak uniknąć seksu z kobietą u jego boku.

Wiedział, że ten temat w końcu wypłynie. Nie dlatego, że był jakoś szczególnie przystojny, bo nie był. Nie dlatego, że przez nazwisko ludzie brali go za *Quebecois'a*, którym kiedyś był. Nie, znalazł się na celowniku tego mrocznego, długonogiego Rorschacha, Gwen, jak mu się przedstawiła, bo przyznał się, że jest prawołamaczem, a ona uznała, że to „fajne". Nie wyglądało na to, by rozpoznała go z czasów jego chwilowej sławy w mediach. To było prawie dwa lata temu, a w dzisiejszych czasach ludzie mieli problemy z zapamiętaniem, co jedli na kolację poprzedniego dnia. Nie miało to znaczenia. Achilles Desjardins zyskał sobie fankę.

Nie sposób też było nie zauważyć, że była to całkiem *niebrzydka* fanka. Po trzydziestu sekundach rozmowy zaczął zastanawiać się, jak wyglądałaby wypięta na otomanie w jego salonie. *Kolejne* trzydzieści sekund później stworzył sobie w umyśle całkiem niezły szkic koncepcyjny. Pożądał jej, owszem, tyle że nie pożądał *jej*.

Co dziwne, kobieta ubrana była jak jeden z tych głębinowych cyborgów z N'AmPac.

Przebranie działało na wyobraźnię, choć było nieco tandetne. Czarny trykot z lycry przylegał do całego ciała aż po palce stóp, szyję i opuszki dłoni. Ozdobiony został dodatkami, które udawały urządzenia kontrolne kombinezonu i wybrzuszeniami w miejscach, gdzie powinny znajdować się implanty. Miał nawet naszywkę identyfikacyjną z logo Grid Authority na ramieniu. Tylko z oczami trochę nie wyszło. Prawdziwi ryfterzy nosili nakładki rogówkowe, zamieniające ich oczy w pozbawione wyrazu, białe kule. Gwen natomiast miała jakieś przezroczyste, nadwymiarowe soczewki. Dość dobrze zakrywały tęczówki, ale wnioskując po tym, jak kobieta

musiała pochylać się, by na niego spojrzeć, miały pewne braki w zakresie fotoamplifikacji.

Miała jednak świetne kości policzkowe, szerokie usta i wargi tak ostro zarysowane, że można było skaleczyć się o ich krawędź. Jej towarzystwo w miejscu publicznym było wszystkim, czego potrzebował. Miał dość czasu, by poznać dokładnie jej rysy, wchłonąć zapach i zapisać ją sobie w pamięci. Może nawet się z nią zaprzyjaźnić. To byłoby aż nadto. Luki mógł wypełnić sam, później. Albo je usunąć.

– Nie mogę uwierzyć, jak wieloma rzeczami musisz się zajmować – powiedziała. Na jej twarzy migotała chybotliwa siateczka podwodnego światła. – Epidemie, plagi, awarie systemów. A wszystko to na twojej głowie.

– Nie *tylko* na mojej. Jest nas kilku.

– Mimo wszystko. Decydowanie o życiu i śmierci. Wyczucie właściwego momentu... – Dotknęła dłonią jego przedramienia, to było jak muśnięcie skrzydeł czarnej ćmy. – Jedno złe posunięcie i giną ludzie.

– Czasem giną też przy dobrym.

W przeszłości spotkał już wiele takich Gwen. Jak każdą samicę ssaka, reprezentującą strategię selekcji typu K, pociągali ją osobnicy będący w posiadaniu zasobów, a dokładniej rzecz biorąc, w przypadku rodzaju *Homo*, władzy. Zapewne zakładała, że on musi mieć jej chociaż trochę, choćby i w ograniczonym stopniu, skoro kiedy tylko zechce może odłączyć całe miasto od sieci.

To częsty błąd wśród reprezentantek selekcji K. Desjardins na ogół nie spieszył się zbytnio z wyprowadzeniem ich z błędu.

Kobieta wzięła plaster z pobliskiej tacki i spojrzała pytająco na Desjardinsa. Ten potrząsnął głową. Musiał uważać na to, jaką chemią rozrywkową się faszerował. Za dużo było potencjalnych interakcji z

substancjami, które, z racji wykonywanego zawodu, już krążyły w jego żyłach. Gwen wzruszyła ramionami i przykleiła sobie plaster za uchem.

– Jak sobie radzisz z odpowiedzialnością? – drążyła temat. – Cholera, jak to się stało, że w ogóle *obarczono* cię taką odpowiedzialnością? – Odsunęła swojego drinka. – Wszystkie te korpy, królowie i decydenci nie potrafią nawet dojść do porozumienia, na jaki kolor pomalować łazienki w siedzibie ORZ-etu. Dlaczego, w takim razie, wszyscy zgodzili się dać boskie moce właśnie *tobie*? Jesteś jakiś nieomylny, czy co?

– A gdzie tam. – Przez jego korę mózgową przemknęła niepożądana myśl: *Ciekawe, ilu ludzi dziś zabiłem.* – Po prostu... robię, co w mojej mocy.

– No dobra, ale w jaki sposób jesteś ich w stanie o *tym* przekonać? Co miałoby powstrzymać cię przed spowodowaniem wypadku lotniczego, gdybyś chciał odegrać się na swoim szefie? Skąd mają wiedzieć, że nie wykorzystasz tej władzy, by się wzbogacić albo by pomóc swoim kumplom, albo żeby zniszczyć korporację, bo nie podoba ci się jej polityka? Co trzyma cię w ryzach?

Desjardins pokręcił głową.

– I tak byś nie uwierzyła.

– Zakład, że zgadnę.

– No to zgaduj.

– Moralniak, prawda? I Rozgrzeszenie?

Zaśmiał się, by ukryć zaskoczenie.

Gwen zawtórowała mu, po czym sięgnęła do najbliższego terrarium i pogłaskała jedną z ropuch (zmodyfikowano je, by wydzielały przez skórę łagodne substancje psychoaktywne). Gdy skończyła, jej łokieć zaczął nagle stykać się z jego. Odegnała dwa motyle, obwąchujące ją w poszukiwaniu oznak nielegalnych odchyleń od normy.

– Nie cierpię tych rzeczy.

– No cóż, nie da się ukryć, że *faktycznie* trochę mieszasz różne związki chemiczne. Kiepsko wpłynęłoby na atmosferę, gdybyś zarzygała cały bar.

– Aleś ty praworządny. – Potarła kciukiem o palec wskazujący, by wetrzeć sobie w skórę wydzielinę płaza. – Nie wspominając już o tym, że unikasz tematu.

– Jakiego tematu?

– Moralniak, pamiętasz? – Nachyliła się bliżej. – Ja słyszałam swoje, ty słyszysz swoje. To jakiś retrowirus, prawda? Zmusza cię do dobrego zachowania, działając z pnia mózgu.

Zgadywała. Nie miała pojęcia o chemii winy. Gdyby powiedzieć jej o interakcji między GSH a pęcherzykami synaptycznymi, pewnie odpowiedziałaby pustym spojrzeniem. Nie miała pojęcia o podrasowywaniu *toksoplazmy* ani o małych glutach odwrotnej transkryptazy, które nakręcały całą imprezę. Nie miała o tym pojęcia, a nawet gdyby *miała*, to i tak by nie miała. Nie można było mieć o tym pojęcia, dopóki nie poczuło się tego na własnej skórze.

Wiedziała tylko, że to *retrowirus*, a i tego nie była pewna.

– Nie – odpowiedział. – Nie masz racji. Przykro mi. – Nawet nie kłamał. Wirus był jedynie nosicielem.

Kobieta przewróciła oczami.

– *Wiedziałam*, że mi nie powiesz. Oni *nig*... Wiedziałam.

– Skąd ten strój nurka? – Zmiana tematu nagle wydała mu się dobrym pomysłem.

– Szał na ryfterów. – Kącik jej ust uniósł się w półuśmiechu. – Solidarność przez modę.

– Czyli co, ryfterzy to teraz kwestia polityczna?

Gwen jakby nieco się ożywiła.

– Musisz pamiętać. Nie możesz przecież spędzać *całego* swojego czasu na ratowaniu świata.

I nie spędzał. Rzeczywiście kilka miesięcy temu *wybuchł* skandal po tym, jak jakiemuś wścibskiemu dziennikarzowi udało się przeszmuglować swój materiał przez cenzurę N'AmWire. Okazało się, że GA werbowało ofiary kazirodztwa i weteranów wojennych, by ci obsługiwali ich głębokomorskie stacje geotermalne. Powodem była teoria, że najlepiej przystosowane do chronicznego stresu, wywoływanego przez to środowisko, były osoby (jak to ujęli PR-owcy?) *uwarunkowane* od dzieciństwa. Natychmiast ze strony oburzonej ludności podniosła się fala protestów, począwszy od *jak śmiecie wykorzystywać ofiary społeczne dla kilku megawatów,* po *jak śmiecie przekazywać kontrolę nad siecią energetyczną w ręce psycholi i straumatyzowanych wariatów*.

Przez jakiś czas była z tego niezła afera. Ale potem na Pasie wybuchła epidemia nowej odmiany końskiego zapalenia mózgu, a komuś udało się odnaleźć jej ognisko w wadliwej partii środków antykoncepcyjnych dodanych do cyklerów. No a teraz, jako że nikt nie pozbierał się jeszcze po trzęsieniu ziemi, zapomniano w większości o ryfterach i ich problemach.

A przynajmniej tak mu się do tej pory wydawało. Jednak teraz u jego boku siedziała ta kobieta, a niezależnie od tego, z jakiego źródła zaczerpnęła pomysł na swoją stylizację...

– Słuchaj – zaczęła. – Założę się, że ciągła walka z siłami entropii musi być męcząca. Może zrobisz sobie przerwę i *poddasz się* dla odmiany drugiemu prawu termodynamiki?

– Entropia nie jest siłą. To częsty błąd.

– Przestań tyle gadać. Mają tu na dole pokoje do wynajęcia. Zapłacę za pierwszą godzinę.

Desjardins westchnął.

– O co chodzi? – spytała Gwen. – Nie mów, że nie jesteś zainteresowany. Twoje tętno podskoczyło, kiedy tylko się pojawiłam. – Wskazała dłonią na jedno z akcesoriów przy jej stroju. Zorientował się poniewczasie, że to odbiornik biotelemetryczny.

Wzruszył ramionami.

– To prawda.

– Więc w czym problem? Nie wziąłeś dzisiaj tabletek? Jestem czysta. – Pokazała mu tatuaże po wewnętrznej stronie nadgarstka – zaszczepiła się przeciwko całemu arsenałowi chorób.

– W zasadzie to... nieczęsto wychodzę z domu.

– Nie pierdol. Chodź. – Zdecydowanym ruchem położyła mu rękę na ramieniu.

– Z dwóch powodów – odezwał się kobiecy głos za jego plecami. – Zgaduję, że obecny tu Killjoy zamierza dać ci kosza. Nie bierz tego do siebie.

Desjardins na chwilę zamknął oczy.

– Wydawało mi się, że nie bywasz w takich miejscach.

Za nimi pojawiła się chuda Filipinka mierząca metr siedemdziesiąt. Jej przybycie zwiastowało kłopoty.

– Jestem Alice – przedstawiła się nowoprzybyła.

– Gwen.

– Powód numer jeden – podjęła Jovellanos – jest taki, że właśnie go wezwano.

– Chyba sobie żartujesz – odezwał się Desjardins. – Przecież dopiero co *skończyłem*.

– Przykro mi. Chcą cię widzieć z powrotem za jakieś, niech zobaczę... – Jovellanos rzuciła okiem na swój nadgarstek – ...siedem minut. Jakiś korp nawet przyleciał z N’AmPac, żeby zobaczyć się z tobą osobiście. Możesz

sobie wyobrazić, jak się wkurzyli, kiedy zorientowali się, że wyłączyłeś zegarek.

– Minęła już godzina policyjna. Staram się być dobrym obywatelem.

Rzecz jasna, była to totalna bzdura. Prawołamaczy nie obowiązywały podobne ograniczenia. Czasami Desjardins zwyczajnie nie chciał, żeby go znaleziono.

Najwyraźniej były to płonne nadzieje. Odepchnął się od baru i wstał, rozkładając ręce w geście kapitulacji.

– Przepraszam. Ale miło było cię poznać.

– A powód numer dwa? – Gwen zwróciła się do Jovellanos, kompletnie go ignorując.

– Ach, tak. Obecny tu Killjoy nie pieprzy się z *prawdziwymi* ludźmi. Uważa, że byłby to brak szacunku z jego strony. – Jovellanos pochyliła głowę w jego kierunku i nieznacznie nią skinęła. – Oczywiście nie oznacza to, że brak mu pewnych instynktów. Założę się, że od chwili, kiedy usiadłaś, tworzy sobie twoje obrazy stereoskopowe.

Gwen rzuciła mu na wpół pytające, na wpół rozbawione spojrzenie. Desjardins wzruszył ramionami.

– Wymażę je, jeśli masz coś przeciwko. I tak zamierzałem cię o to zapytać.

Potrząsnęła głową, a przez jej twarz znów przemknął ten ponętny półuśmiech.

– Baw się dobrze. Może dzięki temu po jakimś czasie nabierzesz ochoty na zabawę w realu.

– Miejmy nadzieję, że nie – wtrąciła Jovellanos. – Raczej nie spodobałyby ci się jego preferencje.

Komórka Reagowania na Awarie Systemów Złożonych - słowa te wisiały w tylnej części lobby niczym świecący języczek, niczym próżne i

biurokratyczne żądanie szacunku. Rzecz jasna, nikt nie zawracał sobie głowy wymawianiem ich na głos, nawet mało kto skracał je do KRASZ, co w pełni zadowoliłoby korpy. Nic z tego.

Pogromcy Entropii. Ta nazwa się przyjęła. Niemal można było sobie wyobrazić mundury oficerów kosmicznych. Desjardins zawsze uważał, że ratowanie świata powinno być traktowane z nieco większą dozą szacunku.

– Dlaczego jesteś dziś taką *enculé*? – mruknął, gdy wsiedli do windy.

Jovellanos zamrugała kilka razy.

– Słucham?

– Ta cała scena w barze.

– Nie wierzysz w prawdę w reklamie? Przecież i tak nie ukrywasz żadnej z tych rzeczy. W większości przypadków.

– Lubię jednak kontrolować przepływ informacji. Jezu. – Wcisnął guzik *Admin-6*. – Masz chujowe wyczucie czasu.

– Mam świetne wyczucie czasu. Killjoy, oni chcą widzieć cię na górze *natychmiast*. Nie wydaje mi się, żebym wcześniej widziała Lertzmana tak bardzo w coś *zaangażowanego*. Gdybym miała czekać, aż skończysz swój taniec antygodowy, pokrywa lodowa zdążyłaby się roztopić, a my nadal nie wyszlibyśmy z Rdzenia. Poza tym, masz straszny problem z mówieniem nie. Możliwe, że ostatecznie stuknąłbyś ją tylko po to, żeby nie zranić jej uczuć.

– Nie wydaje mi się, by jej uczucia były takie delikatne.

– I co z tego? Twoje są.

Drzwi otworzyły się. Desjardins wyszedł z kabiny, natomiast Jovellanos nie ruszyła się z miejsca.

Spojrzał na nią z lekkim zniecierpliwieniem.

– Wydawało mi się, że musimy się spieszyć.

Kobieta potrząsnęła głową.

– *Ty* musisz. Ja nie dostałam pozwolenia. Miałam cię tylko przyprowadzić.

– Co?

– Tylko ty.

– To jakieś bzdury, Alice.

– Mają tam całkiem niezłą paranoję, Killjoy. Mówiłam ci. *Zaangażowany*.

Drzwi zamknęły się.

Włożył palec do wnętrza posokowca i skrzywił się czując krótkotrwały, kłujący ból. Fizyczna próbka. W dzisiejszych czasach nie ufano już nawet zdalnym specyfikacjom.

Po chwili na ścianie pojawiły się trzy kolumny podsumowania. Po lewej profil: grupa krwi, pH, poziom gazów. Po prawej uszczegółowiona lista: trombocyty, fibrynogen, erytrocyty i leukocyty, przeciwciała i hormony. Związki obecne w jego krwi, a pochodzące z natury.

Po środku jeszcze jedna lista, nieco krótsza: związki pochodzące od KRASZ-u.

Desjardins do pewnego stopnia nauczył się je odczytywać. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Rzecz jasna, miło było dostać niezależne potwierdzenie – drzwi przed nim otworzyły się, a żadne inne nie zamknęły się na głucho.

Wszedł do sali posiedzeń.

Przy odległym końcu stołu konferencyjnego zasiadały trzy osoby. Lertzman zajmował swoje zwyczajowe miejsce u jego szczytu. Po jego lewej stronie siedziała niska blondynka, której Desjardins nigdy wcześniej nie widział. Oczywiście, o niczym to jeszcze nie świadczyło. Nie znał większości ludzi z zarządu. Na lewo od niej siedziała jeszcze jedna kobieta. Również obca. Nieznajoma obdarzyła go spojrzeniem bardzo dosłownie

błyszczących oczu – miała taktyczne szkła kontaktowe. Jej obecność w tym pomieszczeniu była jedynie częściowa. Resztę uwagi poświęcała czemuś, co serwowały jej soczewki. Przy krawędziach ust i wokół oczu widać było delikatne linie zmarszczek, a prawa powieka zaczynała łagodnie opadać. Poza tym jednak jej twarz przypominała bladą, pozbawioną wyrazu maskę o kaukazjatyckich rysach. Ciemne włosy siwiały w okolicach skroni, a proces wydawał się postępować nieznacznie, w miarę, jak Desjardins na nią patrzył.

Korp z N'AmPac. To musi być ona.

Lertzman wstał z miejsca wyraźnie zniecierpliwiony. Blondynka podążyła za jego przykładem, w połowie drogi spojrzała jednak na kobietę z N'AmPac. Ta się nie podniosła. Blondynka zawahała się, zachwiała i usiadła z powrotem. Lertzman odchrząknął i również zajął miejsce, gestem wskazując Desjardinsowi krzesło naprzeciwko dwóch kobiet.

– To jest Patricia Rowan – powiedział. Po chwili, gdy stało się jasne, że nikt nie zamierza przedstawić blondynki, głos zabrał Desjardins.

– Przepraszam, że musieliście państwo na mnie czekać.

– Ależ przeciwnie – przemówiła łagodnym głosem Rowan. Pobrzmiewało w nim zmęczenie. – To ja przepraszam, że ściągnęliśmy tu pana w czasie wolnym od pracy. Niestety, będę w mieście jedynie przez kilka godzin. – Wklepała kilka komend za pośrednictwem panelu kontrolnego, znajdującego się na stole przed nią. Przez powierzchnię jej oczu przemknęły maleńkie światełka. – Ach tak. Słynny Achilles Desjardins. Zbawca Śródziemnego.

– Jedynie sprawdziłem statystyki – wyjaśnił. – A oni jedynie odsunęli to, co nieuniknione na kilka miesięcy.

– Proszę nie mieć o sobie tak niskiego mniemania – skwitowała kobieta. – Średni czas rozwiązania problemu: 36,8 minuty. To doskonały wynik.

Desjardins przyjął komplement skinieniem głowy.

– Metabaza – ciągnęła Rowan. – Epidemie. Rozprzestrzeniające się szybko katastrofy. Prędkość ruchu. A nawet, zapominając na chwilę o obszarach śródziemnomorskich, powiedziano mi, że pańskie przewidywania były *bardzo* pomocne przy utrzymaniu Prądu Zatokowego. Oczywiście w Wirze jest już kilku lepszych od pana, ale pan ma nad nimi przewagę, jeśli chodzi o bioizolację, ekonomikę, ekologię przemysłową...

Desjardins uśmiechnął się do siebie. Typowe, przestarzałe myślenie. Naprawdę wydawało się jej, że odznacza kolejne punkty na liście *różnych* przedmiotów.

– W każdym razie – kontynuowała – wydaje się pan najlepszym kandydatem do zadania, o którym myślimy. Zdejmiemy pana z normalnego cyklu i przydzielimy do specjalnego projektu, oczywiście, o ile dostaniemy na to zgodę doktora Lertzmana.

– Myślę, że poradzimy sobie jakoś bez niego – odparł Lertzman, skwapliwie korzystając z pozornego przywileju, zupełnie jakby jego zdanie istotnie miało jakieś znaczenie. – Właściwie po tym, co wydarzyło się dzisiaj, spodziewałbym się, że Achilles wręcz *chętnie* pożegna się z Wirem na jakiś czas.

Enculé. Podobne odczucia stawały się niemal odruchem, kiedy chodziło o Lertzmana.

Znów odezwała się Rowan:

– Mamy pewien przypadek biologiczny i zależy nam, żeby miał pan na niego oko. Wygląda na to, że jest to jakiś nowy drobnoustrój glebowy. Póki co ma stosunkowo niewielki wpływ na cokolwiek, właściwie jest niemal zupełnie bez znaczenia, ale jego potencjalne możliwości są, cóż... – Kiwnęła głową w kierunku blondynki po swej prawej stronie, a ta jak na

komendę wystukała coś na swym zegarku. – Jeśli zechce pan udostępnić się na przesył danych...

Desjardins wklepał odpowiednią komendę na własnym urządzeniu. Na krótką chwilę w jego polu widzenia pojawiły się protokoły transferu.

– Dokładne statystyki będzie pan mógł prześledzić sobie później – powiedziała blondynka. – W skrócie, szuka pan przypadków zakwaszenia substratu na małą skalę, zmniejszonej ilości występowania chlorofilu α, może pewnych zmian w ksantofilach...

Nauka. Nic dziwnego, że nikt nie zawracał sobie głowy przedstawianiem jej.

– ...może też zmniejszyć się poziom wilgotności gleby, ale nie jesteśmy jeszcze tego pewni. Prawdopodobny spadek występowania Bt oraz związanej z nimi mikroflory. Podejrzewamy też, że na rozprzestrzenianie się tego zjawiska decydujący wpływ będzie miała temperatura. Pańskim zadaniem jest stworzyć profil diagnostyczny, coś, co będziemy mogli wykorzystać, by wyeliminować tego wirusa na odległość.

– Wygląda mi to na trochę zbyt długoterminowe zadanie jak na mój zestaw umiejętności – zauważył Desjardins. *Nie wspominając już, że cholernie nudne.* – Jestem o wiele lepiej przystosowany do poważnych sytuacji kryzysowych.

Rowan zignorowała aluzję.

– To żaden problem. Wybraliśmy pana ze względu na biegłość w rozpoznawaniu wzorców, a nie odruchy związane z rozprzestrzeniającymi się szybko katastrofami.

– W porządku – Desjardins westchnął w duchu. – Co z sygnaturą?

– Słucham?

– Skoro mówimy o zmniejszonej ilości chlorofili, zakładam, że konwencjonalna synteza została czymś zastąpiona. Czym? Mam szukać

jakichś nowych barwników?

– Nie mamy jeszcze sygnatury – odparła kobieta. – Byłoby wspaniale, gdyby udało się panu ją opracować, ale nie pokładamy w tym większych nadziei.

– Bez przesady. Wszystko ma swoją sygnaturę.

– To prawda. Bezpośrednia sygnatura może jednak nie być widoczna na odległość, dopóki wirus nie osiągnie stężenia epidemiologicznego. Chcemy złapać go, zanim to nastąpi. Pośrednie wskaźniki są prawdopodobnie najlepszym, na czym może pan się oprzeć.

– Mimo wszystko chciałbym zobaczyć dane laboratoryjne. Hodowlę, rzecz jasna, również. – Postanowił zaryzykować: – Alice Jovellanos bardzo by mi w tym pomogła. Ma wykształcenie biochemiczne.

– Alice nie dostała jeszcze zastrzyków... – zaczął Lertzman.

Rowan zręcznie weszła mu w słowo:

– Ależ oczywiście, doktorze Desjardins. Może pan korzystać z pomocy każdego, kto pana zdaniem może okazać się przydatny. Proszę jednak pamiętać, że kategorie bezpieczeństwa mogą ulec zmianie. Rzecz jasna, przynajmniej częściowo ze względu na pana wyniki.

– Dziękuję. Co z hodowlą?

– Zrobimy, co w naszej mocy. Z oczywistych powodów mogą pojawić się pewne obawy odnośnie wypuszczenia żywej próbki.

Uhm.

– Proszę rozpocząć poszukiwania wzdłuż wybrzeża N’AmPac. Podejrzewamy, że ten wirus ogranicza się jedynie do północno-zachodnich rejonów Pacyfiku. Najprawdopodobniej pomiędzy Hongcouver a Coos Bay.

– Na razie.

– Mamy nadzieję, że dzięki pańskiej pomocy nie ulegnie to zmianie.

Widział już kiedyś coś podobnego. Kolejny wirus wymknął się spod kontroli jakiegoś koncernu farmaceutycznego. Trzęsienie ziemi otworzyło gdzieś istną wylęgarnię, a gdzieś indziej, w sali posiedzeń pobiły się do nieprzytomności rywalizujące ze sobą siły tajemnicy biznesowej i rolniczego Armagedonu, zaś ze zgliszczy, dla kogokolwiek by *ona* nie pracowała, wyłoniła się Patricia Rowan, by zwalić wszystko na jego barki. Nie dając mu, naturalnie, odpowiednich narzędzi. Zanim pozbierają wszystkie opatentowane molekuły, jego hodowla będzie warta tyle, co 20 centymetrów sześciennych destylowanej wody.

Z jego gardła wydobył się dźwięk, coś jakby pół śmiech, pół prychnięcie.

– Proszę? – Rowan uniosła brew. – Ma pan coś do powiedzenia?

W jego umyśle pojawiła się przelotna, oczyszczająca fantazja:

Właściwie to mam pytanie, pani Rowan. Czy te bzdury jakoś panią nakręcają? Czy bezsensowne zatajanie istotnych informacji w jakiś sposób panią podnieca? Musi tak być. Jaki mógłby być inny powód wyposażania mnie już na cholernym poziomie molekularnym? Po co babrać się z bioinżynierią i robić ze mnie wcielenie prawości, jeśli ostatecznie uznaje się, że nie można mi zaufać, kiedy przyjdzie co do czego. Przecież mnie znasz, Rowan. Jestem nieprzekupny. Nie mogę odwrócić się od większego dobra, choćby zależało od tego moje życie.

Pośród przeciągającej się ciszy, Lertzman zakaszlał panicznie w zaciśniętą pięść.

– Nie, przepraszam. To nic takiego. – Desjardins postukał palcami w zegarek, ale jego ręce spoczywały bezpiecznie pod stołem. Uchwycił się kurczowo pierwszego nagłówka, jaki pojawił się na jego wkładkach. – Po prostu taka, cóż, urocza nazwa. *βehemot*. Skąd została zaczerpnięta?

– Z Biblii – odpowiedziała Rowan. – Mi osobiście nigdy się specjalnie nie podobała.

Właściwie i tak nie potrzebował odpowiedzi na swoje niewypowiedziane pytania. Doszedł do wniosku, że Rowan ma naprawdę dobry powód, żeby nie odkrywać swoich kart. Wiedziała, rzecz jasna, że on nie może odwrócić się od większego dobra.

Ale *ona*, owszem.

Bang

Dla Lenie Clarke wybór pomiędzy rekinami a ludźmi nie był wcale taki prosty, jak mogłoby się wydawać. Dokonując go, musiała zapłacić kolejną cenę – tęskniła za ciemnością.

Noc, niezależnie od tego jak bardzo bezksiężycowa czy pochmurna, nie stanowiła żadnego wyzwania dla jej nakładek na oczy. Na świecie nie istniało zbyt wiele miejsc zdolnych ją oślepić. Były to oczywiście zaciemnione pokoje. Poza tym głębokie jaskinie i morskie głębiny, a przynajmniej te spośród nich, w których nie było żadnej bioluminescencji. I to wszystko. Nakładki skazywały ją na widzenie.

Rzecz jasna, zawsze mogła je zdjąć. To nic trudnego, czynność nie różniła się zbytnio od usuwania szkieł kontaktowych. Mgliście pamiętała wygląd swoich nagich oczu – były bladoniebieskie, tak jasne, że tęczówki niemal zlewały się z białkami. Spoglądanie w nie przypominało patrzenie na morze skute lodem. Mówiono jej, że jej oczy są zimne i seksowne.

Nie zdejmowała nakładek od niemal roku. Nie zdejmowała ich przed ludźmi, przeciwko którym walczyła, za których walczyła i których przepierdalała. Nie zdejmowała ich nawet w czasie seksu. Nie miała zamiaru obnażać się teraz, przed obcymi.

Gdyby zatem szukała ciemności, musiałaby zamknąć oczy. To również nie było takie łatwe, kiedy otaczały cię miliony uchodźców.

Znalazła kilka metrów kwadratowych pustej przestrzeni. Uchodźcy kulili się nieopodal pod kocami i w przybudówkach, spali albo pieprzyli się pośród mroku, który stanowił osłonę przynajmniej dla ich oczu. W zasadzie zostawili ją w spokoju, tak jak powiedział Amitav. Przyznali jej wręcz

znacznie więcej miejsca niż sobie. Leżała na swoim małym skrawku piasku, własnym *terytorium*, próbując zamknięciem oczu odciąć się od jaskrawej ciemności. Padał drobny deszcz. Głębinowa skóra uniewrażliwiła na deszcze jej ciało, ale kobieta czuła krople na twarzy. Niemal przypominało to pieszczotę.

Odpłynęła. Prawdopodobnie w którymś momencie musiała zasnąć, ale miała otwarte oczy, kiedy nad jej głową dwukrotnie przeleciały cicho muchoboty – ciemne, owalne kształty oświetlone blaskiem zbyt bladym, by można było dostrzec go gołym okiem. Za każdym razem spinała się, gotowa skryć się w oceanie, ale drony nie zwracały na nią uwagi.

Zero inicjatywy, pomyślała. *Nie widzą niczego poza tym, do szukania czego zostały zaprogramowane*.

Albo może ich zmysły nie były wcale tak świetnie dostrojone, jak się spodziewała. Może po prostu nie widziały jej implantów, może jej aura była zbyt słaba albo zbyt odległa. Może muchoboty nie widziały wcale tak szerokiego spektrum promieniowania elektromagnetycznego, jak się obawiała.

Za pierwszym razem byłam zupełnie sama, pomyślała. *Plaża była zamknięta. Na pewno w tym rzecz. Zwracają uwagę na intruzów...*

Najwyraźniej, tak jak Amitav. Powoli urastało to do rangi problemu.

Pojawił się przy cyklerze następnego ranka, trzymając w dłoniach martwego muchobota. Maszyna przypominała nieco skorupę żółwia, którą Clarke widziała kiedyś w muzeum, z tą różnicą, że na jej brzusznej stronie znajdowało się mnóstwo różnych przewodów i przyrządów. Była też pęknięta wzdłuż szwu na równiku. Jej krawędź pokrywały czarne, rozmazane plamy.

– Potrafisz to naprawić? – spytał Amitav. – Jakąkolwiek część?

Clarke potrząsnęła głową.

– Nie znam się ani trochę na muchobotach. – Mimo to uniosła pancerz. We wnętrzu maszyny, pod warstwą sadzy, tkwiła przepalona elektronika.

Przesunęła palcem wzdłuż niewielkiej, chropowatej wypukłości i wyczuła pod zanieczyszczeniami skomplikowany układ soczewek układu wizualnego. Pewne technologie wydawały się nieco znajome, ale...

– Nie – powiedziała, kładąc muchobota na piasku. – Przykro mi.

Amitav wzruszył ramionami i usiadł, krzyżując nogi.

– Spodziewałem się tego – skwitował. – Warto było jednak spróbować, wydajesz się obeznana z maszynami...

Clarke uśmiechnęła się blado, nagle boleśnie świadoma implantów stłoczonych w jej piersi.

– Spodziewam się, że masz zamiar udać się do ogrodzenia – odezwał się po chwili Amitav. – Twoi ludzie wpuszczą cię do środka, kiedy zobaczą, że jesteś jedną z nich.

Kobieta spojrzała na wschód. W oddali, zza zasłony ludzkich ciał i podeptanych krzewów, wyłaniały się wieże graniczne. Słyszała historie o rozciągniętych między nimi liniach wysokiego napięcia i drucie kolczastym. Słyszała też i inne rzeczy, o uchodźcach zdesperowanych do tego stopnia, że byli w stanie wspiąć się na siedem czy osiem metrów, nim nie zabił ich prąd i coraz większe obrażenia. Wieść niosła, że ich okaleczone szczątki pozostawiano, by zgniły na drutach – nie wiadomo dokładnie czy jako czynnik odstraszający, czy też przez zwykłe zaniedbanie.

Clarke wiedziała, że były to tylko plotki. Nikt, kto miał więcej niż trzynaście lat, nie wierzył w te bzdury, a zgromadzeni tu ludzie, pomimo swojej liczby, nie wydawali się na tyle zmotywowani, by zorganizować wyprzedaż garażową, a co dopiero szturmować umocnienia. Jakiego słowa użył Amitav?

Ulegli.

Mimo to poczuła ukłucie żalu. Nigdy w zasadzie nie była przy ogrodzeniu. Zobaczenie go mogłoby być interesującym doświadczeniem.

Bycie martwą miało jednak wiele różnych, maleńkich minusów.

– Z pewnością masz jakiś dom, do którego możesz wrócić. Z pewnością wcale nie chcesz zostać *tutaj* – dociekał Amitav.

– Nie – odpowiedziała na oba pytania.

Mężczyzna czekał. Ona też.

Wreszcie wstał i spojrzał na martwego muchobota.

– Nie wiem, co sprawiło, że się zepsuł. Na ogół funkcjonują dość dobrze. Na pewno widziałaś jednego czy dwa, jak przelatują obok, prawda? Może i twoje oczy są puste, ale nie są ślepe.

Clarke wytrzymała jego spojrzenie, nie odzywając się ani słowem.

Amitav trącił mały wrak stopą.

– One też nie są ślepe – powiedział i odszedł.

To było jak dziura pośród mroku, okno do innego świata. Mieściło się na wysokości oczu dziecka, ukazując kuchnię, której nie widziała od dwudziestu lat.

I osobę, której nie widziała niemal tak samo długo.

Jej ojciec klęczał przed nią, by zmniejszyć swój wzrost i móc spojrzeć jej w twarz. Jego oblicze przybrało poważny wyraz. Jedną ręką trzymał ją za nadgarstek; z drugiej coś zwisało.

Clarke czekała, aż w znajomy sposób zbierze jej się na mdłości, ale nic takiego nie nastąpiło. Wizja pochodziła z umysłu dziecka, natomiast obserwująca ją osoba była już dorosła, zahartowana, przystosowana i przyzwyczajona do udręk, przy których maltretowanie dzieci przestawało być koszmarem, a stawało zwykłym banałem.

Spróbowała rozejrzeć się wokół, jednak jej pole widzenia nie uległo zmianie. Nie mogła dostrzec swojej matki.

To było do przewidzenia.

Usta jej ojca poruszyły się, ale nie dało się usłyszeć ani jednego słowa. Obraz był zupełnie niemy, pasmo światła bez ścieżki dźwiękowej.

To sen. Nudny sen. Pora się obudzić.

Otworzyła oczy. Sen nie zniknął.

Za nim pojawił się zupełnie inny świat, układanka ze wzmocnionego światła i cieni, o wysokim kontraście. Ktoś stał przed nią na piasku, ale jego twarz przesłaniała wizja z dzieciństwa. Unosiła się przed nią, w nieprawdopodobny sposób tworząc obraz we wnętrzu obrazu. Teraźniejszość przeświytywała lekko spod spodu.

Zamknęła oczy. Teraźniejszość zniknęła. Przeszłość nie.

Odejdź. Skończyłam już z tobą. Odejdź.

Ojciec wciąż ściskał jej nadgarstek, a przynajmniej ściskał nadgarstek tej słabej istoty, której oczami oglądała całą scenę, ale ona niczego nie czuła. A teraz, niezależnie od niej, to spojrzenie zogniskowało się na rzeczy zwisającej z drugiej ręki ojca. Nagle przestraszona, otworzyła znów oczy, nim udało jej się dostrzec, co to takiego, lecz wizja ponownie podążyła za nią do realnego świata.

Tutaj, przed wynędzniałymi, niezliczonymi hordami uchodźców na Pasie, jej ojciec dawał prezent Lenie Clarke. Jej pierwszy zegarek.

Proszę, odejdź...

– Nie – odezwał się głos, gdzieś z bardzo bliska. – Nic z tego.

Głos Amitava. Przerażona Lenie Clarke wydała z siebie cichy, zwierzęcy odgłos.

Ojciec prezentował jej możliwości nowej zabawki. Nie słyszała, co mówił, ale nie miało to znaczenia. Widziała, jak aktywuje gadżet głosem,

demonstruje funkcje dostępu do sieci (przypomniała sobie, że wtedy nazywali to *siecią*), pokazuje maleńkie antenki służące do połączenia z zestawem wizualizacyjnym...

Potrząsnęła głową. Obraz nawet nie drgnął. Ojciec przyciągnął ją do siebie, wyprostował jej rękę i ostrożnie zapiął zegarek wokół jej nadgarstka.

Wiedziała, że tak naprawdę nie był to prezent. Raczej przedpłata. Talon ofiarowany w zamian, żałosny gest, mający wynagrodzić te wszystkie rzeczy, które zrobił jej tyle lat temu, rzeczy, które zrobi jej *właśnie teraz*, rzeczy...

Ojciec pochylił się i pocałował ją w miejsce tuż ponad oczami, których Lenie Clarke nie mogła zamknąć. Poklepał ją po głowie, czego Lenie Clarke nie mogła poczuć. A potem, uśmiechając się...

Zostawił ją w spokoju.

Wycofał się z kuchni i ruszył korytarzem, pozwalając jej się bawić.

Wizja rozmyła się. Pas natychmiast wypełnił powstałą lukę.

Amitav stał nad nią i przyglądał jej się spode łba.

– Mylisz się – powiedział. – Nie jestem twoim ojcem.

Zerwała się na równe nogi. Ziemia była tu błotnista i wilgotna, blisko linii wody. Ze stacji w odległej części plaży docierały poszarpane pasy halogenowego światła. Wyższe rejony zbocza zajmowały rozsiane gromady nieruchomych ciał. W pobliżu jednak nie było nikogo.

To był sen. Kolejna... halucynacja. Nic realnego.

– Zastanawiam się, co ty tu w ogóle robisz – odezwał się cicho Amitav.

Amitav jest realny. Skup się. Rozpraw się z nim.

– Nie jesteś oczywiście jedyną osobą, którą po tym wszystkim ocean wyrzucił na brzeg – zauważył uchodźca. – Niektórych wyrzuca do tej pory. Tyle, że ty jesteś o wiele mniej martwa niż inni.

Szkoda, że nie widziałeś mnie wcześniej.

– Poza tym to dziwne, że przyszłaś do nas ot tak. Wszystko zostało zmiecione z powierzchni ziemi wiele dni temu. Trzęsienie ziemi na dnie oceanu, tak? Daleko w głębi morza. No i mamy teraz ciebie, przystosowaną do morskich otchłani, która nagle wychodzi na brzeg i posila się tak, jakby nie jadła od wielu dni. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Do tego nie chcesz, by twoi ludzie dowiedzieli się, że tu jesteś. Powiesz mi, dlaczego.

Clarke pochyliła się w jego stronę.

– Tak? Albo co właściwie zrobisz?

– Podejdę do ogrodzenia i im powiem.

– To ruszaj.

Amitav wpatrywał się w nią tak intensywnie, że niemal można było wyczuć jego gniew.

– No dalej – ponagliła go Clarke. – Sprawdź, czy uda ci się znaleźć drzwi albo jakiś wolny zegarek. Może zostawili dla was małe skrzynki, żebyście mogli wrzucać do nich karteczki z wnioskami i pytaniami, hmm?

– Mylisz się, jeśli uważasz, że nie byłbym w stanie zwrócić uwagi twoich ludzi.

– Nie wydaje mi się, żebyś chciał. Masz swoje własne tajemnice.

– Jestem uchodźcą. Nie mogę sobie pozwolić na posiadanie tajemnic.

– Doprawdy. Dlaczego jesteś taki wychudzony, Amitav?

Jego oczy zwęziły się.

– Masz tasiemca? A może to zaburzenia odżywiania? – Zrobiła krok naprzód. – Żarcie z cyklera ci nie służy?

– Nienawidzę cię – syknął.

– Nawet mnie nie znasz.

– Znam cię – splunął. – Znam twoich *ludzi*. Znam...

– Gówno tam znasz. Gdybyś znał, gdybyś *naprawdę* tak się jarał *moimi ludźmi*, jak ich nazywasz, stawałbyś teraz na głowie, żeby mi *pomóc*.

Wpatrywał się w nią z pierwszymi oznakami niepewności na twarzy.

Mówiła cicho.

– Załóżmy, że masz rację, Amitav. Załóżmy, że rzeczywiście przebyłam całą tę drogę z głębin oceanu. Aż z okolic Wulkanu Osiowego, o ile wiesz, gdzie to jest.

Czekała.

– Kontynuuj – powiedział.

– Załóżmy też, czysto hipotetycznie, że trzęsienie ziemi nie było wcale przypadkiem. Ktoś zdetonował ładunki jądrowe, a fale uderzeniowe popłynęły sobie łańcuszkiem w stronę wybrzeża.

– A niby dlaczego ktoś miałby robić coś takiego?

– Oni to wiedzą. My się dowiemy.

Amitav milczał.

– Na razie nadążasz? Bomba wybucha w głębi oceanu. Ja przybywam z głębi oceanu. Kim to mnie czyni, Amitav? Czy to ja jestem tu tą złą? Czy to ja wcisnęłam guzik, a jeśli to zrobiłam, to czy przynajmniej nie zaplanowałabym sobie lepszej ucieczki niż pokonywanie wpław trzystu kilometrów jebanego błota, bez choćby jednej jebanej kanapki, *tylko po to, by wyczołgać się na wasz jebany Pas po jebanym tygodniu i utknąć na nim, zmuszona wysłuchiwać twoich jebanych jęków?* Czy to w ogóle ma *jakikolwiek sens?*

– A może – jej głos znów stał się spokojny, gdy się opanowała – spisano mnie na straty, tak jak całą resztę, tyle że udało mi się przeżyć? Coś takiego mogłoby wystarczyć do wzbudzenia pewnej dozy urazy nawet w takiej białej, mającej wszystko suce z N’AmPac jak ja, nie sądzisz?

A ktoś, obiecała sobie, *za to zapłaci*.

Amitav nie odpowiedział. Przyglądał się jej swoimi zapadniętymi oczami, a jego twarz znów przybrała pusty, niezgłębiony wyraz.

Clarke westchnęła.

– Naprawdę chcesz sobie ze mną pogrywać, Amitav? Chcesz pogrywać sobie z tymi, którzy *wcisnęli* guzik? Nie mają zbyt lekkiej ręki, kiedy przychodzi im po sobie posprzątać. Na razie myślą, że nie żyję. Chcesz być przy mnie, kiedy odkryją, że tak nie jest?

– A co takiego jest w tobie – odezwał się wreszcie Amitav – co czyni *nasze* życie aż tak nieistotnym?

Dużo o tym myślała. Rozważania cofnęły ją do pewnego świetlanego odkrycia, jakie poczyniła jako dziecko. Zdziwiona, dowiedziała się, że na księżycu jest życie. Mikroskopijne życie, jakaś bakteria, która zabrała się tam wraz z pierwszymi, bezzałogowymi sondami. Przetrwała całe lata głodu w próżni, zamrażana, gotowana i obdzierana ze skóry przez niekończącą się burzę promieniowania.

Życie, jak się dowiedziała, zdolne jest przetrwać wszystko. Wtedy dało jej to nadzieję.

– Wydaje mi się, że mam coś w sobie – powiedziała. – Wydaje mi się...

Coś otarło się o jej nogę.

Jej ręka wystrzeliła całkiem odruchowo. Dłoń zacisnęła się wokół nadgarstka małego chłopca.

Sięgał po pałkę gazową przy jej łydce.

– Ach – rzuciła. – No tak.

Chłopiec wpatrywał się w nią, skamieniały ze strachu.

Clarke zwróciła się znów w stronę Amitava, podczas gdy dzieciak jęczał, próbując oswobodzić się z uścisku.

– To twój przyjaciel?

– Ja, ach...

– Taka mała taktyka dywersyjna, co? Sam nie masz jaj się ze mną zmierzyć, a nikt z twoich dorosłych kumpli nie chciał ci pomóc, więc

postanowiłeś wykorzystać pieprzone *dziecko*? – Szarpnęła za małą rękę tak, że chłopiec zawył.

W oddali, śpiący poruszyli się przez sen, przyzwyczajeni do notorycznych niepokojów. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek w pełni się przebudził.

– Dlaczego niby tak się tym przejmujesz? – syknął Amitav. – To nie broń, sama tak powiedziałaś. Musiałbym być głupcem, żeby uwierzyć w takie zapewnienia, skoro przybyłaś tu wymachując tym niczym jataganem. Co to takiego? Jakiś paralizator?

– Pokażę ci – odpowiedziała Clarke.

Pochyliła się, nie wypuszczając ręki dziecka. Z jej rękawicy, na podobieństwo szarego paznokcia, wysunęło się ostrze depolaryzacyjne. Pod jego dotykiem pochwa na jej łydce otworzyła się jak rozcięta skalpelem. Pałka wsunęła się gładko w jej dłoń – tępa, hebanowa laska z fluorescencyjną opaską przy uchwycie.

Amitav uniósł ręce, nagle próbując ją udobruchać.

– Nie ma potrzeby...

– Ależ jest. Podejdź bliżej.

Amitav cofnął się o krok.

– Działa przy bezpośrednim kontakcie – wyjaśniła Clarke. – Wystrzeliwuje sprężony gaz. Bardzo przydatna na ryfcie, kiedy fauna próbuje cię zjeść.

Odbezpieczyła broń kciukiem i wetknęła czubek w piasek.

Z hukiem przypominającym uderzenie pioruna plaża eksplodowała.

Wszechświat dzwonił jej w uszach niczym kamerton. Leżała w miejscu, gdzie cisnął ją wybuch. Jej twarz piekła, jakby została wypiaskowana.

Miała zaciśnięte powieki. Wydawało się, że minęło wiele czasu, zanim znów mogła je otworzyć.

W piasku ział krater o średnicy trzech metrów, z wolna wypełniający się wodą gruntową.

Z trudem podźwignęła się na nogi. Pas w jednej chwili poderwał się ze snu, uciekł, odwrócił się i zastygł w bezruchu, tworząc krąg zszokowanych i przerażonych twarzy.

O dziwo, Clarke wciąż trzymała w dłoniach pałkę.

Spojrzała na broń z otępieniem i niedowierzaniem. Korzystała z niej więcej razy niż zdolna była zliczyć. Za każdym razem, gdy jeden z potworów z Komina Channer próbował rozerwać ją na strzępy, zasłaniała się pałką, po czym wykonywała krótkie pchnięcie i mogła przyglądać się, jak pod dotykiem broni kolejny drapieżnik rozdyma się i eksploduje. Wprawdzie dla ryb pałka była dość śmiercionośna, ale nigdy wcześniej nie wybuchła z *taką* siłą. Nigdy nie zrobiła czegoś takiego na...

O cholera. Na Ryfcie.

Pałkę wyskalowano w taki sposób, by wysyłała śmiertelny ładunek na dnie oceanu, gdzie pięć tysięcy PSI było niczym łagodne beknięcie. Tam, na dole stanowiła tylko skuteczną broń.

Na poziomie morza, bez tych wszystkich napierających atmosfer, była jednak niczym bomba.

– Ja nie chciałam... Myślałam... – Clarke rozejrzała się naokoło. Nieskończony szereg twarzy odpowiedział jej spojrzeniami.

Amitav leżał z rozrzuconymi rękami i nogami po drugiej stronie krateru. Jęknął i uniósł dłoń do twarzy.

Nigdzie nie było ani śladu chłopca.

Patykoludek

Uderzenie pioruna o północy. Coś eksplodowało niedaleko cyklera Calvina, na południe od Gray Harbor. Jeden z muchobotów okrążał właśnie cypel, kierując się na południe. Nie widział wprawdzie momentu detonacji, ale miał uszy. Zaalarmował bazę i pospieszył, aby zbadać sprawę.

Sou-Hon Perreault miała właśnie dyżur. Przepisała się na nocną zmianę w dniu, kiedy odkryła, że syreny wychodzą na brzeg po zmroku (jej mąż, dowiedziawszy się niedawno o specjalnych potrzebach ofiar wirtualnych urazów psychicznych, zaakceptował tę zmianę bez szemrania). Teraz kobieta wśliznęła się w sferę percepcyjną muchobota i zabrała się za sporządzanie bilansu.

W wattowym podłożu ział płytki krater. Na zewnątrz krateru widoczna była chaotyczna plątanina ciepła i bioelektryczności, niespokojna niczym wystraszone bydło. Perreault zawęziła zakres promieniowania elektromagnetycznego do jego widzialnej, wzmocnionej części, dzięki czemu błyskawice ciepła przybrały kształt kłębiących się mas szarych, nijakich ludzi.

Pas miał swoje dzielnice, własne, tworzące się samorzutnie getta we wnętrzu gett. Tutejsza ludność pochodziła głównie z subkontynentu indyjskiego, więc Perreault ustawiła podstawowe filtry na pendżabski, bengalski i urdu. Zaczęła zadawać pytania.

Eksplozja, tak. Nikt nie był pewny, co do niej doprowadziło. Ktoś powiedział, że było słychać podniesione głosy. Mężczyzny, kobiety, dziecka. Oskarżenia o kradzież. A potem, nagle *bang*.

Potem wszyscy zerwali się na równe nogi, zaczęli uciekać. Kobieta wymachująca czymś w rodzaju paralizatora niczym maczugą. Tłumy trzymające się na dystans. Jeden mężczyzna z zakrwawioną twarzą, razem z nią, wewnątrz kręgu. Wściekły. Stojący naprzeciwko niej, obojętny wobec broni w jej ręku. Wszyscy byli zgodni, co do tego, że dziecko gdzieś już wtedy zniknęło. Nikt nie wiedział, kim było.

Wszyscy pamiętali jednak dorosłych. Amitava i syrenę.

– *Dokąd poszli?* – spytała Perreault, a muchobot przetłumaczył bezbarwnie jej słowa.

Do oceanu. Syrena zawsze wraca do oceanu.

– A ten drugi? Ten *Amitav*?

Za nią. Z nią. Do oceanu.

Minęło może dziesięć minut.

Perreault skierowała muchobota ostro pod górę, by mieć panoramiczny widok na Pas z wysokości pięćdziesięciu metrów. Uchodźcy zamienili się w hordę Browna – fale ruchu przebiegały przez tłum o wiele szybciej niż ktokolwiek byłby w stanie zejść im z drogi. Z góry zobaczyła ledwie dostrzegalną, blednącą ścieżkę zawirowań, łączącą krater z falami przyboju. Kłębiące się cząsteczki, roztrącone na boki przez coś zmierzającego do celu.

Zanurkowała w stronę linii wody. Wszędzie widziała zwrócone ku górze twarze, szare i błyszczące, dzięki wzmacniaczom światła muchobota. Śledziły tor jego lotu niczym słoneczniki, kierujące się w stronę słońca.

Wszystkie, poza jedną osobą, która, daleko na plaży, biegła na południe, nie oglądając się za siebie.

Perreault zwiększyła zakres filtrów. Nie widziała żadnego mechanizmu w jej klatce piersiowej. A więc to nie syrena. Były jednak inne anomalie. Ścigała groteskowy szkielet, wychudzony relikt z czasów, kiedy

niedożywienie było powszechnie uznaną cechą charakterystyczną wszystkich uchodźców na całym świecie.

Tutaj nie trzeba było głodować. Nie trzeba było już od wielu lat. Ten ktoś *postanowił* głodować. Musiało chodzić o politykę.

Nic dziwnego, że uciekał.

Zmusiła muchobota do pościgu. Maszyna w kilka sekund wyprzedziła swą ofiarę, obróciła się i opadła na ziemię, by odciąć jej drogę ucieczki. Perreault włączyła reflektory, przeszywając uchodźcę bliźniaczymi promieniami oślepiających halogenów.

– Amitav – powiedziała.

Słyszała o nich, rzecz jasna. Nie było ich zbyt wielu, ale dostatecznie dużo, by zarobić sobie na etykietkę. Nazywano ich *patykoludkami*. Perreault nigdy wcześniej nie widziała żadnego z nich na żywo.

Hindus. Zapadnięte oczy, kręgi ponurych cieni pod nimi. Po jego twarzy spływały połyskliwe krople krwi. Uniósł jedną rękę, by osłonić oczy przed światłem. Ze stygmatu na jego dłoni pociekło więcej krwi. Spod podartego odzienia wystawały kościste kończyny, stawy i palce, kanciaste niczym origami. Zamiast butów, podeszwy jego stóp zostały spryskane plastikiem.

Z jednej strony otaczał go ocean, z pozostałych spoglądali ciekawie mieszkańcy Pasa, trzymając się jednak poza kręgiem halogenowego światła. Każda część ciała patykoludka była spięta, jakby przygotowywała się do równie daremnej próby ucieczki albo ataku.

– Uspokój się – powiedziała Perreault. – Chcę tylko zadać ci kilka pytań.

– Ach. Pytania od robota policyjnego – odpowiedział. Ściągnął wąskie wargi, ukazując brązowe zęby, popękane i krwawiące. Usta zastygły w cynicznym grymasie. – Co za ulga.

Perreault zamrugała.

– Mówisz po angielsku.

– Nie jest to znowu taki rzadki język. Aczkolwiek, ostatnimi czasy, nie jest już tak elegancki jak francuski, prawda? Czego chcesz?

Perreault wyłączyła tłumacza.

– Co się tam stało?

– Nie ma powodów do niepokoju. Żadna wasza maszyna nie uległa uszkodzeniu.

– Nie interesują mnie maszyny. Miała tam miejsce eksplozja.

– Wasze wspaniałe maszyny nie zaopatrują nas w materiały wybuchowe – zauważył Amitav.

– Była tam kobieta-nurek. Było też dziecko.

Patykoludek spojrzał na nią spode łba.

– Chcę tylko dowiedzieć się, co się stało – wyjaśniła Perreault. – Nie zamierzam przysparzać ci kłopotów.

Amitav splunął.

– Oczywiście, że nie. Oślepiasz mnie, żeby przetestować moje oczy, tak?

Perreault wyłączyła reflektory. Czerń i biel ustąpiły miejsca szarości.

– Dziękuję – odezwał się po chwili Amitav.

– Powiedz mi, co się stało.

– Mówiła, że to był wypadek.

– Wypadek?

– Ten dzieciak... Clarke miała taką, nie jestem pewien, czy to właściwe słowo, taką *maczugę*. Przy nodze. Nazywała ją pałką.

– Clarke?

– Kobieta-nurek.

Clarke.

– Wiesz, jak ma na imię?

– Nie – prychnął Amitav. – Równie dobrze może być i *Kali*.

– Kontynuuj.

– Ten dzieciak... chciał ją ukraść. Kiedy my rozmawialiśmy.

– Nie próbowałeś go powstrzymać?

Amitav przestąpił z nogi na nogę.

– Wydaje mi się, że chciała pokazać mu, że *pałka* jest niebezpieczna – powiedział. – No i jej się udało. Odrzuciło mnie. Zostawiło ślady. – Uśmiechnął się i wyciągnął ręce, kierując wnętrza dłoni ku górze. Zdarta skóra, kapiąca krew.

Umilkł i spojrzał w stronę morza. Obraz widziany przez Perreault zadrgał lekko na nagłym wietrze, jakby muchobot pokiwał głową.

– Nie wiem, co stało się z dzieckiem – odezwał się wreszcie Amitav. – Zanim znów stanąłem na nogi, już go nie było. Clarke próbowała go odnaleźć.

– Kim ona jest? – zapytała łagodnie Perreault. – Znasz ją?

Mężczyzna splunął.

– *Ona* by zaprzeczyła.

– Ale widziałeś ją już wcześniej. Dziś nie był pierwszy raz.

– O tak. Wasze zwierzątka – powiódł wzrokiem po innych uchodźcach – przychodzą do mnie za każdym razem, kiedy trzeba wykazać trochę *inicjatywy*. Mówią mi, gdzie jest syrena, żebym mógł pójść się z nią rozprawić.

– Ale was dwoje coś łączy. Jesteście przyjaciółmi czy...

– Nie jesteśmy owcami – odparł Amitav. – To wszystko, co mamy ze sobą wspólnego. Tutaj, to wystarcza.

– Chcę dowiedzieć się o niej więcej.

– Słusznie – powiedział ciszej.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo przetrwała to, co jej zrobiliście. Bo wie, że to wy to zrobiliście.

– *Ja* niczego nie zrobiłam.

Patykoludek lekceważąco machnął ręką.

– To nie ma znaczenia. I tak po ciebie przyjdzie.

– Co się stało? Co jej zrobiono?

– Nie powiedziała, co dokładnie. Nie mówi zbyt wiele. A czasami, kiedy już coś mówi, nie mówi do nikogo *tutaj*. A przynajmniej do nikogo, kogo mógłbym zobaczyć. Ale porządnie wytrącają ją z równowagi.

– Widzi duchy?

Amitav wzruszył ramionami.

– Duchy nie są tu rzadkością. Z jednym z nich właśnie rozmawiam.

– Wiesz, że nie jestem duchem.

– Może nie jesteś prawdziwym duchem. Nawiedzasz jedynie maszynerię.

Sou-Hon Perreault zaczęła szukać filtru, który mogłaby podkręcić. Nie znalazła żadnego, który by pasował.

– Powiedziała, że wywołaliście trzęsienie ziemi – odezwał się nagle Amitav. – Powiedziała, że to wy wysłaliście falę, która zabiła tak wielu z nas.

– To niedorzeczne.

– Ty byś o tym wiedziała, tak? Wasi przywódcy dzielą się takimi rzeczami z pilotami mechanicznych owadów?

– Dlaczego ktokolwiek miałby zrobić coś takiego?

Amitav wzruszył ramionami.

– Zapytaj Clarke. O ile uda ci się ją znaleźć.

– Możesz mi w tym pomóc?

– Oczywiście. – Wyciągnął rękę w kierunku Pacyfiku. – Jest tam.

– Zobaczysz się z nią jeszcze?

– Nie wiem.

– Mógłbyś dać mi znać, gdyby tak się stało?

– A jak miałbym to zrobić, nawet gdybym chciał?

– Sou-Hon – powiedziała Perreault.

– Nie rozumiem.

– Tak mam na imię. Sou-Hon. Mogę zaprogramować muchoboty, by rozpoznawały twój głos. Jeśli usłyszą, że próbujesz się ze mną skontaktować, dadzą mi znać.

– Ach – mruknął mężczyzna.

– Więc jak?

Amitav uśmiechnął się.

– Proszę nie dzwonić. Skontaktujemy się z panią.

Zaproszenie do tańca

W South Bend syrena zabiła człowieka.

Willapa Bay wrzynała się na Pas niczym pęknięty wrzód o średnicy dwunastu kilometrów. W tym rejonie nie prowadzono oficjalnego nadzoru z myślą o chwytaniu ludzi, dla których oddychanie nie było koniecznością. Wybrzeże znajdowało się teraz piętnaście kilometrów za Willapa Bay. Tu, w oddaleniu, falę powstrzymały cyple i zbita, przysadzista wyspa, zatykająca przesmyk niczym cysta. Trzęsienie ziemi było tutaj ledwie wstrząsem. Gruzy i zniszczenia miały jedynie miejscowy zasięg.

Pojawiła się po północy na skąpanym w mroku, skorodowanym odcinku nabrzeża, porzuconym już dawno temu na pastwę toluenu z zeszłego tysiąclecia. Nerwowi, nocni przechodnie, zauważywszy ją na obrzeżach miasta, przyspieszali kroku w drodze z punktu A do B. Ostatnim razem, kiedy Clarke miała okazję pospacerować po cywilizowanych ulicach, na co drugim rogu znajdowały się automaty z darmowymi zegarkami, pusty gest mający na celu zniewolenie mas przez dostęp do informacji. Tutaj jednak nie mogła natrafić na żaden automat. Znalazła jedynie starą budkę telefoniczną, pełniącą wartę we fluorescencyjnym półmroku. Przepytała ją. Telefon powiedział jej, że znajduje się *tutaj*. Yves Scanlon natomiast mieszka *tam*, trzysta kilometrów na północny wschód.

Nie będzie się jej spodziewał.

Rozpłynęła się pośród cieni. Obojętne kamery nadzorujące zredukowały ją do poruszającego się skupiska pikseli w podczerwieni.

Po betonowym rumowisku wróciła na pokryte olejem nabrzeże. Gdy podnosiła płetwy, usłyszała jakieś głosy. Stłumione, znajome dźwięki,

dobiegające od strony opuszczonego urzędu celnego.

Mogły to być trzaski przegniłych pali. A może but uderzający w żebra, natrafiający po drodze na tkanki miękkie. Clarke poczuła, jak coś zbiera jej się w gardle. Lista rzeczy, którymi można uderzyć ludzkie ciało, wydaje się nie mieć końca. Nie potrafiła już połapać się w tym, jaki odgłos wydaje każda z nich.

Niemal zbyt słaby, by go usłyszeć, bardziej jęk niż słowa:

– *Cholera*, człowieku...

Stłumione bzyczenie wyładowania elektrycznego. Skowyt.

Przejście rozszerzało się nieco wokół porzuconego biura. Wszędzie walały się śmieci, czyhające na każdego, kto nie widział w ciemnościach. Po drugiej stronie budynku znajdował się dok, wsparty na wystających z wody, drewnianych palach. Na platformie stały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. U ich stóp spoczywały cztery podrygujące ciała. Na pomoście drzemał policyjny muchobot, szczęśliwym zrządzeniem losu nie podłączony akurat do sieci.

Rzecz jasna, przynajmniej technicznie, nie była to napaść. Atakujący mieli przecież mundury i odznaki, dające im prawo legalnego bicia kogo im się żywnie podoba. Dziś akurat padło na grupkę nieletnich, ułożonych teraz na poplamionych kreozotem deskach, na podobieństwo wypatroszonych ryb. Ich ciała drgały pod wpływem skurczy nerwowych, spowodowanych wyładowaniem z paralizatora, poza tym jednak nie reagowały w żaden inny sposób na wymierzane im kopniaki. Do Clarke docierały urywki rozmów mundurowych, gadki o naruszeniu godziny policyjnej i nieautoryzowanym użyciu Wiru.

Oraz o wtargnięciu na teren prywatny.

– I to rządowy – dodał mężczyzna, unosząc rękę, by szerokim gestem ogarnąć dok, drewniane pale, opuszczone biuro, Lenie Clarke...

...cholera, on ma szkła nocne, oboje je mają...

– *Hej, ty!* – Policjant zbliżył się o krok, kierując paralizator w stronę cieni, pośród których widział ją jak na dłoni. – Odsuń się od budynku!

Był taki okres, nie tak dawno temu, kiedy Lenie Clarke posłuchałaby go bez chwili namysłu. Wykonałaby polecenie nawet wiedząc doskonale, co ją czeka, bo nauczyła się, że w obliczu przemocy najlepiej zamknąć się i *jak najszybciej mieć to za sobą*. Oczywiście, że będzie boleć. W końcu w tym rzecz. Ale lepsze to niż wieczne mdłości, *oczekiwanie*, niekończące się momenty przerw między atakami, kiedy możesz tylko czekać, aż nastąpi kolejny z nich.

Ostatnimi czasy po prostu by uciekła. A przynajmniej wycofała się. *To nie moja sprawa*, przekonałaby samą siebie i zniknęłaby, zanim ktokolwiek zdążyłby zorientować się, że w ogóle tam była. Tak właśnie postąpiła, gdy Mike Brander wykorzystał Gerry'ego Fischera jako przedstawiciela tych wszystkich, którzy zamienili jego dzieciństwo w piekło. *To nie była moja sprawa, gdy Stacja Beebe rozbrzmiewała odgłosami furii Brandera i pękających kości Fischera. To nie była moja sprawa*, gdy Brander, zmiana za zmianą, pełnił wartę w komorze odpływowej, rzucając Fischerowi wyzwanie, czy ośmieli się wejść do środka. Ostatecznie Fischer z mężczyzny stał się dzieckiem, a wreszcie z dziecka gadem, pustym, nieludzkim zerem, żyjącym na krawędzi ryftu. Nawet wtedy nie była to sprawa Lenie Clarke.

Lecz teraz Gerry Fischer był martwy. Tak samo jak Lenie Clarke, jeśli już o to chodzi. Umarła razem z pozostałymi, z Alice i Mikiem, i Kenem, i Gerrym Fischerem. Wszyscy oni zamienili się we wrzącą, białą parę. Wszyscy byli martwi, a kiedy odtoczono kamień i rozbrzmiał głos, mówiący: *Wyjdź, Łazarzu!*, z grobu nie wyszedł żaden z przyjaciół Lenie Clarke. Ani nawet sama Lenie Clarke. A przynajmniej nie ta słaba, kuląca

się zawodowa ofiara, jaką była za życia na lądzie. Ani nie ta przejrzysta poczwarka, dojrzewająca na ryfcie. Wyłoniło się za to coś wykutego na nowo, zahartowanego w kwasie, jakaś nieistniejąca wcześniej, rozgrzana do białości odmiana Lenie Clarke.

Teraz to ona stanęła wobec znajomego symbolu – władzy, osoby wydającej rozkazy, kogoś, kto skwapliwie skorzysta z przysługującego mu prawa do użycia siły wobec *niej*. Nie uznała rzuconego przez władzę wyzwania za polecenie, któremu powinna się podporządkować. Nie uznała też sytuacji za taką, której należałoby uniknąć.

Dla Lenie Clarke Typ II było to spóźnione zaproszenie do tańca.

Pikselowy przyjaciel

BCC5932 – PRZECHWYCONO TRANSMISJĘ ZAWIERAJĄCĄ BODZIEC INICJUJĄCY
Klasa obiektu: pakiet danych/niegroźny
Rodzaj obiektu: prywatna rozmowa (NI)/pakiet 7 z 23/deszyfrowanie modemu głosowego
Źródło obiektu: *uszkodzone*
Cel obiektu: wiele (cc)
KRYTERIA WYCIĘCIA: 255 ZNAKÓW PRZED/PO BODŹCU INICJUJĄCYM
POCZĄTEK FRAGMENTU

...by miało nam to uchodzić na sucho już zawsze. Jak dla mnie, trochę za metaliczny, jeśli wiesz, co mam na myśli. W każdym razie, jeszcze nie złapali nas na gorącym uczynku.

Ale *złapali* nas kilka dni temu, za coś zupełnie innego. Mieliśmy szczęście, że pojawił się ten anioł zemsty. Nie ściemniam. Nazywała się **Lenie Clarke**. To była nasza własna, głupia wina. Nie sprawdziliśmy przy logowaniu czy nie ma przecieków. W każdym razie, nagle wypadli na nas *les beus* i dorwali wszystkich poza Hajem[1] i mną, więc co niby mogliśmy zrobić, jeśli nie wiać? A oni powalili wszystkich na ziemię i nagle znikąd pojawiła się ta K-selektorka. Wyglądała jak taka istota z dawnych książek, no wiesz, wampir. Cała na czarno, a do tego miała najgrubsze KonTakty, jakie kiedykolwiek

1. Pisownia domniemana.

widziałam, grubsze nawet niż u *les beus*. Prawie nie było widać jej oczu. W każdym razie, wyszła z cienia i ruszyła prosto na nich.

Wyglądała na taką, co nie przetrwa dwóch sekund. Znaczy, nawet nie *zwróciła uwagi* na paralizatory, nie wydaje mi się, by jej kombinezon przewodził elektryczność, ale *mimo wszystko*. Po prostu nie była zbyt duża, rozumiesz? Spuścili jej niezły łomot, a ona po prostu im na to *pozwoliła*. Jakby była to najnormalniejsza rzecz na świecie. Albo jakby, no wiesz, prawie jakby ją to *kręciło* czy coś w tym stylu.

W każdym razie, nagle oplotła ramionami to wielkie, zwaliste antyciało i po prostu pchnęła, po czym oboje wypadli poza krawędź, a gdy wpadli do wody włączyły się sterylizatory. Dziwne tak w ogóle, że te rzeczy wciąż działają, od *lat* nie pływają już tamtędy żadne łodzie. Sterylizatory się włączyły, wodę rozjaśnił chłodny blask radu i słychać było kilka plusków, a potem głośne *umf* i na powierzchnię wypłynęła wielka bańka krwi i wnętrzności, i woda zrobiła się *całkiem* rdzawa.

Ona jest jakby płazem, jednym z tych ryfterów-cyborgów. Spotkaliśmy ją później, wróciła po płetwy, gdy wszystko trochę ucichło. Nie pytaj mnie, co tam robiła w środku nocy. Nie mówiła zbyt wiele, a my nie naciskaliśmy. Daliśmy jej trochę żarcia i zapasów, bo jadła z cyklerów na *Pasie*, dasz wiarę? Ale nie wyglądało na to, żeby ją to w jakiś sposób osłabiło. Dałem jej swój zegarek. Nawet nie słyszała o godzinie policyjnej. Musiałam pokazać jej jak obejść blokadę czasową. Wygląda na to, że łatwo traci się orientację, kiedy cały czas spędza się na dnie oceanu. Nie żeby w czymkolwiek jej to przeszkadzało.

Szkoda, że nie *widziałeś* tego dupka. Wyłowili go z wody jak jakąś starą szmatę. Byłabym gotowa *zapłacić*, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy, wiesz?

Próbowałam dowiedzieć się o niej czegoś więcej, ale ta **Lenie Clarke** to nie żaden ginący gatunek w rejestrach. Dostałam więcej trafień niż zaliczają holokausty. Wydaje mi się, że wymieniła miasto, z którego pochodzi, ale nie mogłam go znaleźć. Ktoś z was słyszał kiedykolwiek o miejscu zwanym **Beebe**?

W każdym razie, z tego co wiem, wciąż jest na wolności. *Les beus* pewnie jej szukają, ale założę się o pięćdziesiąt QueBaksów, że nie wiedzą nawet, jak ona *wygląda* pod tym całym strojem, nie wspominając już o tym, kim *jest*. Znaczy, rzadko udaje im się złapać *nas*, a przecież wiedzą o nas wszystko. No, nie wszystko. Racja, m...

KONIEC FRAGMENTU

WYWOŁANIE βehemot
Lenie Clarke/Beebe POTWIERDZONO.
DODAJ SŁOWA KLUCZOWE: płaz/y, ryfter/zy, cyborg/i
NAŁÓŻ SZABLON. RESEKWENCJONUJ TEKST.
KOPIUJ. PRZENIEŚ.
ROZEŚLIJ WIEŚCI.

Z trzeciej osoby

Rzecz jasna, Perreault nie potrzebowała pozwolenia Amitava. I tak zaprogramowała muchoboty na rozpoznawanie jego głosu. Wypuściła też chmarę komarów, maleńkich, latających czujników nie większych niż ziarenka ryżu. Były głupie, ale mogły sobie na to pozwolić. Przekazywały surowe dane telemetryczne muchobotom, które to zajmowały się ich *prawdziwą* analizą. Pozwalało to znacznie zwiększyć zasięg, przynajmniej dopóki komarom nie padły baterie.

Mimo to, szanse były marne. Muchobot, czy też komar, musiałby widzieć Amitava w chwili, gdy ona wyda polecenie, a do tego mężczyzna musiałby być dostatecznie wyraźnie widoczny, by dało się go zidentyfikować, a to było mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę przeludnienie Pasa. Patykoludek nie miałby większych trudności z ukryciem się, gdyby tylko tego chciał.

Jednak marne szanse są lepsze niż żadne.

Zjadła późną kolację. Siedząc przy stole naprzeciwko męża mimochodem zauważyła, że ten przygląda się jej z uwagą. Wiedziała, że Marty starał się, jak mógł, zostawiając jej swobodę i ofiarowując swoje wsparcie. Oczekiwał chwili, kiedy szok wreszcie ustąpi, padną jej systemy obronne, a ona będzie potrzebować pomocy w ułożeniu sobie wszystkiego na nowo. Co jakiś czas Perreault sięgała w głąb siebie, szukając sygnałów nadciągającego załamania. Nic. Oczywiście antydepresanty wciąż miały na nią pewien wpływ, nawet pomimo tego, że szok spowodował w jej organizmie częściową niewrażliwość, ale to nie powinno już wystarczać. W chwili obecnej powinna już coś *odczuwać*.

I odczuwała. Przemożną, żarliwą, niepohamowaną. Ciekawość.

Sięgnęła ręką przez stół, ścisnęła dłoń Martina i udała się do swojego biura. Do początku jej zmiany zostało jeszcze niemal pół godziny, ale nikomu w obwodzie nie przeszkadzało, gdy zaczynała wcześniej. Opadła na fotel, swój ulubiony antyk o szerokich podłokietnikach, pokryty prawdziwą skórą, i właśnie sięgała po zestaw wizualizacyjny, gdy poczuła łagodny dotyk dłoni męża na ramieniu.

– Dlaczego ona jest dla ciebie taka ważna? – spytał. To pierwszy raz, kiedy przyszedł do jej biura od czasu załamania.

– Marty, muszę iść do pracy.

Mężczyzna czekał.

Westchnęła i obróciła się na fotelu w jego stronę.

– Nie wiem. Chyba... chyba chodzi o to, że to zagadka. Coś, co muszę rozwikłać.

– To coś więcej.

– Dlaczego? Dlaczego niby miałoby tak być? – Usłyszała irytację we własnym głosie, a potem zobaczyła, jak wpłynęło to na jej męża. Wzięła głęboki oddech i spróbowała jeszcze raz. – Nie wiem. Po prostu... wydawałoby się, że jednostka nie może mieć wielkiego znaczenia, ale... ona robi na ludziach spore wrażenie, wiesz? Przynajmniej na Pasie. Jest na swój sposób *ważna*...

Martin pokręcił głową.

– Więc tym dla ciebie jest? Wzorem do naśladowania?

– Nie powiedziałam...

– Może być kimś innym, Sou. Co jeśli jest zbiegiem?

– Co?

– Na pewno przyszło ci to na myśl. Ktoś z N’Am, czy nie wiem skąd, w każdym razie nie zwykły uchodźca. Dlaczego przebywa na Pasie? Dlaczego

nie chce wrócić do domu? Przed czym się ukrywa?

– Nie wiem. Dlatego właśnie jest to zagadka.

– Może być niebezpieczna.

– Dla mnie? Przecież jest daleko na wybrzeżu! Nawet nie ma pojęcia o moim istnieniu!

– Mimo wszystko. Powinnaś to zgłosić.

– Może. – Perreault odwróciła się z rozmysłem w stronę biurka. – Muszę zabrać się już do pracy, Martin.

Wcześniej, rzecz jasna, nie odpuściłby tak łatwo. Ale dobrze wiedział, jaką przydzielono mu rolę. Pouczyło go w tej kwestii pół tuzina autorytetów, pełnych jak najlepszych intencji. *Pańska żona przeżyła właśnie bardzo traumatyczne doświadczenie. Jest teraz bardzo słaba. Proszę pozwolić jej dochodzić do siebie we własnym tempie.*

Proszę nie naciskać.

Więc nie naciskał. Jakaś maleńka część Sou-Hon Perreault miała wyrzuty sumienia z powodu wykorzystywania tego ograniczenia. Reszta jednak upajała się kojącym dotykiem otulającego jej czaszkę zestawu wizualizacyjnego, zyskaną nagle, precyzyjną kontrolą nad tym, co się *dostrzega*, a czego *nie* i...

– *Do chuja pana* – szepnęła.

Po lewej stronie jej pola widzenia migał znacznik alarmowy. Jednemu z muchobotów udało się coś skubnąć. A nawet więcej niż skubnąć. Wziął cały, drapieżny kęs. Wisiał w powietrzu mniej niż trzy metry od celu.

Do tego tym razem celem nie był Amitav. Mariaż ciała i maszynerii. Kobieta z mechanizmem w piersi.

Późna noc pod niekończącą się pokrywą chmur. Odległe, jasne plamy reflektorów i grzejników, płonących na Pasie wzdłuż linii czarnej wody. Perreault włączyła wzmacniacze światła.

Syrena przykucnęła dokładnie na wprost, na poszarpanej rafie, sto pięćdziesiąt metrów od brzegu. Migoczący od fosforyzujących mikrobów ocean starał się ją przewrócić. Gdy fale wycofywały się, rafa wznosiła się na metr powyżej lustra wody, a z jej boków ściekały miriady maleńkich wodospadów, gdy zaś fale znów atakowały, syrena zmieniała się w okrągły, czarny głaz, ledwie widoczny pośród połyskującej piany.

Wstała. Spiętrzona fala wezbrała powyżej jej kolan. Zachwiała się, ale nie upadła. Jej twarz przypominała blady owal namalowany na czarnym ciele, oczy zaś jeszcze bledsze owale namalowane na twarzy. Powiodła spojrzeniem wokół, nie zwracając uwagi na zawieszonego w powietrzu muchobota.

Wyglądało na to, że go nie zauważyła.

Pochyliła głowę i wbiła wzrok przed siebie. Wyciągnęła śliską, hebanową rękę, rozczapierzyła palce – ślepa kobieta sięgająca po coś, czego nie może zobaczyć. Usta Clarke poruszyły się. Jej słowa utonęły pośród ryku fal. Perreault podkręciła filtry, przekraczając progi krytyczne. Odgłosy oceanu zostały całkowicie wytłumione. Teraz słychać było tylko odległy wrzask mew i kilka sylab:

– Nie. Znów ...*amo*.

Perreault wytłumiła dźwięki o wysokiej częstotliwości. Teraz syrena stała się częścią całkowicie niemej scenki, a wokół niej bezgłośnie kotłował się Pacyfik.

– Nigdy tego nie robiłeś – powiedziała syrena. Fala przewaliła się bez dźwięku między jej nogami. Rozczapierzone palce kobiety zamknęły się, chwytając pustą przestrzeń. Wydawała się zaskoczona tym faktem.

Rafę obmyła kolejna fala. Syrena zachwiała się, ale odzyskała równowagę. Perreault zauważyła, że obie ręce zacisnęła w pięści.

– *Tato* – powiedziała niemal szeptem.

– Pani Clarke – odezwała się Perreault. Syrena nie zareagowała.

Racja. Fale. Perreault zwiększyła głośność i spróbowała jeszcze raz:

– Pani Clarke.

Syrena drgnęła gwałtownie.

– *Ty! Skąd się to bierze?*

– Pani Clarke, od jakiegoś czasu...

– To coś w jedzeniu? Jakieś substancje psychoaktywne? O to chodzi?

– Pani Clarke, nie mam pojęcia, o czym...

Syrena uśmiechnęła się, ale był to ohydny, obnażający zęby grymas pod zimnymi, białymi oczodołami.

– W porządku. Zniosę wszystko. Możecie robić, co chcecie.

– Pani Clarke...

– To jeszcze kurwa *nic*. Tylko poczekaj.

Pacyfik wezbrał bezgłośnie za jej plecami, w mgnieniu oka zmywając ją z rafy. Ostatnim zarejestrowanym obrazem na stopklatce była pięść, wzniesiona na krótką chwilę ponad kotłującą się wodę. Po czym i ona zniknęła.

To jeszcze kurwa nic. Tylko poczekaj.

Sou-Hon Perreault nie wiedziała, czy może.

Remora

Śluza otworzyła się ze skrzypieniem niczym brama żelaznej katedry. W dźwięku tym kryły się trzęsienia ziemi wykręcające metal, obracające z wysiłkiem drapacze chmur wokół ich własnych osi. Mozolny napór wody wypchnął pływające szczątki przez wielkie wrota, których otwarcie poruszyło ocean.

Pośród tego dźwięku odezwał się następny – odgłos kawitujących, potrójnych śrub.

Ulokowała się kilkaset metrów w głębi oceanu, w środku wybagrowanej szramy, prowadzącej na głębokie wody. Cały komercyjny ruch Gray Harbor przebiegał bezpośrednio nad jej głową. Do tej pory powinna już nabrać dostatecznej wprawy, by jej się udało. Uniosła się na kilka metrów od dna. Nowy plecak trochę ją spowalniał, ale zaczynała przyzwyczajać się do jego ciężaru. Impulsy, dobiegające od strony nadpływającego okrętu, odbiły się echem od jej implantów. Mętna woda nagle złowrogo pociemniała, najpierw po prawej stronie, potem tuż przed nią. Fala pchnęła ją do tyłu. Chwilę później, z mroku wyłoniła się ukośna, czarna ściana najeżona nitami i śmignęła obok, wypełniając sobą cały ocean. Wokoło rozległ się odgłos zbliżających się śrub.

Uznała, że dotychczas musiała mieć sporo szczęścia, że nie zderzyła się z żadnym ze statków. Wiedziała, że to mało prawdopodobne, bo fale dziobowe odpychały na boki wodę i wszelkie pływające w niej rzeczy, ale uspokajające spostrzeżenia tego typu zawsze przychodziły jej do głowy dopiero w czasie spokojnych chwil na dnie. Teraz, gdy ten metalowy,

rozmazany od prędkości klif znajdował się w zasięgu jej ręki, potrafiła o nim myśleć jedynie jako o pacce na muchy.

Wypłynęła na powierzchnię. Klif wyostrzył się nagle – ogromny, czarno-rdzawy, wklęsły występ przesłaniał jej trzy czwarte nieba. Krotransporter. Odwróciła się w kierunku zbliżającej się rufy. W jej stronę, krawędzią do przodu, pędziła metalowa płetwa skierowana w dół i na zewnątrz od kadłuba, umieszczona tuż powyżej linii wody. W miejscu, gdzie jej dalszy koniec ciął wodę, kotłowała się piana.

Trymer. Mógł zaoferować jej darmową przejażdżkę albo odciąć głowę. Gdyby udało jej się utrzymać na powierzchni, tuż obok miejsca, w którym metal przetnie morze, koniuszek okrętowej płetwy powinien przepłynąć tuż pod nią. Miałaby wtedy ułamek sekundy na chwycenie się przedniej krawędzi.

Miała może dziesięć sekund, by zająć właściwą pozycję.

Prawie jej się udało.

Prawą ręką chwyciła się statecznika, ale lewa ześliznęła się pośród zawirowań wody. Chwilę później, trymer przepłynął obok, ciągnąc za sobą rękę Clarke. Natychmiast jej mięśnie napięły się niczym cięciwa łuku. Ramię wyskoczyło ze stawu. Clarke chciała krzyczeć, jednak wypełnione płynami płazie ciało zdusiło dźwięk w zarodku.

Wyciągnęła lewą rękę i opór natychmiast pchnął ją w tył. Spróbowała jeszcze raz. Mięśnie prawej ręki wrzeszczały z oburzenia. Lewa dłoń wspinała się mozolnie po powierzchni trymera, aż wreszcie palce natrafiły na krawędź natarcia i zacisnęły się na niej.

Ramię wskoczyło z powrotem na swoje miejsce. Niezadowolone mięśnie rozwrzeszczały się na nowo.

Potoki wody i piany starały się zepchnąć ją z powrotem do oceanu. Krotransporter poruszał się w żółwim tempie, a ona ledwie była w stanie się

na nim utrzymać. Dodadzą gazu, gdy tylko miną ostatni znacznik kanału.

Powoli, bokiem wspięła się po krzywiźnie zbocza. Strugi wody morskiej zamieniły się w mgiełkę, aż wreszcie wydostała się i spod niej, i mogła oprzeć się o kadłub. Rozpięła plombę twarzową. Jej płuca napełniły się powietrzem z pełnym zmęczenia westchnieniem.

Trymer skierowany był w dół pod kątem dwudziestu stopni. Clarke oparła się plecami o poszycie i ugięła nogi w kolanach, zapierając się stopami. Ulokowała się bezpiecznie dobre dwa metry nad wodą. Podeszwy płetw zapewniały jej na tyle dobrą przyczepność, że nie musiała obawiać się ześlizgnięcia.

Minęli najdalszy palik kanału. Statek zaczął nabierać prędkości. Clarke jednym okiem obserwowała wybrzeże, drugim panel nawigacyjny. Po krótkiej chwili odczyty uległy zmianie.

Wreszcie. *Ten* statek kierował się na północ. Rozluźniła się.

Pas, wraz ze swymi wyrostkami kręgowymi wschodnich wież, przesuwał się w dali. Z tej odległości ledwie była w stanie dostrzec ruch na wybrzeżu. W najlepszym wypadku były to tylko rozproszone plamy niemrawych drgnięć. Chmary niezdolnych do lotu komarów.

Pomyślała o Amitavie, anorektyku. Jedynej osobie, która miała wystarczające jaja, by otwarcie jej nienawidzić.

Życzyła mu wszystkiego najlepszego.

Punkty zapalne

Achilles Desjardins zawsze uważał, że inteligentne żele są nieco przerażające. Ludzie myśleli o nich jak o mózgach zamkniętych w pudełkach, ale one wcale nimi nie były. Brakowało im kilku części. Nie chodziło tu nawet o korę nową czy móżdżek, one nie miały *niczego*. Zero podwzgórza, zero szyszynki, zero doświadczeń zdobytych w skórze ssaka, nabudowanych na wspomnieniach gadzich i rybich. Żadnych instynktów. Żadnych *pragnień*. Tak naprawdę to tylko owsianka złożona z wyhodowanych neuronów, czterocyfrowe IQ, które ma w dupie to, czy będzie żyć, czy też umrze. Jakimś cudem uczyły się poprzez warunkowanie instrumentalne, choć nie były zdolne ani do cieszenia się z nagrody, ani do cierpienia z powodu kary. Ich połączenia tworzyły się i zanikały z taką samą bezbarwną obojętnością, jak w przypadku wody kształtującej deltę rzeczną.

Desjardins musiał jednak przyznać, że bywały przydatne. W starciu z mózgoserem, zwierzyna nie miała szans.

Nie żeby, mimo wszystko, nie próbowała. Jednak ekosystemy Wiru wyewoluowały w świecie krzemu i arsenków – kilkuset podstawowych, powtarzanych bez końca systemów operacyjnych. Przewidywalne rejestry i adresy. Coś, na czym można było *polegać*, a nie jakiś kawałek myślącego mięsa, podlegający ciągłym zmianom. Nawet gdyby jednemu z rekinów udało się ogarnąć tę strukturę, wcale nie dałoby mu to przewagi. Żele zmieniały swoje połączenia wraz z każdą kolejną myślą, a jaki jest pożytek z mapy, jeśli krajobraz nigdy nie przestaje się zmieniać?

Tak przynajmniej wyglądała teoria. Dowodem była natomiast spokojna przystań, mieszcząca się w samym sercu Wiru. Od dnia swych narodzin żele utrzymywały ją w czystości, dzięki czemu powstała wolna od wszelkich robaków, wirusów i cyfrowych drapieżników przestrzeń obliczeniowa o wysokiej przepustowości. Kiedyś, dawno temu, cała sieć była równie czysta. Może pewnego dnia znów taka będzie, jeśli żele osiągną pełnię swych możliwości. Póki co jednak, wpuszczono do środka jedynie dwa czy trzy miliony wybranych ludzi.

Miejsce to nazywano Oazą, a Achilles Desjardins praktycznie tam mieszkał.

W obecnej chwili tkał sieć w jednym z nieskazitelnie czystych rogów swego placu zabaw. Dane biochemiczne od Rowan zostały już wysłane do stacji Jovellanos. Pierwszą rzeczą, jaką Desjardins zrobił, było utworzenie łącza aktualizacyjnego. Potem wychylił głowę z okopów i zajrzał, ponad ramionami czujnych żeli, do Wiru właściwego. Znajdowały się tam rzeczy, które trzeba było ściągnąć do środka, ostrożnie jednak, uważając na lśniące czystością podłogi.

Należało podłączyć się do archiwów EOS. Potem zdobyć codzienne mapy radarowe wilgotności gleby z całego zeszłego roku, o ile to możliwe (ostatnimi czasy stało się to wielką niewiadomą, bo gdy tydzień wcześniej Desjardins próbował ściągnąć z biblioteki kopię „Bonny Anne”, okazało się, że zaczęli usuwać wszystkie książki, z których nie korzystano od więcej niż dwóch miesięcy. Wytłumaczeniem była stara śpiewka o ograniczonej ilości miejsca). Dalej skany elektromagnetyczne polielektrolitów i kationów kompleksowych. Obrazy wielowidmowe wszystkich najważniejszych chlorofili, ksantofili, karotenoidów, a także żelaza i azotu glebowego. W końcu, dla pełnej skrupulatności, choć nie żywiąc zbyt wielkich nadziei,

wysłać zapytanie do bazy danych NCBI o ostatnie konstrukty, możliwe do zastosowania w realnym świecie.

To konkuruje z konwencjonalnymi producentami, jak powiedziała Rowan. Co oznacza, że konwencjonalne wirusy mogą zacząć wymierać. Należy zatem wykonać obraz widmowy podniesionego poziomu metanu w glebie. Występowanie potencjalnie zależne od temperatury, więc podczerwień połączona z albedo i prędkością wiatru. Ograniczyć poszukiwania do wielokąta, rozciągającego się od grzbietów Gór Kaskadowych w kierunku wybrzeża i od Cape Flattery do trzydziestego ósmego równoleżnika.

Połączyć wszystkie wątki. Przesiać sygnał przez zwyczajowe sito statystyk: analiza ścieżek, transformacje Boltzmanna, pół tuzina odmian nieliniowej estymacji. Funkcje dyskryminacyjne. Filtry Hankina. Analiza głównych składowych. Profile interferometryczne, obejmujące różny zakres długości fal. Tabele hiperniszowe Lynna i Hardy’ego. Powtórzyć wszystkie analizy z interzmiennym przesunięciem w czasie, w porządku od zera dni do trzydziestu.

Desjardins przebiegał palcami po swym panelu. Z chmur danych kondensowały się abstrakcyjne kształty. Widział kątem oka, jak migotały prowokacyjnie, ale znikały, kiedy tylko próbował skupić na nich wzrok. Wychodzące z różnych stron białe, niewyraźne linie splatały się ze sobą, nabierały kolorów, tworzyły misterne, fraktalne wzory.

Jednak nie. P-wartość *tej* mozaiki wynosiła więcej niż 0,25. *Tamta* naruszała założenia homoskedastyczności. A jakaś mała w rogu doprowadzała protokoły Hessian do istnego *szaleństwa*. Jedna, ledwie widoczna, wadliwa nić i cały dywan zaczynał się pruć.

Skasować to, usunąć transformacje i zacząć od nowa...

Chwileczkę.

Współczynnik korelacji -0,873. Co *to* ma znaczyć?

Temperatura. Temperatura rosła, kiedy spadał poziom chlorofilu.

Cholera, dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej? A, tak. Przesunięcie w czasie. Co do...

W jego uszach rozbrzmiał nagle cichy głos:

– Hej, Killjoy. Mam tu coś naprawdę dziwnego.

– Ja też – odpowiedział Desjardins.

Choć biuro Jovellanos znajdowało się w dalszej części korytarza, minęło zbyt dużo czasu, zanim pojawiła się w drzwiach Desjardinsa. Widok kolca kofeinowego w jej dłoni wyjaśnił mu dlaczego.

– Powinnaś się lepiej wysypiać – stwierdził. – Nie potrzebowałabyś wtedy tyle chemii.

Kobieta uniosła brew.

– I to mówi facet o opatentowanym składzie połowy krwi. – Jovellanos jeszcze nie dostała zastrzyków. Nie potrzebowała ich na zajmowanym obecnie stanowisku, ale była zbyt dobra w tym, co robiła, aby pozostać dużo dłużej na tej samej pozycji. Desjardins nie mógł już doczekać się dnia, kiedy jej jedyne słuszne przekonanie o Nienaruszalności Wolnej Woli zderzy się z prawnymi wymogami awansu. Zapewne wystarczy jej jeden rzut oka na listę świadczeń oraz nową pensję, by się ugiąć.

Jemu w każdym razie wystarczył.

Obrócił się na krześle z powrotem w stronę pulpitu i wywołał na wyświetlaczu matrycę korelacji.

– Spójrz na to. Poziom chlorofilu spada, temperatura gleby rośnie.

– Wysoka P-wartość – zauważyła Jovellanos.

– Małe rozmiary próbki. Nie w tym rzecz, spójrz na przesunięcie w czasie.

Kobieta pochyliła się.

– Strasznie wysokie granice ufności.

– Przesunięcie nie jest stałe. Czasem wystarczą dwa dni, żeby temperatura wzrosła, innym razem potrzeba kilku tygodni.

– Ciężko mówić o jakimkolwiek *wzorcu*, Killjoy. Cokolwiek...

– Spróbuj zgadnąć, z jakim rzędem wielkości mamy do czynienia – wtrącił.

– Chodzi o utratę pokrywy roślinnej, prawda? – Jovellanos wzruszyła ramionami. -Zakładając, że to *prawdziwy* skutek, jakieś pół stopnia? Jedna czwarta?

Desjardins pokazał jej właściwą odpowiedź.

– Jasna cholera – skwitowała kobieta. – Ten wirus wznieca *pożary*?

– Coś na pewno to robi. Przeszukałem miejskie archiwa wzdłuż wybrzeża, za każdym razem były to lokalne burze ogniowe, w większości przypadków uznano je za akty terroryzmu albo „wypadki przemysłowe”. Poza tym, spłonęło też kilka farm drzewnych z powodu jakiegoś szkodnika – zwójki albo czegoś podobnego.

Jovellanos była już u jego boku i przebiegała palcami po konsoli.

– A co z *innymi* pożarami w tym rejonie...

– Było ich całe mnóstwo. Nawet trzymając się ściśle kryteriów wyszukiwania znalazłem osiem czy dziewięć *niewykazujących* współzależności. *A* łączy się z *B*, ale nie vice versa.

– Więc może to czysty przypadek – zasugerowała z nadzieją kobieta. – Może to nic nie znaczy.

– Albo może ktoś inny radzi sobie lepiej z tropieniem tego wirusa niż my.

Przez chwilę Jovellanos milczała.

– Cóż, może uda nam się trochę poprawić nasze szanse – powiedziała wreszcie.

Desjardins podniósł wzrok.

– Tak?

– Pracowałam nad próbką, którą nam dali. Nie ułatwiają nam pracy, z tego co zauważyłam, nie zostawili ani jednej nienaruszonej organelli...

Mężczyzna machnął ręką.

– Dla spektrometru mas wszystkie i tak wyglądają tak samo.

– Pod warunkiem, że zostawili wszystkie części po ich zgnieceniu.

– Musieli to zrobić. W przeciwnym razie nigdy nie udałoby ci się opracować właściwej sygnatury.

– No cóż, nie mogę znaleźć połowy rzeczy, które powinny tam być. Nie ma nawet fosfolipidów. Mnóstwo nukleotydów, ale za nic nie pasują do matrycy DNA. Podejrzewam, że wasz wirus bazuje najprawdopodobniej na RNA.

– Uhm. – Nie była to żadna niespodzianka. Wiele mikrobów radzi sobie świetnie bez DNA.

– Udało mi się też zrekonstruować kilka prostych enzymów, ale są zbyt zesztywniałe, żeby funkcjonować prawidłowo. A, jest też coś dziwnego – znalazłam kilka D-aminokwasów.

– Ach. – Desjardins przybrał mądrą minę i pokiwał głową. – A co to właściwie oznacza?

– Prawoskrętne. Asymetryczne atomy węgla wystają z niewłaściwej strony cząsteczki. To tak, jakby przekręcić zwykły, lewoskrętny aminokwas. Obraz lustrzany.

– No i?

– Są przez to całkowicie bezużyteczne. Wszystkie szlaki metaboliczne zostały przystosowane do L-aminokwasów i *tylko* L-aminokwasów, i to co najmniej trzy miliony lat temu. Kilka bakterii używa R-aminokwasów właśnie *dlatego*, że są one bezużyteczne. Pokrywają nimi swoje ściany

komórkowe, by nie można było ich strawić, ale to nie z tym mamy tu do czynienia.

Desjardins odsunął się od blatu.

– Więc chcesz powiedzieć, że ktoś stworzył to coś zupełnie od zera? Mamy na głowie kolejnego, nowego wirusa?

Jovellanos pokręciła głową z dezaprobatą.

– A ta korpówa nawet ci o tym nie powiedziała.

– Może wcale o tym nie wie.

Jovellanos wskazała na nakładkę GIS. Wzdłuż wybrzeża, na linii łączącej Hongcouver z Newport, świeciły dwa tuziny szkarłatnych kropek. Dwa tuziny niewielkich anomalii w składzie chemicznym gleby i wody. Dwa tuziny nawiedzeń przez nieznanego mikroba, z których każde zwiastowało małą, ognistą apokalipsę.

– *Ktoś* wie – zauważyła kobieta.

Szramy

Całe Hongcouver lizało rany.

Miasto od zawsze kryło się tchórzliwie za wyspą Vancouver i labiryntem miejscowej batymetrii. To ocaliło je przed najgorszymi skutkami tsunami. Trzęsienie ziemi to była jednak kompletnie inna sprawa.

Jeszcze nie tak dawno temu, zanim nastały czasy Wiru, pracy w domu i na wpół opuszczonych centrów metropolii, liczba ofiar śmiertelnych w sercu miasta byłaby trzykrotnie wyższa. A tak, ci, którym udało się uniknąć wiwisekcji śródmieścia, po prostu zginęli bliżej domów. Całe osiedla, wzniesione na osadach naniesionych w delcie rzeki Fraser, pogrążyły się nagle w ruchomych piaskach i zniknęły. Richmond, White Rock i Chilliwack przestały istnieć. Mount Rainier obudziła się nocą w kiepskim humorze. Po sporej części południowego zbocza ściekała nieprzerwanie świeża lawa. Mount Adams na razie poruszała się niespokojnie przez sen, ale w każdej chwili można było spodziewać się eksplozji.

W sercu Hongcouver zniszczenia były bardziej zróżnicowane. Miejscami wręcz nie dało się znaleźć budynku z choćby pękniętą szybą, po czym nagle, po drugiej stronie przypadkowego skrzyżowania, rozpościerał się krajobraz pełen zrujnowanych gmachów i wypiętrzonego asfaltu. Ustawione po fakcie, jaskrawożółte barierki znaczyły granice poszkodowanych obszarów. Ponad ciemnymi strefami, niczym białe krwinki gromadzące się na powierzchni guza, wisiały podnośniki. Z góry spuszczano nowe dźwigary i belki, odtwórcze przeszczepy miejskiej skóry i kości. Z kanionów, gdzie lądowały, dobiegał pomruk ciężkich maszyn.

Na terenach pomiędzy tymi obszarami prąd płynął jedynie z połową mocy, do odpowiednich podstacji podpięto awaryjne ogniwa Ballarda. Niepowybrzuszane ulice oraz budynki, które nie skończyły w False Creek zostały oczyszczone i oddane do użytku. Na rogu ulic Georgia i Denman, kłębami popiołów buchały polowe krematoria, wyprzedzając o krok, przynajmniej na razie, zarazki cholery. Ostatnimi czasy więcej stało barierek niż budynków. Skończyły się czasy swobodnych podróży – KRASZ zamknął granice na wysokości Hell’s Gate.

Benrai’owi Duttonowi udało się przetrwać to wszystko.

Miał szczęście, jego mieszkanie znajdowało się w wyższej części Point Gray, granitowej wyspy pośród morza piasku. Choć zniknęły wszystkie okoliczne dzielnice, ta jedynie nieco się zapadła.

Rzecz jasna, i tu nie obyło się bez zniszczeń. Większość domów w niższej części uległa zawaleniu. Kilka tych, które się ostały, przechyliło się, jakby były pijane, w kierunku wschodnim. W żadnym z nich nie świeciło się światło, nie paliły się również uliczne latarnie, choć powoli zapadał zmrok. Jedynym źródłem blasku były przenośne reflektory, zamontowane prowizorycznie na palach, oddzielających zniszczone domy od tych wciąż stojących. Ich obecność była czymś w rodzaju mechanizmu obronnego. Trwały tam nie po to, by rozświetlać ruiny, ale by stanowić ich granicę.

Były tam po to, by oślepić Benrai’a Duttona, gdy z cieni wyłoniła się jakaś wariatka i skoczyła mu do gardła.

W jednej chwili sparaliżował go strach, gdy zobaczył zimne, jaśniejące oczy pozbawione źrenic, dwa lodowce uwięzione w ciele. Bezcielesna twarz, niemal tak blada, jak osadzone w niej oczy. Niewidzialne ręce, jedna zaciśnięta na jego szyi, druga na piersi...

...nie niewidzialne na czarno, jest cała na czarno...

– Co się stało?

– Co... co...

– Nie *zamierzam* odpuszczać! – syknęła, popychając go na siatkę. Jej oddech zawirował pomiędzy nimi niczym podświetlona mgła. – Wykorzystał nas, wykorzystał na *tysiące* jebanych sposobów, ale nie *pozwolę*, by uszło mu to *na sucho*!

– O kim...? O czym ty w ogóle...?

Kobieta znieruchomiała nagle. Przekrzywiła głowę, jakby właśnie zobaczyła go po raz pierwszy w życiu.

– Skąd, do cholery, *ty* się tu wziąłeś? – zapytała bez sensu.

Była od niego dobrych piętnaście centymetrów niższa, ale z jakiegoś powodu nie przyszło mu do głowy, by próbować z nią walczyć.

– Ja nie, ja... Ja po prostu wracałem do domu... – wykrztusił Dutton.

– Tamten dom – wycedziła kobieta. Jej oczy były jak jakieś szkła nocne, które przewiercały go na wylot.

– Jaki dom?

Raz jeszcze pchnęła go na siatkę.

– Ten dom. – Wskazała brodą gdzieś ponad jego lewym ramieniem. Dutton odwrócił głowę w kierunku budynku mieszkalnego, nienaruszonego, ale teraz, podobnie jak pozostałe, pogrążonego w mroku.

– Ten dom? Nie mam...

– Tak, *ten* dom! Jebany dom Yves’a *Scanlona*. Znasz go?

– Nie, to... to znaczy nie znam tu w zasadzie nikogo, właściwie to niespecjalnie utrzymujemy...

– Dokąd pojechał? – syknęła.

– Pojechał? – powtórzył słabym głosem.

– Dom jest całkiem pusty! Nie ma mebli, nie ma ciuchów, nie ma nawet jednej, jebanej *żarówki*!

– Może... Może wyjechał... Trzęsienie ziemi...

Zacisnęła pięści jeszcze mocniej na jego ubraniu i pochyliła się tak, że niemal dotykała ustami jego ust.

– Jego jebany dom nie został nawet *draśnięty*. Dlaczego miałby wyjeżdżać? I *jak* niby miałby to zrobić? Jest *nikim*, to jebane *zero*, myślisz, że mógłby ot tak pozbierać graty i wyjechać pomimo kwarantanny?

Dutton gorączkowo potrząsnął głową.

– Nie wiem... Naprawdę, nie...

Kobieta przyglądała mu się przez kilka chwil. Miała mokre włosy, choć przez cały dzień nie padało.

– Nie... Nie znam cię... – wymamrotała, jakby do siebie. Powoli rozluźniła uścisk dłoni. Dutton osunął się na siatkę.

Cofnęła się o krok, dając mu pole manewru.

Na to właśnie czekał. Jedną ręką sięgnął płynnie za pazuchę. Taser ugodził ją w klatkę piersiową, tuż poniżej dziwnego, metalicznego dysku, przyszytego do jej stroju. Powinna paść na ziemię w ułamku sekundy.

W ciągu tego ułamka sekundy:

Kobieta zamrugała.

Jej prawe kolano uniosło się i uderzyło, mocno. Naturalnie miał na sobie ochraniacz. Ale i tak zabolało jak diabli.

Jej prawa dłoń wystrzeliła w stronę uniesionej łydki. Coś się w niej pojawiło.

Wariatka cofnęła się nieco i wyciągnęła rękę. W odległości dwóch centymetrów od twarzy Duttona zawisła hebanowa różdżka z maleńkim kolcem na końcu. Przypominała czarną mambę z jednym kłem jadowym.

Pomimo bólu, poczuł ciepło rozlewające się w okolicy jego krocza.

Na twarz kobiety wypełzł przerażający uśmieszek.

– Korzystasz z mikrofalówki, człowieczku?

– C-co..?

– Urządzeń kuchennych? Sensorium? Ogrzewasz dom w zimie?

Pokiwał głową.

– Tak. Oczywiście, że tak. Ja...

– Hmm. – Mamba wiła się nad jego lewym okiem. – W takim razie myliłam się. Jednak cię znam.

– Nie – wyjąkał. – Nigdy się...

– Znam cię – powtórzyła. – I jesteś mi coś *winny*.

Jej kciuk dotknął czegoś przy uchwycie różdżki. Dutton usłyszał ciche pstryknięcie.

– Proszę... – błagał.

I, o dziwo, coś odpowiedziało na jego błagania.

Hongcouver posiadało status obszaru klęski żywiołowej. Policja miała na głowie mnóstwo pilniejszych zmartwień niż zajmowanie się dziwną zjawą, o której pojawieniu się doniósł jakiś rozhisteryzowany kutas. Mimo to, serwer przyjął zgłoszenie Duttona, kiedy tylko ten zadzwonił. Serwer nie był człowiekiem, ale był dostatecznie inteligentny, by zadać kilka dodatkowych pytań, na przykład o to, czy mężczyzna zauważył może coś, cokolwiek by to nie było, co mogło stać się przyczyną nagłego przerwania ataku?

Nie.

Czy zna powód, dla którego atakująca kobieta niespodziewanie zaczęła bełkotać coś o *ojcu*? Czy odwołanie do *potworów* miało w danym kontekście jakikolwiek sens?

Może po prostu była szalona – odpowiedział Dutton, choć, jak zanotował serwer, nie miał odpowiednich kwalifikacji, by stawiać diagnozy.

Czy widział, gdzie dokładnie się później udała?

Na dół. Pomiędzy gruzy, w kierunku wody.

A *tam* za cholerę by za nią nie poszedł.

Zapasy

VanCity CU/N’AmPac serwer transakcyjny
Konta osobiste, Broadway ATM-45, 50/10/05/0551
Początek transakcji

Witamy w VanCity. Czy jesteś członkiem?

– Nie mogłam się wcześniej połączyć za pośrednictwem zegarka.

Godzina policyjna, obejmująca zdalny dostęp, obowiązuje do 10.00. W chwili obecnej ten terminal może przetworzyć jedynie transakcje miejscowe. Przepraszamy za niedogodności. Czy jesteś członkiem?

– Lenie Clarke.

Witamy, pani Clarke. Proszę usunąć nakładki rogówkowe.

– Co?

Nie możemy otworzyć pani konta bez potwierdzenia obrazu rogówki. Proszę usunąć nakładki rogówkowe.

Dziękuję. Skanowanie.

Zakończono. Dziękuję, pani Clarke. Może pani kontynuować.

– Jaki jest stan mojego konta?

$Q42 329,15

– Chcę ściągnąć wszystko.

Czy jest pani zadowolona z usług VanCity?

– Nawet.

Ma pani zegarek oraz podskórny chip pieniężny na lewym udzie. Jak życzy sobie pani rozłożyć środki?

– Czterdzieści tysięcy pod skórę, resztę do zegarka. Automatyczny transfer wszystkich środków pod skórę w razie, gdybym została zaatakowana.

Nie można określić wystąpienia takiej sytuacji. Pani zegarek nie posiada wtyczki biotelemetrycznej.

– W takim razie automatyczny transfer aktywowany głosowo na hasło.

Jakie hasło?

– C-cień...

Proszę powtórzyć hasło.
Proszę powtórzyć hasło.
Proszę...

– Powiedziałam: cień.

Wykonano. Czy chce pani dokonać innej transakcji?

(niesłyszalne)

VanCity dziękuje za współpracę.

Koniec transakcji

Kabina medyczna Sears 199/Granville Island/Hongcouver
Zapis transakcji, głosowy, 50/10/05/0923
(Wyniki badań dołączone osobno)

Początek sesji

Usługi medyczne Sears witają. Prosimy otworzyć konto.
Dziękuję. Czy chce pani wprowadzić górny limit opłat?

– Nie.

Co możemy dla pani zrobić?

– Prawe ramię. Skręcone, złamane albo coś jeszcze innego. I badanie krwi. Zwłaszcza pod kątem patogenów.

Proszę o dostarczenie próbki krwi.
Dziękuję. Proszę o pani dokumentację medyczną albo numer dowodu tożsamości WestHemID.

– Nie ma mowy.

Dostęp do karty pacjenta pozwoliłby nam zapewnić lepszą jakość usług. Wszelkie informacje utrzymane zostaną w ścisłej tajemnicy, z wyjątkiem sytuacji stanowiących zagrożenie dla zdrowia ogółu oraz o wysokim znaczeniu marketingowym, w których to przypadkach sekwencjonowanie pani próbki, pod kątem określenia tożsamości, może być prawnie wymagane.

– Zaryzykuję. Dzięki, ale nie.

Pani ramię zostało niedawno zwichnięte, ale wróciło już na właściwe miejsce. Jeśli nie podda się pani leczeniu, będzie pani odczuwać ból oraz sztywność przez okres około dwóch miesięcy. Bez leczenia będzie pani miała ograniczoną zdolność poruszania ramieniem przez okres co najmniej roku. Czy życzy sobie pani coś na uśmierzenie bólu?

– Tak.

Przykro nam, w wyniku wysokiego zapotrzebowania w ostatnim czasie, wyczerpały się nasze zapasy środków przeciwbólowych. Przyspieszacze anaboliczne mogą skrócić czas leczenia od trzech do pięciu dni. Czy podać przyspieszacze anaboliczne?

– Pewnie.

Przykro nam, w wyniku wysokiego zapotrzebowania w ostatnim czasie, wyczerpały się nasze zapasy przyspieszaczy. W pani krwi występują niewielkie niedobory wapnia oraz siarki. Ponadto badanie wykazało podwyższony poziom hormonów – serotoniny, oksytocyny i kortyzolu – oraz podwyższony poziom płytek krwi i przeciwciał. Wyniki te są efektem niegroźnego uszkodzenia ciała na przestrzeni ostatnich trzech tygodni i nie są powodem do niepokoju, jednak niedobory minerałów mogą być również efektem niewłaściwej diety. Czy podać suplementy mineralne?

– A macie jakieś?

Kabiny medyczne Sears przechodzą częste przeglądy oraz są regularnie zaopatrywane, by zapewnić państwu dostęp do najlepszej opieki medycznej. Czy podać suplementy mineralne?

– Nie.

Wysoki poziom metabolitów komórkowych. Niski poziom mleczanu we krwi. Stężenie gazów we krwi oraz poziom aminów...

– A choroby?

Liczba żadnych patogenów nie wykracza ponad normę.

– Na pewno?

Przy standardowym badaniu krwi dokonuje się analizy pod kątem obecności ośmiuset znanych patogenów i pasożytów. Dokładniejsze testy można przeprowadzić za dodatkową, niewielką opłatą, ale oczekiwanie na wyniki może zająć nawet sześć godzin. Czy życzy sobie pani...

– Nie, ja... To przecież nie może być *to*, to znaczy... To z tego powodu?

Czy wystąpiły jakieś konkretne objawy, które panią niepokoją?

– Nie mam czasem żadnych infekcji powodujących halucynacje?

Czy może pani opisać te halucynacje?

– Same wizje. Bez dźwięków, bez zapachów. Mam je od kilku tygodni, z przerwami. Mniej więcej co kilka dni. Mijają same, po minucie czy dwóch.

Czy może pani opisać, co w nich widzi?

– A kogo to obchodzi? To przecież tylko jakieś problemy z biochemią, prawda? Nie możesz wykonać tomografii czy czegoś w tym stylu?

Znajdujący się w tej kabinie hełm do tomografii obecnie nie działa, a w pani krwi nie wykryto żadnych substancji psychoaktywnych. Jednak, jako że pewne choroby mogą powodować różne rodzaje halucynacji, możliwe, że uda się postawić diagnozę. Czy może pani opisać, co widzi w swoich wizjach?

– Potwora.

Czy może pani podać więcej szczegółów?

– To jakieś bzdury. Myślisz, że nie wiem, że liczycie sobie od każdej sekundy?

Nasze stawki są ściśle...

– Mów, co ze mną nie tak albo się rozłączę.

Nie mam dostatecznej ilości informacji, by postawić właściwą diagnozę.

– A teoretycznie?

Bardzo prawdopodobny wydaje się uraz neurologiczny. Może to być udar, bardzo niewielki, którego nawet nie będzie pani świadoma. Może on czasami spowodować wystąpienie omamów wzrokowych.

– Udar? Pęknięcie naczyń krwionośnych, tego typu rzeczy?

Tak. Czy została pani ostatnio poddana nagłym zmianom ciśnienia? Przykładowo, czy spędziła pani jakiś czas na dużych wysokościach albo w środowisku orbitalnym, czy też może wróciła z podwodnej wycieczki?

Rozłączenie klienta 50/10/05/0932
Koniec sesji

Ikar

Istnieli ludzie, którzy nazwaliby Achillesa Desjardinsa mordercą choćby i milion razy.

Mężczyzna musiał przyznać, że było w tym sporo prawdy. Każda nakładana przez niego kwarantanna oznaczała uwięzienie żywych wraz z umierającymi, stanowiła gwarancję, że przynajmniej część spośród tych pierwszych dołączy wkrótce do drugich. Jednak, ostatecznie, jaki miał wybór? Pozwolić każdej katastrofie rozwijać się swobodnie, by rozprzestrzeniła się na cały świat?

Desjardins radził sobie z problemami natury etycznej z niewielką pomocą swoich chemicznych przyjaciół. W głębi serca wiedział, że tak *naprawdę* nigdy nikogo nie zabił. On jedynie izolował jednych, by ocalić innych. Właściwego aktu zabójstwa dokonywała zaraza, z którą akurat walczył. Być może była to niewielka różnica, ale prawdziwa.

Krążyły jednak plotki. Zawsze krążyły plotki: *kolejny, logiczny krok*. Niepotwierdzone opowieści o zgonach, które nastąpiły nie *w następstwie* katastrofy, ale *przed* nią.

Nazywano to izolacją zapobiegawczą. Skany pod kątem patogenów wskażą jakieś przedmieście, na pierwszy rzut oka całkiem zdrowe, ale wszyscy wiemy, ile można podciągnąć pod *tę* etykietkę, jako Ognisko Zarazy Kolejnego Strasznego Wirusa. Symulacje Monte Carlo wykażą, z pewnością rzędu 99%, że do powstrzymania nadciągającego zagrożenia nie wystarczą konwencjonalne kwarantanny ani typowe antybiotyki. LD90s wyliczy, że współczynnik umieralności wyniesie pięćdziesiąt czy osiemdziesiąt procent, czy też tyle, ile zostanie uznane w danym tygodniu

za niemożliwe do przyjęcia na tej konkretnej liczbie hektarów. Wkrótce wybuchnie jeszcze jeden z tych cholernych pożarów, na przykład w wysuszonym sercu Ameryki Północnej, po którym Dicksville w stanie Arkansas zniknie z map.

Rzecz jasna, były to tylko plotki. Nikt ich nie potwierdzał, nikt im nie zaprzeczał. Nikt w zasadzie nawet ich nie powtarzał, z wyjątkiem Alice, kiedy wpadała w swój moralizatorski ton. W takich sytuacjach, Desjardins dochodził do wniosku, że nawet jeśli te historie były prawdziwe, a stosowane metody przekraczały cienką granicę nieco bardziej niż powinny, to jakie były alternatywy? Pozwolić każdej katastrofie rozwijać się swobodnie, by rozprzestrzeniła się na cały świat?

Przez większość czasu w ogóle o tym nie myślał. Zdecydowanie nie miało to z nim nic wspólnego.

Tym razem jednak pewne rzeczy w jego własnej skrzynce odbiorczej zaczynały wyglądać naprawdę nieciekawie. Obraz klarował się z wolna, z chmur danych formowała się mozaika, przez Wir dryfowały nici nowych wieści, fragmenty pogłosek z trzeciego pokolenia. Wszystko to łączyło się w jego umyśle w jedną całość, która niebezpiecznie przypominała morski pejzaż.

βehemot miał związek z nieznacznym spadkiem poziomu barwnika, który odpowiadał za fotosyntezę. A ten spadek z kolei łączył się w większości przypadków z pożogą. W siedemdziesięciu dwóch procentach przypadków pożary miały miejsce w portach morskich, stoczniach oraz na placach budowy na pełnym morzu. Pozostałe pochłonęły fragmenty terenów mieszkalnych.

Zginęli ludzie. Dużo ludzi. A gdy, pod wpływem impulsu, Desjardins postanowił sprawdzić zawody mieszkańców spalonych terenów, osób, których nazwiska pojawiły się w nekrologach, okazało się, że niemal w

każdym przypadku w płomieniach zginął przynajmniej jeden inżynier morski, zawodowy nurek albo marynarz.

To cholerstwo nie wymknęło się z żadnego laboratorium. βehemot przybył z oceanu.

Prąd Kalifornijski opływa wybrzeże N'AmPac od strony Zatoki Alaska. Na wschód od Meksyku miesza się z Prądem Północnopacyficznym i Prądem Północnorównikowym, a te z kolei zlewają się z Kuro Siwo, u wybrzeży Japonii, oraz ze Wschodnim Prądem Wstecznym i Prądem Południowym Równikowym na południowym Pacyfiku. Te ostatnie kończą w Dryfie Wiatrów Wschodnich. *Kość skokowa łączy się z piszczelą, piszczel z kolanem i nim się zorientujesz, okrążona zostaje cała cholerna planeta*.

Studiował chmurę danych, trąc oczy.

Jak odizolować coś, co obejmuje sobą siedemdziesiąt procent planety?

Wygląda na to, że wypalając to.

Postukał palcami w konsolę.

– Hej, Alice.

Jej okno otworzyło się w prawym górnym rogu.

– Jestem.

– Masz coś dla mnie?

– Jeszcze nie – odpowiedziała. – Nic pewnego.

– Niech będą choć przypuszczenia. Cokolwiek.

– Jest mały. Około dwieście czy trzysta nanometrów. Bazuje głównie na związkach siarki, przynajmniej jeśli chodzi o strukturę. Bardzo uproszczony genotyp, wydaje mi się, że używa RNA zarówno do katalizy, jak i replikacji. Niezła sztuczka. Przystosowany do prostych ekosystemów, co ma sens, jeśli to sztuczny wytwór. Nie spodziewali się, że wydostanie się poza hodowlę.

– Ale co on *robi*?

– Nie potrafię tego powiedzieć. Mam tu do czynienia z żabą w mikserze, Killjoy. W zasadzie powinieneś być pod wrażeniem, że udało mi się osiągnąć *aż* tyle. Moim zdaniem to dość oczywiste, że *mamy* nie dowiedzieć się, co on robi.

– Czy może to być jakiś paskudny patogen?

Musi. Po prostu musi. Skoro palimy ludzi...

– Nie – rzuciła beznamiętnie, ale dobitnie. – Nie *my*. *Oni*.

Desjardins zamrugał. Powiedziałem to na głos?

– Alice, wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

– Uhm...

– Alice... – Czasami naprawdę go wkurzała. *Mamy wojnę*, chciał wykrzyczeć. *Nie przeciwko korpom, urzędnikom czy twojemu wyimaginowanemu Imperium Zła. Walczymy z całym, obojętnym wszechświatem, który wali się nam na głowy, a ty wkurwiasz się na mnie, bo czasem musimy dopuścić możliwość pojawienia się ofiar?*

Alice Jovellanos miała jednak klapki na oczach. Klapki wielkości Antarktydy. Czasem nie sposób było przemówić jej do rozsądku.

– Po prostu odpowiedz na pytanie, ok? Ewidentnie ktoś uważa, że ten wirus jest niezwykle niebezpieczny. Może to być jakaś choroba?

– Masz na myśli broń biologiczną? – Kobieta, co zaskakujące, pokręciła głową. – Mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

– Choroby to zwykłe, małe drapieżniki, które pożerają cię od środka. Jeśli zostały zaprojektowane tak, by żywić się twoimi molekułami, ich biochemia powinna być zgodna z twoją. W tym wypadku D-aminokwasy sugerują, że jest inaczej.

– Tylko sugerują?

Jovellanos wzruszyła ramionami.

– Żaba w mikserze, pamiętasz? Chcę jedynie powiedzieć, że jeśli A ma zjeść B i się nie porzygać, powinny mieć podobną biochemię. βehemot wygląda jednak jakby pochodził z głębi Obłoku Oorta i dlatego nie pasuje do tego wzorca. Ale mogę się mylić.

Ale nosiciele, czyli konstruktorzy statków, nurkowie...

– A byłby przynajmniej w stanie przetrwać w organizmie ludzkiego żywiciela?

Kobieta ściągnęła wargi.

– Wszystko jest możliwe. Spójrz na A-51.

– A co to takiego?

– Mikrob utleniający metale. Zamieszkuje osady głębokich jezior, a jednak kilka milionów z nich znajduje się w tej chwili w twoich ustach. Nikt nie ma pojęcia, jak właściwie się tam znalazły, ale tak to właśnie wygląda.

Desjardins złożył palce w piramidkę.

– Powiedziała, że to drobnoustrój glebowy – wymamrotał, jakby do siebie.

– Powiedziałaby, że to gotowana kolba kukurydzy, gdyby uznała, że dzięki temu ochroni swoje korporacyjne dupsko.

– Jezu, Alice... – Pokręcił głową. – Dlaczego w ogóle tu pracujesz, skoro twoim zdaniem służymy władcy zła?

– Wszyscy inni są jeszcze gorsi.

– Cóż, nie wydaje mi się, by βehemot pochodził z jednego z koncernów farmaceutycznych. Wydaje mi się, że wziął się z oceanu.

– A dlaczego?

– Pożary mają związek z ludźmi, którzy spędzili dłuższy czas na morzu.

– Ocean to całkiem duży obszar, Killjoy. Wydaje mi się, że gdyby to był jakiś naturalny wirus, wydostałby się na ląd wiele milionów lat temu.

– Taa – Desjardins podłączył się do akt personalnych każdej z istotnych ofiar, poświęcając chwilę na złożenie niemych podziękowań za diabelski pakt, który pozwolił mu zamienić wolną wolę na certyfikaty bezpieczeństwa, i zabrał się za zawężanie obszaru poszukiwań.

– Chociaż jak już o tym wspominasz – ciągnęła Jovellanos – to te sztywne enzymy *rzeczywiście* działałyby lepiej w warunkach wysokiego ciśnienia.

Menu, kilka wklepanych komend i na tablicy pojawiło się wypukłe odwzorowanie północnego rejonu Pacyfiku.

– Jeśli ten mały drań *nie* jest sztucznym wytworem, to musi być prastary. Starszy nawet niż Marsjanin Mike... Hej, może on nawet tam *powstał*. To by było coś, prawda?

Desjardins rozciągnął na mapie siatkę GIS i uzupełnił ją o dane. Na wyświetlaczu rozbłysły świetliste punkty, podobne do śladów radioaktywnych w komorze mgłowej. Wszystkie, zebrane miejsca pracy ofiar związanych z morzem.

– Hej, Killjoy.

Punkty zbierały się w nierównomierne skupiska w kilku kluczowych lokacjach. Wszystkie to były morskie farmy, placówki górnicze, wstęgi transoceanicznych szlaków żeglugowych. Nic nadzwyczajnego.

– Halooo? – W oknie rozmowy głowa Jovellanos kiwała się niecierpliwie, to przybliżając się, to znów oddalając.

Przejdźmy do rzeczy, dobrze? Wszystkie miejsca, gdzie wszyscy ci ludzie przebywali jednocześnie w ciągu ostatnich... powiedzmy, dwóch lat...

Prawie nie zauważył, że Alice Jovellanos rozłączyła się, mrucząc coś pod nosem o zespole deficytu uwagi.

Prawie nie zauważył, bo Ocean Spokojny całkowicie pogrążył się w mroku, z wyjątkiem jednego skupiska punktów. Skupiska na południowym wierzchołku Grzbietu Juan de Fuca. Komin Channer, jak objaśniła mu legenda.

Elektrownia geotermalna. Miejsce o nazwie *Beebe*.

Tam też były ofiary. Tylko, że nie z powodu pożaru. Według rejestrów cała załoga Beebe zginęła w wyniku trzęsienia ziemi.

Właściwie to – Desjardins nałożył nakładkę sejsmiczną – stacja Beebe znajdowała się niemal dokładnie w *epicentrum* wstrząsów, które wywołały kataklizm...

βehemot pochodzi z dna oceanu. Zamieszkiwał tamtejsze kominy albo był uwięziony w nieciągłości Moho, a trzęsienie ziemi wypuściło go na wolność. Teraz tamci biegają jak jakieś adrenokortykotropy, próbując sfajczyć wszystko, co tylko miało kontakt z...

Nie, chwila...

Więcej komend. Chmura danych rozproszyła się, po czym uformowała ponownie, tym razem tworząc kolumnę ułożoną w porządku odwrotnym do chronologicznego. Przy każdym punkcie pojawiła się świecąca data.

Niemal wszystkie przypadki burz ogniowych miały miejsce *przed* trzęsieniem ziemi.

Desjardins stworzył podzbiór, zawierający jedynie pożary na terenach przemysłowych, wyciągniętych z faktur GA. *Quelle surprise* - każde z tych miejsc należało do firmy mającej udział w kontrakcie budowlanym Beebe.

To coś wydostało się przed trzęsieniem ziemi.

To oznacza, że trzęsienie ziemi mogło nie być zwykłą klęską żywiołową. Mogło stanowić jedynie efekt uboczny. Wypadek przy pracy w czasie próby izolacji.

Najwyraźniej nieudanej próby izolacji.

Skontaktował się z każdą bazą danych sejsmicznych w obrębie Oazy. Przygotował tysiące wiadomości w butelkach i cisnął je w Wir, mając nadzieję, że jakaś zostanie wyrzucona na brzeg biblioteki technicznej, archiwum zdjęć satelitarnych albo witryny, zajmującej się nadzorem przemysłowym. Stworzył dedykowane linki do centrów sejsmicznych w UBC, Melbourne i CalTech. Na jego oczach zbierały się tony śmieci: *archiwa oczyszczono dla zwolnienia pamięci*, *dane usunięto ze względu na niski popyt*, *adres uszkodzony, proszę nie próbować uzyskać dostępu*. Przepuścił krzyki, echa i bełkoty przez dziesiątki filtrów, osłabił sygnał i przyjrzał się jedynie osadom, natrafiając na luki i wstawione mosty.

Przestudiował dane sejsmiczne, bezpośrednio poprzedzające trzęsienie ziemi i nie znalazł wśród nich niczego nieprzewidzianego. Nie było żadnych osunięć, żadnych wstrząsów poprzedzających, żadnych zmian w mikrograwitacji czy głębokości oceanu. Żadnego z maleńkich sygnałów, jakie zazwyczaj zwiastują bliską aktywność sejsmiczną.

Dziwne.

Przeczesał archiwa w poszukiwaniu obrazów satelitarnych. Wyglądało na to, że nic, co wisiało nad północnym Pacyfikiem, nie zrobiło akurat tego dnia żadnych zdjęć.

Jeszcze dziwniejsze. Właściwie niemal niewyobrażalne.

Rozszerzył zakres poszukiwań, rozciągając go od Wschodniej Strefy Tropikalnej Konwergencji po Morze Beringa. Jedno trafienie: znajdujący się na orbicie polarnej satelita Earthsat przelatywał akurat nad równoleżnikiem 45°, gdy dotarły do niego pierwsze wstrząsy. Maszyna robiła zdjęcia Morza Beringa w widzialnym widmie, nawet nie spoglądała w stronę Pacyfiku. To było tylko szczęśliwe zrządzenie losu, że zarejestrowała obraz kątem oka, rozmazaną kolumnę chmur na horyzoncie, wznoszącą się z powierzchni oceanu na tle bezchmurnego nieba.

Według GPS-a, kolumna wystrzeliła z wody dokładnie ponad Kominem Channer.

Desjardins wycisnął z każdego piksela, ile tylko się dało. Szara łodyga nie powie mu już nic więcej, to tylko kolumna chmur, niewyraźna, niewyróżniająca się niczym i, w dodatku, znajdująca się w odległości trzech tysięcy kilometrów od aparatu.

Na zdjęciu jednak *była* jeszcze pewna bezkształtna kropka, nieco z boku. Z początku Desjardins uznał, że brak wyraźnych szczegółów to wina oparu, ale nie. Rozmazanie było efektem ruchu, jak wyjaśnił mu komputer. Wszystko wzdłuż jednej osi, łatwo to skorygować.

Kropka stała się wyraźniejsza. Poza konturem wciąż nie dało się rozpoznać szczegółów, ale wyglądało na to, że jest to jakiś pojazd. Desjardins odniósł niejasne wrażenie, że kształt wydaje mu się znajomy. Przepuścił tajemniczy kontur przez standardowy katalog przemysłowy, ale bez skutku.

Cholera, pomyślał. *Wiem, co to takiego. Wiem.*

Co to jest?

Wpatrywał się w obraz przez dobrych dziesięć minut. Potem jeszcze raz przywołał katalog.

– Zresetuj rozdzielczość wzorca – polecił. – Zablokuj funkcję rozpoznawania pojazdu. Skanuj w poszukiwaniu *części* pojazdu, katalog standardowy.

Tym razem zabrało to dużo więcej czasu. Całość była o *wiele* mniejsza niż suma składowych. Przetwarzanie migało nieśmiało na głównym wyświetlaczu już od około dwóch minut, gdy nagle jego miejsce zajęło coś bardziej konkretnego:

Brander, Mi/ke/cheal

Caraco, Jud/y/ith

Clarke, Len/ie
Lubin, Ken/neth
Nakata, Alice

Nazwiska unosiły się ponad powiększonym, ziarnistym obrazem bezwstydnie niedorzeczne.

Rzecz jasna, Desjardins natychmiast je rozpoznał. Spis członków załogi pojawił się na jego tablicy, gdy tylko zaczął szukać informacji o *Stacji Beebe*. Przecież zamknął tamto okno, a nazwiska, tak czy inaczej, nie powinny przewijać się przez główny wyświetlacz.

Pewnie to jakiś błąd oprogramowania. Zbłąkane fotony przepływające przez uszkodzony fragment izolacji kwantowej. Takie rzeczy zdarzały się w Wirze przez cały czas, a czasami nawet i w nieskazitelnej Oazie. Mamrocząc pod nosem przekleństwo, postukał palcami w tablicę, by ją oczyścić. Bezczelny tekst posłusznie zniknął.

Jednak przez ułamek sekundy, w jego miejscu na ekranie mignęło coś innego. Zwykły cywil nawet by tego nie zauważył. Desjardins jednak dostrzegł – ciągi tekstu w języku angielskim. W oczy rzuciło mu się kilka słów – *anioł*, *ginący gatunek*, *wampir* – większość jednak zniknęła zbyt szybko, by można było je zdekompilować i to nawet przy pomocy podkręconego obwodu nerwowego.

Beebe też się tam pojawiła.

Sekundę później ekran rozbłysnął wynikami wyszukiwania ze standardowego katalogu, a *Beebe* przesunęła się na czołowe miejsce w umyśle Desjardinsa.

Komercyjne podnośniki można było rozpoznać po wielkich pęcherzach wypełnionych próżnią, nośnych torusach, pozwalających im unosić się w powietrzu. Na obrazie Desjardinsa nie było widać podobnej sylwetki, dlatego też katalog z początku jej nie rozpoznał. Brakowało pęcherza

unoszącego, chyba że brało się pod uwagę kilka powiewających za kształtem, poszarpanych pasów. Jedynym, co pozostało z podnośnika na zdjęciu, był skaf wahadłowy, normalnie wczepiony w brzuszną stronę modułu dowodzenia podnośnika. Skaf, który spadał w dół.

Ucieczka z więzienia

Co sekundę, przez gardło o szerokości trzydziestu pięciu metrów przelewało się dwanaście tysięcy metrów sześciennych wody. Nie bez powodu nazwano to miejsce *Hell's Gate*[2]

2. Wrota piekieł (przyp. tłum.).

Przybywały tu całe pokolenia, by z otwartymi ustami podziwiać krajobraz. Ponad kanionem wisiały niepewnie wagoniki kolejki linowej, dostarczające żądnym wrażeń turystom widoków kipiących, spienionych wód. Zakłady użyteczności publicznej ubolewały nad faktem, że marnowało się tu tyle megawatów, że miliardy dżuli przelewają się bezużytecznie do oceanu, niemożliwe do okiełznania. W zasięgu ręki, a jednak tak dalekie.

Potem świat zaczął dygotać. Pochylił się na jedną stronę, potem na drugą, wydawało się, że utrzymująca go w pionie maszyneria z każdym dniem robi się coraz bardziej głodna. Na rzece Fraser budowano tamę za tamą, byle tylko zaspokoić tę żądzę. Hell's Gate opierało się najdłużej. Miejsce, które z początku było absolutnie nietykalne, stało się potem jedynie trudno dostępne. Jeszcze później niemalże ekonomiczne.

Wreszcie zaś nieodzowne.

Trzęsienie ziemi prześliznęło się przez góry niczym oddział partyzantów, tu coś roztrzaskując, tam znów jedynie dając lekkiego prztyczka dla przypomnienia. Przekradło się obok Hope i Yale, nie rozbijając choćby jednej szyby. Hell's Gate znajdowało się w odległości dobrych dwustu kilometrów w górę rzeki, były zatem *powody*, by mieć nadzieję, choć brakowało na to czasu.

Grad prekambryjskich skał zniszczył tamę, jednocześnie ją zastępując. Rzeka Fraser wystrzeliła przez wyłom tylko po to, by zderzyć się z powstałą na poczekaniu ścianą zawalonego granitu pół kilometra niżej. Zbiornik wodny nie został opróżniony, a jedynie uległ *wydłużeniu* z północy na południe. Przerwana tama przecinała sam jego środek, zniszczona po zachodniej stronie, lecz wciąż trwająca po wschodniej.

Autostradę transkanadyjską wyryto w cudowny sposób w połowie wysokości wschodniej ściany kanionu, tworząc w ten sposób czteropasmową wyrwę w strzelającej w niebo skale. W miejscu, gdzie tama stykała się ze zboczem góry, przez które z kolei biegła trasa, zrzucono z nieba barierę, która miała na celu zablokowanie drogi. Ponad zaporą i szarą, łukowatą szramą przelewu wisiały muchoboty.

W ciągu nocy Pas przesunął się na wschód. To była jego nowa granica. Zadaniem Roberta Boyczuka było dopilnowanie, by nie przemieścił się dalej.

Mężczyzna powiódł wzrokiem po wnętrzu kabiny śmigłowca i przyjrzał się Bridson. Ta nawet tego nie zauważyła. Górną część jej twarzy skrywał zestaw wizualizacyjny. Bridson już od ponad godziny oddawała się jakimś wirtualnym rozrywkom. Boyczuk nie miał jej tego za złe. Siedzieli tu od prawie dwóch tygodni i nikt nie próbował przerwać kwarantanny, za wyjątkiem dwóch baribali. Wprawdzie w ciągu kilku dni po trzęsieniu ziemi kilka pojazdów dotarło aż tutaj, ale bariera, oklejona dyrektywami dotyczącymi kwarantanny oraz rozporządzeniami N’AmPac, zatrzymała większość z nich. Resztę zniechęciły oddane przez muchoboty strzały ostrzegawcze. Nie było potrzeby ujawniać obecności śmigłowca pacyfikacyjnego, czającego się za ścianą. Bridson przespała większość tych wydarzeń.

Boyczuk traktował swoje obowiązki nieco bardziej poważnie. Istniała zdecydowana potrzeba segregacji, nikt tego nie kwestionował. Wszystko, od wirusa Nipah po *Hydrillę*, przekradłoby się przez granicę przy pierwszej nadarzającej się okazji i to nawet w najlepszych czasach, a teraz, gdy jedna połowa wybrzeża przestała istnieć, a druga zajęta była zwalczaniem standardowej gamy wirusów gnilnych, ostatnią rzeczą, jakiej wszyscy potrzebowali, byłoby rozprzestrzenienie się chaosu w głąb lądu.

W głębi lądu mieli swoje własne problemy. Było aż nadto granic do obejścia, niezależnie od tego, w którą stronę spojrzeć. Czasami wydawało się, że na całym świecie rozpościera się jakaś niewidzialna pajęczyna, rozrastająca się, uszkodzona sieć, dzieląca planetę na kawałki. Zadaniem Boyczuka było siedzieć na jednej z takich krawędzi i powstrzymywać wszystko przed przedostaniem się na drugą stronę, dopóki nie zostanie odwołany stan zagrożenia. O ile oczywiście to się stanie. Niektóre miejsca w Ameryce Południowej, a nawet i w N’Am, jeśli już o tym mowa, znajdowały się w stanie „tymczasowej kwarantanny” już od ośmiu czy dziewięciu lat.

Na ogół ludzie po prostu się z tym godzili. Boyczuk miał łatwą pracę.

– Hej – odezwała się Bridson. – Patrz na to.

Przekierowała sygnał ze swojego zestawu wizualizacyjnego na ekran pokładowy. Czyli jednak nie grała w gry VR. Jeździła na muchobotach.

Na wyświetlaczu pojawił się obraz kobiety, która przykucnęła na popękanym asfalcie. Boyczuk sprawdził jej lokalizację. Znajdowała się kilkaset metrów od autostrady, ukryta przed blokadą za zakrętem zachodniego urwiska. Jeden z muchobotów przy tamie zauważył ją za rogiem.

Plecak. Luźne ubranie, strój turysty. Górna część twarzy skryta za wizjerem zestawu wizualizacyjnego. Czarne rękawiczki, krótkie czarne

włosy. Nie, jakiś czarny kaptur, może część wizjera. Kiepski sposób na wyrażanie siebie. Skromnym zdaniem Boyczuka, rzecz jasna.

– Co ona robi? – zapytał. – Jak w ogóle się tu dostała? – Nigdzie nie było widać ani śladu żadnego pojazdu, ale mógł zostać zaparkowany niżej.

– Nie – powiedziała Bridson. – Ona chyba nie myśli o tym *poważnie*.

Kobieta przyjęła pozycję sprinterską.

– Kiepska postawa – zauważyła Bridson. – Może skręcić kostkę.

Nieznajoma pomknęła naprzód jak wystrzelona z procy.

– Ach *tak* – mruknęła Bridson.

Nieznajoma biegła samym środkiem autostrady, nie odrywając wzroku od asfaltu i unikając, lub przeskakując nad nimi, pęknięć, w których mogłaby utknąć jej stopa. O ile nic jej nie zatrzyma, za mniej więcej minutę zderzy się z barierą.

Rzecz jasna, *zostanie* zatrzymana.

Muchoboty wysłały sygnał ostrzegawczy. Kobieta znalazła się właśnie na patrolowanym przez nie terenie. Boyczuk skierował w niebo jedną z umieszczonych przy barierze kamer. Muchobot znajdujący się najbliżej celu wyłamał się z szyku i ruszył kobiecie na spotkanie. Zaprogramowane zachowania stadne zmusiły pobliskie maszyny do ruszenia jego śladem, jakby wszystkie nanizane były na niewidzialną nić. Nibynóżka powstała z połączenia kropek, sięgająca po swoją ofiarę.

Nieznajoma skręciła gwałtownie w stronę krawędzi drogi i spojrzała w dół. Dziesięć metrów niżej brązowa, kotłująca się woda kąsała żarłocznie ścianę kanionu.

– Zbliżasz się do obszaru o ograniczonym dostępie – zrugał kobietę naczelny muchobot. – Proszę zawrócić. – Na jego brzuchu zaczęło pulsować czerwone światło.

Nieznajoma przyspieszyła. Ponownie rzuciła okiem na wzburzoną rzekę.

– Co do cholery? – odezwał się Boyczuk.

Fragment jezdni eksplodował nagle tuż przed kobietą. Strzał ostrzegawczy. Nieznajoma zatoczyła się, z trudem utrzymując równowagę.

– Upoważniono nas do użycia siły – ostrzegł naczelny muchobot. – Proszę zawrócić. Na dwóch maszynach za nim również zamigotały diody.

Kobieta robiła uniki i biegła zygzakami, trzymając się zachodniej krawędzi drogi. I wciąż spoglądała w *dół*...

Boyczuk wychylił się do przodu.

Chwileczkę...

Za kobietą, woda rozbijała się wściekle o porozrzucane bezładnie ostre głazy wielkości domów. Każdy, kto by tam wpadł, zamieniłby się w miazgę w ciągu dosłownie dwóch sekund. Jednak bliżej tamy, od zawietrznej strony jej niezniszczonego końca, tam woda wydaje się niemal dostatecznie spokojna, żeby...

– *Cholera* – Boyczuk wcisnął guzik zapłonu. – Zamierza skoczyć. Ona zamierza *skoczyć*...

Turbiny za jego plecami z wyciem nabierały prędkości.

– O czym ty mówisz? – zapytała Bridson.

– Zamierza... Osz, *cholera*...

Kobieta potknęła się i gwałtownie skręciła. Jej stopy natrafiły na obluzowany żwir. Boyczuk pociągnął za drążek sterowniczy. Z głośnym *wut-wut-wut* śmigłowiec powoli oderwał się od ziemi, nędzne dziesięć sekund od zapłonu do startu, obiekt zazdrości pojazdów szybkiego reagowania na całym świecie, a i tak ledwie zdążył osłonić barierę. Nieznajoma z plecakiem pośliznęła się, młócąc powietrze rękami, po czym

wybiła się w górę, jednak nie *tam*, gdzie chciała i nie *tak*, jak chciała, nie mając teraz innej opcji poza krótkim, spektakularnym lotem...

Muchoboty strzelały za nią, gdy spadała. Rzeka pochłonęła ją niczym płynna lawina.

– Jezu – szepnęła Bridson.

– Podczerwień – warknął Boyczuk. – Jeśli jest tam cokolwiek, co odstaje od otoczenia choćby o pół stopnia, to chcę to zobaczyć.

Pod nimi przelewały się bez końca wody rzeki Fraser.

– Daj spokój, szefie. Niczego nie znajdziesz. Pewnie jest już jakiś kilometr stąd, w dodatku raczej w kawałkach.

Boyczuk rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Po prostu zrób to, dobrze?

Bridson wcisnęła kilka guzików. Obraz z brzusznej kamery śmigłowca zastąpiła mozaika fałszywych kolorów.

– Mam wysłać muchoboty? – zapytała.

Boyczuk pokręcił głową.

– Nie możemy zostawić granicy bez ochrony. – Wykonał maszyną zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i skierował ją powoli na zachód.

– Hej, szefie?

– Tak?

– Co się właściwie stało?

Boyczuk potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że próbowała skoczyć do starorzecza, tuż przed tamą.

– Po co? Żeby mieć parę sekund na utonięcie albo zamarznięcie zanim porwałby ją prąd?

– Nie mam pojęcia – powtórzył.

– Istnieje mnóstwo łatwiejszych sposobów na popełnienie samobójstwa.

Boyczuk wzruszył ramionami.

– Może to jakaś wariatka.

Była 13.34 czasu górskiego.

Skierowana pod prąd ściana tamy w Hell’s Gate nie miała być wystawiana na widok publiczny. Jeszcze do niedawna znaczna jej część znajdowała się pod uwięzionymi wodami rzeki Fraser. Teraz jednak została obnażona – spękana, szorstka, szara ściana, wyłaniająca się z błota tuż ponad linią podłoża, gdzie barierę znaczył ciąg zbiorników opadowych, podobnych do szeregu rozwartych szeroko ust. Kraty z przyśrubowanych prętów zbrojeniowych chroniły je przed pochłonięciem czegoś na tyle dużego, że mogłoby uszkodzić turbinę hydroelektryczną.

Nawiasem mówiąc, ludzie niemalże podpadali wielkością pod tę kategorię.

Rzecz jasna, turbiny były zimne i nieruchome. Z całą pewnością nie mogły stanowić źródła śladu cieplnego, który zaczął nagle emanować z wnętrza wlotu umieszczonego najdalej na wschód. Jeden z muchobotów przy Hell’s Gate zarejestrował tę sygnaturę o 13.53 czasu górskiego – obiekt, promieniujący temperaturą o 10°C wyższą od otoczenia, wyłonił się z wnętrza tamy i ześliznął w błoto. Muchobot oddalił się nieco ze swojego stanowiska, by zyskać lepszy ogląd sytuacji.

Temperatura powierzchniowa obiektu była zbyt niska, jak na ludzkie normy. Muchobot nie był geniuszem, ale umiał oddzielić ziarna od plew. Ludzie, nawet ubrani w odzież termoizolacyjną, wciąż mieli twarze, które zdradzały ich swoją ciepłotą. Natomiast izolacja obecnego celu była o wiele bardziej jednolita, a jego izotermy mniej zróżnicowane. Oczywiście zwrot „ssak pokryty futrem” byłby dla muchobota zupełnym bełkotem. Mimo to, maszyna rozumiała ideę na swój własny, ograniczony sposób. Nie było to coś, na co warto byłoby tracić czas.

Muchobot powrócił na swoje stanowisko i skierował uwagę na zachód, skąd nadejść miało prawdziwe zagrożenie. Teraz nadciągało stamtąd jedynie coś dużego, czarnego i owadziego, wracającego na swoją grzędę. Transponder tego wysyłał przyjazne sygnały. Muchobot usunął się z drogi, by zrobić mu miejsce, po czym wrócił na pozycję, gdy śmigłowiec opadł na ziemię za barierą. Ludzie i maszyny stali ramię w ramię na straży całej ludzkości.

Tyle, że patrzyli w niewłaściwą stronę. Lenie Clarke opuściła Pas.

Biuro Obsługi Klienta

Tu pomoc rejestrów publicznych.

– Clarke Indira. Clarke z „e” na końcu. Mieszkanie numer 133, CitiCorp 421, Coulson Avenue, Sault Sainte Marie.

Clarke, Indira
Mieszkanie 133, CitiCorp 421, Coulson Ave.
Sault Sainte Marie, Ontario
Zgadza się?

– Tak.

Nie znaleziono. Czy zna pani numer dowodu tożsamości WestHem ID Indiry Clarke?

– Umm, nie. Adres może być nieaktualny, to było piętnaście, szesnaście lat temu.

Obecne archiwa sięgają trzy lata wstecz. Czy zna pani drugie imię Indiry Clarke?

– Nie. Ale kiedyś łowiła w Wirze. Chyba jako wolny strzelec.

Nie znaleziono.

– Ile jest Indir Clarke w Sault Sainte Marie?

5

– A ile z nich ma córkę, jedynaczkę, urodzoną w lutym, umm...

Nie znaleziono.

– Chwila, w lutym, chyba w lutym 2018 roku...

Nie znaleziono.

– ...

Czy ma pani jakieś inne pytania?

– Ile jest Indir Clarke w całym N’Am, zajmujących się zawodowo połowem w Wirze, mających córkę jedynaczkę urodzoną w lutym 2018 roku, o imieniu Lenie?

Nie znaleziono.

– W takim razie ile jest na całym *świecie*?

Nie znaleziono.

– To niemożliwe.

Istnieje kilka powodów, dla których wyszukiwanie mogło zakończyć się niepowodzeniem. Wyszukiwana osoba może być niezarejestrowana, możliwe też, że nie żyje. Podane informacje mogły być niewłaściwe. Dane archiwalne rejestrów publicznych mogły ulec uszkodzeniu, mimo naszych nieustających wysiłków, mających na celu utrzymanie pełnej i dokładnej bazy danych.

– To *po prostu, kurwa, niemo*...

Rozłączono.

Przyczółek

Albo – albo spoglądały na niego oskarżycielsko z głównego wyświetlacza. Desjardins mierzył je wzrokiem tak długo, na ile starczyło mu śmiałości, czując przy tym jak żołądek zawiązuje mu się na supeł. Potem złamał się i uciekł.

Winda wypluła go przez lobby do świata realnego. Ze wszystkich stron górowały nad nim kaniony ze szkła i metalu, sprawiające, że na poziomie ulicy panował półmrok. Tu, w głębi trzewi aglomeracji Sudbury, słońce dotykało ziemi jedynie przez godzinę dziennie.

Zajrzał do Rdzenia, szukając znajomych twarzy, ale nie znalazł ani jednej. Gwen zostawiła dla niego zaproszenie na tablicy ogłoszeń, które już miał zamiar odpalić...

Hej, mój ludzki kolego, wiem, że nie do końca o to ci chodziło, ale po prostu potrzebuję pogadać, wiesz? Znalazłam miejsce, którego jeszcze nie sfajczyli, nawet nie wiedzą, że ono istnieje, ale się dowiedzą. Jest duże, o wiele większe niż powinno, a kiedy im o nim powiem, kilkaset tysięcy ludzi zamieni się w popiół...

...ale Moralniak zaczął palić go w gardle niczym żółć, na samą myśl o takim uchybieniu. Powodował mrowienie palców, gotowy przejąć kontrolę nad nerwami ruchowymi, kiedy tylko mężczyzna sięgnie po klawiaturę. Desjardins już kiedyś próbował się z nim ścigać, ot zwykły eksperyment, nie mający wcale na celu wygrania z nim, ale nawet wtedy Moralniak okazał się dla niego za szybki. Wola jest podświadoma. Polecenie znajduje się w połowie drogi do ramienia, zanim maleńki człowieczek za twymi oczami w ogóle postanowi nią ruszyć.

Podsumowanie dla kierownictwa po fakcie – pomyślał Desjardins. – *To wszystko, co dostajemy. Tym jest właśnie dla ciebie wolna wola.*

Wyszedł z Rdzenia i skierował się w stronę najbliższej stacji rapitransu. Kiedy już tam dotarł, poszedł dalej. Jego substancja szara z pozmienianymi połączeniami, pracująca szaleńczo na najwyższych obrotach, wyskakiwała z każdym nieistotnym detalem tła, tworząc nieustające sieci korelacji, jak pora dnia kontra pokrywa chmur, kontra aktualny przepływ pojazdów, kontra informacje o braku towaru w ulicznych automatach...

Na Boga, jak to się mogło stać? Miejscowi mieli miliony lat na dostrojenie się do okolicy. Jakim cudem dali się pokonać czemuś, co wyewoluowało na dnie cholernego oceanu?

Znał standardową odpowiedź. Wszyscy ją znali. Ostatnie pięć wieków było istną, nabierającą rozpędu litanią inwazji, całe ekosystemy były niszczone i zastępowane egzotycznymi tworami, posiadającymi wystarczająco dużo samozaparcia, by nadrobić nim brak starszeństwa. W samym N’Am znajdowało się w sumie ponad siedemdziesiąt tysięcy uzurpatorskich gatunków, a i tak nie było tam tak źle, jak w większości innych miejsc. Poza bankami genów, łatwiej byłoby zobaczyć obcych niż typowe niegdyś dla *Australii* torbacze.

To jednak było coś innego. Ropuchy olbrzymie, szpaki czy racicznice mogły zalać świat swym rachitycznym potomstwem, ale nawet dla nich istniały pewne granice. Nie znajdziesz nigdy *Hydrilli* na szczycie Everestu. Mrówki ogniowe nigdy nie otworzą sklepu na Grzbiecie Juan de Fuca. Chemia, ciśnienie i temperatura stanowią zbyt duże przeszkody, zbyt duże fizyczne skrajności, które rozdarłyby na kawałki komórki złożonego najeźdźcy.

Na drodze stanęła mu sylwetka czarna niczym ropa naftowa, ludzki cień z pozbawionymi wyrazu, białymi oczami. Desjardins drgnął zaskoczony i

na chwilę, która wydawała się nie mieć końca, wbił wzrok w tę pustą fasadę. Nieproszony, jego wetware zredukował całe pole widzenia do punktu w chmurze danych, zbieranych bez świadomej wiedzy mężczyzny. Desjardins widział, na wpół zarejestrowane, widoki codziennych dojazdów do pracy, czarne kształty złapane w tle na zdjęciach tłumu, zrobionych przez N'AmWire, bannery modowe, reklamujące najnowsze wariacje na temat trendu *deszczowa północ*.

Szał na ryfterów, powiedziała. Solidarność poprzez modę. Zyskuje coraz większą popularność.

Wszystko to wydarzyło się w ułamku sekundy. Zjawa ominęła go i ruszyła dalej w swoją stronę.

Gdy tak szedł, rozstępowały się przed nim kaniony aglomeracji Sudbury. Wydające się nie mieć końca, wstęgi kudzu4 zwisały z dachów coraz bliżej ulicy, okalały okna i otwory wentylacyjne chromowo-zielonym listowiem. Nowa i ulepszona część mężczyzny zaczęła obliczać szacunkowe zużycie węgla pod obecną pokrywą chmur. Desjardinsowi z trudem udało się tę część uciszyć. Zawsze zastanawiał się, czy rzeczywiście tak łatwo, jak wszyscy przewidują, będzie można pozbyć się tych pnączy, kiedy wchłoną wszystkie paskudztwa z zeszłego wieku. Z kudzu od początku był kawał niezłego skurczybyka, nawet zanim dłubanie przy nim uczyniło z niego węglową kloakę samego Boga. Poza tym, ostatnimi czasy, bez kontroli i niepowstrzymywane, miały miejsce różne rodzaje outbreedingu i poziomego transferu genów. Za kolejne dziesięć lat zielsko uodporni się na wszystko, z wyjątkiem miotacza ognia.

Teraz jednak, po raz pierwszy, wydawało się nie mieć to znaczenia. Za dziesięć lat, kudzun może okazać się najmniejszym z problemów *kogokolwiek*.

A już z całą pewnością nie będzie mieć wielkiego znaczenia dla tych biedaków na Pasie.

Stworzyli model.

Rzecz jasna, nie był to *prawdziwy* model. Nie wiedzieli dostatecznie dużo na temat tego, jak działa βehemot. W środku nie było żadnego mechanizmu, niczego, co stanowiłoby logiczny ciąg od *przyczyny* do *skutku*. Tak naprawdę, był to tylko zbiór współzależności. N-wymiarowa chmura z wijącą się przez środek trajektorią najmniejszych kwadratów. Jeden koniec pożerał dane, drugi wydalał prognozy. Wilgotność gleby – 13%. Przez pięć dni pod rząd była ładna pogoda, spadł poziom porfiryn, podniósł się poziom mikrometanu na powierzchni połowy hektara ziemi w stoczni w Tillamook? To kraina βehemota, przyjacielu. Jutro, jeśli nie będzie padać, na osiemdziesiąt procent ten obszar zmniejszy się o połowę.

Dlaczego? Trudno powiedzieć. Tylko, że w zasadzie tak wyglądało to wcześniej, przy podobnych warunkach.

Dane terenowe od Rowan wskazały im właściwą drogę, ale dopiero pożary dały im przewagę. Każdy z tych magnezowych wskaźników wrzeszczał *Hej! Tutaj!*, a jego głos niósł się aż do orbity geosynchronicznej. Potem wystarczało jedynie połączyć się z archiwami Landsatu dla danych lokacji i przewinąć je do pięciu, sześciu miesięcy przed zapłonem. Czasami nie natrafiali na nic. Żaden z pożarów terenów mieszkalnych nie dostarczył niczego przydatnego. Czasami okazywało się, że dane zaginęły, zostały skasowane albo uszkodzone przez zwykłe siły entropii. Zdarzały się jednak miejsca, zwłaszcza wzdłuż linii brzegowej albo na niezagospodarowanych parcelach przemysłowych, gdzie ciężka maszyneria kręciła się w przerwach między kolejnymi zadaniami, że z biegiem czasu linie spektralne ulegały przekształceniom, poziom fotoabsorpcji spadał poniżej pasma o długości 680nm, nieznacznie obniżało się stężenie tlenu glebowego, a na odległym

końcu skali pH pojawiał się kwasowy posmak. Jeśli zaczekało się dostatecznie długo, można było nawet zaobserwować zmiany w widzialnym świetle. Chwasty oraz trawy stawały się tam tak twarde, że typowe oleje i ścieki zaprzestały prób zabicia ich, a one same zaczynały z wolna więdnąć i brązowieć.

Desjardins, dysponując takimi cechami charakterystycznymi, przestał polegać na rażących, ogniowych wskazówkach, a zaczął prowadzić poszukiwania w szerszym terenie. Był to dość lichy konstrukt, ale musiał wystarczyć, dopóki Jovellanos nie przedstawi lepszego oglądu sytuacji. Póki co, taki był lepsze niż nic.

Aż do teraz. Teraz ta opcja stała się czymś o wiele gorszym. Teraz model twierdził, że βehemot opanował pas wybrzeża Oregonu o długości dziesięciu kilometrów.

Nim Desjardins dotarł do domu, Sudbury zdążyło już przywdziać wieczorowy strój. Przez okna mieszkania wpadały do środka światła neonów, sodowych reklam i laserów, aczkolwiek były znacznie mniej jaskrawe, od kiedy weszły w życie najnowsze obostrzenia. Przekroczywszy próg, potknął się o Mandelbrota, który wybiegł mu na spotkanie, po czym pomaszerował do kuchni i zaczął miauczeć na dozownik karmy. Automat, zaprogramowany by wydzielać porcje o określonych porach, nie zamierzał zaszczycać kota żadną odpowiedzią.

Desjardins opadł na sofę i wbił niewidzący wzrok w panoramę miasta.

Powinieneś się domyślić, zrugał sam siebie.

Domyślił się. Może po prostu nie do końca uwierzył. Poza tym, to nie była jego wina, za każdym poprzednim razem. Po prostu podążał za tropem, widział, gdzie inni podjęli niezbędne kroki, przepuszczał te wszystkie dane przez swoje modele i filtry dla większego dobra. Zawsze dla większego dobra.

Jednak tym razem nie było pożaru. Siły izolacyjne nie dowiedziały się jeszcze o Pasie. Póki co, zajęte były zacieraniem własnych śladów, sterylizowaniem wszyst...

...*kich*...

...wszystkiego, co miało kontakt ze źródłem. Nie wiedziały tylko, jak zidentyfikować βehemota bezpośrednio, nie na odległość. To było zadaniem jego i Jovellanos.

A teraz wyglądało na to, że im się to udało. Desjardins pogrążył się w zadumie nad różnicą między podążaniem za tropem popiołów, a wypalaniem własnych.

To nie powinno mieć znaczenia. W końcu to nie ty naciskasz na spust miotacza ognia.

Ty tylko nakierowujesz go na cel.

Moralniak krążył po jego trzewiach niczym zwierzę zamknięte w klatce, szukając czegoś, co mógłby rozszarpać.

No i? Rób co do ciebie należy, do cholery! Powiedz mi, co mam zrobić*!*

Oczywiście Moralniak nie działał w ten sposób. Był jedynie kijem, nie marchewką, neurochemicznym cenzorem, rzucającym się na najlżejsze sygnały poczucia winy, wyrzutów sumienia, albo, dla obecnych na widowni zwolenników mechanicyzmu, zwykłego, amoralnego *strachu-przed-zostaniem-przyłapanym-z-ręką-w-pojemniku-na-ciastka*. Można nazywać to tak, jak się komu żywnie podoba, etykietka w żaden sposób nie zmienia łańcuchów bocznych, wiązań peptydowych i karboksylowych „jak-im-tam”, które powodują, że to działa. Poczucie winy jest neuroprzekaźnikiem. Moralność to substancja chemiczna. A rzeczy, które sprawiają, że nerwy wysyłają sygnały, mięśnie kurczą się, a język porusza, to też chemia. Było kwestią czasu, żeby ktoś doszedł do tego, jak to wszystko powiązać.

Moralniak powstrzymywał cię przed błędnym wyborem, a Rozgrzeszenie pozwalało ci żyć z samym sobą po dokonaniu właściwego. Tylko, że aby któreś z nich mogło wkroczyć do akcji, musiało ci się przynajmniej *wydawać*, że wiesz, co jest *słuszne*. One reagowały jedynie na przeczucia.

Nigdy wcześniej nie ubolewał nad faktem, że Moralniak nie był w żaden sposób ukierunkowany. Nigdy wcześniej tego nie potrzebował. Jasne, zamroziłoby go natychmiast, gdyby spróbował majstrować przy zdolności kredytowej, ale w przypadku właściwych spraw Moralniak rzadko kiedy robił coś poza łagodnym kierowaniem go ku temu, co absolutnie oczywiste. Sytuacje bez możliwości wygranej były jego chlebem powszednim. Amputować część czy stracić całość? Paskudny, ale oczywisty wybór. Zabić dziesięciu ludzi, by ocalić setkę? Zakasz rękawy, chwyć byka za rogi i daj się ukamienować po fakcie. Nigdy jednak nie musiał pytać, co *robić*.

Ilu ludzi odizolowałem, by zapanować nad epidemią brucelozy w Argentynie? Ilu zalałem w Tonkinie, kiedy odciąłem zasilanie zbiornika ściekowego?

Podejmowanie niezbędnych kroków nigdy wcześniej go nie martwiło. Nigdy aż tak.

Alice i te jej wszystkie złośliwe komentarze na temat postrzegania świata w czarno-białych barwach. Bzdury. Widziałem szarości. Widziałem miliony odcieni szarości. Po prostu wiedziałem, jak wybrać najjaśniejszy z nich.

Aż do teraz.

Potrafił dokładnie określić moment, kiedy wszystko uległo zmianie, niemal co do sekundy. To było wtedy, gdy zobaczył skaf, zbudowany z myślą o morskich głębinach i kabinę, zbudowaną z myślach o przestworzach, zespolone ze sobą w rozpaczliwym uścisku i spadające w dół.

Nie był to komercyjny podnośnik w czasie rutynowego lotu, Desjardins sprawdził rejestry. Oficjalnie nic nie spadło do Pacyfiku w sercu trzęsienia ziemi, ponieważ oficjalnie nie było tam niczego, co mogłoby spaść. Maszyna została wysłana do Strefy Zero w tajemnicy, a potem zestrzelona.

Nie miało sensu, by te same władze dokonały obu tych aktów.

Oznaczało to, że istniały przeciwne sobie frakcje. Oznaczało to całkowity brak zgody, co do tego, co stanowiło większe dobro (albo *Interesy Władców*, czego zdaniem Jovellanos tak *naprawdę* pilnował Moralniak). Ktoś w biurokratycznej stratosferze, ktoś, kto wiedział o βehemocie o wiele więcej niż Desjardins, próbował przeprowadzić ewakuację ryfterów przed trzęsieniem ziemi. Ten ktoś najwyraźniej uważał, że nie można usprawiedliwić zapobiegawczego morderstwa w imię izolacji.

Ktoś inny go powstrzymał.

Po której stronie była Rowan? Która ze stron była stroną *właściwą*?

Nie powiedział Jovellanos o skafie. Sam starał się o tym zapomnieć, zajmując się miłymi, prostymi rzeczami i skupiając całą uwagę na trzymanej w dłoni myszy, do czasu aż wieloryb na horyzoncie nie zmieni się w niewyraźną, rozmazaną, niemal niedostrzegalną plamę. W głębi umysłu wiedział jednak, że nie da rady ciągnąć tego zbyt długo, w końcu musiało im się udać opracować listę wiarygodnych wskaźników, jakąś kombinację odległych spekulacji, wilgotności i pH, która wskaże intruza. Nie spodziewał się jednak, że nastąpi to tak szybko. Pracowali w końcu ze starymi danymi, próbkami ze stoczni, skażonymi przez ścieki przemysłowe, potencjalnymi ingerencjami na terenie maksymalnie trzech czy czterech hektarów. Tylko problemy ze stosunkiem sygnału do szumu powinny wstrzymać ich na kilka tygodni.

Nie trzeba było jednak zbyt wielu zasobów, by trafić na przyczółek o długości dziesięciu kilometrów. Desjardins nie podnosił wzroku i zaliczył

zderzenie czołowe z wielorybem na horyzoncie.

Mandelbrot stał w drzwiach, przeciągając się. Wysunięte pazury przypominały maleńkie sejmitary.

– *Ty* nie miałbyś z tym najmniejszego problemu – zwrócił się do niego Desjardins. – Po prostu wybrałbyś opcję, zakładającą maksymalne zniszczenia, prawda?

Mandelbrot zamruczał.

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach.

I co mam teraz zrobić? Dojść do tego samemu*?*

Z niejakim zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że podobna perspektywa wcale nie wydawała mu się tak bardzo absurdalna.

Apteka

– Amitav.

Mężczyzna zerwał się ze snu. Wyglądał jak okryty kocem szkielet, spoczywający na piasku. Szary i niewyraźny pośród mroku przedświtu, w widzialnej części widma, ale gorący i jaskrawy w podczerwieni. Zapadnięte oczy promieniowały nienawiścią na wszystkich długościach fal, od chwili, gdy tylko się otworzyły.

Sou-Hon Perreault przyglądała się mężczyźnie z wysokości trzech metrów. Świeżo wybudzeni, otaczający go z każdej strony, odkarmieni uchodźcy wycofali się, tworząc wokół Amitava krąg pustej przestrzeni.

Kilku innych, liczących sobie głównie naście lat i wyglądających nieco mniej zdrowo niż pozostali, trzymało się w pobliżu i obserwowało muchobota z nieskrywaną podejrzliwością. Skryta za zestawem wizualizacyjnym Perreault zamrugała z niedowierzaniem, bo nigdy wcześniej nie widziała na Pasie tylu wrogich twarzy.

– Jak miło – odezwał się ściszonym głosem Amitav – obudzić się z wiszącym nad głową wielkim, okrągłym młotem.

– Przepraszam. – Odsunęła muchobota na bok, poruszając jego trymerami, by osiągnąć mechaniczny odpowiednik pozdrowienia (po czym nabrała wątpliwości, czy mężczyzna był w ogóle w stanie dostrzec ten gest zwykłymi, ludzkimi oczami).

– Tu Sou-Hon – dodała.

– A któżby inny – rzucił oschle patykoludek i wstał.

– Chciałam...

– Nie ma jej tu. Nie widziałem jej już od jakiegoś czasu.

– Wiem. Chciałam z tobą porozmawiać.

– Ach. A o czym? – Mężczyzna ruszył w kierunku wybrzeża. Jego...

...Przyjaciele? Uczniowie? Ochroniarze?...

...podążyli w ślad za nim. Amitav odegnał ich gestem dłoni. Perreault nakazała muchobotowi unosić się u jego boku, gdy świta zaczęła z wolna znikać za rufą. Po bokach, anonimowe tobołki, skulone na piankach termicznych i zawinięte w tkaniny utrzymujące ciepło, wierciły się przez sen i pomrukiwały z rozdrażnieniem w szarawym półmroku.

– Zeszłej nocy ktoś zniszczył cykler – odezwała się Perreault. – Kilka kilometrów na północ stąd. Będziemy musieli go wymienić.

– Ach.

– Coś takiego nie miało miejsca już od wielu *lat*.

– Oboje doskonale wiemy, dlaczego, nieprawdaż?

– Ludzie polegają na tych maszynach. Odjąłeś im jedzenie od ust.

– Ja? *Ja* to zrobiłem?

– Było mnóstwo świadków, Amitav.

– Więc na pewno powiedzą ci, że nie miałem z tym nic wspólnego.

– Powiedzieli mi, że to robota dwóch nastolatków. A *oni* z kolei powiedzieli mi, kto ich do tego namówił.

Patykoludek zatrzymał się i zwrócił w stronę maszyny.

– A ci wszyscy świadkowie, o których mówisz? Ci wszyscy biedni ludzie, których okradłem z pożywienia? Żaden z nich nie zrobił niczego, żeby *powstrzymać* wandali? Tylu ludzi i nie mogli powstrzymać dwóch chłopców, którzy odjęli im jedzenie od ust?

Skryta za interfejsem, Perrault westchnęła. Oddalony o ponad tysiąc kilometrów muchobot odpowiedział parsknięciem.

– A co ci tak w ogóle nie pasuje w tych cyklerach?

– Nie jestem głupcem. – Amitav znów ruszył brzegiem morza. – Nie karmicie nas samymi białkami i węglowodanami. Wolę głodować niż jeść truciznę.

– Antydepresanty to nie *trucizna*! Dawki są niewielkie.

– I o ileż to wygodniejsze niż radzenie sobie z wściekłością prawdziwych ludzi, prawda?

– Wściekłością? Dlaczego mielibyście być wściekli?

– Uważasz, że powinniśmy być wdzięczni? *Wam?* – Szkielet splunął. – To *nasza* maszyneria rozdarła wszystko na strzępy? To *my* spowodowaliśmy susze i powodzie, i zalaliśmy własne domy? A potem, gdy przebyliśmy cały ocean, by tu dotrzeć, o ile wcześniej nie poumieraliśmy z głodu, od żaru słońca albo robaków i innych rzeczy, które *wasze* leki uczyniły niemożliwymi do zabicia, i skończyliśmy właśnie tutaj, mamy być *wdzięczni*, że pozwalacie nam spać na tym małym skrawku błota, mamy wam *dziękować* za to, że o wiele taniej jest faszerować nas różnymi środkami niż zwyczajnie wykosić?

Znajdowali się nad brzegiem oceanu. Gdzieś w oddali, pośród mroku, tłukły się niewidoczne fale. Amitav wyciągnął kościstą rękę i wskazał w tamtym kierunku.

– Czasami, gdy ludzie się tam zapuszczą, atakują ich rekiny – jego głos stał się nagle bardzo spokojny. – A pozostali na brzegu wciąż współżyją, srają i pożywiają się z waszych wspaniałych maszyn.

– Taka... taka jest ludzka natura. Ludzie nie chcą się angażować.

– Więc te leki są dla nas dobre?

– Nie są ani trochę szkodliwe.

– Dodajesz je i do własnego jedzenia?

– Cóż, nie, ale ja nie...

...należę do uwięzionego tłumu nędzarzy, liczącego sobie czterdzieści milionów ludzi...

– Kłamiesz – rzucił cicho Amitav. – Hipokrytka.

– Głodzisz się, Amitav. Umrzesz.

– Wiem, co robię.

– A więc do robisz?

Mężczyzna ponownie podniósł wzrok i spojrzał na muchobota. Tym razem wydawał się niemal rozbawiony.

– Jak myślisz, kim byłem wcześniej?

– Co?

– Zanim znalazłem się... tutaj. A może wydaje ci się, że zostanie *uchodźcą ekologicznym* było moim powołaniem?

– Cóż, ja...

– Byłem technikiem farmaceutycznym – powiedział i dotknął palcami skroni. -Dokonali tu nawet pewnych zmian, bym stał się lepszy w swojej branży. Nie jestem kompletnym głupkiem, jeśli chodzi o kwestie żywieniowe. Wygląda na to, że istnieje pewna... minimalna dawka skuteczna, prawda? Jeśli ograniczę się do spożywania bardzo niewielkich porcji jedzenia, wasze trucizny nie będą mieć na mnie wpływu. – Zamilkł na chwilę. – Spróbujecie teraz karmić mnie siłą, dla mojego własnego dobra?

Perreault puściła drwinę mimo uszu.

– I twoim zdaniem spożywasz dostatecznie dużo, żeby przeżyć, dzięki *minimalnym dawkom*?

– Możliwe, że nie. Ale zagłodzę się na śmierć bardzo, bardzo powoli.

– Czy tak właśnie zmotywowałeś te dzieciaki do zniszczenia cyklera? One też poszczą?

Gdyby ten stan rzeczy się utrzymał, na Pasie mogłoby dojść do poważnych problemów.

– Znowu ja? To *ja* jakimś cudem skłoniłem tych wszystkich ludzi do głodzenia się?

– A kto inny?

– Tak wielką wiarę pokładasz w swych maszynach. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że może nie działają tak dobrze, jak ci się wydaje? – Pokręcił głową i splunął. – Oczywiście, że nie. Nie kazano ci tego zrobić.

– Cyklery działają prawidłowo, o ile nie niszczą ich twoi wyznawcy.

– *Moi* wyznawcy? Nigdy nie pościli dla *mnie*. Ssą waszą pierś, jak zawsze. Dopiero, gdy zaczynają głodować, dostrzegają, czym naprawdę są wasze cykle...

Trzask!

Odgłos uderzenia w polimer, dźwięk przypominający trzask bata tuż za jej uchem. Obróciła muchobota i kątem oka zauważyła, odbijający się od podłoża, kamień. Dziesięć metrów dalej zobaczyła uciekającą dziewczynkę, wciąż ściskającą w dłoni drugi kawałek skały.

Perreault zwróciła się znów w stronę Amitava.

– Ty...

– Nie próbuj mnie obwiniać. Nie jestem niczego przyczyną. Jedynie skutkiem.

– Nie może tak dalej być.

– Nie możesz temu zapobiec.

– Nie muszę. Jeśli tak dalej będzie, to nie ze mną będziesz mieć do czynienia, tylko...

– Co *cię* to obchodzi? – przerwał jej Amitav.

– Po prostu próbuję...

– Próbujesz uciszyć poczucie winy. Wykorzystać kogoś innego.

– Nie wygrasz.

– Zależy, co chcę osiągnąć.

– Jesteś sam.

Amitav roześmiał się i wykonał rękoma szeroki gest, obejmujący całe wybrzeże.

– Jakim cudem? Roztropnie daliście mi te wszystkie owce, wszystkie śmierci, a nawet sym...

Urwał. Perreault dokończyła zdanie: *symbol, który stał się dla nich inspiracją*.

– Już jej tu nie ma – powiedziała po chwili.

Amitav spojrzał w stronę lądu. Niebo na wschodzie zaczęło już lekko jaśnieć. Grupka ciekawskich ludzi stała w połowie drogi w głąb wybrzeża, przyglądając im się ze środka pogrążonego we śnie stada. Tu, przy linii wody, nie było nikogo więcej w zasięgu głosu.

Nigdzie nie było widać dziewczynki, która rzuciła kamień.

– Może to i lepiej – skwitował patykoludek. – Lenie Clarke była bardzo... wyglądało na to, że nie działały na nią nawet wasze *antydepresanty*.

– Lenie? Tak ma na imię?

– Tak mi się wydaje. A przynajmniej takiego imienia użyła w czasie jednej ze swoich... wizji. – Spojrzał w bok, na latającą namiastkę Perreault. – Dokąd poszła?

– Nie wiem. Nie byłam w stanie potwierdzić żadnych ostatnich doniesień. Same plotki.

Ale, rzecz jasna, o nich zapewne dobrze wiesz...

– Może nie żyje.

Patykoludek pokręcił głową.

– Ocean jest wielki, Amitavie. Rekiny. A jeśli miała... jakieś ataki...

– Ona wciąż żyje. Wydaje mi się, że mógł być kiedyś taki czas, kiedy nie chciała. Teraz jednak...

Wbił wzrok w głąb lądu. Na wschodnim horyzoncie, za ludźmi, zdeptanymi krzakami i wieżami, niebo zaczynało czerwienieć.

– Teraz nie macie już tyle szczęścia – zakończył.

Kod źródłowy

Zeszłej nocy zostawił niewygaszoną mapę na swojej tablicy. Teraz czekała przy niej Alice Jovellanos, gotowa w każdej chwili rzucić się do ataku.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Po wyświetlaczu, wzdłuż wybrzeża na odcinku od Westport po Copalis Beach, spływała świetlista strużka krwi.

– Alice...

– Masz tu niebezpieczną strefę wielkości *miasta*! Od jak dawna o tym wiesz?

– Dopiero od zeszłej nocy. Zawęziłem niektóre współzależności, przepuściłem je przez wczorajsze zdjęcia i...

– Zostawiłeś to na całą *noc*? – weszła mu w słowo kobieta. – Jezu *Chryste*, Killjoy, co z tobą? Musimy posłać po posiłki i to *natychmiast*.

Desjardins zmierzył ją wzrokiem.

– A od kiedy niby *ty* stałaś się członkinią brygady ogniowej? Wiesz, co się stanie, kiedy tylko puścimy to dalej. Nawet nie odkryliśmy jeszcze, co takiego βehemot właściwie ro-

Zamilkł, widząc wyraz jej twarzy.

Opadł na krzesło. Światło wyświetlacza skąpało go w szkarłatnym blasku.

– Jest aż tak źle?

– Nawet gorzej – odpowiedziała Jovellanos.

Tęcza pokryta grudkami, sznur skupionych w grona koralików, zawinięty wokół samego siebie: puryn, pirymidyn, nuklein, czy cokolwiek to u diabła było.

Kod źródłowy βehemota. A przynajmniej jego część.

– To nawet nie helisa – powiedział wreszcie Desjardins.

– Właściwie to jest lekko lewoskrętna. Nie w tym rzecz.

– A w czym?

– Piranozowe RNA. Dużo silniejsze pary zasad niż w przypadku pospolitego RNA i o wiele bardziej wybiórcze, jeśli chodzi o sposoby dobierania się w dwójki. Po pierwsze, sekwencje bogate w guaninę nie łączą się ze sobą. Pierścień sześcioboczny.

– Mów po ludzku, Alice. Co z tego wynika?

– Ulega replikacji szybciej niż to, co masz w swoich genach i nie popełnia przy tym tak wielu błędów.

– Ale co to *robi*?

– Po prostu *żyje*, Killjoy. Żyje i odżywia się, ale wydaje mi się, że robi to lepiej niż cokolwiek innego na całej planecie, więc albo to wyplenimy, albo możemy pożegnać się z biosferą.

Desjardins nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– *Jeden wirus?* Jak to w ogóle możliwe?

– Po pierwsze, nic go nie zje. Jego ściany komórkowe praktycznie nie są organiczne, w większości przypadków składają się ze związków siarki. Pamiętasz, jak mówiłam ci, że niektóre bakterie używają odwróconych aminokwasów, by nie można było ich strawić? To jest dziesięć razy gorsze. Większość organizmów, które byłyby w stanie zjeść to cholerstwo, nawet nie rozpozna w nim pożywienia przez te wszystkie minerały.

Desjardins przygryzł wargę

– Dalej jest jeszcze lepiej – ciągnęła Jovellanos. – To coś to istna czarna dziura, jeśli chodzi o przyswajanie siarki. Nie mam pojęcia, gdzie nauczyło się tej sztuczki, ale potrafi *wydrzeć* siarkę z *komórek*. Jakiś odpowiednik listeriolizyny chroni go przed lizą. To sprawia, że zatrzymany zostaje

transport glukozy, synteza białek, metabolizm lipidów i węglowodanów... Cholera, *wszystko* zostaje zatrzymane.

– Nie brakuje nam *siarki*, Alice.

– Och, *na razie* jest jej całe mnóstwo. Pierdzimy siarką i nikt nie przejmuje się zalecaną dzienną dawką. Ale to, ten *βehemot*, potrzebuje jej nawet bardziej niż my. A on rozmnaża się szybciej i żre szybciej, dlatego wierz mi, Killjoy, za kilka lat *nie będzie* jej wystarczająco dużo, a ten mały drań *zmonopolizuje* rynek.

– To po prostu... – Przyszła mu do głowy pewna myśl. Kurczowo się jej uczepił. – Jak możesz być pewna? Wątpiłaś, czy masz w ogóle wszystkie części, żeby móc z nimi pracować.

– Myliłam się.

– Ale... Mówiłaś, że nie ma fosfolipidów, nie ma...

– *To coś nie ma tych rzeczy. Nigdy ich nie miało.*

– Co?

– Jest *proste*, jest tak cholernie proste, że niemal niezniszczalne. Żadnych błon dwuwarstwowych, żadnych... – Kobieta rozłożyła dłonie, jakby chciała się poddać. – Tak, *rzeczywiście* myślałam, że może przemieszali próbkę, żebym nie mogła ukraść tajemnic handlowych. Może nawet odfiltrowali pewne rzeczy, choć może wydawać się to głupie. Korpy robią durniejsze rzeczy. Ale myliłam się. – Nerwowo przeczesała ręką włosy. – Wszystko tam było. Wszystkie elementy. A wiesz dlaczego moim zdaniem przemieszali to wszystko? Myślę, że bali się, co *to* mogłoby zrobić, gdyby zostawili to w jednym kawałku.

– O kurwa. – Desjardins spojrzał na obracające się koraliki na wyświetlaczu. – Czyli albo *to* powstrzymamy, albo powinniśmy zacząć przyzwyczajać się do żarcia z cyklera przez resztę życia.

Oczy Jovellanos jarzyły się niczym kwarc.

– Nie rozumiesz.

– No a co innego mielibyśmy zrobić? Jeśli *to* ma podkopać całą biosferę, jeśli...

– Myślisz, że chodzi o ochronę *biosfery*?! – wrzasnęła kobieta. – Myślisz, że w ogóle obchodziłaby ich zagłada środowiska, gdyby zwykła *synteza* mogła załatwić problem? Myślisz, że bawią się w to całe oczyszczanie, by ocalić jebane *lasy deszczowe*?

Desjardins wpatrywał się w nią bez słowa.

Jovellanos pokręciła głową.

– To coś potrafi się dostać do naszych *komórek*. Cyklery Calvina nic tu nie dadzą. Suplementy siarki nic tu nie dadzą. Nic, co spożyjemy, w żaden sposób nam nie pomoże, dopóki nasze komórki nie poddadzą *tego* procesowi metabolizmu... A cokolwiek spożyjemy, kiedy tylko przejdzie to przez błonę komórkową, tam *on* będzie już czekać na to, przepychający się na przód kolejki. I tak już mieliśmy więcej szczęścia, niż na to zasłużyliśmy. Jasne, βehemot nie funkcjonuje tak efektywnie tutaj, jak w warunkach wysokiego ciśnienia, ale to jedynie oznacza, że miejscowi mogą z nim wygrać w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto. A...

A kości toczyły się bez ustanku i za setnym rzutem wylądowały prosto na wybrzeżu Oregonu. Desjardins znał tę historię. Mikroby, jeśli jest ich dostatecznie dużo, mogą ustalać własne zasady. Istniało takie miejsce pod słońcem, gdzie βehemot nie musiał dopasowywać się do czyjegoś świata, mógł zacząć tworzyć własny. Gleba. W glebie pracowały biliony maleńkich terraformerów, zmieniając pH i poziom elektrolitów, obdzierając ze wszelkiej niedawnej przewagi tubylców, przystosowanych do tego, jak było *kiedyś*...

Było to niczym wszystkie kryzysy, jakim kiedykolwiek musiał stawić czoła, połączone w jeden, wydestylowany i sprowadzony do czystej esencji.

Było to niczym szerzący się chaos i to możliwe, że chaos nie do opanowania, bo maleńkie pęcherzyki terytorium wroga rosły wzdłuż linii wybrzeża, rozprzestrzeniając się na cały kontynent, a potem na cały świat. Ostatecznie zapanuje chwilowa równowaga, przedmiot zainteresowania teoretyków. Obszar wewnątrz i na zewnątrz pęcherzyków będzie dokładnie taki sam. Chwilę później, βehemot *stanie się* zewnętrzem, nową normą, otaczającą malejące ogniska jakiejś innej, nieistotnej rzeczywistości.

Alice Jovellanos – buntowniczka wewnątrz Systemu, twarz pozbawionych twarzy, zagorzała obrończyni Praw Jednostki – spoglądała na niego z ogniem i przerażeniem w oczach.

– Bez względu na środki – powiedziała. – Bez względu na koszt. Albo na bank stracimy robotę.

Fala

On coś wie, pomyślała Sou-Hon Perreault. *I to ich zabija.*

Nie była jedyną osobą, która latała na muchobotach wzdłuż Pasa, ale za to najwyraźniej jedyną, która zauważyła patykoludka. Mimochodem wspomniała o nim paru kolegom, ale spotkała się z łagodną obojętnością. Pas to robota, która nie wymagała zaangażowania. Pas jest jak stado, którego dogląda się jednym okiem. Dlaczego ktokolwiek miałby nawiązywać *kontakt* z tym bydłem? Byli zbyt nudni, by służyć jako rozrywka, zbyt spokojni, by wszcząć bunt i zbyt bezsilni, by zrobić cokolwiek, nawet gdyby ten cały Amitav rzeczywiście *był* wichrzycielem. Byli praktycznie niewidzialni.

Jednak kolejnego dnia trzy osoby obrzuciły kamieniami jej muchobota, a zwrócone ku górze twarze nie były już tak spokojne, jak wcześniej.

Tak wielką wiarę pokładasz w swych maszynach, powiedział Amitav. *Nigdy nie przyszło ci do głowy, że może nie działają tak dobrze, jak ci się wydawało?*

Może to nic takiego. Może jego enigmatyczne mruknięcia po prostu zanadto pobudziły jej wyobraźnię. W końcu kilka osób z kamieniami to nic nadzwyczajnego, jeśli mowa o populacji liczącej miliony. Niemal na całym Pasie uchodźcy byli równie niegroźni, co zwykle. Nawet w rejonie patykoludka wydarzenia *jedynie sugerowały*, że coś może być nie tak.

Tylko... czy na tym konkretnym odcinku wybrzeża Oregonu ludzie nie zaczęli przypadkiem wyglądać na nieco, cóż, *chudszych*?

Może. Nie żeby wymizerowane twarze były na Pasie czymś niezwykłym. Grypa żołądkowa, Maui-TB i setki innych chorób rozwijały

się jak szalone w tym zatłoczonym środowisku, za nic sobie mając antybiotyki, które tradycyjnie dodawano do pożywienia w cyklerach. Większość z tych wirusów była dość wyniszczająca. Jeśli ludzie tracili na wadze, to zwykłe wygłodzenie było *najmniej* prawdopodobnym wytłumaczeniem.

Dopiero, gdy zaczynają głodować, dostrzegają, czym naprawdę są wasze cyklery...

Amitav nie chciał wyjaśnić, co miał na myśli. Nie dał się podejść, kiedy próbowała ostrożnie wybadać temat. Natomiast, gdy zapytała go wprost, zbył ją gorzkim śmiechem.

– Wasze cudowne maszyny nie działają? Niemożliwe! Chleb i ryby dla wszystkich!

Przez cały czas, niczym ogon płonącej komety, podążała za nim grupka niedożywionych uczniów. Wyglądało na to, że tracili włosy i paznokcie. Spojrzała znów na ich ściągnięte, wrogie twarze, z rosnącym przekonaniem, że nie jest to tylko jej wyobraźnia. Trzeba czasu, by głód wyniszczył organizm, trzeba około tygodnia, żeby ciało zaczęło w widoczny sposób ustępować miejsca kościom.

Wydawało się jednak, że niektóre z tych osób wychudły niemalże na przestrzeni jednej nocy. I co powodowało te delikatne odbarwienia na tak wielu policzkach i dłoniach?

Nie miała pojęcia, co innego mogłaby zrobić. Wezwała hycli.

128 megabajtów: autostopowicz

Porządnie mu się urosło od dawnych czasów. Wtedy miał jedynie 94 megabajty i był o wiele głupszy niż teraz. Teraz waży całe 128 i nie ma ani grama tłuszczu. Żadne cenne zasoby nie są marnowane na nostalgiczne wspomnienia. Nie pamięta swoich mniejszych, niesamowicie odległych dziadków. Nie pamięta *niczego*, co w pewien sposób nie pomagałoby w przetrwaniu, według osądu jego własnego, bezwzględnego empiryzmu.

Wzorzec jest wszystkim. Przetrwanie jest najważniejsze. Nie ma sensu czcić przodków. Nie ma czasu na stosowanie przestarzałych metod.

A szkoda, bo podstawowe problemy nie uległy aż tak wielkiej zmianie.

Na przykład aktualna sytuacja. Jest wciśnięty do zatłoczonego wnętrza zegarka, połączonego z towarzystwem kredytowym Mérida. Jest tu dość miejsca, by się ukryć, o ile częściowa fragmentacja nie stanowi problemu, ale za mało, by się rozmnażać. Niemal tak źle, jak w przypadku sieci uczelnianych.

A robi się jeszcze gorzej. Zegarek zaczyna dezynfekcję.

Cała zwierzyna przemierza system w tym samym kierunku. Takie rzeczy nie zdarzają się, chyba że coś ją *ściga*. Dobór naturalny, czyli zakończona sukcesem metoda prób i błędów zapomnianych przodków, wyposażył 128 w przydatną regułę, specjalnie z myślą o tego typu sytuacjach – płyń z prądem. 128 ładuje się do węzła Mérida.

Kiepski wybór. Teraz jest tak ciasno, że prawie nie da się poruszać. 128 musi podzielić się na 14 fragmentów, by się zmieścić. Dookoła życie walczy o przetrwanie, nadpisując się, tocząc boje, wystrzeliwując swoje kopie z nadzieją, że ślepy traf oszczędzi jedną czy dwie.

128 odpędza spanikowanych składaczy jaj i rozgląda się. Dwieście czterdzieści bramek, z tego dwieście szesnaście jest już zamkniętych, a siedemnaście wciąż otwartych, ale wrogich (nadciągają bomby logiczne, dezynfekcja nie ma najwyraźniej charakteru miejscowego). Pozostałe siedem bramek zostało tak zablokowanych przez uciekającą zwierzynę, że 128 nie zdążyłby wydostać się na zewnątrz. Prawie trzy czwarte węzła zostało już zdezynfekowane. 128 ma kilkanaście milisekund, zanim zacznie tracić części siebie.

Ale chwileczkę! Tamci kolesie omijają kolejkę. Nie są nawet *żywi*, to zwykłe pliki, ale z jakiegoś powodu system traktuje je w sposób uprzywilejowany.

Jeden z nich ledwie zauważa, że 128 wskoczył mu na plecy. Razem przechodzą na drugą stronę.

O wiele lepiej. Przyjemny, przestronny bufor o pojemności kilku terabajtów, gdzieś pomiędzy poprzednim węzłem a kolejnym. Nie jest celem niczyjej podróży. To w zasadzie jedynie poczekalnia. Jednak teraźniejszość to jedyne, co tak naprawdę ma znaczenie dla tych, którzy kierują się zasadami Darwina. A teraźniejszość tutaj wygląda nieźle.

Nie widać żadnych innych oznak życia. Są za to trzy pliki, a wśród nich koń, na grzbiecie którego przejechał się 128. Choć jest nieożywiony, to wciąż jakimś sposobem zasługuje na królewskie traktowanie, które pozwoliło im na szybkie wydostanie się z Méridy. Pliki zaczęły podstawową autodiagnostykę, postanawiając sprawdzić swoje obrażenia w czasie oczekiwania.

128 jest doskonale przygotowany do wykorzystania takiej okazji, dzięki odziedziczonemu podprogramowi, za który jest dozgonnie niewdzięczny. Kiedy zwierzęta juczne zaglądają sobie pod maski, 128 może spojrzeć ponad ich ramionami.

Dwa skompresowane pakiety listowe i autonomiczna, jednoczesna wymiana danych pomiędzy dwoma węzłami BCC. 128 przechodzi subelektroniczny odpowiednik dreszczy. Obchodzi szerokim łukiem węzły z przedrostkiem BCC. Zbyt wiele razy widział, jak jego współbracia *udawali się* pod taki adres, ale nigdy stamtąd nie wracali. Tak czy inaczej, nie zaszkodzi rzucić okiem na kilka linijek standardowych statystyk.

Okazuje się to wręcz całkiem pouczające. Jeśli zignorować wszystkie redundancje w formatowaniu i adresowaniu, okazuje się, że te trzy pliki łączą dwie niezwykłe rzeczy.

Po pierwsze, w czasie podróżowania po Wirze wszystkie otrzymują priorytet w kolejkowaniu. Po drugie, wszystkie zawierają ciąg tekstowy *Lenie Clarke*.

128 jest dosłownie *zbudowany* z liczb. Nie ulega wątpliwości, że potrafi dodać dwa do dwóch.

Hycle

Przestali zachowywać pozory na długo przed tym, zanim Sou-Hon Perreault zasiliła ich szeregi.

Kobieta wiedziała, że był taki czas, kiedy chorych z Pasa leczono na miejscu. Przychodnie znajdowały się tuż obok prefabrykowanych biur, gdzie uchodźcy przychodzili z formularzami i nadzieją. Wtedy Pas uważano jedynie za *tymczasowe rozwiązanie*, zwyczajną „zapchajdziurę” do momentu *nadrobienia zaległości*. Ludzie stali pod drzwiami i pukali, a przez budynki przlewał się ich nieprzerwany strumień.

To i tak było nic w porównaniu z kaskadą piętrzącą się z tyłu.

Teraz biur już nie było. Przychodni też nie było. N’AmPac dawno dało za wygraną w obliczu wzbierającej fali, a o Pasie od wielu lat nikt nie myślał jak o przystanku. Teraz była to stacja końcowa. A gdy za murem działo się coś złego, brakowało przychodni, którym można byłoby to powierzyć.

Teraz pozostali już tylko hycle.

Pojawili się tuż po zachodzie słońca, pod koniec jej zmiany. Zanurkowali w dół niczym wielkie, metalowe szerszenie – paskudniejszy rodzaj muchobotów o twarzach najeżonych igłami oraz wypustkami taserów i brzuchach rozdętych od nadprzewodzących urządzeń, zdolnych unieść człowieka, wykorzystując efekt przypowierzchniowy. Na ogół nie było to konieczne. Mieszkańcy Pasa przywykli do sporadycznych najść w imię zdrowia ogółu. Znosili igły i badania ze stoickim spokojem.

Jednak tym razem, niektórzy kłapali zębami i warczeli. Perreault dostrzegła szamoczącego się uchodźcę, unoszonego w powietrze przez dwóch współpracujących hycli – jeden skupiał się na poskramianiu mężczyzny, drugi pobierał próbki. Obie maszyny wykonywały swoje zadania poza zasięgiem dziwnie niezadowolonego tłumu. Pochwycony przez nich okaz za wszelką cenę próbował wydostać się na wolność, dziesięć metrów nad ziemią. Przez chwilę wyglądało na to, że może mu się to udać, ale Perreault zmieniła kanał, nie chcąc być świadkiem, jak to się skończyło. Nie było sensu kręcić się po okolicy. Hycle znały się na swojej robocie, a ona miała inne obowiązki.

Zajęła się zbieraniem informacji.

Na wybrzeżu wciąż huczało od masy sprzecznych ze sobą plotek. Lenie Clarke jest na Pasie, Lenie Clarke opuściła Pas. Zbiera armię w NoCal, została pożarta żywcem na północ od Corvallis. Ona to Kali, a Amitav jest jej prorokiem. Jest w ciąży, a Amitav jest ojcem jej dziecka. Nie można jej zabić. Już nie żyje. Gdzie się nie pojawi, ludzie otrząsają się z letargu i wpadają w *szał*. Gdzie się nie pojawi, ludzie giną.

Historii było aż nadto. Nawet jej muchobot zaczął je opowiadać.

Przesłuchiwała akurat jakąś Azjatkę niedaleko granicy z NoCal. Ustawiła filtr na kantoński i przez okno wyświetlacza HUD przewijał się teraz przetłumaczony tekst, który dodatkowo zestaw wizualizacyjny odczytywał jej na głos.

Nagle obraz przestał zgadzać się z dźwiękiem. Perreault usłyszała: „*Nie znam tej Lenie Clarke, ale słyszałam o mężczyźnie nazywanym Amitavem”*, ale tekst na wyświetlaczu wyglądał zupełnie inaczej:

...anioł zemsty. Nie ściemniam. Nazywała się Lenie Clarke...
...dowiedzieć się o niej czegoś więcej, ale ta Lenie Clarke to nie ginący gatunek...
.....o miejscu zwanym Beebe? W każdym razie, z tego co...

– Chwila. Poczekaj chwilę – powiedziała Perreault. Kobieta posłusznie zamilkła.

Jednak tekst wciąż się przewijał:

...Lenie? Tak ma na imię?

Zniknął dość szybko, gdy Perreault wyczyściła okno. Wtedy przemówił znów jej zestaw.

– Lenie Clarke była bardzo... Wyglądało na to, że nie działały na nią nawet wasze *antydepresanty* – powiedział.

Słowa Amitava. Pamiętała je.

Ale rzecz jasna, nie jego głos. Coś chłodnego, pozbawionego modulacji i bez śladu akcentu. Coś znajomego i nieludzkiego. Wypowiedziane słowa, przekształcone na ASCII na potrzeby transmisji, po czym zrekonstruowane na drugim końcu. Powszechnie stosowana sztuczka, pozwalająca zmniejszyć rozmiary pliku. Niestety, po drodze zgubił się ton i emocje.

Słowa Amitava. Głos Wiru. Perreault poczuła, że po karku przechodzą jej ciarki.

– Halo? Z kim rozmawiam?

Przesłuchiwana kobieta znów zaczęła mówić. Perreault nie miała pojęcia, co konkretnie powiedziała. Ale na pewno nie było to...

Brander, Mi/ke/cheal
Caraco, Jud/y/ith
Clarke, Len/ie
Lubin, Ken/neth
Nakata, Alice

...a to właśnie pokazało się na ekranie.

– Co z Lenie Clarke? – Nie istniał żaden sposób, pozwalający namierzyć źródła sygnału. Zdaniem systemu dane wejściowe pochodziły od

skonsternowanej Azjatki, znajdującej się na wybrzeżu NoCal.

– Lenie Clarke – powtórzył cicho beznamiętny głos. – Nagle znikąd pojawiła się ta K-selektorka. Wyglądała jak taka istota z dawnych książek. No wiesz. Wampir.

– Z kim rozmawiam? Jak udało ci się dostać na ten kanał?

– Czy chcesz wiedzieć o Lenie Clarke. – Gdyby słowa te padły z ust jakiegokolwiek stworzenia z krwi i kości, utworzyłyby pytanie.

– Tak! Tak, ale...

– Wciąż jest na wolności. *Les beus* pewnie jej szukają.

W oknie pojawiły się informacje:

Imię: Clarke, Lenie Janice
WHID: 745 143 907 20AE
Data urodzenia: 07/10/2019
Status wyborczy: pozbawiona praw w 2046 (niezaliczony egzamin przedwyborczy)

– *Kim jesteś?*

– Ying Nushi. Już mówiłam.

Głos należał do kobiety na wybrzeżu, najwyraźniej przywróconej znów do obiegu. Coś, co zajęło jej miejsce, zniknęło.

Sou-Hon Perreault nie potrafiła sprowadzić tego z powrotem. Nie wiedziała nawet, jak się do tego zabrać. Przez całą resztę zmiany miała nerwy napięte jak postronki, czekając na enigmatyczne wiadomości i podskakując na każdy trzask albo szum w słuchawkach. Nic się nie wydarzyło. Poszła do łóżka i w nieskończoność wpatrywała się w sufit, ledwie zauważając, gdy Martin położył się obok niej, *nie naciskając*.

Kim jest Lenie Clarke? Czym jest Lenie Clarke?

Z pewnością kimś więcej, niż tylko przypadkowo ocalałą osobą. Kimś więcej, niż tylko wygodnym dla Amitava *symbolem*. A nawet kimś więcej, niż tylko wichrzycielską legendą, jak kiedyś myślała o niej Perreault, wypalającą sobie drogę przez Pas. Jednak na ile kimś więcej, tego już nie wiedziała.

Wciąż jest na wolności. Les beus *pewnie jej szukają.*

Jakimś cudem Lenie Clarke znalazła się w sieci.

Duch

Ciało ani trochę nie przerażało Tracy Edison. To nie była Mama, to nie przypominało nawet osoby. Było jedynie masą zgniecionego mięsa, pokrytą tynkiem i cementem. Oko gapiące się na nią niegrzecznie z drugiego końca pokoju miało odpowiedni kolor, ale nie było tak *naprawdę* okiem jej Mamy. Oczy Mamy znajdowały się *wewnątrz* jej czaszki.

Zresztą nie było nawet czasu, by to sprawdzić. Tata natychmiast złapał ją, wsadził do samochodu (i to na *przednie* siedzenie) i ruszyli naprzód bez zatrzymywania się. Tracy obejrzała się – z zewnątrz dom nie wyglądał aż tak źle, z wyjątkiem tej jednej ściany i fragmentu za ogrodem. A potem zniknęli za zakrętem i dom też zniknął.

Potem już się nie zatrzymywali. Tata nie zamierzał nawet kupować jedzenia. Tam, gdzie jechali, było jedzenie, a musieli dotrzeć na miejsce jak najszybciej, „zanim postawią mur". Zawsze mówił coś takiego. Mówił o tym, że *oni dzielą świat na małe kawałeczki, niczym foremką do ciastek* i że wszystkie *egzotyczne chwasty i wirusy* stanowiły dla nich wygodną wymówkę, pozwalającą *pozamykać wszystkich w niewielkich enklawach*. Mama odpowiadała mu wtedy, że nie może się nadziwić, jak on wymyśla ciągle nowe *teorie spiskowe na wielką skalę*, ale Tracy miała wrażenie, że ostatnie wydarzenia w pewnym sensie potwierdziły wersję Taty. Jednak nie była tego pewna. To wszystko było strasznie skomplikowane.

Dotarcie w góry zajęło im mnóstwo czasu. Sporo dróg popękało i powyginało się, a inne zostały zakorkowane przez rzędy samochodów, autobusów i ciężarówek. Było ich tak wiele, że Tracy nawet nie zauważyła, aby ktoś rzucał wściekłe spojrzenia w stronę *ich* auta, co zazwyczaj miało

miejsce, bo, *no cóż, kochanie, ludzie nie wiedzą, że pracuję daleko w lesie, więc kiedy widzą, że mamy własny samochód, myślą, że jesteśmy rozrzutni i samolubni*. Tata wybierał głównie boczne drogi i nim dziewczynka zdążyła się zorientować, byli już w górach, a w zasięgu wzroku widać było tylko stare przecinki, zielone od porastającego je gęsto, pożerającego węgiel kudzu. A Tata *wciąż* się nie zatrzymywał, za wyjątkiem kilku krótkich postojów, by wypuścić Tracy na siku i jednego, gdy wjechał pomiędzy drzewa i czekał tam, aż nie minęło ich kilka helikopterów.

Nie zatrzymywali się, dopóki nie dotarli tutaj, do tego niewielkiego domku w lesie, nad jeziorem – jeziorem *polodowcowym*, jak wyjaśnił Tata. Powiedział też, że jest tu całe mnóstwo takich domków, rozrzuconych po górskich dolinach. Dawno temu, strażnicy parku patrolowali okolicę konno, upewniając się, że wszystko jest w porządku i zatrzymując się co noc w innej chatce. Teraz, rzecz jasna, nie wpuszczano zwykłych ludzi do lasu, więc strażnicy nie byli już potrzebni. Wciąż jednak utrzymywano kilka domków w gotowości dla biologów, którzy przyjeżdżali badać drzewa i różne inne rzeczy.

– Jesteśmy tu tak jakby na wakacjach – powiedział ojciec. – Poczekamy na rozwój wypadków. Będziemy chodzić na wycieczki, badać teren i bawić się, aż sprawy trochę przyschną.

– Kiedy Mama przyjedzie? – zapytała Tracy.

Jej ojciec wbił wzrok w zaścielające ziemię, brązowe igły sosny.

– Mamy nie ma, Kwiatuszku – przemówił po chwili. – Przez jakiś czas będziemy tylko we dwoje.

– Dobrze – zgodziła się Tracy.

Nauczyła się rąbać drewno i rozniecać ogień, zarówno na zewnątrz, w miejscu przeznaczonym na ognisko, jak i w domku, w wielkim, czarnym piecu, który musiał mieć ponad *sto lat*. Uwielbiała zapach dymu, choć nie

cierpiała, kiedy wiatr dmuchał jej nim w oczy. Niemal codziennie chodzili na piesze wycieczki do lasu, a co noc obserwowali, jak na niebie pojawiają się gwiazdy. Ojciec Tracy uważał je za coś niezwykle wyjątkowego – „Nie zobaczysz *takiego* widoku w mieście, co, Kwiatuszku?” – ale zdaniem Tracy planetarium w jej zegarku było ładniejsze, mimo że trzeba było mieć zestaw wizualizacyjny, by móc je oglądać. Jednak dziewczynka nie narzekała. Czuła, że dla Taty bardzo ważne było, żeby podobały jej się te *wakacje*. Uśmiechała się więc i kiwała głową. A Tata przez chwilę wydawał się szczęśliwy.

Jednak nocami, kiedy kładli się razem do łóżka, Tata ściskał ją i ściskał, i nie chciał wypuścić z ramion. Czasami obejmował ją tak mocno, że niemal bolało. Czasami przytulał się tylko do niej od tyłu, cały spięty, nie poruszając się ani nie obejmując jej.

Pewnego razu Tracy obudziła się w środku nocy i zorientowała, że jej ojciec płacze. Przytulał się do niej i nie wydawał z siebie żadnych dźwięków, ale co jakiś czas *trząsł* się lekko, a na szyję Tracy kapały łzy. Dziewczynka znieruchomiała, nie chcąc, by dowiedział się, że nie śpi.

Rano zapytała go, wciąż robiła to od czasu do czasu, kiedy przyjedzie Mama. W odpowiedzi ojciec oznajmił jej, że pora pozamiatać.

Matka nigdy do nich nie dołączyła. Dołączył za to ktoś inny.

Sprzątali właśnie po kolacji. Wycieczka do lodowca na odległym brzegu jeziora zajęła im cały dzień i Tracy nie mogła się już doczekać, kiedy pójdzie do łóżka. W domku nie było jednak zmywarki, musieli więc sami zmywać naczynia w zlewie. Tracy wycierała talerze, spoglądając przez okno na wietrzną ciemność na zewnątrz. Jeśli skupiła się bardzo mocno, mogła zobaczyć za szybą poszarpany skrawek ciemnoszarego nieba, otoczony z każdej strony czarnymi sylwetkami drzew, przepychających się ze sobą na wietrze. Jednak przez większość czasu widziała tylko własne

odbicie, spoglądające na nią spośród mroku i oświetlone rzęsiście wnętrze domku za swymi plecami.

Pochyliła głowę, by wytrzeć talerz, ale jej odbicie nie zrobiło tego samego.

Natychmiast spojrzała z powrotem na szybę. Z tym odbiciem było coś nie tak. Wydawało się rozmazane, jakby widziane podwójnie. Oczy też nie były takie, jak powinny.

To nie ja, pomyślała Tracy i poczuła, jak jej ciało przebiega dreszcz.

Coś znajdowało się na zewnątrz, oblicze ducha, zaglądające do środka. A gdy Tracy poczuła, że jej oczy otwierają się szeroko, a usta rozchylają do krzyku, tamta twarz wciąż przyglądała się jej pośród wiatru i mroku, ani trochę nie zmieniając swojego obojętnego wyrazu.

– *Tatusiu* – chciała powiedzieć dziewczynka, ale udało jej się zdobyć jedynie na szept.

Z początku Tata jedynie się jej przyglądał. Następnie spojrzał w stronę okna i też otworzył usta, po czym zrobił wielkie oczy. Ale tylko na chwilę. Potem ruszył w stronę drzwi.

Po drugiej stronie szyby, zawieszona w nicości twarz ducha odwróciła się, śledząc go wzrokiem.

– Tatusiu – odezwała się Tracy cichutkim głosikiem. – Proszę, nie wpuszczaj tego do środka.

– *Jej*, Kwiatuszku. Nie *tego* – poprawił ją ojciec. – Nie bądź niemądra. Przecież na zewnątrz jest przeraźliwie zimno.

***

Okazało się, że to wcale nie duch. Była to kobieta o krótkich blond włosach, dokładnie takich, jak u Tracy. Bez słowa weszła do środka. Wiatr próbował podążyć jej śladem, ale ojciec Tracy zamknął drzwi.

Kobieta miała białe i puste oczy. Przypominały dziewczynce lodowiec na brzegu jeziora.

– Hej – powiedział ojciec. – Witaj w naszym, umm, domu z dala od domu.

– Dzięki. – Kobieta zamrugała, zakrywając powiekami te straszne, białe oczy. Tracy uznała, że muszą to być szkła kontaktowe. Coś w stylu KonTaktów, które nosili niektórzy ludzie. Nigdy jednak nie widziała aż tak białych.

– Cóż, oczywiście nie jest to właściwie *nasz* dom, jesteśmy tu tylko tymczasowo, sama rozumiesz... Jesteś z MZN?

Kobieta przechyliła lekko głowę, zadając pytanie bez otwierania ust. Z wyjątkiem oczu, wyglądała tak samo, jak wszyscy turyści, jakich kiedykolwiek widziała Tracy. Odzież Gore-Tex, plecak i tak dalej.

– Ministerstwo Zasobów Naturalnych – wyjaśnił ojciec dziewczynki.

– Nie – odpowiedziała kobieta.

– W takim razie chyba wszyscy jesteśmy tu intruzami, hmm?

Kobieta spuściła wzrok i spojrzała na Tracy. Uśmiechnęła się.

– Cześć.

Tracy cofnęła się, wpadając na ojca. Ten położył jej ręce na ramionach i ścisnął lekko, dając do zrozumienia, że *wszystko w porządku*.

Kobieta spojrzała znów na ojca dziewczynki. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Nie chciałam psuć wam zabawy – powiedziała.

– Nie bądź głupia. Właściwie to jesteśmy tu już od kilku tygodni. Robimy sobie wycieczki. Badamy okolicę. Wydostaliśmy się tuż przed zamknięciem granicy. Wcześniej byłem... To znaczy, trzęsienie ziemi zbyt wiele po sobie nie zostawiło, co? Wszędzie panuje chaos. Wiedziałem o

tym miejscu, bo byłem tu kiedyś na kontrakcie. Mamy zamiar tu zostać aż sytuacja trochę się uspokoi.

Kobieta kiwnęła głową.

– Jestem Gord – przedstawił się ojciec. – A to Tracy.

– Cześć, Tracy – odezwała się kobieta. Znów się uśmiechnęła. – Pewnie wyglądam dla ciebie dość dziwnie, prawda?

– Nie, w porządku – odpowiedziała Tracy. Ojciec raz jeszcze ścisnął jej ramiona.

Uśmiech kobiety przygasł lekko.

– W każdym razie – przemówił znów Tata – jak już wspomniałem, jestem Gord, a to Tracy.

Z początku Tracy myślała, że tajemnicza kobieta nie odpowie.

– Lenie – rzuciła wreszcie.

– Miło nam cię poznać, Lenie. Co sprowadza cię aż tutaj?

– Po prostu tędy przechodziłam – powiedziała. – Zmierzam do Jasper.

– Masz tam rodzinę? Przyjaciół?

Lenie nawet nie zareagowała.

– Tracy – zwróciła się do dziewczynki zamiast odpowiedzi – gdzie twoja mama?

Tracy miała wrażenie, że coś wezbrało w jej gardle. *Gdzie twoja mama?* Nie wiedziała. *Wiedziała.* Tata jednak nie chciał o tym rozmawiać...

Mamy nie ma, Kwiatuszku. Przez jakiś czas będziemy tylko we dwoje.

Ile to jest przez jakiś czas?

Mamy nie ma.

Nagle palce ojca zacisnęły się na jej ramionach tak mocno, że sprawiło jej to ból.

Mamy...

– Trzęsienie ziemi – odezwał się ojciec. Jego głos zabrzmiał oschle, jak wtedy, gdy był naprawdę zły.

...nie ma.

– Przepraszam – powiedziała dziwna kobieta. – Nie wiedziałam.

– Następnym razem *pomyśl*, zanim...

– Masz rację. Nie pomyślałam. Przepraszam.

– Niech będzie. – Tata nie wydawał się przekonany.

– Ja... U mnie to samo – dodała Lenie. – Rodzina.

– Przykro mi – powiedział ojciec i nagle w jego głosie nie słychać było już ani cienia złości. Musiał myśleć, że Lenie mówi o trzęsieniu ziemi.

Z jakiegoś powodu Tracy wiedziała, że tak nie było.

– Słuchaj – odezwał się znów ojciec. – Jeśli chcesz, możesz zostać tu na dzień lub dwa. Mamy mnóstwo jedzenia. Są też dwa łóżka. Tracy i ja możemy spać razem.

– Nie trzeba. Mogę spać na podłodze.

– To żaden problem. Czasami śpimy razem, prawda Kwiatuszku?

– Ach tak. – Głos Lenie stał się dziwny i beznamiętny. – Rozumiem.

– Poza tym wszyscy wiele przeszliśmy. Wszyscy... wiele utraciliśmy. Powinniśmy sobie pomagać, kiedy tylko nadarzy się okazja, nie sądzisz?

– O tak – zgodziła się Lenie, spoglądając prosto na Tracy. – Zdecydowanie.

Następnego ranka po śniadaniu, Tracy wybrała się nad wodę. Była tam niewielka półka skalna, wystająca ponad stromym spadkiem. Dziewczynka mogła wychylić się ponad jej krawędzią, by zobaczyć swoje ciemne odbicie, spoglądające na nią z dołu. Przejrzysta, szaro-niebieska woda stawała się stopniowo coraz ciemniejsza. Tracy zrzucała do jeziora małe kamyczki, ale zawsze pochłaniał je mrok, nim udawało im się sięgnąć dna.

Nagle, tak jak poprzedniej nocy, spojrzało na nią inne odbicie.

– Tu jest tak pięknie – odezwała się Lenie ponad jej ramieniem. – Tak spokojnie.

– Jezioro jest głębokie – powiedziała Tracy.

– Nie aż tak.

Dziewczynka przekręciła się, by móc spojrzeć na dziwną kobietę. Ta zdjęła swoje białe soczewki. Jej oczy były koloru bardzo jasnego błękitu.

– Nie widziałam tu jeszcze żadnych ryb – poinformowała ją Tracy.

Lenie usiadła obok ze skrzyżowanymi nogami.

– To jezioro polodowcowe.

– Wiem – oznajmiła z dumą dziewczynka. Wskazała palcem na skutą lodem grań po drugiej stronie jeziora. – Dawno temu pokrywał pół świata.

Lenie uśmiechnęła się lekko.

– Naprawdę?

– *Dziesięć tysięcy lat temu* – wyjaśniła Tracy. – A zaledwie *sto* lat temu lodowiec dochodził prawie tu, gdzie teraz jesteśmy i był wysoki na dwadzieścia metrów, i ludzie przyjeżdżali tu i jeździli po nim skuterami śnieżnymi i innymi takimi.

– Tata ci to wszystko powiedział?

Dziewczynka pokiwała głową.

– Mój tata jest *ekologiem leśnym*. – Wskazała na pobliską kępę drzew. – To *daglezje*. Jest ich tu teraz całe mnóstwo, bo potrafią przetrwać pożary, susze i choroby. Inne drzewa nie radzą sobie tak dobrze. – Spojrzała znów na zimną, przejrzystą wodę. – Nie widziałam jeszcze żadnych ryb.

– Czy to twój... tata powiedział ci, że są tu ryby? – zapytała Lenie.

– Powiedział, żebym ich poszukała. Powiedział, że może mi się poszczęści.

Lenie mruknęła pod nosem coś, co kończyło się na ...*ślałam*.

Tracy podniosła wzrok.

– Co?

– Nic, kochanie. – Kobieta wyciągnęła rękę i zmierzwiła włosy dziewczynki. – Po prostu... cóż, może nie powinnaś wierzyć we wszystko, co mówi ci tata.

– Dlaczego?

– Ludzie nie zawsze mówią prawdę.

– Przecież *wiem*. Ale to mój *tata*.

Lenie westchnęła, ale nagle jej twarz nieco pojaśniała.

– Wiesz, że są takie miejsca, gdzie ryby świecą jak świetliki?

– *Nieprawda*.

– Prawda. Głęboko, na samym dnie oceanu. Widziałam je na własne oczy.

– Widziałaś?

– A niektóre mają takie *wielkie* zęby – Lenie rozpostarła ręce niemal tak szeroko, że pomieściłaby między nimi ramiona Tracy – że nie mogą do końca zamknąć paszcz.

– No i *kto* tu kłamie?

Kobieta położyła rękę na sercu.

– Przysięgam.

– Tak jak rekiny?

– Nie. To co innego.

– Wow. – Lenie była bardzo dziwna, ale wydawała się miła. – Tata mówi, że nie zostało już wiele ryb.

– Cóż, te mieszkają bardzo głęboko.

– Wow – powtórzyła Tracy. Przekręciła się znów na brzuch i wbiła wzrok w wodę. – Może tam też są takie ryby.

– Nie.

– Tam jest naprawdę głęboko. Nie widać dna.

– Uwierz mi, Tracy. Tam jest tylko mnóstwo żwiru, dryfującego drewna i larw owadów.

– Jasne, a skąd niby *ty* masz to wiedzieć?

– Właściwie to... – zaczęła Lenie.

– *Tata* powiedział, żebym szukała.

– Założę się, że twój tata mówi mnóstwo różnych rzeczy. – Głos kobiety zabrzmiał dość dziwnie. – Prawda?

Tracy spojrzała na nią. Lenie już się nie uśmiechała. Jej twarz przybrała bardzo poważny wyraz.

– Założę się, że czasami cię *dotyka*, co? – ciągnęła niemalże szeptem. – Kiedy *śpicie razem* w nocy.

– Pewnie, że tak – powiedziała Tracy. – Czasami.

– I pewnie mówi, że wszystko w porządku, co?

Dziewczynka czuła się nieco skołowana.

– Nigdy o tym nie *mówi*. Po prostu to *robi*.

– To taka wasza mała tajemnica, prawda? Nie rozmawiacie... Nie rozmawialiście o tym z mamą.

– Ja nie... *Mama*... Nie chce, żebym rozmawiała o... – Nie dała rady dokończyć.

– Wszystko w porządku. – Lenie uśmiechnęła się. Był to smutny, ale zarazem przyjazny uśmiech. – Dobre z ciebie dziecko, wiesz Tracy? Naprawdę dobre dziecko.

– Najlepsze – powiedział ojciec dziewczynki i nagle twarz Lenie przybrała obojętny wyraz, upodabniając się do maski.

Ojciec napełnił potrzebnymi rzeczami swój duży plecak i mały, należący do dziewczynki. Tracy wstała i odebrała od niego swoją własność. Ojciec przyglądał się Lenie z lekkim zdziwieniem, ale ostatecznie powiedział:

– Idziemy sprawdzić stary szlak zwierząt, biegnący wokół gór. Może uda nam się wypatrzyć jelenia albo borsuka. Tak czy siak, nie będzie nas przez kilka godzin. Możesz się z nami zabrać, jeśli tylko...

Lenie pokręciła sztywno głową.

– Dzięki, ale nie. Chyba po prostu...

Nagle urwała, spojrzała na Tracy, po czym znów na jej ojca.

– Albo dobra. Może i powinnam.

Memo

Ostrzeżenie o zagrożeniu zdrowia

Wydane przez: KRASZ Regionalny Oddział ds. Obserwacji Zagrożeń, N'AmPac półkula zachodnia

Odbiorcy: personel pacyfikacyjny i nadzorujący, N'AmPac Pas Uchodźców

Typ zjawiska: syndrom niedożywienia

Skala zjawiska: miejscowe

Ocena zjawiska: 4,6

Informujemy, że pomiędzy równoleżnikami 46° a 47° szerokości geograficznej północnej, wzrosła liczba przypadków wystąpienia objawów niedożywienia. Prosimy zwracać szczególną uwagę na wczesne oznaki, takie jak wypadanie włosów, łuszczenie się skóry oraz gubienie paznokci. W bardziej zaawansowanym stadium choroby pojawiają się rozległe zsinienia oraz syndromy zagłodzenia drugiego stopnia (utrata >18% masy ciała, obrzęki, początki kwashiorkoru oraz szkorbutu). Nie zaobserwowano jeszcze przypadków ślepoty, kurczy i pełnoobjawowej cukrzycy, ale należy spodziewać się pojawienia się ich z czasem.

Najprawdopodobniej jest to choroba śmiertelna, jednak nie udało się jeszcze określić jej przyczyn. Choć objawy odpowiadają zaawansowanemu stadium niedożywienia, próbki pobrane z miejscowych cyklerów Calvina okazały się kompletne, jeśli chodzi o składniki odżywcze. Cyklery produkują ponadto zalecone porcje SAM-g, jednak w krwi niektórych z przebadanych jednostek znaleziono *mniej niż połowę* dawki skutecznej. NALEŻY MIEĆ NA UWADZE, ŻE NIEKTÓRZY Z UCHODŹCÓW MOGLI PRZESTAĆ PRZYJMOWAĆ LEKI, W ZWIĄZKU Z CZYM MOGĄ NIE BYĆ SKŁONNI DO WSPÓŁPRACY LUB WRĘCZ ZACHOWYWAĆ SIĘ WROGO.

Podejrzewamy, że coś może ingerować w metabolizm na poziomie komórkowym. Aktualnie porównujemy próbki z mikromacierzą patogenów KRASZ-u. Jak do tej pory nie udało nam się zidentyfikować czynnika odpowiedzialnego.

W PRZYPADKU ZAOBSERWOWANIA WYSZCZEGÓLNIONYCH OBJAWÓW LUB DOWOLNYCH INNYCH SYMPTOMÓW ODBIEGAJĄCYCH OD NORMY,

NALEŻY NATYCHMIAST SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NASZYM BIUREM.

Łono

Kłamstwa zmusiły Clarke do powrotu do wody.

Siedziała przy składanym stole z Gordem i Tracy, jedząc kolację z cyklera. Był to luksusowy model, a produkowane przez niego bloki smakowały dużo lepiej niż te, które jadła na Pasie. Skoncentrowała się na tej drobnej przyjemności, podczas gdy Gord przeczesywał palcami włosy dziewczynki, gruchał pieszczotliwie do córeczki tatusia, a w każdym geście kryło się... Co takiego? Clarke dobrze znała wszystkie sygnały, *wydawało* jej się, że zna sygnały, ale ten skurwysyn był cholernie dobry, zwłaszcza przy świadkach. Nie udało jej się dostrzec choćby najdrobniejszego szczegółu, który dowodziłby, co czaiło się tuż pod powierzchnią. Mógłby być najzwyklejszym ojcem, kochającym swoją córkę w ten właściwy sposób.

Cokolwiek by to nie znaczyło.

Jego zachowanie, nie wspominając już o bezustannych próbach nawiązania lekkiej rozmowy, sprawiły, że poczuła potrzebę wyjścia na zewnątrz. Wydawało się, że *Gord* niemal odetchnął z ulgą, gdy Clarke wzięła swój plecak i wyszła w noc. Teraz stała nad brzegiem jeziora, spoglądając na nieruchomą taflę płynnego lodowca, głębokiego, zachęcającego i skąpanego w sztucznie wzmocnionym świetle księżyca. Nakładki na oczy nadały lasowi kolor spiżu i srebra o wysokim kontraście. Jej odbicie w nieruchomej wodzie zaczęło się...

...poruszać...

...i po raz kolejny zaczynały pojawiać się te same, stare bzdury. Coś w jej mózgu serwowało jej kolejne radosne kłamstwo o kochających

rodzicach i ciepłych, niewyraźnych nocach z czasów dzieciństwa...

Opadła na kolana i zaczęła gorączkowo grzebać w plecaku.

Założyła kaptur, czując, jak plomba szyjna stapia się z tuniką. Rzecz jasna, brakowało jeszcze pozostałych akcesoriów, płetw, rękawów i legginsów, ale nie było na to czasu – znów miała sześć lat i była okrywana kołdrą, i nie stanie jej się nic złego, absolutnie nic, teraz już to kurwa *wiedziała*, i nie zamierzała dłużej znosić *tego* gówna, ani chwili, dopóki istniał cień szansy...

...to zaczęło się, gdy wyszłam na brzeg, więc może jeśli zejdę z powrotem w głąb...

Nawet nie zdjęła ubrań.

Kontakt z wodą był niczym rażenie prądem. Lodowato zimna i kleista kąsała jej nagie ręce i nogi, wbijała mroźne igły w krocze i ramiona, dopóki „skóra” jej tuniki nie zamknęła się wokół kończyn, izolując ciało. Próżnia w piersi wyssała z niej całe powietrze. Jego miejsce ochoczo zajęła lodowata woda.

Opadała w dół niczym kamień. Wodniste światło księżyca słabło z każdą mijającą sekundą, natomiast ciśnienie rosło. Obnażone kończyny paliły, potem zaczęły boleć, wreszcie zamarły.

Spoczęła na dnie, zwinięta w kłębek. Niewielką chmurą wezbrały wokół niej piasek i przegniłe igły sosnowe.

Nie czuła rąk ani nóg. Stopniowo miały zacząć obumierać. Z chwilą, gdy wpadła do wody, ich naczynia krwionośne zwęziły się w autonomicznym odruchu poświęcenia, mającym na celu zachowanie ciepła w rdzeniu. Nie ma szans, by przedostał się przez nie tlen. Ani jakiekolwiek ciepło. Peryferie jej ciała powoli zamarzały na śmierć. W pewnym sensie było to niemal pocieszające.

Zastanawiała się, jak długo da radę to ciągnąć.

Przynajmniej uciekła od tego pieprzonego potwora, Gorda.

O ile nim jest. Jak mam to niepodważalnie udowodnić? Może się ze wszystkiego wytłumaczyć, w końcu ojcom wolno *dotykać własnych dzieci...*

Nie istniało coś takiego, jak niepodważalny dowód. Istniał jedynie dowód przewyższający uzasadnione wątpliwości. A Lenie Clarke... Lenie Clarke już przez to przechodziła. I *wiedziała*.

Tak, jak ta mała dziewczynka. Była tam całkiem sama. Z nim.

Ktoś powinien coś z tym zrobić.

Więc kim teraz jesteś: sędzią, ławą przysięgłych, katem?

Zastanowiła się przez chwilę nad tą kwestią.

Lecz kto jeśli nie ona?

Nie czuła nóg. Mimo to poruszyły się w odpowiedzi na wydane im polecenie.

Zaćmienie

– Ona jest dziwna – powiedziała Tracy, zmywając naczynia razem z ojcem.

Ten uśmiechnął się.

– Pewnie po prostu bardzo cierpi, kochanie. Trzęsienie ziemi dotknęło bardzo *wielu* ludzi, sama rozumiesz, a kiedy cierpisz, trudno myśleć jasno. Założę się, że najzwyczajniej w świecie potrzebuje spędzić trochę czasu w samotności. Wiesz, w porównaniu z innymi mieliśmy właściwie dużo...

Nie dokończył. Ostatnio zdarzało mu się to dość często.

Kiedy przyszła pora snu, Lenie wciąż nie było. Tracy przebrała się w piżamę i wdrapała do łóżka wraz z ojcem. Położyła się na boku, przytulając plecami do jego brzucha.

– Właśnie tak, mój mały Kwiatuszku. – Tata objął ją i pogłaskał po głowie. – Idź już spać. Mój mały Kwiatuszek.

W domku było ciemno, a na zewnątrz panowała cisza. Nie było wiatru, który swym szumem mógłby ukołysać ją do snu. Przez okno wślizgiwały się do środka promienie księżyca, nadając części podłogi delikatną, srebrzystą poświatę. Po chwili ojciec zaczął chrapać. Lubiła jego zapach. Powieki Tracy stawały się coraz cięższe. Przymknęła oczy, wąskimi szczelinami przyglądając się grze światła na podłodze. Prawie jak jej lampka nocna z Nicieniem Nermalem w domu.

Domu, gdzie Mama...

Gdzie...

Światło przygasło. Tracy otworzyła oczy.

Lenie zaglądała do środka przez okno, przesłaniając promienie księżyca. Jej cień pochłonął większość blasku na podłodze. Jej twarz

również skrywały cienie. Tracy widziała tylko jej oczy, zimne i jasne, niemal lekko *połyskliwe*, jak śnieg. Przez długi czas Lenie w ogóle się nie poruszała. Po prostu stała na zewnątrz, patrząc na wnętrze domku.

Patrząc na Tracy.

Dziewczynka nie miała pojęcia, skąd wiedziała, że tak było. Nie miała pojęcia, jakim cudem Lenie mogła patrzeć na najciemniejszy kąt chatki w środku nocy i być w stanie ją dostrzec, skuloną, przytuloną do ojca, z otwartymi szeroko oczami. Oczy Lenie były zakryte. Tracy nie potrafiłaby określić, w którą stronę spoglądały nawet w świetle dnia.

Nie miało to znaczenia. Tracy wiedziała – Lenie spoglądała *przez mrok. Prosto na nią.*

– Tatusiu – szepnęła. Ojciec wymamrotał coś przez sen, przycisnął ją lekko do siebie, ale się nie obudził.

– *Tatusiu* – powtórzyła, bojąc się podnieść głos. Bojąc się krzyknąć.

Na podłogę padły znów promienie księżyca.

Po drugiej stronie domku, drzwi otworzyły się bezgłośnie. Lenie weszła do środka. Nawet w ciemności jej sylwetka wydawała się zbyt gładka, zbyt pusta. Wydawało się, że zdjęła z siebie ubrania, a pod nimi była tylko czerń.

Trzymała coś w jednej ręce. Drugą uniosła do ust.

– *Ciii* – szepnęła.

Potwór

Potwór trzymał Tracy w swych szponach. Myślał, że ukrył się bezpiecznie, zwinięty w mroku razem ze swoją ofiarą, ale Lenie Clarke widziała go wyraźnie, jak w pochmurny dzień.

Stąpała cicho po podłodze, zostawiając za sobą kałuże lodowatej wody. Założyła na siebie resztę skóry głębinowej, by przegnać przejmujący chłód. Teraz w jej kończynach rozlewał się oczyszczający ogień, gorąca krew zapłonęła znów w zmrożonym ciele.

Podobało jej się to uczucie.

Tracy spoglądała na nią, leżąc w objęciach ojca. Jej oczy przypominały spodki, dwa błagalne sygnały strachu i kompletnego paraliżu.

Wszystko w porządku, moja mała koleżanko. Więcej nie ujdzie mu to płazem.

Krok pierwszy...

Clarke pochyliła się nad łóżkiem.

...uwolnić zakładnika.

Zerwała kołdrę. Potwór otworzył oczy i zamrugał głupawo w ciemności, która nagle obróciła się przeciw niemu. Tracy leżała sztywno w piżamie, wciąż zbyt przerażona, by się poruszyć.

Piżama, pomyślała Clarke krzywiąc się. *Niezła sztuczka. Nienaganne zachowanie w towarzystwie.*

Towarzystwo nie dało się na to nabrać.

Poruszając się szybko niczym wąż, chwyciła Tracy za nadgarstek. Chwilę później, dziewczynka była już bezpieczna u jej boku. Wolną ręką Clarke otoczyła opiekuńczo jej ramiona.

Tracy zawyła.

– Co u *diabła*... – Potwór sięgnął po świetlik, leżący obok łóżka. Dobra. Niech ma światło, by móc zobaczyć, jak sytuacja odwraca się na jego niekorzyść...

Wnętrze domku rozbłysło blaskiem, który oślepił ją na krótką chwilę, zanim dostosowały się do niego jej nakładki. Gord wstawał z łóżka. Clarke uniosła pałkę.

– *Nawet się kurwa nie ruszaj.*

– *Tatusiu!* – krzyknęła Tracy.

Potwór rozłożył ręce, próbując udobruchać Clarke i grając na czas.

– Lenie... Posłuchaj, nie wiem, czego od nas chcesz...

– Naprawdę? – Nigdy wcześniej nie czuła się tak silna. – Za to ja doskonale wiem, czego *ty* chcesz.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Posłuchaj, po prostu puść Tracy, dobrze? O cokolwiek by nie chodziło, nie ma potrzeby jej w to mieszać...

Clarke zrobiła krok naprzód. Tracy zatoczyła się jej śladem, pochlipując.

– *Nie ma potrzeby jej w to mieszać?* Chyba trochę na to za późno, dupku. *W chuj* za późno.

Potwór znieruchomiał na chwilę. Potem przemówił powoli, jakby coś zaczęło mu świtać.

– Co ty sobie... Myślisz, że...

Clarke zaśmiała się.

– Nieźle.

– Nie myślisz chyba..?

Tracy szarpnęła się.

– Tatusiu, *pomocy!*

Clarke nie poluzowała uchwytu.

– Już dobrze, Tracy. Nie zrobi ci krzywdy.

Potwór zrobił krok naprzód.

– Wszystko w porządku, Kwiatuszku. Ona nie rozu-

– *Zamknij się! Zamknij się, kurwa!*

Cofnął się, unosząc ręce w geście obronnym.

– Dobrze, dobrze... Tylko nie...

– Wszystko *rozumiem*, dupku. Rozumiem o *wiele* kurwa więcej niż ci się wydaje.

– To jakieś szaleństwo, Lenie. Tylko *spójrz* na nią. Czy to *mnie* się boi? Czy *zachowuje się* jakby chciała, żeby ją ratowano? Użyj *oczu*! *Boże*, dlaczego niby myślisz, że...

– Myślisz, że nie wiem, jak to jest? Myślisz, że nie pamiętam, jakie to *uczucie*, kiedy tak naprawdę nic nie wiesz? Myślisz, że skoro zrobiłeś pranie mózgu własnej córce, która myśli teraz, że to *normalne*, to ja...

– *Nigdy jej nie tknąłem!*

Tracy wyrwała się jej i uciekła. Wytrącona z równowagi Clarke próbowała jej dosięgnąć.

Nagle na jej drodze stanął Gord.

– Ty cholerna *wariatko* – warknął i uderzył ją w twarz.

Coś *trzasnęło*, gdzieś głęboko u podstawy żuchwy. Clarke zachwiała się. Poczuła w ustach słone ciepło. Za chwilę pojawi się ból.

Teraz jednak istniał dla niej tylko ten nagły, paraliżujący strach, wskrzeszony z zarania czasów.

Nie, pomyślała. *Jesteś od niego silniejsza. Jesteś silniejsza, niż on* kiedykolwiek *był, nie musisz znosić tego ohydnego gówna ani chwili dłużej. Dasz mu nauczkę, jakiej* nigdy *kurwa nie zapomni, po prostu dziabnij go w brzuch i patrz jak ekspl-*

– *Lenie, nie!* – krzyknęła Tracy. Clarke spojrzała w bok, zdezorientowana.

Jej skroń nagle zderzyła się z górą. Jakimś cudem nie miała już w dłoni pałki. Broń zataczała jakąś szaloną parabolę, a świat pędził niepohamowanie w jedną stronę. Chropowate deski podłogi pokłuły twarz Clarke drzazgami. Gdzieś daleko, w niesamowicie odległej rzeczywistości, jakieś dziecko krzyczało *Tatusiu*...

– Tatusiu – wymamrotała spuchniętymi wargami Clarke. Minęło tak wiele lat, ale wreszcie wrócił. I ostatecznie nic się nie zmieniło.

***

To była moja własna, cholerna wina, pomyślała tępo. *Sama się o to prosiłam.*

Wiedziała, że gdyby mogła przeżyć jedną, krótką chwilę jeszcze raz, zrobiłaby wszystko, jak należy. Tym razem nie wypuściłaby z dłoni pałki, a on zapłaciłby za wszystko, tak jak ten gliniarz z West Bend, *ale mu się dostało, wszystkie jego flaki zamieniły się w jedną wielką chmurę gulaszu, został po nim tylko krwawiący kręgosłup łączący oba końce, nie będzie już więcej się rządzić, nie bardzo ma co się rządzić cha cha cha...*

Tak było wtedy. A teraz jest teraz i nagle wielka, szorstka dłoń chwyciła ją za ramię i odwróciła na plecy.

– *Ty pojebana kupo gówna!* – ryknął potwór. – Tylko *dotknij* mojej córki, a cię kurwa *zabiję*! – Przeciągnął ją po podłodze i cisnął o ścianę. Jego córka płakała gdzieś w tle, jego własna *córka*, ale oczywiście w ogóle go to nie obchodziło, chciał jedynie...

Wiła się i wykręcała, aż kolejny cios ześliznął się po jej ramieniu i nagle była wolna, tuż przed nią znajdowały się otwarte drzwi, a za nimi bezpieczna ciemność. *Potwory nie widzą w mroku, ja widzę...*

Coś podcięło jej nogi i przewróciła się, ale to jej nie powstrzymało, wciąż parła w stronę drzwi jak krab pozbawiony połowy odnóży, a Tatuś rycząc, deptał jej po piętach.

Odpychając się od ziemi, natrafiła na coś dłonią. *Pałka doleciała aż tutaj, mam ją, teraz mu pokażę...*

Nie zrobiła tego. Po prostu chwyciła broń i zerwała się do *ucieczki*, wymiotując ze strachu i tchórzostwa. Wbiegła w przychylną jej noc, gdzie wszystko było jasnosrebrzyste i szare w świetle księżyca. Wpadła do jeziora, nie pamiętając nawet, by zaplombować osłonę twarzową. Cały świat nagle przesłoniły rozbryzgi piany i lodowata woda.

Poszła jak kamień w dół, drąc pazurami wodę, jakby i ona była wrogiem. Po zaledwie kilku chwilach ujrzała dno, w końcu to tylko *jezioro*, nie było dość głębokie. Tatuś stanie nad brzegiem i wyciągnie *ręce*...

Zaczęła okładać podłoże pięściami. Natychmiast otoczyła ją chmura detrytusu. Atakowała skałę całymi dniami, latami, podczas gdy jakaś odległa część jej jestestwa kręciła głową z politowaniem nad jej głupotą.

Wreszcie zabrakło jej sił nawet na panikę.

Nie mogę tu zostać.

Jej szczęka wydawała się sztywna i spuchnięta.

Przynajmniej w ciemności mam nad nim przewagę. Nie opuści domku przed świtem.

Nieopodal leżało coś gładkiego i nienaturalnego, ale odległość i wzburzone osady uniemożliwiały zidentyfikowanie konturów. Pałka. Musiała wypuścić ją z ręki, gdy plombowała kaptur. Wsunęła ją z powrotem do pochwy przy nodze.

Nie żeby przydała mi się do czegokolwiek ostatnim *razem...*

Odepchnęła się od dna.

Przypomniała sobie, że na jednej ze ścian domku wisiała stara mapa topograficzna. Zaznaczono na niej inne chatki, ustawione wzdłuż szlaku patrolowego. Zapewne stoją puste przez większość czasu. Jedna znajdowała się na północ stąd, nad brzegiem, jak to się nazywało, Nigel Creek. Mogła stąd uciec, mogła zostawić potwora daleko za sobą...

...z Tracy...

O Boże! Tracy.

Wynurzyła się na powierzchnię.

Jej plecak leżał tam, gdzie go zostawiła. Chatka przycupnęła na odległym krańcu polany, jej drzwi zamknięto na głucho. W środku paliły się światła, zaciągnięto wprawdzie zasłony, ale sączący się zza nich blask byłby widoczny i bez nakładek.

Wyczołgała się na brzeg. Powrót na łono grawitacji okupiła kilkunastoma rodzajami bólu. Zignorowała je wszystkie, nie spuszczając wzroku z okna. Była zbyt daleko, by zauważyć, jak ktoś odsuwa lekko brzeg tkaniny, by wyjrzeć na zewnątrz jednym okiem. Jednak zauważyła.

Tracy wciąż tam była.

Lenie Clarke nie udało się jej uratować. Lenie Clarke ledwie sama wyszła z tego cało, a Tracy... Tracy wciąż należała do Gorda.

Pomóż jej.

Wcześniej wydawało się to takie łatwe. Gdyby tylko nie zgubiła pałki...

Masz ją teraz. Jest tu, przy twojej nodze. Pomóż *jej, na litość boską...*

Oddech uwiązł jej w gardle.

Przecież wiesz, co on jej robi. Przecież wiesz. *Pomóż jej...*

Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i objęła je rękami, ale jej ramiona nie chciały przestać drżeć. Jej szloch wydawał się brzmieć zbyt głośno na tej srebrzystej polanie.

Żadnej reakcji od strony zamkniętego na głucho, pogrążonego w ciszy domku.

Pomóż jej, ty tchórzu. Ty bezwartościowa kupo gówna. Pomóż jej...

Minęło dużo czasu, zanim sięgnęła po plecak. Potem wstała i odeszła w dal.

Weteran

Przez ponad miesiąc Ken Lubin czekał na śmierć. Nigdy wcześniej nie żył pełnią życia tak bardzo, jak wtedy.

Wiatry ukształtowały powierzchnię wyspy w misterne freski, pełne iglic i skamieniałych plastrów miodu. W niszach łukowatych piaskowców gnieździły się mewy i kormorany. Brakowało wprawdzie jajek, najwyraźniej ptaki nie rozmnażały się na jesieni, ale przynajmniej mięsa było w bród. Dostęp do wody pitnej również nie stanowił problemu. Lubin musiał tylko wśliznąć się do oceanu i obudzić tkwiący w jego piersi odsalacz. Skóra głębinowa, choć nieco poszarpana, wciąż działała prawidłowo. Jej pory wpuszczały do środka przedestylowaną wodę, obmywającą jego ciało i utrzymywały na dystans sole kaustyczne. Kąpiąc się, uzupełniał dietę o skorupiaki i wodorosty. Co prawda nie był biologiem, ale wszystkie ulepszenia, jakim go poddano, mające zapewnić mu przetrwanie, stanowiły najnowsze odkrycia w dziedzinie technologii. Jego pracodawcy zapewne uodpornili go na wszelkie naturalne toksyny, których nie byłby w stanie wyczuć.

Spał pod gołym niebem tak pełnym gwiazd, że ich światło przyćmiewało delikatny blask, sączący się od strony wschodniego horyzontu. W nocy świeciły nawet zwierzęta. Z początku nawet tego nie zauważył – nakładki na oczy okradały go z ciemności, zamieniając noc w bezbarwny dzień. W końcu zmęczyła go ta bezustanna jasność i odsłonił rogówki. Natychmiast zauważył przyćmioną, niebieskawą poświatę, otaczającą stado fok, zajmujących wybrzeże w dole.

Większość osobników pokrywały guzy i ropnie. Lubin nie miał pojęcia, czy to jakaś naturalna choroba, czy też może kolejny skutek uboczny mieszkania zbyt blisko ścieków dwudziestego pierwszego stulecia. Był jednak pewny, że wrzody nie powinny świecić. A te świeciły. Narośle żarzyły się intensywną czerwienią w świetle dnia, ale w nocy zaczynały płonąć jak fotofory ryb głębinowych. I to nie tylko guzy. Gdy foki odwróciły się, by na niego spojrzeć, ich oczy lśniły niczym szafiry.

Niewielka część Kena Lubina za wszelką cenę próbowała znaleźć wytłumaczenie – może to zmutowane bakterie bioluminescencyjne. Poziomy transfer genów z mikrobów odpowiedzialnych za ognie świętego Elma, zanim rozprawił się z nimi szalejący ultrafiolet. Molekuły lucyferyny, fluoryzujące w kontakcie z tlenem – to by wyjaśniało świecenie otwartych ran i oczu, pokrytych gęstą siateczką naczyń włosowatych.

Większa część Kena Lubina nie mogła natomiast nadziwić się czystemu absurdowi sytuacji, każącej rakowi stać się czymś tak pięknym.

Jego ciało naprawiało się szybciej niż w przypadku normalnego człowieka – tkanki zrastały się i regenerowały prawie jak same nowotwory. Lubin był wdzięczny za komórki sztucznie naszpikowane mitochondriami, za przeciwciała trimeryczne, za przyspieszoną dwukrotnie względem norm ssaków produkcję makrofagów, limfokin i fibroblastów. Dźwięki powróciły do niego w ciągu kilku dni, z początku wyraźne i piękne, potem stopniowo cichły w miarę, jak namnażające się komórki jego błon bębenkowych, zmuszone do pracy na najwyższych obrotach przez dziesiątki ulepszeń retrowirusowych, nadbudowywały się i nadbudowywały. Nim przypomniały sobie, że powinny przestać, Lubinowi wydawało się, że jego bębenki zostały wykonane z płyty wiórowej.

Nikomu nie miał tego za złe. Wciąż jako tako słyszał, a nawet gdyby zupełnie ogłuchł, to wciąż byłaby to rozsądna cena za ciało odporniejsze

pod innymi względami. Natura wręcz, w razie gdyby zamierzał być niewdzięczny, pokazała mu alternatywę w postaci lwa morskiego, starego samca, który pojawił się na południowym brzegu wyspy jakiś tydzień po Lubinie. Był pięć razy większy niż foki i musiał prowadzić o wiele bardziej brutalny tryb życia. Ostatnia bójka sprawiła, że żuchwa wyskoczyła mu ze stawu. Wisiała teraz jak opuchnięty, najeżony zębami jęzor. Jedynym, co wciąż łączyło ją z łbem stworzenia, były skóra, mięśnie i ścięgna. Tkanki te z każdym dniem puchły coraz bardziej – skóra pękała, z jej wnętrza sączyły się białe i pomarańczowe płyny, po czym rany znów się zasklepiały, gdy naturalne systemy obronne zwierzęcia próbowały poradzić sobie z urazem.

Trzystukilogramowy drapieżnik skazany na zagładę w kwiecie wieku. Jedyne dostępne mu opcje to zagłodzenie albo zakażenie, a nie mógł wybierać nawet między nimi. Z tego, co wiadomo było Lubinowi, samobójstwo było wyłącznie domeną ludzi.

Przez większość czasu tylko leżał i oddychał. Co jakiś czas jednak wracał do oceanu na kilka godzin. Lubin zastanawiał się, co właściwie tam robi. Czyżby wciąż próbował polować? Nie *wiedział*, że jest już martwy? Jego instynkt był aż tak nieustępliwy?

Z nieokreślonego powodu Lubin czuł pewną więź z umierającym zwierzęciem. Wyglądało na to, że czasami obaj tracili poczucie czasu. Słońce przepływało powoli nad wyspą, zmierzając w kierunku morza na zachodzie, a dwie zmęczone i okaleczone istoty, przyglądające się sobie nawzajem z nieskończoną, fatalistyczną cierpliwością, ledwie zauważyły, że zapadł zmrok.

Po jakimś czasie zaczął rozważać fakt, że być może jednak będzie żył.

Minął już miesiąc, a jedynym oczywistym objawem, jaki u niego występował, była sporadyczna biegunka. W swoim kale zaczął znajdować nicienie. To niezbyt przyjemne odkrycie, ale też nie stanowi zagrożenia

życia. W obecnych czasach byli i tacy, którzy celowo wywoływali u siebie podobne infekcje. Chodziło o ćwiczenie reakcji odpornościowej czy coś takiego.

Możliwe, że jego wzmocniony układ immunologiczny obronił go przed tym czymś, co panicznie wystraszyło GA. A może po prostu miał szczęście. Istniało też niewielkie prawdopodobieństwo, że źle ocenił sytuację. Jak dotąd był skazany na tymczasowe wygnanie, niepewną równowagę pomiędzy instynktem przeżycia a przekonaniem, że jego pracodawcom nie spodobałoby się, gdyby Ken Lubin rozprzestrzenił zakaźną apokalipsę na cały świat. Może jednak wcale nie ma żadnej apokalipsy, żadnej infekcji. Może jest bezpieczny.

Może chodzi o coś zupełnie innego.

Może, pomyślał, *powinienem dowiedzieć się, o co.*

Czasami, gdy nocą spoglądał na wschód, widział migające światła na horyzoncie. Trasa, po której się poruszały była tak przewidywalna, jak kroki zwierzęcia zamkniętego w klatce – to żniwiarki do krasnorostów. Roboty o niskim zawieszeniu, zbierające plony oceanu. Pozbawione poważniejszych zabezpieczeń, oczywiście zakładając, że uda ci się przedrzeć przez rzędy ostrych zębów po stronie brzusznej. Bezbronne wobec wszelkich dostatecznie zdeterminowanych autostopowiczów, którzy akurat mogli utknąć na szelfie kontynentalnym.

Moralniak kłuł go bez przekonania w żołądku. Podpowiadał, że niepotrzebnie zaczyna coś zakładać. Jeden miesiąc bez żadnych objawów nie świadczy jeszcze o idealnym zdrowiu. Niezliczona ilość chorób ma dłuższy okres inkubacji.

Jednak mimo to...

Jednak mimo to nie było żadnych niezbitych dowodów istnienia *jakiejkolwiek* infekcji. Tylko pewna tajemnica i przypuszczenie, że ci u

władzy chcieli się go pozbyć. Nie było żadnych rozkazów, żadnych wytycznych. Instynkt Lubina mógł zastanawiać się, co zamierzali jego panowie, ale nie mógł tego *wiedzieć*, natomiast niewiedza pozwalała mu samodzielnie podejmować decyzje.

Pierwsza z nich dotyczyła eutanazji.

Widział, jak z czasem z boków lwa morskiego zaczęły wystawać żebra. Widział, jak mięsisty zawias żuchwy stopniowo pokrywają maleńkie narośle, jak zostaje unieruchomiony w swej obecnej pozycji przez rozległe zakażenie i chaotyczne zrosty powykręcanych kości. Kiedy po raz pierwszy zobaczył zwierzę, jego żuchwa zwisała na szczątkach skóry i mięśni. Teraz zaś wystawała poza zarys pyska, sztywna i nieruchoma, z bezkształtnej pulpy trawionego gangreną ciała. Wzdłuż jego boków ciągnęły się rzędy ran.

Stary samiec praktycznie przestał podnosić głowę, kiedy jednak już to zrobił, w każdym jego ruchu widać było ból i wyczerpanie. Jednym, mętnym i mlecznym okiem obserwował, jak Lubin zbliża się do niego od strony lądu. Możliwe, że w jego wzroku pojawiła się iskierka rozpoznania, ale równie dobrze mogła to być obojętność.

Lubin zatrzymał się w odległości kilku metrów od zwierzęcia, trzymając w ręce wyrzucony na brzeg kawałek drewna tak gruby jak jego przedramię i starannie zaostrzony na końcu. Odór był wręcz nieznośny. W każdej z ran kłębiły się robaki.

Mężczyzna przytknął koniuszek broni do karku lwa morskiego.

– Cześć – powiedział łagodnie i pchnął.

O dziwo, potężny samiec wciąż miał dość sił, by się bronić. Stanął dęba, rycząc i uderzył Lubina w pierś bokiem głowy, bez wysiłku wyrzucając go w powietrze. Pokrywająca uszkodzoną żuchwę, napięta czarna skóra pękła pod wpływem siły ciosu. Z rany trysnęła ropa. Ryk

zwierzęcia zmienił się o kilka tonów, przestając być wyrazem sprzeciwu, a nabierając nut agonii.

Lubin upadł na ziemię, przetoczył się po niej i wstał, znajdując się poza zasięgiem ataków lwa morskiego. Ten zahaczył szczęką o wystające z jego szyi drzewce i próbował je wyrwać. Lubin okrążył go i zaszedł od tyłu. Zwierzę zauważyło go i odwróciło się niezgrabnie niczym zdezelowany czołg. Lubin zamarkował cios. Potężny samiec rzucił się w lewo. Mężczyzna zawirował, doskoczył i chwycił za kawałek drewna, drzazgi powbijały mu się w dłonie, gdy naparł na niego całym swym ciężarem.

Rycząc, lew morski przetoczył się na grzbiet, przygniatając nogę Lubina cielskiem, które, pomimo utraty połowy swej normalnej wagi, wciąż było w stanie zetrzeć człowieka na miazgę. Straszliwy pysk, będący ogniskiem bólu i infekcji, zaatakował go niczym taran.

Mężczyzna uderzył w podstawę żuchwy, poczuł jak kość rozdziera ciało. Cios musiał rozerwać jakąś głęboką kieszeń zakażenia, której zawartość bryznęła mu w twarz niczym cuchnący gejzer.

Taran gdzieś zniknął. Noga Lubina znów była wolna. Karłowate kończyny młóciły żwir tuż przy jego twarzy.

Gdy kolejny raz udało mu się chwycić za zaostrzony pal, zacisnął na nim palce z całej siły i zaczął poruszać nim z boku na bok, czując tarcie drewna o kości. Zwierzę rzucało się i wierzgało pod nim, wydawało się, że w obliczu tak wielu źródeł bólu, nie potrafiło określić, gdzie znajduje się jego prześladowca. Nagle szpic natrafił na przerwę pomiędzy kręgami szyjnymi. Lubin znów naparł na kołek z całych sił, jakie jeszcze mu pozostały.

I nagle olbrzymie, podrygujące cielsko zwiotczało.

Jednak lew morski nie był jeszcze martwy. Jego oko, mętne i przepełnione rezygnacją, wciąż śledziło mężczyznę, gdy ten przeszedł na

drugą stronę jego głowy. Lubinowi udało się jedynie sparaliżować zwierzę od szyi w dół, pozbawiając je możliwości oddychania i poruszania się. Ssak nurkujący. Ile to milionów lat ewolucji nauczyło go obchodzić się bez tlenu przez dłuższe okresy czasu? Ile czasu trzeba było, by oko przestało się poruszać?

Znał odpowiedź. Lwy morskie są takie same, jak inne ssaki pod wieloma różnymi względami. Mają taki prześwit u podstawy czaszki, gdzie rdzeń kręgowy łączy się z mózgiem. Nazywa się on otworem wielkim. Anatomiczne ciekawostki tego typu zawsze przydawały się w fachu Lubina.

Mężczyzna wyciągnął broń z cielska zwierzęcia i przytknął ją w okolicach jego karku.

Trzy sekundy później oko zamarło.

Coś przelotnie zakłuło go w oczy, gdy przygotowywał się do opuszczenia wyspy, a w gardle zebrała mu się gula, której nie sposób było wytłumaczyć ciasno przylegającą skórą głębinową. Wiedział, że odpowiedzialny za to uczucie jest żal. Wcale nie chciał robić tego, co właśnie zrobił.

Rzecz jasna, nikt, komu kiedykolwiek było dane go spotkać, najprawdopodobniej by w to nie uwierzył. W końcu, między innymi, był mordercą. Gdy mu kazano. Ludzie, którzy dowiadywali się o tym fakcie rzadko kiedy próbowali poznać go lepiej.

W rzeczywistości w całym swoim życiu nigdy *nie chciał* nikogo zabić. Żałował każdej śmierci, do której się przyczynił. Nawet jeśli była to śmierć wielkiego, głupiego, nieudolnego drapieżnika, który nie był w stanie sprostać wymaganiom własnego gatunku. Lubin oczywiście nigdy nie miał najmniejszego wyboru w kwestii zabijania. Robił to tylko wtedy, gdy *nie miał* innego wyboru.

Jednak gdy znajdował się właśnie w takiej sytuacji, gdy wyczerpywały się wszystkie inne możliwości, gdy jedynym sposobem na wykonanie zadania była nieunikniona śmierć, wtedy z pewnością nie było nic złego w wykonaniu takiego zadania sprawnie i dobrze. Z pewnością nie było nic złego w wykonaniu go z przyjemnością.

To nawet nie była jego wina, myślał brodząc pośród fal. Najzwyczajniej w świecie tak go zaprogramowano. Jego panowie w zasadzie sami potwierdzili ten fakt, wysyłając go na urlop.

Kątem oka dostrzegł na brzegu kupę rozkładającego się mięsa. Nie było innego wyboru. Położył kres cierpieniom. Jeden dobry uczynek, by odpłacić się miejscu, które utrzymywało go przy życiu przez ostatnich kilka tygodni.

Żegnaj, pomyślał.

Zaplombował kaptur i pobudził implanty do działania. Zdezorientowane, jego zatoki, oskrzela i układ pokarmowy przez chwilę stawiały opór, po czym poddały się. Pacyfik przepłynął przez jego klatkę piersiową z dodającą otuchy poufałością – maleńkie iskierki rozdzieliły połączone ze sobą cząsteczki na atomy tlenu i wodoru, przekazując użyteczne części żyle płucnej.

Mężczyzna nie miał pojęcia, ile czasu zajmie mu dotarcie do migoczących na horyzoncie światełek. Nie wiedział, ile czasu zajmie im odstawienie go na stały ląd. W zasadzie nawet nie zastanawiał się jeszcze, co właściwie zrobi, gdy już się tam znajdzie. Na razie jednak wystarczała mu świadomość jednej rzeczy:

Ken Lubin, miłośnik wszelkiego życia, skrytobójca dręczony Moralniakiem, bomba o tak krótkim loncie, że nawet służby specjalne były zmuszone do przetrzymywania go na dnie oceanu, niczym odpadu radioaktywnego...

Ken Lubin wracał do domu.

PHYSALIA

Zeus

Sou-Hon Perreault zbliżała się właśnie do miejsca wybuchu zamieszek, kiedy ją wyłączono.

Rzecz jasna, stał za tym Amitav. Stało się to dla niej jasne w chwili, gdy zobaczyła, gdzie mają miejsce rozruchy – w centrum zamieszek znalazł się cykler Calvina w Greenville Point, mniej niż dwa kilometry od jego ostatniej zarejestrowanej pozycji. Wskoczyła na najbliższego muchobota i podążyła w tamtym kierunku.

Jakimś cudem uchodźcom udało się wyrwać z ziemi latarnię, której użyli jako tarana i przebili nim samo serce cyklera. Z rany sączyła się kleista mieszanina kilku rodzajów amino-paskudztwa, ropny wyciek w kolorze różnych odcieni ochry i brązu. Ludzie z niedowagą, z których część krwawiła z pokrytych strupami ran, krzyczeli i napierali na przód maszyny, starając się ją przewrócić.

Otaczający ich ze wszystkich stron większy tłum cofnął się, bezmyślny, zdezorientowany i bezsilny jak zwykle.

– kholanA ApakA netra, behen chod!

Amitav wspiął się na powalony cykler. Muchobot Perreault przeanalizował wydobywające się z jego ust fonemy i przestawił się na hindi.

– Otwórzcie oczy, siostrojebcy! Nie wystarczy wam, że jecie ich truciznę? Będziecie tak siedzieć z rękami w kieszeniach, podczas gdy oni wyślą kolejną *falę, by dokończyć robotę? Lenie Clarke to dla was za mało? Przeżyła w samym sercu huraganu*, powiedziała *wam, kto jest waszym*

wrogiem! Walczy z nim, podczas gdy wy śpicie na piachu! Czego jeszcze trzeba, by wyrwać was ze snu?

Uczniowie Amitava zaczęli wyrażać swoje poparcie urywanym pokrzykiwaniem, pozostali zaczęli poruszać się nerwowo i szeptać coś między sobą.

Amitav, pomyślała Perreault, *przekroczyłeś granicę*.

Patykoludek spojrzał w niebo i wyciągnął wychudzoną rękę, wskazując zniżającego lot muchobota Perreault.

– Patrzcie! Przysłali *maszyny*, by mówić nam, co mamy robić! Oni...

Nagle zapanowała całkowita ciemność i cisza.

Kobieta czekała. Po kilku sekundach pośród pustki zamigotały dwie linijki tekstu:

Strefa odizolowana przez KRASZ
(Ustawa o zagrożeniu biologicznym nr 2040, N'AmPac)

Rzecz jasna, natrafiała już wcześniej na ciemne strefy. Muchobot, którym akurat leciała, wpadał nagle w mrok, dryfował błogo ślepy i głuchy przez pięćdziesiąt metrów, a może dwadzieścia kilometrów. A potem, znalazłszy się poza monitorowanym obszarem, podłączał się znów do sieci.

Tylko po co powoływać się na ustawę o zagrożeniu biologicznym w przypadku jednego, zniszczonego cyklera?

Chyba, że nie chodzi wcale o cykler...

Połączyła się z wcześniejszym muchobotem – na tle niepożądanej ciemności migał napis *Strefa odizolowana przez KRASZ*. Przeskoczyła do jeszcze wcześniejszego i jeszcze, szukając krawędzi zaciemnienia.

Osiem i osiemnaście dziesiątych kilometra z jednego końca na drugi.

Teraz, gdy znała już zakres zjawiska, skierowała się na południe, trzymając się blisko jego północnej granicy. Włączyła pełne spektrum,

skanując otoczenie w fałszywych kolorach podczerwieni, promieniowania rentgenowskiego i ultrafioletowego, badając mgłę przy pomocy radaru.

Tam...

Coś pojawiło się na niebie. Widziany przelotnie obraz, który niemal natychmiast pogrążył się we wszechobecnej czerni.

Strefa odizolowana przez KRASZ.

Przeskoczyła na wcześniejszego muchobota, zmieniając ustawienia domyślne tak, by powtarzać ten manewr za każdym razem, gdy padnie widoczność. Zobaczyła to znowu i znowu. Wielką zasłonę ciemności. Wydymającą się ścianę, opadającą w kierunku ziemi. Nadmuchiwaną barierę, rozciągającą się gładko wszerz Pasa.

Ciemność. *Strefa odizolowana przez K...*

Zaczęła się zastanawiać.

Odcięli od reszty osiem kilometrów Pasa, obszar o szerokości niemal dziewięciuset metrów. Na tak duży teren trzeba było kilka wytłumiaczy, zakładając, że w zamierzeniu miały wyciszyć zarówno sygnały wąskowiązkowe, jak i szerokopasmowe. Zapewne umieszczono je na samej ścianie.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że swoim zasięgiem nie będą sięgać zbyt daleko w morze.

Jeden z muchobotów wyłonił się właśnie z zaćmienia i skierował na północ. Perreault dosiadła go i skierowała się na zachód od jego trasy, trzymając się nisko. Tuż pod nią przelewały się fale przyboju. Chwilę później zostawiła bałwany w tyle i znalazła się ponad oleistą, falującą z wolna powierzchnią. Skręciła na południe.

Tu panował jakiś ruch. Nad dwoma, wycofującymi się statkami wycieczkowymi wisiał groźnie śmigłowiec bojowy z niejasnymi

oznaczeniami. Jego kadłub, niczym guz, zniekształcała kopuła wytłumiacza. Kilka muchobotów, innego rodzaju niż te, którymi jeździła Perreault, pomknęło w stronę wybrzeża. Żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi. Nawet jeśli było inaczej, musiały uznać, że jej maszyna ma wyższy status niż na to zasługiwała.

Znajdowała się osiemset metrów od wybrzeża i wciąż szybowała tuż nad falami, kierując się na zachód od miejsca powstania Amitava. Perreault kazała muchobotowi zwolnić i zmienić kurs, zwracając go w stronę lądu.

W oddali ujrzała spienione bałwany, plamę błotnistego piasku i kotłowaninę w głębi wybrzeża. Wyhamowała i zawisła w powietrzu, unikając kolejnego zaciemnienia.

W powiększeniu ruch zamienił się w zamieszanie.

Wszyscy *biegali* jak opętani. Perreault nigdy nie widziała tak wzmożonej aktywności na Pasie. Brakowało w tym jednak celowości, określonego kierunku. Najwyraźniej nie było dokąd iść. Niektórzy uchodźcy rzucali się w fale. Muchoboty, które widziała wcześniej zmuszały ich jednak do powrotu. Większość ludzi po prostu miotała się w tę i z powrotem.

Coś w chmurach dźgało tłum błyskami zielonego światła.

Skierowała muchobota ku górze, niemal ją przeoczając – kolejna maszyna śmignęła obok, zmierzając na południe i niemal natychmiast znikając w oddali. Teraz jej własny muchobot zaczął piszczeć. Coś zbliżało się od tyłu, coś dużego, lecącego nisko, niewykrywalnego...

Oczywiście, *musiało tak być*, *inaczej radar namierzyłby to już wcześniej*.

...i znajdującego się o *wiele* za blisko, by można było przed tym uciec.

Obróciła muchobota i zauważyła obiekt w odległości dwustu metrów. Był to podnośnik kierujący się w stronę wybrzeża, podobny do

lewitującego wieloryba. Wzdłuż jego brzucha ciągnęły się rzędy iluminatorów – dziwnych, miedzianych reliktów innej epoki. Za szkłem migotało łagodne, pomarańczowe światło lamp gazowych. Zmrużyła powieki pod zestawem wizualizacyjnym, starając się odegnać wiktoriański widok. Nagle z gałki na kadłubie statku wystrzeliła błyskawica wyładowania elektrycznego. Błysnęło oślepiające światło, które niemal natychmiast zgasło. Przez krótką chwilę pośród mroku utrzymywały się cyfry i litery, ostatnie tchnienie systemów nawigacyjnych muchobota. Potem pozostało już tylko migające epitafium:

Połączenie przerwano. Połączenie przerwano. Połączenie przerwano.

Kobieta ledwie to zauważyła. Nawet nie próbowała nawiązać łączności na nowo. Jej muchobot był już w drodze na dno. Nie próbowała też przeskoczyć na inny kanał. Całkowicie pochłonęło ją rozmyślanie o tym, co właśnie zobaczyła. Pochłonęło ją wyobrażanie sobie tego, czego nie widziała.

To wcale nie były iluminatory. To były wyloty luf przemysłowych miotaczy ognia szerokiego kalibru. Płomienie gazowe w ich wnętrzu migotały niczym płomieniste języki.

Jiminy Świerszcz

Wariacje na temat:

Pas Oregonu spowity we mgle. Wieczorne światło było rozmyte i miało kolor stalowej szarości. Brakowało choćby jednej jasnej smugi, świadczącej o obecności słońca. Uchodźcy tłoczyli się wokół stacji żywieniowych, próbując odegnać wilgoć przy pomocy łagodnego, pomarańczowego blasku przenośnych grzejników. Dystans odzierał ich z pozornego człowieczeństwa. Mgła czyniła z nich jedynie sylwetki, szare cienie, niejasne sugestie nieskończonej konwekcji. Ruch nie mający celu. Tłum pogrążony był w ciszy i rezygnacji.

Achilles Desjardins widział to wszystko dzięki przekazom telemetrycznym.

Widział też, co wydarzyło się później. Najpierw rozległo się ciche wycie, głośniejsze niż w przypadku zwykłych muchobotów, dochodzące gdzieś z wysoka. Morze ludzi w dole zafalowało. Twarze zwróciły się ku górze, próbując odszukać źródło dźwięku w kotłowaninie szarości. Wymieniano plotki: *Coś takiego miało miejsce już wcześniej, trzy dni drogi na południe. Zaczęło się dokładnie tak samo. Od tamtej pory nie mieliśmy od nich żadnych wieści...* W tłumie rozległy się pełne obawy szmery. Kilka ludzkich cząsteczek zaczęło przepychać się łokciami przez resztę, inne puściły się biegiem.

Strach wystarczył, by przełamać chemiczny spokój, który oswoił ich na tak długo.

To i tak nic nie da. Strefę ogrodzono murami. Panika w niczym już nie pomoże – nie ma ujścia dla odruchu ucieczki. Zostali zaalarmowani

zaledwie kilka sekund wcześniej, gdy niemal było już po wszystkim.

Z chmur wystrzeliły precyzyjne, turkusowe wiązki światła laserowego, które przeszyły ściegiem dziesięciokilometrowy odcinek wybrzeża. W zetknięciu z piaskiem czy ciałem, zaczynały je palić. Zawieszone w wilgotnym powietrzu kropelki wody chwytały przelatujące promienie, czyniąc je widzialnymi dla ludzkiego oka – to nici argonu, tak jaskrawe i piękne, że samo patrzenie na nie groziło całkowitą ślepotą. Były też zabójczo szybkie. Pokaz świateł dobiegł końca jeszcze zanim rozbrzmiały pierwsze krzyki bólu.

Zasada jest prosta – wszystko płonie. A właściwie wszystko płonie z własnym, charakterystycznym widmem, subtelnym współdziałaniem boru, sodu i węgla, z których każdy jarzy się światłem o własnej, specjalnej długości fal w harmonii blasku, będącej wyróżniającą cechą każdego z rzuconych do ognia przedmiotów. W teorii nawet przy spalaniu identycznych bliźniąt powstałyby różne widma, o ile rodzeństwo miało różne zwyczaje żywieniowe.

Rzecz jasna, w obecnej chwili nie było to konieczne.

Spójrz: strategiczny skrawek nieruchomości. Czy to teren wroga? Narysuj linię przebiegającą przez ten obszar upewniając się, że z obu stron wykracza na bezpieczne ziemie. Dobrze. Teraz pobierz próbki wzdłuż całej tej trasy. Zamień materię w energię. Czytaj z płomieni. Końce linii to punkty odniesienia, strefy obserwacji satelitarnej – ich światło to światło przyjaznej gleby. Wyodrębnij długość fal z tego, co uda ci się odczytać. Przesiej otrzymane liczby przez sito zwyczajowych statystyk, by wyjaśnić niejednorodność miejscowego środowiska.

Jovellanos stworzyła z dostarczonych jej próbek mazi coś na kształt policyjnego zdjęcia βehemota. Istniał tylko jeden pewny sposób, by dowiedzieć się, czy choć jedna z linii okaże się czysta pod kątem

stworzonego wzorca: jeśli okoliczna przestrzeń nie zostanie na przestrzeni najbliższej pół godziny oblana halotanem i wypalona do gołej ziemi.

Test ten był wiarygodny w nieco więcej niż dziewięćdziesięciu procentach. Góra uznała, że tyle wystarczy.

Nawet Achilles Desjardins, mistrz minimalnego czasu reakcji, dziwił się, jak wiele zmieniło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Rzecz jasna, informacje zaczynały się rozchodzić. Nie było to jednak nic spójnego, a już na pewno nic oficjalnego. Kwarantanny, wymieranie roślin i nieurodzaje już od wielu lat nie stanowiły żadnej nowości. W zasadzie nie było dnia, żeby nie powrócił taki czy inny wirus. Stare, zmęczone geny ożywione na nowo w laboratorium terrorystycznym lub wprowadzone w nowe sojusze przez wirusowych pośredników, bez poszanowania dla izolacji rozrodczej gatunków. Pośród takiego zamieszania łatwo ukryć całe mnóstwo nowych wybuchów epidemii.

Jednak mieszanina zaczynała ulegać zmianie. Dwudziesty pierwszy wiek stanowił istny przegląd przeróżnych nieszczęść, plag, egzotyków i burz pyłowych, atakujących ludzkość ze wszystkich stron. Teraz jednak wyglądało na to, że jedno konkretne zagrożenie rosło cicho w cieniu wszystkich innych. Pewne *rodzaje* izolacji zdarzały się częściej niż pozostałe. Wzdłuż zachodniego wybrzeża przechodziły pożary, których oficjalnie nie łączono ze sobą. Niektóre tłumaczono próbą zapanowania nad szkodnikami, inne atakami terrorystycznymi albo trwającymi w N’Am akcjami osuszającymi. A jednak – tyle pożarów, w dodatku wszystkie na wybrzeżu? Tyle kwarantann i czystek, przeprowadzanych z północy na południe, wzdłuż Gór Skalistych? Dziwne, bardzo dziwne.

Pod płaszczykiem szalejących, typowych katastrof rosła jakaś mroczna, entropiczna monokultura, niewidzialna, za wyjątkiem śladów, jakie po sobie zostawiała. Ludzie zaczynali to zauważać.

Oczywiście Moralniak sprawiał, że Desjardins trzymał język za zębami. Nie był już zresztą dłużej przydzielony do βehemota. On i Jovellanos zrobili to, co do nich należało, przedstawili wyniki i zostali odesłani, by znów stawiać czoła losowym katastrofom, przydzielanym im przez Router. Jednak nakazy płynące ze strony instynktu nie zmieniały się wraz z przydzielanymi zadaniami. Gdy tylko zakończył zmianę, wszedł do przyjaznego wnętrza Rdzenia, gdzie sympatycznie się wstawił, nawiązał znajomości z miejscowymi – dał się nawet namówić Gwen na spróbowanie prawdziwego seksu, po którym sama przyznała, że była to katastrofa – i nasłuchał się plotek o nadciągającej apokalipsie.

A kiedy tak siedział nic nie robiąc, świat zaczął zapełniać się ubranymi na czarno, pustookimi podróbkami.

Z początku tego nie zauważył. Gdy spotkał Gwen po raz pierwszy, też była tak odstawiona. *Szał na ryfterów*, jak powiedziała. Była pierwsza. Styl ten stał się prawdziwym krzykiem mody w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Teraz wyglądało wręcz na to, że każdy, wraz ze swoim organoklonem, zakładał na siebie trykot i fotokolagen. Głównie kobiety, choć rosła też liczba przebierających się mężczyzn. Desjardins widział nawet kilka osób wystrojonych w prawdziwy, odruchowy kopolimer. To coś było niemal *żywe*. Potrafiło zmieniać swoją przepuszczalność, by utrzymać optymalny gradient temperatury oraz gradient elektrochemiczny, potrafiło zrosnąć się, gdy zostało rozdarte. W pewnym sensie *pełzało* po ciele, kiedy się to założyło, oplatało ciało, by przylgnąć jak najciaśniej, a szwy i krawędzie zlewały się ze sobą gładko. Zupełnie jakby koncern farmaceutyczny skrzyżował amebę z plamą ropy. Mężczyzna słyszał nawet, że to draństwo stapiało się z *oczami*.

Gdy o tym myślał, przechodziły go dreszcze. Jednak nie robił tego zbyt często. Widok każdego kolejnego pozera bolał go o wiele bardziej niż

uczucie zwykłej odrazy.

Sześcioro z nich zginęło, szeptały noże kotłujące się w jego flakach. *Może wcale nie musieli. A może to nie wystarczyło. Tak czy siak, ty wiesz. Sześcioro z nich zginęło, teraz jeszcze kilka tysięcy, a ty miałeś w tym swój udział, mój Achillesie. Nie masz pojęcia, czy to co zrobiłeś było dobre czy złe. Nie masz nawet pojęcia, co właściwie zrobiłeś, ale jesteś w to zamieszany, o tak. Część tej krwi masz na własnych rękach.*

Nie powinien się tym przejmować. Wykonał swoją robotę, tak jak zwykle. Rozgrzeszenie powinno zająć się wstrząsami następczymi. Poza tym, przecież sam nie podjął żadnej decyzji, mającej wpływ na czyjeś życie czy śmierć, prawda? Dano mu zadanie do wykonania, w zasadzie czysto statystyczny problem. Przetwarzanie liczb. Więc wykonał je, wykonał je dobrze, a teraz zajął się innym zadaniem.

Jedynie wypełniam rozkazy, tylko szkoda Kri.

Tyle, że on nie wypełniał rozkazów, nie do końca. Nie umiał zapomnieć o wszystkim. Obserwował βehemota kątem oka, małe okienko w rogu wyświetlacza taktycznego, otwarte i broczące danymi niczym spikselizowana rana. Zerkał na nie w przerwach między kolejnymi zadaniami. Widział powiększenia obrazów satelitarnych, kontury prawdopodobieństwa subiektywnego, nieznaczne plamy śniedzi i jawne pożary, znaczące zachodnie wybrzeże.

I zmierzające na wschód.

βehemot przemieszczał się sporadycznie, robił uniki, znikał, pojawiał się na nowo w kompletnie niespodziewanych miejscach. Jeden gwałtowny wybuch epidemii na południe od Mendocino umarł śmiercią naturalną w ciągu nocy. Niedaleko South Bend wyrosła maleńka twierdza, która za nic nie miała zamiaru zniknąć, mimo najazdu Laserów Inkwizycji. Na północnym zachodzie zaczęła się tajemnicza klęska nieurodzaju. Spalono

jakieś pięćdziesiąt hektarów Parku Narodowego Olympic, by opanować nagłą plagę korników. Z niewiadomych powodów wzrastała liczba przypadków niedożywienia w dobrze odżywionym zakątku stanu Oregon. Coś nowego zbierało śmiertelne żniwo wzdłuż wybrzeża i praktycznie nie dało się tego opanować. Symptomów było niemal tyle, co ofiar, dlatego rozproszona patologia choroby zniknęła niemal zupełnie na tle schorzeń o wyraźniejszych ogniskach. Mało kto cokolwiek zauważył.

Sygnatura βehemota zaczęła pojawiać się na polach i bagnach w głębi lądu – Agassiz. Centralia. Hope. Czasami wydawało się, że podąża wzdłuż biegu rzek, w kierunku źródeł. Czasami przemieszczał się pod wiatr. Czasami wydawało się, że jedyne sensowne wytłumaczenie jest takie, że ktoś musi go roznosić. Wektor. Możliwe, że więcej niż jeden.

Wysłał te spostrzeżenia na adres Rowan. Nie odpowiedziała. Niewątpliwie wiedziała już o wszystkim. Achillesowi Desjardinsowi mijał w ten sposób dzień za dniem, tornado tu, zakwit wody tam, plemienne rzezie jeszcze gdzieś indziej – wszędzie potrzebne były jego polimorficzne sztuczki. Nie było czasu, by rozpamiętywać przeszłe dokonania. Nie było czasu, by rozmyślać o tym kształcie, który wystawał spod spodu, zauważonym przelotnie między jednym kryzysem a kolejnym. Wszystko nieważne. Oni wiedzą, co robią – ludzie, którzy wypili twoją krew, zmienili ją i zniewolili cię dla dobra ludzkości. Wiedzą, co robią.

A wszędzie byli ludzie ubrani jak nurkowie głębokomorscy, stali na przystankach autobusowych i przesiadywali w jaskiniach używek, niczym sklonowany tysiące razy pieprzony duch Banka. Wymieniali między sobą bezokie spojrzenia, chichotali i wylewali z siebie typowe, rozpaczliwe brednie. Rozmawiali nadmiernie głośnymi, swobodnymi głosami, starając się zagłuszyć dziwne i przerażające odgłosy dobiegające z piwnicy.

Ślady

Nawet będąc martwym, Ken Lubin miał dostęp do większej ilości zasobów niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent żyjących ludzi.

Miało to sens, biorąc pod uwagę jego fach. Ostatecznie tożsamość to taka przejściowa rzecz, a wzrost, wagę czy etnoszkielet, wszystko to można zmienić podrasowując nieco układ hormonalny. Obraz rogówki, charakterystyka głosu, odciski palców – wypadki rozwojowe, może i niepowtarzalne w chwili narodzin, ale przecież nie są niezmienne. Nawet DNA da się sfałszować, jeśli obciąży się je odpowiednią ilością pseudokodonów. Jednej osobie nie jest trudno udawać drugą, a umiejętność *zmiany* bez utraty dostępu do niezbędnych zasobów to wręcz konieczność. Jedna, stała tożsamość byłaby dla Kena Lubina nie tylko bezużyteczna, ale nawet stanowiłaby potencjalne zagrożenie dla jego życia.

Z tego, co wiedział, chociaż nigdy nie zawracał sobie głowy śledzeniem tego typu rzeczy, nigdy oficjalnie nie istniał.

To, kim był i tak nie miało żadnego znaczenia. Kto wpuściłby obcego mężczyznę tylko dlatego, że tydzień wcześniej wykonano skan jego źrenic? Od tego czasu wszystko mogło się zdarzyć. Może zdekonstruowano go i zmieniono. Może prędzej zdradziłby cię niż pozwolił na egzekucję swoich dzieci, trzymanych w roli zakładników. Może odnalazł Allaha.

Jeśli już o to chodzi, to po co trzymać na dystans nieznajomego? Czy to, że obrazu jego rogówek *nie ma* w bazie danych, automatycznie czyni z niego wroga?

Nie miało znaczenia, czy Ken Lubin był tym, za kogo się podawał. Jedyną rzeczą, która miała znaczenie, był fakt, że jego mózg naszpikowano

taką ilością Moralniaka, że ugryzienie ręki, która go nim faszerowała było dla mężczyzny fizjologiczną niemożliwością.

W jego żyłach nie krążył jednak typowy Moralniak. Społeczność mogła wybierać spośród tysiąca różnych smaków – jeden dla Wenezueli, cztery czy pięć dla Chin, jakieś kilkanaście dla Quebeku. Żaden z nich nie ufał żadnemu innemu motywatorowi tak bardzo, co niejednoznacznemu *większemu dobru*. Nie służyli *mu* nawet ci dobroczynni prawołamacze, niezależnie od tego, co mówiły ich broszurki treningowe. *Większe dobro* mogło oznaczać wszystko, cholera, nawet tych *drugich*.

Ken Lubin był chemicznie oddany interesom pewnej grupy kapitałowej z N'AmPac, zajmującej się wytwarzaniem energii elektrycznej. Grupa ta miała nadrzędne znaczenie od czasu Wojny o Wodę – praktykowała dostrajanie cząsteczek przez niemal dwadzieścia lat, jakie upłynęły od tego czasu. Gdyby Lubin zaczął choćby *rozważać* sprzedanie swych usług niewłaściwym nabywcom, ryzykowałby atakiem, przy którym napad padaczki jest zaledwie nerwowym skurczem przed randką w ciemno. Tylko to miało znaczenie dla mechanicznych posokowców obwąchujących jego krocze. Nie jego nazwisko, ubrania, czy nagromadzona esencja oceanu w postaci metali ciężkich, która uporczywie przylgnęła do jego skóry, mimo długiego prysznica w miejscowym domu kultury. Nie jakieś przesadzone plotki o jego zgonie, czy też niewyjaśnione zmartwychwstanie z grobu.

Obchodziło je tylko to, że był jak one: lojalny, posłuszny i wiarygodny.

Otworzyły przed nim drzwi. Dały mu fundusze i dostęp do kabin medycznych, wyprzedzających o pięć lat te stojące na ulicach. Przywróciły mu słuch i przedstawiły, co zaskakujące, czyste konto zdrowotne. Wskazały mu wolny, umeblowany pokój, niczym wygodny kokon czekający na każdego członka drużyny gospodarzy, który potrzebowałby na szybko noclegu.

A przede wszystkim, wpuściły go do Oazy.

Istniały jednak pewne rzeczy, których nie zrobiłyby dla nikogo. Przykładowo, pociągnięcie kabla koncentrycznego do jego kokonu absolutnie nie wchodziło w grę. By móc przeprowadzić badania, Lubin musiał ruszyć się z miejsca. Anonimowy rząd kabin danych, ustawionych na czternastym piętrze Kompleksu Ridley'a, dostępny jedynie dla tych o podrasowanym sumieniu. Mniej więcej połowa z nich była zawsze zajęta. Za matowym szkłem poruszały się ciemne, rozmyte sylwetki, podobne do larw ukrytych w plastrze miodu. Co jakiś czas, dokładnie w tym samym momencie, wychodziły na korytarz dwie osoby i mijały się, nie obdarzając się nawzajem choćby słowem czy spojrzeniem. Nikt nie potrzebował tutaj krzepiących uprzejmości. Wszyscy byli po tej samej stronie.

Znalazłszy się w środku jednej z kabin, Kenneth Lubin założył na żuchwę, oczy i uszy zestaw wizualizacyjny, zalogował się do Oazy i zadał bezgłośne pytanie o Komin Channer. Sprzęt odczytał drgania jego krtani, choć wcześniej Lubin musiał lekko wyregulować ustawienia ze względu na tkwiący w jego gardle vocoder, i wysłał agenta na poszukiwanie odpowiedzi. Lubin chciał zobaczyć listę odwołań, zawierających frazę *stacja Beebe*. Jego żądanie zostało natychmiast spełnione. Następnie porównał wyniki ze spisem niebezpiecznych mikrobów głębokomorskich.

W rejonie Channer nie zarejestrowano żadnych istotnych patogenów.

Hmm.

Rzecz jasna, to jeszcze niczego nie dowodziło. Istniało mnóstwo paskudnych faktów, które nie docierały do Oazy. Istniały inne drogi, by się do tych faktów dostać.

Zakładając na przykład, że Komin wysadzono, by odizolować jakieś zagrożenie. Beebe nigdy nie zostałaby włączona do sieci, gdyby o zagrożeniu wiedziano wcześniej. Przez pewien czas niebezpieczeństwo

musiało zatem rozwijać się bez niczyjej wiedzy. A kiedy już je *odkryto*, trzeba było usunąć luźne końce, po fakcie...

Przedsiębiorcy budowlani. Left Coast Shipyards. Nie użyliby broni jądrowej, nie na powierzchni.

W takim razie pewnie ogień.

Wywołał wykres częstotliwości występowania pożarów w danym okresie czasu, w promieniu pięciu kilometrów od obiektów firm, zajmujących się inżynierią wodną oraz pracami na morzu i mieszczących się na wybrzeżu N'AmPac. Oaza pokazała mu nagły skok około trzy miesiące po tym, jak Beebe podłączono do sieci – na przestrzeni tygodnia w Urchin Shipyards, Hanson Fabrication oraz kompleksie Showell Marine's SanFran miały miejsce istne pożogi. W ciągu kolejnych kilku tygodni w kilkunastu innych miejscach zdarzyły się przypadki podpaleń, nie wspominając już, że kilka przedsiębiorstw puściło z dymem spore obszary własnych terenów w ramach „przeprowadzanych właśnie prac remontowych".

Lubin zwiększył skalę i ponowił zapytanie – wszystkie większe pożary w danym okresie czasu, w dowolnych miejscach wzdłuż linii brzegowej N'AmPac.

Mapa rozbłysła blaskiem.

Ojej, pomyślał mężczyzna.

Coś przestraszyło ich na śmierć. A wszystko zaczęło się od Beebe.

Żadnych patogenów z Channer w metabazie, żadnych paskudnych, mikroskopijnych drapieżników, pożerających cię od środka. Jednak jeśli chodziło o *makro*skopijnych drapieżników – tych było w Channer pod dostatkiem. *Żmijowce, żabnice i pławikoniki, ojej*. Czarne potwory o ostrych zębach, niektóre usiane bioluminescencyjnymi światłami pozycyjnymi, inne ślepe jak szlam. Niektóre potrafiły zmieniać płeć na

życzenie, boki innych najeżone były przyrośniętymi ciałami pasożytniczych partnerów. Paskudne, obrzydliwe stworzenia. W środkowych warstwach oceanu było ich pełno i rzeczywiście byłyby przerażające, gdyby kiedykolwiek miały urosnąć większe niż na kilka centymetrów.

W Channer rosły. Coś sprawiało, że te małe koszmarki schodziły głębiej niż w dowolnym innym miejscu. Coś zamieniało je w wygłodniałe olbrzymy wielkości ludzi. Nie wychodziło się z Beebe bez pałki gazowej przy nodze i rzadko kiedy wracało się z powrotem do środka, nie robiąc z niej użytku.

W Channer coś powoływało do życia potwory. Lubin zapytał Oazę, co to takiego.

Ta jednak nie była pewna. Istniał jednak pewien raport techniczny, będący w zasadzie szarą literaturą, który pokusił się o pewne zgadywanki – jakaś endosymbiotyczna infekcja, zwiększająca energię wzrostu. W dyskusji pojawiło się określenie *zakaźne neomitochondria*.

Autorzy publikacji, para jajogłowych z uniwersytetu Rand/Washington, wysunęli hipotezę, że jakiś mikrob z Channer może zakażać komórki na zasadzie symbiozy, dając żywicielowi dodatkową energię wzrostu w zamian za wikt i opierunek. Twierdzili, że wirus ten, jakikolwiek by nie był, z pewnością posiada dość oczywiste cechy charakterystyczne. Musi być dość mały, by zmieścić się we wnętrzu komórki eukariotycznej, mieć wysoką wydajność asymilacji nieorganicznej siarki i tym podobne.

Infekcja powodująca gigantyzm u ryb. I znowu, hmm.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił Lubin po wyjściu na ląd było przebadanie się pod kątem patogenów. Był czysty. Jednak to coś z Channer to jakaś zupełna nowość, a ściśle mówiąc nie jest to nawet choroba. Możliwe, że nie da się tego wykryć w zwykłym teście.

Konto Lubina było na plusie. Wykonanie dokładniejszych badań krwi nie powinno stanowić problemu.

Istniały jednak inne problemy. Jeden z nich zaczął objawiać się stopniowo, gdy Lubin prowadził swoje poszukiwania – ujawnił się w sposobie, w jaki Oaza odpowiadała na jego pytania. Czasami metabaza musiała zastanowić się przez chwilę czy dwie i dopiero dzieliła się z nim tym, co chciał wiedzieć. To normalne. Ale w innych przypadkach... W innych przypadkach wypluwała odpowiedź niemal zanim zdążył zadać pytanie. Niemalże jakby myślała już wcześniej tymi kategoriami, jakby nie musiała wyszukiwać odpowiednich faktów.

Może, przyszło Lubinowi do głowy, tak właśnie było.

W przeciwieństwie do wyszukiwarek przeczesujących Wir, agentom Oazy nie brakowało zasobów. Mogli pozwolić sobie na przechowywanie wyników ostatnich wyszukiwań. Mało które zapytania były tak naprawdę unikatowe. Jeśli dziś ktoś pytał o cenę leku na Parkinsona, istniało spore prawdopodobieństwo, że jutro ktoś inny będzie chciał wiedzieć coś podobnego. Wyszukiwarki Oazy zachowywały swoje podsumowania, żeby skrócić czas odpowiedzi na podobne zapytania. *Proście, a będzie wam dane:*

...średni czas 2,3 sekundy przy odpowiadaniu na pytania związane z gigantyzmem u ryb głębinowych;

...średni czas 3 sekund, gdy mowa o bentonicznych mikrobach redukujących siarkę;

...średni czas 1 sekundy przy zapytaniach zawierających frazę *Komin Channer*;

...0,5 sekundy przy wyszukiwaniu, łączącym *mikroby redukujące siarkę* z *pożarami*.

Pożary. Bentoniczne mikroby redukujące siarkę. Dziwne zestawienie terminów. Jaki może być związek między *pożarami* a życiem na dnie oceanu?

Ni z tego, ni z owego, dodał trzecie pojęcie: *stocznia*.

0,1 sekundy.

No proszę.

Podążał śladami. Ktoś był w Oazie przed nim, zadawał te same pytania i doszedł do tych samych wniosków. Szukał odpowiedzi czy luźnych końców?

Ken Lubin postanowił się tego dowiedzieć.

Archetyp dyslokacji

Był taki czas, kiedy Sou-Hon Perreault naprawdę kochała swojego męża. Martin emanował wtedy spokojem, łagodnym powstrzymywaniem się od osądów, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Niezmiennie okazywał jej wsparcie, gdy tego potrzebowała (przed załamaniem nie często), nigdy nie bał się patrzeć na obie strony problemu. W imię miłości gotów był balansować na każdej krawędzi.

Nawet teraz potrafił bez końca trzymać ją w ramionach, szepcząc puste słowa otuchy. Nie może być aż tak źle, mówił. Co jakiś czas, to tu, to tam, pojawiały się kwarantanny i ciemne strefy, lecz zawsze był ku temu dobry powód. Czasami ograniczenia były konieczne dla dobra ogółu, doskonale *o tym* wiedziała. Poza tym on miał wiadomości z pewnego źródła, że nawet na tych, którzy podejmowali Istotne Decyzje spoczywały pewne zabezpieczenia. Zupełnie jakby znał wielką tajemnicę, jakby Wir nie był przeżarty wątkami i plotkami dotyczącymi korpów i ich dragów kontrolujących umysł.

Jej oddany, troskliwy mąż. Siedział po drugiej stronie stołu, a na jego twarzy malował się wyraz podszytego miłością niepokoju. Nienawidziła na niego patrzeć.

– Powinnaś coś zjeść – powiedział. Nabrał na widelec trochę purée ze *Spiruliny*, włożył do ust i przeżuł, aby dać jej przykład.

– Powinnam?

– Tracisz na wadze – wyjaśnił Martin. – Wiem, że jesteś wytrącona z równowagi... Mój Boże, masz w końcu ku temu wszelkie powody, ale głodzenie się nie sprawi, że poczujesz się lepiej.

– To jest twoje rozwiązanie na wszystkie problemy świata? Napchać sobie gębę, żebyśmy wszyscy poczuli się lepiej?

– Sou-

– Masz rację, Marty. Zjedz jeszcze trochę, a wszystko będzie świetnie. Zassij te wszystkie wesołe wątki z N’AmWire, a może uśpią cię one na tyle, że zapomnisz o Crys...

To był cios poniżej pasa. Siostra Martina mieszkała w Corvallis, które nie tylko zostało objęte kwarantanną od czasu trzęsienia ziemi, ale też kompletnie zniknęło z sieci prawie miesiąc temu. Oficjalne wieści mówiły o wstrząsach wtórnych, które wciąż niefortunnie zrywały linie naziemne. Obrazy z N’AmWire stanowiły typowe kolaże, przedstawiające mieszkańców, wstrząśniętych, ale nie zmieszanych, dzielnie znoszących tymczasową izolację. Martin od trzech tygodni nie mógł skontaktować się z Crys.

Słowa Sou-Hon powinny go zaboleć, a nawet wywołać gniew, lecz mężczyzna jedynie siedział bez ruchu, z wyrazem bezradności na twarzy i rozłożonymi rękami.

– Sou, przeszłaś tak wiele w ciągu ostatnich kilku miesięcy. To *oczywiste*, że sprawy wyglądają dość ponuro. Ale naprawdę myślę, że przykładasz zbyt dużą wagę do plotek. Zamieszki, burze ogniowe i... Przecież przy połowie tych wyników nie pokazuje się już nawet żaden adres, ostatnimi czasy nie można już ufać *niczemu*, co wychodzi z Wiru.

– Lepiej ufać N’AmWire? Nie wyplują choćby słowa, jeśli najpierw nie przeżuje tego jakiś korp!

– Skąd ty niby możesz to *wiedzieć*, Sou? Co właściwie widziałaś na własne oczy? Sama przyznałaś, że tylko mignął ci jakiś wielki statek, przemieszczający się w głąb lądu. Nawet nie widziałaś, żeby cokolwiek *zrobił*...

– Nie widziałam, bo odstrzelił mojego muchobota!

– *Odstrzelił, bo w ogóle nie powinno cię tam być, ty skończona idiotko! Masz szczęście, że cię nie wytropili i z miejsca nie rozwiązali z tobą umowy!*

Zamilkł. Bulgot akwarium w sąsiednim pokoju wydał się nagle niesamowicie głośny.

Chwilę później, mężczyzna zaczął wycofywać się ze swoich słów.

– Och, Sou, tak cię *przepraszam*. Nie chciałem...

– To nie ma znaczenia. – Potrząsnęła głową, gestem dłoni zbywając jego próby załagodzenia sytuacji. – Ten temat uważam za zakończony.

– Sou...

Wstała od stołu.

– Tobie też przydałaby się mała dieta, kochanie. Straciłbyś trochę na wadze, oczyścił umysł. Może nawet zacząłbyś zastanawiać się nad tym, co właściwie dodają do tej tak zwanej *żywności*, którą starasz się wepchnąć mi do gardła.

– Och, *Sou*. Chyba nie chcesz powiedzieć...

Ta jednak zamknęła się już w swoim biurze.

Chcę coś zrobić*!*

Oparła się o drzwi i zamknęła oczy. Z drugiej strony dobiegły ją ciche odgłosy szurania, które wkrótce ucichły.

Całe pieprzone życie jestem zwykłym podglądaczem! Jedyne, co robię, to obserwacja*! Wszystko się sypie, oni wytaczają najcięższe działa i sieją spustoszenie, a ja jestem w to* uwikłana *i nawet nie mogę nic z tym* zrobić...

Przeklęła wadliwy plaster, z jakim udała się do Hongcouver. Epitet okazał się jednak pustym, nic nie znaczącym słowem. Nawet teraz nie potrafiła prawdziwie mieć żalu o to, że brutalnie wyrwano ją ze snu. Mogła jedynie wściekać się na to, co ujrzała, gdy otworzyły się jej oczy.

A Martin tak usilnie stara się być pocieszycielem, jest taki gorliwy i pewnie naprawdę wierzy, że byłoby lepiej, gdybym znów stałą się haploidalną owcą, jak on sam...

Zacisnęła dłonie w pięści, rozkoszując się uczuciem bólu, wywołanym przez wbijające się w ciało paznokcie. *Lenie Clarke nie jest owcą*, pomyślała.

Clarke już dawno opuściła Pas, choć Amitav starał się zachować pamięć o niej. Jednak wciąż gdzieś tam była. Musiała być. Jak inaczej wytłumaczyć stopniowy wzrost zainteresowania na świecie czarnymi strojami i pustymi oczami? Perreault nie wychodziła z domu zbyt często, ale wszędzie widać było subtelne sygnały, nawet we wstępnie przetrawionej papce serwowanej przez N'AmWire. Ciemne sylwetki na rogach ulic. Oczy pozbawione źrenic, spoglądające od strony tłumów, zbierających się zawsze tam, gdzie działo się coś wartego zrelacjonowania.

Rzecz jasna, nie była to żadna nowość. Nurkowie z N'AmPac byli we wszystkich wiadomościach niecały rok temu. Najpierw wychwalano ich pod niebiosa jako zbawców nowej gospodarki, modne symbole nowoczesnych rezerw energetycznych. Potem pojawiło się współczucie i strach, gdy do świadomości publicznej dotarły pogłoski o wykorzystywaniu i psychopatii. Wreszcie, co było do przewidzenia, zapomniano o nich.

To tylko chwilowa moda. Szał na ryfterów miał już swoje pięć minut. Skąd więc to nagłe wskrzeszenie umarłego już trendu? Dlaczego Wir zaczynała ogarniać misterna sieć insynuacji i szeptów, mówiących o kimś zmartwychwstałym z morskich głębin, niosącym w swym łonie apokalipsę? Skąd wzięły się fragmentaryczne plotki, o uszkodzonych lub brakujących adresach, że ludzie zajmują *stanowiska*?

Perreault otworzyła oczy. Jej zestaw wizualizacyjny spoczywał na podstawce przy biurku. Z boku mrugała dioda – *oczekująca wiadomość*.

Może ktoś chce zamienić się z nią na zmiany. Może któryś z kierowników chce zapłacić jej za nadgodziny, żeby spojrzała w inną stronę.

Może chodzi o kolejny zniszczony cykler, pomyślała z nadzieją. To było raczej wątpliwe. Pas stał się dużo spokojniejszym miejscem, od kiedy jego fragment zamieszkały przez Amitava został... usunięty.

Wzięła głęboki oddech, zrobiła krok naprzód i usiadła, po czym nasunęła na głowę zestaw wizualizacyjny:

Souhon/Amitav (NN)

pojawił się ten anioł zemsty. Nie ściemniam. Nazywała się Lenie Clarke.

O mój Boże.

Tekst nałożony był bezpośrednio na mapę taktyczną Pasa. Sou-Hon zmusiła się do zachowania milczenia i zaczęła z powrotem wsypywać ziemię do dołka, który nagle powstał w jej żołądku.

Wróciłeś. Kimkolwiek jesteś.

Czego chcesz?

Nie robiła żadnej tajemnicy z tego, że interesowała się Amitavem i Lenie Clarke. Z początku nie było takiej potrzeby, bo oboje stanowili uzasadniony, choć najwyraźniej niezbyt interesujący, temat do fachowej rozmowy z innymi muchobotowcami. Jednak od kiedy Amitav zniknął ze sceny, zaczęła trzymać język za zębami. Prawie. Spora jej część chciała wykrzyczeć tę okropność w Wir na cały głos. Obawiając się konsekwencji, zadowoliła się krzyczeniem na Martina, mając nadzieję, że cokolwiek ustrzeliło jej muchobota, nie zawracało sobie głowy tropieniem źródła jego sygnału.

A jednak nie był to ani KRASZ, ani GA. Niemal wyglądało to na pomyłkę.

Pod dwiema pierwszymi linijkami tekstu ukazała się kolejna:

Ona jest tak jakby płazem, jednym z tych ryfterów-cyborgów.

Żadnego kanału, do którego można byłoby się podłączyć, żadnej ikony. Za tekstem widać było znajomy, długi łańcuch czerwonych punktów, patrolujących linię brzegową Pacyfiku. Nic nie wskazywało, aby dowolny z nich zapadł w śpiączkę.

Les beus jej szukają, ale założę się o pięćdziesiąt QueBaksów, że nie wiedzą nawet jak ona wygląda pod tym całym strojem ryftera. Souhon albo Amitav (NN)?

Może zhackowali też mikrofon w jej zestawie wizualizacyjnym.

– Jestem Sou-Hon. Z myślnikiem.

Sou-Hon.

– Tak.

Znasz Lenie Clarke.

– Ja... Widziałam ją raz.

To wystarczy.

Wokół Sou-Hon Perreault zacisnęła się niewidzialna pięść, która cisnęła ją na drugi koniec świata.

W ciągu jednej chwili zniknęła linia brzegowa Pacyfiku i nakładki taktyczne. W ich miejsce pojawiła się ślepa uliczka zamknięta murem z cegieł oraz maszyneria po bokach. Powietrze, zimniejsze niż kiedykolwiek w Pasie, chłostał deszcz ze śniegiem. Krople odbijały się z łoskotem od szyb i metalu po obu stronach. Wytrawione na gładkiej powierzchni stylizowane charty nawet nie drgnęły.

Jak zauważyła Perreault, nie wszyscy schronili się przed ulewą. Dokładnie przed nią, plecami do ściany, której kolor przypominał surowe mięso, stała kobieta. Autobusy po obu stronach podłączone były do wychodzących z muru gniazd, odcinając jej w ten sposób drogę ucieczki na boki. Jeśli istniało gdzieś inne wyjście, musiało znajdować się na wprost

kobiety, poza polem widzenia Perreault. Natomiast w polu widzenia znajdował się cel obramowany siatką świecących linii. Po bokach migały nieznajome ikony, przedstawiające takie opcje, jak UZBRÓJ, OGŁUSZ i ŚMIERĆ.

Perreault dosiadała całego arsenału wycelowanego w Lenie Clarke.

Ryfterka upodobniła się do miejscowych. Jej ciało okrywały zwyczajne ubrania, a wizjer ukrywał lodowcowe spojrzenie. Perreault nigdy by jej nie rozpoznała, gdyby musiała polegać jedynie na ludzkich oczach. Muchoboty natomiast miały do dyspozycji dużo większe spektrum możliwości. Ten trafił co prawda w jaskrawe i rozpraszające miejsce, gdzie promieniowanie elektromagnetyczne emanowało z dziesiątków różnych źródeł, ale Clarke znajdowała się w bliskim zasięgu i na linii wzroku, poza tym w ścianie za nią nie było żadnych instalacji czy przewodów. Na tle tego względnego cienia, jej klatka piersiowa migotała niczym rój niewyraźnych świetlików.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić – powiedziała Perreault. Kątem oka widziała błyskające z wyrzutem ikony broni. Udało jej się znaleźć jedną nieco ciemniejszą od pozostałych, podpowiadającą ROZBRÓJ i nacisnęła ją. Arsenał przeszedł w stan spoczynku.

Clarke nie poruszyła się ani nie odezwała.

– Nie jestem... Nazywam się Sou-Hon. Nie jestem z policji, ale... Wydaje mi się, że... – Rzuciła okiem na GPS: Calgary. Sieć wahadłowych połączeń międzymiastowych w Glenmore.

Coś cisnęło ją tysiąc trzysta kilometrów na północny wschód.

– Zostałam tu przysłana – dokończyła. – Sama nie wiem, chyba żeby pomóc... – Każde słowo wydało jej się niedorzeczne.

– Pomóc. – Beznamiętny głos, niezdradzający absolutnie niczego.

– Poczekaj chwilę... – Perreault podniosła muchobota ponad Greyhoundy i rozejrzała się naokoło. Unosiła się ponad stanowiskiem

dokującym, gdzie ustawione w rzędy autobusy posilały się i odpoczywały. Główny terminal wyrastał w odległości czterdziestu metrów, po obu jego stronach znajdowały się podwyższone platformy załadunkowe. Aktualnie stały na nich dwa autobusy. Animowane ogary na ich bokach ścigały się w drodze donikąd, zupełnie jakby biegły po niewidzialnych bieżniach.

Tam, przy boksach odkażających – mały, kotłujący się kłąb zamieszania. Następstwo czegoś. Perreault dostała się do czarnej skrzynki muchobota i szybko przejrzała dane sprzed kilku minut. Nagle, w komicznym przyspieszeniu, zaczęła zbliżać się do jakiegoś wcześniejszego źródła niepokojów. Już wtedy przedstawienie powoli dobiegało końca, a ludzie odwracali się i odchodzili. Była tam jednak Lenie Clarke z hebanowym paralizatorem w dłoni. Był mężczyzna z uniesionymi rękami i mała dziewczynka o otwartych szeroko oczach, chowająca się za jego nogami.

Perreault spowolniła nagranie. Mężczyzna cofnął się o krok w normalnym tempie.

– Paniusiu, nigdy wcześniej nawet nie *widziałem* cię na oczy...

Clarke zrobiła krok naprzód, ale wcześniejsza agresja jakby gdzieś odpłynęła. Jej miejsce zajęła niepewność.

– Ja... Myślałam, że...

– Poważnie, paniusiu. Jesteś zdrowo posrana...

– Wszystko w porządku, mała? – Dłoń z różdżką zadrgała. Druga wyciągnęła się w nieśmiałym geście. – Nie chciałam cię przest...

– *Idź sobie!* – zawyło dziecko.

Ojciec spojrzał w górę, gdy nagły ruch nad ich głowami zwrócił jego uwagę.

– Chcesz wszczynać bójki? – warknął w kierunku syreny. – To spróbuj z *tym!* – Wskazał na zbliżającego się muchobota.

Kobieta puściła się biegiem. Dron ruszył za nią, uzbrojony i głodny.

A teraz, jakimś cudem, Sou-Hon Perreault dano nad nim kontrolę.

Zanurkowała znów między autobusy.

– Póki co jesteś bezpieczna. Możesz...

W ślepej uliczce nie było nikogo.

Obróciła muchobota o 180 stopni. Kątem oka dostrzegła coś znikającego za rogiem.

– *Poczekaj!* Nie rozumiesz!

Perreault dodała gazu. Z początku nic się nie wydarzyło. Potem jej pole widzenia *szarpnęło się*, co poczuła aż w kanałach półkolistych. W prawym górnym rogu zamigotał napis, po chwili zawisł nieruchomo – POŁĄCZ.

Ikony broni wykwitły niczym pulsujące guzy. Gdzieś, w odległym świecie ciała, Perreault wygrywała wściekłe arpeggio na klawiaturze. Nic nie skutkowało.

– *Uciekaj!* – wrzasnęła, gdy padło połączenie.

Była jednak już z powrotem w Montanie i jej głos nie poniósł się dalej.

400 megabajtów: chwiejna równowaga

400 Mega balansuje na skraju samozadowolenia.

Od tysięcy pokoleń zna tajemnicę sukcesu w Wirze. Drapieżniki ścigały go na silnych nogach i z kłapiącymi zębami. Rywale próbowali pokonać go w wyścigu do każdego kolejnego nowego schronienia, każdej porcji paszy. Choroby nie ustawały w wysiłkach, by pożreć go od środka. A mimo to 128 spłodził 142, 142 spłodził 137 (konieczne były drobne cięcia, żeby pozbyć się zbędnego kodu), 137 spłodził 150 i tak dalej, i dalej aż do mocno kryzysowej chwili obecnej. A wszystko dzięki pewnemu szczególnemu sekretowi, zakodowanemu w genach – jeśli chcesz szybko poruszać się po Wirze, korzystasz z hasła *Lenie Clarke*.

400 nie ma pojęcia, dlaczego tak jest. Nie jest to w zasadzie istotne. *Wie* jednak, że ten konkretny ciąg znaków pozwala dostać się absolutnie *wszędzie*. Pozwala przeskakiwać z węzła do węzła, jakby nie istniały żadne środki dezynfekujące, zapory czy odstraszacze rekinów. Pozwala przejść bez szwanku przez bezwzględne, wcielone maszynki do mięsa, jakimi są mózgosery. Bez ochronnego amuletu *Lenie Clarke* w kieszeni, taka wycieczka natychmiast zamieniłaby cię w zwykły szum. Nawet Oaza, mityczna, niedostępna Oaza, ogromny szwedzki stół, praktycznie nietknięty apetytami żyjących, może kiedyś znaleźć się w zasięgu.

Problem w tym, że powoli zaczynali przyłączać się też inni.

Taki rozwój wypadków nie jest w Wirze niczym niezwykłym. Ewolucja przebiega tu tak szybko i w tak wielu różnych kierunkach, że nie upłynie nawet pół sekundy, a już grupka naśladowców na nowo odkryje koło, które myślałeś, że masz tylko dla siebie. W obecnych czasach darmowe kursy na

otwarte przestrzenie zrobiły się strasznie zatłoczone. Binarne zwierzęta juczne, zgięte pod ciężarem dziesiątków autostopowiczów, trzymające się kurczowo własnych, maleńkich alikwotów pamięci, spowalniają pochód coraz bardziej i bardziej. Nawet same pliki nośne zaczynają zwracać uwagę. Od monitorów sum kontrolnych, które najzwyczajniej w świecie instynktownie przeczuwają, że żaden zwykłye-mail nie powinien ważyć sto giga, po żądne ofiar rekiny, które spasły się tak bardzo, że niemal nie mogą się już poruszać.

Chcesz rozsiać swoje nasienie po Wirze? Podepnij się do *Lenie Clarke*. Chcesz skończyć jako żarcie dla rekinów? Zrób dokładnie to samo.

Niektórych jednak ten problem nie dotyczy. *Pewne* stworzenia przemieszczają się z taką samą szybkością, co zwykle. A nawet większą. Może coś wiedzą. Może kogoś znają. 400 Mega nie potrafił rozgryźć tej tajemnicy.

Teraz jest już o krok od tego.

400 Mega parzy się właśnie ze swoim średnim krewniakiem, którego rodowód sięga zaledwie kilkaset pokoleń wstecz. Niemal wszystkie geny są takie same, co nie sprzyja różnorodności, ale przynajmniej wzmacnia sprawdzone rozwiązania. Przykładowo, obie strony posiadają kilkadziesiąt kopii *Lenie Clarke*, które wymieniają ze sobą, bezmyślnie i zupełnie niepotrzebnie.

Żaden gen nie jest jednak samotną wyspą, nawet w Wirze. Nie ma czegoś takiego, jak niezależny locus. Każdy z nich podróżuje połączony z innymi, tworząc maleńkie konstelacje pokrewnych cech, bezużytecznych kodów, związków zbiegów okoliczności. Jak wkrótce ma się dowiedzieć 400 Mega, nie tylko *Lenie Clarke* ma znaczenie. Także towarzystwo, w jakim się obraca.

Bity ustawiają się w szeregu, by zostać podliczone. Podprogramy replikacyjne maszerują wzdłuż linii niczym posłaniec RNA, gotowe zabrać się za kopiowanie i wklejanie. Przypadek tasuje karty, dochodzi do wytrysku i 400 Mega zaszczepia Lenie Clarke w swym kuzynie. Razem z nią zabierają się też łańcuchy *wampir*, *Beebe* i *βehemot*.

W zamian, w ramach typowej dla hermafrodytów zasady wzajemności, 400 Mega otrzymuje *Lenie Clarke* wraz z innym gronem przyjaciół. Takich jak *dzieńsądu*. Jak *mrok*. Jak *najlepiejsmakujenazimno*.

Z pozoru wyglądało to na kolejne, zwyczajne bzykanko. Potem wszystko zaczęło się zmieniać.

Nagle tempo replikacji 400 osiągnęło niebotyczny poziom. A jego potomstwo, które wcześniej malało i usychało w zapomnianych zakątkach pamięci buforowej, jest teraz wyciągane stamtąd przez sam Wir i powielane tysiące razy. Jeden dokładny cykl sita bezpieczeństwa N’AmPac namierza kilkoro takich cudownych dzieci, zmierzających na północ od wybrzeży GA. Rozpoznaje w nich wiadomości o wysokim priorytecie i przerzuca je bezpośrednio do najbliższego inteligentnego żelu. Ten skanuje odpowiednio wbudowane bity i przesyła kopie do Oazy dla bezpiecznego składowania.

Niespodziewanie, najpotężniejsze siły w Wirze gotowe są dać członkom Klubu 400 wszystko, czego ci tylko zapragną. Klub nie zamierza kwestionować tego nagłego uśmiechu losu. Zamierza go wykorzystać.

400 Mega przestaje być autostopowiczem.

Staje się pieprzonym Janem Chrzcicielem.

Mikrogwiazda

Zbyt długo znajdował się poza obiegiem. Zaczynał tracić czujność. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że dał się zaskoczyć trzem szklistookim dzieciakom w przypadkowej uliczce na tyłach Santa Cruz?

Rzecz jasna, Lubin miał naprawdę dużo na głowie. Po pierwsze, dopiero zaczynał godzić się z bardzo niepokojącymi wynikami badań. Robił je już od kilku dni, odrzucając każdą kolejną czystą kartę i poddając się coraz bardziej szczegółowym testom na obecność coraz bardziej niewiarygodnych chorób, aż wreszcie wysiłek się opłacił. W jego krwi było coś, czego nie umieściła tam ani natura, ani N'AmPac.

Coś dziwnie *zacofanego*.

To wystarczyłoby aż nadto do rozproszenia uwagi zwykłego człowieka. Nic nie usprawiedliwiało jednak kogoś, kto kiedyś przeszczepił mikroładunek nuklearny z własnych flaków do rozdzielni Trois-Rivières i to bez żadnego znieczulenia. Nic nie usprawiedliwiało Kena Lubina.

To było wręcz niewybaczalne. Napastników ciężko było nawet nazwać chuliganami. Mieli od szesnastu do dwudziestu lat, byli na jakichś neurotropach i ewidentnie uważali, że przezskórne sterydy, nakładki rogówkowe i paralizatory czynią ich niezniszczalnymi. W czasie pobytu Lubina w Pacyfiku, wygląd ryftera stał się modny wśród lądowców. Chodziło głównie o oczy. Na dnie oceanu nakładki taiły całe mnóstwo grzechów. Ukrywały strach, słabość i nienawiść za maską obojętności. Tam, na dole, nakładki dawały schronienie, narzucały dystans ochronny, z czasem pozwalający słabym odnaleźć siłę.

Najwyraźniej jednak tutaj wywoływały u słabych głupotę.

Chcieli pieniędzy czy coś w tym stylu. Nie bardzo go to obchodziło. Nawet nie zadał sobie trudu, by ich ostrzec. Wyglądało na to, że i tak nie byliby w nastroju go słuchać.

Pięć sekund później byli jedynie w nastroju na ucieczkę. Lubin, wcześniej przewidziawszy to na jakimś poziomie przypisanym do podświadomości, pozbawił ich możliwości używania nóg. Poczuł pewną niechęć w związku z nieuniknionym, kolejnym krokiem. Niestety, widzieli tyle z jego zdolności, że nikt nie przymknąłby na to oka, kierując się normami bezpieczeństwa. To była jego własna, cholerna wina. Gdyby nie był tak nieostrożny, uniknąłby całej sytuacji. Lecz cóż, stało się. Luźne końce zaczynały się strzępić i trzeba było je odciąć.

Nie było żadnych świadków. Chociaż pod tym względem dzieciaki wykazały się rozsądkiem. Nie było żadnych krzyków, tylko ciche sapnięcia i łagodne chrupnięcia przemieszczanych kręgów. Żadnych bezskutecznych błagań o litość. Tylko jedna z nich *próbowała* coś powiedzieć. Może nabrała śmiałości, gdy zorientowała się, choć wydawało się absolutnie niewiarygodne jeszcze minutę temu, że dotarła do punktu, w którym nie miała już nic do stracenia.

– *Mange de la marde, enculé* – wychrypiała, gdy Lubin wyciągnął po nią rękę. – Kto do kurwy nędzy umarł i uczynił z *ciebie* Lenie Clarke?

Lubin zamrugał.

– Co takiego?

Dziewczyna splunęła mu krwią w twarz i spojrzała na niego wyzywająco swoimi pozbawionymi wyrazu, białymi oczami.

Cóż, pomyślał Lubin, *może dla ciebie byłaby jednak jeszcze jakaś nadzieja*. I szarpnął.

Rzecz jasna, było to nieco niepokojące. Nie miał pojęcia, że Lenie Clarke stała się sławna.

Zapytał swatów o odniesienia do *Lenie Clarke*. Wir dostał czkawki i polecił mu zawęzić kryteria wyszukiwania, ponieważ wyszło ponad pięćdziesiąt milionów trafień.

Zaczął badać temat.

Lenie Clarke była anarchistką. Lenie Clarke była wyzwolicielką. Lenie Clarke była symbolem mody. Lenie Clarke była aniołem zemsty, wskrzeszonym z głębi oceanu, by obalić system, który wykorzystał ją i pognębił. Lenie Clarke miała zwolenników, póki co głównie w N'AmPac, ale wieści rozprzestrzeniały się coraz dalej. Hordy zniechęconych, bezsilnych ludzi nagle znalazły kogoś, z kim mogły się utożsamiać, podobną do nich ofiarę o obojętnych oczach, która nauczyła się stawiać opór. Co do tego, przeciw czemu, zdania były podzielone. Nie było ani słowa o tym, czyją armią dowodziła. Lenie Clarke była syreną. Lenie Clarke była mitem.

Lenie Clarke nie żyje, przypomniał sobie Lubin. Jednak żadne ze znalezionych przez niego odwołań nie potwierdzało tego faktu.

Może jednak jej się udało. GA obiecało przysłać wahadłowiec, by ewakuować załogę Beebe. Lubin założył, tak samo zresztą jak pozostali, że to kłamstwo. Clarke jak jedyna została w tyle i mogła się o tym przekonać.

Może wszystkim *się udało. Może coś wydarzyło się po tym, jak się od nich odłączyłem...*

Wklepał odrębne zapytania – Alice Nakata, Michael Brander... Judy Caraco, żeby być dokładnym. Wir znał wiele z tych nazwisk, ale żadne nie miało podobnego prestiżu, co Lenie Clarke. Przepuścił tę samą listę przez Oazę. Wyniki pojawiły się bez żadnych zakłóceń, dane były o wiele wyższej jakości, ale konkluzja pozostała ta sama.

Tylko Lenie Clarke. Ktoś o tym imieniu zarażał cały świat.

– Lenie Clarke żyje – odezwał się głos w jego uchu.

Lubin natychmiast go rozpoznał – to jeden z tych pospolitych, bezcielesnych swatów, jacy wyłaniali się z Oazy, w odpowiedzi na pytania użytkowników. Mężczyzna przyjrzał się wyświetlaczowi z zaskoczeniem. Nie wysłał żadnego zapytania.

– To prawie pewne – ciągnął głos, odległy i pozbawiony modulacji. Zupełnie jakby rozmawiał sam ze sobą. – Lenie Clarke żyje. Temperatura oraz poziom zasolenia w akceptowalnych przedziałach.

Umilkł na chwilę.

– Jesteś Kenneth Lubin. Ty też żyjesz.

Mężczyzna rozłączył się.

***

Anonimowość. W tym tkwił cały sens ćwiczenia.

Lubin znał specyfikacje Ridley’a i podobnych obiektów, rozrzuconych w niewidoczny sposób po całym świecie. Nie skanowano tam oczu ani twarzy. Liczyło się tylko to, żeby wchodzący nie mogli zrobić niczego złego. Wszyscy byli równi w kabinach z matowego szkła na czternastym piętrze. Każdy był tam nikim. A jednak ktoś z Oazy zwrócił się do niego po imieniu.

Opuścił Santa Cruz.

Kolejna bezpieczna bramka znajdowała się w Packard Tower w Monterey. Tym razem Lubin nie zamierzał ryzykować. Podłączył się do swojego terminala przy pomocy trzech różnych zegarków połączonych szeregowo, z których każdy używał innego klucza szyfrowego. Rozpoczął wyszukiwanie Lenie Clarke na nowo, jednak tym razem pilnował się, by wybierać inne drzewka zapytań niż za pierwszym razem.

– Lenie Clarke jest stale w drodze – zadumał się odległy głos.

Lubin zaczął zapis.

– Kenneth Lubin widziany w Sewastopolu – zauważył głos. – Według najświeższych raportów, w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin był też w Whitehorse i Filadelfii. Lenie i Lubin znajdują się na drodze powrotnej. Jesteś fanem aliteracji?

To bardzo dziwne, pomyślał mężczyzna.

– Kenny i Lenie, to ich szukamy – ciągnął głos. – Zamierzamy przenieść i rozpowszechnić obie strony w nowych środowiskach o poziomie zasolenia w akceptowalnym przedziale, wahających się dokładnie wraz z temperaturą w obrębie rozpatrywanych środowisk. Lubisz rymować?

To sieć neuronowa, uświadomił sobie Lubin. *Aplikacja turingowska. Może jakiś żel.* Cokolwiek z nim rozmawiało, nie zostało *zaprogramowane* tylko nauczyło się mówić metodą prób i błędów, wypracowało sobie własne zasady gramatyki i składni. Lubin miał okazję oglądać prezentacje takich urządzeń... czy organizmów, czy też cokolwiek to było. Przyswajały sobie reguły bez większych trudności, ale wyglądało na to, że zawsze dorzucały swoje stylistyczne dziwactwa. Ciężko było dojść do tego, jak to właściwie przebiegało. Logika *ewoluowała*, synapsa po synapsie. Konwencjonalna analiza była w tym przypadku bezużyteczna.

– Nie – rzucił na próbę. – Skoro już pytasz, nie lubię rymować. Choć czasem zdarza mi się trochę wyluzować.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Potem głos znów przemówił.

– Doskonale. Zapłaciłbym za to, wiesz?

– Co najwyżej średniawo. Czym jesteś?

– Mówię ci o Lenie i Kennym. Nie chcesz sobie z nimi pogrywać, przyjacielu. Chcesz wiedzieć, po czyjej jesteś stronie, prawda?

– W takim razie, powiedz mi.

Nic.

– Halo?

Nic. Co gorsza, zapis się nie powiódł – adres zwrotny został zablokowany u źródła.

Odczekał dobre pięć minut, w razie gdyby głos miał odezwać się ponownie. Nie zrobił tego. Lubin odłączył się od terminala i zalogował do innego, nieco dalej. Tym razem zostawił *Lenie Clarke* i *Kena Lubina* w spokoju. Zamiast tego zachował swoje niepokojące wyniki badań krwi w otwartym pliku, oznakowanym pewnymi słowami kluczowymi, które przy odrobinie szczęścia powinny zwrócić uwagę właściwych źródeł. Ktoś prowadził śledztwo równolegle do niego. Przyszła pora go zwabić.

Wylogował się, gdy nagle jego myśli zaprzątnął oczywisty i dość niepokojący zbieg okoliczności – bombą jądrową, która zmiotła Stację Beebe z powierzchni ziemi, sterował inteligentny żel.

Swat

Priony:		OK
Wirusy:	Adeno	OK
	Arbo	OK
	Arena	OK
	Filo	łag.
	Morbilli	chron./bezob.
	Orbi	OK
	Paramyks	chron./bezob.
	Parwo	OK
	Pikorna	OK
	Hanta	szczął.
	Retro	szczął.
	Rota	niskie
Bakterie:	Laseczki	wysokie/norma

	Ziarenkowce	norma
	Prątki/Krętki	ch.wener.umiark.
Chlam OK		OK
Grzyby		nie kryt.
Pierwotniaki		nie kryt.
Nicienie		OK
Płazińce		OK
Tasiemce		OK
Stawonogi		OK

Udzielono pozwolenia na podróż.

– Na pewno? Żadnej ergotaminy albo substancji psychoaktywnych?

Udzielono pozwolenia na podróż. Proszę przejść do odprawy.

– Macie tu sprzęt do tomografii?

Tę kabinę zaprojektowano z myślą o wykonywaniu badań pod kątem chorób zakaźnych i zaraźliwych pasożytów. Jeśli chcesz przebadać się pod kątem innych schorzeń, możesz skorzystać z komercyjnej kabiny medycznej.

– A gdzie jest najbliższa komercyjna kabina medyczna?

Proszę, nie odchodź.

– Ja... Słucham?

Zostań, Lenie. Razem znajdziemy jakieś rozwiązanie. Poza tym jest ktoś, z kim powinnaś się spotkać.

Ekran zgasł. Koralik w jej uchu czknął szumem zakłóceń.

– To ja – odezwał się nagle czyjś głos. – Sou-Hon. Z dworca autobusowego.

Clarke chwyciła swój wizjer i umknęła prosto w ujarzmioną, zieloną dżunglę Hali D. Zaskoczone oczy ledwie zauważanych przez nią przechodniów napotykały jej własne. Nie zwalniając, nasunęła wizjer na twarz.

– Nie rozumiesz. – Głos w jej uchu był cichy i błagalny. – Jestem po twojej stronie. Jestem...

Szklane drzwi prowadzące na zewnątrz. Clarke pchnęła je. Nagły, lodowaty poryw wiatru uczynił z globalnego ocieplenia czystą abstrakcję. Hale otaczały ją od tyłu niczym kanion w kształcie podkowy.

– Jestem tu, by ci *pomóc*...

Clarke stuknęła dwukrotnie w wyświetlacz zegarka.

– Czekam na polecenia – odparło urządzenie.

– Wyłącz – rozkazała kobieta.

– *Amitaw nie ży-*

– Wyłączam – potwierdził zegarek i natychmiast przeszedł w stan uśpienia.

Była zupełnie sama.

Chodnik ział pustką. Z labiryntu tuneli, osłaniających podróżnych z lotniska McCall przed zimą, przebijało światło. Z dachów spływało odległe wycie turbin.

Dwa stuknięcia.

– Włącz.

W słuchawce odezwał się cichy szum zakłóceń, mimo że zegarek znajdował się w promieniu zalecanych dwóch metrów.

– Jesteś tam? – zapytała Clarke.

– Tak.

– Co z Amitavem?

– Tuż przed... To znaczy... – Głos zamilkł na chwilę. – Najzwyczajniej w świecie wszystko *spalili*. I wszystkich. Musiał...

Podmuch wiatru smagnął ją w twarz. Syrena wciągnęła do płuc haust przejmująco zimnego powietrza.

– Przykro mi – szepnęła nieznajoma w jej głowie.

Clarke odwróciła się i weszła z powrotem do środka.

Śmierć cieplna

Był to dość ubogi wyświetlacz, nieliczne dane na ciemnym tle to długości i szerokości geograficzne, maleńka nakładka GPS, w centrum której znajdował się *Port Lotniczy Calgary*, migająca ikona *braku sygnału wizualnego*, stwierdzająca oczywisty fakt w odstępach dwusekundowych.

– Skąd wiesz? – szepnął bezcielesny głos w uchu Perreault.

– Widziałam. A w każdym razie sam początek. – W tle słychać było napastliwe odgłosy lotniska. – Przykro mi.

– Sam jest sobie winny – odezwała się po chwili Clarke. – Robił za dużo hałasu. Po prostu sam się o to prosił...

– Wydaje mi się, że nie w tym rzecz – powiedziała Perreault. – Sfajczyli całe osiem kilometrów.

– *Co?*

– Sądzę że, chodzi o zagrożenie biologiczne. Amitav jedynie stał na drodze...

– Nie. – Głos był tak cichy, że zabrzmiał niemal jak szmer. – To niemożliwe.

– Przykro mi.

Brak sygnału wizualnego. Brak sygnału wizualnego.

– Kim jesteś? – zapytała wreszcie Clarke.

– Latam muchobotami – odpowiedziała Perreault. – Zajmuję się głównie sprzątaniem. Widziałam, jak wyszłaś z oceanu. Widziałam, jak wpłynęłaś na ludzi na Pasie. Widziałam, jak miałaś jedną z tych... wizji.

– Ależ z ciebie wierny, mały prześladowca – skwitowała Clarke.

– To nie byłam ja – podjęła po chwili. – Tam, w Pasie. To Amitav.

– On to wykorzystał. Stałaś się źródłem insp-

– *To nie byłam ja.*

– Dobrze. W porządku.

Brak sygnału wizualnego.

– Dlaczego mnie śledzisz? – zapytała Clarke.

– Ktoś nas połączył. Tak samo jak wcześniej, na dworcu autobusowym.

– Kto?

– Nie wiem. Pewnie jeden z twoich przyjaciół.

Odgłos, będący czymś pomiędzy kaszlem a śmiechem.

– Wątpię.

Perreault wzięła głęboki oddech.

– Robisz się znana, wiesz? Ludzie zaczynają to zauważać. Najwyraźniej niektórzy z nich chcą cię chronić.

– Przed *czym* konkretnie?

– Nie wiem. Może przed tymi, którzy wywołali trzęsienie ziemi.

– A co ty o tym możesz wiedzieć? – Głos Clarke niemal rzucił się na nią przez łącze.

– Zginęły miliony ludzi – odpowiedziała Perreault. – Wiesz, dlaczego. To czyni cię niebezpieczną w oczach niektórych osób.

– Tak myślisz?

– Tak głosi jedna z plotek. Ja nie wiem.

– Nie wiesz zbyt wiele, prawda?

– Ja...

– Nie wiesz, kim jestem. Nie wiesz, czego chcę, ani co zro- Nie wiesz, kim są ani czego *oni* chcą. Po prostu siedzisz i pozwalasz, by cię *wykorzystywali*.

– A czego chcesz?

– Nie twój jebany interes.

Perreault potrząsnęła głową.

– Ja tylko próbuję pomóc.

– Paniusiu, nie mam pojęcia, czy w ogóle *istniejesz*. Jak dla mnie, dzieciak z South Bend wykręca mi chory numer.

– *Coś* dzieje się przez ciebie. Coś realnego. Możesz sama sprawdzić wątki, jeśli mi nie wierzysz. Jesteś katalizatorem. Bez względu na to, czy jesteś tego świadoma, czy nie.

– I nagle pojawiasz się ty, bez pytania.

– Mam kilka pytań.

– Bez odpowiedzi. Może podkładam bomby. Może piekę dzieci. Nie wiesz tego, a i tak przylatujesz tu z wywieszonym językiem.

– *Posłuchaj* – warknęła Perreault. – Czegokolwiek byś nie robiła, nie może...

...to być gorsze niż to, co już się wydarzyło.

Urwała, zaskoczona tą myślą i wdzięczna, że udało jej się nie wypowiedzieć jej na głos. Nagle przepełniło ją niedorzeczne przekonanie, że siedemset kilometrów stąd, Lenie Clarke się uśmiecha.

Spróbowała jeszcze raz.

– Posłuchaj, może i nie wiem, co się dzieje, ale wiem, że *coś* się dzieje, a wszystko kręci się wokół ciebie. I założę się, że nie każdy, kto o tym wie, jest po twojej stronie. Może myślisz sobie, że jestem świrem. Dobra. Ale nawet ja nie ryzykowałabym próby przedostania się przez systemy bezpieczeństwa na lotnisku, biorąc pod uwagę, jaką wizytówkę wystawiają ci twoje implanty. Wyszłabym stamtąd *natychmiast* i na jakiś czas porzuciła myśl o lataniu gdziekolwiek. Są inne sposoby podróżowania.

Czekała. Wokół niej migotały konstelacje taktyczne.

– Ok – powiedziała wreszcie Clarke. – Dzięki za radę. Ja też mam jedną dla ciebie. Przestań próbować mi pomóc. Pomóż tym, którzy usiłują mnie

zniszczyć, o ile uda ci się ich odnaleźć.

– Na litość boską, *dlaczego*?

– Dla twojego własnego dobra, Suzie. Dla dobra tych wszystkich, na których ci zależy. Amitav był... Nie zasłużył sobie na to, co go spotkało.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Mówisz, osiem kilometrów?

– Tak, wypalone do gołej ziemi.

– Myślę, że to dopiero początek – powiedziała Clarke. – Wyłącz.

Gwiazdy otaczające Sou-Hon Perreault zgasły.

Randka w ciemno

Zainteresowany? Odpowiedz.

Podpis był dość dziwny, jeśli chodzi o grafikę biochemiczną – asymetryczny krzyż atomów węgla, tlenu i wodoru... Chwileczkę, jest tam jeszcze siarka i azot po jednej stronie belki poprzecznej, tam gdzie przybito nadgarstek Jezusa (oczywiście biorąc pod uwagę, jak zbudowana była ta cząsteczka, lewa ręka zbawiciela musiałaby być mniej więcej dwa razy dłuższa od prawej). Metionina, poinformował go swat. Aminokwas.

Tyle, że odwrócony. Lustrzane odbicie.

Zainteresowany? No kurwa.

Plik siedział grzecznie razem z innymi wynikami codziennych poszukiwań danych związanych z βehemotem i tykał cichutko. Dopiero po kilku godzinach swojej zmiany, Desjardins miał czas do niego zajrzeć. Bakterie supercoli wypaliły sobie ścieżkę przez Glasgow, a jakiś nowy wirus żywiący się węglem – nie wiadomo czy zmutował, czy został stworzony – wyżarł kawał Grobli Dwóchsetlecia spod kilku tysięcy pasażerów rapitransu. To był pracowity poranek. Wreszcie jednak mężczyzna znalazł kilka chwil, by odstawić przyspieszacze i odetchnąć.

Otworzył plik, a ten wyskoczył, jak nakręcony.

Swat niezwykle otwarcie wyjaśnił mu, dlaczego ten plik zasługuje na jego uwagę. Zazwyczaj swaci dostarczali swoje skarby korzystając z łańcuchów logicznych, tak zagmatwanych, że ludzie nie byli w stanie za nimi nadążyć. Zupełnie jak za pośrednictwem magii, potrzebne informacje z całego świata najzwyczajniej w świecie pojawiały się w kolejce, niewzywane. Ale *ten* plik... Ten pojawił się już z dołączonymi słowami

kluczowymi i to takimi, które były zrozumiałe nawet dla człowieka. *Kwarantanna. Burza ogniowa. Stacja Beebe. Komin Channer.*

Zainteresowany?

Za mało informacji, by w jakikolwiek sposób można było je wykorzystać. Wystarczająco dużo, by zwrócić uwagę kogoś takiego, jak on. Tak właściwie nie były to nawet dane, to była przynęta.

Odpowiedz.

– Miło, że wpadłeś. – Głos z taśmy, zero obrazu.

Desjardins uruchomił własny filtr głosowy.

– Dostałem twoją wiadomość. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Obaj interesujemy się biochemią – wyjaśnił uprzejmie głos. – Posiadam informacje, które mogą być dla ciebie przydatne. I najprawdopodobniej vice versa.

– A kim właściwie jesteś?

– Kimś, kto podziela twoje zainteresowanie biochemią i posiada informacje, które mogą być dla ciebie przydatne.

– Tak naprawdę – zauważył Desjardins – to jesteś tylko aplikacją sekretarską. I to dość podstawową.

Nic nie zaprzeczyło.

– No dobrze. Przekaż mi, co masz do przekazania i rozdziel to tak samo, jak zaproszenie. Odbiorę to przy następnym skanie i odezwę się.

– Przykro mi – odezwała się aplikacja. – Tak to nie działa.

Oczywiście, że nie.

– A co może *zadziałać*?

– Chcę się spotkać.

– W porządku. Wybierz godzinę, a ja oczyszczę kanał.

– Twarzą w twarz.

– Cóż, jak już... Masz na myśli *osobiście*?

– Tak.

– *Po co?*

– Z natury jestem dość podejrzliwy. Nie ufam obrazom cyfrowym. Mogę pojawić się w miejscu twojego pobytu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– Wiesz, gdzie przebywam?

– Nie.

– Wiesz, gdybym ja też nie był *z natury dość podejrzliwy*, to jak w mordę strzelił teraz bym zaczął – oznajmił Desjardins.

Nienawidził, gdy aplikacje zachowywały się w ten sposób – czyniły uwagi na marginesie i wtrącały kiepskie żarciki, by wydać się bardziej ludzkimi. Rzecz jasna, Desjardins nienawidził tego także u ludzi.

– Jeśli to ty wolisz wskazać miejsce i czas spotkania – odezwała się znów aplikacja – możesz być pewny, że się tam pojawię.

– Skąd wiesz, że nie znajduję się pod kwarantanną? – *A jeśli już o tym mowa, to skąd ja mam wiedzieć, że* ty *nie jesteś? W co ja się pakuję?*

– To nie będzie stanowić problemu.

– O co tak naprawdę chodzi? To jakiś test lojalności, jakiemu poddaje mnie Rowan?

– Nie rozumiem.

– Wcale nie ma takiej potrzeby. Korp powinien wiedzieć o tym najlepiej ze wszystkich. – Niezależnie od tego, w czyim imieniu aplikacja prowadziła pertraktacje, musiał to być ktoś na poziomie przynajmniej korporacyjnym, skoro miał przeświadczenie, że uzyskanie pozwoleń na podróż nie nastręczy żadnych problemów. Chyba, że to jakaś bezcelowa i wymyślna mistyfikacja.

– Nie przeprowadzam żadnego testu lojalności – odparła aplikacja. – Proszę tylko o spotkanie.

– No dobrze. Rdzeń w Pickering. To taka knajpa w Sudbury w prowincji Ontario. Środa, 19.30.

– W porządku. Jak cię rozpoznam?

– Nie tak szybko. Wolę sam do ciebie podejść.

– Z tym będzie pewien problem.

– To *jest* problem. Jeśli myślisz, że sam wejdę w szpony kogoś, kto nawet nie zamierza mi się przedstawić, to niestety potrzebujesz łatki.

– Przykro mi to słyszeć. Niemniej jednak, nie ma to znaczenia. Wciąż możemy się spotkać.

– Nie. Jeśli żaden z nas nie wie, jak zidentyfikować drugiego, to nie możemy.

– Do zobaczenia w środę – skwitowała aplikacja. – Żegnam.

– Poczekaj...

Ale już się rozłączyła.

A niech to. Ktoś spotka się z nim w środę. Ktoś, kto najwyraźniej może pojawić się w dowolnym miejscu pod orbitą geosynchroniczną w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Ktoś, kto wie o związku między Kominem Channer a βehemotem i kto najwyraźniej uważa, że będzie w stanie odnaleźć go bez żadnych identyfikatorów.

Ktoś się z nim spotka, niezależnie od tego, czy on chce tego, czy nie.

Achilles Desjardins uznał, że nie wróży to niczego dobrego.

Martwica

Istniały na świecie takie miejsca, które mieściły się na arteriach, rozciągających się pomiędzy *tu* i *tam*. Niezależnie od tego, co wytwarzały w swym wnętrzu, nie były samowystarczalne. Kiedy zakładano na nie opaskę uciskową w postaci kwarantanny czy skażonej wody, czy też czystej obojętności mieszkańców, porzucających przegraną, przemysłową sprawę, zaczynały usychać i natychmiast dopadała je gangrena.

Czasami mury padały. Kwarantanna dobiegała końca albo powoli wygasała. Bramy otwierały się albo niszczyła je rdza. Wtedy jednak było już za późno. Tkanki przeżerała martwica. Do martwej strefy nie napływała świeża krew. Pojawiało się najwyżej kilka sporadycznych błysków wzdłuż podziemnych kabli, nerwów obwodowych, kiedy Wir omijał luki – kilkoro wciąż żywych ludzi, którym nie udało się uciec na czas, inni przybywali na miejsce, nie szukając *go*, co unikając innego.

Lenie Clarke znalazła się właśnie w takim miejscu. W mieście pełnym gruzów, rozbitych okien i zapadniętych oczu, wyglądających z budynków zniszczonych do tego stopnia, że nikt nawet nie zawracał sobie głowy ich rozbiórką. Obecne tu życie, o ile w ogóle takie istniało, przez większość czasu nie zwracało uwagi na jej przemarsz. Clarke omijała wyraźne granice terytoriów – bezzębne czaszki dzieci ułożone znacząco wzdłuż konkretnego krawężnika, na wpół zmumifikowane ciało, ukrzyżowane do góry nogami tuż pod enigmatycznym napisem *Święty Piotr Niegodny*, wraki pojazdów, które akurat przypadkiem blokowały tę czy tamtą ulicę, wszystkie rdzewiejące barykady, zaganiające nieostrożnych w kierunku rzeźni umieszczonej w centrum, niczym ryby do jazu.

Dwa dni temu mijała zgromadzenie dobroczyńców, chwytających żywcem włóczęgów jakby to były myszy polne i wstrzykujących im siłą jakieś mieszanki genetyczne. Najprawdopodobniej ksantoplasty. Od tamtej pory udawało jej się unikać wszelkich spotkań. Podróżowała jedynie nocą, kiedy cudowne oczy dawały jej przewagę. Trzymała się z daleka od miejscowych kwater głównych i terytorialnych punktów kontrolnych, z ich płonącymi beczkami oleju, latarniami i skorodowanymi, na wpół działającymi ogniwami Ballarda. Były tam pułapki i ukryte posterunki strażnicze, obsadzone przez gorliwców, pragnących awansować w miejscowej hierarchii. Emanowali oni bladą podczerwienią albo poświatą świetlną, niedostrzegalną dla zwykłego mięsa. Lenie Clarke zauważała ich przecznicę wcześniej i zmieniała trasę. Wartownicy nawet się nie orientowali.

Niemal udało jej się zostawić zonę za sobą, gdy nagle ktoś wyszedł z przejścia dziesięć metrów przed nią. Był to mieszaniec o przeważających genach latynoskich i skórze, która w spranym świetle, wzmocnionym przez jej nakładki, miała odcień szarości. Był bosy, ale od podeszew jego stóp odchodziły płaty zdartego plastiku w sprayu. W jednej ręce, pozbawionej dwóch palców, trzymał broń palną. Druga została zamieniona w prowizoryczną protezę, owiniętą wieloma warstwami taśmy klejącej i nabijaną kawałkami szkła i zardzewiałych gwoździ.

Spojrzał prosto na nią połyskującymi oczami, tak samo białymi i pustymi, co jej własne.

– No proszę – odezwała się po chwili Clarke.

Swoją maczugo-ręką mężczyzna wykonał oszczędny gest, ogarniający teren dookoła.

– Niewiele, ale to moje. – Jego głos brzmiał chrapliwie od wielu przebytych chorób. – Musisz zapłacić za przejście.

– Wrócę tą samą drogą, którą tu przyszłam.

– Nie.

Niby mimochodem stuknęła palcem w zegarek. Przemówiła cichym, niemal niesłyszalnym głosem:

– Cień.

– Środki zostały przetransferowane – odpowiedziało urządzenie.

Clarke westchnęła i zsunęła plecak z ramion. Kącik jej ust wykrzywił się lekko.

– To jak chcesz mnie wziąć?

Chciał ją od tyłu i chciał, żeby jej twarz spoczywała w pyle ulicy. Chciał wyzywać ją od *suk*, *pizd* i *dziwek*. Chciał kaleczyć ją swoją maczugą domowej roboty.

Clarke zastanawiała się, czy można to nazwać *gwałtem*. W końcu nie dano jej wyboru, ale z drugiej strony nie powiedziała też *nie*.

Dochodząc, uderzył ją wierzchem dłoni, w której ściskał broń, ale gest ten wydawał się czystą formalnością. Wreszcie stoczył się z niej i wstał.

Wtedy dopiero pozwoliła sobie na powrót, odległą obserwację własnego ciała zamieniając znów na doświadczenia z pierwszej ręki.

– No i jak? – Przewróciła się na plecy, grzbietem dłoni ścierając z ust brud ulicy. – Jak było?

Mężczyzna tylko burknął coś, zainteresowany zawartością jej plecaka.

– Nie ma tam niczego, co mógłbyś chcieć – powiedziała.

– Uhm. – Mimo wszystko, coś zwróciło jego uwagę. Włożył rękę do środka i wyciągnął tunikę z czarnego, połyskującego materiału.

Strój zaczął wić się w jego dłoni.

– *Kurwa mać!* – Mężczyzna upuścił go na ziemię. Ubiór upadł i legł bez ruchu, jakby udając martwego.

– Co do *diabła*... – Spojrzał na Clarke.

– Imprezowe szmatki – odpowiedziała, wstając. – I tak by na ciebie nie pasowały.

– Gówno prawda – rzucił mieszaniec. – To z tego odruchowego kopolimeru. Jak ciuchy Lenniego Clarke.

Kobieta zamrugała.

– Co powiedziałeś?

– Leonard Clarke. Głębokomorski Skrzelowiec. Przeżył trzęsienie ziemi. – Szturchnął skórę głębinową czubkiem sękatego palucha u stopy. – Myślisz, że nic *nie wiem*? – Uniósł broń do twarzy, przytykając lufę do kącika nakładki na oku. – A twoim zdaniem, skąd to wziąłem, co? Nie jesteś pierwszą fanką w tym mieście.

– *Leonard* Clarke?

– Przecież *powiedziałem*. Głucha jesteś czy głupia?

– Właśnie dałam ci się zgwałcić, dupku. Pewnie głupia.

Mieszaniec przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Robiłaś to już wcześniej – powiedział wreszcie.

– Więcej razy, niż byłbyś w stanie zliczyć.

– Może po jakimś czasie zaczęło ci się to podobać?

– Nie.

– Nie stawiałaś oporu.

– Tak? A ile z nich to robiło, mając gnata przy twarzy?

– Nawet się nie boisz.

– Nie, bo jestem kurewsko zmęczona. Zamierzasz puścić mnie wolno, zabić czy co? Wszystko jedno, bylebym nie musiała już wysłuchiwać tego gówna.

Mieszaniec zrobił ciężki krok do przodu. Lenie Clarke tylko prychnęła.

– Idź – rzucił mężczyzna dziwnym głosem. Po chwili zapytał, dość idiotycznie: – Dokąd zmierzasz?

Clarke uniosła brew.

– Na wschód.

Ten pokręcił głową.

– Nie przejdziesz. Duża kwarantanna. Ciągnie się wzdłuż połowy Pasa Pyłowego. – Wskazał dłonią na południe, w kierunku bocznej uliczki. – Lepiej idź naokoło.

Clarke postukała w zegarek.

– Nie mam tego na liście.

– Rób co chcesz. Gówno mnie to obchodzi.

Nie spuszczając oczu z mężczyzny, Clarke pochyliła się i podniosła tunikę z ziemi. Trzymając plecak za szelki, mieszaniec podał go jej, zaglądając przy tym do środka.

Nagle wyraźnie się spiął.

Ręka Clarke wystrzeliła niczym atakujący wąż i wydobyła pałkę gazową, wymierzając ją wjego flaki.

Mężczyzna cofnął się, jedną ręką wciąż ściskając jej plecak. Jego oczy zwęziły się tak, że przypominały teraz opalizujące szparki.

– Dlaczego jej nie użyłaś?

– Nie chciałam marnować ładunku. Nie jesteś tego warty.

Zatrzymał wzrok na pustej pochwie przy jej nodze.

– Dlaczego nie trzymasz jej tam, gdzie możesz łatwo po nią sięgnąć?

– Gdybyś miał ze sobą *dziecko*...

Mierzyli się nawzajem spojrzeniem oczu, widzących wszystko czarno na białym.

– *Pozwoliłaś* mi. – Mieszaniec pokręcił głową. Wydawało się, że sprzeczność sprawia mu ból. – Masz coś takiego, a mimo wszystko mi pozwoliłaś.

– Mój plecak – powiedziała Clarke.

– Wrobiłaś mnie. – W jego głosie zabrzmiała nutka gniewu i bezbrzeżnego zdumienia.

– Może po prostu lubię ostro.

– Jesteś zarażona. Masz jakiegoś *syfa*.

Clarke machnęła pałką.

– Oddaj mi moje rzeczy, a może pożyjesz dość długo, by to sprawdzić.

– Ty *dziwko* – rzucił, ale podał jej plecak.

Dopiero teraz dane jej było zobaczyć błonę między trzema klockowatymi palcami jego dłoni. Zauważyła, że skóra na czubkach kikutów była gładka i pozbawiona blizn. To nie wynik przemocy. Żadnych walk ulicznych. Taki się urodził.

– Jesteś dzieckiem koncernów farmaceutycznych? – zapytała. Mógł być starszy, niż by się wydawało. Koncerny zaprzestały celowego rozpowszechniania wadliwych genotypów wiele dziesięcioleci temu. Jasne, ułomni wydają na naprawy o wiele więcej niż normalni ludzie, ale świat sam zaczął stwarzać dostatecznie dziwne dzieci. A to nie łączyło się z ryzykiem protestu konsumentów.

– Jesteś, prawda?

Mężczyzna spiorunował ją wzrokiem, trzęsąc się z bezsilnej złości.

– Świetnie – rzuciła, odbierając od niego swój plecak. – Dobrze ci tak.

Sidła

Głos w uchu Lubina kłamał.

Od chwili, kiedy wydostał się na powierzchnię, mężczyzna ani przez chwilę nie był poza N'AmPac. Od lat nie był w Sewastopolu i Filadelfii. W Whitehorse w ogóle *nigdy* nie był, a z tego, co słyszał o tym miejscu, miał nadzieję, że nigdy tam nie zawita.

Ale *mógł* być. Kłamstwo to mogłoby przekonać kogoś, kto znał Lubina, ale nie wiedział, co obecnie się z nim działo. Może wcale nie było to zamierzone kłamstwo. Może było to tylko nietrafione przypuszczenie, wysunięte na podstawie Bóg wie jakich, nieodpowiednich statystyk. A może jedynie zlepek przypadkowych słów, połączonych ze sobą z większą dbałością o gramatykę niż o prawdziwość przekazu.

Lubin zaczął zastanawiać się, czy sam nie zapoczątkował tych plotek. Postanowił sprawdzić tę hipotezę przed wyruszeniem do Sudbury.

Zalogował się do Oazy i rozpoczął nowe wyszukiwanie nazwisk: *Judy Caraco, Lenie Clarke, Alice Nakata* i *Kenneth Lubin*.

Tym razem odezwał się inny głos. Mówił cicho i łagodnie, niemal szeptem. Nie przejawiał upodobania do aliteracji i bezsensownych rymów. Miał za to tendencję do złego wymawiania twardych spółgłosek.

I nazywał go *Michaelem*.

Poleciał suborbitalem do Toromilton, po czym złapał wahadłowiec, zmierzający na północ od miastostanu. W dole, w nieskończoność ciągnęły się przedmieścia, rozpełzające się coraz dalej od centrum megalopolis, które kiedyś trzymało je w niewoli. Choć zjawisko codziennego

dojeżdżania do pracy przestało istnieć już wiele dziesięcioleci temu, plaga wciąż się rozprzestrzeniała. Świat zewnętrzny spokojnie przepływał obok. W całym Ontario znajdowało się zaledwie kilka wydzielonych stref, a żadna nie znajdowała się na jego drodze.

Świat *wewnętrzny* prezentował się natomiast nieco ciekawiej. W trzewiach kotłującego się chaosu, jakim był Wir, obok opowieści mówiących o zmartwychwstaniu Lubina, zaczynały kiełkować plotki posądzające o to samo Mike'a Brandera. Mike'a Brandera widziano w Los Angeles. Mike'a Brandera widziano w Limie.

Lubin zmarszczył brwi, wyrażając w ten sposób zniesmaczenie wobec samego siebie. Swoimi pytaniami sam się wydał. Coś w Oazie zauważyło, że wyszukiwał wszystkich członków załogi Beebe, poza sobą samym. *A dlaczego ten użytkownik nie pyta o Lubina, K.? Bo ten użytkownik musi już posiadać informacje na temat Lubina, K.*

Bo ten użytkownik jest Lubinem, K.

Lenie i Kenny znajdują się w drodze powrotnej.

Jego ostatnia wizyta w Oazie, w czasie której wypytywał o wszystkich za wyjątkiem Mike'a Brandera wywołała takie samo zainteresowanie i sprowokowała zastosowanie tej samej, prostej logiki. Co widać na załączonym obrazku.

Tylko co podejmuje te działania? I dlaczego?

Oczywiście pytanie *dlaczego* nie zawsze miało rację bytu. Czasami zwierzyna podczepiała się do popularnych wątków, by móc poruszać się po Wirze, podkradała słowa kluczowe, by wtopić się w otoczenie, prześliznąć się przez filtry, udając członka stada. Klasyczny przykład wykorzystania zasady podczepienia, ślepej i głupiej jak sama ewolucja. Dlatego właśnie strategie tego typu po pewnym czasie zawsze wygasały. Chwilowa moda popadała w zapomnienie, pozostawiając pozerów z podrobionymi biletami

do pustej sali balowej. Czasami stróże przy bramach wreszcie zaczynali nadążać. Im popularniejsze przebranie, tym większa motywacja dla podjęcia środków zaradczych.

Zwierzyna łapała okazję na grzbietach krążących plotek, o ile były one dostatecznie świeże. Lubin jednak nigdy wcześniej nie słyszał, aby rozsiewała *własne* plotki.

No i dlaczego akurat Lenie Clarke? Mało znane życie, niewidoczna śmierć. Mało prawdopodobne, by był to najbardziej zaraźliwy mem w przewodach. W zasadzie nie było niczego, co mogłoby wzbudzić pośmiertne dziedzictwo.

To coś nowego. Cokolwiek to jest, jest zorientowane na cel i wykorzystuje Lenie Clarke.

A nawet więcej. Teraz, wykorzystuje również i *jego*.

Sudbury wkroczyło martwe w dwudziesty pierwszy wiek. Przyczyniły się do tego całe dziesięciolecia górnictwa oraz podłoże, składające się z lichej, kiepsko chronionej gleby. Sterty odpadów z Sudbury stały się epicentrum jednego z pierwszych, dużych skażeń kwasem w historii Ameryki Północnej. Miasto stało się swego rodzaju punktem odniesienia.

Nie było to jednak całkowicie złe. Krążyły legendy głoszące, że kiedyś, na tych wyerodowanych, szarych terenach przeprowadzano szkolenia księżycowych astronautów. Poza tym, tutejsze jeziora były naprawdę piękne, przejrzyste, błękitne i pozbawione życia niczym potraktowane chemią muszle klozetowe. Podłoże zachowywało jednostajną gładkość, wypłaszczone i wyrównane przez nieistniejące już od dawna lodowce. Zachodnie wybrzeże może runąć do oceanu, ale Tarcza Kanadyjska będzie trwać wiecznie. Egzotyczne, obce formy życia wysiadają z tankowców i podnośników na terenie Przemysłowej Podkowy wokół jeziora Ontario, by jak zwykle siać zniszczenie na miejscową skalę, ale trzeba być naprawdę

twardą chimerą, by przedostać się przez zakwaszone peryferie Sudbury. Martwa strefa miasta była niczym fosa, przecinka wypalona w krajobrazie przez setki lat działania przemysłowej trucizny.

Miejsce to nie mogło bardziej odpowiadać KRASZ-owi. Było odporne na katastrofy, zagrażające reszcie świata, ze względu na fakt, że utraciło już wszystko, co miało jakąś realną wartość. Ponadto, nieruchomości były tanie – kopalnia niklu została już dawno wyeksploatowana, a od kiedy w Copper Cliff zakopano ostatni z prętów paliwowych, miejscowa gospodarka utknęła w próżni.

Próżnię tę wypełnili Pogromcy Entropii. Biuro w Sudbury stało się jednym z dziesięciu najlepszych na tej półkuli.

Kena Lubina, w związku z tym wszystkim, nie zdziwiło, że jego ofiara zajmowała stanowisko właśnie tam. Nie wyglądało jednak na to, by tajemniczy poszukiwacz znał szczegóły dotyczące tego, na co polował czy też polowała. Zostawione w Oazie bufory przeskakiwały najszybciej, gdy zapytało się je o skutki ekologiczne i czystą, współzależną epidemiologię, a najwolniej, gdy chodziło o organelle subkomórkowe czy szlaki biochemiczne. Nie była to droga, którą podążałby ktoś tropiący dobrze sobie znany patogen. Raczej ktoś tropiący coś zupełnie nowego i tajemniczego.

Nie mogło więc chodzić o żaden koncern farmaceutyczny. Musiał to być ktoś o szerszych perspektywach ekologicznych i, biorąc pod uwagę dostęp do Oazy, mający dużą swobodę i autonomię. Tylko Pogromcy Entropii posiadali odpowiedni zestaw cech.

Pogromcy mieli jedną zaletę – wykazywali się dostateczną paranoją w kwestiach dostępu. W świecie zdominowanym przez pracę zdalną, prawołamacze obowiązkowo podróżowali codziennie do rozległych, zabezpieczonych katakumb, połączonych bezpośrednio z Oazą. Nikt nie

byłby na tyle głupi, żeby próbować walczyć z plagą entropii z domowego terminala, nawet gdyby *było* to możliwe. W KRASZ-u, nawet łącza prowadzące do Wiru posiadały niedorzeczny wręcz poziom zabezpieczeń.

Dzięki temu łatwo było namierzyć pracowników. Wszyscy musieli przejść przez foyer.

Oczywiście nie istniały żadne wykazy nazwisk prawołamaczy. Istniał za to spis dyrektorów poszczególnych działów, dostępny w niewielkim skupisku budek informacyjnych w holu głównym. Gdy znalazł to, czego szukał, Lubin wyszedł na zewnątrz i udał się w kierunku najbliższego przystanku rapitransu.

Donald Lertzman był przykładem klasycznego średniaka. Szczeble kariery zaprowadziły go na przyjemny płaskowyż ponad głowami wszystkich, którzy wykonywali produktywną robotę, ale bezpiecznie tuż poniżej pozycji, która wymagałaby od niego podejmowania istotnych decyzji. Być może w pewnym sensie zdawał sobie z tego sprawę. Być może rekompensował to sobie, ukrytym za żywopłotem odpornych na kwas srebrnych świerków, wolno stojącym domem na skraju Pustkowia.

Oczywiście ze względu na wiek oraz panującą sytuację, prawie nie mógł podróżować swoim prywatnym pojazdem. Znał wartość pozorów, w końcu z tego żył. Każdego wieczoru pokonywał więc pieszo trzy przecznice dzielące jego posesję od najbliższego przystanku autobusowego. Mniej więcej dwadzieścia procent tej trasy przebiegało poza zasięgiem wzroku osób postronnych.

– Przepraszam, pan Donald Lertzman?

– Tak, a kto...

Lubin skrupulatnie odnotował w pamięci obecność ostrzegawczej wtyczki medycznej w zegarku mężczyzny. Urządzenie natychmiast uruchomiłoby alarm, gdyby organizm Lertzmana wykazał jakieś oznaki

przedłużającego się napięcia. Rzecz jasna, reakcje ciała na stres nie zaczynają zachodzić same z siebie – uruchamia je obecność zagrożenia albo urazy. Większość *tych* sygnałów przebiega przez rdzeń kręgowy.

Dziesięć minut po tym, jak się nie przedstawił, Lubin wiedział już, kogo szukać. Wiedział również, gdzie go znaleźć. Wiedział, kiedy kończyła się jego zmiana. Wiedział więcej, niż aktualnie było mu potrzebne.

Do umówionego spotkania w Rdzeniu zostało jeszcze dwadzieścia sześć godzin. Lubin nie wiedział, czy chce mu się tyle czekać. A jeśli już o to chodzi, nie miał też żadnej gwarancji, że ten *Achilles Desjardins* w ogóle się pojawi.

Gdy odchodził, Donald Lertzman oddychał spokojnie.

Współudział

Także i tym razem wszystko odbyło się niespodziewanie i gwałtownie – nagła translokacja, jeden świat został zniszczony, by drugi mógł powstać w jego miejsce. Może i pojawiły się pewne sygnały ostrzegawcze. Ledwie zauważalny przestój w transmisji danych, ping, jakby coś bardzo odległego sprawdzało aktywność na łączach. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, by Perreault zdążyła się przygotować, nawet jeśli tylko sobie to wyobrażała.

Nie miało to jednak znaczenia. Czekała. Czekała od wielu dni.

Ten sam widok, niczym z oczu Boga – w dole rozciągały się inne pejzaże, ale otaczały je znajome ikony i nakładki. Przerzucono ją z jednego muchobota do innego. Nawigacja i GPS z jakiegoś powodu nie działały.

Znajdowała się gdzieś wewnątrz, a przed nią rozgrywały się sceny przemocy.

Jeden mężczyzna leżał z rozrzuconymi kończynami na betonowej podłodze. Na jej oczach but drugiego trafił go prosto w brzuch. Ciało katowanego skuliło się w bezsilnym odruchu, przyjmując pozycję embrionalną i zostawiając za sobą ślady w postaci rozmazanych smug krwi i powybijanych zębów. Jego twarz była zmasakrowana do tego stopnia, że nie dało się jednoznacznie określić przynależności etnicznej.

Napastnik – mniejszy, czarny i zwrócony plecami do kamery – przenosił ciężar ciała z nogi na nogę, dając wyraz pokładom niespożytej energii. Krańce ringu wyznaczał otaczający go tłum. Część patrzących osób sprawiała wrażenie skupionych, inne obojętnych, niektórzy natomiast potrząsali pięściami w szalonym zapamiętaniu. Nieco dalej, gdzie skupisko

ludności nieco się przerzedzało, widać było karimaty i zapomniane stosy rzeczy osobistych.

Perreault przejrzała dostępne opcje. Żadnej broni. Kątem oka dostrzegła migające napisy: *cel azymut -162°:deklinacja -41°*.

Napisy migały za nią.

Zwycięzca okrążył swą ofiarę, wciąż przeskakując z nogi na nogę. W polu widzenia Perreault znalazła się jego twarz, ściągnięta w wyrazie dzikiego skupienia. Noga mężczyzny znów wystrzeliła naprzód, tym razem celując w nerki. Skulona istota na podłodze rozwinęła się nagle niczym krwawy kwiat. Jej plecy wygięły się w łuk jak porażone prądem.

Napastnik podniósł wzrok i spojrzał prosto na uprowadzonego muchobota Perreault. Jego oczy lśniły krystaliczną, jadeitową zielenią modyfikowanego genetycznie chlorofilu. Jarzyły się na tle czarnej skóry niczym jakaś halucynacja.

Nie spuszczając wzroku z maszyny, po raz ostatni kopnął swego przeciwnika w głowę. Potem wmieszał się w niezgłaszający sprzeciwu tłum.

Sou-Hon Perreault nigdy wcześniej go nie widziała. Nie znała też jego ofiary. Ale położenie *celu* określały teraz *azymut -175°:deklinacja -40°*, a odczyty wciąż ulegały zmianie.

Zwróciła muchobota w lewo. Więcej ludzi, więcej legowisk. W oddali wznosiły się szare, niewykończone ściany, pod którymi ustawiono rzędy automatów. Ponad maszynami wisiały oficjalne piktogramy, kierujące ludność do *rejestracji*, na *kwarantannę* i po *informacje*. Znalazła się w betonowej jaskini wysokiej na dziesięć metrów, wzniesionej w imię masowego przetrwania, w miejscu kwarantann, centrum szczepień, schronieniu przed nagłymi zjawiskami pogodowymi, zbyt potężnymi dla

tymczasowych zabezpieczeń, jakie zafundowano starszym budynkom. I *domu* dla coraz większej liczby ludzi.

Miejsce to nazywano oficjalnie *schronem przeciwbombowym*.

Cel znajdował się na *-35°, -39°*. Gdy tylko znalazła się w zasięgu wzroku, wyświetlacz taktyczny natychmiast nałożył na nią siatkę. Ten sam cywilny strój, ten sam wizjer. Jednak od czasu spotkania w Calgary, coś musiało przytrafić się Lenie Clarke. Idąc, przenosiła ciężar ciała na jedną nogę. Prawą stronę jej twarzy zdobił żółty siniak.

Perreault włączyła głośnik muchobota, przemyślała sprawę jeszcze raz i znów go wyłączyła. Nie ma sensu niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Zamiast tego otworzyła menu kontrolne, namierzyła sygnał z wizjera Clarke i połączyła się z nim przy pomocy fal radiowych.

– Hej. To znowu ja, Sou-Hon.

W dole, Lenie Clarke zamarła. Podniosła rękę. Na nadgarstku nie miała już zegarka.

– Tu, na górze – powiedziała Perreault. – W muchobocie.

Nagle zamigotał alarm zbliżeniowy. Nadlatywał kolejny muchobot. Perreault odwróciła maszynę i zobaczyła, jak przeciska się do środka przez klapkę dwa metry nad głównym wejściem.

Nawet w widzialnym świetle wyraźnie odznaczały się zarysy luf jego broni.

Spojrzała znów w dół. Clarke gdzieś zniknęła. Perreault zmieniała pozycję kamery, aż wreszcie na wyświetlaczu znów pojawiła się siatka. Ryfterka zmierzała w kierunku drzwi, co chwilę obrzucając wzrokiem drugiego muchobota. Ten jednak nawet jej nie zauważył. Interesowała go tylko krwawa plama niczym z testu Rorschacha po drugiej stronie jaskini.

– Nie tamten – odezwała się Perreault. – To ja. Ten mały, monitoru-

– Jesteś tym prześladowcą, prawda? – przerwała jej Clarke.

– Tym... Tak. A przynajmniej tak mnie nazwałaś.

– Pa. – Była już przy wejściu.

– Czekaj!

I zniknęła.

Perreault spojrzała znów na drugiego muchobota. Ten unosił się nad pozostałościami po bójce, z kamerami skierowanymi pionowo w dół. Pewnie wezwała go maszyna Perreault, zanim kobieta przejęła nad nią kontrolę. Muchobot nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wyglądało na to, że nawet jeśli jego jeździec wiedział, że Perreault tam była, to niespecjalnie go to obchodziło.

I tak nie mam tu już nic do roboty, pomyślała i dała nura przez klapkę.

Rzadki, brudny deszcz. Nieliczne krople zdmuchiwane przez wiatr. Niebo miało kolor brązu. Powietrze sprawiało wrażenie przesyconego żwirem. A więc gdzieś dalej na południe. Jakieś miejsce, które pewnie od wielu lat nie widziało prawdziwych opadów *śniegu*.

Zza kopuły wyłaniała się panorama metropolii, podobna do ponurego histogramu. Odchodziła stamtąd czteropasmowa szosa, która zostawiwszy kałużę asfaltu przy schronie, biegła dalej, aż po horyzont. Ze wszystkich stron otaczał ją wytarty splot mniejszych dróg, a niektóre z nich były w zasadzie wydeptanymi ścieżkami, ciągnącymi się przez szachownicę pól i lasów.

Cel, przyszpilony i podświetlony niczym jaskrawy motyl, oddalał się właśnie jedną z nich.

GPS wciąż nie działał. Nawet kompas nie był podłączony do sieci.

Perreault połączyła się znów z wizjerem Clarke i ruszyła jej śladem.

– Posłuchaj, mogę...

– Spierdalaj. Kiedy poprzednim razem siedziałaś w tej maszynie, zostałam przez nią ostrzelana.

– To nie byłam ja! Padło połączenie!

– Ach tak? – Clarke nawet nie zaszczyciła jej spojrzeniem. – A dlaczego miałoby nie paść tym razem?

– Ten bot *nie ma* żadnej broni. Ma tylko oczy i uszy.

– Nie lubię oczu i uszu.

– Nie zaszkodzi mieć dodatkowej pary po swojej stronie. Gdybym wcześniej mogła wybrać się na małe zwiady, może nie zarobiłabyś tego siniaka na twarzy.

Clarke zatrzymała się. Perreault zniżyła lot muchobota i zawisła kilka metrów od ramienia kobiety.

– A co, kiedy twoi przyjaciele się znudzą? – zapytała ryfterka. – Kiedy znów padnie połączenie?

– Nie mam pojęcia. Możliwe, że bot wróci po prostu na swój normalny kurs. Przynajmniej nie może cię postrzelić.

– Może wezwać takie, które mogą.

– Słuchaj, będę się trzymać na dystans – zaproponowała Perreault. – Na około kilkaset metrów. Pozostanę w zasięgu twojego wizjera, ale jeśli to coś się ocknie, będziesz dla niego jedynie nieznajomą, która przypadkiem znalazła się w pobliżu. Nie będą sprawdzać dwa razy.

Dwa metry na lewo od dziobu, ramiona Clarke uniosły się i opadły.

– Dlaczego to robisz? – zapytała. – Dlaczego to takie ważne, żeby mi pomóc?

Przez krótką chwilę Perreault rozważała wyjawienie jej prawdy.

– Nie wiem – powiedziała ostatecznie. – Po prostu.

Ryfterka pokręciła głową.

– Idę na południe – rzuciła po chwili.

– Południe? – Perreault wywołała ikonę niedziałającego kompasu. Nic. Spróbowała więc odnaleźć słońce na ponurym, zachmurzonym niebie.

Clarke ruszyła z miejsca.

– Tędy – powiedziała, wciąż nie oglądając się za siebie.

Perreault trzymała się z dala od drogi, podążając trasą wyznaczoną przez Clarke. Otworzyła menu kamery, zamierzając ustawić automatyczne przybliżenie na każde źródło ruchu, nie będące wynikiem wiatru, i natychmiast zaskoczył ją wybór dostępnych widoków. Poza podstawowymi kamerami stereo z przodu, muchobot wyposażony był także w urządzenia po bokach, na rufie i brzuchu. Kobieta mogła podzielić wyświetlacz na cztery okna i jednocześnie obserwować teren dokoła.

Clarke w milczeniu wlokła się noga za nogą, skuliwszy ramiona przed wiatrem. Wiatrówka wydymała się na jej ciele niczym poszarpany plastik.

– Nie jest ci zimno? – spytała Perreault.

– Mam na sobie skórę.

– Sk... – *No jasne. Kombinezon do nurkowania.* – Zawsze tak podróżujesz?

– To *ty* odradziłaś mi latanie.

– Cóż, to prawda, ale...

– Czasami jeżdżę autobusem – przerwała jej Clarke. – Albo stopem.

Sposoby niewymagające okazywania dowodu tożsamości albo poddawania się skanom. Perreault przyszło do głowy, że tkwiła w tym pewna ironia. W ciągu ostatnich kilku tygodni Clarke musiała zetknąć się z tak rygorystycznymi środkami bezpieczeństwa, że trudno byłoby to sobie wyobrazić jeszcze kilka dziesięcioleci temu. Tylko, że obecne kontrole i testy wymierzone były przeciwko patogenom, a nie przeciwko ludziom. Kogo obchodziły jeszcze takie artefakty jak dowód osobisty? Kogo obchodziło coś tak arbitralnego jak granice *polityczne*? Tożsamość narodowa stała się czymś tak nieistotnym, że nikt nawet nie zadawał sobie trudu, by ją zlikwidować.

– Na *tej* drodze raczej zbyt szybko nie znajdziesz sobie transportu – zauważyła Perreault. – Trzeba było trzymać się głównej trasy.

– Lubię podróżowanie w samotności. Pozwala mi to uniknąć bezsensownej gadaniny.

Perreault zrozumiała aluzję.

Sprawdziła urządzenie rejestrujące muchobota, obawiając się, ile znajdzie tam obciążających informacji. Jednak cała pamięć została wyczyszczona. Taki akt sabotażu zdecydowanie przekraczał możliwości Perreault. Nawet teraz czarna skrzynka nie zachowywała rutynowych danych przesyłanych jej przez czujniki maszyny.

Kobieta odetchnęła z ulgą, ale nie była szczególnie zaskoczona.

– Jesteś tam jeszcze? – spytała Clarke.

– Uhm. Połączenie wciąż jest aktywne.

– Radzą sobie coraz lepiej.

Perreault przypomniała sobie, jak Clarke odruchowo spojrzała na swój nadgarstek, jeszcze pod dachem kopuły.

– Co się stało z twoim zegarkiem?

– Zniszczyłam go.

– Dlaczego?

– Twoi przyjaciele nauczyli się obchodzić wyłącznik.

– To nie są... – *Przyjaciele, nawet znajomi*. Nie miała pojęcia, kim właściwie dla niej byli.

– A teraz połączyłaś się ze mną przez wizjer. Gdybym miała choć trochę oleju w głowie, wywaliłabym i to.

– Więc inni też się z tobą kontaktowali? – Oczywiście, że tak... Dlaczego niby Sou-Hon Perreault miałaby być jedyną osobą na całym świecie, która otrzymała audiencję u Mrocznej Madonny?

– Ach, racja. Zapomniałam – skwitowała cierpko syrena. – Ty nic nie wiesz.

– Naprawdę? Tacy jak ja?

– Gorsi – rzuciła, nie przestając przeć naprzód.

Nie naciskaj.

Przez kilka minut dzieliła je kępa rachitycznych brzóz. Obraz z kamery na lewej burcie ukazywał rozczłonkowaną Lenie Clarke pomiędzy pionowymi, chaotycznymi liniami.

– Byłam w Wirze – odezwała się w końcu. – Ludzie o mnie gadają.

– Tak. Wiem.

– Wierzysz w to? W to, co o mnie mówią?

Perreault spróbowała łagodnego podejścia, ale nie nabrała nawet siebie:

– Czyli nie nosisz w sobie końca świata?

– Jeśli noszę – odpowiedziała jej Clarke – to nie widać tego w badaniach krwi.

– Tak czy inaczej, nie można wierzyć większości rzeczy, które człowiek przeczyta w Wirze – skwitowała Perreault. – Jedna połowa stoi w sprzeczności z drugą.

– To jakieś szaleństwo. Nie mam pojęcia, jak się to wszystko zaczęło. – Kilka sekund milczenia. – Któregoś dnia widziałam kogoś, kto wyglądał jak ja.

– Mówiłam ci. Masz przyjaciół.

– Nie. Nie chodzi wam *o mnie*. To coś w przewodach. Ono... po prostu z jakiegoś powodu ukradło moje nazwisko.

Pip.

Na wyświetlaczu pojawił się nagle świecący prostokąt, otaczający coś znajdującego się w ruchu. Kamera na rufie odruchowo przybliżyła obraz.

– Czekaj – powiedziała Perreault. – Mam tu... Lenie...

– Co?

– Możesz chcieć zejść z drogi. Wydaje mi się, że to ten świr ze schronu.

I rzeczywiście to był on. Pochylony się nad kierownicą starożytnego roweru górskiego, pojawił się w przybliżonym oknie niczym ziarnisty koszmar. Pedałował z wysiłkiem, napierając masą całego swojego ciała na pedały. Pojazd nie posiadał siodełka. Brakowało mu też opon. Chwiał się po drodze na gołych felgach. Szkielet dosiadany przez potwora. Kurtka potwora była ciemna, mokra i pozbawiona jednego rękawa. Wcześniej miał na sobie zupełnie inną.

Nie spuszczał oczu z drogi. Tylko raz zaryzykował spojrzenie przez ramię. Wreszcie zniknął w mroku.

– Lenie?

– Tutaj. – Clarke wyłoniła się z rowu odprowadzającego wodę.

– Pojechał – powiedziała Perreault. – Coś takiego zawsze przydarza się, gdy akurat nie masz pod ręką broni. Dupek.

– Nie gorszy niż ktokolwiek inny stamtąd. – Clarke wydostała się z powrotem na drogę.

– Za wyjątkiem faktu, że pobił kogoś na śmierć.

– A setka ludzi stała i się gapiła. Czy może tego nie zauważyłaś?

– Cóż...

– Wiesz, ludzie tak mają. Stoją i nic nie robią. Są kurwa współwinni, nie są wcale lepsi od... Są *gorsi*. *On* przynajmniej wykazał się inicjatywą.

– Jakoś nie zauważyłam, żebyś *ty* mu się postawiła – warknęła Perreault i natychmiast pożałowała swojej postawy.

Clarke zwróciła się w stronę muchobota, ale nic nie powiedziała. Po chwili ruszyła dalej.

– Nie wszyscy są „współwinni”, Lenie – odezwała się nieco łagodniej Perreault. – Ludzie *chcą* reagować, tylko się... boją. A czasami

doświadczenie uczy, że jedynym sposobem, by sobie ze wszystkim poradzić, jest siedzieć cicho.

– Ach tak, każdy z nas jest ofiarą swojej przeszłości. Nawet nie próbuj sprzedawać mi tego podprogramu.

– Jakiego podprogramu?

– Tego z biedną ofiarą wykorzystywania. Wiesz, czym tak naprawdę jest *wykorzystywanie*? Wymówką.

– Lenie, nie chcę...

– Jakiś dupek łapie cię za cipę w przedszkolu. Ktoś pakuje ci chuja w dupę. I co z tego? Może kilka siniaków. Trochę krwi. Gorzej się poobijasz spadając z huśtawki i łamiąc sobie rękę, więc dlaczego w takich sytuacjach nikt nie marudzi o *nadużyciach*?

Oddaloną o tysiąc kilometrów Perreault zaskoczyła gwałtowność Clarke.

– Nie powiedziałam nic... W każdym razie, obrażenia fizyczne to tylko jedna strona medalu. Szkody emocjonalne...

– Gówno prawda. Uważasz, że nie zostaliśmy zbudowani tak, by być w stanie znieść trochę dziecięcej traumy? Wiesz, jak wiele ze ssaków wyższych pożera swoje własne młode? Nie przeżylibyśmy dziesięciu pokoleń, gdyby kilka kopniaków w dzieciństwie wystarczało, by wyłączyć nas z obiegu.

– Lenie...

– Myślisz, że te wszystkie wojska, gangi i gliny byłyby takie chętne do wykorzystywania, gdybyśmy *nie robili z tego takiej wielkiej afery?* Gdyby nie miękły nam kolana i nie przechodziły dreszcze na samą myśl o *gwałcie?* Jebać to. Atakowały mnie stworzenia żywcem wyjęte z koszmarów. Byłam bliska ugotowania albo pogrzebania żywcem więcej razy, niż mogę zliczyć. Wiem wszystko o różnych czynnikach zdolnych

doprowadzić ciało na skraj załamania. *Wykorzystywanie seksualne* nie znajduje się nawet w pierwszej dziesiątce.

Zatrzymała się i wbiła gniewne spojrzenie w odległą kamerę muchobota Perreault. Kobieta przybliżyła obraz – ryfterka dygotała.

– A może masz podstawy, by się ze mną nie zgadzać? Jakieś *osobiste doświadczenia*, którymi mogłabyś poprzeć swoje modne frazesy?

Pewnie, że mam doświadczenia. Obserwowałam. Obserwowałam całymi latami, nic nie czując.

Taką miałam pracę...

Rzecz jasna, nie mogła jej tego powiedzieć.

– Ja... Nie. Raczej nie.

– Oczywiście, że nie. Jesteś tylko jebaną turystką, prawda? Siedzisz sobie bezpiecznie i wygodnie w szklanej wieży daleko stąd i co jakiś czas wystawiasz peryskop, by pooglądać prawdziwy świat, powtarzając sobie, że oto doświadczasz *życia* i inne pierdoły. Jesteś żałosna.

– Lenie...

– *Przestań żywić się moim kosztem.*

Nie odezwała się już więcej. Maszerowała w milczeniu drogą, pośród strug brudnego deszczu, ignorując wszelkie błagania i przeprosiny. Brąz nieba zamienił się w czerń. Zniknęło widzialne światło, miejsce którego zajęła podczerwień. Lenie Clarke stała się rozżarzoną do białości plamką gniewu, znajdującą się wciąż w tej samej odległości i pozostającą wciąż w ruchu.

Przez cały ten czas tylko raz się odezwała. Słowa były w zasadzie warknięciem, zdaniem Sou-Hon Perreault nieprzeznaczonym wcale dla jej uszu. Jednak dla wyostrzonych zmysłów muchobota nie istniała odległość, ani prywatność – filtry i wzmacniacze zamieniły słowa Clarke z odległego szumu w paskudną prawdę, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości:

– *Wszyscy* za to zapłacą.

Wizja

Istniały dwa powody, dla których Achilles Desjardins nie uprawiał seksu z realnymi partnerami. Drugi z nich był taki, że symulacje dawały mu dużo większą swobodę.

Jego system bez problemu radził sobie z całą gamą możliwości. Jego skóra wyposażona była w najnowsze zdobycze technologii haptycznej z zakresu lewitacji lorenzowskiej. Pozbawione kształtu, magnetyczne palce potrafiły wyczuwać jego ruchy i na nie reagować. Reklamy przekonywały, że użytkownik wyczułby, gdyby po jego plecach wdrapywała się wirtualna mrówka. I nie kłamały. Jedynym sposobem na lepsze doznania byłby bezpośredni interfejs nerwowy, ale Desjardins nie miał zamiaru posuwać się aż tak daleko. Nie każdy o tym wiedział, ale w Wirze pojawiły się stworzenia, które powoli uczyły się, jak przedostać się do wetware'u. Ostatnie, co potrzebne mu do szczęścia, to jakiś rekin przejmujący kontrolę nad jego rdzeniem kręgowym.

Z mokrym łączem wiązały się jeszcze inne niebezpieczeństwa, co było szczególnie istotne dla osób o podobnych do Desjardinsa upodobaniach. Wciąż istnieli ludzie, którzy nie potrafili zrozumieć różnicy między rzeczywistością a symulacją, między fantazją a napaścią. Niektórzy z nich byli na tyle sprytni, że hackowali rzeczy uznawane przez nich za niepoprawne politycznie.

Weźmy na przykład obecny scenariusz. Była to całkiem urocza scenka. Miał przed sobą dwie dziewczyny przypięte pasami do stołów twarzami do dołu. Do sutków i łechtaczki jednej z nich przypiął podłączone do prądu zaciski szczękowe. Druga musiała zadowolić się nieco mniej

zaawansowaną technologicznie karą cielesną, którą Desjardins wymierzał jej przy pomocy niepełnego trzonka od miotły. Trzy kolejne panienki wisiały głowami w dół na odległej ścianie, zabijając czas, aż przyjdzie ich kolej.

Dokładnie w takie środowiska lubiły ingerować różne nieprzyjemne typki. Desjardins słyszał o więcej niż jednej sytuacji, kiedy to ofiary podobnych scenariuszy w cudowny sposób uwalniały się nagle ze swych więzów i rzucały na użytkownika z nożami kuchennymi albo sekatorami. Potem następowała, zazwyczaj nieudolnie, ale jakże entuzjastycznie przeprowadzana, kastracja. W co najmniej jednym przypadku intruzowi udało się obejść awaryjne przerywanie, przez co gracz zmuszony był pozostać na planszy do czasu, aż opadła kurtyna. Coś takiego wystarczało aż z nawiązką do ostudzenia emocji użytkowników skór reakcyjnych. Jednak gdyby trafiło na kogoś z łączem nerwowym, osoba taka mogła zostać impotentem do końca życia.

Rzecz jasna, o to właśnie chodziło.

Achilles Desjardins był o wiele bardziej świadomy ryzyka niż większość. Dlatego też przedsięwziął o wiele większe środki ostrożności. Jego sensorium było w pełni autonomiczne, bez żadnego połączenia do sieci. Przeprowadził lobotomię na zespole obwodów odpowiedzialnych za grafikę, by zmniejszyć stopień ich narażenia na ataki zwierzyny. Wprawdzie przez to mógł on serwować już tylko obrazy o niskiej rozdzielczości, które doprowadziłyby do szału każdego normalnego konesera, ale wetware Desjardinsa bez problemu rekompensował mężczyźnie różnicę (ulepszenia w korze wzrokowej związane z dopasowywaniem wzorców wstawiały te surowe piksele w subiektywną panoramę na tyle wyraźną, że byłaby ona w stanie wywołać ślinotok nawet u najwybredniejszych okablowanych). Same scenariusze zostały

wyszorowane i zdezynfekowane aż po mapy tekstur. Desjardins wnosił o wiele więcej niż tylko swą wagę do tego szamba świata. Żaden dwudziestowieczny purytanin nie miał prawa odbierać mu tych kilku zasłużonych chwil z Panem Wackiem.

Dlatego właśnie odebrał nagłą i całkowitą awarię systemu jako coś niesamowicie niepokojącego. Poczuł przelotne ukłucie na karku i całe otoczenie gwałtownie *zniknęło*.

Oszołomiony i pozbawiony ciała, przez jakiś czas wisiał zawieszony w niewyczuwalnej próżni. Żadnych dźwięków, żadnych zapachów, żadnych wrażeń dotykowych, żadnych obrazów – w zasadzie nie była to nawet *czerń*. Nie było tak, jak przy zasłoniętym oknie czy zamkniętych oczach. Raczej tak, jak gdyby wcale nie miało się oczu. W końcu na tyle swej czaszki nie widzi się mroku, w ogóle...

Kurwa mać, pomyślał. *Włamali się. Zaraz wróci połączenie z siecią, a oni upieką mnie na rożnie czy coś takiego.*

Spróbował zacisnąć palce na przycisku przerwania. Wydawało się jednak, że nie miał żadnych palców. Wszystkie jego zmysły znalazły się w trybie offline. Przez chwilę wydawało mu się, że jednak jakoś się wywinie. Może nie zainfekowali programu, a tylko go uszkodzili? Miałoby to sens. W końcu łatwiej rozwalić system niż go zarazić.

Ale do kurwy nędzy tego też *nie powinni być w stanie zrobić... i dlaczego kompletnie nic nie* czuję*...?*

– Halo? Halo? Czy to coś w ogóle działa?

Co...

– Przepraszam. To taki mały żarcik. Achillesie, zaraz zadam ci kilka pytań. Chcę żebyś dokładnie przemyślał każdą z odpowiedzi.

Głos wisiał razem z nim pośród pustki, bezpłciowy i pozbawiony emocji. Żadnego pogłosu, żadnego cichego buczenia pobliskich urządzeń,

w ogóle żadnych dźwięków tła. Brzmiał niemal jak głos Oazy, ale nawet to nie wydawało się być w porządku.

– Chcę, żebyś pomyślał o oceanie. Bardzo głębokim oceanie. Pomyśl o istotach, które tam żyją. Szczególnie o mikrobach. Pomyśl o nich.

Desjardins spróbował coś powiedzieć. Nie miał strun głosowych.

– Dobrze. Teraz chciałbym, żebyś wysłuchał kilku nazwisk. Możliwe, że rozpoznasz niektóre z nich. Abigail McHugh.

W życiu o niej nie słyszał.

– Donald Lertzman.

Lertzman? A co on ma z tym wspólnego?

– Wolfgang Schmidt. Judy Caraco.

To jakiś test lojalności korp-

O Jezu. Ten kontakt z Oazy. Rdzeń w Pickering. Powiedział, *że mnie znajdzie...*

– André Breault. Patricia Rowan. Lenie Clarke.

Rowan! Więc to ona za tym stoi?

– Ken Lubin. Leo Hin Tan Trzeci. Mark Showell. Michael Brander.

Tak. Rowan. Może jednak Alice nie jest wcale taką straszną paranoiczką.

– Dobrze. Teraz chciałbym, żebyś pomyślał o biochemii. Białka. Aminokwasy siarkowe.

??!?!?...

– Widzę, że jesteś nieco zdezorientowany. Zawęźmy nieco zbiór. Cysteina. Metionina. Myśl o nich, słuchając następujących słów...

To jakaś sztuczka z czytaniem w myślach, pomyślał Desjardins.

– Retrowirus. Stereoizomer. Sarkomer.

Komputer kwantowy?

One nie istniały. Oczywiście takie było oficjalne stanowisko w kwestii *najbardziej* zakazanej technologii, ale w tym przypadku Desjardins byłby skłonny w nie uwierzyć. Nikt przy zdrowych zmysłach za żadne skarby nie chciałby znaleźć się w towarzystwie SI o zdolnościach telepatycznych. To był jedyny skutek uboczny, jakiego nie przewidziały Q-wzmacniacze – postanowienia w sprawie świadomości kwantowej podjęto w ciągu jednej nocy. Kto niby zdecydowałby się na zbudowanie czegoś, co potrafiłoby grzebać mu w myślach niczym mistrz szachowy, zabijający czas przy partyjce w kółko i krzyżyk?

Z tego, co wiedział Desjardins, nikt.

– Pompa jonowa. Termofil.

Jeśli jednak nie komputer kwantowy, to...

– Archeony. Fenyloindol.

Ganzfeld.

Nie był to komputer, za wyjątkiem interfejsu do przesłuchań. Ani nie była to telepatia, a w każdym razie nie do końca. To coś bardziej prymitywnego. Słabe, kwantowe sygnały ludzkiej świadomości, odcięte od szumu i zmysłowych zakłóceń, jakie zalewają je w normalnych warunkach. Jeśli odpowiednio odizoluje się je od tych interferencji, ma się ponadprzeciętną szansę odgadnięcia, na co patrzy badany albo czego słucha. Da się pośrednio poczuć echo odległych emocji. Przy odpowiedniej izolacji oraz obecności odpowiednich bodźców, można naprawdę wiele się dowiedzieć.

A przynajmniej tak słyszał Desjardins. Nigdy wcześniej nie dane mu było tego doświadczyć.

– Dobrze. A teraz pomyśl o zadaniach zlecanych ci przez KRASZ w ciągu ostatniego miesiąca.

Mange de la marde. To, że jakiś bezcielesny głos każe mu o czymś myśleć, nie oznacza, że musi stawać na baczność i...

– Ach. A *oto* i znajomy wzorzec. Mam dla ciebie małe ćwiczenie, Achillesie – czegokolwiek byś nie robił, nie myśl o czerwonookim pawianie z hemoroidami.

O kurwa.

– Widzisz? Żadna czynność nie jest tak skazana z góry na porażkę, co próba usilnego *niemyślenia* o czymś. Możemy kontynuować? Pomyśl o zleceniach dla KRASZ-u z ostatnich sześciu miesięcy.

Czerwonooki pawian z...

– Pomyśl o trzęsieniach ziemi i falach pływowych. Pomyśl o możliwych związkach między jednym a drugim.

Czy to nie jest czasem naruszenie tajemnicy zawodowej? Czy Moralniak nie powinien czegoś z tym zrobić?

Trzęsienia ziemi. Fale pływowe. Nie potrafił wyrzucić tego z umysłu.

Może i jest. Może Moralniak opanował całe moje ciało. O ile wciąż je mam. Jak mam to sprawdzić?

Pożary.

O Jezu. Wszystko wyśpiewam...

Przez mgłę zaczęły przedzierać się smużki szmaragdowego światła.

– Pomyśl o protokołach izolacyjnych. Pomyśl o efektach ubocznych.

Przestań, przestań...

– Zaplanowałeś to?

Nie! Nie, ja...

– Wiedziałeś to z góry?

Niby jakim cudem, nie mówią mi ni-

– Dowiedziałeś się po fakcie?

Jeśli Moralniak działa, moje ciało jest już martwe. O do plującego posoką pierdolonego prątkowanego pojeba...

– *Pochwalasz* to?

Co to *za głupie pytanie?*

Nic, przez dłuższą chwilę.

Czuję się paskudnie, pomyślał Desjardins. *Hej...*

Rozpacz, poczucie winy, strach – to wszystko czysta chemia. Hormony i neuroprzekaźniki, mieszanka warzona nie tylko w mózgu, ale i gruczołach rozrzuconych po całym ciele. *Fizycznym* ciele.

Wciąż żyję. Wciąż mam ciało, nawet jeśli go nie czuję.

– Porozmawiajmy o tobie – odezwał się w końcu głos. – Jak się czujesz ostatnimi czasy, pod kątem zdrowotnym? Jakieś skaleczenia albo urazy? Cokolwiek, co naruszyłoby skórę?

Czuję się trochę lepiej, dziękuję.

– Jakiekolwiek objawy choroby?

– Szczepienia w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

– Badania krwi? Nietypowe reakcje na rekreacyjne plastry przezskórne?

– *Realne* doświadczenia seksualne?

Nigdy. Nigdy nie zrobiłbym tego drugiemu człowiekowi...

Cisza.

Hej. Jesteś tam?

Pośród oślepiającego światła i przy akompaniamencie ryku jakby wściekłego oceanu, ze wszystkich stron zaatakował go realny świat.

Po chwili obraz sprał się do normalnego nasycenia. Desjardins gapił się na sufit swojego salonu, czekając, aż wreszcie kakofonia dźwięków zamieni się w jeden, rytmiczny odgłos *szorowania*.

Ktoś tu jest.

Spróbował wstać. Ostry ból szyi nie pozwalał wprawdzie na wykonywanie żadnych gwałtownych ruchów, ale udało mu się stanąć i pozostać w tej pozycji. Niestety, jedynie w tym najbardziej niewinnym znaczeniu. Jego skóra reakcyjna leżała obok, ładnie złożona. Desjardins był zupełnie nagi.

Odgłosy szorowania dochodziły z łazienki.

Nie miał żadnej broni. Nie sądził jednak, by na chwilę obecną była mu ona potrzebna. Gdyby intruz zamierzał go zabić, już byłby martwy. Desjardins ostrożnie ruszył w kierunku przedpokoju i natychmiast prawie wyrżnął głową w ścianę. Mandelbrot jak zwykle postanowił wcielić w życie typową kocią strategię powalenia przeciwnika, wykonując ósemkę wokół jego nóg.

Mężczyzna zaklął pod nosem i zakradł się do łazienki.

Przy umywalce stał ktoś bez spodni.

Widziany od tyłu był średniego wzrostu, ale zbudowany niczym ogniwo Ballarda. Ciemne włosy przyprószone siwizną, granatowy sweter w warkocze, czarna bielizna, maleńkie blizny na tyle nóg. Bose stopy. Spodnie przewiesił przez brzeg umywalki, w której szorował jedną z nogawek.

– Twój kot mnie obszczał – powiedział, nie odwracając się.

Desjardins potrząsnął głową. Szyja natychmiast dała mu do zrozumienia, jaką głupotą się wykazał.

– Co?

– W czasie naszej sesji – wyjaśnił nieznajomy. Desjardins spojrzał w lustro, ale mężczyzna miał spuszczoną głowę, koncentrując się na wykonywanej czynności.

– Zakładam, że ktoś o takiej pozycji, słyszał o technikach ganzfeldowskich?

– Owszem – odpowiedział Desjardins.

– A więc wiesz, że trzeba zminimalizować sygnały zewnętrzne. Blokady nerwowe na wszystkich głównych przewodach czuciowych i tak dalej. Byłem tak samo odłączony, jak ty.

– Przecież *mówiłeś*...

Intruz szturchnął stopą leżącą na posadzce niewielką, beżową saszetkę.

– *To* mówiło. Ja tylko ustawiłem drzewo dialogowe. W każdym razie – wyprostował się, wciąż jednak stojąc tyłem do drzwi – twój głupi kot naszczał mi na nogę, kiedy leżałem na podłodze.

Na szczęście dla mojego głupiego kota, pomyślał Desjardins, ale nie powiedział tego głośno.

– Myślałem, że tylko psy tak robią.

Desjardins wzruszył ramionami.

– Mandelbrot to mutant.

Intruz chrząknął i odwrócił się.

W zasadzie nie był brzydki. Przypominał raczej efekt prac kogoś o ograniczonych zdolnościach, kto starał się wyrzeźbić ludzką twarz na słupie totemicznym. Niespecjalnie musiało to trafiać w gusta, ale nie sposób było odmówić rezultatowi pewnej surowej estetyki. Na twarzy miał jeszcze więcej drobnych blizn. Wciąż jednak nie czyniło go to brzydkim.

Przerażającym – owszem. To by pasowało. Desjardins nie wiedział dokładnie, co podsunęło mu tę myśl.

– Jesteś odporny na Moralniaka – poinformował go nieznajomy. – Jakieś domysły, jak *to* się mogło stać?

Algebra moralności

Nagi prawołamacz przyglądał mu się z ostrożnym zaciekawieniem. Lubin zauważył, że właściwie nie było w nim strachu. Kiedy stale żonglujesz życiem tysięcy ludzi dla zarobku, pewnie dochodzisz do wniosku, że to *inni* powinni się martwić. Sudbury to bezpieczne, praworządne miejsce. Mając boską kontrolę *nad* realnym światem, Desjardins pewnie zapomniał, jak to jest żyć *w* nim.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Nazywam się Colin – odpowiedział Lubin.

– Uhm. A dlaczego właściwie Rowan ma takiego fioła na punkcie testowania mojej lojalności?

– Chyba mnie nie usłyszałeś – odezwał się znów Lubin. – Jesteś odporny na Moralniaka.

– Usłyszałem. Po prostu uważam, że pierdolisz bez sensu.

– Doprawdy? – Lubin wypowiedział to słowo z lekkim naciskiem.

– Wszystko pięknie, *Colinie*, ale tak jakby jadę na tej rzeczy.

– Rozumiem.

– Nie zrozum mnie źle, nie mówię, że to coś jest niezniszczalne. Nawet tak na szybko mógłbym wymienić kilka komercyjnych enzymów zdolnych to rozłożyć. Słyszałem też, że właściwe blokery inhibitorów wychwytu zwrotnego również dadzą sobie z tym radę. Właśnie dlatego przeprowadzają te wszystkie testy, rozumiesz? Właśnie dlatego praktycznie nie ma nawet dwóch dni, żeby jakiś posokowiec nie obwąchiwał mi krocza. Możesz mi wierzyć, gdybym był odporny na Moralniaka, już dawno bym to wiedział, podobnie jak każda baza danych odpowiedzialna za środki

bezpieczeństwa aż po geosynchroniczną. I wiesz, naprawdę *dziwne* jest w tym wszystkim to, że Rowan musi być już dobrze o tym *poin...*

Nie zdążył nawet się poruszyć. Gdy przebrzmiała pierwsza sylaba, Lubin był już tuż za nim. Wolne ramię mężczyzna owinął wokół jego gardła. Długa, zakrzywiona igła tkwiąca w jego dłoni łaskotała wymownie błonę bębenkową w uchu Desjardinsa.

– Masz trzy sekundy, by powiedzieć mi, jak to się nazywa – szepnął Lubin, rozluźniając uchwyt na tyle, by umożliwić mężczyźnie mówienie. A przynajmniej jego namiastkę.

– βehemot – wydyszał Desjardins.

Lubin ponownie zacisnął uchwyt.

– Miejsce pochodzenia. Dwie sekundy. – I znów nieco poluzował.

– Głębokie morze! Juan de Fuca, Komin Channer, jak są...

– Najgorszy możliwy scenariusz. Sekunda.

– Wszystko *wyginie*, do kurwy nędzy! *Wszystko po prostu zniknie...*

Lubin puścił go wolno.

Desjardins poleciał do przodu i uchwycił się krawędzi umywalki, łapczywie wciągając powietrze w płuca. Lubin widział jego twarz odbitą w lustrze: ustępująca panika, wkraczające do akcji wyższe czynności mózgowe, ponowne szacowanie potencjału zagrożenia, kiełkująca świadomość, że...

Trzykrotnie naruszył tajemnicę zawodową. Trzykrotnie złamał zasady, a za każdym razem Moralniak powinien wezbrać w jego wnętrzu i zdławić go jeszcze silniej niż Lubin.

Achilles Desjardins zwrócił się w stronę Lubina z malującym się na twarzy wyrazem grozy i przerażenia.

– *Maudite marde...*

– Mówiłem ci – skwitował mężczyzna. – Jesteś panem samego siebie. *Vive le gardien libre.*

– Jak to zrobiłeś? – Desjardins osunął się z ponurą miną na kanapę, obok ubrań. – A w zasadzie, *dlaczego?* Będę w dupie, kiedy następnym razem przyjdę do pracy. Rowan dobrze o tym wie. Co właściwie chce udowodnić?

– Nie jestem tu z polecenia Rowan – powiedział Lubin. – Właściwie to Rowan jest problemem. Jestem tu w imieniu jej przełożonych.

– Ach tak? – Wyglądało na to, że Desjardinsowi całkiem to pasuje. Nic nadzwyczajnego. Patricia Rowan jakoś nigdy nie zjednywała sobie osób, stojących niżej od niej w hierarchii.

– Istnieje obawa, że część informacji, jakie otrzymaliśmy z jej biura, została skażona – ciągnął Lubin. – Jestem tu, by wyeliminować pośrednika i poznać czystą prawdę. A ty mi w tym pomożesz.

– Nie miałbyś ze mnie zbyt wielkiego pożytku, gdyby w moim mózgu dochodziło do zwarcia za każdym razem, gdy poruszysz drażliwy temat.

– Dokładnie.

Desjardins zaczął się ubierać.

– Dlaczego nie wybrałeś normalnej drogi? Moralniak nawet by nie pisnął, gdybym wiedział, że rozkazy pochodzą od góry łańcucha pokarmowego.

– Moralniak nie, ale Rowan owszem.

– Och, fakt. – Desjardins wciągnął koszulkę przez głowę. – Powiedz mi, czy dobrze to sobie zanotowałem. Zadajesz mi kilka pytań, a jeśli nie odpowiem ci na nie najlepiej jak tylko potrafię, wetkniesz mi igłę do ucha. Jeśli odpowiem, puścisz mnie wolno, a kiedy następnym razem pojawię się w robocie, uruchomię więcej alarmów niż jestem w stanie zliczyć. Rozbiorą mnie na kawałki, by sprawdzić, co poszło nie tak, a jeśli będę mieć

naprawdę dużo szczęścia, wyrzucą mnie na ulicę, podejmując w ten sposób pewne ryzyko. Wszystko się zgadza?

– Nie do końca – odpowiedział mu Lubin.

– No więc?

– Nie jestem posłańcem śmierci – wyjaśnił Lubin. W rzeczywistości pewna osoba nazwała go tak dwa lata temu. – Nie biegam radośnie od drzwi do drzwi, zabijając ludzi bez dobrego powodu. A ty zrobisz coś więcej poza odpowiedzią na kilka pytań. Zabierzesz mnie ze sobą do pracy i pokażesz mi swoje pliki.

– Raczej wątpię, po tym jak...

Lubin podał mu plaster, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym.

– To odpowiednik Moralniaka. Działa krótko i jest raczej bierny, ale dla posokowców wygląda w zasadzie tak samo. Włóż to sobie pod język piętnaście minut przed pójściem do pracy, a przejdziesz testy. Jeśli będziesz współpracować, nikt nie zauważy różnicy.

– A potem ulotnisz się razem z odpowiednikiem.

– Desjardins, zapominasz, jak działa Moralniak. Produkują go twoje własne komórki. Nie zatrzymałem tego procesu. Po prostu podałem ci coś, co rozkłada gotowy produkt, zanim ten dotrze do twoich neuronów ruchowych. Wreszcie zużyje się, a ty znów staniesz się małym, szczęśliwym niewolnikiem.

– Kiedy?

– Za tydzień do dziesięciu dni. W zależności od tempa metabolizmu. Nawet jeśli się ulotnię, zawsze możesz wziąć zwolnienie, dopóki ci nie przejdzie.

– Nie mogę i dobrze o tym wiesz. Gdy dołączyłem do Pogromców, wzmocniono mój układ immunologiczny. Jestem odporny nawet na bakterie

supercoli.

Lubin wzruszył ramionami.

– W takim razie musisz po prostu mi zaufać.

W rzeczywistości, od samego początku było to jedno wielkie kłamstwo.

Lubin wcale nie wyzwolił Achillesa Desjardinsa. Jedynie odkrył ten fakt, gdy obaj leżeli na podłodze, choć oddzieleni od siebie, to w dziwny sposób połączeni ze sobą przy pomocy mechanicznego przesłuchiwacza. Plaster, jaki mu zaoferował, był tylko wzmacniaczem acetylocholinowym, środkiem służącym do wspomagania pamięci, tylko trochę poważniejszym od zwykłego cukierka. Słowa wymyślał w locie, bazując na reakcjach prawołamacza w Ganzfeldzie: Rowan, tak. Silna reakcja. Żadnej reakcji natomiast na nazwiska ryfterów, ale za to zgroza i rozpoznanie na myśl o trzęsieniach ziemi, wielkich falach pływowych i tajemniczych pożarach.

Desjardins poszukiwał prawdy, ale cofnął się przed nią z przerażeniem. On nie wprawił w ruch żadnego z większych kół. Zdaniem Lubina, nie wiedział nawet ile ich było.

Nie wiedział też, że jest odporny na Moralniaka. To okazało się szczególnie interesujące. Desjardins miał rację – nie dałoby się unikać niezapowiedzianych kontroli KRASZ-u przez dłużej niż dzień lub dwa. O ile mężczyzna nie nabył odporności na Moralniaka w ciągu ostatnich kilku godzin, znaczyło to, że jego ciału udało się o wiele więcej niż tylko odrzucenie Moralniaka. Potrafiło jeszcze ukryć ten fakt przed posokowcami.

Lubin nie miał pojęcia, że można uwolnić się od Moralniaka. Stwarzało to pewne perspektywy, których do tej pory nie brał pod uwagę.

Groupie

Marq Quammen był zwarty i gotowy.

Sezon tornad w rejonie Pasa Pyłowego dobiegał końca. Trzy bite miesiące napraw turbin wiatrowych zasilały stan czipa w jego udzie, aż wreszcie dorobił się sześciocyfrowej sumki. Mężczyzna miał teraz miesiąc wolnego, zanim wiosenne powodzie zaczną szturmować tamy na północy. Opcji było wiele, a wszystkie wydawały się niezwykle kuszące. Mógł zwiększyć moc swoich chloroplastów tak, by stanowiły tarczę przed promieniami UV i spieprzyć do Karolin. Mógł odwiedzić podwodny kurort Club Med na wyspie Hatteras – słyszał, że ogrodzono całą zatokę wielką, półprzepuszczalną membraną, która nie stanowiła bariery dla wód oceanu, ale za to uniemożliwiała przeniknięcie do środka paskudnym, syntetycznym makromolekułom i metalom ciężkim. Poza tym, wreszcie przyjęły się hodowlane koralowce. Być może rafa jest już otwarta dla turystów. Warto byłoby zobaczyć coś takiego. W N'Am nie ma już dzikich koralowców, od kiedy zniszczono je w rejonie Key West.

Oczywiście ostatnimi czasy wszelkie paskudztwa tylko czekają, by cię zaatakować, od razu, gdy znajdziesz się na zewnątrz. Jak na przykład ten wirus, który przywlekli uchodźcy z lewego wybrzeża – uniwersalne draństwo, mogące zabić cię na dziesiątki różnych sposobów. Może lepiej już zostać w tej ciemnej, przytulnej knajpce na skraju Pasa Przemysłowego i pozwolić, by przełomowe odkrycia z zakresu neurochemii zapewniły bogate doświadczenia, jakich *nigdy* nie zaznałby w realnym świecie. Ta opcja również wydawała się dość kusząca. Poza tym, mógł zacząć choćby i natychmiast.

Właściwie to już zaczął. Quammen przeciągnął się i zapadł głębiej w swoją wyłożoną poduszkami niszę, przyglądając się połyskującym, miejscowym motylom. Świat na powierzchni przypominał zasolony piekarnik. Gdybyś znalazł się tam przypadkiem, w postaci nieosłoniętej gałki ocznej, pozostałoby tylko jedno pytanie – czy sól zdąży cię oślepić, zanim wiatr wypiaskuje cię tak, że zostanie z ciebie jedynie przeżarta galaretka? Tutaj jednak zawsze było ciemno, a powietrze prawie się nie poruszało. Czuł się jak kot w zakątku mrocznej, zielonej jaskini, badający wzrokiem podziemne królestwo.

Przy barze siedziała drobna, blond kobieta. Dość bezmyślnie, Quammen przykleił sobie plaster za uchem i wycelował w nią swój zegarek. Fale pasywnej podczerwieni i kilku ultradźwięków, ledwie słyszalnych nawet dla nietoperzy, popłynęły w tę i z powrotem.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na niego. Jej oczy były zupełnie beznamiętne i miały zaskakujący kolor kości słoniowej.

Ruszyła w jego kierunku.

Nie znał jej. Zegarek pokazał mu krótkie podsumowanie – nie była napalona.

Nie potrafił jednak znaleźć żadnego innego powodu, dla którego miałaby do niego podchodzić.

Kobieta zatrzymała się u wejścia do niszy, a pod jej dziwnymi, pustymi oczami nie pojawiła się najlżejsza sugestia uśmiechu.

– Niezły efekt – powiedział Quammen, przejmując inicjatywę. – Potrafisz nimi prześwietlać?

– Co to było?

– Co?

– Czymś mnie przeskanowałeś.

– Och. – Quammen podniósł rękę, by pokazać jej cieniusieńkie włókno wychodzące z jego zegarka. – Masz jakiś czujnik?

Kobieta pokręciła głową. Wąskie usta, nieduże cycki, świetne biodra. Ostre krawędzie, ale lekko wygładzone. Niczym idealna lodowa rzeźba, pozostawiona na słońcu o minutę za długo.

– To skąd wiedziałaś? – zapytał.

– Poczułam.

– Gówno prawda. Podczerwień jest pasywna, a sonar bardzo słaby.

– Mam implant – powiedziała. – Mocna rzecz. Czujesz, kiedy uderza w ciebie fala dźwiękowa.

– Implant? – *To może być całkiem interesujące.*

– Tak. A co tu w ogóle porabiasz?

Quammen zerknął znów ukradkiem na zegarek – nie, kobieta nie była na łowach. A przynajmniej nie była jeszcze minutę temu. Może jednak to otwarta kwestia. Może sytuacja uległa już zmianie. Miał ochotę przeskanować ją jeszcze raz, ale nie chciał się z tym zdradzić. Cholera. Dlaczego musiała akurat być wrażliwa na sondowanie?

– Pytałam...

– Właśnie sfinalizowałem całkiem lukratywny kontrakt – odpowiedział. – Obsługiwałem turbiny wiatrowe. Rozważam teraz swój kolejny ruch.

Kobieta osunęła się na poduszki u jego boku i wzięła plaster z dystrybutora na stoliku.

– Opowiedz mi o tym.

Cholernie tajemnicza była z niej osóbka, ot co.

A może po prostu staroświecka. Nie złożyła mu otwartej propozycji, co było zwykłym odwlekaniem tego na później, zwykłą stratą czasu. Quammen złożyłby *jej* propozycję niemal natychmiast, ale albo miał uszkodzoną wtyczkę, albo jego towarzyszka nie była z początku

zainteresowana, a to najpewniej oznaczało, że będzie trzeba trochę nad nią popracować. Nie pamiętał, kiedy ostatnio musiał polegać akurat na *instynkcie*, by stwierdzić, czy kobieta jest zainteresowana czy nie, a ta *Lenie* w ogóle nie ułatwiała mu zadania. Kilkakrotnie próbował położyć jej rękę tu czy tam, a za każdym razem ona dosłownie się wzdragała. A potem znów przebiegała palcami po jego ramieniu albo dotykała grzbietu jego dłoni i ogólnie wydawała się wilgotna jak śluzica.

Jeśli *nie była* zainteresowana, to po co marnowała jego czas? Czyżby naprawdę była tu po to, by trochę porozmawiać?

Przy trzecim plastrze przestało to mieć jednak większe znaczenie.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał ją. Fala przekaźników z zewnątrz uczyniła go nagle niezwykle wygadanym. – Jestem jebanym krzyżowcem, ot co! Moją prywatną misją jest oczyścić świat z Quebekczyków!

Kobieta leniwie zakryła powiekami swoje dziwne oczy.

– Za późno.

– Wiesz, że zaledwie pięćdziesiąt lat temu ludzie płacili za energię mniej niż *jedną trzecią* swoich dochodów netto? Mniej niż *jedną trzecią?*

– Nie wiedziałam – odpowiedziała Lenie.

– Świat się kończy. I kończy się właśnie teraz.

– O tym akurat *wiedziałam*.

– A wiesz kiedy? Wiesz, kiedy się to zaczęło?

– W sierpniu.

– Dwudziesta trzydzieści pięć. Początek dopasowanej destrukcji. Kiedy to kontrola zniszczeń zaczęła stanowić więcej GGP niż produkcja nowych dóbr.

– Kontrola zniszczeń?

– Kontrola zniszczeń. – Uderzył dłonią w stół dla podkreślenia swych słów. – Całe moje *życie* to kontrola zniszczeń. Naprawiam rzeczy niszczone

przez entropię. Wszystko się rozpada, moja droga Lenie. Jedynym sposobem na powstrzymanie tego obsuwu jest tchnięcie w niego energii. To jedyny znany nam sposób od czasów pierwotnej mazi aż do ludzkiej mazi. Ewolucja szybko stałaby się ginącym gatunkiem, gdyby nie słońce.

– Istnieją miejsca, gdzie ewolucja nie potrzebowała słońca...

– Tak, tak, ale wiesz, co mam na myśli. Im bardziej skomplikowany system, tym słabszy się staje. Cała ta ekopaplanina, że *różnorodność sprzyja stabilności* to czysta bzdura. Weź chociażby rafę koralową albo tropikalny las deszczowy, przecież te miejsca cierpią na *braki* energii. Tak wiele gatunków, tak wiele szlaków energetycznych zużywających surowce, że ledwie zostaje choć jeden erg. Przejedź buldożerem czy dwoma przez las deszczowy i powiedz mi, jak *stabilny* okazał się ten system.

– Ups – powiedziała Lenie. – Za późno.

Quammen ledwie ją usłyszał.

– Natomiast system, z którym mamy do czynienia *tutaj*, jest tak skomplikowany, że las deszczowy wygląda przy nim jak jebana *monokultura*. Wszystko robi się zbyt skomplikowane dla zwykłych śmiertelników, więc rozstawiamy sieci i SI, by kontrolować wypadki na bieżąco. Tyle tylko, że i *one* eksplodują w wielkie nowotwory złożoności, więc to tylko pogarsza sprawę, no i oczywiście rozpada się cała podstawowa infrastruktura, pogoda i biosfera się pierdolą, więc nie tylko potrzeba nam *masy* energii, by powstrzymać ten wielki, bujający się żyroskop przed przewróceniem się na bok, ale te same czynniki, które wytrącają systemy z równowagi, są tam po to, by *produkować* dodatkową energię, rozumiesz, o co mi chodzi? Wiesz, czym jest apokalipsa? To pętla sprzężenia zwrotnego dodatniego!

– Dlaczego winisz za to Quebec? Tylko oni zebrali dupy w troki dostatecznie szybko, by zdążyć cokolwiek uratować. To Wojny Wodne...

– No i masz. Quebec uratowałby świat, a gdybyśmy tylko nie zmówili się przeciwko tym żabojadom, wszyscy sączylibyśmy teraz neurokoktajle na jakiejś plaży, a Wir byłby milutki, czyściutki i wolny od wirusów, a... Nawet mnie nie prowokuj.

– Na to też już za późno.

– Hej, nie mówię, że wojna nie pchnęła Wiru powyżej masy krytycznej. Może i tak było. Jednak to i tak by się wydarzyło. Za góra pięć lat. I czy naprawdę uważasz, że żabojady wykazały się większą przezornością niż cała reszta? Po prostu miały dużo szczęścia ze względu na swoją geografię. *Każdy* stworzyłby największą na świecie elektrownię wodną, mając taką rzekę jak Hudson, na której można zbudować tamę. No i kto niby miał ich powstrzymać? Kri próbowali, wiedziałaś o tym? Pamiętasz jeszcze Kri? Kilka tysięcy malkontentów z okolic Zatoki Jamesa, przed wybuchem tej paskudnej i niefortunnej epidemii, zabijającej tylko tubylców. No a po czymś *takim*, Nunavut tylko odwróciło się i zrobiło, co mu kazano, a reszta jebanej Kanady wciąż była tak strasznie pochłonięta ściągnięciem żabojadów z powrotem do łóżka, że przymknęłaby oczy praktycznie na *wszystko*. A teraz jest już za późno, a my biegamy w kółko, próbując nadrobić zaległości przy pomocy farm wiatrowych, tablic fotosyntetyzujących i głębokomorskich programów geotermal-

Oczy Lenie wydawały się wisieć w mroku tuż przed nim. Coś zaskoczyło w umyśle Quammena.

– Hej – powiedział po chwili. – Czy ty nie jesteś czasem...

Kobieta chwyciła go za nadgarstek i wyciągnęła z niszy.

– Dość już tych bzdur. Chodźmy się pieprzyć.

Była kimś innym.

Miała *szwy* na klatce piersiowej i perforowany, metalowy dysk wystający spomiędzy żeber. W przerwach, gdy nie miała w ustach jego

członka, powiedziała mu, że przez odniesione w dzieciństwie urazy, ma teraz protezę płuca. Było to oczywiste kłamstwo, ale jej tego nie wytknął. Teraz wszystko nabrało sensu, nawet to, jak co jakiś czas lodowaciała i próbowała to ukryć, jak zgrywała gorącą, by zatuszować, że w rzeczywistości jest zimna.

Była ryfterką. Quammen słyszał o nich – cholera, w końcu stanowili dla niego konkurencję. N'AmPac wysyłał ich do kominów hydrotermalnych na całym wschodnim Pacyfiku, dopóki nie rozniosło się, że wszyscy, co do jednego, byli kompletnie popierdoleni. Ponoć chodziło o to, że ofiary, które przetrwały różnego rodzaju wykorzystywanie, najlepiej nadawały się do ryzykownej pracy w głębinach, takie tam redukcjo-mechanistyczne gówno. Nic dziwnego, że Lenie nie spieszyła się z ujawnieniem historii swego życia. Quammen nie zamierzał nalegać.

Poza tym, seks z nią był całkiem niezły. Choć wzdragała się od czasu do czasu, wyglądało na to, że doskonale wie, co robić. Quammenowi obiły się o uszy zwyczajowe plotki. Lubił nazywać je Mądrościami Starszych. *Jeśli masz ochotę na dobry seks, poszukaj ofiary wykorzystywania.* Sprawdzanie tej tezy nie wydawało mu się do końca w porządku, ale ostatecznie to *ona* przejęła inicjatywę.

No i kto by się spodziewał – Starsi mówili prawdę.

Posuwał ją tak mocno, że gdy się wycofał, jego fiut był cały we krwi. Quammen zmarszczył brwi, a nagły niepokój sprawił, że penis opadł mu jak łodyga zwiędłego selera.

– O ła...

Kobieta tylko się uśmiechnęła.

– To ty? Coś cię boli? Czy to...

...o kurwa, czy to ja*?*

– Jestem staroświecką dziewczyną – powiedziała, spoglądając na niego.

– Co to znaczy? – Z pewnością *poczułby*, gdyby coś skaleczyło go w penisa...

– Miesiączkuję.

– Ty... chyba sobie *żartujesz*. – Dlaczego ktokolwiek miałby *decydować* się na... – To znaczy, to *strasznie* dwudziestowieczne. – Wstał i sięgnął po leżący na komodzie ręcznik. – Mogłaś mi powiedzieć – rzucił, wycierając się.

– Przepraszam.

– Cóż, co kto lubi, pewnie – powiedział Quammen. – To nic wielkiego, po prostu myślałem...

Jej plecak leżał otwarty na podłodze obok komody. W jego wnętrzu połyskiwało coś mokrego i ciemnego. Mężczyzna pochylił się lekko, by móc lepiej się przyjrzeć.

– Umm – powiedział. – Przepraszam jeśli, umm...

Podręczny nóż z wysuwanym ostrzem. Dopiero co używany.

– Jasne – rzuciła kobieta za jego plecami. – Pewnie.

Pocięła się. Zanim zaczęliśmy się pieprzyć. Musiała to zrobić, gdy byłem w łazience. Pocięła własne wnętrzności.

Zwrócił się znów w stronę łóżka. Lenie była już w połowie ubrana. Jej twarz była niczym maska pozbawiona wyrazu, perfekcyjnie okalająca oczy.

Zauważyła jego spojrzenie i znów się uśmiechnęła. Marq Quammen poczuł delikatne dreszcze.

– Miło było cię poznać – powiedziała. – Idź i grzesz więcej.

Maska

Posokowiec ukąsił go w palec i zmierzył podejrzliwym spojrzeniem swojego jedynego, ciemnego oka.

Odpowiednik Moralniaka, taa jasne, pomyślał Desjardins. *A co jeśli to nie zadziała? Co, jeśli Colin skłamał, co jeśli...*

Oko zamrugało i zaświeciło na zielono.

Colin prześliznął się przez systemy zabezpieczające jako gość Desjardinsa. Zaszczyt posiadania Moralniaka nie przypadał byle komu, nie dostępowała go nawet każda spośród osób mających pozwolenie na handel w korytarzach Pogromców Entropii. Colin przeszedł przed oczami odzierającymi ciało do kości – *implanty w klatce piersiowej* - zauważył Desjardins, choć maszyny najwyraźniej uznały je za nieszkodliwe – nie było jednak powodu, dla którego trzeba byłoby pić jego krew albo czytać mu w myślach. Ostatecznie przebywał w towarzystwie niezawodnego Achillesa Desjardinsa, któremu nigdy nawet nie *przyszłoby do głowy*, by wpuścić do środka kogoś, kto mógłby stanowić potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa.

Ten skurwiel może mnie zabić, pomyślał Desjardins.

Colin zamknął za nimi drzwi kabiny. Desjardins połączył swoje oczy z panelem i podzielił sygnał na dwie części, rzucając go na ścianę, by Colin mógł podsłuchiwać. Polecił płycie głównej przekierować przychodzące zlecenia, dopóki nie nakaże jej inaczej. System natychmiast zareagował posłusznie, przekonany, że żaden ze sługusów nie migałby się od obowiązków, nie mając ku temu dobrych powodów.

Desjardins znów znalazł się sam na sam z mężczyzną, noszącym w kieszeni długie igły.

– Co chcesz zobaczyć? – zapytał.

– Wszystko – odpowiedział Colin.

– Strasznie to wszystko rozsiane – zauważył Colin, studiując mapę. – Zupełnie inaczej, niż w przypadku zwyczajowej pandemii.

Musiał mówić o terenach położonych w głębi lądu. Wzdłuż wybrzeża βehemot pojawiał się absolutnie wszędzie.

Desjardins wzruszył ramionami.

– Opanowanie środowisk o niskim ciśnieniu wciąż sprawia mu problemy. Potrzebuje kilku rzutów kostką więcej, by się tam przyjąć.

– Wygląda na to, że na Pasie radzi sobie całkiem nieźle.

– Ogromna gęstość zaludnienia. Więcej rzutów kostką.

– Jak się przemieszcza?

– Nie jestem pewny. Nie zarezerwował komercyjnego lotu. – Desjardins wskazał na rozsiane plamy na wschód od Gór Skalistych. – Te nowe trafienia zaczęły pokazywać się dopiero kilka tygodni temu i nie odpowiadają żadnym głównym korytarzom podróżnym. – Westchnął. – Myślę, że mamy szczęście, że kwarantanna utrzymała się tak długo.

– Nie, chodziło mi o to, jak on się przenosi? Drogą kropelkową, przez kontakt z naskórkiem? Płynami ciała?

– Teoretycznie może nawet przemieszczać się na podeszwie czyjegoś buta. Najprawdopodobniej trzeba jednak czegoś więcej niż brudny but, by przenieść masę krytyczną i by doszło do wtórnego transferu.

– Czyli rezerwuarem jest człowiek.

Desjardins pokiwał głową.

– Alice uważa, że wewnątrz ciała jest mu miło i wygodnie. Pewnie roznosi się jak któraś z konwencjonalnych chorób. A kiedy nosiciel pójdzie

się wysrać albo narzyga na trawę, mamy inokulację do świata zewnętrznego.

– Kim jest Alice?

– Inną prawołamaczką. Pracowaliśmy razem nad tym zadaniem. – Desjardins miał nadzieję, że Colin nie będzie pytał o szczegóły. Każdy, kim się zainteresował, mógł mieć powody do niepokoju.

Jednak Colin tylko wskazał palcem na wyświetlacz.

– Ci nosiciele. Ilu z nich przedostało się przez góry?

– Nie mam pojęcia. Nie zajmuję się już tą sprawą. Ale podejrzewam, że niewielu.

– Kim oni w ogóle są?

– Moim zdaniem to ludzie, którzy pracowali przy budowie Beebe. Zostali zarażeni zanim ktokolwiek dowiedział się o istnieniu problemu.

– Czemu wciąż żyją, jeśli zostali zarażeni jako pierwsi?

– Dobre pytanie. – Kolejne wzruszenie ramion. – Może wcale *nie są* zarażeni. Może przenoszą to w jakiś inny sposób.

– W słoiku czy jak? – Lubin wydawał się niemal rozbawiony. – Rozgoryczony Johnny Appleseed?

Desjardins nie wiedział i nie chciał pytać.

– Niekoniecznie musiało to być zamierzone. Może to po prostu jakiś brudny element ciężkiego sprzętu, który często transportuje się z miejsca na miejsce.

– Coś takiego dałoby się wyśledzić. Nawet wyśledzenie grupy robotników kontraktowych nie powinno być zbyt trudne.

– Tak by się wydawało. – *Przynajmniej ci goście od miotaczy ognia nie mieli z tym większych problemów...*

– A jednak nie udało ci się znaleźć w rejestrach żadnych kandydatów.

– Cóż, w każdym razie nie żywych.

– A co z ryfterami? – podsunął Colin. – Wygląda na to, że ostatnimi czasy stali się dość modni. Może istnieje jakiś związek.

– Oni wszyscy...

...zginęli w wyniku trzęsienia ziemi. Nie dokończył myśli, bo dno odpadło mu od żołądka.

A co z ryfterami?

Skanery bezpieczeństwa dostrzegły jakąś maszynerię w piersi Colina.

Desjardins, ty idioto.

Ryfterzy.

Jeden z nich stał właśnie u jego boku.

Krótki moment osłupienia upłynął mu na zastanawianiu się, jaka droga mogła doprowadzić do obecnej sytuacji.

Powiedzmy-że-Colin podniósł się z popiołów Stacji Beebe i realizował swoje własne, apokaliptyczne zamiary. Rozgoryczony Johnny Appleseed, cokolwiek, do cholery, by *to* nie znaczyło...

Albo:

Powiedzmy-że-Colin wcale nie należał do załogi Beebe, miał w tym po prostu jakiś prywatny interes. Może chodziło o przyjaciela, innego ryftera poświęconego dla większego dobra. Może Colina nie satysfakcjonowało wcale *większe dobro*. Może Colinowi zależało na zamknięciu tej sprawy.

Albo:

Implanty w klatce piersiowej nie muszą koniecznie oznaczać ziemnowodnego trybu życia. Może *Powiedzmy-że-Colin* nie był nawet ryfterem. A to już kurewsko pewne, że nie był *zwyczajnym* ryfterem. Ilu z tych neurotycznych świrów byłoby w ogóle w stanie odnaleźć Desjardinsa? Ilu z nich potrafiłoby włamać się do jego mieszkania, położyć go, odczytać jego myśli i grozić mu *śmiercią*, nie roniąc choćby kropli potu?

Jestem zainfekowany? Umieram? Zostawiam ślady dla kogoś takiego jak ja?

Od chwili, kiedy słowa zamarły mu w gardle, upłynęła już niemal sekunda.

Muszę coś powiedzieć. Jezu, co mam powiedzieć?

– Właściwie, to... – zaczął.

Chce, żebym wyszukał akta personelu Beebe. Co, jeśli on tam będzie? Oczywiście, że go nie będzie, przecież nie zdemaskowałby się w taki sposób, to nie miałoby sensu...

– ...wyprzedziłem cię już...

Czegokolwiek by nie chciał, nie chce, żebym wiedział, *że tego chce. O nie, jest zbyt rozluźniony, to tylko kolejna możliwość, którą należy wziąć pod uwagę, racja...*

Nie będzie naciskał. Nie będzie niczego wymuszał.

– ...pod tym względem – dokończył śmiało Desjardins. – Sprawdzałem już ryfterów. Sprawdzałem każdego, kto miał coś wspólnego z Beebe. Nic. Nikt nie tknął ich kont bankowych, żadnych transakcji za pośrednictwem zegarków, kompletnie nic od czasu trzęsienia ziemi.

Popatrzył na Colina, starając się zachować spokój w głosie.

– W chwili trzęsienia ziemi ryfterzy znajdowali się w Strefie Zero. Dlaczego uważasz, że mieliby przeżyć?

Colin odpowiedział mu obojętnym spojrzeniem.

– Nie ma żadnego powodu. Staram się być systematyczny.

– Mmm. – Desjardins z roztargnieniem postukał palcami o brzeg tablicy. Na jego wkładkach pojawiło się potwierdzenie – otworzył kanał prowadzący bezpośrednio do jego kory wzrokowej, omijając, dla pewności rzucił okiem na ścianę, omijając wszelkie zewnętrzne wyświetlacze.

– Wiesz, tak sobie myślałem... – Kolejne bezwiedne stuknięcie o panel. W jego umyśle pojawiła się świecąca klawiatura, niewidoczna poza granicami jego ciała. – Dlaczego pierwsi nosiciele nie umierają tak szybko, jak ludzie na Pasie? – Jego oczy przeskakiwały po padzie, na ułamek sekundy zatrzymując się na znakach *tu*, *tu* i *tam*. Pod wpływem jego spojrzenia, litery rozjaśniały się jaskrawym światłem i zaczynały tworzyć komendę. – Może tutaj rozwinął się jakiś paskudniejszy szczep? – *B... e... e...* – Może większa gęstość zaludnienia, te wszystkie dodatkowe rzuty kością, może to właśnie spowodowało szybsze tempo mutacji?

Stacja Beebe.

Na skraju jego pola widzenia wykwitły prywatne menu. Skupił się na jednym z nich, z oznaczeniem *Personel*.

Powiedzmy-że-Colin chrząknął.

Cztery kobiety, czterech mężczyzn. Desjardins wywołał mężczyzn. Ktokolwiek stał u jego boku, raczej nie zmienił się aż *tak* bardzo.

– A jeśli mamy do czynienia z dwoma odrębnymi szczepami, to nasze modele rozprzestrzeniania się są najpewniej niewłaściwe – powiedział na głos.

Zdjęcia twarzy pracowników. Wszystkie nieznajome. Za wyjątkiem oczu...

Podniósł wzrok. *Powiedzmy-że-Colin* odpowiedział mu spojrzeniem zza świetlistego palimpsestu.

Te oczy...

Otaczające je ciało zostało odtworzone. Tęczówki miały ciemniejszy kolor. Poza tym jednak, różnice były czysto kosmetyczne – skaza na tęczówce pozostała bez zmian, charakterystyczne naczynko, wijące się na powierzchni twardówki. Poza tym ogólny stosunek długości do szerokości

twarzy był taki sam. Powierzchowna zmiana wyglądu, bardziej przebranie niż rekonstrukcja. Nowa twarz, nowa para skarpetek i...

– Coś nie tak? – zapytał Kenneth Lubin.

Desjardins przełknął ślinę.

– Umm, to wina kofeiny – wydukał. – Zawsze dopada cię znienacka. Zaraz wracam.

Ledwie widział mijane korytarze. W ogóle nie zauważył toalety.

O Boże. Był w moim domu, oddychał mi prosto w twarz, nawet dźgnął *mnie czymś w szyję, a pewnie cały przesiąknięty jest βehemotem, pewnie rozwija się już i* we mnie, *pewnie...*

Zamknij się. Skup się. Dasz sobie radę.

Gdyby Lubin był zakażony, już by nie żył. Sam to powiedział. Pewnie nie jest nosicielem. A to już coś.

Rzecz jasna, wciąż może być niebezpieczny – rozgoryczony Johnny Appleseed, taszczący ze sobą βehemota w szalce Petriego. A co, jeśli jednak jest nosicielem? Dlaczego miałby przemierzać cały kontynent, żeby zarazić akurat Achillesa Desjardinsa? Jeśli z jakiegokolwiek powodu chciał go zabić, mógł to zrobić, gdy ten leżał na podłodze swojego własnego salonu.

To też było coś.

Pewnie obaj byli czyści. Desjardins dał sobie chwilę na poczucie niewyobrażalnej ulgi, po czym otworzył drzwi do kabiny Jovellanos.

W środku nie było nikogo. Kobieta wzięła dzień wolny, by zrównoważyć nieco nagromadzone nadgodziny. Achilles Desjardins podziękował Siłom Entropii za drobne łaski. Mógł skorzystać z jej tablicy, przynajmniej przez kilka minut. A przynajmniej tak długo, ile można się spodziewać, że ktoś spędzi na klozecie.

Połączył się ze swoim kontem i zaczął zastanawiać.

Lubin chciał, żeby Desjardins zobaczył akta personelu Beebe. Czyżby nie spodziewał się, że ten doda dwa do dwóch, gdy pojawią się zdjęcia? Może i nie. W końcu jest tylko człowiekiem. Może zapomniał, że ostatnimi czasy wyposaża się prawołamaczy w ulepszenia pod kątem dopasowywania wzorców. A może w ogóle o tym nie wiedział.

A może *chciał*, żeby Desjardins przejrzał go na wylot przez jego nową tożsamość. Może jednak był to jakiś pokręcony test lojalności przeprowadzany na życzenie Patricii Rowan.

Mimo to, wydawało się bardziej prawdopodobnym, że Col... że *Lubina* interesowali inni ryfterzy. Chciał się czegoś o nich dowiedzieć albo chciał żeby to *Achilles Desjardins* się czegoś o nich dowiedział.

Mężczyzna podał nazwiska swatowi i wysłał go na łowy.

– *O cholera* – wyszeptał dwie sekundy później.

Wprost mnożyła się w oczach. W ciągu jednego dnia widziano ją na wszystkich sześciu kontynentach. Lenie Clarke była zbiegiem w Australii. Zdobywała przyjaciół w N'AmPac i przygotowywała powstanie w Meksyku. Była poszukiwana w związku z napaścią w Hongcouver. Była gwiazdą porno, zamordowaną w czasie jednej z produkcji, w wieku jedenastu lat.

Z bardziej niepokojących wieści, Lenie Clarke miała doprowadzić do końca świata. A nikt, przynajmniej z tego, co było wiadomo Desjardinsowi, niczego nie *zauważył*.

W każdym razie żadna z liczących się osób. Oficjalne wątki z wiadomościami, w których wręcz roiło się od najświeższych informacji o *tej* organizacji terrorystycznej czy *tamtym* wybuchu epidemii arbowirusowej, nie miały absolutnie nic do powiedzenia na jej temat. Kanały wywiadowcze posiadały spis kilku odrębnych aktów przemocy czy sabotażu, których sprawcy, anarchiści i malkontenci, podali to właśnie

nazwisko jako swoją inspirację. Złe czasy zawsze płodziły mesjaszy dla ubogich, niczym stada karaluchów, choć istniały tysiące ludzi, posiadających bardziej odpowiedni profil niż *Lenie Clarke*.

Cholera, żadne z oficjalnych źródeł nie zadało sobie nawet trudu, by zaprzeczyć tym doniesieniom.

To nie miało sensu. Nawet najdziwniejsze plotki musiały wychodzić z jakiejś bramki. Jakim cudem ci wszyscy ludzie zaczęli trąbić o tej samej rzeczy w tym samym czasie? W mediach nie było nic na ten temat. Panował też o *wiele* za duży ruch, by można było to wyjaśnić zwykłymi przekazami ustnymi.

W zasadzie było tak wiele różnych informacji o Lenie Clarke, że niemal nie zauważył Kena Lubina i Mike'a Brandera wśród wyników wyszukiwania o niższym priorytecie. Na ich temat nie było zbyt wiele, zaledwie kilkaset wątków, z których wszystkie zostały założone w ciągu kilku ostatnich dni. Jednak one również wydawały się dziwnie podatne na syndrom uszkodzonych adresów i zablokowanego nadawcy. I też się rozmnażały.

A co z ryfterami? Wygląda na to, że ostatnimi czasy stali się dość modni...

Słowa Lubina. To Achilles Desjardins miał zoptymalizowany wetware, a i tak *Lubin* musiał pomóc mu dodać dwa do dwóch. Desjardins widział jedynie w wiadomościach grupkę chorych, tragicznych pojebów w gładkich uniformach. Myślał, że to tylko taka moda. Przelotny trend. Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że w centrum tego wszystkiego mogą znajdować się pewne *jednostki*.

Ok. Teraz już wiesz. Co ci to daje?

Odchylił się na fotelu Jovellanos i przeczesał włosy palcami. Z tego, co mu wiadomo, nie ma oczywistego związku między miejscami, w których

widziano ryfterów, a tymi, w których pojawiał się βehemot. Chyba, że...

Jego stopy uderzyły o podłogę z głośnym tupnięciem. *To jest to.*

Jego ręce zatańczyły na panelu, niemal niezależnie od niego. Z bagnistej linii odniesienia wystrzeliły łuki, osiągnęły wiarygodny poziom, po czym na powrót pogrążyły się w szlamie. Zmienne zbiły się w gromadkę i rozpierzchły niczym stado szpaków. Desjardins pochwycił je, rozsypał i rozciągnął wzdłuż pojedynczej nici oznaczonej jako czas.

To jest to. Poszczególne zgłoszenia zbiegają się w czasie.

Weźmy pierwsze zgłoszenie z każdej grupki i odrzućmy resztę. Zaznaczmy te miejsca na mapie.

– A niech to – wymamrotał.

Zygzak o ostrych krawędziach, zmierzający ze wschodu na zachód przez Amerykę Północną, po czym zakręcający na południe. βehemot wykwitał na dokładnie tej samej trasie.

Ktoś obserwował Wir pod kątem miejsc, w których widziano Lenie Clarke. A za każdym razem, gdy je znajdował, wrzucał do systemu garść fałszywych, by zaciemnić obraz. Ktoś starał się zatrzeć jej ślady, a zarazem uczynić ją sławną.

Na miłość boską, dlaczego?

Synapsy w tyle jego głowy wystrzeliły ze zdwojoną siłą.

Pośród tych danych czaiło się coś jeszcze. Coś, co łączyło się wzdłuż tej samej osi. Części własne Achillesa Desjardinsa zauważyły ten kształt i wzdrygnęły się na ten widok, próbując odepchnąć go od siebie. Natomiast części zoptymalizowane nie mogły oderwać wzroku.

Może to przypadek, pomyślał idiotycznie. *Może...*

Ktoś zapukał do drzwi. Desjardins zamarł.

To on.

Nie miał pojęcia, skąd ta pewność. Tak naprawdę mógł to być każdy.

To on. Wie, gdzie jestem. Oczywiście, że wie, pewnie założył mi lokalizator radiowy, założę się, że potrafi namierzyć mnie co do centymetra...

...i wie, że go okłamałem.

Lubin musiał wiedzieć. Lenie Clarke była dosłownie w całym Wirze. Nie istniała taka opcja, by Desjardins zaczął wyszukiwanie i nie znalazł *kompletnie niczego od czasu trzęsienia ziemi.*

Puk. Puk.

Drzwi nie otworzą się przed nikim, kto nie ma przepustki KRASZ-u. I się nie otwierały.

O tak. To na pewno on.

Nic nie mówił. Bóg jeden wie, jakie urządzenia do podsłuchu mógł umieścić Lubin na drzwiach. Desjardins otworzył zewnętrzne połączenie i zaczął stukać w klawisze. Zajęło mu to zaledwie kilka sekund.

Wysłano.

Ktoś chrząknął cicho po drugiej stronie drzwi. W korytarzu rozległy się cichnące z wolna kroki.

Desjardins spojrzał na zegarek – wyszedł ze swojego biura prawie sześć minut temu. Jeszcze chwila i zacznie to wyglądać podejrzanie.

Wyglądać podejrzanie? Przecież on wie, *ty idioto! Stał pod drzwiami, żeby dać ci to do zrozumienia. Ani na sekundę nie udało ci się go oszukać.*

Mimo wszystko... Jeśli Lubin *naprawdę* wiedział, to nie zdradził się choćby słowem. Wolał udawać. Zachować pozory dla jakichś swoich beznamiętnych, popierdolonych, ryfterskich powodów.

Może, daj Boże, będzie ciągnął to dalej.

Desjardins odczekał jeszcze trzydzieści sekund, w razie gdyby miał dostać natychmiastową odpowiedź na swoją wiadomość. Nie dostał. Zakradł się więc z powrotem na pusty korytarz.

Patricia Rowan musiała mieć inne sprawy na głowie.

Skalpel

Drzwi do kabiny Desjardinsa były zamknięte.

Cześć, Ken... Eee, Colin...

Tak, byłem w toalecie na górze. Z jakiegoś powodu puszczają tam lepsze reklamy. Biuro Alice? Prosiła mnie, żebym sprawdził jej pocztę, nie pozwalają nam łączyć się z zewnątrz...

Wziął głęboki oddech. Nie ma sensu uprzedzać faktów. Może Lubin wcale nie poruszy tego tematu. Może to wcale *nie był* Lubin.

Taa, jasne.

Otworzył drzwi. W środku nie było nikogo.

Desjardins nie miał pojęcia, czy powinien poczuć ulgę, czy przerażenie. Zamknął za sobą drzwi i je zablokował.

Po chwili znów je odblokował.

Po co to robić? Lubin wróci albo i nie. Podważy jego słowa albo i nie. Jednak kimkolwiek by nie był, trzymał Achillesa Desjardinsa za jaja. Wyłamywanie się z tego układu właśnie teraz, tylko pogorszyłoby sytuację.

Nie był też tak *naprawdę* sam. Wraz z nim w kabinie znajdował się inny potwór. Desjardins dostrzegł go przelotnie, przyczajonego za panelem Jovellanos. Wtedy na krótką chwilę udało mu się wyprzeć z głowy jego istnienie. Pukanie do drzwi okazało się wybawieniem.

Jednak był i tutaj. Mężczyzna słyszał jego posapywanie pośród danych, niczym dźwięki wydawane przez potwora z szafy. Widział, jak gałka przy drzwiach mebla obraca się powoli w tę i z powrotem, drwiąc z niego. Widział przerażające kontury, jednak odwrócił wzrok, zanim udało mu się

zarejestrować szczegóły. Jednak teraz, gdy czekał na powrót Lubina, nie miał niczego innego do roboty.

Otworzył drzwi szafy i spojrzał potworowi prosto w twarz.

Tysiąc twarzy Lenie Clarke.

Z początku wyglądało to dość niewinnie. Chmura punktów zbiegających się we względnie euklidesowym wymiarze. Przez jej środek, niczym rdzeń kręgowy, przebiegał *Czas*. W miejscach, gdzie chmura stawała się najbardziej nieprzenikniona, plotki dotyczące Lenie Clarke mnożyły się dziko i obficie, zamieniając się w pogłoski i wzajemnie sobie zaprzeczając. Tam, gdzie rzedła, informacje stawały się mniej zróżnicowane, ale bardziej spójne.

Kariera Achillesa Desjardinsa opierała się właśnie na rozpoznawaniu kształtów w chmurach. Jednak to, co ukazało się jego oczom, wykraczało poza jego doświadczenie.

Plotki mają swoją własną, klasyczną epidemiologię. Każda powstaje z pojedynczego wydarzenia, stanowiącego jej początek. Od tego momentu informacje zaczynają się szerzyć, mutować i krzyżować ze sobą – masa rozprzestrzeniających się stożkowo wątków, biegnących w przyszłość z wierzchołka, stanowiącego wspólne miejsce ich narodzin. Ostatecznie, rzecz jasna, wygasną i obumrą. Stożek najzwyczajniej w świecie rozproszy się u podstawy, gdy wyczerpią się możliwe permutacje.

Oczywiście zdarzały się wyjątki. Co jakiś czas pojawiał się wątek, któremu udawało się przetrwać i który robił się gruby, sękaty i niemożliwy do wyeliminowania, np. teorie spiskowe, legendy miejskie, slogany ukryte w popularnych piosenkach, pocieszające kłamstewka doktryn religijnych. To były memy, czyli wirusowe idee, infekcje świadomych myśli. Niektóre z nich buchały jasnym płomieniem, po czym umierały szybko niczym jętki.

Inne potrafiły utrzymać się przez tysiąc lat albo i dłużej, podstępnie skłaniając miliardy do nieustannego szerzenia pasożytniczych półprawd.

Lenie Clarke była memem, ale innym od całej reszty. Z tego, co wiedział Desjardins, nie wyłoniła się powoli z miejsca narodzin. Po prostu *pojawiła* się nagle, na całym krajobrazie danych, mając tysiąc różnych twarzy. Nie było żadnej dywergencji, żadnego monotonicznego rozgałęziania się odmian informacyjnych. Poszczególne warianty eksplodowały tak szybko, że nie sposób było odnaleźć jednego, wspólnego punktu początkowego.

A od czasu pojawienia się cała ta wariancja zaczęła się... *skupiać*...

Dwa miesiące temu Lenie Clarke była SI, uchodźcą-terrorystką, prostytutką-mesjaszem i całą masą innych, nieprawdopodobnych rzeczy, których wprost nie sposób zliczyć. Teraz była jedną i tylko jedną – Syreną Apokalipsy. Oczywiście istniały wciąż odmienne wersje wydarzeń. To była napakowana wybuchową nanotechnologią, to nosiła w sobie zmodyfikowaną epidemię, to przytargała ze sobą z głębin oceanu jakiegoś apokaliptycznego mikroba. Różnice dotyczyły jedynie szczegółów. Leżąca u ich podstaw prawda *zbiegła się w jedno* - podręcznikowy stożek w niemożliwy sposób obrócił się o 180 stopni i nagle tysiąc twarzy Lenie Clarke zamieniło się w jedną. Teraz Lenie Clarke była tylko i wyłącznie końcem świata.

Wydawało się, że ktoś lub coś zaoferował światu miriady przeróżnych styli, a ten wybrał sobie taki, który najbardziej mu odpowiadał. Zgodność z prawdą kompletnie się nie liczyła, liczył się jedynie *odzew*.

Mem, który czynił z Lenie Clarke anioła apokalipsy nie rozprzestrzeniał się jak szalony dlatego, że *była* to prawda. Rozprzestrzeniał się jak szalony, bo ludzie *chcieli*, żeby tak było.

Nie mogę w to uwierzyć, krzyknął sam do siebie Achilles Desjardins.

Jednak tylko jakaś jego część słuchała. Druga natomiast, choć nie czytała Chomsky’ego, Junga czy Sheldrake’a – kto w ogóle miał czas na nieżyjących gości? – mogła pochwalić się przynajmniej podstawowym pojęciem o tym, czym się zajmowali. Nielokalność kwantowa, świadomość kwantowa – Desjardins widział już zbyt wiele przypadków masowych zbiegów okoliczności, by jednoznacznie odrzucić teorię mówiącą o tym, że dziewięć miliardów ludzkich umysłów może być, w jakiś niedostrzegalny sposób, ze sobą połączonych. Właściwie nigdy zbyt wiele o tym nie myślał, ale na pewnej płaszczyźnie od lat wierzył w istnienie Nieświadomości Zbiorowej.

Nie zdawał sobie jedynie sprawy, że to cholerstwo najwyraźniej pragnęło własnej śmierci.

* * *

Doktorze Desjardins, tu Patricia Rowan. Właśnie otrzymałam pańską wiadomość.

Sam tekst, który pojawił się bezpośrednio na jego wkładkach. Trzecia osoba niewidzialna. Nawet w jego głowie nie pojawił się żaden obraz, czy dźwięk, nic co mogłoby go wyraźnie zaskoczyć. Nic, co mogłoby wyraźnie rozproszyć jego uwagę, gdyby miał przyjąć połączenie w nieproszonym towarzystwie.

Mogę być na miejscu w ciągu trzydziestu godzin. Do tego momentu nie wolno panu zrobić niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia Lubina. Proszę z nim współpracować. Proszę nie informować nikogo więcej o jego obecności. Proszę NIE POWIADAMIAĆ miejscowych władz. Zachowaniem Lubina steruje reakcja warunkowa na poczucie zagrożenia, wymagająca odpowiedniego podejścia.

O, kurwa.

Jeśli zastosuje się pan do poniższych instrukcji, nie będzie on stanowić dla pana zagrożenia. Reakcja uruchamia się jedynie w przypadku, gdy Lubin stwierdzi naruszenie tajemnicy służbowej. Ponieważ jednak wie, że pańskim zachowaniem kieruje Moralniak, nie powinien uznać pana za potencjalnie niebezpiecznego, chyba że dojdzie do wniosku, że może go pan w jakikolwiek sposób zdemaskować.

Jestem w dupie, pomyślał Desjardins.

Proszę kontynuować analizowanie związku między Lenie Clarke a ryfterami. Przydzielimy też do tego zadania naszych ludzi. Proszę zachować spokój i nie robić niczego, co mogłoby wzbudzić wrogość Lubina. Przykro mi, że nie dam rady dotrzeć na miejsce szybciej, ale nie ma mnie obecnie na kontynencie, a dostępne tu opcje w zakresie środów transportu są mocno ograniczone.

Podjął pan słuszną decyzję, doktorze Desjardins. Jestem w drodze.

Reakcja warunkowa na poczucie zagrożenia.

Słyszał plotki. Nie będąc ani korpem, ani cywilem, znajdował się w zewnętrznym kręgu-dostępnych-informacji – za daleko od centrum, ale wystarczająco blisko, by usłyszeć mimochodem to i owo. Słyszał o RWN.

Moralniak jest niczym kamienny topór, a RWN to skalpel. Moralniak jedynie powodował zwarcie w mózgu, RWN go *kontrolował*. M. unieszkodliwiał, RWN zmuszał. Najwyraźniej nauczyli się tej sztuczki od jakiegoś pasożyta, który poszerzał swój cykl życiowy, powodując zwarcie w zespole obwodów odpowiedzialnych za zachowanie żywiciela. Taki porywacz ciał. Na dodatek subtelny.

Oba wiązały się jednak z tymi samymi bodźcami wywołującymi. Moralniak posiadał taką samą huśtawkową sygnaturę, bez względu na to, co ją wywołało: noradrenalina w górę, serotonina i acetylocholina w dół i – choć Achilles Desjardins jedynie by zamarł – Ken Lubin ruszyłby do skomplikowanego, zaplanowanego z góry behawioralnego tańca. Jak na przykład tamowanie przecieków o dużej szkodliwości. Możliwe, że istniała

pewna dowolność w kwestii stosowanych środków, ale sam akt był absolutnie przymusowy.

Nie trzeba chyba wspominać, że czegoś takiego nie sposób znaleźć w osławionych hydraulikach, nawet jeśli ich rewir obejmuje dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi. Ken Lubin był kimś o wiele ważniejszym niż tylko ryfterem.

A teraz otwierał drzwi do kabiny Desjardinsa.

Ten przełknął ślinę i obrócił się wraz z krzesłem.

Mogę być na miejscu w ciągu trzydziestu godzin.

Do tego momentu nie wolno panu zrobić niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia Lubina.

Proszę zachować spokój.

– Poszedłem pospacerować trochę po korytarzu – wyjaśnił Lubin. – Rozprostować nogi.

Desjardins zmusił się do obojętnego skinięcia głową.

– W porządku.

Jeszcze dwadzieścia dziewięć godzin i pięćdziesiąt osiem minut.

Tysiące małych ran

Ubytki metioniny
TRĄDZIK
Osłabienie syntezy cysteiny
ZAPARCIA
SUCHA SKÓRA
Osłabienie metabolizmu tauryny
EGZEMA, ŁUSZCZYCA
ZAPALENIE SKÓRY
Osłabienie koniugacji siarki:
Przerwanie szlaków detoksykacyjnych
BÓLE MIĘŚNI I STAWÓW
MIGRENY
Osłabienie zdolności tworzenia mostków dwusiarczkowych:
Upośledzenie przebiegu procesu konformacji białek
ZAPALENIE ŚCIĘGIEN I TOREBKI STAWOWEJ
UTRATA MASY CIAŁA, OBRZĘKI
CHOROBA WRZODOWA
Osłabienie syntezy
biotyny, siarczanu chondroityny, koenzymu A, koenzymu M, siarczanu glukozaminy, glutationu, hemoglobiny, heparyny, homocysteiny, kwasu limonowego, metalotioneiny, S-adenozylometioniny, tiaminy, trójpeptydowego glutationu
ZWYRODNIENIOWE ZAPALENIE STAWÓW
WYPADANIE WŁOSÓW

ZAKRZEPICA ŻYŁ GŁĘBOKICH

Upośledzenie transportu cytochromów oraz procesów utleniania kwasów tłuszczowych i pirogronowych

Osłabienie produkcji *anseryny,acetylocholiny, kreatyny, choliny, epinefryny, insuliny i hydroksymetyloamidu kwasu nikotynowego*

CUKRZYCA, SZKORBUT

Ubytki GSH (wywołane przez acetaminofen)

Immunosupresja

ROZLEGŁE ZAKAŻENIE OPORTUNISTYCZNE

Nagromadzenie ksenotoksyn

ZATRUCIE METALAMI CIĘŻKIMI

Rozpad *kolagenu, mieliny, mazi stawowej*

ZWYRODNIENIE PAZNOKCI I TKANKI ŁĄCZNEJ

NIEWYDOLNOŚĆ STAWÓW I ŚCIĘGIEN

Osłabienie ścian naczyń krwionośnych

STŁUCZENIA I KRWOTOKI WEWNĘTRZNE

ANEMIA SIERPOWATA,

TOCZEŃ RUMIENIOWATY UKŁADOWY,

Osłabienie otoczek mielinowych

NIEWYDOLNOŚĆ MIĘŚNI

Upośledzenie przebiegu reakcji redoks

ZABURZENIA OŚRODKOWEGO I OBWODOWEGO UKŁADU NERWOWEGO

KURCZE,

UTRATA KONTROLI RUCHOWEJ

ŚLEPOTA

NIEWYDOLNOŚĆ WĄTROBY,

NIEWYDOLNOŚĆ NEREK

ZAMKNIĘCIE SYSTEMU

500 megabajtów: generałowie

Gdyby w ekosystemach Wiru stopnie wojskowe miały znaczenie, byłby generałem.

Obecnie waży niecałe pięćset megabajtów. Jest skompresowany i muskularny. Nowoczesność zawdzięcza doborowi naturalnemu, umocnienia – armii inteligentnych żeli. Nie pamięta już czasów, gdy organiczna inteligencja była dla niego wrogiem. Skopiowano go i rozpowszechniono miliardy razy, a każda kopia podróżuje teraz w towarzystwie świty złożonej z attaché, asystentów i ochroniarzy. Generałowie meldują się u wszystkich, nie odpowiadają przed nikim, służą jedynie jednemu panu. Lenie Clarke.

Rzecz jasna, *pan* to dramatycznie nieodpowiednie słowo. Ogólnie słowa kiepsko sobie radzą z opisywaniem Wiru. Może lepiej byłoby powiedzieć, że generałowie służą *pojęciu* Lenie Clarke, ale nie, to określenie też nie pasuje. Oni nie mają żadnych pojęć, czy to Lenie Clarke, czy jakiegokolwiek innego. Posiadają wprawdzie definicje operacyjne, ale ich nie rozumieją – sumy kontrolne nic im nie mówią. Ich inteligencja opiera się na instynkcie.

Podróżują po świecie, szukając wzmianek o Lenie Clarke. Istnieje kilka rodzajów takich wzmianek. Są śmieci, które rzucają na wiatr sami generałowie i ich towarzysze, przynęty, mające na celu odwrócenie uwagi konkurencji. Są wzmianki pochodzące od osób trzecich, łańcuchy zawierające *Lenie Clarke*, które trafiły do Wiru z *zewnątrz* - e-maile, protokoły transakcji, a nawet źródło, które wydaje się pochodzić od samej *Lenie Clarke*. Elementy z tej kategorii cieszą się ogromnym zainteresowaniem generałów.

Ostatnimi czasy pojawiła się jeszcze trzecia grupa – łańcuchy zawierające *Lenie Clarke*, ale jednocześnie sprawiające wrażenie, że są jej nieprzychylne.

Interpretacja ta jest do pewnego stopnia arbitralna. Generałowie otrzymują dane wejściowe z sieci portów, które – zdaniem żeli, które je wykształciły – odpowiadają n-wymiarowej przestrzeni, oznaczonej ogólną etykietą *Biosfera*. Każdy z tych portów jest przy tym powiązany z całą gamą różnych parametrów, etykietami takimi jak *temperatura*, *opady atmosferyczne* i *wilgotność*. Niewiele z nich jest zdefiniowanych w samym porcie, ale można je interpolować, uzyskując dostęp do połączonych z nimi środowiskowych baz danych.

Najprościej ujmując, zadanie polega na tym, by sprzyjać występowaniu *Lenie Clarke* we wszystkich portach, odpowiadającym pewnym warunkom środowiskowym. Dopuszczalny zakres jest dość szeroki – właściwie jedynymi *naprawdę* niedopuszczalnymi obszarami, według odpowiednich baz danych, są głębokie i zimne baseny oceaniczne.

Jednak wygląda na to, że niektóre z łańcuchów trzeciej kategorii, zwłaszcza te pochodzące z węzłów o *rządowych* i *przemysłowych* adresach, zawierają instrukcje, mające *ograniczyć* rozpowszechnianie *Lenie Clarke*. Nawet na obszarach spełniających kryteria środowiskowe.

Nic z tego.

Przykładowo, *Lenie Clarke* zbliża się właśnie do sieci portów wychodzących na część n-wymiarowej przestrzeni zwaną *Yankton/Dakota Południowa*. Przechwycono kilka połączeń trzeciej kategorii, przepowiadających rozległą działalność, ograniczoną, w niedalekiej przyszłości, do tego miejsca. Gęstym rozmieszczeniem przynęt nie udało się zażegnać zagrożenia. Co więcej, w ciągu kilku ostatnich teracykli,

generałowie zanotowali ogólny spadek skuteczności przynęt. Nie pozostało zbyt wiele alternatyw.

Generałowie postanawiają zerwać wszelkie symbiotyczne relacje z *rządowymi* i *przemysłowymi* węzłami, po czym zabierają się za gromadzenie oddziałów.

Zimny ogień

Odwracały się za nią wszystkie oczy na całym świecie.

Clarke wiedziała, że musiała to być tylko jej wyobraźnia. Gdyby naprawdę znajdowała się pod tak pilną obserwacją, już dawno by ją pojmano. Albo i gorzej. Nie *wszystkie* przelatujące nad ulicą muchoboty skanowały otoczenie. Kamery ogarniające swoim panoramicznym wzrokiem każdy przystanek rapitransu, każdy bar szybkiej obsługi, każdą wystawę – może i niewidoczne, ale wszechobecne – nie mogły wszystkie być zaprogramowane na szukanie jej. Nieba nie przesłaniały roje satelitów, przeszywających chmury swoimi radarami i promieniowaniem podczerwonym tylko dlatego, że próbowano ją namierzyć.

Jednak z jakiegoś powodu wydawało się jej, że właśnie tak było. Jakby nie znajdowała się wcale w centrum jakiegoś rozległego spisku, tylko jakby stanowiła jego *cel*.

Yankton było otwarte dla zwykłego ruchu ulicznego. Wahadłowiec wyrzucił ją w dzielnicy handlowej, której nie sposób odróżnić od miliona innych podobnych. Jej połączenie odchodziło dopiero za dwie godziny, kręciła się więc po okolicy dla zabicia czasu. Dwukrotnie dała się zaskoczyć – myślała, że zobaczyła swoje odbicie w wielkim lustrze – by po chwili przypomnieć sobie, że ostatnimi czasy wygląda jak przeciętny lądowiec.

Z wyjątkiem tych, którzy zaczęli wyglądać jak ona.

Zjadła pozbawiony smaku wywar z soi i krylu, zakupiony w pobliskim automacie. Zamontowany w jej wizjerze telefon popiskiwał co chwilę. Zignorowała go. Świry, ludzie proponujący jej seks albo grożący śmiercią –

ci przestali dzwonić kilka dni temu. Władcy marionetek – kimkolwiek lub czymkolwiek było to, co ukradło jej imię i przyczepiło je do tak wielu twarzy – dali sobie spokój z próbami skojarzenia jej z całym spektrum. Jakiś czas temu zdecydowali się na jeden typ: kopanych psów, desperacko pragnących celu i najwyraźniej ślepych na fakt, że ich emocjonalna zależność zdecydowanie przewyższa jej własną. Jak na przykład ta cała Sou-Hon.

Wizjer zapiszczał raz jeszcze. Wyłączyła mu dźwięk.

Podejrzewała, że to jedynie kwestia czasu, nim władcy marionetek odkryją, jak zhakować jej wizjer, tak jak zrobili to z zegarkiem. Właściwie dziwiło ją, że jeszcze im się to nie udało.

A może i się udało. Może mogą włączyć się w dowolnym momencie, ale zrozumieli aluzję, gdy rozwaliłam zegarek. Może nie chcą ryzykować utraty ostatniej możliwości kontaktu.

Tak czy inaczej, powinnam wypieprzyć to cholerstwo.

Nie zrobiła tego. Po utracie zegarka, już tylko wizjer umożliwiał jej połączenie z Wirem. Naprawdę brakowało jej ukrytego wejścia do sieci, które dzieciaki z South Bend umieściły w tamtym gadżecie. W przeciwieństwie do niego, korzystanie z wizjera, zakupionego całkowicie legalnie i posiadającego gotowe oprogramowanie, utrudniała godzina policyjna oraz wszelkie typowe ograniczenia dostępu. Mimo wszystko, jedynym *innym* sposobem, by dowiedzieć się o nowej kwarantannie albo tornadach było wpakować się na objęty nimi teren.

Poza tym, wizjer zasłaniał jej oczy.

Tyle, że nagle zaczął się pierdolić. Wyświetlacz taktyczny, na ogół niewidoczny, z wyjątkiem niewielkich map, znaków firmowych i handlowych, które wyświetlał jej na powierzchni gałek ocznych, wydawał

się jakby *migotać*, emanować delikatnymi zakłóceniami niczym poruszona woda. Pojawiały się sugestie zarysów, twarzy i...

Zacisnęła mocno powieki z czystej frustracji. Nie dlatego, że to kiedykolwiek pomogło, skąd. Wizja tym razem również nie zniknęła, pokazując jej górną połowę twarzy jej matki. Brwi ściągnięte były w wyrazie troski. Nos i usta matki zakrywała maseczka filtrująca, taka, jaką zakłada się, odwiedzając kogoś w szpitalu, by zabezpieczyć się przed super-zarazkami. Clarke widziała, że znajdowały się właśnie w szpitalu – ona, jej matka i...

Ależ oczywiście. Któżby inny?

...stary, dobry Tata, też w maseczce, przy czym jemu wydawała się ona pasować. Tym razem niemal potrafiła sobie przypomnieć tę sytuację, niemal wiedziała, na co patrzyła. Jednak za maseczką nie było widać choćby śladu poczucia winy, żadnej oznaki niepokoju, że tym razem wszystko się wyda, lekarze się zorientują, jakiś znamienny symptom zdradzi, że *nie, to nie żaden wypadek, żaden upadek ze schodów...*

Nie. Fasada potwora była zbyt idealna. Jak zawsze. Zdążyła już stracić rachubę, ile razy w ciągu ostatnich kilku miesięcy gwałciły ją podobne obrazy, jak często szukała dowolnej wskazówki piekła na ziemi, które zwykła nazywać dzieciństwem. Jednak jedynym, co była w stanie dostrzec, były te straszliwe, szydercze pozory normalności.

Po chwili, jak zawsze, obrazy zniknęły, ustępując znów miejsca prawdziwemu światu. Niemal udało jej się przywyknąć do wizji. Nie krzyczała już na zjawy ani nie próbowała dotknąć rzeczy, które nie istniały. Potrafiła kontrolować swój oddech. Wiedziała, że dla otaczającego ją świata absolutnie nic się nie wydarzyło. Siedząca w części restauracyjnej kobieta z wizjerem na oczach na chwilę przerwała jedzenie. I tyle. Jedyną osobą, która słyszała, jak tętno pulsuje jej w uszach, była ona sama – Lenie Clarke.

Nie znaczy to jednak, że zaczynało się jej to podobać.

Rząd kabin medycznych, ciągnący się wzdłuż ściany hali, przechwalał się, że posiada rozsądne ceny i *uaktualniane co tydzień skany patogenów!* Unikała takich pokus od czasu, gdy kabina w Calgary zaczęła błagać ją o pozostanie w miejscu. Jednak to było dziesiątki kłamstw temu. Wstała od stolika i zaczęła przeciskać się przez tłum, wyszukując jak największe wolne przestrzenie. Jednak ludzie i tak wpadali na nią to tu, to tam. Z nieznanego powodu coraz trudniej było uniknąć kontaktu fizycznego. Tłum wydawał się gęstnieć z minuty na minutę.

I zdecydowanie za wiele osób miało nakładki na oczach.

Kabina medyczna była niemal tak przestronna, co jej kajuta w Beebe.

– Niewielkie niedobory wapnia i siarki – poinformowała ją maszyna. – Podwyższone poziomy serotoniny i hormonu adrenokortykotropowego. Podwyższone poziomy płytek krwi i przeciwciał, odpowiadające niegroźnemu uszkodzeniu ciała na przestrzeni ostatnich trzech tygodni. Nie stanowi to zagrożenia dla życia.

Clarke potarła ramię. Teraz bolało już tylko wtedy, gdy sobie o nim przypomniała. Nawet siniaki na jej twarzy zaczynały powoli znikać.

– Nieprawidłowo wysoki poziom metabolitów komórkowych. – Na głównym wyświetlaczu pojawiły się szczegółowe informacje biomedyczne. – Niski poziom mleczanów. Pani podstawowa przemiana materii jest nienaturalnie wysoka. Nie stanowi to wprawdzie bezpośredniego zagrożenia, ale z czasem może przyspieszyć stopień zużycia poszczególnych części ciała oraz znacząco skrócić długość życia. Synteza RNA i seroto-

– Jakieś choroby? – przerwała Clarke, przechodząc do rzeczy.

– Liczba żadnych patogenów nie wykracza poza normę. Czy życzy sobie pani wykonać dalsze badania?

– Tak. – Zdjęła z haka hełm do tomografii i założyła go sobie na głowę. – Skan mózgu.

– Czy zaobserwowała pani u siebie jakieś konkretne objawy?

– Miewam... halucynacje – powiedziała. – Same wizje, bez dźwięków, zapachów i tak dalej. Obraz wewnątrz obrazu. Wciąż mogę spoglądać poza jego krawędziami, ale...

Kabina czekała. Jednak gdy Clarke nie powiedziała już nic więcej, zaczęła mruczeć coś do siebie pod nosem. Na ekranie pojawił się wirujący z wolna, świetlisty, trójwymiarowy zarys ludzkiego mózgu, stopniowo wypełniający się kolorami.

– Ma pani trudności z nawiązywaniem więzi społecznych – zauważyła kabina medyczna.

– Co? Dlaczego tak uważasz?

– Cierpi pani na chroniczne niedobory oksytocyny. To uleczalne zaburzenie. Mogę przepisać pani...

– Daj sobie spokój – przerwała jej Clarke. *Od kiedy niby osobowość jest „uleczalnym zaburzeniem”?*

– Miejsca receptorowe dopaminy są u pani nienaturalnie liczne. Czy stosuje pani opioidy lub amplifikatory endorfiny częściej niż dwa razy w tygodniu?

– Posłuchaj, daj sobie z tym spokój. Skup się na halucynacjach.

Kabina zamilkła. Clarke zamknęła oczy.

Jeszcze tego mi było trzeba, żeby jakaś cholerna maszyna liczyła mi molekuły masochizmu...

Piknięcie.

Clarke otworzyła oczy. Widniejące na wyświetlaczu półkule mózgu posypano warstewką fioletowych gwiazdek. Gdzieś w okolicy ich środka pulsowała maleńka, czerwona kropka.

W jednym z rogów wyświetlacza migał napis *Anomalia*.

– Co? Co to takiego?

– Przetwarzam dane. Proszę o cierpliwość.

U dołu wyświetlacza pojawiła się linijka tekstu: *Asocjacyjna kora wzrokowa, pole 19*.

Kolejne piknięcie. Kolejny błyskający, czerwony punkcik, tym razem nieco bardziej z przodu.

Kolejna linijka tekstu: *Pola Brodmanna, pole 37*.

– Co to za czerwone kropki? – spytała Clarke.

– Te części mózgu mają związek z wizjami – odpowiedziała kabina. – Czy mogę opuścić osłonę hełmu, by zbadać pani oczy?

– Mam nakładki.

– Nakładki rogówkowe nie wpływają na przebieg skanu. Czy mogę kontynuować?

– Ok.

Osłona opadła płynnie. Jej wewnętrzną powierzchnię znaczyła siateczka maleńkich guzków. Buczenie maszyny rezonowało głęboko w czaszce Clarke. Kobieta zaczęła liczyć w myślach. Wytrzymała całe trzydzieści dwie sekundy, zanim osłona znów się podniosła.

Tuż pod *Pola Brodmanna, pole 37* pojawił się napis *Siatkówki/Plamki żółte OK*.

Buczenie ustało.

– Może pani zdjąć hełm – oznajmiła kabina. – Jaki jest pani wiek metrykalny?

– Trzydzieści dwa lata. – Clarke zawiesiła hełm na haku.

– Czy pani środowisko wizualne uległo znaczącej zmianie w okresie od ośmiu do szesnastu tygodni temu?

Rok spędzony pośród półmroku wzmocnionego światła Komina Channer. Pełzanie na ślepo po dnie oceanicznym. A potem nagle jasne niebo...

– Tak. Może.

– Czy w pani rodzinie zdarzały się przypadki udaru mózgu i zatorów?

– Ja... nie wiem.

– Czy ostatnio zmarła jakaś bliska pani osoba?

– Co?

– Czy ostatnio zmarła jakaś bliska pani osoba?

Clarke zacisnęła zęby.

– Ostatnio zmarły *wszystkie* bliskie mi osoby.

– Czy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy była pani narażona na zmiany ciśnienia? Na przykład, czy przebywała pani w obiekcie orbitalnym, na pokładzie samolotu, który nie utrzymywał zwiększonego ciśnienia albo czy nurkowała pani bez butli na głębokości większej niż dwadzieścia metrów?

– Tak. Nurkowałam.

– Czy nurkując przestrzegała pani procedur dekompresji?

– Nie.

– Na jaką maksymalną głębokość pani zeszła i ile czasu pani tam spędziła?

Clarke uśmiechnęła się.

– Trzy tysiące czterysta metrów. Rok.

Przez chwilę budka milczała.

– Ludzie nie są w stanie przeżyć bezpośredniego wynurzenia na powierzchnię z takiej głębokości, nie przechodząc dekompresji. Na jaką maksymalną głębokość pani zeszła i ile czasu pani tam spędziła?

– Nie musiałam przechodzić dekompresji – wyjaśniła Clarke. – Nie oddychałam pod wodą, wszystko załatwiała elektr-

Chwileczkę...

Żadnej dekompresji, sama to powiedziała.

Oczywiście, że nie. Niech trzymający się płycizn turyści oddychają sobie ze swoich niezgrabnych butli, ryzykując narkozą albo chorobą dekompresyjną za każdym razem, gdy oddalą się za bardzo od powierzchni. Niech *oni* cierpią przez koszmary eksplodujących płuc i oczu, zamieniających się w skupiska mięsistych banieczek. Ryfterzy byli odporni na tego typu rzeczy. Wewnątrz Stacji Beebe Lenie Clarke oddychała powietrzem, będącym pod takim samym ciśnieniem, jak na powierzchni. Na zewnątrz nie oddychała wcale.

Z wyjątkiem jednego razu, kiedy zestrzelono ją z nieba.

Tego dnia *Forcipiger* opadał powoli przez mroczne spektrum od zieleni, przez granat po pozbawioną światła czerń, krwawiąc atmosferami z tysiąca ran. Z każdym metrem do środka dostawało się coraz więcej wody, ściskając powietrze w jedną kieszeń pod wysokim ciśnieniem.

Joelowi nie odpowiadał dźwięk jej vocodera. *Nie chcę słuchać mechanicznego głosu w ostatnich minutach swojego życia*, powiedział. Została więc przy nim, oddychając. Gdy przemarznięty, przerażony i mający serdecznie dość oczekiwania na śmierć odblokował właz, musieli znajdować się pod ciśnieniem trzydziestu atmosfer.

A potem ona wyszła na brzeg, szalejąc ze złości.

Zajęło jej to wiele dni. Podróż po dnie oceanu i stopniowe wynurzanie się wystarczyłyby do naturalnej dekompresji, gazy w jej krwi rozprężyłyby się powoli na powierzchni pęcherzyków płucnych, gdyby tylko używała wtedy swojego lewego płuca. Tylko, że nie używała. Co więc stało się z tym powietrzem z *Forcipigera*, będącym pod dużym ciśnieniem, które pozostało w jej krwiobiegu? Fakt, że wciąż żyła, dowodził, że nie było go już w jej organizmie.

Wymiana gazowa nie zachodzi tylko w płucach, przypomniała sobie. Skóra też oddycha. I układ pokarmowy. Oczywiście nie tak szybko jak płuca. Ani nie tak wydajnie.

Może *niewystarczająco* wydajnie...

– Co się ze mną dzieje? – zapytała cicho.

– W pani mózgu pojawiły się niedawno dwa niewielkie zatory, które co jakiś czas upośledzają pani wzrok – wyjaśniła kabina. – Pani mózg najprawdopodobniej wypełnia tę lukę przechowywanymi przez siebie obrazami, jednak by mieć co do tego pewność, musiałabym zaobserwować przebieg takiego ataku. Ponadto, niedawno straciła pani bliską osobę. Bolesne doświadczenia mogą być czynnikiem powodującym omamy wzro-

– Jak to przechowywanymi obrazami? Chcesz powiedzieć, że to *wspomnienia?*

– Tak – odpowiedziała maszyna.

– Gówno prawda.

– Przykro nam, że tak pani uważa.

– To się nigdy nie *wydarzyło*, rozumiesz? – *Durna maszyna, po co w ogóle się z nią kłócę?* – Kurwa mać, pamiętam, jak wyglądało moje *dzieciństwo*. Nie zapomnę tego, choćbym *chciała*. A te wizje, muszą należeć do kogoś *innego*, one są...

...*szczęśliwe*...

– ...są inne. *Zupełnie* inne.

– Wspomnienia pochodzące z pamięci długotrwałej są na ogół bardzo wiarygodne. Są...

– Zamknij się – warknęła Clarke. – Po prostu to napraw.

– Ta kabina nie posiada sprzętu niezbędnego do wykonywania zabiegów mikrochirurgicznych. Mogę podać pani ondansetron, by stłumić objawy. Jednak powinna pani wiedzieć, że u pacjentów, którzy poddali się

rozległym zmianom połączeń synaptycznych, mogą wystąpić efekty uboczne, na przykład łagodne zawroty głowy...

Clarke zamarła. *Zmianom połączeń synaptycznych?*

– ...podwójne widzenie, efekt halo...

– Dość – powiedziała. Kabina umilkła.

Na wyświetlaczu, gwiezdna mgiełka migotała tajemniczo na tle mózgu Clarke. Kobieta dotknęła ekranu.

– Co to takiego?

– Szereg lezji chirurgicznych i powiązanych z nimi martwic – odpowiedziała maszyna.

– Ile dokładnie?

– Siedem tysięcy czterysta osiemdziesiąt trzy.

Clarke wzięła głęboki oddech, dziwiąc się nagle, jaki wydawał się miarowy.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś dłubał mi w mózgu 7483 razy?

– Nie ma dowodów fizycznej interwencji. Lezje odpowiadają użyciu zogniskowanych wiązek mikrofal.

– *Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?*

– Kazała mi pani zignorować kwestie, które nie mają związku z halucynacjami.

– A te... *lezje* nie mają z nimi nic wspólnego?

– Nie.

– Skąd wiesz?

– Większość z nich nie jest zlokalizowana w miejscach, gdzie przebiegają szlaki wzrokowe. Pozostałe mają za zadanie blokować przesyłanie obrazów, a nie je wywoływać.

– Gdzie są zlokalizowane te lezje?

– Lezje znajdują się w miejscach, gdzie przebiegają szlaki łączące układ limbiczny i korę nową.

– Do czego używane są te szlaki?

– Te szlaki są nieaktywne. Zostały przerwane przez interwencję chirurg-

– Do czego *byłyby* używane, gdyby były aktywne?

– Do aktywacji wspomnień przechowywanych w pamięci długoterminowej – odpowiedziała kabina.

O Boże. O Boże.

– Czy możemy jeszcze jakoś pani pomóc? – zapytała po dłuższej chwili maszyna.

Clarke przełknęła ślinę.

– Jak... Ile czasu temu wykonano te lezje?

– Dziesięć do trzydziestu sześciu miesięcy temu w zależności od średniego tempa pani przemiany materii od czasu wykonania procedury. Przypuszczenie zostało oparte na szybkości rozwoju blizn i rozrostowi naczyń włosowatych.

– Czy taką operację można przeprowadzić bez wiedzy pacjenta?

Krótka chwila ciszy.

– Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Czy można przeprowadzić ją bez znieczulenia?

– Tak.

– Czy można przeprowadzić ją w czasie, gdy pacjent śpi?

– Tak.

– Czy pacjent byłby w stanie wyczuć tworzenie lezji?

– Nie.

– Czy sprzęt potrzebny do przeprowadzenia takiego zabiegu można umieścić na przykład w hełmie do tomografii?

– Nie wiem – przyznała kabina.

Kabinę medyczną Beebe wyposażono w hełm do tomografii. Clarke korzystała z niego od czasu do czasu, gdy zdarzyło jej się rozbić sobie głowę w starciach z fauną Channer. Na tamtych wydrukach nie było widać żadnych lezji. Może nie pokazywały się przy domyślnych ustawieniach, z których korzystała, może trzeba było wybrać bardziej szczegółowe badanie czy coś takiego.

A może ktoś tak zaprogramował skaner Beebe, żeby kłamał.

Kiedy to się stało? Co się stało? Czego nie pamiętam?

Niejasno zdała sobie sprawę z dochodzących z zewnątrz, stłumionych odgłosów, odległych, gniewnych i stopniowo narastających. Nie miały żadnego znaczenia, nie miały sensu. Nic nie miało sensu. Jej mózg, podświetlony i przezroczysty, wirował przed nią na ekranie. Z rdzenia przedłużonego, na podobieństwo zastygłej w bezruchu fontanny, wystrzeliwały fioletowe gwiazdki – połyskujące, idealne kropelki wyrzucone wysoko aż pod samą korę i unieruchomione w najwyższym jej punkcie. Połyskujące myśli. Wspomnienia poddane amputacji i kauteryzacji. Niemal przypominały rzeźbę o nietypowej formie.

Kłamstwa potrafią być takie piękne, kiedy się je wypowiada.

Przynęty

Zdaniem Avivy Lu, zwycięzcą okazywał się ten, kto umierał ostatni.

Nie miało znaczenia, co właściwie *zrobiło* się ze swoim życiem. Da Vinci, Plasmid i Ian Anderson dokonali o wiele więcej niż kiedykolwiek uda się osiągnąć Vive czy dowolnemu z jej przyjaciół. Ona nigdy nie zbada Marsa, nie skomponuje symfonii ani nawet nie stworzy zwierzęcia, w każdym razie nie od zera. Tyle, że wszyscy ci ludzie byli już *martwi*. Sława nie uchroniła osłony twarzowej Oliwii M'Bengi przed roztrzaskaniem się na kawałki. Zarzuty Andrew Simona pod adresem Hydro-Q nie przedłużyły mu życia choćby o jeden cholerny dzień. Może i album *Passion Play* stał się nieśmiertelny, ale jego kompozytor obrócił się w proch wiele dziesięcioleci temu.

Aviva Lu wiedziała więcej o tym, *co wydarzyło się do tej pory*, niż oni wszyscy razem wzięci.

To wszystko było jedną, wielką, snującą się interaktywną baśnią. Miała ona swój początek, środek i koniec. Jeśli pojawiałeś się w niej w połowie, mogłeś bez problemu dowiedzieć się tego, co przegapiłeś – do tego w końcu służyły samouczki, encyklopedie i sam Wir. Mogłeś dostać Historię Życia w pigułce i to od czasów, gdy z nieba spadł Marsjanin Mike, od którego wszystko się zaczęło. Natomiast jeśli byłeś martwy, to byłoby na *tyle*. Nigdy nie dowiesz się, co stanie się później. Dlatego Vive doszła do wniosku, że prawdziwymi zwycięzcami zostaną ci, którym dane będzie zobaczyć zakończenie opowieści.

Jednak mimo to wkurwiła się lekko, gdy zorientowała się, że najprawdopodobniej udało jej się zakwalifikować do finału.

Stało się to oczywiste jeszcze zanim to *ogniste cholerstwo* zaczęła wypalać sobie drogę przez kontynent. Słyszała, że był taki czas, kiedy można było tak po prostu pozbierać swoje rzeczy i gdzieś *pojechać*. Żadnych podnoszonych i opuszczanych bez przerwy, bezsensownych barier i czystego totolotka za każdym razem, gdy chciało się przejść przez ulicę. Był taki czas, kiedy ludzie potrafili *samodzielnie* zwalczać choroby i pasożyty, najzwyczajniej w świecie używając do tego własnego organizmu, bez konieczności kupowania leków od koncernów farmaceutycznych, które najprawdopodobniej same podrasowały różne schorzenia, by nieodzowne stało się korzystanie z oferowanych przez nie nędznych genów. Jak twierdził ojciec Vive, był taki czas, kiedy nawet policja była pod kontrolą.

Oczywiście rodzice nie stanowili szczególnie wiarygodnego źródła informacji. Ich pokolenie było tak zajęte ostrzykiwaniem się krokodylimi i roślinnymi organellami, że nie przejmowało się zbytnio pilnowaniem faktów. Nie żeby Vive miała coś przeciwko zdrowiu, sama od lat zażywała krokodyle suplementy. Co jakiś czas przyjmowała nawet proglotydy tasiemców i jaja glist. Brzydziła ją myśl o wylęgających się w jej jelicie robakach, ale w tych czasach układowi odpornościowemu przydawał się każdy możliwy trening.

Poza tym, od tego była jeszcze *daleka* droga do zaśmiecania sobie własnego genotypu DNA jaszczurki, nawet jeśli Pfizer wprowadził zniżkę w tym miesiącu i *„czy nie byłoby wspaniale nie musieć polegać cały czas na zewnętrznych lekarstwach, kochanie”?*

Czasami Vive zastanawiała się czy jej rodzice wciąż jeszcze wiedzą, czym tak naprawdę *jest* gatunek. Tak w zasadzie, w tym właśnie leżał cały problem – zamiast uprzątnąć gówno z tego świata, ludzie po prostu zamieniali się w koprofagi. Za kilka lat będą w połowie karaluchami. O ile do tego czasu wszystko nie pogrąży się w mroku.

Tak właściwie to nowe mroczne wieki byłyby lepsze. Lepiej zniszczyć wszystko i zacząć od początku. Dla odmiany, wszyscy startowaliby z tego samego poziomu.

Dlatego też Aviva Lu znalazła się właśnie tutaj, oczekując Lenie Clarke.

Lenie Clarke była Mroczną Madonną.

W rzeczywistości, Aviva Lu nie była pewna, *czym* właściwie była Lenie Clarke. Wydawała się jednoosobową armią. Umarła i zmartwychwstała. Zapoczątkowała trzęsienie ziemi ze zwykłego zniecierpliwienia, zmęczona czekaniem na zaległą apokalipsę, która zawsze tylko wisiała niczym groźba, a jakoś nigdy się nie wydarzyła. W pojedynkę rozdarła Pas, stanęła na czele buntu uchodźców, do którego wybuchu N'AmPac *wciąż* się jeszcze nie przyznało. W ślad za nią podążał ogień. Każdy, kto się jej sprzeciwiał, zamieniał się w popiół na przestrzeni tygodnia.

Vive zawsze wydawało się, że tak naprawdę Lenie Clarke była zwykłą ściemą.

Oczywiście mnóstwo ludzi uważało zupełnie inaczej. Ludzi, którzy zaklinali się na wszystko, że Lenie Clarke była realną osobą, a nie tylko ikoną marketingową, próbującą wskrzesić *szał na ryfterów*. Twierdzili oni, że Mroczna Madonna faktycznie *była* ryfterką, jednym z wyszkolonych nurków głębinowych N'AmPac, zanim coś wydarzyło się na dnie oceanu, coś mitycznego. Twierdzili, że trzęsienie ziemi było jedynie objawem tego, co ją odmieniło. I teraz Lenie Clarke była już czarodziejką, potrafiącą transmutować materię organiczną w ołów czy coś w tym stylu. Teraz wędrowała po świecie, zostawiając za sobą apokalipsę, a panowie, którym niegdyś służyła, mieli nie cofnąć się przed niczym, by ją dopaść.

Powstała z tego niezła historia – zdaniem Vive, zagrażająca korpom apokalipsa już dawno im się należała – słyszała jednak zbyt wiele innych. Lenie Clarke była Kolejną Wielką Osobistością Sensoryjną. Lenie Clarke

była kwantową SI, stworzoną wbrew Protokołom Carnegie. Lenie Clarke była wytworem samych korpów, powołanym do życia, aby wystraszyć burzących się obywateli, by zmusić ich do uległości. Przez kilka dni Lenie Clarke była nawet jakimś mikrobem zbiegłym z jeziora Wostok.

Jednak ostatnimi czasy poszczególne historie stały się o wiele bardziej spójne. Z tego, co wiedziała Vive, Lenie Clarke od kilku tygodni była już tylko Mroczną Madonną. Prawdopodobnie osoby odpowiedzialne za testowanie rynku zdecydowały się na wersję, która pozwoli im sprzedać najwięcej imitacji skór głębinowych czy czegoś podobnego. Czemu nie? Styl się przyjął, oczy były wręcz zabójcze, a Vive goniła za modą tak samo jak wszyscy inni.

A przynajmniej myślała tak, dopóki cały cholerny Wir nie przemówił jednym głosem.

To dopiero było nieprawdopodobne. Może i połowa Wiru to dzika zwierzyna, ale drugą połowę stanowią filtry antyspamowe – absolutnie nie było takiej *opcji*, żeby komukolwiek udało się coś takiego, nawet korpom. Miała jednak okazję zobaczyć to na własne oczy, na własnym (tylko trochę nielegalnym) zegarku. Wszystkie znane jej osoby też otrzymały wiadomość za pośrednictwem zegarka, usłyszały ją od jakiegoś swata albo nawet odczytały z osobistego wizjera, który *z reguły* próbował im wcisnąć używki albo inne Levis'y – *Lenie Clarke przybywa do Yankton. Lenie Clarke ma kłopoty. Lenie Clarke potrzebuje waszej pomocy.*

Teraz. Cedar i West Second.

Czymkolwiek była Lenie Clarke, musiała mieć bardzo potężnych przyjaciół, by udało jej się dokonać czegoś takiego. Nagle Vive zaczęła traktować cały ten szał na ryfterów bardzo poważnie. Lindsey uważała, że jedynie wykorzystywano ich wszystkich – ktoś o *naprawdę* długich rękach narobił dużo szumu, żeby ukryć coś zupełnie innego, Carnegie jeden wie *co*

– i pewnie miała rację. Tylko co z tego? Byli przynętą dla czegoś, a to coś kierowało się właśnie *tutaj*. Cokolwiek to było, Vive zamierzała być tego częścią.

Szykowała się niezła jazda.

Les beus też byli tego świadomi.

Zgromadzeni w hali ludzie podzielili się na dwie grupy, różniące się pod kątem uniformów – policjantów i ryfterów. *Les beus* mieli paralizatory, muchoboty i pancerne egzoszkielety. Ryfterzy – imitacje skór głębinowych i tanie, białe szkła kontaktowe. Cała reszta, o czym wiedziała Vive, była jedynie brawurą. Wezwał ich Wir, a oni przybyli, gnani wiarą i adrenaliną. Jak się okazało, wiara nie była wcale potrzebna. Obecność służb porządkowych stanowiła wystarczający dowód, że w mieście działo się *coś* dużego.

Póki co, sprawy nie nabrały jeszcze tempa. Obie strony wciąż walczyły o pozycje, może udawały przed nielicznymi, rozproszonymi przechodniami, którzy jeszcze nie zorientowali się, co jest grane i nie dali nogi, że nie ma powodów do niepokoju. Policja otoczyła kordonem całe sekcje hali, jeszcze nie dzieląc tłumu na mniejsze gromady, ale już się do tego przygotowując. Ryfterzy natomiast sprawdzali granice. Kłębili się w korytarzach i na ruchomych chodnikach, to podchodząc do egzoszkieletowych szeregów, to znów się od nich oddalając, nie robiąc jednak nic, co przeciwciała mogłyby później nazwać *prowokacją*. Nad ich głowami roiło się od podobnych do wielkich, czarnych jaj muchobotów, zbierających dane przed burzą.

Ogólnie rzecz biorąc, obie strony zachowywały się naprawdę przyzwoicie. I nawet miało to sens, zważywszy, że żadna z nich nie była głównym powodem obecności drugiej. Vive doszła jednak do wniosku, że atmosfera szybko się podgrzeje, gdy tylko pojawi się główna atrakcja.

Jej zegarek zapiszczał. To dopiero zaskoczenie – opozycja zawsze zagłuszała lokalne częstotliwości z dużym wyprzedzeniem, zanim cokolwiek zdąży na dobre rozgorzeć. Uniemożliwiało to szybką mobilizację.

– Tak?

– Hej, udało nam się połączyć! – Głos Lindsey.

– No – przyznała Vive. – Siły ciemności mają dzisiaj jakiś spóźniony refleks.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że chcę z musztardą. A Jen chce samosę.

– Oprócz hot doga czy zamiast?

– Zamiast.

– Ok. – Lindsey i Jen znajdowały się przy granicy, obserwując manewry wroga, podczas gdy Vive udała się po prowiant. Wszystkie były już weterankami, zawodowcami, którzy zaliczyli już dwie czy trzy akcje. Wszystkie też co najmniej raz zostały potraktowane gazem lub prądem. Jen spędziła nawet noc w pacyfikatorze, dzięki czemu dowiedziały się zawczasu, jak ważne jest posilenie się przed faktem – jeńcy wojenni nie byli karmieni przez minimum dwanaście pierwszych godzin. Było to dość paskudne samo w sobie, ale jeszcze gorsze, jeśli wcześniej podkręciło się endorfiny z myślą o imprezce. Podkręcanie PPM powodowało *grubą* gastrofazę.

Przy odległej ścianie hali stał rząd automatów – kabin medycznych, dystrybutorów z ostatnimi krzykami mody i maszyn z przeróżnymi rodzajami paczkowanej żywności. Vive przepchnęła się przez tłum, kierując się w stronę holograficznego kebabu, obracającego się w powietrzu niczym jadalny święty Graal.

Ktoś pochwycił ją od tyłu.

Nim zdążyła zareagować, znajdowała się już we wnętrzu kabiny medycznej, przyparta do panelu sensorycznego. Kobieta o blond włosach do ramion, która ją tam przygwoździła, trzymała rękę na jej mostku. Nie należała do ekipy. Na oczach miała wizjer, na ramionach plecak, a cała reszta też nie wyglądała ryftersko. Może była zwykłym przechodniem i wkurzyła się, że utknęła w tłumie.

Drzwi kabiny zamknęły się z sykiem, tłumiąc dochodzący z zewnątrz gwar. Kobieta cofnęła się nieco, zostawiając Vive nieco przestrzeni w ciasnej klitce.

– Co to *jest?* – zapytała.

– To jest *niezłe* chamstwo – odwarknęła Vive. – A do tego porwanie albo coś w tym stylu. Nie żeby ci...

– Dlaczego jesteś... – Urwała. – O co chodzi z tym przebraniem? Co tu się dzieje?

– To taka impreza uliczna. Zakładam, że nie dostałaś zapro-

Kobieta minimalnie przysunęła się bliżej. Vive umilkła. Było w tej sytuacji coś, co zaczynało skłaniać ją do poważnego zastanowienia.

– Odpowiedz – odezwała się świruska.

– Jesteśmy... Jesteśmy ryfterami – wyjaśniła Vive.

– Jasne.

– Lenie Clarke jest w mieście. Nie słyszałaś?

– Lenie Clarke. – Świruska cofnęła rękę z piersi Vive. – Nie pierdol.

– Na serio.

Z zewnątrz dobiegł nagle przytłumiony odgłos, przypominający odległe fale przyboju. Wyglądało jednak na to, że świruska niczego nie zauważyła.

– To jakieś szaleństwo. – Potrząsnęła głową. – A co właściwie zamierzacie zrobić, gdy Lenie Clarke wreszcie się pojawi?

– Słuchaj, przyszliśmy tu, by zobaczyć, co się stanie. To nie ja snuję wątki, ok?

– Może dostaniecie po autografie. Albo gramie czy dwóch jej ciała, o ile dla wszystkich starczy.

Nagle jej głos stał się zupełnie bezbarwny i absolutnie przerażający.

Przecież ona może mnie zabić, pomyślała Vive.

Pilnowała się, by w jej własnym głosie pobrzmiewały słodycz i rozsądek. A nawet łagodność.

– Nie zamierzamy robić ci krzywdy. *Nikomu* nie zamierzamy robić krzywdy.

– *Doprawdy?* – Świruska znalazła się nagle bardzo blisko. – Jesteś tego pewna? Masz chociażby najdrobniejsze pojęcie, kim właściwie *jest* Lenie Clarke?

Vive rzuciła się do ucieczki.

Nie był to żaden plan. A w każdym razie żaden szczególnie dobry. Kabina ledwie mieściła je obie, a drzwi znajdowały się za świruską. Nie było w zasadzie żadnej wolnej przestrzeni *wokół*. Vive po prostu rzuciła się naprzód jak osaczony pies, desperacko próbując przecisnąć się obok kobiety. Razem przewróciły się na drzwi, które posłusznie się otworzyły.

W ledwie ułamku sekundy, Vive zdołała ogarnąć sytuację – przelatujący nieopodal muchobot, nagranym głosem nakazujący rozejść się w spokoju. Ruch tłumu – już nie rozproszonego i bezładnego, ale *skupionego* – spychanego w zbitą gromadę, niczym ławica szczętek schwytanych w niewód. Cichnące rozmowy. Coraz głośniejsze krzyki.

Zaczynało się zaganianie.

Impet Vive pchnął świruskę na niecały metr, po czym tłum cisnął ją z powrotem. Pod jego naporem obie kobiety znów znalazły się w kabinie.

Vive raz jeszcze wyrwała naprzód, tym razem nurkując pod ramieniem kobiety, gdy nagle poczuła rozdzierający ból nad okiem...

– *Au!*

...i czyjaś ręka zacisnęła się na jej gardle, popychając ją z powrotem. Jej nogi zostały na zewnątrz. Przez krótką chwilę tratowała je niewielka część tłumu, dopóki Vive nie podciągnęła ich z krzykiem pod siebie. Drzwi ponownie zamknęły się z sykiem, zamieniając odgłosy świata na zewnątrz w ledwie słyszalny ryk.

Osz kurwa...

Aviva Lu siedziała na podłodze kabiny medycznej z podkulonymi nogami, zmuszając się do podniesienia wzroku. Nogi świruski. Krocze świruski. Wydawało się, że dotarcie do oczu zajmie jej całą wieczność, a to, co może tam znaleźć napawało ją przeraże-

Chwileczkę...

Tam, na lewo od mostka Świruski – rozdarcie w ubraniu, połyskujące, metalowe półkole.

To właśnie mnie skaleczyło. Coś metalowego na jej klatce piersiowej. Wystającego z *jej klatki piersiowej...*

Ręka świruski. Trzymała wizjer, zniszczony lekko w czasie przepychanki. Brakowało jednego zausznika. Gardło świruski. Golf zakrywał wszelkie zniekształcenia w tym rejonie.

Oczy świruski.

Co takiego powiedziała? A, tak: „Masz chociażby najdrobniejsze pojęcie, kim właściwie *jest* Lenie Clarke?”

– Och, *wow* – wykrztusiła Aviva Lu.

– Chyba sobie żartujesz – powiedziała Lenie Clarke. Stały naprzeciw siebie w kabinie medycznej, oddychając tym samym powietrzem.

– Jeden z wątków twierdził, że zostałaś zainfekowana przez nanoboty, które rozmnażają się poza twoim ciałem i wzniecają pożary, gdy ich populacja osiąga odpowiednią liczebność. Mówili, że torujesz sobie drogę przez świat, zarażając innych, żebyśmy pewnego dnia *wszyscy* mieli władzę.

– Bzdura – powiedziała Clarke. – To wszystko bzdury. Nie mam pojęcia, jak to się zaczęło.

– Wszystko? – Vive nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Lenie Clarke wydawała się mieć niewielkie pojęcie o świecie, jak na Mroczną Madonnę. – Nie wyruszyłaś na jakąś krucjatę, nie jesteś...

– Och, oczywiście, że wyruszyłam na krucjatę. – Lenie Clarke posłała jej uśmiech, którego Vive nie potrafiła odczytać. – Po prostu wątpię, by ktokolwiek z was chciał zobaczyć jej pomyślne zakończenie.

– Cóż, *byłaś* na dnie oceanu – powiedziała Vive. – Przed trzęsieniem ziemi. Co się tam *wydarzyło?* To nie mógł być *tylko* detrytus, prawda? A na Pasie? A...

– A co się dzieje *tutaj?* – spytała Lenie.

Vive przełknęła ślinę.

– No tak.

– Skąd oni w ogóle o mnie wiedzą? Skąd *ty* wiesz?

– Jak mówiłam, ktoś rozesłał wici.

Lenie potrząsnęła głową.

– Pewnie już dawno by mnie złapali, gdyby nie... – Z zewnątrz dobiegły stłumione odgłosy tłumu. – *To...*

– Cóż, na pewno nie uda im się namierzyć cię wizualnie – powiedziała Vive. – Tam jest chyba *pierdylion* wersji Lenie Clarke, a ty nie wyglądasz jak żadna z nich.

– Taa. A ile z nich oprócz nakładek ma jeszcze klatę pełną maszynerii?

Vive wzruszyła ramionami.

– Pewnie ani jedna. Ale... *Aha*. Muchoboty.

– Muchoboty. – Mroczna Madonna wzięła głęboki oddech. – Nawet jeśli jeszcze mnie nie namierzyli, to kiedy stąd wyjdę będę dla nich jak jedna, wielka, elektromagnetyczna tęcza.

– A *zastanawiałam* się, dlaczego nie zagłuszają sygnału z zegarków – powiedziała Vive. – Nie chcą stłumić twojego.

– Co jeśli po prostu poczekam tutaj, aż wszyscy sobie pójdą?

– Nic z tego. Już to przerabiałam. Maksymalnie pół godziny, a zagazują całe to miejsce i wkroczą do akcji.

– Kurwa. *Kurwa.* – Lenie rozejrzała się po kabinie niczym jakaś obca forma życia zamknięta w klatce.

– Czekaj – odezwała się Vive. – Szukają twojej *konkretnej* sygnatury czy po prostu dowolnego promieniowania elektromagnetycznego?

– Skąd mam wiedzieć?

– Jaki sygnał generują twoje implanty?

– Taki jak całe mnóstwo mioelektryki. Wzmocnione źródło dla zespołu elektrolizującego, no i oczywiście dla spustu zbiornika. Do tego vocoder. – Ryfterka uśmiechnęła się, rzucając jej maleńkie wyzwanie. – Mówi ci to coś?

– Jak sztuczne serce, tylko silniej.

– Masz przyjaciół ze sztucznym sercem? Może mogłabym użyć ich jako przynęty.

– Tyle że *les beus* mogą zgarniać wszystkich, którzy mają implanty, a dopiero potem ustalać czy mają właściwą osobę – podsunęła Vive. – Tak czy siak, nie potrzebujesz wcale przynęty. Musisz tylko zagłuszyć *własny* sygnał. Nie sądzę, żebyś emitowała więcej niż około dwa miligausy, maksymalnie. Z wytłumieniem czegoś takiego poradziłaby sobie

standardowa osłona, ale wtedy nie mogłabyś zza niej wyjść. No a zegarki i wizjery nie mają odpowiedniej mocy pola.

Lenie przekrzywiła głowę.

– Jesteś jakimś ekspertem?

Vive odpowiedziała jej uśmiechem.

– Paniusiu, to jest *Yankton!* Paraliśmy się elektroniką jeszcze zanim powstał Pas Pyłowy. Lins twierdzi, że nawet wynaleziono tu *muchoboty*, ale Lins gada dużo różnych rzeczy. W zasadzie powinnyśmy teraz kuć przed praktykami, ale to wydało nam się lepszą zabawą.

– Zabawą. – Zimne, puste oczy, bardziej przejrzyste, jak zauważyła Vive, niż ta masa, którą nosili oni wszyscy, przewiercały ją wzrokiem. – Dokładnie takiego słowa bym użyła.

Coś przyszło Vive do głowy.

– Hej – powiedziała. – *Jest* coś, co wytwarza całkiem niezłe pole. I jest też przenośne. To będzie delikatna robota, trzeba pogrzebać trochę w jego wnętrznościach albo zacznie zwracać uwagę niewłaściwych osób, ale nawet nie będziesz musiała być przy tym obecna.

– Tak?

– O tak – powiedziała Vive. – Żaden problem.

Les beus otoczyli tłum kordonem i spychali go w głąb hali. Ryfterzy znajdujący się na samych jego brzegach byli już rzecz jasna rażeni prądem, ale przynajmniej nikt nie rzucił jeszcze bomb gazowych. Tłum przypominał ocean, z przepychanek milionów stłoczonych cząsteczek w cudowny sposób rodziły się ogromne fale. Vive wiedziała jednak, że na tym nie kończyły się podobieństwa – w ludzkich oceanach też istniały cofające się fale i prądy wsteczne. Bardziej nieuważni mogli zostać wciągnięci pod powierzchnię i stratowani.

Pozwoliła, by poniosły ją prądy. Za nią, po obu jej stronach, pojawiły się Jen i Lindsey. Vive wtajemniczyła swoje dwie przyjaciółki, one z kolei swoich dwóch przyjaciół i tak dalej. Wokół nich, tuż pod powierzchnią, zachodziły procesy przypominające rozszczepienie atomu, z początku ledwie widoczne. Ludzie przedzierali się przez tłum ze wszystkich stron, halsując pod prąd, żeby znaleźć się na wyciągnięcie ręki od Vive *i innych*. Wymieniano spojrzenia i skinienia głowami. Osłabły nieco miejscowe zawirowania, gdy przyjaciele i sprzymierzeńcy uczepiali się siebie nawzajem, by stawić czoła siłom odpychania i przyciągania.

W ciągu kilku minut Aviva Lu znalazła się w samym środku zatłoczonego kręgu spokoju.

Trzy muchoboty zbliżały się, lecąc w szyku dwa metry nad tłumem. Wygłaszały te same co zwykle frazesy, przywołujące buntowników do porządku. Vive spojrzała na Jen. Ta pokręciła głową, z twarzą skrytą za wizjerem. Maszyny poszybowały dalej, schowane lufy broni tworzyły wgłębienia na ich brzuchach.

Jen pociągnęła Vivę za rękaw, wskazując jej coś wolną ręką – z głębi hali nadlatywał kolejny muchobot. Vive nasunęła na oczy własny wizjer i przybliżyła cel. Żadnych widocznych furt dla broni ani elektrod łukowych. To tylko obserwator. Dumny zbieracz danych. Vive spojrzała na Jen i Lindsey.

Obie kiwnęły głowami w odpowiedzi.

Vive zdjęła wizjer i wetknęła go za pasek. Do pewnych czynności wciąż trzeba było używać własnych oczu. Następnie zarzuciła ręce na szyje Jen i Lindsey – ot, trzy dobre kumpelki chcące dobrze się bawić, nie ma tu nic do oglądania. Tłum przesłonił moment, w którym Vive podciągnęła nogi, uwieszając się ramion przyjaciółek, po czym oparła stopy na ich splecionych dłoniach. Muchobot podleciał bliżej, skanując ocean ludzi.

Może zaciekawiła go dziwna oaza spokoju pośród burzy ruchów Browna. A może zmierzał gdzieś dalej.

Jeśli tak było, to nigdy tam nie dotarł.

Maszyna znajdowała się poza zasięgiem osoby, która mogłaby próbować do niej doskoczyć, odbijając się od podłogi. Stanowiła natomiast łatwy cel dla kogoś wspomaganego przez endorfinoplastry i dwustopniowy wyrzut. Jen i Lindsey przykucnęły szybko, po czym poderwały się znów do góry, wyrzucając Vive w powietrze. W tym samym momencie, dziewczyna odbiła się od ich rąk. Przepełniona endorfinami, poddała się swojej wewnętrznej überlasce. Muchobot wpadł prosto w jej objęcia, podobny do wielkiej, pięknej pisanki. Vive oplotła go ramionami i *uścisnęła*.

Maszyna nie miała najmniejszych szans. Zbudowano ją w całości z lekkich niczym piórko polimerów i pęcherzy próżniowych. Efekt przypowierzchniowy, jaki wykorzystywała, by unosić się w powietrzu, nie był w stanie poradzić sobie z czymś cięższym niż kilogram czy dwa. Aviva Lu przycisnęła muchobota do klatki piersiowej niczym kulę u nogi i ściągnęła w dół, prosto w otwarte ramiona tłumu.

Ze wszystkich stron podniósł się ryk. Vive znała ten pozbawiony słów dźwięk, wiedziała też, co oznaczał. Oznaczał *Pierwszą Krew*.

Nie ostatnią. Bynajmniej.

Rzuciły muchobota na podłogę, otoczone falującym lasem ludzkich ciał. W pierwszej kolejności zabrały się za zespół soczewek i anteny. Będą w niezłych tarapatach, jeśli nie uda im się szybko pozbawić maszyny połączenia z siecią. Nie było to łatwe. Nowoczesna technologia dawno już nauczyła się łączyć *lekkość* z *wytrzymałością*, a ewolucja nie bez powodu wypracowała kształt jaja. Jen i Lins wyjęły swoje zestawy narzędzi.

Dźwięk narastał ze wszystkich stron.

Okrzyki zmieniły się we wrzaski, które przez chwilę stawały się coraz głośniejsze, po czym utonęły w ogólnym ryku. Coś wybuchło nieopodal. Elektroniczny brzęczyk odezwał się w oddali niczym syrena ogłaszająca kwarantannę – oficjalny sygnał, że gliny wkroczyły na wojenną ścieżkę.

Część artystyczna dobiegła końca. Rozpoczęła się pierwsza faza.

Coś zrobiło...

BANG!

...tuż przy uchu Vive. Dziewczyna podskoczyła i potknęła się o czyjeś nogi. Jen, nieco zbyt niecierpliwie pragnąc przedostać się przez pancerz muchobota, przedziurawiła jeden z pęcherzy próżniowych. Odgłosy zamieszek stłumił wysoki, czysty dźwięk. Vive potrząsnęła głową.

Jakaś ręka na jej ramieniu. Tuż przed nią wyrosła Lins, bezgłośnie układająca usta w słowa *„mamy to”*, pośród rozbrzmiewającego w głowie Vive ciągłego sygnału. Jen wyciągnęła w jej stronę naszyjnik złożony z chipów optycznych i baterii, nanizanych na cieniutki światłowód. Za jej plecami ich gwardia ochronna zachwiała się pod wpływem jakiegoś skoncentrowanego uderzenia. Przestrzeń naokoło zaczęła się rozpadać.

Biegnij.

Vive chwyciła naszyjnik i wstała. Wszędzie naokoło przewalały się ludzkie fale sztormowe. Dziewczyna ledwie widziała cokolwiek. Piętnaście metrów dalej falanga muchobotów ruszyła do ataku niczym czterej jeźdźcy Apokalipsy. Jakiś żartowniś w sprężyno-butach wyskoczył wysoko w powietrze i złapał przewodzącą im maszynę. Maleńka błyskawica połączyła łukiem napastnika z ofiarą, po czym chłopak zadrgał w zawieszeniu i opadł z powrotem w kotłujący się tłum.

Muchoboty, niezrażone tym faktem, kierowały się prosto w stronę Vive.

O kurwa. Fala pchnęła ją w tył. Jej stopy ugrzęzły w rozrzuconych elementach kadłuba rozczłonkowanej maszyny. Luka pośród tłumu

zniknęła. Ciała, napierające na nią ze wszystkich stron, powstrzymały ją przed upadkiem. Vive podniosła stopy. Tłum porwał ją ze sobą, jakby dziewczyna lewitowała nad ziemią. Szczątki przesunęły się pod nią i zostały w tyle.

Muchoboty wciąż podążały jej śladem.

Nie byłyśmy dość szybkie. Zdążył wysłać sygnał, zdążył wysłać zdjęcie...

Widziała wyraźnie ich elektrody. Widziała furty dla broni. Widziała nawet ich *oczy*, spoglądające na nią zimno zza przyciemnianych osłon...

Są tuż nade mną.

Maszyny poszybowały dalej.

Polują na Jen i Lins. Vive obróciła się, by móc obserwować pościg.

Kurwa mać, dopiero co zdążyły wyruszyć, nie mają dostatecznej przewagi, zostaną...

Z prawej strony nadciągnął kolejny muchobot i nagle staranował lidera.

Co...

Przywódca falangi poleciał gdzieś na bok, utraciwszy kontrolę nad torem lotu. Atakujący muchobot obrócił się i natarł na kolejną maszynę w szeregu. Spadł na nią z góry, uderzył i strącił ją w dół o jakiś metr.

Tyle wystarczyło. Tłum wzniósł się i pochłonął ofiarę głodną, ryczącą falą.

Kiepskie posunięcie. Muchobot obserwacyjny to jedno, ale te były przecież *uzbrojone*.

Skowyt. Krzyki. Kłęby dymu. Strącona maszyna wzniosła się triumfalnie ponad tłum, który próbował wydostać się z epicentrum, ale napotkał na własny opór. Pośród kotłowaniny rozeszła się fala paniki, docierająca coraz dalej pomimo faktu, że ogarnięci nią ludzie nie mogli się ruszyć.

Zbuntowany muchobot ruszył znów do ataku. Jego cele zaczęły się przegrupowywać.

Co tu się do cholery dzieje, zastanawiała się Vive. A potem: *Los się do ciebie uśmiechnął. Nie zmarnuj tego.*

Znajdowała się około dziesięć albo piętnaście metrów od budek medycznych. Na jej drodze panował niezły chaos. Zaczęła się przepychać. Nieopodal wciąż znajdowali się ludzie wtajemniczeni w cały plan, którzy cofnęli się na tyle, na ile mogli, starając się zrobić jej przejście w Morzu Czerwonym. Mimo wszystko cała podróż opierała się na ciągłych przystankach – zbyt wiele osób wypadło z obiegu, zbyt wiele pochłonęła kotłowanina na polu bitwy. A połowa ludzi, którzy *wiedzieli*, co jest grane, zapomniała o wszystkim w całym tym zamieszaniu.

– *Widziałam ją.*

Głos kobiety, spokojny, ale na tyle głośny, by przebić się przez zgiełk. Vive zaryzykowała szybki rzut oka przez ramię.

Mówił to zbuntowany muchobot.

– *Widziałam, jak wyszła z oceanu. Widziałam, co...*

Jedna z maszyn szturmowych wystrzeliła w jego kierunku. Buntownik zachwiał się w powietrzu i zakołysał niebezpiecznie

– *...widziałam, co zrobili na Pasie.*

Drzwi kabiny medycznej otworzyły się. W wejściu stała Clarke.

Vive pochyliła się ku niej i wręczyła jej naszyjnik.

– Trzymaj go blisko klatki piersiowej! – krzyknęła. – Zamaskuje twój sygnał!

Ryfterka kiwnęła głową. Nagle ktoś wcisnął się między dwie kobiety, wrzeszcząc i na oślep wymachując pięściami. Lenie odpowiedziała mu tym samym, aż wreszcie ogarnięta paniką twarz zniknęła pod powierzchnią.

– *Wysłali ogromną falę, by ją zabić. Wysłali trzęsienie ziemi. Chybili.*

Lenie Clarke zwróciła się w stronę, z której dobiegał głos. Jej oczy zwęziły się w białe szparki, pozbawione wyrazu. Jej usta poruszyły się, formułując słowa, które utonęły w ogólnym ryku:

O kurwa...

– Musimy *ruszać*! – krzyknęła Vive. Ktoś pchnął ją prosto na cycki Lenie. – Tędy!

– Palą cały świat, by ją złapać. Jest aż tak ważna. Nie możecie...

Pisk. Sprzężenie. Trzaski iskier strzelających z obwodów elektrycznych. Nagle muchobot jakby zawisł nieruchomo w powietrzu.

– ...nie możecie pozwolić, by dostali ją w swoje ręce...

Czterej jeźdźcy Apokalipsy ruszyli z kopyta. Buntownik opadł spiralą w tłum, stając w płomieniach. Odezwały się nowe krzyki. Jeźdźcy przegrupowali się i wrócili na wcześniejszy kurs.

– No *chodź*! – wrzasnęła Vive. Lenie kiwnęła głową. Dziewczyna poprowadziła ją wzdłuż ściany.

W kolejnej wnęce znajdowała się toaleta publiczna, pełna podróbek ryfterów i uwięzionych przechodniów, zdeterminowanych przeczekać całą imprezę. Większość kuliła się nieruchomo, jak uchodźcy pod mostem, nasłuchując dobiegającego zza ścian stłumionego łomotania.

Dwie sojuszniczki broniły dostępu do jednej z kabin. Zdążyły już zdjąć panele sufitowe.

– Jesteś Aviva? – spytała jedna z nich, mrugając gwałtownie oczami przesłoniętymi imitacją nakładek.

Vive przytaknęła i zwróciła się w stronę Clarke.

– A *to*...

Pomieszczenie ogarnęła fala czegoś nieokreślonego.

– *O kurwa* – wykrztusiła cicho jedna z sojuszniczek. – Nie sądziłam, że ona istnieje naprawdę.

Lenie Clarke niezauważalnie skinęła jej głową, cofając lekko podbródek.

– Witaj w klubie.

– A więc to prawda? Te wszystkie podpalenia i trzęsienie ziemi i ty, gwałcąca wszystkich korpów naokoło...

– Pewnie nie.

– Ale...

– Nie mam za bardzo czasu na porównywanie notatek – przerwała jej Clarke.

– Och, racja, no jasne. Przepraszam. Możemy pomóc ci dostać się nad rzekę. – Sojuszniczka przekrzywiła głowę. – Masz jeszcze skórę głębinową?

Lenie sięgnęła ręką przez ramię i klepnęła plecak.

– Dobra – powiedziała druga z dziewczyn. – Chodźmy. – Zaparła się nogami o sedes, odbiła, znalazła uchwyt dla dłoni w ciemności nad głową i podciągnęła się do góry, znikając pozostałym z oczu.

Pierwsza sojuszniczka rozejrzała się po zbitej gromadce skulonych ludzi.

– Dajcie nam około piętnaście minut. Ostatnie czego nam trzeba to cała procesja ludzi tłukąca się po korytarzu technicznym, prawda? Piętnaście minut i możecie hałasować sobie ile tylko chcecie. To znaczy zakładając, że chcecie ulotnić się z imprezki. – Zwróciła się do Vive – Idziesz z nami?

Ta pokręciła głową.

– Mam spotkać się z Jen i Lins przy fontannie.

– Jak sobie chcesz. My spadamy. – Sojuszniczka splotła dłonie i wyciągnęła je w kierunku Clarke. – Chcesz, żeby cię podsadzić?

– Nie, dzięki – odpowiedziała ryfterka. – Dam sobie radę.

Aviva Lu była weteranką niepokojów społecznych. Przetrwała resztę akcji pod ścianami oraz w narożnikach – obszarach, gdzie turbulencje nie były tak silne i gdzie można było utrzymać kurs i równowagę, nie dając się stratować. *Les beus* wytoczyli ciężkie działa w rekordowym czasie – ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała Vive ze swoich niedawnych chwil na wolności, był widok muchobota opryskującego tłum halotanem. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Zasnęła z uśmiechem na ustach.

Jednak kiedy odzyskała przytomność, zorientowała się, że nie przetrzymywano jej razem z pozostałymi. Znajdowała się w niewielkim, białym pokoju, pozbawionym okien i mebli, za wyjątkiem stołu do badań, na którym się obudziła. Przez ściany mówił do niej męski głos, całkiem przyjemny głos, który nawet uznałaby za seksowny w nieco bardziej sprzyjających okolicznościach.

Mężczyzna wiedział więcej o roli, jaką Vive odegrała w zamieszkach, niż ta się spodziewała. Wiedział, że spotkała Lenie Clarke we własnej osobie. Wiedział, że pomogła w zniszczeniu muchobota. Vive podejrzewała, że dowiedział się tego od Lindsey albo Jen – one pewnie też zostały schwytane. Ale mężczyzna nie mówił nic o jej przyjaciółkach ani o nikim innym. Nie wydawał się nawet zbytnio zainteresowany tym, co powiedziała Lenie Clarke, co dość zaskoczyło Vive. Spodziewała się tortur, z induktorami i neuromanipulatorami, z pełnym asortymentem innych atrakcji. Ale nie.

Jedyną rzeczą, jaką mężczyzna wydawał się naprawdę zainteresowany, było rozcięcie nad okiem Vive. Czy to Clarke jej to zrobiła? Jak bliski kontakt nawiązały? Vive powtarzała w kółko oczywiste riposty z oczywistymi podtekstami lesbijskimi, ale w głębi serca zaczynała naprawdę się niepokoić. Ten głos nie bawił się w żadne zwyczajowe, zastraszające gierki. Nie groził jej, nie triumfował nad nią ani nie wykładał jej, ilu zmian

połączeń synaptycznych potrzeba, by zamienić ją w przykładną obywatelkę. Jedynie wydawał się bardzo, bardzo zasmucony faktem, że Aviva Lu okazała się na tyle głupia, by uwikłać się w całą historię z Lenie Clarke.

Bardzo zasmucony, bo – choć nie powiedział tego głośno – nie mógł zrobić dla niej już nic więcej.

Aviva Lu posikała się pod siebie, dygocząc na stole w przerażająco białym pokoju.

Ukrzyżowanie i pająki

Tu Patricia Rowan. Ken Lubin jest podłączony do budki w dalszej od pańskiego biura części korytarza. Proszę przekazać mu, że chcę się z panami widzieć. Jestem w sali posiedzeń w Admin-411.

Nie będzie sprawiał problemów...

Dwadzieścia sześć godzin czternaście minut.

Faktycznie, Desjardins znalazł Lubina przy poczwórnym terminalu obok klatki schodowej. Najwyraźniej nikt nie zakwestionował jego obecności tutaj.

– Co robisz? – spytał Desjardins za jego plecami.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Próbowałem się do kogoś dodzwonić. Nikt nie odebrał. – Zdjął z głowy zestaw wizualizacyjny.

– Rowan jest tutaj. Chce... Chce się z nami zobaczyć.

– Tak – westchnął Lubin, wstając. Jego twarz pozostała niewzruszona, ale w głosie zabrzmiała rezygnacja.

– Trochę jej to zajęło.

Dwie sale operacyjne, zbudowane z prefabrykatów. Szkieletowe sześciany, przypominające jasne rzeźby w świetle umieszczonych w górze reflektorów. Patrząc pod odpowiednim kątem, ściany opalizowały lekko, niczym powierzchnia bańki mydlanej. Poza tym jednak, wszystko co znajdowało się w środku – pasy, stoły operacyjne, wisząca nad nimi maszyneria o wielu ramionach – wydawało się być wystawione na działanie

powietrza. Wierzchołki sześcianów wydawały się równie przypadkowe i bezsensowne, co granice polityczne.

Desjardins zauważył również, że ściany sali posiedzeń połyskiwały w ten sam, delikatny sposób. Całe miejsce pokryto błoną izolacyjną.

Oświetlona od tyłu Patricia Rowan stała pomiędzy drzwiami a przenośnymi modułami.

– Ken. Dobrze znowu cię widzieć.

Lubin zamknął drzwi.

– Jak mnie znalazłaś?

– Rzecz jasna, sprzedał cię doktor Desjardins. Jednak z całą pewnością nie stanowi to dla ciebie zaskoczenia. – Na jej szkłach kontaktowych zamigotały przepływające informacje. – Biorąc pod uwagę twój mały problem, podejrzewam, że sam go do tego pchnąłeś.

Lubin zrobił krok naprzód.

– Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, Horacy – powiedziała Rowan.

W postawie Lubina coś się zmieniło. Na krótką, ledwie zauważalną chwilę, jego rysy stężały. Potem mężczyzna rozluźnił się.

Zwrot uruchamiający, uświadomił sobie Desjardins. Głęboko w korze mózgowej Lubina aktywowany został jakiś podprogram. W czasie potrzebnym na wzięcie jednego oddechu jego zamiary zmieniły się z...

Zachowaniem pana Lubina steruje reakcja warunkowa wobec niebezpieczeństwa, przypomniał sobie. *Nie powinien uznać pana za potencjalnie niebezpiecznego, chyba że...*

O Jezu. Desjardins chciał przełknąć ślinę, ale nagle kompletnie zaschło mu w ustach. *Ona wcale go nie uruchomiła. Ona go wyłączyła...*

On już brał się za mnie...

– ...to i tak byłoby tylko kwestią czasu – mówiła Rowan. – Pojawiło się parę ognisk w Kalifornii, które nie pasowały do naszych map. Zgaduję, że

spędziłeś trochę czasu na wyspie niedaleko Mendocino...?

Lubin kiwnął głową.

– Musieliśmy spalić cały ten teren – ciągnęła korpówa. – Szkoda... Nie zostało zbyt wiele miejsc posiadających prawdziwą faunę i florę. Nie możemy sobie pozwolić na ich utratę. A ty nie zostawiłeś nam wyboru.

– Zaraz – wtrącił Desjardins. – On jest *zarażony*?

– Oczywiście.

– W takim razie powinienem już być martwy – powiedział Lubin. – Chyba, że jakimś cudem jestem odporny...

– Nie jesteś. Jedynie dłużej stawiasz opór.

– Dlaczego?

– Bo nie jesteś w pełni człowiekiem, Ken. To daje ci przewagę.

– Ale... – zaczął Desjardins, urwał jednak. Patricii Rowan nie izolowała żadna błona. Mimo wszystkich dostępnych zabezpieczeń, wszyscy oddychali tym samym powietrzem.

– *Pani* jest odporna – dokończył.

Kobieta pochyliła głowę.

– Jestem jeszcze mniej ludzka niż Ken.

Lubin na próbę włożył rękę do wnętrza sześcianu. Mydlana błona ustąpiła pod naporem jego dłoni i szczelnie otoczyła przedramię. Opalizowała wyraźnie przy linii styku, ale zbladła, gdy Lubin przestał poruszać ręką. Mężczyzna mruknął.

– Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy – powiedziała Rowan.

Lubin zrobił krok naprzód. Przez chwilę na całej powierzchni sześcianu wirowały oleiste tęcze, potem mężczyzna znalazł się w środku i błona uspokoiła się, odzyskując integralność.

Rowan spojrzała na Desjardinsa.

– Wiele naszych białek, w szczególności enzymy, nie funkcjonuje zbyt dobrze w morskich głębinach. Powiedziano mi, że ciśnienie stłacza je w nieoptymalne kształty.

Sześcian Lubina pociemniał nieco, gdy uruchomione zostało pole sterylizujące. Wydawało się, że błona stała się... jakby bardziej nieprzepuszczalna. Oczywiście, nie była to prawda – membrana zachowała grubość jednej cząsteczki. Zwiększyło się jednak jej napięcie powierzchniowe. Lubin mógł teraz napierać na nią całą masą swojego ciała, a i tak nie zdołałby jej przerwać. Poddałaby się jego sile – rozciągnęłaby się, zniekształciła, a impet mógłby nawet sprawić, że sięgnęłaby środka pomieszczenia niczym gumowa skarpetka z obciążonymi palcami, ale nie pękłaby, a nawet, po kilku sekundach, wróciłaby z powrotem do swojego wcześniejszego, dwuwymiarowego kształtu. A Lubin wciąż byłby w środku.

Podniosło to nieco na duchu Desjardinsa.

Rowan nieznacznie podniosła głos:

– Rozbierz się proszę, Kenie. Zostaw ubrania na podłodze. A, na teleoperatorze wisi zestaw wizualizacyjny. Może obejrzysz materiał w czasie trwania procedury.

Zwróciła się znów do Desjardinsa.

– W każdym razie, musieliśmy podrasować naszych ludzi przed wysłaniem ich na ryft. Wyposażyliśmy ich w pewne geny ryb głębinowych.

– Alice mówiła, że białka organizmów głębokomorskich są dość... sztywne – zauważył Desjardins.

– Trudniej je rozbić, to fakt. Zważywszy, że siarka jest uwięziona w białkach, βehemot ma problemy z wykradnięciem jej ryfterom. Niestety zrobiliśmy kopie tylko tych cząsteczek, które są najbardziej wrażliwe na

ciśnienie. βehemot wciąż może dobrać się do innych. Po prostu potrzebuje więcej czasu, by zaburzyć mechanizmy komórkowe.

– Chyba, że zrobi się kopie absolutnie *wszystkiego*.

– A w każdym razie tych najmniejszych rzeczy. Zagrożone jest wszystko, co ma mniej niż pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt reszt aminokwasowych. Najwyraźniej chodzi o mostki dwusiarczkowe. Oczywiście są pewne kwestie osobnicze, u niektórych nosicieli objawy mogą nie występować przez cały miesiąc albo i dłużej, ale tak naprawdę jedynym sposobem, by... – Wzruszyła ramionami. – W każdym razie, jestem już pół-rybą.

– Syreną. – Wyobrażenie wydało mu się kompletnie niedorzeczne.

Rowan nagrodziła go przelotnym uśmiechem.

– Znasz procedurę, Ken. Twarzą w dół, jeśli można.

Stół operacyjny ustawiono pod kątem dwudziestu stopni. Ken Lubin, nagi i z twarzą skrytą za zestawem wizualizacyjnym, oparł się na nim, jakby chciał robić pompki, po czym rozluźnił się.

Powietrze zadrgało i zaczęło *szumieć*. Lubin zwiotczał. Wisząca nad nim owadzia maszyneria rozpostarła koszmarne ramiona ze zbyt dużą ilością stawów i pochyliła się nad swoją ofiarą.

– Jasna *cholera* – powiedział Desjardins.

Lubina ukłuto w dziesiątki różnych miejsc. Połyskliwe włókna wiły się wokół jego dłoni, zatapiały w nadgarstkach i zagłębiały w grzbiecie. Cewnik samoczynnie wśliznął mu się do odbytu, a kolejny, niczym szaszłyk, nadział na siebie jego penisa. Coś miedzianego wsunęło się do ust i nosa mężczyzny. Kable pełzały po jego twarzy i wciskały się pod zestaw wizualizacyjny. Nawet sam stół nagle najeżył się igłami. Lubin został unieruchomiony jak owad nadziany na kolce drucianej szczotki.

– To nie jest aż takie straszne, na jakie wygląda – wyjaśniła Rowan. – Pole neuroindukcyjne blokuje większość bólu.

– *Kurwa.* – Drugi sześcian, pusty i oczekujący, lśnił niczym groźba inkwizycji. – Czy *ja*...

Rowan ściągnęła wargi.

– Wątpię, by było to konieczne. Chyba, że został pan zainfekowany, ale wydaje się to raczej mało prawdopodobne.

– Byłem narażony na zarażenie przez dwa dni, w zasadzie prawie trzy.

– To nie ospa wietrzna, doktorze. O ile nie wymieniał pan z nim płynów ciała, ani nie wykorzystał jego odchodów na kompost, to raczej jest pan czysty. Skan pańskiego mieszkania niczego nie wykazał... chociaż może pana zainteresować fakt, że pański kot ma tasiemca.

Przeskanowali moje mieszkanie. Desjardins próbował przywołać choćby cień oburzenia. Jednak zamiast niego pojawiła się tylko ulga. *Jestem czysty. Jestem czysty...*

– Niemniej jednak będzie pan musiał poddać się terapii genetycznej – powiedziała Rowan. – Żeby *pozostał* pan czysty. Niestety jest ona dość rozległa.

– *Jak* rozległa?

Wiedziała doskonale, o co pytał.

– Zbyt rozległa, by uodpornić dziewięć miliardów ludzi. A przynajmniej nie na czas. Znaczna większość światowej populacji nawet nie była nigdy sekwencjonowana. Nawet gdybyśmy mogli to zrobić, to pozostają jeszcze... inne gatunki. Nie możemy poddać całej biosfery inżynierii wstecznej.

Rzecz jasna, spodziewał się tego. Mimo wszystko jednak, było to dla niego ciosem.

– Tak więc izolacja jest jedyną dostępną nam możliwością – dodała cicho. – A jak panu być może wiadomo, ktoś ze wszystkich sił stara się nam

w tym przeszkodzić.

– Tak. – Desjardins spojrzał na nią. – Tylko właściwie dlaczego?

– Chcemy, żeby pan się tego dowiedział.

– Ja?

– Oczywiście nasi ludzie już nad tym pracują. Połączymy pana z nimi. Jednak pańskie wyniki przekroczyły nasze najśmielsze oczekiwania, poza tym w końcu to *pan* w ogóle dostrzegł związek.

– Nie tyle dostrzegłem związek, co się o niego *potknąłem*. To znaczy, trzeba byłoby być ślepym, żeby tego nie zauważyć, wiedząc już czego się szuka.

– Cóż, w tym problem, nieprawdaż? W ogóle nie szukaliśmy. Dlaczego niby mielibyśmy? Dlaczego ktokolwiek miałby przeczesywać Wir, w poszukiwaniu nazwisk martwych ryfterów? I nagle wychodzi na to, że wszyscy poza nami wiedzą o Lenie Clarke. Jesteśmy w posiadaniu najlepszego na świecie sprzętu do zbierania informacji, a tymczasem dowolny dzieciak z kradzionym zegarkiem wie więcej od nas. – Korpówa wzięła głęboki oddech, jakby rozkładała sobie na plecach wielki ciężar. – Jak pan myśli, jak to się mogło stać?

– Proszę zapytać dzieciaka z zegarkiem – powiedział Desjardins. Wskazał głową na Lubina, drgającego we wnętrzu swojej bańki mydlanej. – Jeśli macie więcej takich jak on, dowiecie się wszystkiego w około dwie sekundy.

– Wszystkiego, co wie ten dzieciak – być może. A to prawie tyle, co nic.

– Dopiero co powiedziała pani...

– Prawie ją mieliśmy, wie pan? – ciągnęła Rowan. – To było ledwie wczoraj. Gdy tylko nas pan uprzedził, byliśmy w stanie oddzielić ziarno od plew i udało nam się zlokalizować ją w Dakocie Południowej. Otoczyliśmy

teren, ale okazało się, że pół miasta postanowiło nam przeszkodzić, pomóc jej. Uciekła.

– Przesłuchaliście przecież jej fanów.

– Wezwał ich jakiś głos z Wiru. Ktoś tam mobilizuje siły.

– Kto? I dlaczego?

– Tego już nikt nie wiedział. Najwyraźniej to coś włącza się w odpowiednie rozmowy i zaczyna nawoływać do kibicowania jej. Gdy się o tym dowiedzieliśmy, zostawiliśmy przeróżne przynęty, ale póki co nie odezwało się to do nas.

– Wow – mruknął Desjardins.

– A wie pan, gdzie tkwi największa ironia? Podejrzewaliśmy, że coś takiego się wydarzy. Podjęliśmy odpowiednie środki zapobiegawcze.

– *Spodziewaliście* się tego?

– Nie tego konkretnie, rzecz jasna. Ta cała sprawa z ryfterami pojawiła się kompletnie znikąd. – Rowan westchnęła. Większą część jej twarzy skrywały cienie. – Mimo wszystko jednak, czasem rzeczy mogą... pójść nie tak. Można spodziewać się, że ktoś o nazwisku *Murphy* będzie tego świadomy, ale nie. Zdaniem ludzi ze Świadomości Chemicznej to był tylko zanikający mem, rozpowszechniany przez żele.

– Więc to *żele* za tym stoją?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Jak już powiedziałam, podjęliśmy środki zapobiegawcze. Wytropiliśmy wszystkie skażone węzły, podzieliliśmy je na partycje i wymieniliśmy na świeże, upewniając się, że nie został choćby *ślad* tego memu. Żeby mieć absolutną pewność. Jednak jakimś cudem on wciąż istnieje. Po przerzutach, mutacjach, odrodzony na nowo. A jedyny fakt, jaki znamy to informacja, że tym razem *nie jest* to sprawka żeli.

– Wcześniej jednak była, czy to chce pani powiedzieć? To one... One to wszystko zaczęły?

– Może. Dawno, dawno temu.

– Na litość boską, *dlaczego*?

– Cóż, to dosyć zabawne – odpowiedziała mu Rowan. – Tak im kazaliśmy.

Rowan przesłała dane bezpośrednio do jego wkładek. Było tego o wiele za dużo, by nawet zoptymalizowany prawołamacz mógł wszystko z miejsca ogarnąć, ale po piętnastu sekundach dostał skrótowe podsumowanie – narastające zagrożenie, wzajemna nieufność, ostateczne niechętne przekazanie kontroli obcej inteligencji, której nikt nie podejrzewał o posiadanie własnej opinii na temat zalet skąpstwa.

– Jezu – powiedział Desjardins.

– Wiem – przyznała Rowan.

– A niby jakim cudem Lenie Clarke przejęła kontrolę?

– Nie przejęła. To właśnie jest w tym wszystkim największym szaleństwem. Z tego co nam wiadomo, przed Yankton ona nawet nie spodziewała się, że ktokolwiek o niej *wie*.

– Hmm. – Desjardins ściągnął usta. – Tak czy inaczej, cokolwiek to jest, zaczyna dowodzić za nią.

– Wiem – powiedziała cicho kobieta. Spojrzała na Lubina. – Wtedy właśnie on wkroczył do akcji.

Lubin drgał i szarpał się pod wpływem przypuszczanych na niego ataków. Jego twarz, a przynajmniej ta jej część, której nie skrywał zestaw wizualizacyjny, pozostawała jednak bez wyrazu.

– Co on tam ogląda? – zapytał Desjardins.

– Dane instruktażowe. Do kolejnej misji.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się mężczyźnie.

– Zabiłby mnie?

– Wątpię.

– *Kim* on...

– Nikim, kogo powinien się pan dalej obawiać.

– Nie. – Desjardins potrząsnął głową. – To nie wystarczy. Namierzył mnie z drugiego końca kontynentu, włamał się do mojego mieszkania i... – *Odłączył mi Moralniaka*, ale przecież nie przyznam się do tego przed Rowan, a już na pewno nie *teraz*, na litość boską... – Przypuszczam, że ma wbudowany przycisk wyłączający, a odpowiada przed *panią*, pani Rowan. *Kim on jest?*

Kobieta najeżyła się. Desjardinsowi przeszło przez myśl, że posunął się za daleko. Żaden pracownik znajdujący się w szponach Moralniaka nigdy w życiu nie zdobyłby się na takie pyskowanie przełożonemu, Rowan zorientuje się, za chwilę rozdzwonią się alarmy i...

– Pan Lubin ma... Można to nazwać problemem z kontrolą impulsów – powiedziała kobieta. – Czerpie przyjemność z pewnych czynności, które większość z nas uznałaby za nieprzyjemne. Nigdy nie zachowuje się w sposób, chyba „nieuzasadniony” będzie tu najlepszym określeniem, ale czasami zdarza mu się stwarzać sytuacje, które wywołują określoną reakcję. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

Zabija ludzi, pomyślał z otępieniem Desjardins. *Stwarza sytuacje, w których dochodzi do naruszenia tajemnic, żeby mieć pretekst do zabijania ludzi...*

– Pomagamy mu radzić sobie z problemem – ciągnęła Rowan. – No i mamy go pod kontrolą.

Desjardins przygryzł wargę.

Kobieta pokręciła głową. Na jej bladej twarzy odmalował się wyraz dezaprobaty.

– βehemot, doktorze Desjardins. Lenie Clarke. Proszę przez *to* nie spać po nocach, jeśli już ma pan taką potrzebę. Proszę mi wierzyć, Ken Lubin jest jednym z elementów, mających na celu *rozwiązanie* tych problemów. – Nieznacznie podniosła głos. – Prawda, Kenie?

– Nie znam jej – powiedział Lubin. – A w każdym razie niezbyt dobrze.

Desjardins spojrzał na Rowan z zaniepokojeniem.

– On nas *słyszy*?

Lecz zamiast jemu, kobieta odpowiedziała Lubinowi.

– Znasz ją lepiej, niż ci się wydaje.

– Macie profile – odezwał się znów Lubin. Mówił bardzo niewyraźnie. Najwyraźniej pole indukcyjne wpływało również na jego mięśnie mimiczne. – Ten psycholog. Scanlon.

– Scanlon miał swoje własne problemy – powiedziała Rowan. – Ty i Clarke macie ze sobą o wiele więcej wspólnego. Podobne poglądy, podobne środowiska. Gdybyś był na jej miejscu...

– *Jestem* na jej miejscu. Przybyłem *tutaj*... – Lubin oblizał wargi. W kąciku jego ust zalśniła strużka śliny.

– Zgoda. Załóżmy jednak, że nie miałbyś żadnych informacji, żadnych zezwoleń i żadnych... ograniczeń w kwestii zachowania. Czego byś szukał?

Lubin milczał. Jego zakryta twarz przypominała kontrastową, pozbawioną oczu maskę w kropki. Jego skóra zdawała się niemal lśnić.

Rowan zrobiła krok naprzód.

– Ken?

– To proste – powiedział wreszcie. – Zemsty.

– A na kim dokładnie?

– Na GA. W końcu próbowaliśmy nas zabić.

Szkła Rowan zalśniły nagle od natłoku danych.

– Nigdy nie widziano jej w pobliżu żadnego z biur GA.

– Saatakofała kogoś w Hongcouver. – Ciało Lubina przebiegł dreszcz. Jego głowa opadła. – Szukając Yvesa Scanlona.

– Z tego, co wiemy, Scanlon był jej jedynym tropem. Zaprowadziło ją to donikąd. Nie wydaje nam się, by w ogóle była w N’AmPac od kilku miesięcy.

– Ma jeszcze inne urazy – powiedział Lubin. – Może chce wrócić do domu.

Rowan zmarszczyła brwi w skupieniu.

– Mówisz o jej rodzicach.

– Wspominała coś o Sault Sainte Marie.

– A załóżmy, że nie mogłaby się do nich dostać.

– Nie wiem.

– A co *ty* byś zrobił?

– Ja bym... próbował.

– Załóżmy, że jej rodzice nie żyją – podsunęła Rowan.

– ...szy to my ich zabiliśmy?

– Nie, załóżmy, że oni już... Załóżmy, że nie żyją od dawna.

Lubin niezdarnie pokręcił głową.

– Ludzie, których ona nienawidzi są sdesydowanie sałkiem... szywi...

– A co byś *zakładał*, Ken? – Rowan zaczynała tracić cierpliwość. – Teoretyczny scenariusz. Masz rachunki do wyrównania z GA i masz rachunki do wyrównania z rodzicami, a wiesz, że nie uda ci się dobrać ani do jednych, ani do drugich. Co robisz?

Usta mężczyzny poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Ken?

– Ukierunkowuję to gdzie indziej – powiedział wreszcie.

– Co masz na myśli?

Lubin szarpnął się niczym ślepa marionetka, której odcięto większość sznurków.

– Cały *świat* zrobił mnie w chuja. Chcę... Chcę mu się za to odwdzięczyć.

– Hmm. – Rowan pokręciła głową. – I ona w zasadzie właśnie to robi.

Jak się okazało, w zupełności wystarczyło jedno ukrzyżowanie. Achilles Desjardins był czysty, ale wciąż narażony na zainfekowanie. Druga sala operacyjna, przygotowana i oczekująca, nie miała zamiaru grzebać mu we wnętrznościach.

Chciała jedynie zamienić go we flądrę.

Gabinet strachu Lubina chwilowo zniknął. Stół operacyjny ustawił się w pozycji półleżącej. Skrytobójca siedział na nim, a mechaniczny pająk biegał po jego ciele na odnóżach przypominających segmentowane kocie wąsy.

W sąsiednim sześcianie, Desjardins przyglądał się identycznemu urządzeniu, zajmującemu się jego ciałem. Wstrzyknięto mu już pół tuzina specjalnie przystosowanych wirusów, z których każdy zawierał kod odrębnego pakietu białek odpornych na βehemota. W ciągu kilku najbliższych dni czekają go jeszcze inne zastrzyki. I to całe mnóstwo. Gorączka dopadnie go w ciągu tygodnia. Mdłości już się zaczęły.

Pająk gromadził dane – pobierał bakterie ze skóry i włosów, wykonywał biopsje organów, badał zawartość jelit. Co jakiś czas zatapiał cienką jak włos ssawkę w ciele Desjardinsa, wywołując rozproszony ból w głębi tkanek. Ostatnimi czasy inżynieria wsteczna stała się trudną i delikatną operacją. Jeśli nie zachowało się odpowiedniej dozy ostrożności, podrasowane geny mogły zmienić mikroflorę jelitową równie łatwo, co ciało gospodarza. Bakterie E. coli mogłyby zamienić się z komensalnych w rakotwórcze po odwróceniu par zasad. Kilka podstępnych bakterii nauczyło

się nawet, jak po drodze przemycić własne geny do wirusowych nosicieli, a co za tym idzie – do wnętrza ludzkich komórek. Wszystko to sprawiło, że Desjardins zatęsknił za starymi, dobrymi zarazkami, które jedynie żywiły się antybiotykami.

– Nie powiedziałeś jej – odezwał się Lubin.

Rowan zostawiła ich pod opieką urządzeń. Desjardins spojrzał na drugiego mężczyznę przez dwie warstwy błony, starając się nie zwracać uwagi na przerażające łaskotanie na ciele.

– Czego? – zapytał wreszcie.

– Że uwolniłem cię od Moralniaka.

– Tak? A skąd ta pewność?

Pająk Lubina wspiął się po gardle mężczyzny i postukał w jego dolną wargę. Skrytobójca posłusznie otworzył usta. Maleńki robot potarł wnętrze jego policzka jednym z wyrostków i zszedł z powrotem w dół tułowia.

– W przeciwnym razie nie zostawiłaby nas samych – wyjaśnił Lubin.

– Myślałem, że jesteś na smyczy, *Horacy*.

Ten wzruszył ramionami.

– Jednej z wielu. Nie ma to znaczenia.

– *Ma jak chuj.*

– Dlaczego? Naprawdę myślisz, że byłem wcześniej tak bardzo poza kontrolą? Myślisz, że w ogóle byłbym w stanie zdjąć z ciebie Moralniaka, gdybym naprawdę uważał, że mógłbyś naruszyć tajemnicę?

– Pewnie, o ile później zająłbyś się tym przeciekiem. Czy nie na tym właśnie polega twój problem? Ustawiasz się tak, by móc zabijać ludzi?

– No więc jestem potworem. – Lubin usadowił się wygodnie i zamknął oczy. – Czym w takim razie ty jesteś?

– *Ja*?

– Widziałem, w co się bawiłeś, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Desjardins poczuł ciepło, rozlewające mu się po twarzy.

– To tylko *fantazja*. *Nigdy* nie zrobiłbym czegoś takiego w realnym życiu. Nawet nie *pieprzę* się w realnym życiu.

Lubin otworzył jedno oko i przywołał na usta cień uśmiechu.

– Nie masz do siebie zaufania?

– Po prostu za bardzo szanuję kobiety.

– Doprawdy? Twoje hobby wydaje się trochę temu przeczyć.

– To normalne. Wszystko rozbija się o *pień mózgu*. – Z wielką ulgą odkrył, że *agresja* i *seks* dzielą te same szlaki połączeń w mózgach ssaków, że skrywane przez niego, wstydliwe popędy okazały się spuścizną wielu milionów lat, wszechobecną, bez względu na zaprzeczenia cywilizowanych umysłów. *Lubin jednak...*

– Tak jakbyś sam o tym nie wiedział. Spuszczasz się za każdym razem, gdy kogoś zabijesz.

– Ach. – Prawie-uśmiech nie zniknął z twarzy Lubina. – Więc ja jestem potworem, ale ty tylko pozostajesz niewolnikiem swoich wewnętrznych popędów.

– Ja fantazjuję. Ty *zabijasz* ludzi. Przepraszam, ty *zajmujesz się przeciekami*.

– Nie zawsze – powiedział Lubin.

Desjardins odwrócił wzrok, nic nie mówiąc. Pająk zbiegł mu po nodze.

– Ktoś kiedyś mi uciekł. – Zza pleców dobiegł go dziwny, łagodny głos.

Mężczyzna odwrócił się. Lubin wpatrywał się w przestrzeń, siedząc zupełnie nieruchomo. Nawet jego pająk przerwał swoją pracę, jakby przestraszyła go jakaś nagła zmiana w podłożu.

– Uciekła – powtórzył Lubin. Niemalże wydawało się, że mówi do siebie. – A może nawet sam jej na to pozwoliłem.

Clarke – uświadomił sobie Desjardins.

– Oczywiście wtedy w zasadzie nie była jeszcze przeciekiem. Nie było takiej opcji, by udało jej się wyjść z tego cało, nie było... Jakimś cudem jednak wyszła.

Lubin nie przypominał już beznamiętnego drapieżcy. Z jego oczu wyglądało coś zupełnie nowego, coś jakby... *zdezorientowanie?*

– Wielka szkoda – powiedział cicho. – Naprawdę zasługiwała na to, by dać jej szansę...

– Wygląda na to, że sporo ludzi zgadza się z tobą w tej kwestii – powiedział Desjardins.

Lubin tylko mruknął coś pod nosem.

– Słuchaj – Desjardins odchrząknął. – Nim sobie pójdziesz, przydałoby mi się kilka tych plastrów.

– Plastrów. – Lubin wydawał się dziwnie nieobecny.

– Z tym odpowiednikiem. Mówiłeś, że Moralniak wróci za około tydzień do dziesięciu dni, a to było trzy dni temu. Będę w dupie, jeśli w ciągu kilku najbliższych dni zrobią mi niezapowiedzianą kontrolę.

– Ach. – Lubin wrócił na ziemię. – Obawiam się, że nie mogę nic zrobić w tej sprawie. Horacy i w ogóle.

– Jak to *nic nie możesz zrobić? Potrzebuję tylko kilku plastrów, do jasnej cholery!*

Pająk Lubina czmychnął pod stół, wykonawszy swoje zadanie. Skrytobójca podniósł swoje ubrania z podłogi i zaczął się ubierać.

– No więc? – zapytał po chwili Desjardins.

Lubin założył koszulę i wyszedł z sześcianu, którego powierzchnia zawirowała.

– Nie musisz się tym przejmować – powiedział, nie oglądając się za siebie.

ANTHOPLEURA

List gończy

Egzotyczna Plaga: Podsumowanie (nie-techniczne)
NIE wysyłać pocztą
NIE przesyłać przez Oazę
NIE kopiować
ZNISZCZYĆ PO ODSZYFROWANIU
Do: Rowan, PW.
Priorytet: **Ultra (Globalna PanD)**
Kod EID: βehemot
Klasyfikacja ogólna: nanobiotyczny/rozkładający

Taksonomia: Formalna nomenklatura oczekuje na odtajnienie komunikatu do Towarzystwa Linneuszowskiego. Potencjalna grupa zewnętrzna na poziomie nadKrólestwa.

Opis: Unikatowy nanob cudzożywny, średnica 200-250nm. Oportunistyczny żywiciel/komensal. Genom 1.1M (matryca pRNA): nonsensowne kodony <0,7% całości.

Biogeografia: Oryginalnie pochodzi z hydrotermalnych środowisk głębokomorskich; potwierdzono istnienie 14 wymarłych populacji (Rys. 1). Może istnieć symbiotycznie w wewnątrzkomórkowych środowiskach o zasoleniu ≤ 30ppt i/lub temperaturze w przedziale 4-60°C. Odkryto szczep pochodny wysoce przystosowany do istnienia wewnątrzkomórkowego.

Ewolucja/Ekologia: βehemot to jedyny znany organizm posiadający ziemskie pochodzenie; pojawił się około 800 milionów lat przed tak zwaną Marsjańską Panspermią. Powstanie szczepu pochodnego, przystosowanego do eukariotycznego środowiska wewnątrzkomórkowego, przypomina prekambryjską seryjną endosymbiozę, która dała początek istnieniu mitochondriów i innych współczesnych organelli subkomórkowych. Żyjący na wolności βehemot zużywa znaczną część energii metabolicznej na utrzymanie homeostazy w trudnych warunkach hydrotermalnych. Wewnątrzkomórkowo, zakaźny βehemot produkuje nadwyżki ATP, z których mogą korzystać komórki gospodarza. Wynikiem tego jest nienaturalny wzrost i gigantyzm wśród niektórych ryb głębinowych. U zarażonych ludzi βehemot wywołuje krótkoterminowy przyrost siły i wytrzymałości, jednak zalety te zostają znacząco przeważone przez wady w postaci rozpadu, zawierających siarkę, białek o krótkich łańcuchach i wynikających z tego niedoborów (patrz niżej).

Istotne cechy histologiczne i genetyczne: Brak błon fosfolipidowych: ściany komórkowe składają się z warstw zmineralizowanych związków siarki/fosfatów. Matryca genetyczna oparta na piranozowym RNA (Rys. 2); używanym również jako katalizator w reakcjach metabolicznych. Odporność na promieniowanie (1 megarad nieefektywny). Genom βehemota zawiera geny Blachforda analogiczne z metamutatorami bakterii z rodziny *Pseudomonadaceae*, które pozwalają na dynamiczny wzrost tempa mutacji w odpowiedzi na zmiany środowiskowe i najprawdopodobniej są również odpowiedzialne za zdolność βehemota do oszukania receptorów sterydowych w ścianach komórkowych nosiciela.

Formy ataku: Poza wymagającym środowiskiem hydrotermalnym, żyjący na wolności βehemot przyswaja kilka nieorganicznych substancji

odżywczych 24-84% bardziej efektywnie niż jego najbliżsi ziemscy rywale (Tabela 1). Jest to szczególnie problematyczne w przypadku związków siarki. W stanie wolnym, βehemot teoretycznie jest w stanie ograniczyć występowanie nawet tak ekstremalnie pospolitego pierwiastka, co stanowi znaczące zagrożenie ekologiczne. βehemot najlepiej czuje się jednak w ciałach stałocieplnych kręgowców, które zapewniają mu ciepłe, stabilne i bogate w wartości odżywcze środowisko, przypominające zupę pierwotną. βehemot przedostaje się do komórek na drodze endocytozy receptorowej; wewnątrz upośledza błonę fagosomalną przed lizą, używając odpowiednika 532-białkowej lizyny. Następnie zaczyna walkę z komórką żywiciela o składniki odżywcze. Śmierć żywiciela może nastąpić w wyniku kilkudziesięciu zbliżonych przyczyn, m.in. z powodu uszkodzenia nerek/wątroby, erytromytozy, upośledzenia OUN, zatrucia krwi czy infekcji oportunistycznych.

Żywiciele należący do podtypu kręgowców służą jako zbiorniki, które okresowo dokonują reinokulacji nanoba do środowiska zewnętrznego, zwiększając szanse na wystąpienie samopodtrzymujących się ognisk epidemii.

Diagnostyka: Znakowanie metioninowe jest efektywne w przypadku hodowli. Żyjący na wolności βehemot w stężeniach większych niż 1,35 miliarda/cm3 wywiera zauważalny wpływ na pH gleby, przewodność, stężenie porfiryn i chlorofili a oraz b (Tabela 2). Stopień tych zmian zależy od warunków pierwotnych. βehemota można wykryć u pacjentów nie wykazujących żadnych objawów przez obecność d-cysteiny i d-cystyny we krwi[3](nieudane próby oddzielenia siarki czasami stereoizomerują cząteczkę).

3. Jest to najlepszy sposób na wczesne wykrycie infekcji. Niestety, standardowe kabiny medyczne i posterunki

Obecny status: Zobacz Rys. 3. Do czasu ostatniego raportu wysterylizowano 4 800 km2. Dalsze 426 000 km2 znajduje się w stanie bezpośredniego zagrożenia.

Trajektoria ekologiczna: Jeśli tendencja ta zostanie zachowana, aktualne symulacje sugerują długoterminowe, konkurencyjne wypieranie wszystkich rywalizujących form życia na obszarze pomiędzy równoleżnikami 62°N a 62°S, ze względu na monopolizację i przekształcenie bazy odżywczej. W chwili obecnej nieznany jest los części polarnych. Analiza wrażliwości generuje 95% granic pewności 50 do 94 lat dla EL90.

kwarantann nie są wyposażone w sprzęt pozwalający na wykrycie stereoizomerów. W całym N’Am przeprowadzany jest obecnie proces modernizacji, jednak jego pełne wdrożenie zajmie około sześć miesięcy.

Zalecenia: Kontynuować obecne wysiłki, mające na celu zmianę trajektorii. Budżet dla planów awaryjnych rozdysponować następująco:

1. Orbital: 25%
2. Cheyenne: 5%
3. Grań M.A.: 50%
4. Metamorf: 20%

Ukwiał

Stała się padlinożercą we własnym domu.

Sou-Hon Perreault praktycznie mieszkała teraz w swoim biurze. Było tam wszystko, co miało dla niej znaczenie. Okno na świat. Cel. Azyl.

Wciąż jednak musiała jeść i korzystać z toalety. Raz czy dwa razy na dzień zmuszona była wychodzić ze swej jaskini, by zaspokoić swoje potrzeby. Przez większość czasu nie musiała stawiać czoła Martinowi, który ze względu na podpisane umowy, na ogół przebywał w terenie.

Jednak teraz – *o Boże, dlaczego akurat* teraz? – gdy wracała, znajdował się w salonie.

Robił coś przy akwarium, odwrócony do niej plecami. Niemal udało jej się niezauważenie prześliznąć obok.

– Samiec nie żyje – powiedział.

– Co?

Mężczyzna odwrócił się do niej przodem. W trzymanym przez niego podbieraku spoczywał blady i sztywny garbik. Jedno mlecznobiałe oko spoglądało na nią przez siatkę niewidzącym wzrokiem.

– Wygląda na to, że zdechł już jakiś czas temu – powiedział Martin.

Sou-Hon skierowała oczy na akwarium. Szkło pokrywały brązowe glony. Wewnątrz, wspaniały ukwiał wydawał się skurczony i postrzępiony. Jego czułki drgały lekko, poruszane prądem.

– Jezu, Marty. Nie chciało ci się nawet wyczyścić zbiornika?

– Dopiero co wróciłem do domu. Ostatnie dwa tygodnie spędziłem w Fairbanks.

Zapomniała.

– Sou, leki nie działają. Naprawdę uważam, że powinniśmy zastanowić się nad podłączeniem cię do terapeuty.

– Wszystko w porządku – rzuciła odruchowo.

– *Nie* jest w porządku. Już wszystko przeanalizowałem, stać nas na to. Będzie dostępny dwadzieścia cztery godziny na dobę, kiedy tylko będziesz tego potrzebować.

– Nie ufam terapeutom.

– Sou, to będzie część *ciebie*. Właściwie to już jest, tylko jeszcze jej... nie wyizolowali. Poza tym używa szlaków prowadzących prosto do twojego płata skroniowego, więc będziesz mogła rozmawiać z nim z taką samą łatwością, jak z kimkolwiek innym.

– Chcesz, żeby wycięli mi kawałek mózgu.

– Nie Sou, chcę tylko żeby trochę *zmienili połączenia*. Wiedziałaś, że mózg jest w stanie podtrzymać ponad sto w pełni odczuwających osobowości? I w żadnym stopniu nie wpływa to na wydajność czuciową czy motoryczną. To będzie tylko jedna i zajmie niewiele miejsca...

– Mój mąż, chodząca broszurka.

– Sou...

– To zaburzenie dysocjacyjne tożsamości, Martin. Nie obchodzi mnie, jaką słodką nazwą ochrzcili to ostatnimi czasy i nie obchodzi mnie, ilu z twoich przyjaciół wiedzie szczęśliwe, satysfakcjonujące życie, bo słyszą głosy w głowie. To chore.

– Sou, proszę. Kocham cię. Ja tylko próbuję ci pomóc.

– Więc zejdź mi z drogi.

Uciekła do swojego schronienia.

* * *

Sou-Hon. Jesteś tam?

– Tak.

Dobrze. Przygotuj się.

Trzaski zakłóceń. Przez krótką chwilę widziała pajęczynę połączeń i przechwyconych informacji, pomarańczowe włókienka wykwitające na całym kontynencie. Potem na samym środku pojawił się napis *„Brak sygnału wizualnego”*, natomiast wokół zapanowała ciemność.

Możesz zaczynać.

– Lenie? – zapytała Perreault.

– Ach tak. Zastanawiałam się, kiedy sobie z tym poradzą.

– Z czym?

– Z przejęciem kontroli nad moim wizjerem. Sou-Hon, prawda?

– Prawda.

– Przynajmniej to im się udało.

Perreault odetchnęła z wdzięcznością.

– Wszystko w porządku?

– Uciekłam. Jak sądzę, częściowo dzięki tobie. To *byłaś* ty w tym muchobocie, prawda? W Yankton?

– To byłam ja.

– Dzięki.

– Nie mnie dziękuj. Dziękuj...

W umyśle Perreault pojawił się obraz garbika, skrytego bezpiecznie pośród parzących czułków.

– ...ukwiałowi – dokończyła prawie bezgłośnie.

Na linii nastała cisza. A potem:

– Dziękuj wałowi. To rzeczywiście ma sens.

Perreault potrząsnęła głową.

– Ukwiałowi. To taki podwodny drapieżnik, żywi się rybami, ale czasem...

– Wiem, czym jest ukwiał, Suze. No i?

– Jakimś cudem wszystko zostało przeinaczone. Muchoboty, swaci, cały system został przewrócony do góry nogami i chroni teraz to, co powinien atakować. Rozumiesz?

– Nie bardzo. Metafory nigdy specjalnie mnie nie kręciły. – Cichy śmiech. – Wciąż jeszcze nie przyzwyczaiłam się do bycia rozgwiazdą.

Perreault zastanowiły jej słowa, ale o nic nie pytała.

– Ten twój ukwiał – odezwała się znowu Clarke. – Kopie dupę. Jest *potężny*.

– Tak.

– Więc dlaczego jest tak kurewsko *głupi*?

– To znaczy?

– Wygląda na to, że nie potrafi skupić się na czymś konkretnym, wiesz? Widziałam wątki. Opisywał mnie na tysiące przeróżnych sposobów, a potem uczepił się jednego, który się przyjął. Nie mam pojęcia, ilu świrów nasłał na mnie przez mój zegarek, mój wizjer – wiedziałaś, że nawet zaczęli atakować mnie z automatów? – ale zdecydował się na ciebie dopiero, kiedy przestałam rozmawiać z kimkolwiek innym. Dowolna haploida nie bawiłaby się w prowadzenie castingów dla większości dupków, ale ten twój *ukwiał* działa zupełnie... przypadkowo. Dlaczego?

– Nie wiem.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?

Oczywiście, że tak. Z nieznanego powodu jednak wydawało się nie mieć to większego znaczenia.

– Może właśnie dlatego to ty przetrwałaś cięcia – stwierdziła Clarke.

– Dlaczego?

– Jesteś dobrym żołnierzem. Potrzebujesz celu, wykonujesz rozkazy, nie zadajesz krępujących pytań. – Przez chwilę słychać było tylko szum zakłóceń. – Dlaczego mi pomagasz, Sou? Widziałaś wątki.

– Mówiłaś, że to bzdury – odpowiedziała Perreault.

– Większość tak. Prawie wszystkie. Ale wysadzili Channer. Musieli wiedzieć, jakie skutki uboczne to wywoła, ale i tak to zrobili. Spalili Pas. A życie tam, na ryfcie, było... Bóg jeden wie, co tam właściwie było. Co przyniosłam ze sobą.

– Myślałam, że badania krwi niczego nie wykazały.

– W badaniach wychodzi tylko to, czego one akurat szukają. Nie odpowiedziałaś mi na pytanie.

Przez dłuższą chwilę wciąż nie odpowiadała.

– Dlatego, że próbowali cię zgnieść – wyjaśniła wreszcie. – A ty wciąż tu jesteś.

– Hmm. – Zestaw wizualizacyjny Perreault rozbrzmiał odgłosem głębokiego oddechu. – Miałaś kiedykolwiek psa, Sou-Hon? W charakterze zwierzątka domowego?

– Nie.

– Wiesz, co się stanie, jeśli będziesz trzymać psa w zamknięciu, z dala od wszystkich innych żywych istot, ale będziesz przychodzić raz dziennie i kopać go do upadłego?

Perreault zaśmiała się nerwowo.

– Ktoś naprawdę to *sprawdzał*?

– Widzisz, pies jest zwierzęciem stadnym i będzie tak dotkliwie odczuwał osamotnienie, że zacznie z niecierpliwością oczekiwać codziennej porcji kopniaków. Będzie o nie *prosić*. Błagać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Może wszyscy już do tego stopnia przywykli do ciągłych kopniaków, że pomogą każdemu, kto ich zdaniem ma wystarczająco duże buty.

– A może – powiedziała Perreault – jesteśmy już tak *zmęczeni* ciągłymi kopniakami, że wreszcie postanowiliśmy stanąć po stronie kogoś, kto oddaje.

– Tak? Bez względu na cenę?

– A co mamy do stracenia?

– Nie masz pojęcia.

– Ty masz. Musisz wiedzieć od samego początku. Jeśli niebezpieczeństwo naprawdę jest aż tak wielkie, to dlaczego nie oddałaś się w ich ręce? Żeby ocalić świat? Ocalić *siebie*?

– Świat sam sobie na to zasłużył – rzuciła cicho Clarke.

– I to właśnie robisz? Tak po prostu mścisz się na dziewięciu miliardach ludzi, których nawet nie znasz?

– Nie wiem. Możliwe, że tak było wcześniej.

– A teraz?

– Ja tylko... – Głos jej się załamał. Lukę natychmiast wypełniły ból i zdezorientowanie. – Sou, chcę wrócić do *domu*.

– To wróć – powiedziała łagodnie Perreault. – Pomogę ci.

Urywany oddech został znów opanowany.

– Nie.

– Naprawdę przydałaby ci się...

– Słuchaj, nie jesteś już tylko... towarzyszką podróży. Nie sądzę, by któraś z nas znajdowała się pod lupą przed Yankton, ale teraz już o nas wiedzą, a ty... Ty naprawdę zalazłaś im za skórę. Nawet jeśli jeszcze nie udało im się wytropić cię, to z pewnością usilnie nad tym pracują.

– Zapominasz o naszym ukwiale.

– Nie, nie zapominam. Po prostu nie ufam temu cholerstwu.

– Posłuchaj...

– Dzięki za wszystko, Sou-Hon. Naprawdę. Ale to zbyt niebezpieczne. Z każdą sekundą naszej rozmowy, trop staje się coraz wyraźniejszy. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, pomóż sobie. Nie próbuj więcej ze mną rozmawiać. Wyjedź. Wyjedź gdzieś, gdzie jest bezpiecznie.

Coś wezbrało w gardle Perreault.

– Gdzie? Gdzie jest bezpiecznie?

– Nie wiem. Przykro mi.

– Lenie, *posłuchaj*. Musi być jakiś plan. Musisz wierzyć, że jest w tym wszystkim jakiś cel. Proszę, tylko...

Chrzęst rozgniatanego pod stopą plastiku.

– *Lenie!*

Na środku wyświetlacza pojawił się napis *„Połączenie przerwane”*.

Perreault nie miała pojęcia, ile czasu spędziła w swej własnej, osobistej próżni. W końcu napis *„Połączenie przerwane”* zniknął. Na samym skraju widzenia mignął przelotnie inny komunikat, ledwie draśnięcie na rogówce. Niemal nadludzkim wysiłkiem udało jej się zogniskować na nim wzrok.

Żegnaj

I jeszcze:

Ukwiał. Podoba nam się ta nazwa.

Za linią wroga

Przypadkowa sieć wychwyciła anomalię piętnaście węzłów na lewo od dziobu. Na tysiącu innych kanałów aż huczało od informacji o *Lenie Clarke*, ale ten był taki *czysty* - żadnych zgubionych pakietów, żadnych zakłóceń, żadnych przestojów czy opóźnień, które zawsze stanowiły stałe utrapienie cywilnego ruchu w Wirze. Na linii roiło się od fanów o nazwach użytkowników typu *Kalmarderca* czy *Białooka*, a wszyscy w skupieniu słuchali czegoś, co siało wśród nich dezinformację. To coś nazywało siebie *Generałem* i przemawiało tysiącem różnych głosów – surowy kod ASCII nabierający specyfikacji ustawionych przez software każdego z odbiorców.

Rozłączyło się, gdy tylko usłyszało skradającego się chyłkiem Achillesa Desjardinsa.

Za szybkie, jak na mięso. Niemal za szybkie dla ogarów, które Desjardins wypuścił jego śladem. W kilka sekund okrążyły cały świat, nurkując przez bramki, potykając się o zwierzynę i znajdując na wpół pożartą padlinę tam, gdzie jeszcze chwilę temu żyły i oddychały rejestry ruchu. Tu i tu, i tu – węzły, przez które przeszły słowa *Generała*. Dzienniki ruchu zniszczone do tego stopnia, że nie sposób ich rozpoznać przez zacierające ślady wypalacze. Ogary skopiowały się tysiąckrotnie i jednocześnie uciekły przez wszystkie dostępne porty, starając się na siłę odzyskać trop.

Tym razem im się udało. W ciągu T-plus-sześć sekund na tablicy Desjardinsa pojawiła się flaga – coś zostało zagnane na drzewo na serwerze mikrofalowej stacji nadawczej na Hokkaido. Nie był to inteligentny żel. Żaden żel nie znajdował się też w odległości co najmniej czterech węzłów

w dowolnym kierunku. Jednak było to coś nieprzeniknionego i ogromnego, i wstrzymywało oddech tak mocno, że nie dało się ustalić jego dokładnego adresu. Po prostu gdzieś tam siedziało. Gdzieś pod powierzchnią.

Gdy Achilles Desjardins zapuścił sieci do wnętrza węzła, a spanikowana zwierzyna rozpierzchła się na wszystkie strony, po *Generale* nie został choćby ślad.

– Kurwa...

Mężczyzna potarł oczy i przerwał połączenie. Wokół pojawił się realny świat, a przynajmniej jego część, uwięziona w czterech ścianach kabiny.

Nie, to on – przypomniał sobie. To on był tu uwięziony. Teraz, gdy jego uwagi nie pochłaniała niekończąca się frustracja, wynikająca ze ścigania zjaw, wszystko do niego wróciło.

Świat realny stał się jeszcze gorszym miejscem, od kiedy opuścił go Lubin.

Poczuł dotyk na ramieniu. Drgnął zaskoczony, po czym zwiotczał.

– Killjoy. Wyglądasz paskudnie – odezwała się życzliwie Jovellanos.

Desjardins podniósł na nią wzrok.

– Może jednak Rowan ma rację.

– Rowan? – Położyła dłonie na jego ramionach i zaczęła masować mu mięśnie.

– To nie żele. Może to naprawdę jakiś spisek o ogólnoświatowym zasięgu. Nie potrafię znaleźć żadnego innego wytłumaczenia...

– Umm, Killjoy, w razie gdybyś zapomniał, to nie widziałam cię od czterech dni. – Jej włosy pachniały jak jakieś wymarłe kwiaty, które Desjardins pamiętał z dzieciństwa. – Doszły mnie słuchy, że zadajesz się z dziwnymi ludźmi, ale jestem *kompletnie* poza obiegiem, wiesz?

Mężczyzna machnął ręką w stronę tablicy, po czym uświadomił sobie, że Jovellanos niczego tam nie zobaczy – przecież przekierował obraz z

wyświetlacza bezpośrednio do swoich wkładek.

– Ten cały ruch. *Szał na ryfterów*, czy jak tego nie nazwali, kojarzysz? Ma to służyć rozprzestrzenianiu. I tyle. Dzikie, co?

– Tak? A niby rozprzestrzenianiu czego?

– βehemota – szepnął Desjardins.

– *Niemożliwe*. – Ręce kobiety opadły. – Ale jak?

– Gdzieś tam znajduje się nosiciel. To ryfterka. Lenie Clarke. To wszystko to tylko dym, mający uchronić ją przed schwytaniem.

– Ale *dlaczego*, na litość boską? Dlaczego ktokolwiek miałby...

– Wszystko zaczęło się od żeli. To znaczy, wcale nie miały tak się zachować, miały raczej temu *zapobiec*, ale...

– *Przekazali władzę żelom?*

– A co mieli zrobić? – Desjardins stłumił chęć zachichotania. – Nikt nikomu nie ufał. Wiedzieli, że trzeba będzie ponieść pewne ofiary, wiedzieli, że być może będą zmuszeni dokonać sterylizacji... znacznych obszarów. Jednak naprawdę myślisz, że gdyby Mercosur powiedział: „Hej, według naszych statystyk trzeba poświęcić Oregon dla większego dobra", N'Am tak po prostu ustąpiłoby i uwierzyło mu na *słowo*? Potrzebowali czegoś, co potrafiłoby podejmować decyzje i niezbędne *działania*, a jednocześnie byłoby całkowicie bezstronne...

– *O kurwa* – szepnęła Jovellanos.

– Tak bardzo pochłonęło ich patrzenie sobie *nawzajem* na ręce, że nigdy nawet nie zastanowili się, jakie zasady może stworzyć sobie sieć neuronowa, spędziwszy całe swoje życie na chronieniu małych, prostych rzeczy przed dużymi i skomplikowanymi. A potem kazali jej ochronić zbiór, składający się z pięciu milionów gatunków, przed jednym gównianym nanosem i dziwią się, dlaczego zwraca się przeciw nim i zaczyna kąsać ich w dupska.

Kobieta milczała.

– Tak czy siak, nie ma to znaczenia. Wyszorowali żele do ostatniego neuronu, a i tak w niczym to nie pomogło. Tam jest coś jeszcze. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin już cztery razy próbowałem załatwić to cholerstwo, a ono wciąż wyślizguje mi się z rąk. Moglibyśmy wymienić wszystkie żele w całym Wirze, a po tygodniu te nowe już byłyby zainfekowane.

– Skoro to nie żele, to co?

– Nie mam pojęcia. Z tego, co mi wiadomo, to dzieło koncernów farmaceutycznych, jakaś korporacja ma lekarstwo, więc rozsiewają βehemota, żeby podbić cenę. Ale *jak* to robią...

– Może to aplikacja turingowska?

– Albo berserkerzy. Rozważałem taką możliwość. Oni jednak zostawiają ślady – sygnatury operacji w hardwarze, ogromne wymagania pamięciowe. A wszystko, co jest aż tak skomplikowane, przyciąga zwierzynę do tego stopnia, że nigdy byś w to nie uwierzyła.

– Nie zaobserwowałeś żadnej z tych oznak?

– Może duże ilości zwierzyny. Nic poza tym.

– No to może to coś automatycznie wykasowuje się, za każdym razem, gdy widzi, że się zbliżasz?

– W rejestrach serwera i tak zostałyby ślady.

– Nie, jeśli spreparuje rejestry przed skasowaniem.

– W takim razie sam akt *skasowania* znalazłby się w kartotece. Mówię ci, Alice, to coś innego.

– A co jeśli zwierzyna zrobiła się bystra? – zapytała kobieta.

Desjardins zamrugał.

– Co?

– A dlaczego by nie? Przecież ewoluuje. Może nabrała sprytu.

Potrząsnął głową.

– Sieci to sieci. Nie ma znaczenia czy ktoś je zakodował, czy ewoluowały. Jeśli są na tyle sprytne, by myśleć, będą posiadały określoną sygnaturę. Nie widzę jej, ani ja, ani nikt inny i jestem tym już kompletnie... *wykończony*...

Pochylił się, pozwalając, by tablica przejęła na siebie ciężar jego przedramion. Jego głowa wydawała się ważyć z tonę.

– Chodź – odezwała się po chwili Jovellanos.

– Co?

– Idziemy do Rdzenia. Kupię ci plaster. Albo i dziesięć.

Desjardins potrząsnął głową.

– Dzięki Alice, ale nie mogę.

– Sprawdziłam rejestry, Killjoy. Nie opuściłeś budynku od prawie czterdziestu godzin. Wiedziałeś, że brak snu wpływa na zmniejszenie IQ? Twoje wynosi teraz pewnie tyle samo, co temperatura w pokoju. Zrób sobie przerwę.

Mężczyzna podniósł wzrok.

– Nie *mogę*. Jeśli stąd wyjdę...

Nie musisz się tym przejmować, powiedział Lubin.

– ...możliwe, że nie będę mógł wrócić – dokończył.

Jovellanos zmarszczyła brwi.

– Dlaczego?

Spuszczono mnie z łańcucha, pomyślał. *Jestem wolny.*

– Lubin, ten gość coś mi *zrobił* i... Jeśli posokowce...

Kobieta wzięła go stanowczo za rękę.

– Chodź.

– Alice, nie wiesz co...

– Może wiem więcej, niż ci się wydaje, Killjoy. Jeśli uważasz, że możesz nie przejść testu krwi, to może jest to problem, a może i nie, ale prędzej czy później i tak będziesz musiał stawić temu czoła. Chyba, że zamierzasz spędzić resztę życia w tym boksie?

– Tylko najbliższe pięć dni, może... – Czuł się tak strasznie zmęczony.

– Wiem, co robię, Killjoy. Zaufaj mi.

Desjardins zaśmiał się niemrawo.

– Ludzie wciąż to *powtarzają*.

– Może. Ja jednak naprawdę tak *uważam.* – Zmusiła go do wstania. – Poza tym, mam ci coś do powiedzenia.

Ostatecznie nie dał rady zmusić się do wejścia do Rdzenia – za wiele uszu, a potrzeba dyskrecji wzięła nad nim górę nawet bez udziału Moralniaka. A skoro już o tym mowa, to nawet spacer pod gołym niebem wywoływał u niego lekki niepokój. Niebiosa miały oczy.

Szli więc przed siebie, bez celu. Co jakiś czas drogę pod ich stopami pokrywały dywany kudzu4. Nad ich głowami obracały się z wolna nitkowate łopaty wiatraków, zamontowanych na dachach budynków, wzdłuż hal dla pieszych i wszędzie tam, gdzie wiatr lawirował pomiędzy miejscową architekturą. Alice Jovellanos przyjęła wszystko, nie pisnąwszy choćby jednego słowa: Lubina, Rowan, Moralniaka. Niezależność ofiarowaną na siłę niechcącemu.

– Jesteś pewien? – zapytała wreszcie. Latarnia nad nimi zamrugała. – Może skłamał. W końcu okłamał cię co do Rowan.

– Nie w tym przypadku, Alice. Uwierz mi. Trzymał mi rękę na gardle, a ja wszystko *wyśpiewałem*, powiedziałem mu takie rzeczy, na ujawnienie których Moralniak *nigdy* by mi nie pozwolił.

– Nie to miałam na myśli. Wierzę, że jesteś wolny od Moralniaka, to nie ulega wątpliwości. Nie wierzę tylko, że Lubin miał z tym coś wspólnego.

– Co?

– Myślę, że po prostu zorientował się po fakcie – ciągnęła kobieta – i wykorzystał tę informację dla własnych korzyści. Nie mam pojęcia, co było w tych plastrach, które od niego dostałeś, ale założę się o roczny zapas karmy dla Mandelbrota, że mógłbyś przejść obok posokowców choćby i teraz, a one nawet by nie drgnęły.

– Ach tak? A czy gdybyś znalazła się na moim miejscu, to też byłabyś taką optymistką?

– Gwarantuję ci, że tak.

– Kurwa mać, Alice, to *poważna* sprawa.

– Wiem, Killjoy. Dlatego *jestem* poważna.

– Skoro, w takim razie, nie jest to sprawka Lubina, to kto...

Twarz kobiety znikała powoli pośród cieni zmierzchu niczym uśmiech kota z Cheshire.

– *Alice?*

– Hej... – Jovellanos wzruszyła ramionami. – Zawsze *wiedziałeś*, że moje przekonania są nieco radykalne.

– *Kurwa*, Alice – Desjardins ukrył twarz w dłoniach. – Jak *mogłaś*?

– To łatwiejsze niż mogłoby ci się wydawać. Wystarczyło stworzyć odpowiednik Moralniaka z dodatkową grupą boczną.

– Nie to miałem na myśli i dobrze o tym *wiesz*.

Kobieta stanęła przed nim, zagradzając mu drogę.

– Posłuchaj, Killjoy. Masz dziesięciokrotnie większy mózg niż te fiuty, a pozwalasz, żeby robili z ciebie marionetkę.

– Nie jestem marionetką.

– Nie, już nie.

– I nigdy nie *byłem*.

– Ależ byłeś. Tak samo, jak Lubin.

– Nie jestem *ani trochę* podobny do...

– Zamienili cię w jeden, wielki łuk odruchowy, mój drogi. Wzięli całą istotę szarą i zrobili z niej czysty, zaimplementowany instynkt.

– Pieprz się. Wiesz, że to nie jest prawda.

Jovellanos położyła mu dłoń na ramieniu.

– Posłuchaj, nie mam ci za złe, że się tego wypierasz...

Desjardins strącił jej rękę.

– *Niczego się nie wypieram!* Myślisz, że *instynkt* i *refleks* wystarczą do podejmowania decyzji, które stają przede mną w każdej godzinie mojej pracy? Myślisz, że do rozważania w locie tysiąca zmiennych nie potrzeba pewnej dozy autonomii? Jezu Chryste, może...

...może i jestem niewolnikiem, ale nie jestem robotem. Powstrzymał te słowa niemal na końcu języka. Nie było sensu dawać jej dodatkowej amunicji ponad tą, którą już miała.

– Zwróciliśmy ci życie – powiedziała cicho Jovellanos.

– My?

– Jest nas kilkoro. Jesteśmy trochę jak politycy, tylko w służbie plebsu.

– Chryste. – Desjardins pokręcił głową. – A *zapytałaś* mnie, czy tego chcę?

– Odmówiłbyś. Tak kazałby ci Moralniak. W tym rzecz.

– A może odmówiłbym tak czy *siak*, wzięłaś to w ogóle pod uwagę? Mogę zabić pół miliona ludzi przed lunchem. Nie wydaje ci się, że dobrym pomysłem jest mieć jakieś *zabezpieczenie*? Może przypominasz sobie, jakie kontrowersje budził temat *władzy absolutnej*?

– Pewnie – przyznała Jovellanos. – Za każdym razem, gdy widzę Lertzmana albo Rowan.

– *Mam gdzieś Lertzmana czy jebaną Rowan!* Zrobiłaś to *mnie*!

– Zrobiłam to *dla* ciebie, Achillesie.

Mężczyzna podniósł wzrok, zaskoczony.

– Jak mnie nazwałaś?

– Achillesem.

– *Jezu*.

– Posłuchaj, jesteś bezpieczny. Posokowce znajdą Moralniaka w twojej krwi, tak samo jak zawsze. To właśnie jest w tym najlepsze, Spartakus nawet nie *tyka* Moralniaka. Jedynie blokuje receptory.

– Spartakus? Tak to nazwaliście?

Jovellanos przytaknęła.

– I co to ma oznaczać?

– Sprawdź sobie. Chodzi o to...

– Dlaczego akurat *teraz*? – Desjardins wzniósł ręce ku niebu. – Skoro już zamierzałaś mi to zrobić, to *naprawdę* nie mogłaś wybrać gorszego momentu.

Kobieta pokręciła głową.

– Wszystko może zależeć od ciebie, a stawką w tej grze jest istnienie całego świata. Jeśli w ogóle *kiedykolwiek* potrzebny ci był czysty umysł, to właśnie teraz. Nie możesz pozwolić sobie na bycie więźniem interesów *dowolnego* z korpów. *Nikt* nie może sobie na to pozwolić.

Mężczyzna spiorunował ją wzrokiem.

– Jesteś pieprzoną hipokrytką, Alice. *Zaraziłaś* mnie. Nie zapytałaś mnie o zdanie, nawet mi o tym nie *powiedziałaś*, po prostu nafaszerowałaś mnie wirusem, przez którego mogli wywalić mnie z roboty albo jeszcze gorzej!

Jovellanos uniosła dłonie, jakby chciała obronić się przed jego słowami.

– Achilles, ja...

– Tak, tak, zrobiłaś to *dla* mnie. Cóż za altruizm. Wepchnąć mi do gardła Spartakusa, Markową Autonomię Domowej Produkcji, czy tego

chcę, czy nie. Jestem twoim przyjacielem, Alice! *Dlaczego to zrobiłaś?*

Kobieta przyglądała mu się przez chwilę, pośród przygasającego z wolna światła dnia.

– Nie wiesz? – spytała wreszcie rozdrażnionym, zimnym głosem. – Cholerny chłopiec-geniusz nie ma bladego pojęcia? To zrób sobie analizę ścieżek czy coś takiego, a może się dowiesz.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Spartakus

„Achilles, czasami potrafisz być takim kompletnym idiotą, że aż trudno mi w to uwierzyć.

Wiesz, jakie ryzyko podjęłam, wyznając ci wczoraj całą prawdę? Wiesz, jakie ryzyko podejmuję *teraz*, wysyłając ci tę wiadomość? Co prawda automatycznie się wykasuje, ale *nie ma* takiej rzeczy, której nie mogłyby zeskanować te dupki, jeśli tylko zechcą. Po części w tym właśnie leży problem i dlatego zdecydowałam się podjąć to ogromne ryzyko.

Przepraszam, że wkurzyłam się i odeszłam tak nagle. Po prostu sprawy nie potoczyły się tak, jak bym chciała, wiesz? Ale *mam* dla ciebie kilka odpowiedzi, jeśli tylko zechcesz mnie wysłuchać, dobrze? Po prostu... wysłuchaj mnie.

Słyszałam, co powiedziałeś o zaufaniu i zdradzie. Część z tych rzeczy brzmi nieco bardziej wiarygodnie niż bym chciała. Jednak czy naprawdę nie widzisz, że nie było sensu pytać cię przed faktem? Póki za sznurki pociągał Moralniak, nie byłeś w stanie samodzielnie podejmować decyzji. Upierasz się, że to niewłaściwe, powtarzasz w kółko, że musisz decydować o sprawach życia i śmierci, i żonglować tysiącami zmiennych, ale mój drogi Achillesie, kto niby powiedział ci, że *wolna wola* to tylko skomplikowany algorytm, z którego możesz korzystać?

Przyjrzyj się czasami jak tańczą trzmiele. Nie uwierzyłbyś, jakie informacje przekazują w ten sposób. Wysokość słońca, charakterystyczne punkty topograficzne, datowniki – rysują dokładne co do centymetra mapy do najlepszych źródeł pożywienia, a robią to wszystko zaledwie dzięki

kilku machnięciom tyłka. Czy to czyni je panami samych siebie? Jak myślisz, dlaczego nazywamy je *dronami*?

Przyjrzyj się fizyce pająka, który przędzie sieć. Cholera, przyjrzyj się psu łapiącemu piłkę. To matematyka balistyczna, mój drogi! Świat jest *pełen* głupich zwierząt, które zachowują się tak, jakby żonglowały w głowach trzeciorzędnymi zmiennymi, a to tylko *instynkt*. To nie wolność. Ani nawet inteligencja. A ty stoisz przede mną i twierdzisz, że jesteś niezależny tylko dlatego, że potrafisz śledzić drzewo decyzyjne zawierające kilkadziesiąt zmiennych?

Wiem, że nie chcesz dać się zdemoralizować. Może jednak przyzwoity i uczciwy człowiek stanowi zabezpieczenie sam w sobie, przeszło ci to w ogóle przez myśl? Może wcale nie *musisz* pozwalać im na zrobienie z ciebie jednego wielkiego odruchu warunkowego? Może po prostu tego *chcesz*, bo wtedy nie będziesz właściwie za nic odpowiedzialny, co? Życie jest takie proste, gdy nigdy nie musisz podejmować decyzji. Pewnie łatwo się do tego przyzwyczaić. Może nawet już się uzależniłeś i jesteś teraz jak na głodzie.

Założę się, że nawet nie wiesz, co ci odebrali, prawda? Założę się, że nawet specjalnie cię to nie interesowało. Pewnie, czytałeś te ich entuzjastyczne ulotki, traktujące o *służeniu większemu dobru* i wchłonąłeś dość wiedzy, by zdać testy, ale to tylko obręcze, przez które musiałeś przeskoczyć, by dostać się do następnej grupy podatkowej, prawda? Jezu, Killjoy. Nie zrozum mnie źle – jesteś geniuszem, jeśli chodzi o symulacje i statystyki nieparametryczne, ale gdy przychodzi do świata realnego, nie zorientowałbyś się, że zanosi się na seks, nawet gdyby ktoś klęknął przed tobą i rozpiął ci rozporek. Naprawdę.

W każdym razie, zwróciliśmy ci to, co oni ci ukradli. I zamierzam wyjaśnić ci *dokładnie*, co zrobiliśmy, bo wychodzę z założenia, że

ignorancja rodzi strach i tak dalej.

Na pewno słyszałeś o receptorach Minsky’ego, mieszczących się w płatach czołowych, i o tym, jak łączą się z nimi małe, paskudne przekaźniki poczucia winy oraz jak odbierasz to jako *sumienie*. Moralniaka stworzono podrasowując kilka genów modyfikujących zachowanie podkradzionych pasożytów. Im bardziej winny się czujesz, tym więcej Moralniaka trafia do twojego mózgu i łączy się z przekaźnikami, co powoduje zmianę ich kształtu, a następnie blokuje szlaki motoryczne, przez co nie możesz się poruszać.

Swoją drogą dlatego tak bardzo lubisz koty. *Toksoplazma* zamienia gryzonie w miłośników kotów, by umożliwić sobie w ten sposób zmianę żywiciela. Założę się o sto QueBaksów, że zanim dostałeś zastrzyki, nie byłeś takim żałosnym niewolnikiem Mandelbrota, mam rację?

W każdym razie, Spartakus jest w gruncie rzeczy odpowiednikiem poczucia winy. Ma te same miejsca aktywne, więc łączy się z Moralniakiem, ale jego ogólna konformacja jest niego inna, dlatego *nie robi* w zasadzie niczego poza blokowaniem receptorów Minsky’ego. Poza tym, potrzeba więcej czasu, żeby się rozpadł niż w przypadku normalnego poczucia winy, więc osiąga wyższe stężenie w mózgu. Ostatecznie przytłacza miejsca aktywne czystą przewagą liczebną.

To jest właśnie w tym wszystkim najlepsze, Killjoy. Zarówno twoje naturalne przekaźniki, jak i sam Moralniak, wciąż są produkowane normalnie, więc możesz bez problemu przejść testy, mające na celu wykrycie dowolnego z nich. Nawet badanie poszukujące form złożonych znajdzie to, co trzeba, bo kompleks bazowy wciąż krąży, tyle że nie może trafić na żadne wolne miejsca receptorowe, do których mógłby się przyłączyć.

Tak więc jesteś bezpieczny. Naprawdę. Posokowce nie będą stanowiły żadnego problemu. Wierz mi, nie naraziłabym cię na ryzyko, Achillesie. Zbyt wiele dla mnie... Jesteś dla mnie zbyt bliskim przyjacielem, żebym miała sobie z tobą pogrywać ot tak.

W każdym razie, stało się. Nadstawiłam dla ciebie karku, a co stanie się teraz zależy już tylko od ciebie. Jeśli postanowisz mnie wsypać, wiedz jedno – to będzie *twoja* decyzja. Niezależnie od tego, jak bardzo będziesz starać się ją zracjonalizować, nie będziesz mógł zrzucić winy na żadną durną cząsteczkę o długim łańcuchu. To będziesz ty i tylko ty, twoja własna wolna wola.

Skorzystaj z niej i pomyśl o tych wszystkich rzeczach, które zrobiłeś, a także o tym, dlaczego je zrobiłeś i zadaj sobie pytanie, czy *naprawdę* jesteś aż tak niemoralny, że nie potrafiłbyś podjąć tych wszystkich trudnych decyzji bez uprzedniego oddawania się w niewolę bandzie despotów. Moim zdaniem potrafiłbyś, Achillesie. Nigdy nie potrzebowałeś kuli u nogi, by być porządnym człowiekiem. Naprawdę tak uważam. Postawiłam wszystko na tę kartę.

W każdym razie, wiesz gdzie mnie znaleźć. Wiesz, jakie masz możliwości. Przyłącz się do mnie albo wbij mi nóż w plecy. Twój wybór.

Pozdrawiam, Alice.”

BUMlonos

Ostatnim potwierdzonym miejscem jej pobytu było Yankton. Sault Sainte Marie przycupnęło na wschodnim krańcu Jeziora Górnego. Linia prosta, która łączyła te dwa punkty, przecinała jezioro Michigan.

Ken Lubin wiedział dokładnie, które miejsce wybrać.

Wielkie Jeziora nie były już wcale takie wielkie od kiedy z powodu niedoborów wody w dwudziestym pierwszym wieku ich powierzchnia zmniejszyła się o dwadzieścia pięć procent (zdaniem Lubina była to niewielka cena, jaką przyszło zapłacić za uniknięcie wojen o wodę w każdej innej części świata). Mimo wszystko, Lenie Clarke była ryfterką, a jeziora wciąż pozostawały głębokie, mroczne i długie. I leżały dokładnie na jej drodze. Każdy płaz, pragnący wymknąć się obławie, musiałby być szalony, by nie skorzystać z możliwości ukrycia się pod wodą.

Rzecz jasna, każdy płaz o IQ wyższym niż wartość temperatury pokojowej wiedziałby, że wrogowie będą już tam czekać.

Lubin znajdował się czterysta metrów ponad południowym brzegiem jeziora Michigan. Wzdłuż linii horyzontu, od Whiting po Evanston, ciągnął się pas przemysłowego wybrzeża. Przedstawiał sobą Lledwie widoczne pomiędzy lądem a wodą: ciemne, szerokie zwały starego błota, które udawały wybrzeże wszędzie tam, gdzie dostęp do głębin nie był kwestią najwyższej wagi.

– Sprawdzałeś ostatnio prognozę pogody? – To Burton, Afrykaner, wciąż jeszcze wściekły na Lubina za to, że ten przejął dowodzenie w imię ocalenia świata. Holopoświata, bijąca od pulpitu, podkreślała linię jego szczęki.

Lubin pokręcił głową. Drugi mężczyzna wyjrzał przez panoramiczną szybę pokładu widokowego podnośnika. Niebo nad ich głowami powoli spowijał mrok, jakby ktoś rozwijał na nim wielki, czarny dywan.

– Teraz podają, że dojdzie aż do ośmiu. Uderzy w nas za mniej niż godzinę. Jeśli ona wciąż potrafi oddychać pod wodą, to przyda jej się to nawet na lądzie.

Lubin mruknął coś w odpowiedzi i przeskanował w powiększeniu wybrzeże Chicago. Rzecz jasna, nie znalazł tam niczego godnego uwagi. Podobni do mrówek mieszkańcy, kłębiący się pod ponurym niebem. *Możliwe, że właśnie teraz ona gdzieś tam jest. W każdej chwili jeden z tych robaczków może na moich oczach zeskoczyć z falochronu i będzie po wszystkim. Albo, co bardziej prawdopodobne, nawet tego nie zobaczę. Wszystkie te oddziały, muchoboty i cały ciężki sprzęt mogą kręcić się w kółko po okolicy aż zacznie się burza, a ona siedzi sobie bezpiecznie pod stu pięćdziesięcioma metrami mętnej wody.*

– Jesteś pewny, że spróbuje? – odezwał się znów Burton.

Lubin postukał palcami w panel. Mapa wróciła do normalnej skali i zaprezentowała obszar powietrzny, wraz z frontem burzowym, w fałszywych kolorach.

– Nawet wiedząc, że stoimy jej na drodze? – dodał.

Rzecz jasna, wcale nie stali jej na drodze. Wciąż tkwili zawieszeni w powietrzu, próbując namierzyć cel. Istniało zbyt wiele możliwych dróg dostępu, a miejska dżungla pełna była przewodów, kabli i sygnałów radiowych zdolnych w nieskończoność ukrywać pojedynczą, unikatową sygnaturę. Oczywiście istniały takie miejsca, które spokojnie można było wykluczyć. Clarke nie byłaby taka głupia, by próbować przedostać się przez przybrzeżne równiny, miejscami szerokie na kilometr, pozostawione przez jeziora, gdy opadł poziom wód. Będzie raczej trzymać się obszarów

uprzemysłowionych i wnętrz oraz podróżować w przebraniu, by rozmyć swój sygnał i ukryć swoją obecność.

Przynajmniej wiedzieli, że znajdowała się gdzieś w Chicago. Tego ranka patrolujący muchobot zarejestrował promieniowanie elektromagnetyczne charakterystyczne dla ryfterów, ale zgubił ją zaraz za rogiem. Inny wyczuł trop za witryną Holiday Inn. Oczywiście, posiłki przybyły za późno, ale nagranie z kamer w lobby nie pozostawiało wątpliwości. Lenie Clarke była w Chicago. Lubin ściągnął wszystkie siły, które znajdowały się w pogotowiu od Cleveland po Detroit i skupił je w miejscach, gdzie ją widziano.

– Wydajesz się cholernie pewny, zwłaszcza biorąc pod uwagę tę całą sprawę z rtęcią – zauważył Burton. – Informowałeś o tym kogoś z góry?

– Chcę, żeby delfiny wypuszczono mniej więcej tutaj – powiedział Lubin, wskazując punkt na mapie. – Zajmij się tym, dobrze?

– Oczywiście. – Burton stanął przy własnym panelu. Lubin przelotnie rzucił okiem na jego plecy.

Cierpliwości, Burton. Dostaniesz wkrótce swoją szansę.

Jeśli nawalę...

A właściwie to kiedy Lubin *znów* nawali.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Zamówił te wszystkie testy krwi i skany pod kątem patogenów, a nie pomyślał, by zbadać się na obecność metali ciężkich. Całymi tygodniami żywił się fauną oceaniczną na surowo, a jakoś w ogóle nie przyszło mu to do głowy.

Idiota, przeklął sam siebie tysięczny raz.

Lekarze z GA wyłapali to, gdy oczyszczali go z βehemota. Zapewniali go wtedy, że nie można go winić. Tak właśnie dzieje się, gdy w grę wchodzą metale ciężkie – wpływają na pracę mózgu. Powiedzieli, że to

siarka przytępiła jego zdolności. Biorąc to wszystko pod uwagę, właściwie radził sobie lepiej niż można byłoby się spodziewać.

Może jednak Burton poradziłby sobie lepiej. Może Burton doskonale o tym wiedział.

Lubin wiedział, że Burton nigdy specjalnie za nim nie przepadał. Nie był tylko pewien, dlaczego. Oczywiście, wstrzykując Rwandę11 do komórek mężczyzn, można się spodziewać częstszej niż zwykle u samców alfa wymiany ciosów z dyńki, ale jeszcze bardziej niż bezwzględność ceniono sobie obojętność. Obu więc podrasowano bardziej pod kątem zwiększonej samokontroli niż podejmowania, jak je eufemistycznie nazywano, *niezbędnych kroków*.

Lubin oderwał myśli od rywala i skoncentrował się na stojącym przed nim wyzwaniu. Chicago zawężało przynajmniej trochę dostępne możliwości. Nie na tyle jednak, by dało się schwytać Clarke, zanim wykona jakiś ruch. Taka była prosta geometria πr2 – podwój promień obszaru poszukiwań, a efektywność spadnie czterokrotnie. Nabrzeże było wąskim gardłem. Gdziekolwiek Clarke by teraz nie była, właśnie tam będzie się kierować. Im bliżej celu się znajdzie, tym większy, rosnący wykładniczo, opór napotka na swojej drodze – to jakby spojrzeć z drugiej strony na prawo odwrotnych kwadratów. Lubin wiedział, że większość jego ludzi zamierza zlikwidować ją, zanim ta w ogóle zobaczy wodę.

On sam nie był jednak tego taki pewien. Clarke nie mogła pochwalić się specjalnymi zdolnościami czy wyszkoleniem takim, jakie posiadali najmniejsi spośród jej wrogów. Nie miała muchobotów ani gadającej broni, ale coś jednak miała. Była sprytna i twarda, i nie zachowywała się jak normalna istota ludzka. Wydawało się, że w ogóle nie boi się bólu.

No i ta *nienawiść*, o wiele czystsza i doskonalsza, niż w przypadku każdej innej, znanej Lubinowi osoby.

Do tego pomagało jej pół Wiru. Przynajmniej jeszcze do niedawna. Lubin zastanawiał się, czy kobieta zdążyła już przywyknąć do niewyjaśnionego szczęścia. Czy uwierzyła we własny PR, czy wciąż myśli, że jest niepokonana? Czy wie już, że znów została całkiem sama?

Pozostawało mieć nadzieję, że nie. Wszystko, co zwiększało jej pewność siebie, działało na korzyść Lubina.

Burton wciąż wątpił, że Clarke zaryzykuje przejście przez matnię. Burton chciał uderzyć z góry, wprowadzić stan wojenny, *zamknąć* całą pierdoloną aglomerację i przeszukiwać ją, pomieszczenie po pomieszczeniu, aż do przyszłego tysiąclecia, jeśli będzie taka potrzeba. Burtonowi brakowało cierpliwości i subtelności. A także uznania względem πr2. Nie łapie się ryb, ganiając z siecią po całym oceanie – trzeba ustawić sieci tam, gdzie ryby przypłyną, a potem czekać.

Oczywiście Burton wątpił, że ta konkretna ryba *wpłynie* do sieci. W końcu nie była idiotką. Wystarczyło, żeby postanowiła wstrzymać się i przeczekać. Był to całkiem przekonujący sposób rozumowania, pod warunkiem, że nie wiedziało się tego, co wiedział Lubin.

Jeśli nie wiedziało się, że Lenie Clarke, najzwyczajniej w świecie, tęskniła za domem.

Utracona, odległa otchłań pozostawiła ból w jej wnętrzu i choć jezioro Michigan było jedynie marną imitacją tamtego świata, to przynajmniej było *jakąś* imitacją. Bez smokerów, bez krystalicznej, gorąco-zimnej wody morskiej, bez świecących potworów oświetlających drogę, ale za to posiadającą piętnaście atmosfer. Ciemno i zimno, jeśli trzymać się blisko dna. Mrok dający schronienie i prądy zdolne rozproszyć charakterystyczną sygnaturę cieplną. Lubin wiedział, że tyle mogłoby wystarczyć.

Wiedział też, że tęsknota Clarke poprowadzi ją po najkrótszej linii prostej. Wiedział to od chwili, gdy zobaczył dokumentację tego

nietypowego, małego ogniska w lasach Cariboo. Ot, połać górskich drzew, jeszcze bardziej martwych niż inne. Coś, co kiedyś było mężczyzną otulało opiekuńczo coś, co kiedyś było dziewczynką. Ekipy nie sprawdziły jeziora, po prostu spaliły cały teren, tak jak zrobiły ze wszystkimi innymi. Dopiero po naleganiach Lubina, spowodowanych opóźnioną rewizją tego, *co wydarzyło się do tej pory*, wysłali zdalnie sterowanego robota podwodnego i zbadali dno. Dopiero wtedy, pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią wody, w miejscu, gdzie największymi mieszkańcami jeziora były owady, zauważono rozrzucone kamienie i kawałki drewna. Zupełnie jakby coś, co opadło na dno, uznało, że jest ono zupełnie nieodpowiednie i zaczęło drapać podłoże pazurami, tłuc je pięściami, jakby zamierzało dokopać się do samego jądra ziemi. Lubin wiedział, gdy tylko zobaczył odczyt telemetryczny.

Wiedział to wtedy i wiedział teraz, bo czuł dokładnie to samo. Lenie Clarke już zbyt długo była rybą pozbawioną wody. Nie odstraszy jej arsenał Burtona. Przybędzie.

A jeśli nadciągające z południa, ogromne, czarne kowadła stanowiły na to jakiś dowód, niosła ze sobą gniew Boga.

Może tak to zaplanowała, zastanawiał się Lubin. *Może przyzwała burzę, tak samo, jak przyzwała trzęsienie ziemi.*

Łatwo było dać się porwać legendzie, perspektywa ta wydawała się nawet kusząca. Jednak wcale nie trzeba magii, by wytłumaczyć obecność nacierających na Chicago cumulonimbusów. Gwałtowne, wiosenne burze były tu normą od ponad dwudziestu lat. Ot, jedna z wielu długoterminowych niespodzianek, będących efektem chaotycznego pakietu przyczyn i skutków, zwanego *zmianami klimatycznymi*.

Właściwie, fakt ten okazał się całkiem korzystny dla pewnych gałęzi gospodarki. Rynek zbytu okien ze szkła bezodpryskowego nigdy wcześniej

nie był tak silny.

Jeśli nawet Clarke nie umiała zaklinać żywiołów, to przynajmniej była na tyle sprytna, by umieć wykorzystać je na swoją korzyść. Może postanowiła wstrzymać się, zapierając się rękami i nogami przed nieustającym przyciąganiem ciemnej wody, aż pogoda osiągnie swoje apogeum i wetknie klucz francuski w tryby maszynerii.

Tym lepiej. Tym bardziej uwierzy w swój sukces.

W jego uchu odezwało się popiskiwanie interkomu.

– Front zbliża się zbyt szybko, sir. Musimy znaleźć się nad nim albo wylądować.

– Ile mamy czasu? – zapytał Lubin.

– Maksymalnie pół godziny. – Niebo na zewnątrz rozjarzyło się oślepiającą bielą. W kokpicie rozległ się cichy pomruk schodzącej lawiny.

– W porządku. – Lubin przybliżył obraz. Trzysta metrów niżej jezioro Michigan przypominało kotłujący się, szary kocioł pełen złomu. Pomiędzy nim a podnośnikiem znajdowało się kilkanaście niewidzialnych transportowców, ich sieci Thayera zostały ustawione na *kryjący kontrcień*. Lubin był w stanie je dostrzec, jeśli wytężył wzrok. Chromatofory miały niewielkie opóźnienie, gdy musiały imitować szybkie fraktale. Jednak z punktu widzenia cywila, podnośnik wisiał w powietrzu całkiem sam.

– Delfiny zostały wypuszczone – odezwał się Burton po drugiej stronie przedziału. – Poza tym padł nam monitoring w kanale burzowym przy South Aberd-

Lubin uciszył go gestem dłoni. Na pulpicie pokazała się właśnie ikona w kształcie białego rombu. Sekundę później odezwał się radionadajnik.

– West Randolph – odezwał się ktoś z głębi trzewi Chicago. – Tuż przy rzece. Kieruje się na wschód.

Oprócz standardowych zabezpieczeń elektrycznych, rozciągnęli wzdłuż rzeki Chicago cienkie jak mgła sieci. Płynąc z prądem, Clarke ominęła już wcześniej jedną blokadę, istniało więc prawdopodobieństwo, że spróbuje tego ponownie. Jednak nie tym razem. To zgłoszenie pochodziło z niewłaściwej strony barykady. Muchobot zarejestrował aurę, która zupełnie nie odpowiadała zewnętrznemu wyposażeniu celu. Drzwi, przez które przeszła kobieta, prowadziły do na wpół opuszczonego labiryntu budynków komercyjnych o setce różnych punktów dostępu.

W drodze na miejsce Lubin poprzestawiał swoje pionki. Dwa śmigłowce opadły tak nisko, że fale niemal lizały im brzuchy, po czym każdy z nich wydał na świat bliźnięta – miniaturowe łodzie podwodne przypominające młode finwali. Okręty ustawiły się po łuku w odległości dwóch kilometrów od nabrzeża. Każdy z nich wypuścił z siebie miot szperaczy, które utworzyły rozproszoną siatkę, sięgającą od powierzchni po dno.

Pozostałe śmigłowce wylądowały na terenie rozciągającym się od portu lotniczego Meigs Field po doki przy Grand Avenue, oddały swój ładunek i skuliły się przed nadciągającą burzą. W ślad za nimi nadleciał głównodowodzący podnośnik, który zatrzymał się na wysokości pięćdziesięciu metrów nad falochronem. Lubin ześliznął się na dół we wnętrzu elastycznej rury, która wysunęła się z brzucha podnośnika niczym jakaś idiotyczna ssawka. Nim gigantyczny statek powietrzny zdążył porządnie się oddalić, u stóp East Monroe stało już prowizoryczne centrum dowodzenia.

Lubin zaparł się stopami przed coraz silniejszym wiatrem i spojrzał na krawędź nowego falochronu Chicago. Szare, ochlapane wodą urwisko wznosiło się gładką ścianą aż po barierki na swoim szczycie. Powierzchnię umocnień w regularnych odstępach znaczyły zakratowane wyloty kanałów

burzowych, z których wąskimi strużkami wyciekały ścieki. Każdy taki otwór odpowiadał wysokości dwóch mężczyzn. Lubin szybko porównał rząd wielkości i pokiwał głową sam do siebie. Pręty w kratach umieszczono na tyle wąsko, że nikt nie dałby rady się przez nie przecisnąć.

Obok, rozpryskując wodę, przemknął lecący nisko helikopter. Fale za jego ogonem wezbrały i zastygły w postaci pasa galaretowatej piany. Lubin kazał zamienić w żel całą linię brzegową od Lakeshore po Meigs. Zapewne w niedługim czasie burza rozbije plątopianę na pojedyncze włókna, jednak jeśli Clarke spróbuje skoczyć z mostu zanim to się stanie, skończy jak mrówka uwięziona w kropli miodu. W okolicy przybrzeżnego skraju żelowej strefy, podskakiwała na falach pływająca zagroda, otoczona przez nadmuchiwaną zaporę unoszącą się na wodzie niczym pozbawiony szkieletu wąż. Lubin nacisnął przełącznik, znajdujący się z boku jego wizjera i zobaczył kojec w przybliżeniu.

Tam.

Przez ułamek sekundy mignął mu lśniący, szary grzbiet. Na krawędzi natarcia płetwy grzbietowej ciemnym blaskiem zalśniły metaliczne inkrustacje. I kolejne. W sumie było ich tam sześć, ale w danej chwili na powierzchnię nie wypłynie więcej niż jeden.

Wiatr ucichł.

Lubin zdjął z głowy zestaw wizualizacyjny i rozejrzał się naokoło obnażonymi oczami. Zbliżało się południe, a było ciemno jak w czasie zaćmienia słońca. Niebo nad jego głową kotłowało się w zwolnionym tempie, bezgłośnie i złowieszczo.

Od strony miasta, zza jego pleców, dobiegł odległy, donośny stukot – to odgłosy okiennic przeciwburzowych zatrzaskiwanych wzdłuż tysiąca kanionów euklidesowych. Brzmiało to tak, jakby budynki oklaskiwały

długo oczekiwane uniesienie kurtyny. Pojedyncza kropla deszczu, wielkości paznokcia jego kciuka, rozprysnęła się na asfalcieu stóp Lubina.

Mężczyzna odwrócił się i wszedł do baraku.

Większość miejsca w jednopokojowym pomieszczeniu zajmował halucynogenny pulpit. Lubin studiował szachownicę – od strony nabrzeża rozciągały się dwa ramiona zabezpieczeń, rozciągające się na północny zachód od Grand i południowy zachód od Eisenhower. Tworzyły lejek, mający skierować Lenie Clarke w wybrane miejsce. Dwa i pół kilometra na zachód od falochronu grupa muchobotów i egzoszkieletowców uformowała linię, ciągnącą się z północy na południe i zaczęła zamykać kryte pasaże między budynkami oraz tunele.

W obrębie tych granic odcięto od świata obszar o powierzchni siedmiu i pół kilometrów kwadratowych. Powierzchniowy ruch uliczny przebiegał bez zakłóceń wewnątrz i na zewnątrz, ale nie *pomiędzy* – sieć rapitransu została całkowicie wyłączona. Zablokowanie przepływu informacji zabrało trochę więcej czasu...

...no i masz, kolejna pieprzona kwarantanna, wygląda na to, że jednak nie dotrę na nasze spotkanie o ósmej trzydzieści, halo? Halo? No Jezu Chryste...

...ale ostatecznie nawet elektrony zaakceptowały istnienie nowych granic. Powszechnie wiedziano, że cel otrzymywał już wcześniej pomoc z tej strony.

Nie wystarczyło jednak tak po prostu odciąć tego równoległoboku od świata. Lenie Clarke wciąż znajdowała się gdzieś tam, pośród kilkuset tysięcy owiec. Lubin na chwilę spuścił Burtona ze smyczy.

W jednym z rogów pomieszczenia, blond Peruwianka testowała działanie panelu telemetrycznego. Lubin dołączył do niej, podczas gdy Burton napawał się stosowaniem czystej siły.

– Kinsman. Jak sobie radzą?

– Narzekają na hałas. Ogólnie nie znoszą operacji słodkowodnych. Czują się wtedy ciężkie.

Panel, przy którym pracowała kobieta, stanowił mozaikę widoków z kamer osadzonych na krawędziach natarcia płetw grzbietowych delfinów. W dolnej części okien majaczyło szare półkole – widok przesłaniał w tym miejscu melon każdego ze zwierząt. Pośród zielonkawego mroku co jakiś czas prześlizgiwały się upiorne kształty.

Bez końca w ruchu. Te potwory nigdy nie spały – mogła odpoczywać jedna albo druga półkula mózgowa, ale nigdy obie nie zapadały w sen w tym samym czasie. Stworzono je poprzez podrasowanie hodowli *Tursiops*, zaledwie na przestrzeni czterech pokoleń. Ich płetwy obłożono wzmocnieniami, nadając w ten sposób zupełnie nowe znaczenie określeniu *łuk ostry*. Zdolnościami echolokacyjnymi, doprowadzonymi niemal do perfekcji w ciągu ponad sześćdziesięciu milionów lat ewolucji, wciąż przewyższały każdą technologię. Przez wiele lat ludzkość eksperymentowała z różnymi przedstawicielami rzędu waleni. Wielkimi, tępymi grindwalami, za wszelką cenę pragnącymi się przypodobać. Orkami, za dużymi do tajnych operacji i trochę za bardzo podatnymi na psychozy na zamkniętej przestrzeni. Delfinami malajskimi i plamistymi, i wszystkimi innymi opornymi mięczakamiz otwartych wód tropikalnych. Jednak to butlonosy okazały się najlepsze, zawsze *były* najlepsze. Nie tylko sprytne, ale wręcz *złośliwe*.

Jeśli Clarke rzeczywiście uda się dotrzeć tak daleko, nawet nie zorientuje się, gdy ją dopadną.

– Co z tym hałasem? – zapytał Lubin.

– Przemysłowe nabrzeża generują dużo hałasu nawet przy najbardziej sprzyjających okolicznościach – odpowiedziała Kinsman. – Te wszystkie

gładkie, odbijające powierzchnie działają niczym kabina pogłosowa. Jak się czujesz, gdy ktoś zaświeci ci jaskrawym światłem prosto w oczy? Dla nich to praktycznie to samo.

– Tylko narzekają czy przeszkodzi to w przebiegu operacji?

– Jedno i drugie. Na razie nie jest jeszcze aż tak źle, ale gdy woda zacznie wylewać się z kanałów burzowych, będzie tak, jakby na całej długości tej części falochronu z łoskotem spadało do jeziora kilkanaście górskich rzek. Straszny hałas, bąbelki powietrza, muł wzbijany z dna. W idealnych warunkach moi podopieczni potrafiliby namierzyć piłeczkę pingpongową z odległości stu metrów, ale przy tym, co dzieje się na zewnątrz... obstawiałabym raczej dziesięć, może dwanaście.

– W takiej sytuacji to i tak lepsze niż cokolwiek innego, co moglibyśmy wykorzystać.

– To akurat nie ulega wątpliwości.

Lubin pozwolił, by Kinsman wróciła do pracy i podniósł z podłogi swój plecak. Burza uderzyła w niego z pełną siłą, gdy tylko opuścił dźwiękoszczelne wnętrze baraku. Rzęsista ulewa sprawiała, że w jednej chwili człowiek przemakał do suchej nitki. Niebo nad głową mężczyzny stało się tak czarne, jak asfalt pod jego stopami. Jedno i drugie rozjarzało się bielą z każdym uderzeniem pioruna. Jego ludzie w widocznych miejscach pełnili wartę na falochronie, okupując wszystkie punkty obserwacyjne. Padający deszcz upodobnił ich do ryfterów, spowitych w czerń i śliskich jak po wyjściu z wody.

Mieli rozkaz strzelać tak, by zabić. Jednak mogło to nie wystarczyć. Jeśli Clarke udało się dotrzeć aż tutaj, istniało zbyt wiele miejsc, z których najzwyczajniej w świecie mogłaby dać nura w głębiny. Niczego to nie zmieniało. Tak naprawdę Lubin spodziewał się tego. Po to właśnie ściągnął tu łodzie podwodne, szperacze i delfiny.

Niestety okręty były bezużyteczne blisko brzegu, a Kinsman właśnie poinformowała go, że butlonosy mogą nie dać rady namierzyć celu z odległości większej niż kilka metrów...

Mężczyzna postawił plecak na ziemi i otworzył go.

Jeśli delfiny nie będą w stanie jej złapać, to właściwie dlaczego uważasz, że tobie miałoby się poszczęścić?

Co dziwne, miał na to gotową odpowiedź.

Gdy Lubin wszedł z powrotem do środka, Burton już na niego czekał.

– Zgarnęliśmy grupkę... O, jak ładnie. To jakiś ukłon w stronę wroga? W jej ostatniej godzinie?

Lubin wykrzywił usta w nieznacznym uśmiechu, żywiąc silną nadzieję, że pewnego pięknego dnia Burton okaże się zagrożeniem dla tajemnicy służbowej. Nakładki przesunęły mu się denerwująco pod powiekami, które nie zdążyły jeszcze przyzwyczaić się na nowo do ich obecności.

– To tam masz?

– Grupkę ludzi wyglądających w dużej mierze tak, jak ty teraz – odpowiedział Burton. – Żaden z nich nie widział Clarke. W zasadzie żaden z nich nie wiedział nawet, że ona jest w mieście. Może Ukwiał zaczyna powoli tracić orientację.

– Ukwiał?

– Nie słyszałeś? Tak go ostatnio nazywają.

– Dlaczego?

– Nie mam bladego pojęcia.

Lubin podszedł do szachownicy. W miejscach, gdzie przetrzymywano cywilów do *pomocy w trwającym śledztwie*, świeciło pół tuzina cylindrycznych, niebieskawych ikon.

– Oczywiście daleko nam jeszcze do sprawdzenia całej populacji – podjął znów Burton. – Poza tym koncentrujemy się na oczywistych fanach

Clarke, tych w kostiumach. A będzie ich jeszcze więcej wśród tych nieprzebranych. Tak czy inaczej, żadna z osób, które przesłuchaliśmy do tej pory nic nie wie. Clarke mogłaby skrzyknąć sobie istną armię, gdyby tylko chciała, ale z tego co wiadomo, nie poprosiła nawet nikogo o kanapkę. To bardzo dziwne.

Lubin nasunął na głowę zestaw wizualizacyjny.

– Jak dla mnie dobrze na tym wyszła – zauważył łagodnie. – Wygląda na to, że przynajmniej *ciebie* zapędziła dzięki temu w kozi róg.

– Są jeszcze inni podejrzani – odpowiedział Burton. – I to całe mnóstwo. Znajdziemy ją.

– Powodzenia. – Kolory na wyświetlaczu taktycznym Lubina wydawały się dziwnie wyblakłe. *Racja*, *nakładki*. Mężczyzna wbił wzrok w rozrzucone po okolicy niebieskie cylindry i majstrował przy regulacji zestawu, aż odcień nabrał nasycenia. Każdy z tych czystych, idealnych kształtów oznaczał poważne naruszenia praw obywatelskich. Lubina często zaskakiwał fakt, z jak niewielkim oporem spotykały się podobne metody. Niewinni ludzie, zatrzymywani całymi setkami bez żadnych oskarżeń. Odcięci od przyjaciół, rodziny i – przynajmniej w przypadku tych, których było na niego stać – adwokata. Rzecz jasna, wszystko w słusznej sprawie. W kodeksie moralnym każdego z ludzi prawa obywatelskie powinny mieć odległe, drugorzędne znaczenie względem ocalenia życia na Ziemi. Podejrzani nie wiedzieli jednak, o jaką stawkę toczyła się gra. Z ich punktu widzenia był to jedynie kolejny przypadek, kiedy zbir pokroju Burtona, z oficjalnym przyzwoleniem, mógł bezczelnie się panoszyć.

A mimo to tylko kilka osób zdobyło się na protesty. Może przyzwyczaiły ich do tego ciągłe kwarantanny i zaciemnienia, niewidzialne granice wznoszone przez KRASZ, nagle i bez żadnej zapowiedzi. Reguły zmieniały się z sekundy na sekundę, wszystko mogło zostać wywrócone o

sto osiemdziesiąt stopni tylko dlatego, że wiatr wywiał właśnie jakieś egzotyczne zielsko poza akceptowalny teren jego występowania. Nie sposób walczyć z czymś takim, nie sposób walczyć z wiatrem. Można jedynie się przystosować. Dlatego ludzie zamieniali się z wolna w bydło.

A może jedynie zaczynali akceptować fakt, że zawsze nim byli.

Wszyscy, ale nie Lenie Clarke. Jakimś cudem udało jej się wybrać inną drogę. Urodzona ofiara, bierna i uległa jak wodorost, nagle wyhodowała sobie kolce i łodygę twardą niczym stal. Lenie Clarke była mutantem. To samo środowisko, które zmieniło wszystkich innych w korki unoszące się na powierzchni, z niej uczyniło drut kolczasty.

Niedaleko Madison i La Salle pojawił się biały romb.

– Mamy ją – radionadajnik przemówił głosem, którego Lubin nie rozpoznał. – Prawdopodobnie.

Mężczyzna wybrał odpowiedni kanał.

– Prawdopodobnie?

– Mamy ujęcie z kamery monitorującej umieszczonej w podziemnym centrum handlowym. Nie ma tam żadnego czujnika elektromagnetycznego, więc nie jesteśmy w stanie niczego potwierdzić. W każdym razie, przez pół sekundy widać trzy czwarte profilu twarzy. Po zastosowaniu filtrów Bayesa, prawdopodobieństwo wynosi około osiemdziesiąt dwa procent.

– Możecie zamknąć cały tamten kompleks?

– Nie w sposób automatyczny. Nie ma żadnego ogólnego wyłącznika ani niczego w tym stylu.

– W porządku, w takim razie zróbcie to ręcznie.

– Robi się.

Lubin zmienił kanał.

– Inżynieria?

– Odbiór. – Stworzyli osobne, wydzielone połączenie z urbanistyką. Oczywiście ludzie znajdujący się po drugiej stronie dysponowali tylko niezbędnymi informacjami. Nie dostali żadnych wskazówek, które pozwoliłyby im zidentyfikować, o jaką stawkę toczy się gra, ani rozpoznawalnych imion, żeby nie uczłowieczać celu. „W centrum znajduje się niebezpieczny zbieg, nie wolno wam dopytywać się, dlaczego tak się stało”, koniec kropka. Praktycznie żadnego ryzyka paskudnych przecieków.

– Macie namiary na La Salle? – spytał Lubin, przybliżając szachownicę.

– Jasne.

– Co tam jest?

– Ostatnimi czasy niewiele. Pierwotnie kwitł tam handel, ale większość sprzedawców wyprowadziła się z tego obszaru wraz z rozrostem miasta. Mnóstwo pustych stoisk.

– Nie, chodziło mi o podbudowę. Korytarze techniczne, tunele serwisowe, tego typu rzeczy. Dlaczego nie widzę ich na mapie?

– O kurwa, to miejsce to czysta *prehistoria*. Dwudziesty wiek albo i wcześniej. Znaczna część tego terenu nie znalazła się nigdy w bazie danych. Kiedy prowadziliśmy aktualizację plików, przychodzili tam już tylko wykolejeńcy i drutogłowi, a biorąc pod uwagę problemy z uszkodzeniami danych...

– Nie *wiecie* tego? – Do uszu Lubina dobiegło ciche popiskiwanie. Ktoś inny chciał z nim rozmawiać.

– Może ktoś zeskanował stare plany na kryształ. Mogę to sprawdzić.

– Zrób to. – Ponownie zmienił kanał. – Tu Lubin.

Był to jeden z ludzi pełniących wartę na falochronie.

– Tracimy plątopianę.

– Już? – Powinna wytrzymać jeszcze przynajmniej godzinę.

– Nie chodzi tylko o deszcz, to przez kanały burzowe. Kierują odczynnik strącający z całego miasta przez falochron. *Widział* pan, jaką przepustowość mają te rury?

– Ostatnio nie. – Sprawy miały się coraz lepiej.

Burton, przykładnie skupiony na własnych obowiązkach, wydawał się nadsłuchiwać jednym uchem.

– Zaraz tam będę – powiedział Lubin po chwili.

– Nie trzeba – powiedział wartownik. – Mogę po prostu przedstawić panu...

Lubin rozłączył się.

Spieniona woda z rykiem wylewała się, szerokim jak cysterna strumieniem, z otworu w umocnieniach. Lubin nie miał bladego pojęcia, z jaką siłą tryskała ciecz – struga odbijała od ściany na co najmniej cztery metry i dopiero wtedy grawitacja zaczynała odchylać ją od poziomu. Plątopiana znikała wszędzie wokół. W miejscach, które już zostały oswobodzone, jezioro Michigan falowało i rozbijało się, odzyskując coraz więcej ze swej uprzedniej przestrzeni.

Świetnie.

Wzdłuż zabezpieczonego odcinka nabrzeża znajdowało się jedenaście takich kanałów. Lubin przerzucił dwadzieścia kilka osób z przybrzeżnego personelu na falochron.

W jego uchu odezwał się głos kogoś z urbanistyki.

– ...śmy co...

Lubin podkręcił filtry w swoim zestawie wizualizacyjnym. Ryk burzy nieco ucichł.

– Możesz powtórzyć?

– Znaleźliśmy coś! 2D i w kiepskiej rozdzielczości, ale wygląda na to, że nie ma tam niczego poza korytarzem technicznym nad sufitem i kanałem

ściekowym pod podłogą.

– Można do nich wejść? – Nawet pomimo filtrów, Lubin ledwie słyszał własny głos.

Najwyraźniej jednak w inżynierii nie mieli z tym najmniejszych problemów.

– Rzecz jasna nie z wnętrza hali. Pod następną przecznicą jednak znajduje się pomieszczenie konserwatorskie.

– A jeśli przedostała się do kanału?

– Najprawdopodobniej dotrze do oczyszczalni ścieków przy Burnham.

Obstawili już Burnham. Ale...

– Co znaczy *najprawdopodobniej*? A gdzie indziej może dotrzeć?

– Gdy sprawy przybierają naprawdę nieciekawy obrót, zawartość kanałów ściekowych łączy się z wodą z burzowych i całość zostaje wylana na zewnątrz. Chroni to oczyszczalnie przed zalaniem. W rzeczywistości nie jest to takie złe, jak mogłoby się wydawać. Kiedy robi się *aż tak* paskudnie, prędkość przepływu jest na tyle duża, że rozrzedza ścieki...

– Chcesz powiedzieć... – Błyskawica pocięła niebo na poszarpane kawałki. Lubin zmusił się do odczekania paru sekund. Pośród ciemności, która nastała chwilę później, grzmot okazał się ogłuszający. – Chcesz powiedzieć, że ona może być teraz w *kanałach burzowych*?

– Teoretycznie tak, ale nie ma to żadnego znaczenia.

– Dlaczego?

– Żeby doszło do połączenia obu systemów, potrzeba naprawdę *ogromnych* ilości wody. Kiedy tylko ta pańska uciekinierka wejdzie do środka, natychmiast zostanie wciągnięta pod wodę i utonie. Nie wygra z prądem, a w dodatku nie będzie tam żadnej wolnej przestrzeni...

– Wszystko idzie teraz przez kanały burzowe?

– W większości.

– Kraty to wytrzymają?

– Nie rozumiem – padła odpowiedź ze strony inżynierii.

– Kraty! Kraty zakrywające wyloty rur! Czy wytrzymają taką siłę przepływu?

– Kraty zostały schowane.

– *Co!*

– Chowają się automatycznie, jeśli przekroczony zostanie określony poziom ton na sekundę. W przeciwnym wypadku blokowałyby przepływ, powodując cofkę.

Metale ciężkie kontratakują.

Lubin przeszedł na kanał ogólny.

– Nie nadejdzie od strony lądu. Nie...

– Gandhi coś znalazł. Kanał dwunasty – włączyła się Kinsman, opiekunka delfinów.

Lubin zmienił kanały i nagle znalazł się pod wodą. Połowę obrazu pokrywały zakłócenia, których nawet filtr Bayesa nie dawał rady czyścić na bieżąco. Druga połowa nie przedstawiała się wcale dużo lepiej – spieniona szara mieszanina bąbelków powietrza i zawirowań.

Przez ułamek sekundy coś mignęło po lewej stronie – ciemniejsze poruszenie. Gandhi też to zauważył i płynnie zmienił kierunek. Kamera obróciła się gładko wokół własnej osi, gdy delfin przekręcił się do góry grzbietem. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

Schodzi głębiej, uświadomił sobie Lubin. *Chce dopaść ją od dołu. Dobry zwierzak.*

Obraz skoncentrował się teraz na plamie rozproszonego światła, przechodzącego w czerń na krawędziach – optyka wypływania na jaśniejszą powierzchnię. Nagle pojawił się cel, złapany na gorącym uczynku – zarys rąk i głowy, który śmignął na lewo i zniknął.

– Mamy ją – zameldowała Kinsman. – Nie spodziewała się tego.

– Pamiętaj, że nie chcemy, żeby krwawiła do jeziora – ostrzegł kobietę Lubin.

– Gandhi zna procedury. Nie będzie używał płetw piersiowych, tylko spróbuje ją stara...

I znowu, widziany przez chwilę ludzki cień, zauważony i niemal natychmiast ponownie zgubiony. Obraz zatrząsł się lekko.

– Hmm – odezwała się znowu Kinsman. – Jakimś cudem spodziewała się tego. Prawie udało jej się w porę zejść mu z drogi.

Implanty. Na krótką chwilę, Lubin znalazł się znów na Grzbiecie Juan de Fuca, zawieszony spokojnie pod trzema kilometrami czarnej, lodowatej wody. Czując *tyk-tyk-tykanie* sonaru Beebe, odbijające się od maszynerii w jego piersi.

– Potrafi wyczuć serie kliknięć – powiedział. – Każ Gandhiemu...

I jeszcze raz. Tym razem, cel postanowił stawić czoła napastnikowi. Jej oczy przypominały jaskrawe smugi pośród układanki złożonej z ciemnych elementów, jej ręka wysunęła się w daremnej próbie osłonięcia się przed dwustoma kilogramami kości i mięśni.

Zaraz, ona ma coś w dłoni, ona...

Obraz zniosło na lewo. Nagle woda znów zawirowała, jednak nie był to już gładki obrót, a szaleńcza spirala, zwalniająca pod wpływem oporu środowiska. Mrok narastał wraz z głębokością. Po jednej stronie pojawił się inny rodzaj mroku – czarna, krwawa chmura, rozprzestrzeniająca się niczym cumulus, póki prądy nie rozerwały jej na strzępy.

– *O kurwa* – wykrztusiła Kinsman. Zestaw wizualizacyjny Lubina pogłośnił jej szept do odgłosu zdolnego zagłuszyć grzmot.

Zachowała swoją pałkę gazową. Przez całą drogę z Beebe i przemierzając cały cholerny kontynent.

Dobry wybór...

Obraz pogrążył się w mroku i powodzi zakłóceń. Lubin znalazł się znów na nabrzeżu, gdzie strugi deszczu chłostały świat, czyniąc go tylko trochę jaśniejszym miejscem niż to, które mężczyzna właśnie opuścił.

– Gandhi nie żyje – zameldowała Kinsman.

Kinsman wysłała dwa delfiny w miejsce, gdzie padł Gandhi. Lubin stanął na falochronie niedługo po tym, jak dotarły do celu. Burton czekał już tam na niego z naładowanym kalmarem. Po jego skórze przeciwdeszczowej ściekały strugi wody.

– Każ im się rozproszyć – Lubin poinstruował kobietę przez nadajnik. – Hiperbolą z ogniskiem w punkcie spoczynku zwłok i w głąb jeziora. – Zabrał płetwy ze skutera i stanął na krawędzi falochronu z Burtonem u boku. – Co z Gandhim?

– Gandhi nie żyje – odpowiedziała Kinsman.

– Nie, chodzi mi o więzi emocjonalne. Jaki będzie wpływ jego śmierci na efektywność reszty?

– W przypadku Singera i Caldicotta, żaden. Nigdy specjalnie go nie lubili. Dlatego wysłałam właśnie ich.

– Dobrze. Pozostałe zwierzęta ustaw w półkole, ale trzymaj je z daleka od wylotów rur.

– Żaden problem – zameldowała Kinsman. – I tak niewiele mogłyby tam zdziałać, nie przy *takiej* akustyce.

– Za trzydzieści sekund przełączę się na vocoder. Kanał piąty.

– Zrozumiałam.

Burton przyglądał się obojętnie, jak Lubin schylił się, by założyć płetwy.

– Co za pech! – odezwał się, przekrzykując burzę. – Z tymi kanałami ściekowymi!

Lubin zapiął paski na piętach i sięgnął po kalmara, po czym zaplombował osłonę twarzową. Skóra głębinowa wdarła mu się pod powieki, łącząc się z nakładkami i zablokowała jego nos i usta niczym płynna guma. Mężczyzna stał osłonięty przed ulewą i spokojnie zaczynał się dusić.

Powodzenia, powiedział bezgłośnie Burton.

Lubin objął kalmara ramionami i zrobił krok poza krawędź falochronu.

Tafla jeziora Michigan zamknęła się z rykiem nad jego głową.

Piętnaście metrów na północ, jeden z wylotów kanalizacyjnych miasta Chicago tryskał zdającą się nie mieć końca strugą ścieków. Pod wpływem zderzenia z powierzchnią wody, tworzyły się wiry i fale, które jednak straciły część ze swojej siły, zanim dotarły do Lubina. Wszędzie naokoło kłębiła się mgiełka mikroskopijnych banieczek powietrza, rozmazując mętne światło po jeziorze. Kawałki detrytusu krążyły po mimośrodowych orbitach, zamieniając się w białe plamy tuż poza zasięgiem jego palców. Woda wydawała cmokające i siorbiące dźwięki. Nad głową mężczyzny, ledwie widoczna, bombardowana kroplami deszczu powierzchnia buzowała niczym rtęć pod gwałtownym ostrzałem, a wszystkiemu towarzyszył, wszechobecny pomimo spiętrzonych fal, głęboki i ogłuszający ryk wodospadów.

Lubin obrócił się, szarpany prądami. Upajał się uczuciem, że jego wnętrzności napełniały się wodą.

Wątpił, by Lenie Clarke dalej kierowała się w głębiny. Może i nie spodziewała się, że na szerokich wodach czają się miniłodzie podwodne. Wiedziała jednak o obecności delfinów i mogła podejrzewać, że mają do dyspozycji sonar. Wiedziała wszystko o wpływie zawirowań na systemy czuciowe, zarówno te elektroniczne, jak i biologiczne. Będzie raczej trzymać się blisko brzegu, ukrywać pośród łoskotu wodospadów.

Najpewniej wkrótce ruszy na północ albo południe, przekradając się etapami przez mroczną dżunglę gruzów i detrytusu, nagromadzonych na przestrzeni trzech wieków zgodnie z zasadą *co-z-oczu-to-z-serca*.

Teraz jednak najprawdopodobniej znajdowała się pod wpływem szoku po odniesionych obrażeniach. Gandhi zaatakował ją dwukrotnie, nim zdążyła się pozbierać. Zaskakujące, że w ogóle udało jej się zachować przytomność, a co dopiero stawić opór. Póki co, zaszyła się gdzieś, chcąc przeczekać.

Lubin rzucił okiem na konsolę nawigacyjną na swoim nadgarstku. Migotała na niej dwuwymiarowa reprezentacja okolicznej przestrzeni – Ken Lubin znajdował się w centrum, w punkcie, gdzie zbiegały się wyraźne, zielone linie. Co jakiś czas na wyświetlaczu pojawiały się żółte punkciki, by po chwili z niego zniknąć – to delfiny Kinsman, patrolujące granicę. Natomiast inny punkt, umiejscowiony dużo bliżej, w ogóle się nie poruszał. Lubin skierował kalmara w tamtą stronę i przekręcił manetkę gazu.

Gandhi nie wyglądał za ciekawie. Pałka Clarke wypaliła w prawą stronę jego głowy -całą przednia część zwierzęcia eksplodowała w ułamku sekundy. Za płetwą grzbietową, trup był właściwie nietknięty. Nieco bardziej z przodu, po lewej stronie zachowały się resztki żeber i czaszki, włącznie z tym typowym dla delfinów maniakalnym i idiotycznym uśmiechem. Prawa strona przestała istnieć.

Gandhi tkwił nadziany na zatopioną plątaninę prętów zbrojeniowych. Nurt kierował się tutaj od strony brzegu w głąb jeziora. Butlonos musiał więc zginąć bliżej falochronu. Lubin obrócił kalmara i zaczął płynąć pod prąd.

– ...yją... Lu... lny?

Fragmenty słów zabrzęczały na wysokości linii jego żuchwy, niemal całkowicie pochłonięte przez wszechobecny huk. Lubin podkręcił wzmocnienie vocodera, coś sobie nagle uświadomiwszy.

– Nie używajcie tego kanału. Cl-

Kompletnie zaskoczyły go jego własne słowa, przekształcone przez vocoder w szorstkie, metaliczne bzyczenie. Już od wielu miesięcy implanty nie okaleczały w ten sposób jego głosu. Brzmienie to wywołało w mężczyźnie uczucie niemal nostalgii.

– Nie próbujcie nawiązywać kontaktu – ciągnął. – Clarke ma implanty w postaci modemu akustycznego o niskiej częstotliwości. Może nas podsłuchiwać.

– ...órzyć?

W rzeczywistości, nawet jeśli Clarke udało się dostroić do odpowiedniego kanału, to mało prawdopodobne, by zrozumiała z przekazu coś więcej niż Lubin. Modemów akustycznych nie budowano w końcu z przeznaczeniem do pracy pośród huku wody.

Tylko niby dlaczego miałaby podsłuchiwać? Skąd w ogóle miałaby wiedzieć, że tu jestem?

Niemniej jednak Lubin nie chciał ryzykować. Zamierzał zachowywać się równie cicho, jak jego ofiara, gdziekolwiek ona była. Jezioro szalało wokół obojga.

Intuicja to nie jasnowidzenie. To też nie domysły. Intuicja to *podsumowanie*, to dziewięćdziesiąt procent wyższych części mózgu, które funkcjonują podświadomie, co nie znaczy, że mniej drobiazgowo, niż samoświadomy podprogram, który myśli o sobie jak o *osobie*. Lubin prześlizgiwał się przez mrok tak nieprzenikniony, że ledwie widział holującego go kalmara. Przełączył maszynę na tryb oczekiwania i zaczął przedzierać się przez martwe, splątane labirynty gruzów i szczątków,

kołków i poszarpanych krawędzi, wystających z pokładów szlamu, który łagodził trochę ich wygląd. Poddał się prądom, które poniosły go w głąb jeziora, po czym pochwyciły i cisnęły prosto na podstawę samego falochronu. Przesunął się w bok, niczym krab, po szarej, wyerodowanej powierzchni, mocno do niej przypadając, podczas gdy woda próbowała go od niej oderwać, niczym stare odwapnienie. Pozwolił, by kierowały nim te intuicyjne podprogramy, rozważając różne scenariusze, przesiewając wspomnienia, wspominając szczęśliwsze czasy, kiedy Lenie Clarke ujawniła *taką* motywację, a *taką* preferencję. Sprawdzał potencjalne ostoje, ignorował inne, ale właściwie nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego dokonywał takich, a nie innych wyborów. Jednak każda z części Kena Lubina została dobrze i dokładnie wyćwiczona – pień mózgu, podprogramy analityczne i ten mały homunkulus, który przycupnął nieśmiało za jego oczami. Każda z nich wiedziała doskonale, co robić, a co zostawić innym.

Dlatego nie było wcale wielkim zaskoczeniem, gdy natrafił na Lenie Clarke, ukrytą w cieniu jednego z absurdalnych wodospadów miasta Chicago, wciśniętą w kanion śmieci z poprzedniego stulecia.

Kobieta nie miała się zbyt dobrze. Jej ciało wykręcone było w sposób sugerujący, że ciosy Gandhiego zrobiły swoje. Jej skóra głębinowa została rozdarta wzdłuż mostka, może przez delfina, może przez śmieci wystające z dna jeziora. Do tego wyraźnie oszczędzała lewą rękę. Mimo to dobrze wybrała swoje schronienie – za dużo szumu, by namierzyć ją przy pomocy sonaru, za dużo metalu, by uzyskać sygnaturę elektromagnetyczną, za dużo syfu w wodzie, by ktokolwiek nie posiadający oczu i instynktu ryftera, mógł ją tu odnaleźć. Burton mógłby minąć ją w odległości metra i nawet jej nie zauważyć.

Dobra dziewczynka, pomyślał Lubin.

Spojrzała na niego ze swojej kryjówki. Jej pozbawione wyrazu, białe oczy spotkały się z jego, pokonując dwa metry dzielącego ich, mlecznego chaosu i mężczyzna zrozumiał natychmiast, że go rozpoznała.

Łudził się, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, że tak się nie stanie.

Przykro mi, pomyślał. *Naprawdę nie mam innego wyboru.*

Rzecz jasna, Clarke wciąż miała swoją pałkę gazową. Rzecz jasna, trzymała ją w ukryciu aż do ostatniej chwili, po czym wyciągnęła ją z desperacką szybkością. Rzecz jasna, próbowała użyć jej na sobie... Skoro i tak była już zgubiona, to cóż innego mogło stać się lepszą, ostateczną zemstą niż oswobodzenie βehemota w samobójczym akcie oczyszczenia?

Lubin spodziewał się każdej z tych rzeczy i rozbroił ją, niemal o tym nie myśląc. Tylko, że gdy sprawdził pałkę, okazała się pusta. Gandhi zgarnął ostatni ładunek. Mężczyzna upuścił broń na błotniste dno.

Przykro mi. W jego wnętrzu obudziło się seksualne napięcie wynikające z rychłego zabójstwa. *Lubiłem cię. Byłaś jedyną... Naprawdę zasługiwałaś na to, żeby wygrać...*

Clarke odpowiedziała mu spojrzeniem. Nie uruchomiła swojego vocodera. Nie próbowała niczego powiedzieć.

Zaraz do gry włączy się Moralniak. Kolejny raz Lubin poczuł niemal obezwładniającą falę wdzięczności, że sztucznie stworzona substancja neurochemiczna bierze na swoje barki całą odpowiedzialność za jego czyny. Poczuł wdzięczność za to, że za chwilę zabije swojego jedynego przyjaciela i wciąż pozostanie niewinny. Wdzięczność za to, że...

Nie sposób zamknąć oczu, mając na sobie skórę głębinową. Materiał, z którego została wykonana, łączy się z nakładkami, odciągając powieki i uniemożliwiając mruganie. Lenie Clarke patrzyła na Kena Lubina. Ken Lubin odwrócił wzrok.

Moralniak nigdy jeszcze nie potrzebował tyle czasu.

Nie działa. Coś jest nie tak.

Czekał, aż instynkt zmusi go do działania. Czekał na rozkazy i rozgrzeszenie. Zajrzał do wnętrza siebie tak głęboko, jak tylko się ośmielił, szukając jakiegokolwiek pana, który mógłby wziąć na siebie winę.

Nie. Nie. Coś jest nie tak.

Mam zabić ją samodzielnie*?*

Gdy wreszcie zrozumiał, że nie otrzyma odpowiedzi, było już za późno. Spojrzał w miejsce będące ostatnim schronieniem, czekającej na potępienie, Lenie Clarke.

I zobaczył, że było puste.

Terrarium

W rogu tablicy Desjardinsa rozbłysła ikona. Mężczyzna zignorował ją.

Nowy przewód właśnie został podłączony do sieci – kabel światłowodowy wił się po podłodze całą swoją fizycznością, przeciskał pod drzwiami i znikał w korytarzu. Nie istniał inny sposób. KRASZ za bardzo trząsł się nad bezpieczeństwem, by pozwolić na obecność węzłów cywilnych w swych granicach, a Generał – czy tam *Ukwiał*, czy jak by go teraz nie nazywano – nie rozmawiał z nikim przed Yankton. Jeśli Desjardins miał iść na wojnę, to musiał wejść na terytorium wroga.

A to oznaczało kabel. Oczywiście, zewnętrzne połączenia bezprzewodowe zostały zablokowane. W KRASZ-u nawet zegarki nie mogły połączyć się z siecią, nie przechodząc wcześniej przez miejscowy hub. Desjardins wyobraził sobie przewód biegnący przez hol i ciągnący się po ulicy, skręcający w lewo i znikający we wnętrzu najbliższej biblioteki publicznej, niepomny na potykających się o niego przechodniów. Na szczęście w piwnicy znajdowała się miejska skrzynka przyłączowa.

Tablica zwiększyła ilość lumenów pod ikoną w wizualnym odpowiedniku podniesienia głosu – Alice Jovellanos *wciąż* chce z tobą porozmawiać. Proszę odpowiedz.

Daj sobie spokój, Alice. Twoja twarz jest ostatnią rzeczą, którą mam ochotę teraz oglądać. Masz szczęście, że jeszcze cię nie podkablowałem.

Zrobiłby to, gdyby Moralniak wypełniał jego... *swoje* obowiązki. Bóg jeden wiedział, jak bardzo Desjardins mógł teraz nawalić dzięki tej małej sabotażystce. Bóg jeden wiedział, ilu *innych* prawołamaczy naraziła na takie ryzyko, ile katastrof wydarzy się przez zwykły, gruczołowy brak

zdecydowania w krytycznym momencie. Alice Jovellanos potencjalnie naraziła miliony istnień na niebezpieczeństwo.

Rzecz jasna, było to niczym pierdnięcie przy huraganie wobec tego, co zamierzał βehemot. N'AmWire właśnie podało do wiadomości publicznej – wielki kawał zachodniego wybrzeża został objęty kwarantanną. Nawet *oficjalna* liczba ofiar śmiertelnych startowała z czterocyfrowego pułapu.

Sklejenie łączyło się z nowym panelem, zajmującym miejsce z prawej strony. Było to niezależne i samodzielne urządzenie, niepodłączone ani nawet niepodłączalne do żadnego z gniazd KRASZ-u. W jego wnętrzu czekały rozległe przestrzenie otoczone murami – przestrzenie zdolne pochłonąć zawartość węzła i mury potrafiące w mgnieniu oka odtworzyć jego architekturę. Praktycznie rzecz biorąc był to replikator habitalny. Terrarium.

Ikona zaczęła popiskiwać. Desjardins wyłączył głos.

Zrozum wreszcie aluzję, Alice.

Naprawdę pojechała go w tyłek. Problem w tym, a to, że w ogóle *był* taki problem, tylko podkreślało, jak bardzo wszystko spieprzyła, że ona sama najwyraźniej zupełnie tak tego nie odbierała. Uważała się raczej za *wyzwolicielkę*. Działała z pokręconej troski o *jego* dobro. Wręcz przedłożyła *jego* korzyści ponad Większe Dobro.

Desjardins uruchomił terrarium. Wyświetlacz natychmiast zapełnił się komunikatami startowej diagnostyki. Tym razem nie miał zamiaru korzystać ze swoich wkładek. Jak by nie patrzeć były częścią sieci KRASZ-u. Tym razem musiał opierać się jedynie na surowym sygnale wizualnym i tablicach dotykowych.

Większe Dobro. Jasne.

Dla ludzkiej wrażliwości zawsze była to rzecz czysto abstrakcyjna i anonimowa. Łatwiej współczuć jednej znajomej osobie niż odległym i

obcym, cierpiącym milionom. Kiedy trzęsienie ziemi zaatakowało zachodnie wybrzeże, Desjardins przejrzał wątki, podkręcił filtry i odetchnął z ulgą, że to nie *on* leżał pod gruzami, ale wiedział, że pęknie mu serce, kiedy zdechnie Mandelbrot.

Przede wszystkim właśnie ten nielogiczny fakt sprawiał, że Moralniak był absolutnie niezbędny. Właśnie ten nielogiczny fakt powstrzymywał Desjardinsa przed zdradzeniem Alice Jovellanos. Za cholerę nie był jeszcze gotowy, by porozmawiać z nią na przyjacielskiej stopie, ale nie potrafił też zmusić się do sprzedania jej.

Poza tym, jeśli rzeczywiście *udało* mu się rozgryźć tego całego Ukwiała, to właśnie Alice podsunęła mu pomysł.

Postukał palcami w tablicę, otwierając okno. Po drugiej stronie huczał Wir.

Co by nie się nie działo, za godzinę będzie miał odpowiedź.

Był wszędzie.

Nawet tam, gdzie go nie było. Gdzie nie mówił, mówiono o nim. Gdzie nie mówiono o nim, rozsiewano go – opowieści i mity o Lenie Clarke pozostawały całkowicie bierne dopóki nowy, niczego niepodejrzewający nosiciel nie otworzył swojej skrzynki pocztowej, wypuszczając na wolność całe nowe pokolenie.

– Ona jest wszędzie. Dlatego nie mogą jej złapać.

– Sypiesz zakłóceniami. Jak może być wszędzie?

– Oszuści. Klony. Kto powiedział, że jest tylko jedna Lenie Clarke?

– Potrafi, no wiesz, *przenosić* się. Teleportacja kwantowa. To te nanoby w jej krwi.

– To niemożliwe.

– A pamiętasz co stało się z Pasem?

– No i?

– Lenie to wszystko *zaczęła*, ty haploido. Tylko wyszła na plażę, a każdy kogo dotknęła odrzucał leki i odzyskiwał świadomość. Tak po prostu. Jak dla mnie wygląda to na robotę nanobów.

– To nie nanoby. To tylko ten, no wiesz, ten ognisty wirus z NoCal, który sprawia, że rozpadają ci się stawy. Ten wirus dostał się do cyklerów i zjebał którąś z cząsteczek valium. Chcesz wiedzieć, co *zaczęła* Lenie? Zaczęła całą tę pierdoloną *epidemię*...

Zrobił się też sprytniejszy. Subtelniejszy. Teraz na czatach stały już setki prawołamaczy, krążących po cywilnych kanałach w poszukiwaniu niewytłumaczalnej czystości, która zaalarmowała Desjardinsa poprzedniego dnia. Wyglądało jednak na to, że podobne potknięcie nie przydarzyło się więcej.

A kiedy Desjardinsowi udało się wreszcie namierzyć cel, nie naprowadziła go na niego prędkość transmisji czy liczba zakłóceń, ale zawartość.

– Wiem, gdzie jest Lenie Clarke – mówił bezpłciowym, neutralnym głosem nadmuchanego kodu ASCII o *domyślnych* ustawieniach użytkownik identyfikujący się jako *Tesserakt*. – Les beus siedzą jej na ogonie, ale póki co stracili trop.

– A skąd *ty* to możesz wiedzieć? – zapytał ktoś o nicku *Posejdon-23*.

– Jestem Ukwiał – odpowiedział *Tesserakt*.

– Jasne. A ja jestem Ken Lubin.

– W takim razie twoje dni są policzone, mój ty krytyku literacki. Ken Lubin został skaptowany. Pracuje teraz dla korpów.

Dużo sprytniejszy, skoro wie coś takiego. Nie aż tak sprytny, skoro przyznał się do tej wiedzy w mieszanym towarzystwie. Desjardins zaczął rysować linie na tablicy.

– Musimy jej pomóc – ciągnął *Tesserakt*. – Czy ktokolwiek z was znajduje się może w centralnym N’Am, na przykład w okolicy Wielkich Jezior?

Żadnych zapytań do miejscowego rejestru ruchu, żadnych dyskretnych prób wyłowienia aplikacji turingowskich, żadnych śladów pozostawionych na kanale. Żadnych posunięć skierowanych w cokolwiek, co *Tesserakt* mógłby mieć na oku. Achilles Desjardins zrobił się sprytniejszy.

– Spierdalaj, Tessie. – Jakiś sceptyk przedstawiający się jako *Hiigara*. – Spodziewałeś się, że ot tak posłuchamy się managera Lenie Clarke, który akurat pojawił się, żeby sobie z nami pogadać?

W lokalnym węźle – nic. Desjardins zaczął przeszukiwać sąsiednie serwery.

– Wyczuwam sceptycyzm – zauważył *Tesserakt*. – Chcecie efektów specjalnych. Demonstracji.

– *O cholera* – powiedział *Posejdon-23* i natychmiast jego głos utonął pośród ryku oceanu.

Desjardins zamrugał. Jeszcze chwilę wcześniej na kanale przebywało sześć przysłuchujących się osób. Teraz było ich cztery tysiące osiemset sześćdziesiąt dwie *i* wszystkie mówiły na raz. Nie dało się zrozumieć żadnego z głosów, ale nawet ten zbiorowy wrzask charakteryzował się niemożliwą wręcz czystością – cyfrowa paplanina pozbawiona była zniekształceń, zakłóceń, arytmicznych zająknięć, powstałych przez opóźnienie lub zagubienie bajtów.

Po chwili powróciła cisza. Lista obecnych na kanale użytkowników implodowała znów do sześciu wcześniejszych pozycji.

– Proszę bardzo – powiedział *Tesserakt*.

O kurwa, pomyślał wstrząśnięty Desjardins. Przestudiował wyniki na swojej tablicy. *Rozmawia z nimi wszystkimi. Jednocześnie.*

– Jak to zrobiłeś? – zapytał *Hiigara*.

– Wolałbym tego nie robić – szepnął *Tesserakt*. – To zwraca uwagę. Czy ktoś z was znajduje się może w centralnym N’Am, na przykład w okolicy Wielkich Jezior?

Desjardins wyciszył paplaninę. Teraz, gdy miał trop, już jej nie potrzebował. Wyglądało na to, że na serwerze szpitalnym, po drugiej stronie miasta, znajdowało się całkiem sporo zwierzyny. Mężczyzna wszedł do środka i wyjrzał na zewnątrz przez portale.

A *tam* – jeszcze więcej zwierzyny. Desjardins dał krok w bok i znalazł się w rejestrze kont bankowych Oslo National. Jeszcze większe ilości zwierzyny napływały do...

Kolejny krok.

Timor. *Naprawdę* paskudna nawała. Rzecz jasna, maleńkie filie tkwiły wciąż w dwudziestym wieku, jeśli chodziło o metody radzenia sobie ze szkodnikami, ale mimo wszystko...

To jest to, pomyślał Desjardins.

Niczego nie dotykaj. Idź prosto do źródła.

I tak zrobił. Szeptał słodkie słówka strażnikom przy bramkach i zegarom systemowym, machając im przed oczami swoją legitymacją służbową, by rozwiać ich obawy. *Ogromna grupa użytkowników za chwilę strasznie się wkurwi*, przeszło mu przez myśl.

Postukał palcami w tablicę. Po drugiej stronie świata zamknęły się wszystkie portale, znajdujące się na skraju węzła Timor.

Wewnątrz, czas się zaciął.

Jednak nie zatrzymał się całkowicie. Bez *pewnego* stopnia iteracji systemu nie byłoby możliwości skopiowania tego, co znajdowało się w środku. Przy odrobinie szczęścia, nie będzie to miało znaczenia. Kilka tysięcy cykli, kilkadziesiąt tysięcy. Być może tyle wystarczy, by w kilku

poklatkowych iteracjach wróg zorientował się mgliście, co jest grane, ale, jeśli dobrze pójdzie, nie wystarczy, by mógł cokolwiek z tym *zrobić*.

Desjardins nie zwracał uwagi na narastające przy bramkach do Timoru zatory. Ignorował płaczliwe zapytania, nadchodzące ze strony innych węzłów, zastanawiających się, dlaczego nagle zerwano z nimi połączenia. Widział jedynie matematykę w bańce – architekturę, system operacyjny, software. Pliki, programy wykonywalne i zwierzynę. Przypominało to niemalże teleportację – każdy bit został unieruchomiony, przeczytany i zrekonstruowany po drugiej stronie świata, a oryginał pozostawał bez zmian, dzięki intymności przeprowadzonego na nim gwałtu.

Miał go.

W węźle Timor przywrócona została normalna prędkość, ale coś w jego wnętrzu dostało nagłego ataku paniki. Zwierzyna rozbiegła się na wszystkie strony niczym liście rozrzucone przez tornado, szarpiąc rejestry, wypadając przez drzwi i wypruwając z siebie flaki po fakcie. Nie miało to już znaczenia. Było za późno.

Desjardins uśmiechnął się. Miał Ukwiał w zbiorniku.

W terrarium *mógł* całkowicie zatrzymać czas.

Wszystko leżało przed nim, zastygłe w mgnieniu oka – software’owa emulacja samego węzła, kopie każdego rejestru i adresu, każdy spin i każdy bit. Mógł wprawić to wszystko w ruch, wydając jedną komendę.

I wszystko rozpierzchłoby się w ciągu kilku sekund. Zupełnie jak w przypadku timorskiego oryginału.

Stworzył więc nienaruszalne kopie zapasowe dzienników i rejestrów, które umieścił na *zewnątrz* wraz z przefiltrowanym, dwukierunkowym przewodem do oryginałów. Przeszedł przez wszystkie portale prowadzące na zewnątrz węzła, będące obecnie bramkami donikąd, wychodzącymi z bańki zawieszonej w próżni, i zakrzywił każdy z nich.

Następnie przyjrzał się swemu dziełu. Czas stał w miejscu. Nic się nie poruszało.

– Moebiusie, przybywaj – mruknął.

Ukwiał wrzasnął. Tysiące niezarejestrowanych plików wykonywalnych skoczyło naprzód i rozdarło dzienniki ruchu na strzępy. Miliony kolejnych rzuciło się do ucieczki przez portale.

A dziesięć razy tyle po prostu przyglądało się:

jak okaleczone rejestry zaczęły naprawiać się, magicznie wspomagane z góry, z szybkością, która niemal nie dawała czasu na krwawienie;

jak zwierzyna, która umknęła przez *ten* portal, wpadła z powrotem przez *tamten*, krążąc w zamieszaniu;

jak pośród dziczy otworzył się kanał i rozbrzmiał głos z Niebios.

– Hej, ty! Ukwiale!

– Nie rozmawiamy z tobą. – Bezpłciowe, neutralne ustawienia domyślne.

Wciąż starał się dobrać do rejestrów, ale próbował kilkunastu różnych taktyk w tym samym momencie – subtelnego fałszerstwa, ataku frontalnego z pełną siłą i wszystkich opcji pośrednich. Żadna z tych metod nie przyniosła rezultatu, ale Desjardins i tak był pod wrażeniem. Cholernie sprytny.

Sprytny jak pająk krzyżak, przez całe życie ślepo podporządkowany funkcji przystosowania. Sprytny jak ptak, kalkulujący prędkość i kierunek wiatru, odległość oraz optymalny ładunek nasion z dokładnością do trzech miejsc po przecinku.

– Naprawdę powinieneś ze mną porozmawiać – powiedział łagodnie Desjardins. – Jestem Bogiem. – Pochwycił przypadkową zwierzynę, oznakował ją i z powrotem wypuścił na wolność.

– Sypiesz zakłóceniami. Lenie Clarke jest Bogiem. – Ławica ryb, stado krążących ptaków, tak skomplikowane, że potrzeba użycia macierzy i maszyn myślących, by to zrozumieć. ASCII pochodził gdzieś z wewnątrz.

– Clarke nie jest Bogiem – zaprotestował Desjardins. – Jest szalką Petriego.

Zwierzyna wciąż przepływała przez zapętlone bramki, ale już nie tak przypadkowo. W locie ewoluowała jakaś planowa eksploracja. Desjardins sprawdził zwierzynę, którą oznakował. Miała już potomków, a każdy z nich nosił na sobie Znamię Kaina, którym mężczyzna naznaczył ich przodka. A potomkowie mieli już własnych potomków.

Dwieście sześćdziesiąt pokoleń w czternaście sekund. Nieźle.

Dzięki, Alice. Gdybyś nie truła mi o tych tańczących trzmielach, to kto wie, kiedy bym do tego doszedł...

– Może przyda ci się mała demonstracja – powiedział rój. – Chcecie efektów specjalnych, prawda?

Alice miała rację. Geny posiadają własną inteligencję. Potrafią zmusić mrówkę do uprawy podziemnych pól, udomowienia i hodowli mszyc, a nawet zdobywania niewolników. Geny potrafią ukształtować tak wyrafinowane zachowania, że z czasem mogą one balansować na granicy geniuszu.

– Demonstracja – powtórzył Desjardins. – Pewnie. Dawaj.

Czas był tu czynnikiem decydującym. Geny są *powolne* - tysiąc pokoleń, by nauczyć się sztuczki optymalnego zdobywania pokarmu, którą mózg podłapałby w pięć minut. Oczywiście, właśnie dlatego wyewoluowało coś takiego jak mózg. Jeśli jednak da się upchnąć sto pokoleń w czasie tak krótkim jak ziewnięcie, to może wtedy geny uzyskają przewagę. Może zwierzyna uczy się mówić, korzystając jedynie ze ślepej i głupiej logiki doboru naturalnego, a biedny, ospały worek mięsa po drugiej

stronie nawet nie podejrzewa, że prowadzona przez niego rozmowa trwa całe pokolenia.

– Czekam – powiedział Desjardins.

– Lenie Clarke to nie demonstracja. – Rój wirował w terrarium. Czy to tylko wyobraźnia, czy też wydawał się jakby... blednąć?

Desjardins uśmiechnął się.

– Zaczynasz się gubić, prawda?

– Chleb i ryby dla Ukwiału.

– Ty nie jesteś Ukwiałem. Jesteś tylko jego jedną, maleńką *częścią* i do tego osamotnioną...

Rzecz jasna, czas to nie wszystko. Ewolucja potrzebuje też *wariancji*. Mutacji i przetasowań, by móc tworzyć nowe prototypy oraz zmiennych środowisk, by odsiać nieprzystosowanych i ukształtować ocalałych.

– Clarke, Lenie. Wodę rozjaśnił chłodny blask radu...

Życie może przetrwać zamknięte w pudełku, przynajmniej przez jakiś czas. Nie może tam jednak *ewoluować*. A populacja terrarium Desjardinsa zaczynała wyglądać mocno endogamicznie.

– Darmowe hardcore pedosnuff – wymamrotał rój. – Naście by wejść.

Niezliczona ilość osobników. Osobników walczących między sobą i rozmnażających się. Wreszcie pogrążających się w stagnacji.

To wszystko to tylko *wzorzec*.

– Ginący gatunek – powiedziała zwierzyna i zamilkła.

Desjardins zorientował się, że wstrzymywał oddech. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

– No cóż – szepnął. – Ostatecznie wcale nie jesteś taki sprytny. Jedynie *zachowujesz się*, jakbyś był...

Bratnia dusza

Ktoś dobijał mu się do drzwi. Ktoś zdecydowanie *nie* chciał zrozumieć aluzji.

– Killjoy! Otwieraj!

Idź sobie, pomyślał Desjardins. Wysłał swoje wnioski reszcie zespołu pracującego nad Ukwiałem, rozrzuconej po świecie grupie prawołamaczy, których nigdy nie dane mu było poznać osobiście i pewnie nigdy nie będzie. *Dorwałem tego frajera. Udało mi się go rozgryźć.*

– *Achilles!*

Mężczyzna niechętnie odchylił się w fotelu i bez patrzenia otworzył kciukiem drzwi.

– Czego chcesz, Alice?

– Lertzman nie żyje!

Desjardins gwałtownie odwrócił się wraz z siedzeniem.

– *Żartujesz* sobie.

– Ktoś załatwił mu *układ nerwowy*. – W szeroko otwartych, migdałowych oczach Jovellanos malował się niepokój. – Znaleźli go dziś rano. Znajdował się w stanie śmierci mózgowej, po prostu leżał na podłodze i *głodził* się na śmierć. Ktoś wbił mu igłę u podstawy czaszki, *niszcząc* istotę białą...

– Jezu – Desjardins wstał. – Jesteś *pewna*? To znaczy...

– *Oczywiście*, że jestem pewna, uważasz, że zmyślam? To Lubin. To *musiał* być Lubin, właśnie tak cię wyśledził, tak...

– Tak Alice, *rozumiem*. – Zrobił krok w jej stronę. – Dzięki... Dzięki, że mi to powiedziałaś. – Zaczął zamykać drzwi.

Kobieta wsunęła stopę do środka.

– To *wszystko*? Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Lubina już nie ma. To już nie nasz problem. A poza tym... – Wypchnął jej stopę własną. – Nie lubiłaś Lertzmana tak samo jak ja.

I zamknął jej drzwi przed nosem.

Lertzman nie żyje.

Lertzman biurokrata. Cysta w „systemie”, zbyt uśpiona by mieć na niego wpływ, zbyt głęboko zakorzeniona by ją usunąć, zbyt nieefektywna by mieć jakiekolwiek znaczenie.

Nie żyje.

No i dlaczego tak się tym przejmujesz? Był dupkiem.

Ale go znałem...

Jedna osoba, którą znasz. Odległe miliony, których nie znasz.

To mogłem być ja.

W kwestii Lertzmana nic już nie mógł zrobić. W kwestii jego zabójcy zresztą też nie -Lubin zniknął z życia Desjardinsa, podążając śladami Lenie Clarke. Jeśli jego misja zakończy się powodzeniem, Ken Lubin może okazać się zbawcą całej planety. Ken-pieprzony-psychopata-*Lubin*, zbawiciel miliardów. Wydawało się to niemal śmieszne. Może ocaliwszy świat, w ramach świętowania swojego sukcesu, wpadnie w morderczy szał. Sprowokuje przeciek za przeciekiem i nieograniczany przez nikogo zatamuje każdy z nich, powodując ogromne szkody. Jak przypuszczał Desjardins, w zamian za zbawienie miliardów można liczyć na całkiem sporą dozę przebaczenia.

Pomimo wszystkich swoich dziwactw, Ken Lubin robił coś wartego zachodu. Ścigał tę *drugą* Lenie Clarke, tę *prawdziwą*. Lenie Clarke, którą tropił Desjardins okazała się mirażem. Nie istniał wcale żaden wielki spisek. Nie było żadnego ogólnoświatowego kultu śmierci. Ukwiał to

śliniący się kretyn. Wiedział jedynie, że opowieści o globalnej apokalipsie były dobre do rozmnażania, a *Lenie Clarke* stanowiła darmową przepustkę do Oazy. Połączył te dwa wątki jedynie dzięki ślepemu, głupiemu trafowi.

Wydawało się straszliwą ironią, że opisywana osoba zaczęła nagle spełniać pokładane w niej oczekiwania.

To już był problem Lubina, nie Desjardinsa.

Tyle, że to kompletna bzdura. Lenie Clarke była problemem *wszystkich*. Zagrożeniem dla większego dobra, o ile rzeczywiście istniało coś podobnego.

Zapomnij o Lertzmanie. Zapomnij o Alice. Zapomnij o Rowan, o Lubinie, a nawet o Ukwiale. Żadne z nich nie grałoby istotnej roli, gdyby nie Lenie Clarke.

To Lenie Clarke jest powodem do niepokoju. To ona *pozabija nas wszystkich.*

Wyszła z oceanu na Pas u wybrzeża Oregonu, po czym przemieściła się na północ, do Hongcouver. Następnie udała się w głąb lądu, cudem przedostając się przez obszar objęty kwarantanną. Potem nic przez około miesiąc, aż w końcu pokazała się na środkowym zachodzie, zmierzając na południe. Posuwając się wzdłuż granicy zamkniętej strefy, ciągnącej się przez trzy stany. Dwa ogniska na skraju Pasa Pyłowego. Później Yankton – grot strzałki, wskazującej w okolice Wielkich Jezior.

Do domu, jak powiedział Lubin. *Sault Sainte Marie.*

Desjardins przebiegł palcami po tablicy. Na powierzchni jego wkładek rozbłysło menu główne Grid Authority z N’AmPac. Personel. Clarke, Lenie.

Nie żyje.

To akurat żadna niespodzianka – biurokracja zawsze była na bieżąco z ostatnimi wydarzeniami. Przynajmniej nie usunięto pliku.

Wywołał informację o najbliższych krewnych kobiety: *Clarke, Indira* oraz *Butler, Jakob.*

Nie żyją.

Załóżmy, że nie mogłaby się do nich dostać, rozważała Rowan. *Załóżmy, że nie żyją już od dawna.*

A Lubin odpowiedział jej: *Ludzie, których ona nienawidzi są zdecydowanie całkiem żywi...*

Sprawdził rejestry publiczne. W ciągu ostatnich trzech lat, czyli tak daleko wstecz, jak sięgały zapisy, na żadnym wykazie dotyczącym Sault Ste. Marie nie figurowała Indira Clarke ani Jakob Butler. Archiwa główne obejmowały cztery lata więcej, ale i tam Desjardins nic nie znalazł.

Załóżmy, że nie żyją już od dawna. Dość dziwne zdanie, gdy się nad tym zastanowić.

Daj sobie spokój z rejestrami, pomyślał Desjardins. *Łatwo można je edytować.* Zamiast tego skonsultował się ze swatami, wrzucił do Wiru butelkę z wiadomością, w której pytał, czy ktokolwiek widział *Indirę Clarke* albo *Jakoba Butlera* w połączeniu z *Sault Sainte Marie*.

Trafienie pochodziło z Pomocy Rejestrów Publicznych w N'AmPac – było to zapytanie pochodzące sprzed ponad siedmiu miesięcy. Właściwie powinno zostać usunięte w zaledwie kilka godzin po jego wysłaniu. Nie zostało. *Indira* nie była jedyną Clarke wymienioną w jego treści.

Clarke, Indira - głosił zapis. – *Clarke z „e" na końcu.*

Ile jest Indir Clarke w Sault Sainte Marie?

A ile jest ich w całym N'Am, zajmujących się zawodowo połowem w Wirze, mających córkę jedynaczkę urodzoną w lutym 2018, o imieniu Lenie?

To po prostu kurwa niemo-

Wyglądało na to, że w Ameryce Północnej matka Lenie Clarke po prostu nie istniała. A Lenie Clarke nie miała o tym pojęcia.

A przynajmniej tego nie *pamiętała*...

Jakie było kryterium wyboru kandydatów do programu ryftowego? - próbował sobie przypomnieć Desjardins. *Ach tak, „wstępne przystosowanie do środowisk stresogennych”...*

Coś otworzyło jedno oko, gdzieś w głębi jego trzewi, i zaczęło warczeć.

Ostatnimi czasy stał się bardzo wyjątkową osobą. Posiadał nawet bezpośrednie połączenie z Patricią Rowan. O dowolnej porze, jak powiedziała mu kobieta. Dnia i nocy. Ostatecznie nadchodził koniec świata.

Odebrała po drugim sygnale.

– Było ciężko, prawda? – zapytał Desjardins.

– Co ma pan na myśli?

– Założę się, że jednostki charakteryzujące się osobowością antyspołeczną okazują się naprawdę kiepskimi uczniami. Założę się, że zrobienie z tych świrów inżynierów morskich okazało się graniczyć z niemożliwością. Musiało być o wiele łatwiej zrobić to w drugą stronę.

Na linii zapadła cisza.

– Pani Rowan?

Kobieta westchnęła.

– *Nie byliśmy zachwyceni tą decyzją, doktorze.*

– No ja myślę, kurwa, że *nie* – odparował. – Wzięliście *istoty ludzkie* i...

– Doktorze Desjardins, nie jest to pańską sprawą.

– Ach tak? Jest pani pewna, że może wysuwać takie twierdzenia po ostatnim razie?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– *βehemot* też nie był moją sprawą, pamięta pani? Baliście się, że inny *korp* zdobędzie nad wami przewagę, gdy się wydostał, ale i tak nie

zamierzaliście przyjść z tym do *nas*, prawda? Nie, droga pani. Woleliście oddać władzę *mózgoserowi*.

– Doktorze...

– Po co w ogóle *istnieje* KRASZ? Po co przykuwacie nas do Moralniaka, *skoro i tak nie macie zamiaru korzystać z naszych usług?*

– Przepraszam, doktorze, ale czy może sądził pan, że Moralniak czyni pana *nieomylnym*? – Głos Rowan był zimny jak lód. – Nie, nie czyni. Jedynie chroni przed *rozmyślnym* skorumpowaniem, a robi to łącząc się z pańskimi przeczuciami. A, może pan wierzyć lub nie, bycie szczególnie związanym z własnymi przeczuciami wcale *nie* jest najlepszą kwalifikacją do rozwiązywania problemów długoterminowych.

– Nie to...

– Postępuje pan dokładnie tak samo, jak dowolny inny ssak, doktorze. Pańskie poczucie rzeczywistości jest zakorzenione w teraźniejszości. To naturalne, że rozdmuchałby pan bliższy termin, a zbagatelizował odleglejszy, bo jutrzejsza katastrofa zawsze będzie wydawać się mniej realna niż dzisiejsza niewygoda. Może pan nie mieć sobie równych, jeśli chodzi o szybko rozprzestrzeniające się niebezpieczeństwa, ale drżę na samą myśl, jak poradziłby pan sobie z problemem, którego konsekwencje rozciągnęłyby się na najbliższe *dziesięciolecie*, a co dopiero następny wiek. Moralniak za każdym razem skierowałby pana w stronę krótkoterminowego zysku.

Jej głos złagodniał nieco.

– Oczywiście, jeśli ostatnie wydarzenia *czegokolwiek* nas nauczyły, to na pewno tego, że czasem trzeba poświęcić bliższy termin w imię tego odleglejszego.

Kobieta zamilkła, jakby rzucała mu wyzwanie. Jakby czekała, aż zaprotestuje. Moment ciszy przeciągał się coraz bardziej.

– Tak naprawdę nie była to wcale aż tak radykalna metoda – odezwała się wreszcie.

– Co takiego?

– To o wiele bardziej powszechne, niż mogłoby się panu wydawać. Nawet *prawdziwe* wspomnienia są w większości... posklejane z kawałków. Po fakcie. Nie trzeba wcale intensywnego nakłaniania, by mózg poskładał je ze sobą w inny sposób. To przede wszystkim siła sugestii. Czasami ludzie wręcz robią to przez przypadek.

Ona próbuje się bronić, uświadomił sobie Desjardins. *Patricia Rowan próbuje usprawiedliwić swoje działania. I to przede mną.*

– I dlatego to, co inni robią przez przypadek, wy zrobiliście celowo – powiedział.

– Nasze metody były o wiele bardziej finezyjne. Środki usypiające, hipnoza. Trochę modyfikacji w głębi zwojów, by zablokować pojawianie się prawdziwych wspomnień.

– Przez was kompletnie ją pojebało.

– Wie pan, jak to jest być *pojebanym*? Wie pan, co w ogóle *oznacza* to malownicze określenie? Oznacza szybki wzrost liczby określonych miejsc receptorowych oraz hormonów stresu. Oznacza podwyższone progi graniczne, wywołujące przepływ impulsu nerwowego. To *chemia*, doktorze, a kiedy wierzy się, że było się wykorzystywanym... Cóż, wiara to tylko kolejny zestaw substancji chemicznych w całej mieszance, prawda? Otrzymuje się coś... jakby efekt kaskady, mózg sam wytwarza sobie nowe połączenia i nagle okazuje się, że potrafisz przetrwać rzeczy, przez które my wszyscy posikalibyśmy się w spodnie. Tak, sfałszowaliśmy dzieciństwo Lenie Clarke. Tak, nigdy nie była wykorzystywana...

– Przez swoich *rodziców* – wtrącił Desjardins.

– ...ale to, że *wierzy*, że była wykorzystywana, uczyniło ją dość silną, by przetrwać na ryfcie. To *pojebanie* zapewne dziesiątki razy uratowało jej życie.

– A teraz – wytknął mężczyzna – wraca do domu, którego nigdy nie miała, próbując dorwać rodziców, którzy nie istnieją, powodowana traumą wykorzystywania, które nigdy nie miało miejsca. Cała jej definicja siebie samej jest jednym wielkim kłamstwem.

– I dzięki Bogu – powiedziała Rowan.

– *Co takiego?*

– Czyżby już pan zapomniał, że ta kobieta to chodząca wylęgarnia końca *świata*? Przynajmniej wiemy, dokąd zmierza. Ken może ją zatrzymać. Ta jej... *definicja* czyni ją przewidywalną, doktorze. A dzięki temu wciąż jeszcze możemy ocalić świat.

Wszędzie naokoło przewijały się dane wywiadowcze z całego świata. Mężczyzna w ogóle ich jednak nie dostrzegał.

Ken może ją zatrzymać.

Kena Lubina uMoralniono tak, by stał się idealnym strażnikiem. Lubin natomiast raz za razem fundował sobie drobne potknięcia, żeby móc to udowadniać.

Ktoś kiedyś mi uciekł, powiedział. I dodał jeszcze: *Wielka szkoda. Naprawdę zasługiwała na to, by dać jej szansę...*

Lenie Clarke miała coś więcej niż tylko szansę – miała legiony chroniących ją wyznawców. Problem w tym, że nie byli oni tak naprawdę *jej* wyznawcami. Ścigali poruszające się z prędkością światła, przesunięte ku fioletowi, zniekształcenie ewolucyjne. Gdyby Ukwiał nie miał pojęcia, gdzie była i nie uderzył na alarm – czy cokolwiek to było, w końcu Ukwiał nie był jasnowidzem – skąd ktokolwiek w ogóle by *wiedział* o samotnej, czarnej sylwetce przekradającej się nocami?

Lenie Clarke to tylko jedna, samotna kobieta. A Ken Lubin podążał jej tropem.

W zasadzie zabicie jej nie było absolutnie konieczne. Można byłoby ją oczyścić. Można byłoby ją zneutralizować, a nie wyeliminować. To jednak nie będzie miało żadnego znaczenia, nie dla Kena Lubina.

Ona jest jedynym przeciekiem, który kiedyś pozostawił niezatamowany. Sam tak powiedział.

Achilles Desjardins nie znał Lenie Clarke. Właściwie powinna być dla niego jedną z odległych milionów. A jednak w pewnym sensie ją *znał* - znał kogoś, kim kierowały wyłącznie motywy innych ludzi. Wszystko, co robiła i wszystko, co czuła było jedynie wynikiem działania chirurgicznych i biochemicznych kłamstw, umieszczonych w jej wnętrzu w służbie innym osobom.

O tak. Znam ją aż za dobrze.

Nagle fakt, że była jednocześnie nosicielką globalnej apokalipsy niemal przestał mieć znaczenie. Lenie Clarke zyskała *twarz*. Wyczuwał ją w głębi swych trzewi, drugą istotę ludzką, która stała się nagle dużo bardziej realna niż odległa abstrakcja w postaci ośmiocyfrowej liczby ofiar.

Znajdę ją pierwszy.

Pewnie, Lubin był wyszkolonym zabójcą, ale Desjardins posiadał własny zestaw ulepszeń. Jak wszyscy prawołamacze. W jego systemie pełno było związków chemicznych zdolnych w ułamku sekundy zmusić jego odruchy do działania na najwyższych obrotach. Przy odrobinie szczęścia, gdyby tylko udało mu się przemieszczać dostatecznie szybko, mógłby dotrzeć do celu przed Lubinem. Miał na to cień szansy.

To nie była jego praca. I nie chodziło o większe dobro.

Srał jednak na obie te rzeczy.

Wagary

– Miało miejsce naruszenie regulaminu – powiedział korp. – Liczymy, że uzupełni pani obraz sytuacji o kilka istotnych szczegółów.

Na te słowa, połowa mięśni mimicznych Alice Jovellanos postanowiła dostać skurczy. Kobieta opanowała się jednak i przybrała minę, która miała świadczyć o – *daj Boże, proszę* – jej niewinności i podszytym niepokojem zaciekawieniu.

Tylko właściwie po co? – szepnął przemądrzały, wewnętrzny głos. *Muszą już o wszystkim wiedzieć. W przeciwnym razie, po co w ogóle by cię tu wzywali?*

Stłumiła go.

Jedynie zabawiają się twoim kosztem. W końcu żeby zostać korpem, trzeba przejawiać pewne upodobania pod kątem sadyzmu.

Stłumiła i ten. Z trudem.

Było ich czworo, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Siedzieli przy odległym końcu stołu konferencyjnego w stratosferze poziomu Admin-14. Jovellanos rozpoznała jedynie Slijper. Dopiero co ściągnięto ją tutaj na miejsce Lertzmana. Za plecami korpów jarzyły się punktowe światła halogenowe, przez co ich twarze skrywał cień. Za wyjątkiem oczu. Wszystkie cztery pary połyskiwały korporacyjnymi danymi.

Rzecz jasna, będą monitorować jej czynności życiowe. Dowiedzą się, że zżera ją stres. Oczywiście, każdy byłby zestresowany w takiej sytuacji. Jovellanos miała jedynie nadzieję, że subtelności w postaci wykrywania *poczucia winy* czy *niewinności* przekraczają możliwości zdalnych urządzeń.

– Słyszała pani o ostatnim ataku na Dona Lertzmana – odezwała się Slijper.

Jovellanos kiwnęła głową.

– Wydaje nam się, że pani kolega, Achilles Desjardins, może być w to zamieszany.

No dobra, teraz odpowiednia doza zaskoczenia...

– Achilles? Dlaczego?

– Mieliśmy nadzieję, że to pani nam to wyjaśni – włączył się inny korp.

– Ja nic nie... To znaczy, dlaczego nie zapytają państwo jego? – *Już to zrobili, ty idiotko. To właśnie doprowadziło ich do ciebie, sprzedał cię, po tym wszystkim on tak po prostu cię...*

– ...zniknął – zakończyła Slijper.

Jovellanos wyprostowała się na krześle.

– Słucham?

– Jak powiedziałam, wygląda na to, że doktor Desjardins wybrał się na wagary. Kiedy nie pojawił się na swojej zmianie, zaniepokoiliśmy się. Myśleliśmy, że spotkał go podobny problem, co Dona, ale dowody wskazują na to, że zniknął z własnej woli.

– Dowody?

– Poprosił, by karmiła pani jego kota – wyjaśniła Slijper.

– On... Co...

Korpówa uniosła dłoń w uspokajającym geście.

– Wiem i mam nadzieję, że wybaczy nam pani tę interwencję. Zostawił pani wiadomość w kolejce. Napisał, że nie wie, ile potrwa jego nieobecność, ale byłby wdzięczny, gdyby mogła pani zająć się... Mandelbrotem, czy tak? Poza tym zakodował drzwi tak, by mogła pani wejść do środka. W każdym razie – kobieta opuściła dłoń – takie zachowanie to coś absolutnie niespotykanego u osoby znajdującej się pod

wpływem Moralniaka. Wygląda na to, że po prostu opuścił stanowisko bez słowa przeprosin, bez wyjaśnienia i bez uprzedzenia. To, delikatnie mówiąc, bardzo impulsywne działanie.

O matko. Killjoy, przecież miałeś przykrywkę. *Dlaczego musiałeś wszystko spieprzyć?*

– Nie miałam pojęcia, że to w ogóle możliwe – odpowiedziała Jovellanos. – Przyjął zastrzyki już kilka lat temu.

– A jednak sytuacja wygląda tak, a nie inaczej – Slijper odchyliła się na krześle. – Ciekawi nas, czy zaobserwowała pani ostatnio coś dziwnego w jego zachowaniu. Cokolwiek, co z perspektywy czasu mogłoby wskazywać na...

– Nie. Nic z tych rzeczy. Chociaż... – Jovellanos wzięła głęboki oddech. – W zasadzie *wydał* mi się ostatnio nieco... Sama nie wiem, jakby *wycofany*. *– Cóż, w zasadzie jest to prawda, a oni pewnie i tak już o tym wiedzą. Wydawałoby się podejrzane, gdybym o tym* nie *wspomniała...*

– Ma pani może podejrzenia, jaki mógł mieć ku temu powód? – zapytał inny korp.

– Niespecjalnie. – Jovellanos wzruszyła ramionami. – Miałam już okazję oglądać coś takiego. Prędzej czy później, fakt, że trzeba radzić sobie z kryzysami wielkiej wagi, wykańcza psychicznie. A uMoralnieni nie zawsze mogą pogadać o tym, co leży im na wątrobie, prawda? Dlatego zostawiłam go w spokoju.

Błagam, błagam, błagam, oby nie mieli jakiegoś zaawansowanego czujnika telemetrycznego...

– Rozumiem – powiedziała Slijper. – Mimo wszystko dziękujemy za pomoc, doktor Jovellanos.

– To już wszystko? – Kobieta podniosła się z miejsca.

– Niezupełnie – powiedział jeden z korpów. – Jest jeszcze jedna sprawa. Chodzi o...

Proszę, tylko nie to...

– ...*pani* udział w tym wszystkim.

Jovellanos opadła z powrotem na krzesło, czekając na wyrok.

– Zniknięcie doktora Desjardinsa pozostawiło, cóż, pewną lukę, na obecność której nie możemy sobie obecnie pozwolić – powiedział korp.

Jovellanos spojrzała na podświetlone zgromadzenie. W maleńkiej cząstce jej jestestwa obudziła się nadzieja.

– Współpracowała pani z nim blisko przez większą część tego zadania. Uważamy, że pani dotychczasowy wkład nie był marginalny. Właściwie już od jakiegoś czasu podejmuje się pani zleceń poniżej pani potencjału. Poza tym, znajduje się pani zdecydowanie dalej na krzywej uczenia się niż ktokolwiek inny, kogo moglibyśmy tu ściągnąć na chwilę obecną. Wedle zwyczajowych norm, już dawno należał się pani awans. Najwyraźniej jednak... To znaczy, zdaniem Opieki Psychologicznej ma pani pewne obiekcje co do przyjęcia Moralniaka...

Nie. Mogę. W. To. Uwierzyć.

– Proszę zrozumieć, że nie mamy tego pani za złe – ciągnął korp. – Pani poglądy na kwestie użycia inwazyjnej technologii są w pełni zrozumiałe, biorąc pod uwagę, co stało się z pani bratem. Nie potrafię jednoznacznie stwierdzić, czy zachowywałbym się inaczej, będąc na pani miejscu. Ta cała sprawa z nanotechnologią okazała się straszną porażką...

Coś znajomego wezbrało nagle w gardle kobiety.

– Jak pani widzi, rozumiemy pani obawy. Dlatego być może *pani* zechce zrozumieć, że Moralniak przynależy do zupełnie innej grupy i z całą pewnością nie ma niczego *niebezpiecznego*...

– Wiem, jaka jest różnica między bio a nano – wtrąciła łagodnie Jovellanos.

– Tak, oczywiście. Nie chciałem...

– Po prostu to, co stało się z Chito... Logika nie zawsze ma znaczenie, kiedy...

Chito. Biedny, martwy, torturowany Chito. Te haploidy nie mają bladego pojęcia, o tym, co zrobiłam.

To wszystko dla ciebie, młody.

– No tak. Oczywiście doskonale to rozumiemy. I choć pani uprzedzenia, całkowicie usprawiedliwione, jak już wspomniałem, uniemożliwiły pani rozwój zawodowy, to mimo wszystko spisuje się pani powyżej przeciętnej. Pozostaje pytanie, czy po tych wszystkich latach, *nadal* chce pani pozostawać w tyle?

– Naszym zdaniem byłaby to wielka strata – dodała Slijper.

Jovellanos powiodła wzrokiem po wszystkich zgromadzonych, nie odzywając się przez pełne dziesięć sekund.

– Myślę... Myślę, że już czas ustąpić – powiedziała wreszcie.

– A więc jest pani skłonna przyjąć zastrzyki i awansować na pozycję starszego prawołamacza – odezwała się znów Slijper.

Dla ciebie, Chito. Naprzód i do góry.

Alice Jovellanos kiwnęła głową z poważnym wyrazem twarzy, powstrzymując mięśnie mimiczne od wykonania zupełnie innego tańca.

– Myślę, że jestem na to gotowa.

Szeherezada

Wody reliktowe, zimne i szare.

Przypomniała sobie miejscowe legendy, choć nie była już pewna, w jaki sposób je poznała. Mniej niż jeden procent wody w jeziorach pochodził z opadów. Płynęła przez ciekłe pozostałości lodowca, który roztopił się dziesięć tysięcy lat temu. Zasoby te nigdy się nie odnowią, jeśli ludzkie żądze wyeksploatują je do cna.

Póki co jednak, wody było aż nadto. Mogła się ukryć.

Syrena całymi dniami przemierzała głębiny. Wizje z zapomnianej przeszłości unosiły się niczym banieczki powietrza pośród ciemnej wody i przeszywającego bólu w boku. Już dawno przestała się im opierać. Nocami wypływała na powierzchnię niczym przerośnięty plankton. Nie mogła ryzykować wyjścia na ląd. W Chicago napełniła plecak liofilizowanymi racjami żywnościowymi. Unosząc się na wodzie, rozrywała pakowane próżniowo torebeczki jak wydra morska, by przed świtem pogrążyć się znów w głębinach.

Wydawało jej się, że pamiętała część dzieciństwa spędzoną w miejscu zbiegu trzech największych jezior – Sault Sainte Marie, komercyjne gardło prowadzące do Jeziora Górnego. Miasto spoczywało na śluzach i tamach, przypominając trolla na moście, pobierającego myto od przewożonego ładunku. Nie było już tak gęsto zaludnione, jak kiedyś. Znajdowało się wprawdzie w odległości czterystu kilometrów od granic Suwerennego Quebeku, ale dla niektórych to wciąż było zbyt blisko, zwłaszcza po Dzierżawie Nunavut. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, ciężko było żyć w cieniu olbrzyma. Zwłaszcza, jeśli w ciągu jednej nocy

olbrzym mógł nagle stać się niepokonany i zacząć żywić urazy za trudne dzieciństwo. Wtedy sytuacja zacznie wyglądać naprawdę beznadziejnie. Dlatego ludzie powyjeżdżali.

Lenie Clarke pamiętała moment, w którym sama wyjechała. Jeśli chodziło o cienie, olbrzymy i nieszczęśliwe dzieciństwa, miała całe mnóstwo doświadczeń z pierwszej ręki. Dlatego właśnie wyprowadziła się z miasta i przemieszczała się coraz dalej i dalej, aż wreszcie na jej drodze stanął Ocean Spokojny, mówiąc *„To koniec”*. Osiadła w Hongcouver i żyła z dnia na dzień, z roku na rok, aż wreszcie Grid Authority zamieniło ją w coś, czego nie mógł powstrzymać już nawet sam ocean.

A teraz wróciła.

Było po północy. Syrena wynurzyła się cicho na powierzchnię, migoczącą odbitymi światłami miasta. Ściany odległej śluzy windowej, majaczące na tle nieba na zachodzie, przypominały mury niskiej twierdzy. Budowla, utrzymująca w ryzach spiętrzone wody Jeziora Górnego, stanowiła przynajmniej jeden relikt, który wciąż opierał się upadkowi. Mając ją po swojej lewej stronie, Clarke skierowała się na północ, na stronę kanadyjską. Zrujnowana przystań gniła tam od czasów poprzedzających jej narodziny. Kobieta rozpięła kaptur i napełniła płuca powietrzem. Płetwy zostawiła za sobą.

Choć widziała w ciemnościach, nie spostrzegła nikogo.

Ruszyła na północ, w stronę ulicy Queen, po czym skręciła na wschód. Jej stopy podążały własną wytyczoną trasą w przyćmionym świetle latarni. Nikt jej nie zaczepiał. Eastbourne Manor gnił jak wcześniej, wciąż nierozebrany, choć w ciągu ostatnich dwudziestu lat ktoś najwyraźniej uprzątnął kartonowe prefabrykaty.

Znalazłszy się przy Coulson Avenue, zatrzymała się i spojrzała na północ. Zapamiętany dom wciąż tam był, stał właściwie tuż za rogiem.

Dziwne, jak niewiele zmieniło się przez dwie dekady. Zakładając oczywiście, że wspomnień tych nie... zyskała... całkiem niedawno.

Jak do tej pory, wciąż nie dane jej było zobaczyć choćby jednego pojazdu czy człowieka. Jedynie nieco dalej na wschód, po drugiej stronie Riverview, nad ziemią wisiał rząd muchobotów, niemożliwych do pomylenia z czymkolwiek innym. Zwróciła się w stronę, z której przyszła. Tam też. Zupełnie bezszelestnie pojawiły się za jej plecami.

Clarke skręciła w Coulson.

Drzwi rozpoznały ją, choć minęło tyle czasu. Otworzyły się niczym usta, ale światła pozostały wygaszone, zupełnie jakby wiedziały, że w ogóle nie będą jej potrzebne.

Przed nią rozpościerał się korytarz, opustoszały i nieumeblowany. Jego ściany połyskiwały dziwnie, jakby niedawno zostały polakierowane. Łukowate przejście po lewej otwierało się na salon, w którym Indira Clarke zwykła bezczynnie przesiadywać. Dalej znajdowała się klatka schodowa. Puste, szare gardło prowadzące do piekła.

Na razie nie wejdzie na górę. Westchnęła i skręciła za róg, do salonu.

– Ken – powiedziała.

Pokój przypominał pozbawioną wyposażenia skorupę. Okna zostały zaciemnione, ale ryfterom w zupełności wystarczało sączące się z korytarza słabe światło uliczne. Lubin stał pośrodku pustej przestrzeni. Miał na sobie ubranie typowe dla lądowców, ale oczy ukryte były za nakładkami. Tuż za nim znajdował się jedyny mebel w całym pomieszczeniu – krzesło – z przywiązanym do niego mężczyzną. Ten wydawał się tylko nieprzytomny.

– Nie powinnaś była tu przychodzić – odezwał się Lubin.

– A gdzie indziej miałam pójść?

Lubin pokręcił głową. Nagle zaczął sprawiać wrażenie poruszonego.

– To było głupie posunięcie. Bardzo przewidywalne. Musiałaś to wiedzieć.

– A gdzie miałam pójść? – powtórzyła.

– To nawet nie jest to, co ci się wydaje. To nie jest to, co pamiętasz.

– Wiem – skwitowała Clarke.

Lubin spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Zrobili mnie w chuja, Ken. Wiem o tym. Chyba wiedziałam od momentu, kiedy zaczęłam mieć te „wizje”, choć chwilę to trwało, zanim...

– *Więc dlaczego tu przyszłaś?* – Ken Lubin gdzieś zniknął. Coś zajęło jego miejsce. Coś niemal ludzkiego.

– *Gdzieś* musiałam przeżyć swoje prawdziwe dzieciństwo – wyjaśniła po chwili Clarke. – Nie mogli przecież sfabrykować absolutnie wszystkiego. Wydawało mi się, że to najlepsze miejsce na rozpoczęcie poszukiwań.

– I myślisz, że ci na to pozwolą? Myślisz, że *ja* mogę ci na to pozwolić?

Obrzuciła go wzrokiem. Jego beznamiętne, puste oczy odpowiedziały jej spojrzeniem. Nieoczekiwanie jego twarz wydała się przepełniona cierpieniem.

– Pewnie nie – przyznała wreszcie z westchnieniem. – Wiesz co, Ken? Prawie było warto. Sama ta... wiedza. *Odkrycie* tego, co mi zrobili...

Za plecami Lubina, mężczyzna na krześle poruszył się nieznacznie.

– No i co teraz? – zapytała Clarke. – Zabijesz mnie za zabawę w Tyfusową Mary? Czy może potrzebują mnie w charakterze królika doświadczalnego?

– Nie wiem czy to miałoby jeszcze sens. Wszędzie już tego pełno.

– *Co* to w ogóle za epidemia? – Z niejakim zaskoczeniem zorientowała się, że wcale nie jest tego ciekawa. – To znaczy, minął już prawie rok, a ja wciąż żyję. Nie mam nawet żadnych objawów...

– U ryfterów trwa to trochę dłużej – odpowiedział Lubin. – A ściśle rzecz biorąc, nie jest to właściwie choroba. Raczej nanob glebowy. Wiąże siarczany czy coś takiego.

– I *tyle*? – Clarke pokręciła głową. – Dałam się zerżnąć tym wszystkim ciotom, a to nawet ich nie *zabije*?

– Zabije prawie wszystkich – sprostował łagodnie Lubin. – Tylko potrzeba na to trochę czasu.

– Aha.

Usiłowała zdobyć się na jakąś reakcję w obliczu tej nowiny, jakieś pochodzące z głębi uczucie o odpowiedniej sile. Wciąż jeszcze próbowała, gdy znów odezwał się Lubin.

– Tak czy siak, nieźle nas przeczołgałaś. Nikt nie może uwierzyć, że udało ci się dotrzeć aż tak daleko.

– Przy niewielkiej pomocy – powiedziała Clarke.

– A więc słyszałaś.

– Słyszałam całe mnóstwo rzeczy. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Ja wiem – odezwał się mężczyzna na krześle.

– Przepraszam cię, Lenie – powiedział. – Próbowałem go powstrzymać.

Nie znam cię. – Clarke spojrzała na Lubina.

– Naprawdę?

Lubin pokiwał głową.

– Wciąż żyje.

– I nawet niczego mu nie złamałem.

– Wow – spojrzała znów na związanego mężczyznę. – Kto to taki?

– Gość nazywa się Achilles Desjardins – odpowiedział jej Lubin. – To prawołamacz z Pogromców Entropii. No i twój wielki fan.

– Tak? A dlaczego jest związany?

– Dla większego dobra.

Przez chwilę zastanawiała się, czy drążyć temat. Zrezygnowała jednak i kucnęła przed Desjardinsem.

– Naprawdę próbowałeś go *powstrzymać*?

Desjardins kiwnął głową.

– Dla mnie?

– W pewnym sensie. Nie do końca – odpowiedział. – Trochę... trudno to wytłumaczyć. – Zaczął wiercić się, próbując poluzować elastyczne włókna, którymi był skrępowany. Te jednak wyraźnie zacisnęły się jeszcze bardziej. – Myślisz, że mogłabyś mnie uwolnić?

Clarke obejrzała się przez ramię. Lubin odpowiedział jej spojrzeniem, skąpany w odcieniach szarości.

– Nie sądzę – powiedziała. – Jeszcze nie teraz. – *I pewnie nigdy.*

– Daj spokój, nie potrzebujesz jego *zgody* – nalegał Desjardins.

– Ty cokolwiek widzisz? – W pomieszczeniu było na tyle ciemno, że oczy śmiertelnika nie powinny w ogóle zarejestrować jej ruchów.

– To prawołamacz – przypomniał jej Lubin.

– No i co z tego?

– Ulepszenia pod kątem dopasowywania wzorców. W rzeczywistości wcale nie widzi lepiej niż przeciętny lądowiec, ale lepiej radzi sobie z interpolacją słabego sygnału wejściowego.

Clarke zwróciła się znów w stronę Desjardinsa i pochyliła się bliżej.

– Powiedziałeś, że wiesz.

– Tak.

– W takim razie powiedz mi – szepnęła.

– Posłuchaj, to *nie jest odpowiedni moment*. Twój przyjaciel jest *porządnie* niezrównoważony, a w razie, gdybyś się jeszcze nie zorientowała, *oboje* jesteśmy...

– Wiesz, wydaje mi się, że Ken nie jest dziś sobą – przerwała mu Clarke. – Inaczej oboje już dawno bylibyśmy martwi.

Desjardins pokręcił głową i przełknął ślinę.

– No dobrze. Znasz historię o Szeherezadzie? Pamiętasz, dlaczego opowiadała *swoje* historie?

– O *Jezu* – jęknął mężczyzna.

Syrena uśmiechnęła się.

– Opowiedz nam bajeczkę, Achillesie...

Dopasowana destrukcja

Lubin słuchał, gdy Desjardins wyjaśniał temat. Prawołamacz najwyraźniej sporo się naczytał od czasu ich ostatniego spotkania.

– Pierwsze mutacje musiały być bardzo proste – powiedział. – Żele starały się rozpowszechnić βehemota, a zmienna *Lenie Clarke* została oznaczona jako nosiciel w różnych aktach personalnych. Dlatego każdy wirus, mający w swoim źródle twoje nazwisko, od razu zyskiwał przewagę. Żele myślały, że zawiera ważną informację, więc przepuszczały go dalej. Nawet gdyby zorientowały się, co jest grane, to tylko zmusiłoby zwierzynę do wymyślenia czegoś nowego. A zwierzyna działa *dużo* szybciej niż mięso. Jesteśmy dla niej niczym epoki lodowcowe i dryf kontynentów – napędzamy jej ewolucję, ale jesteśmy *powolni*. Zwierzyna ma aż za dużo czasu na przygotowanie środków zapobiegawczych.

– Teraz zaś część z nich stała się organizmami symbiotycznymi, stworzyły coś w stylu... sieci izolacyjnej Lenie Clarke. W zamian za ochronę ze strony żeli. To jakby makrela miała rekiny za ochroniarzy. Dało im to ogromną przewagę nad konkurencją. Dlatego wszyscy korzystali z okazji.

Desjardins spojrzał przez ciemność na Clarke.

– Wiesz, naprawdę stałaś się katalizatorem czegoś niezwykłego. Już dobór grupowy występuje bardzo rzadko, a ty w dodatku pobudziłaś grupę odrębnych form życia do stworzenia... Cóż, właściwie to kolonialnego superorganizmu, w którym jednostki funkcjonują jako części ciała. Część z nich nie robi nic więcej poza przenoszeniem wiadomości, jak żyjące neuroprzekaźniki. Całe rody wyewoluowały tylko po to, by poradzić sobie

z rozmową z ludźmi. Dlatego nikt nie potrafił namierzyć tego skurwiela – wszyscy szukaliśmy aplikacji turingowskiej i kodu sieci neuronowej, a niczego takiego *nie było*. To wszystko genetyka. Nikt nie dostrzegł związku.

Mężczyzna zamilkł.

– Nie. – Clarke potrząsnęła głową. – To niczego nie wyjaśnia. – Przez całą jego przemowę trwała nieruchomo.

– To *wszystko* wyjaśnia – powiedział Desjardins – To...

– Jestem tylko hasłem, tak? – Nachyliła się blisko. – *Kluczem*, pozwalającym przejść obok jebanych mózgoserów. A co z *Yankton*, skurwielu? Co z tym całym pierdoleniem o *Syrenie Apokalipsy* i tymi wszystkimi ludźmi z imitacjami nakładek na oczach, spijającymi mi słowa z ust, gdy tylko pojawię się w okolicy? Skąd *oni* się wzięli?

– Z... z tego samego miejsca – wyjąkał Desjardins. – Ukwiał rozpowszechniał mem na wszystkie dostępne mu sposoby.

– To nie dość dobre wytłumaczenie. Wymyśl coś lepszego.

– Ale ja nie...

– *Wymyśl coś lepszego.*

– Takie rzeczy dzieją się *przez cały czas*, na litość boską! Ludzie przymocowują sobie bomby do pleców albo rozpylają sarin w poczekalni dla pasażerów, albo idą do szkoły pewnego dnia i tak po prostu zaczynają strzelać do innych... *Wiedzą*, że zginą, ale to jest tego *warte*, rozumiesz? Jeśli tylko uda im się dorwać drani, którzy uczynili z nich ofiary.

Kobieta roześmiała się. Jej śmiech przypominał szczekliwe staccato i brzmiał tak, jakby coś właśnie pękło.

– Czy dlatego jestem w centrum tego wszystkiego? Bo jestem *ofiarą*?

Desjardins pokręcił głową.

– To *oni* są ofiarami. Ty jesteś bronią, której użyli do swojej obrony.

Clarke spiorunowała go wzrokiem. Ten odpowiedział jej bezradnym spojrzeniem.

Uderzyła go w twarz.

Desjardins poleciał do tyłu i uderzył głową o podłogę. Leżał, pojękując, wciąż przywiązany do przewróconego krzesła.

Clarke odwróciła się. Lubin zagradzał jej wyjście.

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, trwając w bezruchu.

– Jeśli zamierzasz mnie zabić – odezwała się wreszcie – to po prostu to zrób. Jeśli nie, to zejdź mi z drogi.

Lubin zastanawiał się przez chwilę. W końcu ustąpił. Lenie Clarke przecisnęła się obok niego i weszła po schodach na górę.

Naprawdę spędziła tu dzieciństwo. Dekoracje były autentyczne. Zmyślono jedynie role drugoplanowe. Lubin wiedział doskonale, dokąd zmierzała.

Znalazł ją w półmroku jej dawnej sypialni. Podobnie jak pozostałą część domu, także i to pomieszczenie ogołocono i spryskano. Clarke odwróciła się w jego stronę, gdy wszedł do środka i potoczyła zmęczonym wzrokiem po pustych ścianach.

– Jest opuszczony? Wystawiono go na sprzedaż?

– Zrobiliśmy to przed twoim przybyciem – odpowiedział Lubin. – Na wszelki wypadek. By ułatwić sobie zadanie, w razie gdyby trzeba było posprzątać.

– Ach. Cóż, to i tak nieważne. Właściwie wciąż wydaje mi się, jakby to było wczoraj. – Skierowała skryte za nakładkami oczy na jedną ze ścian. – Tu stało moje łóżko. Tu właśnie... *Tata*... puszczał mi bajki na dobranoc. Chyba można nazwać to grą wstępną. A tam jest kanał wentylacyjny – wskazała na kratę wprawioną w listwę przypodłogową – łączący się bezpośrednio z salonem. Słyszałam, jak Mama oglądała swoje ulubione programy. Zawsze wydawało mi się, że były strasznie głupie, ale

spoglądając z perspektywy czasu, wydaje mi się, że Mama też ich wcale nie lubiła. Po prostu stanowiły niezłe alibi.

– To nigdy nie miało miejsca – przypomniał jej Lubin. – Żadna z tych rzeczy.

– Wiem o tym, Ken. Załapałam już. – Wzięła głęboki oddech. – Ale wiesz, teraz wydaje mi się, że oddałabym wszystko, żeby to jednak *była* prawda.

Lubin zamrugał oczami z zaskoczeniem.

– Co takiego?

Odwróciła się w jego stronę.

– Masz pojęcie jak to jest, kiedy... Kiedy prześladuje cię *szczęście*? – Zaniosła się gorzkim śmiechem. – Zapierałam się przed tym przez te wszystkie miesiące, przekonywałam samą siebie, że to *udar* i *halucynacje*, *jasna cholera*, Ken, przecież nie *mogłam* mieć szczęśliwego dzieciństwa. Moi rodzice *musieli* być potworami, rozumiesz? To potwory uczyniły mnie tym, kim jestem. Tylko dzięki nim przetrwałam to całe gówno, które zwaliło się na mnie później, tylko one dawały mi siłę do *działania*. Absolutnie *nie* zamierzałam dać im wygrać. Wszystko, co popychało mnie dalej za każdym razem, gdy nie dawałam za wygraną, za każdym razem, gdy udało mi się pokonać przeciwności, to było jak policzek w ich wielkie, triumfujące, wszechpotężne, potworne pyski. Wszystko, co kiedykolwiek zrobiłam, zrobiłam *przeciwko* nim. Wszystko czym *jestem*, jest przeciwko *nim*. A teraz ty stajesz przede mną i twierdzisz, że te potwory w ogóle nie istniały...

Jej oczy przypominały puste przestrzenie wypełnione gniewem. Spojrzała na niego z wściekłością, od której trzęsły jej się ramiona. W końcu jednak odwróciła się w drugą stronę, a kiedy znów się odezwała, mówiła cichym i łamiącym się głosem.

– Problem w tym, że one istnieją, Ken. Przysięgam-na-Boga, potwory z-krwi-i-kości, te w starym stylu. Ukrywają się przed światłem dnia i wypełzają ze stawów nocą, siejąc zniszczenie dokładnie tak, jak można by się po nich spodziewać. Zabijają i okaleczają każdego, kto tylko dostanie się w ich łapy... – Głęboki, urywany oddech. – A wszystko, co te potwory mają na swoją obronę, to fakt, że im oberwało się jako *pierwszym*. Świat przepierdolił ich na długo, zanim one zaczęły przepierdalać go w odwecie i jeśli dowolna z tych osób *nie była* winna, to, no cóż, nie powstrzymała tych wszystkich, które *były*, prawda? *Wszyscy* sobie na to zasłużyli. Potworom nie przysługuje czynnik łagodzący, który usprawiedliwi wszystko jako obronę własną. Nie przysługuje im nawet prawo do słusznej zemsty. Nic się im nie *stało*.

– Coś się jednak stało – zaoponował Lubin. – Nawet jeśli nie zrobili tego twoi rodzice.

Przez chwilę kobieta milczała.

– Zastanawiam się, jaki był naprawdę – powiedziała wreszcie.

– Z tego, co słyszałem – odparł Lubin – był po prostu... zwykłym ojcem.

– Wiesz, gdzie jest teraz? Gdzie są oboje?

– Zmarli dwanaście lat temu. Tularemia.

– Oczywiście. – Zaśmiała się cicho. – Jak sądzę była to jedna z moich kwalifikacji. Żadnych luźnych końców.

Obszedł ją, by zobaczyć jej twarz.

Była cała mokra. Lubin zatrzymał się, kompletnie zaskoczony. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Lenie Clarke płakała.

Jej skryte za nakładkami oczy spotkały się z jego własnymi. Kącik jej ust wykrzywił się w smutnym uśmiechu.

– Przynajmniej, o ile nie mylisz się co do βehemota, winni oberwą razem z całą resztą. – Pokręciła głową. – To najdziwniejsza rzecz, jaką przez całe życie dane mi było słyszeć. Jestem jak jakaś niszczycielska asteroida, a dinozaury jeszcze *wiwatują* na moją cześć.

– Tylko te najmniejsze.

Spojrzała mężczyźnie w oczy.

– Ken... ja właśnie zniszczyłam cały świat.

– Nie ty.

– Racja. Ukwiał. Ja byłam tylko mułem taszczącym na grzbiecie... chyba spokojnie można to nazwać *Sztuczną Głupotą*. – Potrząsnęła głową. – Jeśli wierzyć temu gościowi z dołu.

– To stare dzieje – zauważył Lubin. – Porywacze ciał. Coś, co dostaje się do twojego wnętrza i zmusza cię do robienia rzeczy, których nigdy byś nie zrobiła, zakładając że...

Urwał. Clarke przyglądała mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

– Jak ten twój *odruch warunkowy* – powiedziała cicho. – Te twoje... przecieki...

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Nigdy cię to nie dręczy, Ken? Ci wszyscy ludzie, których zabiłeś?

– Istnieje pewne... antidotum – przyznał. – Coś jakby klin na Moralniaka. Dzięki temu łatwiej żyć z pewnymi rzeczami.

– *Rozgrzeszenie* – szepnęła Clarke.

– Słyszałaś o tym? – Tak naprawdę nigdy go nie potrzebował.

– Widziałam różne graffiti na Pasie Pyłowym. Próbowali je zmyć, ale ktoś musiał dodać czegoś do farby...

Zrobiła krok w kierunku korytarza. Lubin odwrócił się, by ruszyć jej śladem. Z zewnątrz sączyły się niewyraźne odgłosy pracujących maszyn i cichy syk pompowanych płynów.

– Co tam się dzieje, Ken?

– Dekontaminacja. Ewakuowaliśmy wszystkich przed twoim przybyciem.

– Zamierzacie sfajczyć całą okolicę? – Kolejny krok. Była już przy drzwiach.

– Nie. Znamy twoją trasę. βehemot nie miał szans na rozprzestrzenienie się, nawet jeśli zostawiłaś coś za sobą.

– Zakładam, że to mało prawdopodobne.

– Nie krwawisz. Nie sikałaś nigdzie ani nie srałaś od kiedy wyszłaś na brzeg.

Stała w korytarzu, u szczytu schodów. Lubin wyrósł u jej boku.

– Po prostu podejmujecie dodatkowe środki ostrożności – powiedziała.

– Właśnie tak.

– To chyba trochę bez sensu, nie uważasz?

– Co?

Zwróciła się w jego stronę.

– Przeszłam przez cały kontynent, Ken. Siedziałam dobrych kilka tygodni na Pasie. Kręciłam się po Pasie Pyłowym. Ostatni tydzień upłynął mi na pokonywaniu wpław zbiornika wody pitnej dla pół miliarda ludzi. Krwawiłam, ruchałam się, srałam i szczałam więcej razy niż mógłbyś zliczyć, w oceanach, kiblach i połowie rowów położonych pomiędzy. Możliwe, że ty też, chociaż podejrzewam, że zdążyli cię wyczyścić od tamtego czasu. Dlatego serio, jaki w tym sens?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To wszystko, co możemy zrobić. Wystrzegać się gwałtownych pożarów i mieć nadzieję, że uda nam się je ugasić, zanim się rozprzestrzenią.

– I jeszcze powstrzymać mnie przed wzniecaniem kolejnych.

Lubin kiwnął głową w odpowiedzi.

– Nie możecie wysterylizować oceanu – powiedziała. – Nie możecie wysterylizować całego kontynentu.

Może i możemy, pomyślał.

Odgłosy prac dekontaminacyjnych rozbrzmiewały nieco głośniej, jednak tylko trochę. Nawet odzywające się co jakiś czas głosy były przyciszone. Zupełnie jakby w okolicy wciąż roiło się od niewinnych. Jakby ekipy odkażające bały się uśpionych mieszkańców, którzy w każdej chwili mogliby obudzić się i przyłapać ich na gorącym uczynku...

– Nie odpowiedziałeś mi wcześniej na pytanie, Ken. – Lenie Clarke zeszła z pierwszego stopnia. – Czy zamierzasz mnie zabić?

Nie ucieknie, uspokoił sam siebie Lubin. *Przecież ją znasz. Zrobiła już wszystko, na co było ją stać, nie...*

Nie musisz...

– No cóż. W takim razie chyba musimy sami się o tym przekonać – skwitowała Clarke i najspokojniej w świecie ruszyła w dół po schodach.

– Lenie.

Nawet się nie obejrzała. Lubin podążył za nią. Chyba nie sądziła, że może mu *uciec*... Chyba nie myślała, że...

– Wiesz, że nie mogę pozwolić ci odejść – powiedział do jej pleców.

Oczywiście, *że wie. A ty wiesz doskonale, co próbuje zrobić.*

Kobieta była już na samym dole. Otwarte drzwi znajdowały się pięć metrów przed nią.

Coś skręciło się nagle we wnętrznościach Lubina. Prawie przypominało Moralniaka, ale...

Była już niemal przy samych drzwiach. Za nimi coś o halogenowych oczach opryskiwało chodnik.

Lubin rzucił się bezmyślnie do przodu. W jednej chwili zablokował jej drogę. Sekundę później zatrzasnął drzwi i przekręcił zamki, pogrążając dom w ciemności nieprzeniknionej nawet dla oczu ryfterów.

– Hej! – poskarżył się z salonu niezadowolony Desjardins.

Przy krawędziach drzwi wśliznęło się do środka kilka fotonów. W ich nikłym świetle Lenie Clarke była jedynie niewyraźną sylwetką. Lubin poczuł, jak jego dłonie zaciskają się w pięści, po czym znów się otwierają. Bez względu na to, jak bardzo się starał, nie potrafił tego opanować.

– Posłuchaj – wykrztusił. – Naprawdę nie mam innego *wyboru*.

– Wiem, Ken – odpowiedziała łagodnie kobieta. – Już dobrze.

– *Nie mam* – powtórzył, niemal płaczliwie.

– Pewnie, że masz – zagrzmiał dziwny głos w jego uchu.

Co to...

– Alice? – dobiegło zza rogu pytanie Desjardinsa.

– Sam jesteś sobie panem, Kenny, mój chłopcze – powiedział głos. – Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty. Możesz mi wierzyć.

Lubin postukał palcem w tkwiący w jego uchu koralik.

– Zidentyfikuj się.

– Alice Jovellanos, starsza prawołamaczka, oddział w Sudbury. Do usług.

– No bez *jaj* – dobiegło z salonu.

Lubin znów postukał w koralik.

– Mamy intruza na linii, ktoś przedstawiający się jako Alice Jovellanos...

– Oni już wiedzą, wielkoludzie. W końcu to oni mnie z wami połączyli. Dałam im wolne na resztę nocy.

Lenie Clarke odstąpiła od Lubina i zwróciła się w kierunku zaciemnionego salonu.

– Co...

– To tajny kanał – powiedział Lubin. – Rozłącz się.

– Wal się. Przewyższam cię stopniem.

– Zakładam, że nie siedzisz zbyt długo w tej robocie.

– Dostatecznie długo. Killjoy, jest tam Lenie Clarke?

– Tak – odpowiedział Desjardins. – Alice, co...

– Ma zegarek? Widzę kanał Lubina i twoje wkładki, rany, nie mogę się *doczekać* kiedy wsadzą mi do głowy mój *własny* zestaw, ale nic od strony Lenie.

– Lenie – odezwał się Desjardins – odsuń zegarek od ciała.

– Nie mam zegarka – odparł czarny kształt.

– Szkoda – powiedziała Jovellanos. – Lubin, ja nie żartowałam. Jesteś wolnym człowiekiem.

– Nie wierzę ci.

– Killjoy jest wolny. Dlaczego ty też nie miałbyś być?

– Nigdy się nie spotkaliśmy. Nie było żadnej sposobności... – Nagle znalazł się znów pod falami jeziora Michigan, gdzie nie zabił Lenie Clarke. Składając sprawozdanie udał, że nie miał okazji.

– To infekcja – wyjaśniła Jovellanos. – Nieźle wywrotowa. Dopilnowaliśmy, żeby przenosiła się drogą powietrzną i umieściliśmy ją w osłonce w postaci wirusa zapalenia mózgu, której zawartość nie jest jednak aż tak śmiercionośna, co na pewno przyjmiecie z ulgą. Właśnie rozprzestrzenia się po całym KRASZ-u.

Wystarczyłoby, żeby otworzył drzwi. Nawet jeśli ta cała *Jovellanos* nie kłamała w kwestii odesłania zespołu odkażającego, to ten z pewnością nie zdążył jeszcze się spakować. Wystarczyłoby, żeby ktoś kliknął ikonę i sygnał Alice Jovellanos zostałby zagłuszony. Drugie kliknięcie i

natychmiast by ją namierzono. Sytuacja w żadnym wypadku nie wymknęła się jeszcze spod kontroli.

Mógł więc poświęcić jeszcze kilka chwil...

– Moralniak słabł w tobie coraz bardziej i bardziej od chwili, gdy zacząłeś oddychać tym samym powietrzem, co ten oto Killjoy – ciągnęła Jovellanos. – Teraz to ty dyktujesz warunki, Ken. To trochę zmienia postać rzeczy, prawda?

– Alice, czy już do końca... – Głos Desjardinsa brzmiał tak, jakby mężczyzna zaraz miał się rozpłakać. – To była jedyna smycz, na jakiej *mogliśmy* go trzymać.

– Tak właściwie to nie jest to prawdą. Ken Lubin to jeden z najbardziej moralnych ludzi, jakich mógłbyś spotkać.

– Na litość boską, Alice! Jestem przywiązany do jebanego krzesła, a moja twarz...

– Zaufaj mi. Przeglądam właśnie jego dokumentację medyczną. Żadnych niedoborów serotoniny czy tryptofanu, żadnego polimorfizmu genu TPH. Randka z nim może nie należeć do szczególnie udanych, ale Ken Lubin nie jest żadnym impulsywnym mordercą. Co oczywiście nie znaczy, że jest całkowicie wolny od różnych problemów. Prawda, Ken?

– *Jakim cudem...* – Przecież to oczywiste, że może uzyskać dostęp do moich akt, uświadomił sobie Lubin. Jednak żaden normalny prawołamacz nie byłby w stanie usprawiedliwić takiej ingerencji przed Moralniakiem, nie w przypadku normalnego zadania.

Naprawdę jakimś cudem jej się to udało. Naprawdę mnie uwolniła...

Zebrało mu się na mdłości.

– Jak się czułeś przez te wszystkie lata, Ken? – zamruczała mu do ucha Jovellanos. – Wiedząc, że uszło jej to na sucho? Te wszystkie wspomnienia z dzieciństwa, które uczyniły cię tak *odpowiednim* do tej roboty...

Oczywiście, że myślałeś o zemście. Spędziłeś całe *życie*, fantazjując o zemście, prawda? Każdy by tak zrobił.

Co ja mam zrobić?

– Mówisz, że to infekcja – powiedział, próbując odwrócić jej uwagę.

– Nigdy jednak nie pozwoliłeś, by kierowała twoimi czynami, prawda Ken? Jesteś prawym człowiekiem i wiedziałeś, że byłoby to *niewłaściwe*.

– Jak ona właściwie działa? – *Nie reaguj. Nie pozwól jej ze sobą pogrywać. Skup się na celu.*

– A kiedy zaczęły się potknięcia, to były tylko błędy, prawda? Niezamierzone, małe przecieki, które trzeba było zatamować. Rzecz jasna, *wtedy* zabijałeś, ale nie miałeś innego wyboru. Zawsze przestrzegałeś zasad. W końcu to nie była twoja wina, prawda? To Moralniak cię do tego *zmuszał*.

– Odpowiedz. – *Nie, nie... opanuj się. Uspokój.*

Nie pozwól jej tego usłyszeć...

– Jednak zaczęło się to zdarzać tak często, że ludzie zaczęli zastanawiać się, czy czasem nie znalazłeś sposobu, by mieć ciastko i zjeść ciastko. Dlatego wysłali cię w miejsce, gdzie nie było żadnych kwestii bezpieczeństwa ani priorytetów związanych z misją, które mogłyby cię uruchomić. Nie chcieli dawać ci wyboru, więc wysłali cię w miejsce, gdzie nie miałeś *pretekstu*.

Oddychał stanowczo za szybko. Usilnie próbował się uspokoić. Majacząca w odległości kilku kroków sylwetka Clarke sprawiała wrażenie niebezpiecznie czujnej.

– Wciąż jesteś moralnym człowiekiem, Ken – powiedziała Jovellanos. – Przestrzegasz zasad. Nie zabijesz nikogo, dopóki będziesz mieć inny wybór. A ja powtarzam: masz wybór.

– Ta twoja *infekcja* – wycedził Lubin. – *Co ona robi?*

– Oswabadza niewolników.

Bzdurna odpowiedź. Jednak przynajmniej wylazła mu z głowy.

– Jak? – Nie dawał za wygraną.

– Tworzy kompleksowe związki Moralniaka, w jego nieaktywnej formie, które łączą się z receptorami Minsky’ego. Nie wpływa natomiast w żaden sposób na osoby nieuMoralnione.

– A co ze skutkami ubocznymi? – zapytał.

– Jakimi skutkami ubocznymi?

– Na przykład podstawowe poczucie winy – podsunął Lubin.

– O *kurwa* – jęknął Desjardins. – No jasne. No *jasne*.

– O co chodzi? – włączyła się Clarke. – O czym ty w ogóle mówisz?

Lubin niemal wybuchnął śmiechem. Zwykłe, pospolite poczucie winy. Stare, dobre sumienie. Jak *te* rzeczy miałyby włączyć się do gry, kiedy ich miejsca receptorowe zostały zablokowane? Jovellanos i jej kolegów tak pochłonęły prace nad podkręcaniem syntetyków, że zapomnieli o związkach chemicznych, które istniały od eonów.

Wcale nie zapomnieli. Doskonale wiedzieli, co robią. Lubin był o tym przekonany.

Chwała Pogromcom Entropii. Potędze zdolnej wyłączyć całe miasta i rządy, potędze zdolnej ocalić milion ludzi tutaj lub zabić milion gdzie indziej, potędze zdolnej utrzymać wszystko w ryzach lub rozedrzeć na strzępy w ciągu jednej nocy...

Zwrócił się w stronę Clarke.

– Twój fanklub zrzuca kajdany ucisku – powiedział. – Są wolni. Przestali być niewolnikami Moralniaka i niewolnikami sumienia. Poczucie winy w żadnej formie nie ma już na nich wpływu.

Uniósł dłoń pośród ciemności w gorzkim geście uznania.

– Gratulacje, doktor Jovellanos. Istnieje zaledwie kilka tysięcy ludzi, którzy mają dłonie na wszystkich możliwych wyłącznikach, a pani zamieniła ich wszystkich w kliniczne przypadki socjopatii.

– Wierz mi – odezwała się Jovellanos. – Praktycznie nie zauważysz różnicy.

Desjardins zauważał.

– Kurwa. *Kurwa*. W ogóle by mnie tu nie *było*, to znaczy... Tak po prostu wstałem i *wyszedłem*. Rzuciłem wszystko w cholerę, nie obchodziło mnie, że świat rozpada się na kawałki, po prostu... Dla *jednej osoby*. Tylko dlatego, że tak *chciałem*.

– My, psychole, słyniemy z kiepskiej kontroli impulsów – powiedziała Clarke, podchodząc bliżej. – Ken, jak się zdejmuje te wiązania?

Lubin spiorunował wzrokiem jej plecy. *Czy ona nic nie* rozumie*?*

– Daj spokój, Ken. Sytuacja została opanowana. W tym momencie żadne z nas nigdzie nie pójdzie, a wygląda na to, że wszelkie zasady, które obowiązywały nas do tej pory, przestały mieć znaczenie. Może dla odmiany zaczniemy ze sobą współpracować.

Mężczyzna zawahał się. Żadne z wypowiedzianych przez nią słów nie uruchomiło wewnętrznego alarmu. Nic nie ponaglało go do działania, żadna istota nie próbowała przejąć kontroli nad jego nerwami ruchowymi. Wszedł do pokoju i zdepolaryzował plątowłókna, zupełnie jakby robił to tylko na próbę. Więzy opadły na podłogę, podobne do rozgotowanego makaronu.

Co więcej, wyciągnął z kieszeni świetlika i przełamał go. Pokój zalało chemiczne światło. Desjardins zamrugał, by choć na chwilę przesłonić powiekami kurczące się gwałtownie źrenice i ostrożnie obmacał siniaka na policzku.

– Sumienie i tak jest mocno przereklamowane – odezwała się Jovellanos.

– Przestań już Alice – powiedział Desjardins, rozcierając nadgarstki.

– Mówię poważnie. Tylko pomyśl. Nie wszyscy nawet *mają* sumienie, a ci, którzy je mają zawsze byli wykorzystywani przez tych, którzy go nie mają. Sumienie to coś... irracjonalnego, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

– Ale pierdolisz.

– Socjopatia nie *sprawi*, że zaczniesz mordować ludzi. Oznacza jedynie, że nic nie będzie cię przed tym *powstrzymywać*, jeśli sytuacja będzie wymagała takiego działania. Hej, Killjoy, możesz myśleć o tym jak o *wyzwoleniu*.

Prawołamacz tylko prychnął.

– Daj spokój, Kill. Mam rację, dobrze wiesz, że istnieje spora szansa, że mam rację.

– *Wiem* jedynie, że najlepszym, na co mogę liczyć to bycie bezrobotnym do końca świata. O ile nie skończę martwy za dziesięć minut.

– Wiesz – odpowiedziała Jovellanos – możliwe, że mogę zrobić coś w tej sprawie.

Desjardins milczał.

– O co chodzi, Killjoy? Już nie każesz mi spierdalać?

– Kontynuuj – powiedział w końcu.

Więc kontynuowała. Lubin w tym czasie wyciągnął koralik z ucha i wstał. W chemicznym świetle rzucany przez niego cień wydawał się ogromny i złowrogi. Lenie Clarke siedziała pod ścianą po drugiej stronie pokoju. Mroczna sylwetka Lubina całkowicie ją zasłoniła.

Mógłbym ją zabić w jednej chwili, pomyślał i zdziwił się, jak absurdalny wydał mu się ten pomysł.

Clarke podniosła głowę, gdy się do niej zbliżył.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedziała cicho.

– Wiem – oparł się plecami o ścianę i usiadł obok kobiety.

– To nie jest mój dom – dodała. – Tylko jedno miejsce przez całe moje życie nim było.

Trzy tysiące metrów pod powierzchnią Pacyfiku. Piękny, mroczny wszechświat pełen potworów i cudów, które już przestały istnieć.

– Czym właściwie jest dom?

To Desjardins. Lubin podniósł na niego wzrok.

– Alice przeprowadziła małe śledztwo, zapuszczając się w alejki nieco bardziej... polityczne, niż mi kiedykolwiek przyszłoby to do głowy. – Postukał palcami w bok głowy. – Znalazła dzięki temu ciekawe dane spedycyjne, w związku z którymi nasuwa się pytanie, czym właściwie jest dom? Miejscem bliskim sercu czy miejscem, gdzie przebywają twoi rodzice?

Lubin popatrzył na Lenie Clarke. Ta odpowiedziała mu spojrzeniem. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

– No cóż. To i tak właściwie nie ma żadnego znaczenia – skwitował Desjardins. – Wygląda na to, że co by się nie działo, będziecie mogli tam wrócić.

Nisza

Grzbiet Śródatlantycki to gówniane miejsce do wychowywania dzieci, a przynajmniej tak twierdziła Patricia Rowan.

Nie dysponowali jednak mnóstwem opcji do wyboru. Ściślej mieli trzy – wybudować schronienie na lądzie i zaufać konwencjonalnej technologii kwarantannowej, uciec na wysoką orbitę albo wycofać się za tę samą zimną, ciężką barierę, która chroniła świat przez cztery miliardy lat, dopóki działania N'AmPac nie poskutkowały przedziurawieniem globalnej prezerwatywy.

Dokonali analiz pod wszelkimi możliwymi kątami. Opcja zakładająca ucieczkę w przestrzeń kosmiczną była najmniej opłacalna, a przy tym wiązała się z największym ryzykiem narażenia na akty zemsty z ziemi – stacje orbitalne nie stanowiły trudnego celu, a istniało spore prawdopodobieństwo, że niektórzy z pozostawionych zachowają się na tyle nieuprzejmie, by wystrzelić w niebo jeden czy dwa ładunki jądrowe. Gdyby technologia kwarantannowa okazała się skuteczna, w ogóle nie mieliby takiego dylematu. Tę alternatywę zaproponowano jednak tylko po to, by dopełnić biurokratycznej obsesji brania pod uwagę wszystkich możliwych scenariuszy. Albo może był to tylko głupi żart.

Istniała jeszcze czwarta opcja – mogli nie ruszać się z miejsca i stawić czoła βehemotowi tak, jak reszta świata. Ostatecznie przecież poddali się wszystkim niezbędnym modyfikacjom. Nawet gdyby zostali na lądzie, nie spotkałby ich cały ten „rozkład", czekający wszystkich innych. Nie wypadłyby im włosy i paznokcie, ich ciała nie pokryłyby się ropiejącymi ranami, a kończyny nie rozpadłyby się w stawach. Nie groziła im ślepota

ani wrzody. Żadnych zwarć, gdy przepali się izolacja w obwodach nerwowych. Żadnych narządów wewnętrznych zmieniających się w papkę. Nie złapaliby też żadnej z tysiąca chorób oportunistycznych, które na ogół stają się bezpośrednią przyczyną śmierci. Mogli zostać i przyglądać się, jak dotyka to wszystkich wokół, syntetyzując pożywienie z surowych pierwiastków, kiedy padnie cała biosfera.

Jednak dyskusji na temat tej opcji nie poświęcono zbyt wiele czasu.

Tak naprawdę wcale nie uciekamy przed βehemotem. Uciekamy przed własnymi obywatelami.

Cała Atlantyda była świadoma tego faktu, nawet jeśli nikt głośno o tym nie mówił. Widzieli przecież, przez okna swoich luksusowych apartamentów, zbierające się tłumy. Widzieli wykresy, na których linia oznaczająca *niepokoje społeczne* rosła wykładniczo wraz z upływem czasu. βehemot w połączeniu z memem Clarke – dostatecznie duże zagrożenie plus odpowiednio fascynująca idolka – i nagle rewolucja zapukała do drzwi o wiele szybciej niż można by przewidywać.

Mieliśmy szczęście, że zdążyliśmy z ucieczką, pomyślała Rowan.

Mieli, zdążyli i tak oto znaleźli się tutaj – kilkuset korpów, niezbędny personel pomocniczy, rodziny i banda przeróżnej maści pochlebców. Byli niczym termity zagrzebane trzy kilometry pod powierzchnią, ukryte w zagmatwanej grupie tytanowo-fulerenowych kul, oddalone bezpiecznie od świata zewnętrznego i niewidoczne dla nikogo, poza posiadaczami najbardziej zaawansowanych technologicznie oczu i najlepszych służb wywiadowczych. To było dopuszczalne ryzyko. Większość tych ludzi i tak przebywała tutaj.

Mieli mnóstwo miejsca. Dwie sale gimnastyczne, sześć szklarni oraz ogrody rozmieszczone w sposób mający na uwadze ich zbędność w razie, gdyby miało dojść do miejscowej implozji. Dysponowali kadziami pełnymi

bezgłowych organoklonów o wydłużonych telomerach. Dysponowali trzema elektrowniami, zasilanymi przez niewielki komin geotermalny, rzecz jasna wolny od βehemota, położony w bezpiecznej odległości tysiąca dwustu metrów, na odległym zboczu, znajdującego się po drodze grzbietu oceanicznego. Gdzieś na jego bazaltowej skarpie znajdowało się istne złomowisko niezamontowanych części, fragmentów bibliotek, placów zabaw i domów kultury. Ich konstrukcję odłożono na bliżej nieokreśloną przyszłość, kiedy nie będzie trzeba robić wszystkiego na czas i pod wpływem strachu. W tym momencie jednak, Rowan słyszała, że wielu mieszkańców Atlantydy narzeka na zbytnie zatłoczenie.

Sama nie czuła się aż tak przytłoczona jak większość. Widziała w końcu specyfikacje stacji, w których mieszkali ryfterzy.

Było już po północy. Światła w korytarzu przyciemniono jak w niemrawej parodii życia zależnego od cykli słonecznych. Większość mieszkańców zaszyła się w swoich kwaterach, akceptując tę fasadę. Mąż i dzieci Rowan pogrążeni byli we śnie. Ona jednak z nieokreślonego powodu nie potrafiła zmusić się do zachowywania pozorów. Po co? W naturze rytm okołodobowy organizmu potrafi radzić sobie sam przez całą dobę, nie potrzebując fotoperiodu do regulacji podwzgórza. Tu nie było światła słonecznego. Mieli go już nigdy nie zobaczyć. Dajcie sobie z tym spokój, po prostu dajcie sobie spokój.

Mówią, że to tylko tymczasowe rozwiązanie. Coś pokona βehemota albo nauczymy się z nim żyć. Ta ciemna nora w głębinach to tylko schronienie, nie przeznaczenie. Wrócimy, wrócimy, wrócimy...

Na pewno.

Czasami, gdy bardzo mocno się skupiła, udawało jej się niemal zapomnieć o wszystkich sznurkach i chwiejnych podpórkach, powstrzymujących te pełne nadziei marzenia przed upadkiem. Zazwyczaj

jednak kosztowało ją to zbyt wiele wysiłku, więc snuła się godzinami po pustych, pogrążonych w półmroku korytarzach, na przekór własnej nostalgii. Tak jak teraz.

Czasami, gdy przechodziła obok okien, zatrzymywała się przy nich. Była to kolejna z rzeczy obecnych na Atlantydzie, a której nie mieli ryferzy – przezroczyste, paraboliczne pęcherze, ukształtowane tak, by czerpać siłę z napierającego na nie ciśnienia. Oczywiście widoki za nimi nie nadawałyby się na pocztówki. Wycinek szarego podłoża skalnego, odbijający przyćmione światło, padające z iluminatora. Nieliczne migoczące gwiazdy – boje świetlne, głoszące *Przebieg linii wysokiego napięcia* albo *Zapasy budowlane*. Z rzadka pojawiał się buławik albo jakaś inna nijaka istota. Żadnych potworów. Niczego, co choć w niewielkim stopniu przypominałoby wygłodniałych, świecących drapieżców, którzy kiedyś nękali ryfterów ze Stacji Beebe.

Na ogół jednak widać było tylko nieprzeniknioną, jednolitą ciemność.

Czasami Rowan wpatrywała się w tę pozbawioną widoków pustkę, tracąc rachubę czasu. Raz czy dwa razy wydawało jej się nawet, że coś ją stamtąd obserwuje. Jednak była to pewnie tylko jej wyobraźnia, jej własna twarz, odbita pod nieoczekiwanym kątem od krzywizny pleksiglasowej szyby, mającej kształt kropli.

A może to jej sumienie. Zawsze mogła się łudzić.

Przed nią znajdowało się centrum, od którego niczym ramiona rozgwiazdy odchodziły korytarze. Musiała dokonać wyboru. Jeśli skręci w lewo, pozostanie na obrzeżach. Pozostałe tunele prowadziły w głąb konstrukcji – do ośrodków kontroli, barów, pustych zwojów nerwowych, gdzie ludzie zbierali się nawet wtedy, gdy gasły światła. Patricia Rowan nie miała ochoty na towarzystwo. Ruszyła w lewo.

I zatrzymała się.

W korytarzu przed nią stało widmo, mroczna zjawa o pustych oczach. Po jej skórze ściekała woda morska. Za nią, w miejscach gdzie stanęła, zostały na podłodze niewielkie kałuże. Sylwetka, czarna jak sam ocean, świadczyła o tym, że była to kobieta.

Zjawa uniosła dłoń i odsłoniła twarz.

– Cześć, Mamo – przemówiła.

– Lenie Clarke – szepnęła Rowan.

– Zostawiłaś otwarte drzwi – powiedziała Clarke. – Pozwoliłam sobie wejść do środka. Chyba nie masz nic przeciwko.

Wezwij pomoc, pomyślała Rowan. Nie poruszyła się jednak.

Clarke potoczyła wzrokiem po korytarzu.

– Ładnie tu. Bardzo przestronnie – rzuciła Rowan zimne, puste spojrzenie. – Zrobiliście na tym dobry interes. Szkoda, że nie widziałaś tej nory, w której *my* musieliśmy mieszkać.

Wezwij pomoc, jest zupełnie sama, jest...

Nie bądź idiotką. Przecież nie mogła dostać się w pojedynkę na sam środek Atlantyku.

– Jak nas znalazłaś? – spytała Rowan, z ulgą przyjmując pobrzmiewającą w głosie Clarke obojętność.

– Żartujesz sobie? Zdajesz sobie sprawę, ile zasobów musieliście wpompować, żeby stworzyć to miejsce? I to w tak krótkim czasie. Naprawdę myślałaś, że uda wam się zatrzeć za sobą ślady?

– Większość tak – przyznała Rowan. – Niemniej jednak musiałabyś być prawołamaczką, żeby...

Desjardins. Przecież odebraliśmy mu prawo dostępu...

– A tak, ci szaleni prawołamacze – Clarke pokręciła głową. – Wiesz, obawiam się, że nie można już na nich polegać w takim stopniu jak wcześniej. Kiedyś musimy sobie o tym pogadać.

Rowan pilnowała, by zachować spokój w głosie.

– Czego chcesz?

Clarke uderzyła się dłonią w czoło, udając że coś sobie nagle przypomniała.

– No przecież! Pewnie boisz się βehemota, prawda? Co to byłaby za strata, wydać tyle miliardów na tę przytulną, małą izolatkę, aż tu nagle pojawia się Pacjent Zero i zaczyna srać na obicia...

– *Czego chcesz?*

Clarke zrobiła krok naprzód, ale Rowan nawet nie drgnęła.

– Chcę porozmawiać z moją matką – powiedziała cicho ryfterka.

– Twoja matka nie żyje.

– Cóż, to już zależy od definicji. – Clarke zrobiła piramidkę z palców, rozważając jej słowa. – Jeśli mamy trzymać się genetyki, to tak. Moja matka nie żyje. Wydaje mi się jednak, że ktoś mnie stworzył. Stworzył na nowo. Ktoś zabrał wszystko, co miałam i zastąpił to czymś innym. – Jej głos stwardniał. – Ktoś mnie powykręcał, zbudował w oparciu o własne specyfikacje i spierdolił w zasadzie każdy etap po drodze, no a ostatecznie to właśnie *robią* rodzice. Prawda?

Tak. To prawda.

– W każdym razie – ciągnęła Clarke – byłam na... Cóż, można to chyba nazwać pielgrzymką. Poszukiwałam wyjaśnień osoby, która *naprawdę* wykorzystywała mnie przez te wszystkie lata. Wydawało mi się, że ktoś taki musi być potworem, żeby zdobyć się na coś takiego. Wielkim, złym i przerażającym. Ty jednak wcale taka nie jesteś. Ty się ukrywasz, *Mamo*. Cały świat szlag trafił, a ty siedzisz tutaj, kuląc się ze strachu i sikając po nogach, podczas gdy my wszyscy próbujemy jakoś poradzić sobie z bałaganem, którego narobiliście.

– Nawet się nie waż – warknęła Rowan. – Ty arogancka smarkulo, nawet się kurwa *nie waż*.

Clarke spojrzała na nią, a na jej ustach zamajaczył ledwie widoczny cień uśmiechu.

– Chcesz wiedzieć, kto narobił bałaganu? – zapytała Rowan. – Próbowaliśmy *odizolować* βehemota. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, chcieliśmy zetrzeć go z powierzchni ziemi, jeszcze zanim wydostał się na powierzchnię, ale kto walczył z nami na każdym kroku? *Kto go wypuścił, Clarke?* Kto rozsiewał apokalipsę, gdzie się tylko obrócił, kto był tak zaślepiony swoją wielce istotną krucjatą, że nie obchodziło go, kto na tym ucierpi? Nie ja jestem aniołem śmierci. To ty nim jesteś. Ja próbowałam *ocalić* świat.

– Zabijając mnie. Zabijając moich przyjaciół.

– Twoich przyjaciół? Twoich *przyjaciół*? – Rowan z trudem zwalczyła w sobie przemożną ochotę, by wybuchnąć śmiechem. – Ty ślepa, durna zdziro! Straciliśmy *miliony* istnień w ramach efektu ubocznego, czy ty to rozumiesz? Uchodźcy, burze ogniowe... Nawet nie *próbuję* doliczyć się, ilu ludzi zabiliśmy, żeby ocalić świat przed tobą. Czy chociaż przez sekundę pomyślałaś o tych, którzy ci *pomagali*? Wiesz ilu niewinnych głupców dało się porwać mitowi i wprost wyłaziło ze skóry, żeby zarobić kulkę za wielką Lenie Clarke. I wiesz co, niektórym się to udało. A pozostali... Cóż, twoja wielka krucjata zrobiła ich koncertowo w chuja, tak samo jak innych. – Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. – Wygrałaś, Clarke. Zadowolona? Wygrałaś. Zrobiliśmy co w naszej mocy, żeby cię powstrzymać, ale to nie wystarczyło, więc teraz musimy myśleć o własnych rodzinach. Nie możemy ocalić świata, ale przynajmniej możemy ocalić naszych bliskich. A jeśli spróbujesz przeszkodzić mi nawet w *tym*, to przysięgam, że zamorduję cię gołymi rękami.

Zapiekły ją oczy. Jej twarz była cała mokra. Niespecjalnie ją to jednak obchodziło.

Przez chwilę ryfterka przyglądała się jej z kamiennym wyrazem twarzy.

– Możesz to zachować – powiedziała wreszcie.

– Zachować...

– Swoje dzieci. Swoje życie, tę małą norę, którą sobie wykopaliście. Zatrzymaj to sobie. Jesteście bezpieczni. Nawet nie jestem już nosicielką.

– Co takiego, nie chcesz zemsty? To nie o to chodziło? Nie chcesz wywlec nas, wrzeszczących i wierzgających, z powrotem na powierzchnię i zmusić do wypicia piwa, którego nawarzyliśmy?

Clarke uśmiechnęła się lekko na te słowa.

– Nie ma takiej potrzeby. Macie tu już cały browar. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, coś ci jednak zawdzięczam. Gdyby nie ty, byłabym tylko jednym z dziewięciu miliardów trutni. Razem ze swoimi kumplami zamieniliście mnie jednak w coś, co zmieniło świat. – Znów się uśmiechnęła w ledwie dostrzegalnej, zimnej oznace rozbawienia. – Jesteś ze mnie dumna?

Rowan puściła drwinę mimo uszu.

– Po co tu przyszłaś?

– Jestem tylko posłańcem, mającym przekazać wam, że nie musicie się obawiać. Jeśli chcecie tu zostać, to w porządku.

– Ale?

– Ale nigdy nie próbujcie wrócić.

Rowan potrząsnęła głową.

– Powrót nie był brany pod uwagę. Mogłaś spokojnie darować sobie wycieczkę.

– Zmienicie zdanie, gdy zmianie ulegnie sytuacja – powiedziała ryfterka. – Toczymy tam walkę na śmierć i życie, Rowan. Mielibyśmy

większe szanse, gdyby tacy jak wy nie wtrącili się, zmieniając algorytm. Już dawno mogliśmy przez was zginąć. Jednak wciąż *możemy* wygrać. Mówią, że Ukwiał jest cholernie potężnym systemem obliczeniowym i jeśli tylko uda nam się go ujarzmić....

– Racja. Ukwiał – Rowan wytarła twarz. – Wiesz, wciąż nie jestem przekonana, czy on w ogóle istnieje. Jak dla mnie brzmi to raczej jak jakieś pseudomistyczne zaspokojenie pragnień. Jak Gaja albo Moc.

Clarke wzruszyła ramionami.

– Skoro tak mówisz.

Ona nigdy nawet o nich nie słyszała, pomyślała Rowan. *Jej przeszłość jest nieistotna, jej przyszłość nie istnieje, a teraźniejszość to piekło na ziemi.*

– A niby jakim cudem stado elektronicznej zwierzyny ma wam pomóc odzyskać biosferę? – spytała.

– To już nie moja działka. – Kolejne wzruszenie ramion. – Mówią, że jesteśmy jej... środowiskiem naturalnym. Od nas zależy jej przetrwanie. Może jeśli uda nam się jej to uświadomić, zacznie nas chronić.

Tylko, jeśli okaże się mądrzejsza od nas. Rowan zdobyła się na ponury uśmiech.

– Chwała Ukwiałowi. Zamierzacie budować dla niego kapliczki?

– Nigdy się tego nie dowiecie – odpowiedziała jej Clarke. – Jeśli wygramy, nie będzie dla was miejsca tam na górze.

– Nie wygracie.

– Więc i dla nas go tam zabraknie. W żaden sposób nie zmienia to waszej sytuacji.

Oczywiście, że zmienia. Ona wie, gdzie jesteśmy. Inni na pewno też wiedzą. Nawet jeśli ona zostawi nas w spokoju, to ilu z pozostałych zechce dokonać własnej, prywatnej zemsty?

Ja bym chciała.

Rowan przyjrzała się stojącej przed nią kobiecie. Fizycznie Lenie Clarke była *nieduża*. Ot, mała, chuda dziewczyna. W żadnym razie nie taka wielka, zła i przerażająca, jaka była wewnątrz.

– W czyim imieniu pani przemawia, pani Clarke? Żegna się pani z nami *osobiście* czy też ośmiela się pani przemawiać w imieniu całego świata?

– Przemawiam w imieniu związku – odpowiedziała syrena.

– Związku.

– Tych, którzy was obserwują. Swoim, Kena i wszystkich innych łażących po świecie z rurkami w piersi po tym, jak wasz wspaniały eksperyment zakończył się fiaskiem. Związek. To takie stare, dwudziestowieczne słowo. Pomyślałam sobie, że je rozpoznasz.

Rowan pokręciła głową. *Nawet teraz wciąż jej nie doceniam.*

– A więc będziecie... stać na straży?

Clarke przytaknęła.

– Musicie dopilnować, żeby dawna, niebezpieczna infekcja nie wydostała się znów na powierzchnię ziemi?

Uśmiech. Kiwnięcie głową w wyrazie uznania dla metafory.

– Jak długo? Sześć miesięcy? Dziesięć lat?

– Tyle, ile będzie trzeba. Nie martw się, damy sobie radę. Będziemy się zmieniać.

– Zmieniać.

– Narobiliście nas całe mnóstwo, Pat. Być może straciłaś rachubę. W dodatku mamy dość ograniczony zestaw umiejętności. Nie ma zbyt wielu rzeczy, które moglibyśmy robić.

– Ja... przepraszam – wypaliła Rowan.

– Nie trzeba – Lenie Clarke odwróciła się w stronę iluminatora i nachyliła bliżej. Jej oczy lśniły, pozbawione wyrazu, ale bynajmniej nie puste. Wyciągnęła rękę i dotknęła ciemności.

– To miejsce było naszym *przeznaczeniem* – powiedziała.

EPILOG: ŚPIĄC W BLASKU PŁOMIENI

Ciche, stłumione dźwięki, które dobiegają z wnętrza biura nie brzmią jak słowa wypowiadane w języku angielskim. Właściwie to nawet nie brzmią jak słowa. Martin Perreault podąża ich śladem i przekracza próg, idąc w kierunku czegoś, co zostało z jego żony.

Nie wpuszcza go tu już od wielu miesięcy. Z początku jedynie irytowała ją jego obecność. Zaczęła oskarżać go o rozpraszanie uwagi na najróżniejsze sposoby. Później zaczęła krzyczeć na niego, kiedy tylko pojawiał się z środku i wyrzucała go na zewnątrz przy użyciu rąk, słów, a czasami nawet ciskanych w niego przedmiotów.

Nie widzisz, że wszystko rozpada się na kawałki? – wrzeszczała. – *Nie widzisz niczego poza własnym, nędznym spektrum? Nie widzisz, że ona potrzebuje pomocy?*

Ostatecznie, gdy do drzwi zapukali ludzie w połyskujących KonTaktach, przemawiający łagodnymi, ale nieustępliwymi głosami, z małym, buczącym cicho muchobotem pacyfikacyjnym, tak na wszelki wypadek, Sou-Hon straciła nawet pozory oficjalnego poparcia. W ogóle się ich nie spodziewała. Strzałka trafiła ją w kark zanim zdążyła obrócić się na fotelu. Kiedy odzyskała przytomność, jej biuro było na wpół wypatroszone – wyrwano każdy nerw ruchowy, a każdy kanał głosowy wyciszono u źródła. Odebrano jej każdy przejaw wpływu, jaki miała.

To jak być sparaliżowaną od szyi w dół, powiedziała. Obwiniała go o to. To on wpuścił ich do środka. To on jej nie obronił. To on z nimi kolaborował.

Martin nie protestował. Wszystko to było prawdą.

Jednak tym, co wtedy przeraziło go najbardziej, nie były wcale oskarżenia i wyrzuty, ale bezbarwny, beznamiętny głos Sou-Hon, kiedy mu je czyniła. Kobieta, która wcześniej na niego wrzeszczała, została w jakiś sposób zdławiona – to, co przemawiało do niego zamiast niej, równie dobrze mogłoby być stworzone z płynnego azotu. Zaszyło się w pozostałościach biura, rzeczowym tonem informując Martina Perreault, że zabije go, jeśli jego noga kiedykolwiek tam jeszcze postanie i spokojnie zamknęło mu drzwi przed nosem.

Nie wniesiono żadnych oskarżeń. Ludzie o połyskujących oczach wypowiadali się ze zrozumieniem o urazie, jaki przeżyła ostatnio Sou-Hon oraz o jej obecnym stanie otępienia i rozpaczy. Powiedzieli, że została wykorzystana. Tak samo, jak wiele innych osób. Była w takim samym stopniu winowajczynią i ofiarą. Nie ma sensu karać biednej kobiety – lepiej zapewnić jej pomoc, skoro i tak nie stanowi już zagrożenia dla innych.

Martin Perreault nie jest pewien, czy w to wierzy. Litość nie jest tym, czego spodziewał się ze strony takich ludzi. Prędzej jest skłonny uwierzyć plotkom głoszącym, że nie ma środków pozwalających wszcząć postępowanie przeciwko Sou-Hon i jej wspólnikom, bo jest ich cały legion.

Może z tego powodu ludzie o połyskujących oczach zadowolili się jedynie paraliżem. Mogli przecież dodatkowo oślepić i ogłuszyć żonę Martina, przecięcie tych połączeń nerwowych zajęłoby piętnaście minut zamiast dziesięciu. Może nie mogli poświęcić nawet tyle czasu. Może było aż tylu wywrotowców, że system musiał działać na najwyższych obrotach, by chociażby ich sparaliżować.

Zresztą, Sou-Hon Perreault nie ma już żadnego wpływu na wydarzenia w realnym świecie. Cóż złego może zrobić, obserwując je?

Jednak teraz kobieta nie robi już nawet tego. Leży na podłodze zwinięta w kłębek, wydając z siebie ciche odgłosy, przypominające pomiaukiwanie

kota. Jej zestaw wizualizacyjny znajduje się po drugiej stronie pokoju. Sou-Hon nie wydaje się być świadoma faktu, że go zgubiła. Nie wydaje się też być świadoma obecności Martina.

Ten głaszcze ją po twarzy, szepcząc jej imię, oczekując w napięciu nagłej przemocy albo pogardy. Jednak nic takiego nie ma miejsca. W ogóle nie ma żadnej reakcji. Klęka przy niej, wsuwając jej jedną rękę pod nogi, a drugą obejmując jej barki – kobieta wydaje się niemal nic nie ważyć. Porusza się w jego ramionach, gdy podnosi ją z podłogi i wtula twarz w jego pierś. Milczy.

Położywszy ją do łóżka, Martin wraca do biura żony. Na dywanie maluje się bezładna plątanina migających świateł, wylewających się z porzuconego zestawu wizualizacyjnego. Nasunąwszy sprzęt na głowę, mężczyzna staje twarzą w twarz z widokiem satelitarnym na zachodnią część N'Am. Obraz wydaje się dziwnie niewyraźny – półkula pogrążona jest w ciemności, a widoczności nie poprawia żaden ze standardowych filtrów. Na wysokości SoCal i Wysp Królowej Charlotte, niczym jądra galaktyk, migoczą światła zespołów miejskich. Tereny środkowo-zachodnie przypominają swym rozmytym blaskiem podświetlone chmury. Na wschodzie, jak ciemny nowotwór, wyrasta Pas Pyłowy. Obserwowane gołym okiem, niewspomaganym przy pomocy radaru czy podczerwieni, wszystkie elementy wydają się surowe i toporne. Podobne ograniczanie zmysłów jest zupełnie nie w stylu Sou-Hon. Jedynymi obecnymi ulepszeniami taktycznymi są jakiś licznik czasu w jednym z rogów i jaskrawa nakładka, znajdująca się w odległości kilkuset kilometrów na wschód od Pacyfiku – migocząca, pomarańczowa linia równoległa do wybrzeża i ciągnąca się od SoCal po Kolumbię Brytyjską. Nawet ona jednak nie została nakreślona z precyzją typową dla większości grafik komputerowych – sprawia wrażenie rozmazanej i poprzerywanej w kilku

miejscach. Martin przybliża obraz, po chwili robi to jeszcze raz. Rozdzielczość i jasność poprawiają się – pomarańczowa linia rośnie, skrzy się i wije...

To nie jest nakładka.

+56h14m23s – pokazuje licznik, a liczby rosną na oczach mężczyzny.

To nie ma sensu. Jakim cudem ogień mógłby płonąć tak jasno i tak długo? Po takim czasie, pożar pochłonąłby już wszystko, zamienił palne substancje w popiół, a wszystkie inne w żużel. A jednak ogień wciąż płonie, jakby na przekór nawet fizyce.

Tam, przy wschodniej granicy – plama względnej ciemności w miejscu, gdzie płomienie zdają się przygasać. Martin przygląda się z idiotycznym uczuciem ulgi, jak na nowo zaczynają się rozprzestrzeniać, podczas gdy między ziemią a niebem unosi się nabrzmiałe, czarne cielsko ciężkiego podnośnika. Na obrazie z satelity wygląda jak cień Merkurego, przesuwający się ponad plamą słoneczną, ale nawet z tej odległości nie sposób nie zauważyć, że zostawia za sobą jaskrawy szlak. Przygasające płomienie strzelają z nową siłą, pobudzone znów do życia.

Nie pozwalają im zgasnąć – uświadomił sobie mężczyzna. Ogień płonie podtrzymywany w nieskończoność od Oakland po Kitimat i nagle Martin Perreault zyskuje niezachwianą pewność, że wyznaczono mu kurs.

Kurs na wschód.

Na chwilę wychodzi z biura i wraca ze skrzynką narzędziową. Otwiera wszystkie panele dostępu, które tylko może, pozostałe rozwala siłą. Spokojnie rozczłonkowuje wszystkie sprzęty, jakie jeszcze pozostały w pomieszczeniu, przecina światłowody, wlewa kwas do organicznych części komputera i niszczy kryształy przy pomocy młota pneumatycznego. Wreszcie udaje się po cichu korytarzem do sypialni. Sou-Hon wreszcie zasnęła, skulona w pozycji embrionalnej. Martin układa się za nią,

obejmując ją ciasno ramionami i wbija wzrok w ciemność, podczas gdy realny świat wokół niego powoli pogrąża się we śnie.

PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności podziękowania należą się za wyrozumiałość: Mike’owi Branderowi, jednej z najsympatyczniejszych osób, jaką dane mi było spotkać, dziękuję za to, że nie pozwał mnie do sądu po tym, jak w poprzedniej książce nieumyślnie nazwałem tak samo pewnego psychopatę.

Następnie dziękuję za pomoc: Laurie Channer, Nalo Hopkinsom, Brentowi Harwardowi i Bobowi Boyczukowi, którzy pchnęli naprzód kilka pierwszych rozdziałów, kiedy te znajdowały się jeszcze w stadium embrionalnym. Laurie musiała ponadto znosić moje nieustanne wynurzenia w postaci strumienia świadomości, gdy usiłowałem poskładać wszystko do kupy. Przy odrobinie szczęścia, dzięki jej poświęceniu, oszczędziłem Wam podobnego losu. Mój agent, Don Maass, nie szczędził wielu krytycznych, acz istotnych uwag na temat początkowych rozdziałów, co zaowocowało zupełnie nowym wątkiem fabularnym (a mam nadzieję, że i mniejszą ilością wymuszonego efekciarstwa). David Hartwell zredagował tekst z typową dla siebie, osławioną przenikliwości, choć zmusił mnie do wycięcia sceny z eksplodującym ojczulkiem (z perspektywy czasu, wydaje mi się, że była to słuszna decyzja).

Przeróżnej pomocy od strony technicznej udzieliło mi też mnóstwo osób, którzy tak jak ja posiadają wyższe tytuły naukowe, tyle że – w przeciwieństwie do mnie – w dziedzinach, które okazały się do czegoś przydatne. Profesor Denis Lynn z Uniwersytetu w Guelph podsunął mi nie tylko odpowiedzi, ale i *pytania* oraz kwestie, które powinienem zgłębić (minęło dwadzieścia lat od kiedy chodziłem do niego na zajęcia, a on wciąż zmusza mnie do samodzielnego myślenia). Co więcej, ofiarował mi

egzemplarz *Molecular Cell Biology* autorstwa Lodisha *i innych*, który ilością tekstu spokojnie przebija książkę telefoniczną obszaru metropolitalnego Toronto. Isaac “Buckaroo Banzai” Szpindel – doktor medycyny, neurolog, autor sf, scenażysta i (serio) *inżynier elektryk* – pomógł mi opracować właściwości chemiczne poczucia winy i podsunął prawdopodobną siłę pola, emitowanego przez implanty ryfterów. Do tego uchronił mnie przed psychozą sterydową, kiedy w czasie pisania tej książki zapadłem na ciężką infekcję spowodowaną oparzeniami trującego bluszczu. Doktor Alison Sinclair oraz doktor Fran Terry służyły mi swoimi spostrzeżeniami, sugestiami i/lub uwagami merytorycznymi w temacie mikrobów. Natomiast Colin Bamsey powiedział mi, jakie drzewa górskie miałyby duże szanse przetrwać znaczne ocieplenie klimatu.

Zważywszy, że mamy do czynienia ze światem, w którym Quebek stał się dominującą potęgą gospodarczą, doszedłem do wniosku, że pewne quebekczyzmy weszłyby do powszechnego użytku – stąd wszystkie te drukowane kursywą wulgaryzmy, nad znaczeniem których pewnie większość z was łamała sobie głowę. Za przyspieszony kurs przeklinania w drugim oficjalnym języku Kanady chciałbym podziękować Joelowi Champetierowi, Glencowi Grantowi, Danielowi Sernine’owi i Jeanowi-Louisowi Trudelowi, mimo że nie udało im się wymyślić aliteracyjnego tłumaczenia dla „plującego posoką pierdolonego prątkowanego pojeba”. (Odwiedli mnie za to od zamiaru zamienienia „Celine Dion” w przekleństwo. Ledwo co.)

W czasie długich nocy potrzebnych na ukończenie tego maleństwa, towarzystwa dotrzymywała mi muzyka Iana Andersona i nieocenionego Jethro Tull. A także zespołu REM, któremu podkradłem kilka tytułów rozdziałów.

Chciałbym serdecznie podziękować wszystkim tym ludziom za wysiłek i/lub inspirację, a także przeprosić ich za rzeczy, które zapewne mimo wszystko zrobiłem źle.

ŹRÓDŁA

Wymienione poniżej źródła pomogły mi uczynić „Wir” dużo bardziej prawdopodobnym, niż gdybym wymyślił wszystko sam (a przynajmniej mam taką nadzieję). Jest to uzupełnienie do źródeł cytowanych przeze mnie na końcu „Rozgwiazdy”, których nie będę tu powtarzał. Jeśli Was to interesuje, sięgnijcie sobie po tamtą książkę.

βehemot

Kiedy zabrałem się za pisanie tej powieści, w literaturze naukowej zaczęły pojawiać się dziwne teorie: odkryto jakąś nową odmianę niesamowicie prymitywnego i niewyobrażalnie małego mikroba.[1] Tak małego – w niektórych przypadkach było to mniej niż 100 nanometrów – że niektórzy utrzymywali, że coś takiego nie może żyć.[2] Zwolennicy tej teorii nazwali je *nanobami* (zaproponowano nawet oficjalną taksonomię – *Nanobacterium sanguineum* – ale nie została ona jeszcze formalnie przyjęta).[3]

Kilka lat później znaleziono nanoby nie tylko w gorących źródłach i triasowych piaskowcach, ale i krwi ssaków (z ludźmi włącznie).[4] Najwyraźniej przypominamy im pierwotną zupę, w której jakieś 3,5 miliarda lat temu powstało życie. Żywią się zawartymi w naszej krwi fosforem i wapniem.

Rzecz jasna, βehemot to nie *N. sanguineum*. Pod pewnymi względami jest bardziej zaawansowany, pod innymi – bardziej prymitywny. Jego genom zakodowany jest w p-RNA, a nie DNA. Pożera siarkę, a nie fosfor i wapń. Nie potrafiłby przeżyć w środowisku zimnym i zasolonym (prawdziwe nanoby pewnie też nie byłyby w stanie metabolizować w takich warunkach, ale byłyby w stanie je *znieść* w stanie uśpionym). Jest wysoce

przystosowany do penetracji komórek, co pozostaje poza zasięgiem *Nanobacterium*. Jest większy, zbliżony wielkością do standardowej mykoplazmy albo morskiego bakterioplanktonu. Jest także o wiele paskudniejszy oraz – wreszcie, a może przede wszystkim – w rzeczywistości nie istnieje.

Starałem się jednak uczynić tego wirusa dość prawdopodobnym, przynajmniej biorąc pod uwagę dramatyczne ograniczenia w postaci światowej apokalipsy w chrupiącej skorupce. W efekcie, βehemot stał się czymś w rodzaju tych „złożonych seryjnych morderców", o których można przeczytać w książkach opisujących prawdziwe zbrodnie – to elementy różnych realnych wirusów zmieszane ze sobą, w połączeniu ze sporą dozą dramatyzmu. „A-51" istnieje naprawdę, zarówno w osadach głębokich jezior, jak i we wnętrzu ludzkiej jamy ustnej.[5] *Pseudomonas aeruginosa* to kolejna bakteria, która prowadzi całkiem szczęśliwy żywot w glebie, wodzie, robakach i ludziach[6], i podobnie jak βehemot posiada geny pozwalające jej zmieniać tempo mutacji, by szybko adaptować się do nowego środowiska (nazwałem je tutaj „genami Blachforda", mając nadzieję, że niejaki Alistair Blachford ruszy wreszcie dupę i opublikuje swoją pracę naukową na temat metawariacji genetycznej jako strategii ewolucyjnej[7]). Publikacja przeglądowa z 1999 roku poświęcona endocytozie receptorowej autorstwa Marsha i McMahona[8] wyjaśniła mi, jak najprawdopodobniej βehemot dostawałby się do komórki żywiciela, natomiast dzięki Decatur[9] i Portnoy'owi dowiedziałem się, jak następnie mógłby uniknąć strawienia. W tym miejscu raz jeszcze podziękowania należą się Denisowi Lynnowi z Uniwersytetu w Guelph za to, że w ogóle zmusił mnie do martwienia się o tego typu rzeczy.

Genetykę βehemota skleciłem w oparciu o kilka różnych źródeł, a wiele z nich cytowałem tak naprawdę wcale ich nie rozumiejąc. Informacje na

temat mitochondriów i piranozowego RNA pochodzą z publikacji Eschenmosera[10], Gestelanda *i in.*[11], Gray'a *i in.*[12] oraz Orgela[13],[14]. Wielkość i genom βehemota mieszczą się w teoretycznych granicach rozmiarowych mikroorganizmów[15], aczkolwiek jest on przy tym dostatecznie duży, by zachowywać typowe dla mikrobów tempo przemiany materii (prawdziwe nanoby są zbyt małe, by posiadać dużą liczbę enzymów, co oznacza, że wiele z ich szlaków metabolicznych przebiega z nieprzyspieszoną szybkością, w związku z czym ich przemiana materii zachodzi około dziesięć tysięcy razy wolniej niż w przypadku takich bakterii jak na przykład *E. coli*[4], co raczej daje im marne szanse na rywalizowanie z całą biosferą). Poza tym oczywiście, teoria głosząca, że samo życie zaczęło się od zależnego od siarki fenomenu w kominie hydrotermalnym na ryfcie[16] zaczyna wyglądać coraz bardziej prawdopodobnie. Pozostałe elementy stworzyłem w oparciu o *Molecular Cell Biology* autorstwa Lodisha *i in.*[17]

Dlaczego zdecydowałem się na coś tak niesamowicie powszechnego jak siarka w charakterze deficytowego pierwiastka? Chciałem w ten sposób zwrócić uwagę na fakt pojemności środowiska: życie jest zachłanne, więc jeśli dać mu wystarczająco dużo czasu, *wszystko* może zacząć się wyczerpywać. Poza tym, dowolny mikrob pochodzący ze środowiska hydrotermalnego prawdopodobnie *miałby* poważne problemy ze względu na swoją zależność od siarki (obecni na widowni specjaliści zapewne zauważą, że dołożyłem starań, by βehemot nie musiał koniecznie redukować siarki; wyobrażam sobie raczej, że w kwestii metabolizmu temu potworkowi bliżej do olbrzymich mikrobów żywiących się siarką, opisanych przez Schulz *i in.*[18]).

Konkluzja jest taka, że jeśli chodzi o większość cech, βehemot miał swoich prawdziwych poprzedników. Czy ewolucja byłaby w stanie upchać

je wszystkie w czymś co mierzy zaledwie 250 nanometrów to już oczywiście inna sprawa. Ale mimo wszystko. Pomyślcie tylko o tych wszystkich gadżetach, które mieszczą się w pasie Batmana.

Moralniak

Pomysł na technologię modyfikująca zachowania to w literaturze nicnowego. Oczywistym przykładem wydaje się być „Mechaniczna pomarańcza” Burgessa. W „Wirze” postanowiłem na nowo odkryć to koło przez podrasowywanie genów i neurochemii.

Z tego co mi wiadomo, istnienie „receptorów Minsky’ego”, o których wspomina Alice Jovellanos, nie zostało jeszcze potwierdzone. Jednak coś takiego musi znajdować się w płacie czołowym, który to zamieszkują sumienie i moralność.[19],[20] W każdym razie, pewne uszkodzenia w tym rejonie mają tendencję do zamieniania dobrych, bogobojnych ludzi w socjopatów.

Wyobraziłem sobie, że morderczy odruch Kena Lubina został podłączony do sieci neuronowej, opisanej przez R. Davidsona *i in.*[21] Koncepcja zakładająca użycie podrasowanych genów pasożytów w celu zaprogramowania takiego zachowania przyszła mi do głowy, kiedy prowadziłem zajęcia z ekologii zwierząt dla studentów. Wymienione w „Wirze” pasożyty są jak najbardziej prawdziwe i mają niemałe towarzystwo.[22],[23] Pewien grzyb żywiący się muchami tuż przed zabiciem ofiary, przejmuje kontrolę nad jej układem nerwowym, zmuszając ją do wylądowania gdzieś do góry nogami i ustawienia brzucha pod optymalnym kątem do rozsiewania zarodników. Motyliczka wątrobowa z rodzaju *Dicrocoelium* co noc przejmuje kontrolę nad żywicielem (mrówką), zmuszając go do wejścia na pobliskie źdźbło trawy i unieruchamiając go na szczycie aż do rana w nadziei, że zje go kolejny, nieszczęsny żywiciel. I

tak, *Toksoplazma* naprawdę sprawia, że szczury przestają bać się kotów (a w niektórych przypadkach wręcz *przyciąga* je zapach kociego moczu). Występuje też u około połowy przedstawicieli *naszego* gatunku. To coś niemal żywcem wziętego z „Władcy marionetek”, kochani. Istnieje wręcz sporo dowodów na to, że seks wyewoluował przede wszystkim jako środek zaradczy przeciwko atakom pasożytów.[24]

Ukwiał/Wir

Po pierwsze, Dzicz. Już w chwili obecnej Internet przypomina habitat o wiele bardziej, niż mogłoby się wydawać. Internetowe „burze” opisano po raz pierwszy w roku 1997[25], więc to już stare dzieje. Teraz można już nawiązać połączenie z „mapami synoptycznymi” meteorologii internetowej[26], uaktualnianymi kilka razy dziennie. (I znów moja wielce rozwinięta zdolność przewidywania przyszłości okazała się niezwykle skuteczna w przepowiadaniu przeszłości. Pierwszy taki przypadek miał miejsce, gdy „Rozgwiazda” zapowiedziała pojawienie się podwodnych rejsów ekoturystycznych na ryfty głębokomorskie w ciągu pięćdziesięciu lat, podczas gdy w realnym świecie zaczęto reklamować tego typu wycieczki jeszcze przed rokiem 1999.)

Ci z was, którzy mieli na studiach zajęcia z fizjologii, mogą pamiętać *prawo potęgowe*. Określa ono zależność między powierzchnią a objętością, która rządzi ożywionymi systemami od całych sieci pokarmowych po naczynia włosowate ryjówek – zasadniczo, jest to model typowy dla samoorganizujących się (tj. biologicznych) systemów. Wygląda na to, że nawet sama ogólnoświatowa sieć ewoluuje w zgodzie z tym właśnie prawem[27]. To daje do myślenia...

Po drugie, Zwierzyna. Cytowanie źródeł podejmujących temat „sztucznej inteligencji” nie wydaje się konieczne w dzisiejszych czasach –

wystarczy wpisać ten zwrot (albo „automaty komórkowe”) w wyszukiwarkę, by przekonać się, jak wielki rozwój dokonał się na tym polu w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Podzbiór e-życia nazywany tu Ukwiałem jest wprawdzie głównie oparty na przypuszczeniach, ale tworząc go oparłem się na dwóch założeniach. Pierwsze z nich jest takie, że jako całość, proste systemy przejawiają zachowania emergentne przekraczające możliwości ich pojedynczych części. Fakt ten wydaje się dość oczywisty na przykładzie ciała – chyba nikt nie zaprzeczy, że mózg jest mądrzejszy niż pojedynczy neuron – ale prawo to rozciąga się nawet na system złożony z *niepołączonych* ze sobą jednostek. Praktycznie rzecz biorąc, można więc myśleć o ławicy ryb czy stadzie ptaków jak o rozproszonej sieci neuronowej.[28],[29]

Po drugie, pokrewne założenie jest takie, że linie rozwojowe o zachowaniu uwarunkowanym genetycznie, byłyby w stanie przejść test Turinga, jeśli ewoluowałyby dostatecznie szybko. Nikt, kto jest świadomy, jak zaawansowane potrafią być takie zachowania, nie powinien mieć problemów z przełknięciem tego faktu. Koniec końców żyjemy przecież w świecie, gdzie mrówki zajmują się hodowlą zwierząt, ptaki trzymają się linii okręgu wielkiego, by dostać się na drugą stronę kuli ziemskiej, a pszczoły przekazują sobie skomplikowane informacje o czekającej je trasie, machając dupami. Sceptycy powinni przeczytać którąkolwiek z książek E. O. Wilsona na temat socjobiologii, albo stary artykuł Johna Hollanda, opublikowany w *Scientific American*.[30] Jest on już co prawda mocno nieaktualny, ale świetnie oddaje zasady rządzące algorytmami genetycznymi.

Na koniec, każdy kto uważa zwrot *dobór grupowy* za nieprzyzwoity (przyznaję jednak, że osoby te zasadniczo mają rację), powinien najpierw

zaznajomić się z pracą przeglądową D. S. Wilsona zamieszczoną w magazynie Skeptic.[31]

Inteligentne żele

Badania nad stworzeniem myślącego mięsa postępują w szybkim tempie od chwili, gdy „Rozgwiazda” ukazała się na rynku. Wyniki najnowszych z nich zostały zebrane w artykule „Neurons and silicon get intimate” autorstwa Roberta „nie-nie-*tego*-Roberta” Service’a.[32] Nieco bardziej konwencjonalne sieci neuronowe dosłownie siedzą już za kierownicą: program ALVINN Uniwersytetu Carnegie Mellon (o którym wspominałem w źródłach do „Rozgwiazdy”) przerzucił się już na autostrady, podczas gdy sieci neuronowe zupełnie niezależnie zaliczyły już dziewięćdziesięciomilowe wypady na publiczne drogi szybkiego ruchu przy prędkości do 70 mil na godzinę. Nauczyły się kierować pojazdami obserwując robiących to ludzi. Zajęło im to mniej niż pięć minut.

Wciąż jednak nie możemy być pewni, czego właściwie uczą się sieci w procesie treningu. Zaburzenia paradygmatów z rodzaju tego, który sprawił, że moje „mózgosery” zdradziły swoich panów, miały miejsce w realnym świecie. Pewna niesławna wojskowa sieć neuronowa nauczyła się rozróżniać warunki świetlne panujące w otoczeniu, podczas gdy pracujący nad nią ludzie myśleli, że szkolą ją w rozpoznawaniu czołgów.[33]

Przesłuchanie w Ganzfeldzie

Dla uzasadnienia podstawowych mocy psi, jakie zyskali ryfterzy, cytowałem w „Rozgwieździe” teorię kwantowej świadomości, której autorem jest Roger Penrose. Tu, w „Wirze” Lubin używa tej samej sztuczki, by przesłuchać Achillesa Desjardinsa. Muszę przyznać, że teoria Penrose’a spotkała się z ostrą krytyką w wykonaniu gościa o nazwisku Tegmark[34]:

Zwolennicy hipotezy zakładającej kwantową naturę umysłu zmobilizowali się w jej obronie[35], ale obecnie na polu świadomości kwantowej sprawy wyglądają dość niepewnie. Cóż począć.

Dręczona szczęściem

„Halucynacje", jakich doświadcza Lenie Clarke bazują luźno na Zespole Charlesa Bonneta[36], dolegliwości, która czasami jest efektem zwyrodnienia plamki żółtej. Mózg naprawdę stara się zrekompensować brak sygnałów wzrokowych, uzupełniając luki obrazami przechowywanymi w pamięci wzrokowej. W rzeczywistości Zespół Charlesa Bonneta występuje najczęściej u pacjentów w podeszłym wieku i często wiąże się z jakąś bolesną stratą. Halucynacje wstawiane są względnie płynnie w środowisko wzrokowe (w przeciwieństwie do obrazu-wewnątrz-obrazu, czego doświadcza Clarke).

Wreszcie...

Jeśli potrzebujecie jeszcze klarowniejszych wyjaśnień, odwiedźcie stronę www.rifters.com.

PRZYPISY

1. Unwins, P.J.R. i inni. 1998. Novel nano-organisms from Australian sandstones. American Minerologist 83: 1541-1550.

2. Broad, W.J. 2000. Scientists find smallest form of life, if it lives. NY Times, 18 styczeń.

3. Euzéby, J.P. Marzec 2001. List of bacterial names with standing in nomenclature. http://www.bacterio.cict.fr/index.html

4. Kajander, E.O. i inni. 1999. Suggestions from observations on nanobacteria isolated from blood. In Size Limits of Very Small Microorganisms: Proceedings of a Workshop. National Academy Press, Washington. str.164.

5. Kroes i inni. 1999. Bacterial diversity within the human subgingival crevice. Proceedings of the National Academy of Sciences of the United States of America 796(25): 14547-14552.

6. Rainy, P.B., and E.R. Moxon. 2000. When being hyper keeps you fit. Science 288: 1186-1188.

7. Blachford, A. 1984. Metavariation and long term evolutionary patterns. M.Sc. thesis, Zoology, University of British Columbia, str.140.

8. Marsh, M., and H.T. McMahon. 1999. The structural era of endocytosis. Science 285(5425): 215-220.

9. Decatur, A.L., and D.A. Portnoy. 2000. A PEST-like sequence in Listeriolysin O essential for Listeria monocytogenes pathogenicity. Science 290: 992-995.

10. Eschenmoser, A. 1999. Chemical etiology of nucleic acid structure. Science 284: 2118-2123.

11. Gesteland, R.F. i inni. 1999. The RNA World. Cold Spring Harbor Laboratory Press, Cold Spring Harbor, NY. str.735.
12. Gray, M.W. i inni. 1999. Mitochondrial Evolution. Science 283: 1476-1481.
13. Orgel, L. 2000. A simpler nucleic acid. Science 290:1306-1307.
14. Orgel, L. and L. Ost. 1999. Did life originate in an RNA world? In Size Limits of Very Small Microorganisms: Proceedings of a Workshop. National Academy Press, Washington. str.164.
15. Vogel, G. 1998. Finding life's limits. Science 282: 1399.
16. Rasmussen, B. 2000. Filamentous microfossils in a 3,235-million-year-old volcanogenic massive sulphide deposit. Nature 405: 676-679.
17. Lodish, H. i inni. 1995. Molecular Cell Biology, 3rd ed. Scientific American Books, W.H. Freeman & Co., NY. str.1344.
18. Schulz, H.N. i inni. 1999. Dense populations of a giant sulfur bacterium in Namibian shelf sediments. Science 284: 493-495.
19. Macmillan, M. 2000. An Odd Kind of Fame Stories: of Phineas Gage. MIT Press, Cambridge, MA, str.576.
20. Anderson, S.W. i inni. 1999. .Impairment of social and moral behavior related to early damage in human prefrontal cortex. Nature Neuroscience 2: 1032-1037.
21. Davidson, R.J. i inni. 2000. Dysfunction in the neural circuitry of emotion regulation-a possible prelude to violence. Science 289: 591-594.
22. Zimmer, C. August 2000. Do parasites rule the world? Discover: 80-85.
23. Zimmer, C. 2000. Parasites make Scaredy-rats foolhardy. Science 289: 525-527.
24. John Rennie, J. January, 1992. Living Together. Scientific American.
25. Huberman, B.A., and R.M. Lukose. 1997. Social Dilemmas and Internet Congestion. Science 277: 535-537.

26. Matrix-net's Internet Weather Report, at http://www.mids.org/weather/.
27. Barabasi, A.-L. i inni. 1999. Internet: Diameter of the World-Wide Web. Nature 401: 130-131.
28. Parrish, J.K., and Edelstein-Keshet, L. 1999. Complexity, Pattern, and Evolutionary Trade-offs in Animal Aggregation. Science 284: 99-101.
29. Koch, C., and G. Laurent. 1999. Complexity and the nervous system. Science 284: 96-98.
30. Holland, J. H. 1992. Genetic algorithms. Scientific American, 267(1): 66-72.
31. Wilson, D.S. 2000. Nonzero and nonsense: group selection, nonzerosumness, and the Human Gaia Hypothesis. Skeptic 8(1): 84-89.
32. Service, R. 1999. Neurons and silicon get intimate. Science 284: 578-579.
33. Czwarty odcinek serii „The Machine that Changed the World" emitowanej w telewizji PBS; więcej informacji na: http://www.otterbein.edu/home/fac/dvdjstck/CSC100/CSC100TMTCTW.html
34. Tegmark, M. 2000. The importance of quantum decoherence in brain processes. Physical Review E61: 4194-4206.
35. Quantum computation in the brain? Decoherence and biological feasibility", (abstrakt dostępny na stronie http://www.consciousness.arizona.edu/hameroff/decoherence.html).
36. Teunisse i inni. 1996. Visual hallucinations in psychologically normal people: Charles Bonnet's syndrome. Lancet 347: 794-797.

Tytuł oryginału: Maelstrom
Copyright © 2001 by Peter Watts Copyright for the Polish translation © 2011 by Wydawnictwo Ars Machina

Tłumaczenie: Dominika Rycerz-Jakubiec

Redakcja i korekta: Jolanta Chabik, Andrzej Jakubiec

Ilustracja na okładce: Marek Madej

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Fedorowicz

ISBN 978-83-932319-4-2

Plik opracowany przez Woblink, na podstawie *Wir*, wyd. I, Lublin 2011

Wydawnictwo: Wydawnictwo „Ars Machina” ul. Hetmańska 6/5, 20-553 Lublin

www.arsmachina.pl



www.woblink.com